BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

4767/52

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

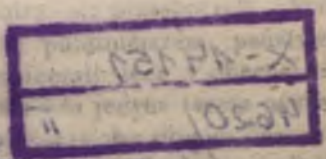
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1853.

Tom czwarty.



OGÓLNEGO ZBIORU TOM LII.



WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 617, w dawnéj Biblioteco Załuskich.

—

1853.

4620. 1853. 4
II

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

W Warszawie dnia $^{5}/_{17}$ *września* 1853 *roku.*

Starszy Cenzor,
Assesor kollegialny, **J. Popłoński.**

Biblioteka Sejmu Śląskiego
30.000
X-14151
4620/II 4.
1853

GEDYMINOWICZE.

Ustęp z dzieła Karola Szajnochy:

JADWIGA I JAGIEŁŁO.

....W czasie oderwania się Szlązka od Polski, ustalili Krzyżacy swoje panowanie w bogatéj ziemi Pomorza; a podwójnie tak uszczuplone królestwo Łokietkowe, pozbywszy się wszelkiéj przewagi nad przemożniejszém teraz państwem krzyżackiém, zamieniło się nagle z zwierzchnika i podpory zakonu, w ofiarę prześladowań krzyżackich, w podobny jak Litwa cel politycznéj pożądliwości zakonu. Widzieliśmy, jak groźnego niebezpieczeństwa oręż wisiał za dni Kazimierza Wielkiego na cienkim włosie nad Polską. Dla należytego zrozumienia stanu ówczesnéj Polski, dla słusznego ocenienia dalszych wypadków powieści naszéj, niech nam nie wychodzą nigdy z pamięci słowa onych naocznych świadków epoki Kazimierzowskiéj, odsłaniające przepaść nad jaką Polska stała podówczas, mimo wszelkiéj gospodarności i mądrości wielkiego króla. Rządy i czasy Ludwika bynajmniéj Polsce sił i krzepkości wewnątrz nie przysporzyły. Jeszcze wprawdzie zewnętrzny związek z potężniejszém państwem węgierskiém chronił ją nieco i ubezpieczał; lecz w obecnéj chwili, po śmierci króla Ludwika, miała i ta jedyna tarcza usunąć się, a słabsza jeszcze niż za dni Kazimierza, bo długim bezrządem rozchwiana, wewnętrznemi stronnictwami rozdarta, żadném zewnętrznem przymierzem nie pokrzepiona ojczyzna Piastów, weszła teraz na srodze niebezpieczną ścieszkę przyszłości. Pod sterem niedojrzałego, cudzoziemczego przewodnika, jakiego los przezna-

czał Polsce teraz w osobie *margrabi Zygmunta*, można było zaiste lękać się o jéj przyszłość.

Owoż przewodnik ten, zaledwie powitany w Polsce, nie miał w niéj nic pilniejszego do przedsięwzięcia, jak pokłonić się zakonowi teutońskiemu poselstwem, upraszającém wielkiego mistrza o przyzwolenie na zjazd i naradę poufną (1). Od dni kilkunastu siedział na stolicy krzyżackiéj nowy mistrz wielki. Właśnie w tych dniach, gdy młody margrabia Zygmunt bawił w Wielkopolskiéj stolicy, został po śmierci panującego od lat trzydziestu sławnego Winryka z Kniprode obrany po nim następcą Konrad Colner z Rotenstein (2). Nad czém jednak obaj nowi rządzcy Polski i Prus mieli naradzać się z sobą, nie wiemy bliżéj. Najprawdopodobniéj chodziło margrabiemu o zaciągnięcie u Krzyżaków pożyczki, za którą mógłby z pobliskiego pogranicza niemieckiego, z własnego w pobliżu margrabstwa brandeburskiego, sprowadzić jaką taką siłę orężną, potrzebną nieodbicie do uzyskania należytéj powagi w Polsce. Bądź jak bądź, niebłogą wróżbą świeciły narodowi te rychłe przyjazne zmowy cudzoziemczego władzcy Polski z przemocnemi wrogami kraju. Dla Krzyżaków zaś miały one tém fortunniejsze znaczenie, ile że w tym samym czasie, kiedy poselstwo Zygmuntowe do krzyżackich bram kołatało, był nowy mistrz wielki zaproszonym już na inny jeszcze niewątpliwiéj korzystny, nieskończenie pomyślny zjazd. To drugie zaprosiny powziął mistrz wielki od trzeciego nowego książęcia sąsiedniego, od władzcy pobliskiéj Litwy, Wielkiego Księcia Jagiełły, jeszcze trzykroć srożéj niż Polska zagrożonego od zakonu, przygniecionego jarzmem krzyżackiém.

Nowy mistrz Konrad nie mógł podołać wszechstronnym zaprosinom, które tak szczęśliwą wróżbą rozpoczynały jego panowanie w zakonie. Będąc jednak pewniejszym fortunnego na wszelki wypadek skutku widzenia się z Jagiełłą, postanowił udać się osobiście na stanowisko mniéj pewne, na zjazd z Zygmuntem. Do Litwy zostali wyprawieni: wielki komtur zakonu Rodger Elner, najwyższy marszałek zakonu Konrad Wallenrod, mistrz inflancki Wilhelm z Frymersheim, tudzież niektórzy inni dostojnicy zakonu (3). Jakoż w istocie, mimo nieobecności wiel-

(1) Raczyński Cod. diplomat. Lithuan. pag. 64.
(2) Voigt Gesch. Marienb. 184. nota 54.
(3) Raczyński Cod. dipl. Lith. p. 64. W Narbutta: Dzieje nar. litew. V, 313, mistrz inflancki mylnie nazwany.

kiego mistrza, okazały się zjazd i układy litewskie pomyślniejszemi niż polskie. Podczas gdy zjazd z Zygmuntem bez śladu następstw przeminął, zjazd z Wielkim Księciem Jagiełło ucieszył Krzyżaków aktem ostatecznego uklęknięcia Litwy przed krzyżem i potęgą zakonu. To osłania nam nową stronę przemożnéj działalności Krzyżaków, wymagającą naszéj uwagi. W dotychczasowym obrazie zakonu niemieckiego, mieliśmy przedewszystkiém na względzie wykazanie domowych środków, jakiemi potęga zakonu rozporządzała. Potrzebne zaś teraz uwzględnienie widoku praktycznych skutków *władania* temi środkami, nie objawiających się nigdzie, nawet w wywieranym przez zakon na Polskę wpływie, tak jaskrawo i zgubnie jak w losach narodu litewskiego, sprowadza uwagę naszę w tę nową stronę litewską, która zresztą z wielu powodów nie obcą jest dziejom naszym. Toż pogaństwo litewskie, któremu od północy zakon niemiecki coraz głębiéj w wnętrza się wdzierał, wisiało samo ku zachodowi chmurą ciągłego niebezpieczeństwa, ciągłego postrachu, nad zagrożoną ze wszech stron Polską. Otóż mając ciągle na oku ten podwójny stosunek Litwy do Polski, stosunek poniewolnego *spółczucia* z powodu spólności jednego i tegoż samego, Polsce i Litwie zarównie srogiego wroga, zakonu, i stosunek krwawéj *nieprzyjaźni* z powodu ciągłych pogańsko-niszczycielskich napadów Litwy na Polskę; spojrzyjmy także na jednoczesne rozwijanie się dziejów tegoż sąsiedniego narodu, aby tém snadniéj zrozumieć poźniéj, jak szczęśliwie Opatrzność umiała owę dwoistość stosunku użyć za środek do organicznego spoju obudwóch zgodno-sprzecznych żywiołów.

W obecnym poglądzie na sprawy litewskie przed zjazdem Jagiełły z dostojnikami zakonu, nie prowadzimy czytelnika jeszcze w wnętrza lasów litewskich; ztąd obce nam jeszcze pozostaną teraz obrazy ziemi litewskiéj, stosunków społecznych, zwyczajów ludu. Poznamy je poźniéj, gdy nam z całą Polską pod znakiem krzyża iść wypadnie w te strony wschodu. Obecnie mamy przedstawić tylko zewnętrzne stosunki i czynności narodu, a te zawierają się w obrazie stosunków i czynności rodziny panującéj. Nigdzie bowiem nie objawiła się tak jaskrawo sprzeczność pomiędzy ludem a dworem panującym, jak w Litwie ówczesnéj. Życie dworu i rodu książęcego, to wszelki publiczny żywot Litwy. W rodzie książęcym skupiała się wszelka wola narodu samemu; a narodowi, niemającemu żadnego

udziału w sprawach krajowych, pozostawione było tylko wykonywanie téj woli. W rodzie książęcym koncentrowała się wszelka samowładza i potęga narodu: naród chętnie na bezwarunkowém posłuszeństwie przestawał (1). W rodzie książęcym spromieniał się wszelki polor narodu, zdumiewający nieraz wykwintem ogłady swojéj; naród tyle jedynie znał oświaty, ile jéj w nim starodawne tradycye i obrzędy religijne, ograniczające się na najpowszedniejszy obręb życia sielskiego, wykształcić z czasem zdołały. W rodzie książęcym zgarnęło się wreszcie wszelkie bogactwo narodu, błyszczące kosztownością oryentalnego przepychu: naród zaś żył leśném ubóstwem. Ta patryarchalna pojedynczość stosunków utrzymywała naród w stanie długiéj bezimienności w historyi. Dopiéro nacisk wrogów zewnętrznych pobudził Litwę, tojest przedewszystkiém książęcą rodzinę Litwy, do głośniejszego życia. Piérwsze pojawienie się Krzyżaków, tych głównych wrogów narodu, w granicach Litwy, wywołało piérwszą znamienitą postać dziejów litewskich, króla Mendoga. Poźniejsze podwojenie się i ukonstytuowanie potęgi zakonu przez zabór Pomorza i osiedlenie się wielkiego mistrza w Prusiech, znalazło odpowiedź w wystąpieniu drugiego bohatera Litwy, Gedymina. Jakoż dopiéro ten pogański teść Kazimierza Wielkiego, uorganizował właściwie nowszą, historyczną Litwę. Onto opanowaniem południowego Kijowa, wskazał żelaznemu uciążeniu narodu od krzyżackiéj północy, podobnież zbrojną drogę odwetu ku południowi w strony Krymu i Moskwy. Onto założeniem Trok, Wilna, piérwszy znamienitszemi miastami zapełnił leśną głąb' Litwy. On wreszcie pozostawieniem licznéj rodziny, kierowanéj wyobrażeniami czci dla starszeństwa, dał początek owemu systematowi sukcessyjności dynastycznéj, która dłużéj wieku podtrzymywała po nim i zawichrzała Litwę. Atoli te wszystkie wewnętrznéj organizacyi zasługi, zdają się podrzędnéj być wagi: wewnątrz pozostała znana nam Litwa tak moralnie jak fizycznie nader wątłym i nieudolnym tworem społecznym. Wszelkie siły jéj żywotności wytężały się na ze-

(1) Nie jest to bajeczką zmyśloną przez Eneasza Sylwiusza. Pistor. Pol. Hist. Corp I. 2. Wiarogodność tego podania stwierdzają także pisarze krajowi i społcześni, naprzykład: Długosz Histor. XI. 217. „Jussu ducis magni.... se ipsos in patibulum agere coacti sunt". J. Jaroszewicz Obraz Litwy I. 158.

wnątrz; główną zaś tych zewnętrznych stosunków formą była wojna. Krzepki odpór wojenny w własnym kraju, natarczywy napad wojenny w cudze granice: stanowią walną zaletę bohaterskiego litewskich władców zawodu. Będąc zrazu skutkiem pierwiastkowéj nieokrzesaności narodu, stał się ten wojenny tryb życia poźniéj niezbędną koniecznością; gdyż z jednéj strony dzielny odpór stawiany obcym najezdzcom kraju, jak naprzykład Krzyżakom, a z drugiéj strony własne najazdy Litwy na ziemie okoliczne, otoczyły Litwę w końcu srogą dokoła nieprzyjaźnią narodów. Od morza Północnego wżerał się w Litwę zakon niemiecki, od zachodu Polska, zwłaszcza po zajęciu Rusi Czerwonéj i Wołynia, coraz daléj ku wschodnio-północnéj stronie posuwała szańce wojenne. Od południa groziła orda, rozpościerająca postrach swojego panowania nad całém opustoszałém z téj przyczyny Podolem; od wschodu Moskwa. Zaczém przystało Litwie mieć zawsze w trzy strony łuk napięty; a wiadomo, iż dogodniéj uprzedzać wojnę, niż oczekiwać. Ztąd w czasie wzmożenia się Litwy za Gedymina i po nim, przybrały dzieje litewskie nadzwyczaj wojenny i heroiczny charakter. Przyczyniło się do tego osobliwie jednoczesne po Gedyminie następstwo w dwóch dzielnicach litewskich, dwóch walecznych Gedyminowiczów: Olgierda i Kiejstuta. Pod ich dzielném przewodnictwem, dzięki szczęśliwemu spółdziałaniu wzmiankowanych powyżéj okoliczności, mianowicie sprężystego samowładztwa książąt litewskich, wytężenia sił narodowych na zewnątrz i rozwiniętego wojnami rycerskiego w narodzie ducha: podniosła się Litwa do pewnego stopnia zbrojnéj potęgi. Rozpoczęty przez Gedymina, trwał ten bohaterski okres dziejów litewskich przez lat kilkadziesiąt, aż do onych, jednocześnie z Polski i z Litwy wzywających wielkiego mistrza na dwa poufne zjazdy, zaprosin. Było przecież w otaczającym wtedy naród litewski blasku daleko więcéj lśniącego złudzenia sławy, niż ożywczego ciepła; w ówczesnym kwiecie dziejów litewskich daleko więcéj woni, niż ziarna. Na wszelki wypadek, zajmujące Litwa wówczas przedstawiała widowisko, i godzi się poznać je bliżéj. Ucieszymy się przytém naprzód świetną stroną obrazu.

Po śmierci Gedymina, zaszłéj w epoce zajęcia Rusi Czerwonéj przez Kazimierza Wielkiego, osiadł z woli ojcowskiéj na tronie wielkoksiążęcym najmłodszy z synów Gedyminowych,

przeszło trzydziestoletni Jawnuta, czyli Jawnuć (1). Dopomogły mu do tego jużto względy umierającego ojca dla jego matki, owdowiałéj rusinki Ewy, jużto częste u pierwiastkowych narodów obdarzanie najmłodszego syna pierwszeństwem przed starszemi. Wszelako pomiędzy wszystkimi siedmiu Gedyminowiczami miał Wielki Książe Jawnut, gnuśny, jak go kroniki mienią, „prostak“, najmniéj w sobie ojcowskiéj dzielności. Trzej inni, ustępujący wkrótce z widowni dziejów: Montwid książę słonimski, zmarły podobnież niebawem Narymund książę na Pińsku, i Koryat na Nowogródku, podrzędną grają rolę. Głośniéj od nich zasłynął piąty syn, Lubart, książę na Włodzimierzu Wołyńskim. Ale właściwemi spadkobiercami sławy ojcowskiéj byli średni synowie: Olgierd książę na Krewie, i Kiejstut książę na Trokach, urodzeni z téj saméj matki ruskiéj księżniczki Olgi. W stronach bliższych wschodowi, zwłaszcza w czasach pogańskiego wielożeństwa, pochodzenie od jednéj matki wielką miewało wagę. Podczas gdy synowie różnych matek, bądźto z powodu nierównéj dostojności, bądź wcześniejszego, a tém samém godniejszego, lub poźniejszego, a tém samém mniéj zaszczytnego ślubu swych rodzicielek, często za obcych wzajem poczytywali się: dopiéro jednéj i téj saméj matki synowie, za właściwych mieli się braci. Takaż zupełna jedność krwi, związała Olgierda z Kiejstutem najściślejszéj miłości braterskiéj węzłem. Wzmocniło go jeszcze podobnież szlachetne usposobienie umysłu obudwóch braci. Zarówno gorąco w narodowości swojéj rozmiłowani, nie mogli oni znieść widoku niedołęztwa Jawnuta, tak nieodpowiedniego następstwu po wielkomyślnym ojcu, i wymaganiom grożących zewsząd niebezpieczeństw. Rychła śmierć matki książęcéj, dotychczasowéj mistrzyni syna, pogorszyła tém więcéj sprawę Wielkiego Księcia. Nieczekając tedy osobistego przyłożenia się starszego brata Olgierda, napadł rączy Kiejstut znienacka wielkoksiążęcą stolicę Wilno, pojmał zbiegłego w lasy Jawnutę, i wierny uszanowaniu dla starszeństwa Olgierdowego, skłonił tegoż brata do objęcia wielkoksiążęcéj władzy. „Tobie godzi się być Wielkim Księciem w Wilnie, tyś starszy brat“—rzekł Kiejstut do Olgierda—„a ja z tobą na wieki w jedności i zgo-

(1) Stryjkowski wyd. Malin. I. 1. Narbutt: Dzie. n. lit. V. 7. Podobnie jak Kiejstut czyta się czasem Kiejstut', Kiejstuć; tak téż i Jawnut, Jawnucz lub Jawnuć.

dzie“ (1). Formalny traktat wzajemnéj pomocy, z przyznaniem zwierzchnictwa Olgierdowi, z stosownym między książąt podziałem ziem litewskich, i przypuszczeniem obudwóch do równéj połowy zdobyć się później mających krain: utrwalił urzędownie stosunek panujących odtąd braci książęcych (2). Strącony Jawnuta i piński książę Narymund, uciekli z kraju. Obok Olgierda i Kiejstuta zostali tylko dwaj starsi bracia Jawnuty: Lubart na Włodzimierzu Wołyńskim, i Koryat w Nowogródku. Stało się to w 5 do 6 lat po zamianowaniu Ludwika następcą po Kazimierzu Wielkim, i zajęciu Lwowa przez tegoż.

Z nowym Wielkiém Książęciem, stanęła u steru Litwy daleko głębsza świadomość ówczesnéj cywilizacyi europejskiéj i chęć naśladowania takowéj, niżby się tego ogólny stan kraju spodziewać kazał. Toć główną przyczyną gwałtownego usunięcia Jawnuty, wymienia kronika (3) właśnie jego „prostactwo“. Teraźniejszemu zaś następcy Jawnutowemu, przyznają głosy ówczesne niezwykły rozum, czyli według ich własnego wyrażenia się, nierównie więcéj „umienia niż siły“ (4). Toż samo da się powiedzieć o młodszym bracie Kiejstucie, mistrzu wszelkich fortelów (5). Nadto, łączyła się mądrość obudwóch z dziwnym polorem obyczajów, odróżniającym ich nieskończenie od reszty ludu i rodu. Zdarzały się też liczne środki do nabycia światła i ogłady. Przysparzał ich niemało sam poblizki zakon niemiecki. Wojna z nadpływającą mu ciągle pomocą zbrojną, złożoną z doboru szlachectwa europejskiego, była ustawiczną szkołą rycerstwa. Rozmaite koleje wojny, podając raz Litwinów w niewolę chrześcian, drugi raz rycerzy chrześciańskich w niewolę Litwy, pozwalały przytrzymanym w ziemi chrześciańskiéj Litwinom, przypatrywać się trybowi i obyczajom ukształconego podówczas świata, albo bawiących w Litwie jeńców rycerskich, niewoliły do służenia Litwinom za nauczycieli w sztuce i wyobrażeniach rycerskich. Jakoż sam panujący dziś Wielki Książę miał sposobność wyuczenia się w ten sposób rycerskości zachodniéj od

(1) Latopis. Daniłł. 29. Kronika litewska (Bychowca) wyd. przez T. Narbutta str. 18.

(2) Tamże 29. Narbutt Dzie. nar. litew. V. 29.

(3) Stryjkowski wyd. Malinow. I, 2.

(4) „Ne tolma siłoju, jeliko umeniem wojowasze.“ Kron. nikon. u Karamzyna V przyp. 13. Narbutt V 238.

(5) Stryjkowski, tamże „Kiejstutus podobniéj Astutus“.

młodego rycerza niemieckiego, który w ręce Litwy popadłszy, strawił dziewięć lat na dworze Gedymina, jako nauczyciel młodych Wielkich Książąt litewskich (1). Niekiedy uciekali sami rycerze zakonni z konwentów pruskich na dwór litewski, gdzie ich zwykle gościnne przyjęcie i obowiązki tłumacza lub pisarza czekały (2). Zresztą zachodziły oddawna różnorakie między Litwą a zachodem stosunki. Pominąwszy związki pokrewieństwa z książętami mazowieckiemi przez córki Gedymina Maryą i Daniłłę, poślubione Bolesławowi mazowiecko-halickiemu i Wańkowi płockiemu; pominąwszy pokrewieństwo z dworem krakowskim przez trzecią córkę Aldonę, poślubioną Kazimiérzowi Wielkiemu: miewali Wielcy Książęta litewscy częste styczności z stolicą apostolską we Francyi, z dworem cesarskim w Niemczech, nawet z Anglią. Do Awinionu wysyłano z Litwy pisma z skargami na Krzyżaków, (3) do Anglii traktaty handlowe, (4) do Niemiec, aż nad Ren, posiłki zbrojne (5). W dalszym ciągu panowania, zagaił Wielki Książę Olgierd przyjazne układy z cesarzem Karolem IV, i sam książę Kiejstut zwidził jako naczelnik wyprawionego do cesarza poselstwa, wiele krajów niemieckich (6). Powracające z Kiejstutem, jako też z onemi posiłkowemi rotami litewskiemi, wiadomości o zagranicznych ludach i obyczajach, odnawiały w kraju dawny zasiew podobnych wieści przybyłych niegdyś, i przybywających ciągle z missyami chrześciańskiemi. Wpływowi missyj Franciszkańskich towarzyszył wpływ gęstego przechodu przez Litwę kupców zagranicznych (7). Ciągnąc od Baltyku i Wrocławia ku Nowogrodowi Wielkiemu i Kijowowi, goście kupieccy nietylko pozostawiali po sobie w Litwie ślady cywilizacyi chrześciańskiéj, lecz oraz opłatą wysokich podówczas ceł, bogacili skarbiec książęcy. Jeszcze większych bogactw dostarczały zbrojne wycieczki do Krymu, będącego do niedawna siedliskiem zamożnego handlu kolonial-

(1) Narbutt Dzieje nar. lit. IV 612.
(2) Tamże V 236. Prócz tego w każdym obszerniejszym traktacie między Krzyżakami a Litwą lub Polską, czytamy o takich apostatach.
(3) Narbutt. Dzieje nar. litew. IV, dodatek XIV.
(4) Czacki. Dzieła I 170.
(5) Narbutt: Dzieje n. l. V 96.
(6) Tamże V 88.
(7) Voigt. His. Prus. V 556, VI 139, 311.

nego Greków i Włochów. Zalany temi czasy dziczą turecką i tatarską, przyozdabiał teraz Cherson najeżdżającą Tatarów krymskich Litwę, kosztownemi łupami, mianowicie dostatkiem złotych obrazów, naczyń i klejnotów cerkiewnych. Skarby kruszcowe nadawały coraz więcéj blasku i wytworności mieszkaniom książąt litewskich, napływające zewsząd promienie cywilizacyjne rozświecały umysł szlachetny: a gdy zajrzymy w przybytki i postępki naszych książęcych braci Gedyminowiczów, zdaje się, że jesteśmy w świecie najmoralniejszego chrześciańsko-rycerskiego poloru.

Mieszkają obadwaj bracia w pobliżu siebie: Wielki Książę Olgierd w założoném niedawno przez ojca Wilnie; książę Kiejstut, o cztery mile, w Trokach. Przy boku pięćdziesięcioletniego Olgierda w Wilnie, widzimy w piérwszych latach jego wielko-książęcych rządów, chrześciańską małżonkę Maryą księżniczkę ruską z Witebska, i kilkoro dzieci; z pomiędzy których synowie Włodzimiérz książę kijowski, Iwan książę podolski, Szymon książę mścisławski, dojrzeli już w dwudziesto-kilkuletnich mołojców. Trzej inni synowie: Wingolt, Korygiełł, Borys, w młodszym są wieku. Nad wszystkiemi tak synami, jak i córkami, czuwa pilnie wzrok macierzyński. Podczas gdy Wielki Książę co wiosny na wyprawę zbrojną wyrusza, Wielka Księżna wschodnim zwyczajem, nie wychyla się z za murów zamku wileńskiego, chyba latem w drodze do drugiego zamku Miedniki, zwykłéj siedziby letniéj, leżącéj niedaleko Wilna ku wschodowi słońca. Zresztą i wewnątrz zamku mało widzialna, krząta się księżna ciągle około dzieci. „Są przy nich" mówi daléj opowiadający to wszystko naoczny świadek niemiecki „nauczyciele i nauczycielki do różnych ćwiczeń. Jest nadto przy dworze Wielkiéj Księżny pewne zgromadzenie panien dopomagających jéj do robót i nabożeństwa. Owoce ich pracy, ozdobne wyszywania i tkanie, rzadkiéj bywają doskonałości. Osobliwie trzy Azyatki ochrzczone, celują misternością w téj sztuce. Gdyśmy byli w cerkwi nadwornéj, podczas wielkiego nabożeństwa, cały dwór żeński znajdował się na wielkim krużganku, osłonionym siatką zieloną, przez którą tylko cienie postaci były widzialne". Sam Wielki Książę nie w cerkwi, a na leśnych wzgórzach, podobnych temu, na którém przed dwudziestą i kilką laty w miejscu

(1) Narbutt, Dzieje n. lit. V 237.

dzisiejszego Wilna, gorzał Świętoroga ogień wieczysty, słońcu ofiary niesie. (1). Gwoli życzeniom matki, dopuszcza on, aby synowie z obrzędami macierzyńskiéj wiary oswajali się; lecz gdy jednego razu kapelan Wielkiéj Księżny, mnich Nestor pomiędzy rycerską Wielkiego Księcia drużyną zwolenników sobie chciał zjednać: poszło trzech nowochrzczeńców naprzód w kajdany i do ciemnicy, a potém dla tém groźniejszego powstrzymania naśladownictwa, pod sąd kapłanów pogańskich. Ci po daremnéj probie zmuszenia swoich ofiar mękami do zaparcia się nowéj wiary, wszystkich trzech na dębie powiesili (2). Ten rys niejakiéj surowości pogańskiéj, odróżnia Olgierda od Kiejstuta. Lubo obaj również gorąco czczą narodowość; starszy brat nierównie ściśléj przestrzega obyczaju narodowego. Stosownie téż do swojéj woli wielkoksiążęcéj, przechodzi on Kiejstuta powagą, surowością, nawet rozumem. Sama powierzchowność Olgierda groźniéj na oko działa. Słuszniejszy od książęcia trockiego, średniéj tuszy, ściągłéj o zapiekłych rumieńcach twarzy, ma Wielki Książę jasne krzaczyste brwi, nos duży, wysokie, z przodu nieco obnażone czoło, i nosi jasnowłosą już siwiejącą brodę. Najsurowszego przecież humoru chwilę, rozjaśnia w nim niebieskie promienne oko, świadczące o łagodności duszy tego plemienia, którego pobratymców dawniejsi Niemcy „najłagodniejszemi z ludzi" (3) nazwali, a którego charakterowi późniejsi Niemcy tylko tyle złego zarzucić mogli, iż jest dziecinnie „trzpiotowatym" (4). Zresztą „mówi Wielki Książę głośno, wyraźnie i brzmieniem uchu przyjemném. Siedzi na koniu dzielnie; ale gdy chodzi, chromie na prawą nogę. Dlatego zwyczajnie opiéra się na lasce, albo na giermku. Język nasz" opowiada to ciągle ów niemiecki świadek spółczesny (5), „dobrze rozumié i może się nim wyrażać; ale w rozmowach z naszemi, ma zawsze tłumacza przy sobie. Widzieliśmy trzech tłumaczów takich: jeden

(1) Narbutt: Dzieje V 234. Dodat. X

(2) Tamże Dod. X 44. Latopis Daniłłów. 170.

(3) „Mitissimum genus hominum" o Prusakach, Adam Brem. cap. 222. Toż samo Helmold.

(4) O Żmudzinach, najsroższych z ludów litewskich, pisze starosta krzyżacki r. 1406 do mistrza wielkiego: „Żmudzini są ludzie płochego umysłu; (leichtfertigen synnes) dziś tak, jutro siak". Voigt Histor. Prus. VI 354. Długosz Histor. XI 346 „fluxae fidei".

(5) Narbutt Dz n lit V 236.

jest Niemiec, niewiadomo zkąd rodem; powiadał, że z Witebska, lecz zapewne będzie to któryś z naszych zbiegów elblongskich, jakeśmy to z niektórych poszlak poznali". Z tą niemieczczyzną przyswoił sobie Olgierd także wiele rycersko-zamorskich obyczajów, a wyprawiając się do Moskwy, grozi tamecznemu Wielkiemu Księciu Dymitrowi: że podobnie jak to na Zachodzie rycerskim było zwyczajem, jak w myśl tegoż zwyczaju Bolesławowie Chrobry i Śmiały, przy wjazdach do Kijowa czynili, „wyszczerbi swoję kopią o bramę Moskwy" (1). Atoli dorównany, a nawet przewyższony w téj zamorskiéj obyczajności rycerskiéj, od młodszego brata Kiejstuta, nie jéjto złudnym blaskiem górował nasz Olgierd nad Kiejstutem: cechą jego rzeczywistéj przewagi nad nim okazuje się wszechstronność wzroku Olgierdowego, niedozwalająca mu śród ustawicznych zapasów z północno-zachodniemi „Niemcami", jak Krzyżaków w Litwie i na Rusi niezmiennie zwano, zaniedbywać interesu Litwy w téj innéj stronie, gdzie się dla niéj otwierało pole daleko przemożniejszego działania, tojest: ku wschodowi i południowi. Podczas gdy Kiejstut bądźto z osobistego zamiłowania, bądź w skutek porozu-

(1) „A z bożeju pomoszczeju k horodu jeho Moskwe kopie swoje prysłoniu" mówi Wielki Książę Olgierd. Kronika Bychowca str. 21. Narbutt: Dzie. nar. lit. V 154. 155. Iż sławne cięcia Bolesławów w złotą bramę kijowską, miały tylko takie rycersko-zwyczajowe znaczenie, ile że podobne uderzenie w bramę zdobytego grodu, w powszechném u zachodnio-europejskiego rycerstwa bywało używaniu, przekonywają nas nader liczne, aż do Olgierdowych czasów sięgające przykłady. Podobnie jak Olgierd bram Moskwy, tak czeski król Jan, (Długosz hist. IX 1073. r. 1345) chce „z kopią w ręku dotknąć się murów Krakowa". Upierano się tak uporczywie przy tym zwyczaju, że choćby nie mając nadziei zdobyć istotnie grodu, przysięgał rycerz śmiały, bogdaj zamkniętej dotknąć się bramy. Tak np. (Froissarta kronika I, 400) jeden z bohaterów angielskich czyni ślub dotrzeć aż do Paryża i uderzyć kopią o bramę, „et qu'il heurteroit aux barrieres de sa lance". W końcu wyraz „uderzyć o miasto" przybrał przysłowia znaczenie: wstąpić mimochodem do miasta, w jakiém np. znaczeniu francuzki rycerz Gilbert de Lannoy (Voyages w Rozb. dzieł p J. L. 420) wyjechawszy z Polski i Litwy za glejtem Witołdowym w strony Czarnego morza, uderza mimochodem o bramę miasta Samiette ,aby tylko powiedzieć, że tam był, acz nie wjeżdża do środka miasta, ani tam wypoczywa"..... „jarrivay a Samiette a une... porte... a la quelle je m'en aloy heurter seulement pour dire: je y ay este et sans entrer dedans"...

mienia z bratem, europejską stronę, kraje krzyżackie i Polskę za główną widownię działań swoich obiera; starszy brat Olgierd przewodzi zarówno w stronie zachodniéj, w tylokrotnych napadach na kraj zakonu, na Polskę, jako też w zbrojnych pochodach w strony wschodnie ku Smoleńskowi i Wielkiemu Nowogrodowi, ku Moskwie i Czarnomorzu krymskiemu. Ztąd mniéj niż Kiejstutowi przychylna małomówność kronik krzyżackich o Olgierdzie, a nierównie za to głośniejsza chwała Olgierdowa w ziemiach wschodnich w kronikach ruskich, ma nam być miarą znakomitszéj właśnie wszechstronności oka i ramienia Olgierdowego, jego wyższéj podniosłości umysłu, uwzględniającéj z równą bacznością *wszystkie* stosunki kraju. Niepróżno też jeden z kronikarzy ruskich wysławia „umenie" Olgierda nad samą jego potęgę, a przyzwyczajony do prostaczéj gadatliwości drobniejszych książąt wschodnich, jeszcze nawet poźniéj znakomitym władzcom Litwy właściwéj (1), chwali mądrą Olgierda małomówność, zachowującą w wszystkich swych planach wojennych jak najściślejszą tajemniczość (2). Drugi zaś, jeszcze prostoduszniejszy latopisiec, światłą wstrzemięźliwość Olgierda w napojach, nader wysoce sobie ceniący, prawi o nim z podziwem: „Ze wszystkich braci Olgierd najwyżéj wzniósł się potęgą i mądrością; ile że ani miodu nie pijał, ani wina, ani piwa, ani kwasu kisłego, niczego wcale nie pijał, i wielkomyślnością swoją nabył rzadkiéj wstrzemięźliwości i krzepkiéj nabył tém duszy, i wielkiéj przemyślności takową władzą nad sobą dostąpił, i mnogie strony i ziemie zawojował, i mnogie grody i księztwa w swoję moc pozajmował i odzierżył państwo wielkie, zkąd rozpostarł szeroko potęgę swoję książęcą, jak tego żaden z braci jego nie uczynił; i tak głośno zasłynął w świecie, jak ani ojciec, ani dziad jego nie słynęli" (3). Przeco nie bez przyczyny ustąpił mu Kiejstut wielko-książęcéj stolicy Wilna, a sam w skromniejszych siadł Trokach.

Wynagradzała mu tam koronę miłość Biruty. Oto kilka dopiéro lat jak książę Kiejstut uwiózł ją że Żmudzi, znad brzegów morza, z wyniosłego uroczyska, zwanego dziś górą Biruty, gdzie piękna córka Widymunda, jako poślubiona bogom dzie-

(1) Długosz Hist. XI 531 o Witołdzie.
(2) Kronika Nikon. Narbutt Dz. n. lit. V 238.
(3) Latopis. Daniłł. 190.

wica, pełniła służbę wajdelotki przy świątyni bogini Praurmi. Zmuszona do złamania ślubów dziewiczych, została Biruta księżną na Trokach, matką sześciu synów i kilku córek. Z tych prawie wszystkie małemi teraz jeszcze są dziećmi, a najsławniejszy z synów, Witold, w chwili objęcia Wielkiego Księztwa przez wielkomyślnego stryja Olgierda, dopiéro jednorocznem niemowlęciem spoczywa u piersi matki. Poźniéj sława tego dziecięcia zgasiła do szczętu imiona reszty braci, a z sióstr najpamiętniejszą teraz Danuta, poślubiona następnie mazowieckiemu książęciu Januszowi. Ubłogosławienia tém nieszczupłém potomstwem dostąpił Kiejstut zniewoleniem Biruty do wiarołomstwa, dostąpił występkiem przeciwko surowym obrzędom wiary, do któréj sam gorące czuł przywiązanie. Bo miękka dusza księcia trockiego, obca wszelkim surowym wymaganiom, wszelkiemu srogiemu rygorowi, nie czciła tego rygoru nawet w przykazaniach wiary ojczystéj, w ślubach Biruty. W nikim nie okazała się owa łagodna, płocha „trzpiotowata" młodzieńczość litewskiéj plemienności tak wydatnie i wdzięcznie, jak w Kiejstucie. Jak w ogóle tylko dojrzalsze przekonania czynią męzką surowość sztywniejszą, w mniemanéj zaś grozie pierwiastkowego stanu pogaństwa, mimo wszelkie pozory, charakter dziecięctwa przemaga; tak téż i ten ostatni obrońca pogaństwa w Europie, ten głośny w dziejach pogromca wrogów ojczystych, drobnéj budowy ciała, jasno-włosy, niebiesko-oki Litwin (1), miękkiém w gruncie był dzieckiem, gołębie w rzeczy miał serce. Czyniło ono go naprzód dziwnie tkliwym na wszelkie wrażenia uczuciowe, czyto w obliczu postrzeżonych po raz piérwszy wdzięków Biruty, czy na widok jeńca krzyżackiego błagającego o życie na ofiernym stosie litewskim, czy w razie przekonania się o bezskuteczności walki z przemocą losów. Zarazem zawdzięczał Kiejstut swemu dziecięctwu umysłowemu nadzwyczajną nałomność, naśladowniczość, uzdolniającą do najdokładniejszego przyswojenia sobie od otaczającéj go cywilizacyi tak pojęć i wyobrażeń moralnych, jako téż zwyczajów i przyborów zewnętrznych. Cośmy wyżéj o przejęciu się Gedyminowiczów obyczajami Zachodu nadmienili, to poszczególnie księcia Kiejstuta dotyczy. Wszelkie przepisy zachodnio-europejskiéj moralności rycerskiéj były mu świętém prawem. Staranność o nieposzla-

(1) Narbutt: Dz. n. l. V 298.

kowane imię rycerskie, wierność danemu słowu, wspaniałomyślność względem zwyciężonych, śmiałkowatość posunięta do awanturniczości i nierozwagi, zalety rycerskie po części w saméj Europie już zapomniane: w ostatniém z książąt pogańskich nowy znalazły rozblask. Ta strona charakteru, zamieniała owo dziecko wrażliwe w rycerskiego junaka. Wszystkie zaś rysy społem zstawione, tworzą nader zajmujący obraz żywota, pełnego przygód, szlachetności, sławy i klęsk. Przypominając je sobie z kolei, widzimy Kiejstuta z początku, w czterdziestym już roku życia, uszczęśliwionym miłością i posięściem Biruty. Następnie po dopomożeniu bratu do stolicy wielko-książęcéj, rozpoczyna się dla niego zawód nieprzerwanych harców z Niemcami i Polakami. Bez względu na obowiązki zarządzcy rozległych ziem, obejmujących prócz stołecznych Trok, miasta i powiaty: Brześć, Grodno, Kowno, Wellonę, Onkaim z innemi pomniejszemi (1), uszczęśliwiają Kiejstuta obecnie tylko wojenne tryumfy i przygody. Rzućmy okiem na przeróżne koleje tego rycerskiego zawodu.

Zaraz w jednym z wcześniejszych bojów, w wojnie z Polakami o Wołyń, wpada książę w niewolę (2). Szczęśliwie wymknąwszy się, nie przestaje przeto podawać się w osobiste niebezpieczeństwa, a wkrótce potém szamoce się z nim w Litwie, przy niespodzianém natarciu podjazdu krzyżackiego na drużynę litewską, krzyżacki rycerz Hanke. Zrzuconego z siodła książęcia litewskiego, bierze sam dowódzca podjazdu, Henryk z Kranigfeldu, w nową niewolę. Sprawiła ona wielką radość Krzyżakom. Dziękowano za nią uroczystém po wszystkich kościołach zakonnych nabożeństwem. Nie mogły wyzwolić go z niéj dwukrotne poselstwa i ofiary Wielkiego Księcia Olgierda. Wyzwoliła go po ośmiu miesiącach szczęsna przygoda. Dali mu Krzyżacy do posługi nawróconego Litwina, należącego teraz do służby wielkiego mistrza i wszelkiém zaufaniem Niemców zaszczyconego. Zbliżono właśnie Alfa czyli Adolfa, tak się wychrzczony Litwin nazywał, tylko w tym celu do Kiejstuta, aby jako ziomek książęcia, tém łatwiéj wyłudził z niego niektóre potrzebne Krzyżakom wiadomości o stanie Litwy. Atoli przydłuższe obcowanie z Kiejstutem, w niezrozumiałym dla straży krzyżackiéj języku li-

(1) Narbutt: Dz. n. lit. V 298.
(2) Długosz Hist. IX 1093. Narbutt V 56.

towskim, przy pomocy hojnych obietnic Kiejstutowych, przeistoczyło szpiega Krzyżaków w powiernika Kiejstuta, w pomocnika umówionéj ucieczki. Odkryli obaj w jednéj za ścian więzienia zasłonioną framugę. Przyniesioném przez Alfa narzędziem wyłomał Kiejstut zcicha po kilku dobach starannie ukrywanéj pracy, w cienkim murze framugi dość znaczny otwór. Piérwszéj nocy po dokonanym wyłomie spuścił się książę po przygotowanéj linie na dziedziniec zamkowy, gdzie Alf, z potrzebnym do ucieczki strojem krzyżackim, i parą wyprowadzonych ze stajni wielkiego mistrza rumaków, w pogotowiu już czekał. Przyodziani w białe płaszcze o czarnych krzyżach, na krzyżackich siedząc rumakach, zostali obaj u bramy zamku, za niemieckiém przemówieniem się Alfa, jako z pilném poleceniem wielkiego mistrza wyjeżdżający bracia zakonni, bez trudności od straży przepuszczeni. Pospieszających traktem ku spokrewnionemu z Litwą Mazowszu, pozdrawiali kilkakrotnie spotykani w drodze Krzyżacy. Z pogranicznego miasteczka Libstadt, odesłał Kiejstut wielkiemu mistrzowi pożyczone z stajni zakonnéj konie, z żartobliwém podziękowaniem, a sam z Alfem manowcami do mazowieckiego księcia Janusza, męża swojéj córki Danuty, ruszył (1). Zkąd szczęśliwie do Litwy powróciwszy, w nowe co prędzéj rzucił się boje i niebezpieczeństwa. Toż jeszcze tegoż samego roku, stało się zadość rycerskiemu junactwu. Tym razem zaskoczyła go przygoda w najechanéj przezeń ziemi kryżackiéj, w utarczce pod Ekersbergiem z ręki krzyżackiego rycerza Wernera Windekheim. Znowuż ciężki rycerz niemiecki gwałtownem uderzeniem glewii (2) wysadza lekkiego Kiejstuta z siodła. Obalony książę zrywa się z ziemi, i pochwyciwszy tarczę i kopią, przebija konia Wernera. Wtém drugi Niemiec Dojban z innéj naciera strony. Zaledwie i tego zrzucił koń własny, uderza pieszy Windekheim nowym zamachem dzidy. Co widząc, zawołał Kiejstut: „Spuść dzidę!“ A rycerz: „Dlaczegoż nie mam mścić się na poganinie!“ Na co książę: „Przestań! Jam Kiejstut. Wstąp w moję służbę a zbogacę cię“. Rycerz wciąż nacierał, odzywając się: „Panowie moi dadzą mi

(1) Wigand. Raczyńsk. 110. 112. Voigt Hist. Pr. V. 146. Narbutt Dz. nar. lit. V. 101.

(2) Kopia niemiecka znana także w Polsce pod tém nazwiskiem, np. w przysłowiu: Chłop wielki jak glewia. Obacz Maciejowskiego: Polska pod względ. obyczajów. II. 11.

w jednéj godzinie więcéj, niż ty przez całe życie“ (1) Zaczém dostał się książę po raz trzeci w niewolę. Uwolnił go z niéj i tym razem jakiś szczęśliwy przypadek (2). Tak ażardowne koleje wojny, skłaniają nawet wielbicieli „rozsądku“ Kiejstutowego, do poniewolnéj uwagi, że niektóre jego wyprawy „noszą cechę raczéj awanturniczego przedsięwzięcia, niżeli zamiaru pewnego“ (3). Zasługę *zamiaru*, miała zastępować zasługa ścisłego przestrzegania zwyczaju rycerskiego, wymagającego, aby każda zbrojna w kraj nieprzyjacielski wycieczka, była zawsze nieprzyjacielowi uprzednio zapowiedzianą. Nie chwalił zapewne Kiejstutowi téj zasługi tajemniczy w swych planach Olgierd, lecz chwałą mu ją nadzwyczajnie wdzięcznemi słowy wszystkie kroniki krzyżackie, pisząc: „Kiejstut miłował nad wszystko wojnę i prawdę. Ile razy chciał się wyprawiać zbrojno w kraj pruski, zawsze marszałkowi zakonu naprzód oznajmił; a ile razy oznajmił, zawsze niechybnie przybył“ (4). W dalszém zachowywaniu tak kawalerskich zwyczajów, zdarzało się, że niekiedy całe bitwy, całe oblężenia miast wielkich w duchu téj rycerskości, do któréj jeżeli nie cały zakon niemiecki, tedy przynajmniéj pojedyńczy jego członkowie, zwłaszcza w obec tak europejsko-rycerskiego poganina, chcąc nie chcąc przychylać się musieli: przybierały postać ochotniejszych popisów zręczności i odwagi rycerskiéj, wielkich pojedynków rycerskich. I tak np. wśród oblężenia głównéj warowni litewskiéj Kowna, przez ogromną armią krzyżacką, zjawia się Kiejstut z wojskiem pogańskiém na wzgórzach nad warownią i żąda osobistego rozmówienia się z dowódzcą potęgi nieprzyjacielskiéj, samym wielkim mistrzem Winrykiem. Wielki mistrz zezwala i sprowadza z sobą na miejsce rozmowy trzech wojowników litewskich, mających przekonać Kiejstuta o niepodobieństwie utrzymania się grodu. Wtedy po piérwszych powitaniach, rzecze Kiejstut z przekąsem do mistrza niemieckiego: „Dobywasz grodu bez wodza! Gdybym ja był w Kownie, nie wziąłbyś nigdy twierdzy!“ „Dlaczegoż ustąpiłeś z grodu, gdyś nas nadciągających zobaczył?“ zapytał Niemiec. „Ponieważ lud

(1) Wigand wydan. Raczyńskiego 114 i 116.
(2) Voigt Hist. Prus. V. 149. Narbutt Dzieje nar. lit. V. 107.
(3) Narbutt Dzieje narod. litewsk. V. 102. V. 298. Kiejstut „przewyższył wielkością cnót, czynów rycerskich i rozsądkiem swój wiek, wychowanie i rodzeństwo“—Olgierda?
(4) Chron. pruten. w Voigta his Pr. V. 16.

mój pozostałby bez głowy" odeprze Kiejstut. Na co mistrz: „Jeźli chcesz, to weź z sobą tyle ludzi, ile ci potrzeba, i wnijdź do zamku. Mamy bowiem w Bogu nadzieję, iż nie zdołasz obronić Kowna". Natenczas Kiejstut: „Jakże wprowadzę wojsko do zamku, gdy pole dokoła zasiekami i rowami jest otoczone." A wielki mistrz czy to chęcią rycerskiego zapasu rozogniony, czy chcąc samego Kiejstuta w niechybny upadek grodu wciągnąć, oświadczył z coraz wspanialszą gotowością: „Przyrzecz mi, że wnijdziesz bić się ze mną, a każe zasypać rowy i rozebrać zasieki." Czém ośmielony Kiejstut, obrócił się do przybyłych z wielkim mistrzem Litwinów, aby powziąć kilka słów dokładniejszéj wiadomości o stanie obrony zamku. Ci upewnili go o dobrym duchu załogi i o nadziei utrzymania się. Lecz wielki mistrz rozgniewany słowami Kowieńczyków, sprzeciwiającemi się jego przepowiedni blizkiego wzięcia grodu, zerwał rozmowę, żegnając zimno Kiejstuta: „Jeźli *król*" tak Gedyminowiczów nazywali zwykle Krzyżacy „nie masz ze mną nic więcéj do mówienia, tedy ustąp do swojéj straży" (1). Ominioną tu sposobność zmierzenia się z rycerstwem krzyżackiém powetował Kiejstut innemi wnet przygodami; nastąpiła wkrótce inna weselsza dla Kiejstuta rozmowa z braćmi zakonu. Marszałek zakonu, groźnego nazwiska Schindekopf, z polska Łupigłowa, ułożył zjazd z Kiejstutem w Ragnicie. Wraz z marszałkiem, czekał go tam komtur miasta Insterburg. Chciał Kiejstut przybyć na zjazd wespół z jakąś wieścią o wystrojonym Krzyżactwu figlu. Szybkim tedy pochodem stanął w bobliżu grodu Insterburgskiego, i blizki zdobycia samego zamku, zabrał całą stadninę zamkową z pięćdziesięcioma jeńcami krzyżackimi: poczém daléj w drogę do Ragnity pospieszył. Przy zjeździe wystąpili wszyscy Litwini na krzyżackich rumakach. Pod Kiejstutem poznał komtur swego własnego wierzchowca. „Nigdy nie spodziewałem się widzieć króla na tak dzielnym rumaku" rzekł Krzyżak z żalem. A Kiejstut odpowiedział z uśmiechem: „Takieto teraz koleje czasu!" (2) Mimo bolesnych żartów Kiejstuta, szanowało go rycerstwo krzyżackie, wielbiąc jego wierne dochowywanie umów zawartych, jego dbałość o nieposzlakowaną sławę rycerską (3).

(1) Wigand. wyd. Raczyń. 126. Narbutt Dz n. lit. V. 119.
(2) Wigand. wyd. Raczyń. 168. 170.
(3) Voigt Hist. Pr. V. 16. Chron. Prut. V. 369: „weil Kynstutte sich keinen bösen namen erwerben wollte".

I Kiejstut nawzajem posuwał swoje zamiłowanie rycerskości do tego stopnia, że „poznawszy którego z braci krzyżackich człekiem rycerskim i śmiałym, kochał go nadzwyczajnie“ (1). Doznawali Krzyżacy niejednokrotnie, osobliwie w niedoli, błogich skutków téj szlachetności. Oto np. zdobyli Litwini niespodzianym napadem nocnym krzyżacki zámek Johannisburg. Przy świetle pochodni, każe Kiejstut całą pojmaną załogę w ciasny spędzić dziedziniec. Litwa jęła krzyczéć, aby wszystkich jeńców w pień wyciąć. Wtedy dowódzca zamku, komtur Otto, sędziwy starzec o drewnianéj nodze, wystąpił przed Kiejstuta, prosząc o śmierć dla siebie, łaskę dla jeńców. Łatwo wzruszony Kiejstut podał mu rękę przyjaźni, mówiąc: „Tobie i czterem towarzyszom, których sam z pomiędzy jeńców wybierzesz, wolno w każdéj chwili wyjście z Johannisburga: reszta jeńców pozostanie w niewoli przy życiu“ (2). Innego razu, krwawy ciemiężca Litwy, komtur Surbach, popadł w jasyr litewski. Ucieszone pogaństwo, postanowiło zemścić się śmiertelnie na niszczycielu ziem swoich; kapłani litewscy domagali się spalenia go na stosie ofiarnym. Kiejstut oparł się stanowczo ludowi i kapłanom. Surbach został przy życiu (3). Starcy litewscy niepomyślnie sobie o téj przychylnéj Niemcom rycerskości księcia swego wróżyli, lecz Krzyżactwo w dwójnasób za to wdzięcznem mu było. A czasem, skoro np. własny syn Kiejstuta w ręce Krzyżakom się dostał, krzyżaccy komturowie wywzajemniając doznaną wprzódy łaskę książęcą, odsyłali ojcu syna bez żądania okupu (4). Bywały wreszcie chwile, w których wojowani właśnie przydłuższym oblężniczym bojem Litwini, podczas krótkiego między jednym a drugim szturmem rozejmu, jak np. przy oblężeniu Wilna, podejmowali u siebie na zamku sutą ucztą krzyżackich dostojników i zagranicznych gości krzyżowych (5). Za co krzyżackie rycerstwo przyrzekało swym gospodarzom, tę lub ową poszczególnie drogą Litwinom część miasta, ochronić od spustoszenia (6). Gdy zaś po zawarciu kilkumiesięcznego spokoju, żegnała się Litwa z Krzyżactwem; odchodził Kiejstut zwykle z oném wdzię-

(1) Chron prut. w Voigta His. Pr. V. 16.
(2) Narbutt, His. n. lit. V. 147. 148.
(3) Wigand. Raczyń. 240. Voigt V. 291. Narbutt V. 250.
(4) Voigt his. Pr. V. 95.
(5) (6) Voigt his. Pr. V. 274. „Den noch übrigen Theil von Wilna verschonen“. Narbutt. Dz. n. lit. V. 222.

cznie od Krzyżaków przyjętém ostrzeżeniem: „Na przyszły rok, zimową porą, oczekujcie mię w Prusach“. Na co marszałek zakonu odpowiadał: „Będziesz nam miłym gościem i znajdziesz krwawego guza w przyjęciu“ (1). Znalazł go sam marszałek, poległy w przyszłorocznym napadzie Litwy, a Kiejstut wraz z Olgierdem długo jeszcze nękali Krzyżaków.

Tak europejsko-rycerskiemi rysami świeci wojenne życie naszych Gedyminowiczów. Nie ograniczał się przecież na nich cały jego charakter; aby go w zupełności zrozumieć, należy wziąć na oko niektóre inne względy, mianowicie naiwną pierwiastkowość narodu, lesistość ziemi. Podobno okoliczności ubarwiły ów zbrojny żywot Litwy wielą znamionami pustyni, przypominającemi podobnież wojenne niegdyś życie krajowców indyjskich w lasach północnéj Ameryki, otoczonych od najezdzców europejskich, albo klaanowe obyczaje gór szkockich. Zgodnie z naturą kraju swojego, są wszyscy książęta litewscy namiętnemi łowcami. Niedawne ich stolice, Wilno, i Troki, to pierwotnie koczowiska myśliwskie, od *wilka*, sennych marzeń Gedyminowych, od *trok* myśliwskich nazwane. Toż i Olgierd i Kiejstut wyprawy wojenne przeplatali długiemi i tłumnemi wyprawami łowczemi. Czasem wojna i łowy zmieszały się pospołu (2). Nieraz z myśliwskim dworem po lasach ciągnąc, postrzegali książęta nadbiegającego ku sobie tura: był to znak, że wojska krzyżackie wkroczyły w pograniczne puszcze litewskie, płosząc zwierza przed sobą. „Zbrojni wyruszyli w pole!“ wołał natenczas Kiejstut (3), a tabor myśliwski zamieniał się natychmiast w obóz wojenny, i zamiast na zwierza, polowano na „białe płaszcze“. Nietrudno też pojąć, że lesisty plac walki zmuszał do myśliwskiego trybu walczenia, do myśliwskich fortelów. Nie mogąc uderzać w lesię przemocą licznych zastępów, skoncentrowanych sił, starano się wynagradzać to niespodziannością napadu, podstępem zwabienia nieprzyjaciół w zasadzkę. W takim razie sztuka wojenna polegała w zręczności ukrycia śladów pochodu, zatajenia poszlak obozowania. Niezręcznie bo-

(1) Wigand. Raczyń. 180. „conteret caput tuum“. Narbutt V. 179.

(2) Narbutt, Dz. n. lit. V, 98.

(3) Wigand Raczyński 168, „qui (taurus silvestris) festinavit ad exercitum in furore: quem cum Kynstut vidisset dixit bayoribus suis: in campo sunt armati et celeriter se armat cum suis“,

wiem spłoszony zwierz, słup dymu wznoszący się na niebie z niebacznie w obozie roznieconego ogniska, ostrzegały nieprzyjaciela i niweczyły wyprawę. Z téj przyczyny tłumne roty krzyżackie, nawykłe do szerokiego pochodu, po którym w nietkniętym dotąd nogą niemiecką borze litewskim, szeroki gościniec wieloletnim zostawał śladem (1); wolały otwartą plądrować ziemię, zkąd znowuż wszelka ludność w bory przed niemi uchodziła. Przeciwnie, Litwini posunęli swoję biegłość w tym leśnym rodzaju wojny aż do wyuczenia się fortelu obozowania przy ogniskach, nie wydających żadnego dymu, tojest: ogniskach z kory dębowéj (2). Leśnych zaś plemion trybem wojując, wyrażano się także obrazowym językiem łowców: „Po krasnéj wiośnie, po cichém lecie wyprawię się do twojéj ziemi“ przekazuje Olgierdowi przez posła, jeden z sąsiednich książąt. A Olgierd na to dobył krzesiwa z wojłoka, i skrzesawszy ognia dał zapaloną hubkę posłowi, mówiąc: „I u nas w Litwie jest ogień, a jeżli mi pan twój grozi, że przyjdzie w ziemię moją po krasnéj wiośnie, po cichém lecie; tedy powiédz mu, że ja nieczekając jesieni, odwidzę go na Wielkanoc, i pocałuję go jajkiem święconém: na wskroś tarczy sulicą“ (3). Któreto wyprawę wojowniczą, gdy tak leśno-dyplomatycznym sposobem zapowiedzianą, również leśno-rycerskim trybem dokonaną została, sławiły po śmierci bohatera, przy biesiadzie książęcéj, w świąteczném zebraniu ludu, zwyczajem bardów celtyckich, śpiewy wajdelotów litewskich. Brzmiały one na cześć każdego z dawnych wodzów narodu, każdego wielkiego czynu, jak np. opłakiwanego teraz właśnie za czasów Olgierdowych zburzenia Kowna, o którém jeszcze w niedawnych latach lud litewski starożytne powtarzał pieśni (4), Nawet na dwory zagraniczne, do stołu uczt krzyżackich, cisnęła się oklasków chciwa rzesza piewców litewskich, wstępując śmiało w zawody z niemieckiemi rymownikami. „Nie rozumieliśmy ubogiego Prusaka!“ odpowiadali wtedy zazwyczaj

(1) Długosz Hist X, 204.

(2) Długosz Hist. X, 204, „ab inde que solitum est observari, ut excubatores nonnisi ex corticibus quercinis, quae fumum nondant nec prodi possint focos extruant“.

(3) Kronika lit. Bychowca str. 21. Narbutt: Dz. n. l. V 155.

(4) Kojałowicz 329, „quorum (obrońców Kowna) mortem nunc etiam vulgaribus naeniis populus decantat“. Narbutt: Dz. n. lit. V, 126.

biesiadnicy niemieccy bardowi litewskiemu, a z szumnie obrazowego stylu pieśni litewskiéj, przyrównywającéj obecnego mistrza wielkiego do świętego praojca Litwinów, Wejdawuta, podobnież obrazową szydząc nagrodą, dziękował mistrz wielki śpiewakowi, za próżną znaczenia dla Niemców pieśń litewską, misą próżnych orzechów (1).

A jak pieśń litewska, tak i oręż litewski zaciekał się szeroko w obce granice: od morza Baltyckiego, po morze Czarne. Jestto także jedną z charakterystycznych cech obecnego młodzieńczo-rycerskiego życia Gedyminowiczów. Po każdéj stanowczéj rozprawie w jednéj stronie, widzimy ich w przeciwną uderzających stronę. Zwłaszcza złowrogie niepomyślności w boju z jednym nieprzyjacielem, wetują książęta litewscy natychmiast najechaniem drugiego. Poniesioną od nadbałtyckich Krzyżaków klęskę, wynagradza zwykle napad na Krym tatarski; niedostateczną wyprawę do bram Moskwy, wetuje złupienie Polski. Działo się to poniekąd skutkiem saméj gwałtowności nacisku potęg ościennych, wstrząsających Litwą to w tę, to w ową stronę, lecz oraz świadczyło to głośno o gotowéj do wszechstronnego oporu krzepkości rządu książąt litewskich. Ogólnym zaś wynikiem wszelkich przytoczonych tu znamion ówczesnéj Litwy, sprężystego samowładztwa jéj książąt, ich głównie na zewnątrz skierowanéj działalności, rozumu i bohaterstwa naszych Gedyminowiczów, wreszcie naiwnéj młodzieńczości narodu, słodzącéj sobie życie poetyczną fantazyą:—okryła się Litwa w połowie panowania Olgierda i Kiejstuta, niepospolitéj potęgi i chwały blaskiem. Tak zewnętrzna niepodległość narodu, jako téż dusza narodu, narodowość, zdawały się tryumfować. Zewnątrz każdy zamach sąsiedniego nieprzyjaciela, bywał odpierany równie groźnym zamachem. Nie mając w czasie śmierci Gedymina żadnéj prawie piędzi ziemi litewskiéj w swym ręku (2), nie postąpili Krzyżacy w przeciągu dalszych dwudziestu lat głębiéj w ziemię litewską, jak po Kowno. Podsuwających się od zachodu ku Dniestru i Bugowi Polakom, wydarto szczęśliwie Wołyń. Na wschodzie ku Dnieprowi, wiodło się jeszcze pomyślniéj: „Prowincye ruskie przechodziły jedna po drugiéj pod panowanie Wielkiego Księcia Olgierda.... Smoleńskie księztwo, Brańsk

(1) Voigt: Gesch. Mar. 146.
(2) Narbutt: Dz. n. lit. IV 619.

i cała Siewierszczyzna już należały do Litwy. Rżew, otrzymał książęcia z ramienia Olgierda; toż samo Twer i Mozajsk. Andrzéj Olgierdowicz książę połocki.... karcił Pskowian. Nowogród Wielki w upokorzeniu szanował przyjaźń z Litwą. Mścisław i Rżew ulegały jéj władzy (1)". Posięściem opustoszałego Podola, założyli książęta litewscy w téj południowéj stronie obóz nieustannych walk z Tatarami, najeżdżanemi po dwakroć w głębi Krymu. Jednocześnie wtedy Litwini z Kiejstutem nad Bałtykiem, a z Olgierdem u wybrzeży Euxynu (2), w dwóch przeciwnych morzach rumaki swoje pławili, a pozostała w domu rodzina strzegła troskliwie Zniczowego ognia narodowości. Duchowne przeciwko niéj wyprawy greckiego i łacińskiego kapłaństwa, rozbijały się długo o niechęć ludu. Gorliwi missyonarze Franciszkańscy, przypłacali swoje apostolstwo męczeńską śmiercią. Siedm ofiar Franciszkańskich zamordowanych w Wilnie (3), siedm w Turzych górach (4), trzy w Lidzie (5), miały krwią swoją użyźnić bujność pogaństwa. Jakoż kwitnęło ono w istocie, gdy wyliczając umęczonych Franciszkanów, nie mamy do wyliczenia żadnych nowo-chrzczeńców Franciszkańskich. Szczęśliwsze nieco usiłowania duchowieństwa greckiego, napływającego z dworem ruskich małżonek Gedyminowiczów, i opieką księżniczek ochranianego, miały wprawdzie mniéj srogie dla apostołów, lecz tém krwawsze, jakeśmy już widzieli, dla nowochrzczeńców następstwa (6). Światło pogańskiego Żnicza jaśniało równie szeroko, jak świetność oręża litewskiego.

W oboim jednakże blasku było więcéj złudy, niż prawdy. Obok pozornych cech potęgi i czerstwości, rażą znamiona upadku. Wszelka chwała oręża, okazuje się niedostateczną okrasą moralnego rozstroju; objawia się on najjaskrawiéj w samém rozerwaniu rodziny Gedyminowiczów. Podczas gdy dwaj synowie Olgi, Olgierd i Kiejstut, narodowości bronili; nieskończenie liczniejsza część potomków Gedymina, wiedziona ową małoletnią „trzpiotowatością" plemienia, niedającą zjędrnieć duchowi pogaństwa litewskiego, zapierała się z nadzwyczajną łatwością swojéj narodowości, zamieniając ją obojętnie za jakikolwiek

(1) Narbutt: V, 76. 77.
(2) Tamże V, 136, r. 1363. Kiejstut przeciw Krzyżakom, Olgierd do Krymu.
(3) (4) (5) Tamże V, 159, 160, Dod. str. 2.
(6) Tamże V, Dodat. X, str 41.

strój cudzoziemczy. I oto ów strącony z wielko-książęcego tronu, najmłodszy Gedyminowicz, Jawnuta, uciekłszy do Moskwy, przybiera tam wiarę grecką (1). Tąż samą drogą porzuca litewszczyznę drugi Gedyminowicz, Narymund książę piński (2). Odstępstwo synów Gedyminowych powtarza się nawet pomiędzy synami Olgierdowemi. Płochość plemienna, wraz z tajnemi poduszczeniami Krzyżaków, poburzają Korrygiełła i Buttawa przeciwko ojcu. Już raz za sprawą matki, piérwszéj małżonki Olgierdowéj, ruskiéj księżniczki Maryi, pod imionami Konstantyna i Borysa w ruski obrządek ochrzczeni, zbiegają oni po nowy rzymski chrzest do Krzyżaków, którzy ich z wielką uroczystością, w obec mnogich gości książęcych i biskupów krajowych, w łacińską stroją sukienkę (3). Ale i to nie mogło jeszcze uspokoić ich pierzchliwości. Mając zrazu ochotę wstąpić do zakonu niemieckiego, opuszczają obaj wnet Prusy. Jeden, z litewska Buttaw, z grecka Borys, z niemiecka jeszcze inaczéj zwany, udaje się do Niemiec na dwór cesarza Karola; drugi Korrygiełło-Konstantyn, powraca nazad do Litwy, i odzyskuje łaskę ojca Olgierda (4). Za to odrywa się znowuż od rodziny Olgierdowicz Andrzéj-Wingolt, książę na Połocku i Pskowie, zkąd z powodu waśni pomiędzy braćmi, wydalił się do Moskwy w służbę Wielkiego Księcia Dymitra (5). Inni potomkowie Gedymina, jak np. Teodor Koryatowicz książę Munkaczu, tułają się za górami, w ziemi węgierskiéj (6). Inni, jak rodzony brat jego, Alexander, goszczą radzi w Krakowie (7). W dalszém poszukiwaniu śladów téj rodzinnéj rozsypki, ograniczającém się na niektóre tylko wypadki, znachodzimy nawet imiona takich książąt litewskich, których bliższe oznaczenie na zawsze zagadką pozostanie. Za wszelką wiadomość o podobnych rozbitkach musi wystarczyć wzmianka: że tam w Niemczech, pomiędzy wymienionemi na dyplomatach cesarskich świadkami, podpisał się jakiś litewski

(1) (2) Narbutt: V, 30. 31.

(3) Voigt. Hist. Pr. V, 176. Narbutt: Dz. n. lit. V, 145. 146. Zachodzi niejaka wątpliwość, czy ci przechrzczeńcy w rzeczy saméj synami Olgierda byli.

(4) Narbutt V, 151.

(5) Tamże V, 244.

(6) Szirmaj: Notit. topogr. com. Zepl. 52. 251. 355. Katona Hist. crit. R. H.

(7) Archid. Gniezn. str. 103. Narbutt Dz. nar lit. V 194.

książę Henryk (1), owdzie w Moskwie, jakiś Gedyminowicz Ostéj broni stolicy od Tatarów, i wyprawiony wreszcie do obozu hana Taktamysza, ginie pod zdrajczemi ciosami barbarzyńców. Za książąt zaś przykładem, rozchodził się i gmin w różne strony, nawet w ziemie krzyżackie, gdzie pojedynczych osadników litewskich, jako przeniewierców ojczystéj sprawie, gościnnie przyjmowano (2). Co wszystko będąc skutkiem wewnętrznego rozchwiania, bywało oraz przyczyną coraz powszechniejszéj chwiejności. Doznawali jéj wpływu nawet najżarliwsi obrońcy domowéj wiary, kapłani pogaństwa litewskiego. W kilka lat po oném uraczeniu uszu krzyżackich niezrozumiałą pieśnią litewską, rozpoczętą przez zysko-lubnego śpiewaka pogańskiego himnem ku czci praojca Wejdawuta, a zakończoną panegiryczném przyrównaniem wielkiego mistrza do tegoż Wejdawuta i gwiazdy wiodącéj trzech króli do Betlejem (3); jakiś świętobliwiec pogański, kapłan litewski, służył temuż samemu wielkiemu mistrzowi w Litwie za przewodnika, przeprowadzającego wojska krzyżackie od sioła do sioła, od kryjówki do kryjówki, ze zgubą tysięcy wymordowanych albo w niewolę zabranych ziomków (4). W końcu zaczęły o samych Gedyminowiczach, Olgierdzie i Kiejstucie krążyć pogłoski, że zwątpili w wierze ojczystéj i chcą chrzest przyjąć. Mówiono tak o starszym bracie w kraju krzyżackim (5), o młodszym w Polsce (6). Papiéż Klemens VI pisał już pochlebne w téj mierze listy do zatwardziałego poganina Kiejstuta. Spodziewający się tegoż podobnie cesarz Karol IV, nietylko apostolskie do Litwy wyprawił poselstwo, zapraszające książąt na głośny chrzest do Wrocławia; lecz i sam już pełen radosnéj niecierpliwości, stanął z całym dworem w Wrocławiu (roku 1358) czekając ich przybycia. Gedyminowicze mieli oświadczyć, iż daliby się ochrzcić, gdyby Krzyżacy zwrócili Litwie niektóre zdawna zagarnięte krainy; ale ponieważ Niemcy uczynić tego nie chcieli, przeto odrzekł im Olgierd: „Teraz jasno widzę, że wam nie o wiarę moję, jak powiadacie, lecz o pienią-

(1) Dumont Corps. dipl. III część I str. 71. 79. Voigt His. Pr. V, 181. Narbutt. V, 151.
(2) Voigt. His. Pr. V, 354.
(3) Voigt Gesch. Mar. 146.
(4) Wigand, Raczyń. 138. 140. Narbutt: Dz. n. litew. V, 129.
(5) Voigt His. Pr. V, 127. 128.
(6) Rajnald ad a. 1349. nr. 24.

dze chodzi, i dlatego pozostanę wierny pogaństwu" (1). Poselstwo cesarskie wróciło wyśmiane do Niemiec (2). Cesarz Karol IV z bolem serca opuścił Wrocław.

Atoli śmiéch książąt Litwy nie był zupełnie szczerym; acz nie nad Odrą, groził im niechybny Wrocław gdzieindziéj: upewniała o tém niewątpliwie dalsza, coraz smutniejsza koléj wypadków. Jakkolwiek bowiem Krzyżacy, w chęci najdłuższego przeciągania wojny litewskiéj, potrzebnéj im, jako głównéj podstawy bytu, wzmagającego się tymczasem innemi bogatszemi łupami, przyzwalali bez trudności na osiągnięty teraz przez Litwę stopień potęgi pozornéj; owszem, sami nadzieją wspólnego z Litwą przeciw Polsce przymierza (3), bez trwogi ją mnożyli: zanosiło się przecież na coraz cięższe przygnębienie Litwy przez zakon. Zmuszało Krzyżaków do tego nie bojaźń złudnéj potęgi litewskiéj, lecz obawa rozgłaszanego już przyjęcia chrztu przez Litwę, po którym zakon tracił wszelką nadzieję dalszych zaborów nad Niemnem. Stosownie więc do danego Olgierdowi przed chwilą oświadczenia, iż zabrane pogańskiéj Litwie ziemie nie będą po chrzcie zwrócone: należało jedną ręką powściągać różnemi dyplomacyi ówczesnéj fortelami, litewską łatwość i skłonność do przyjęcia chrześciaństwa; drugą zaś szerzyć jeszcze przed chrztem dalsze zabory. Ztąd, podczas gdy piérwsza kilkunastoletnia połowa panowania Gedyminowiczów, aż do spodziewanego zjazdu w Wrocławiu, pozorem potęgi świeci; dalsze lata, lata starzejących się już braci książęcych, sześćdziesiątym już rokiem życia strudzonych, srożą się coraz przemocniéj temi klęskami, które w końcu zniewalają Litwę przez one zaprosiny wielkiego mistrza na zjazd poufny, przypaść jednocześnie z Polską do kolan Niemców krzyżackich.

I tak, zaraz we trzy lata po niedoszłych chrzcinach wrocławskich, porażają Krzyżacy naszych braci książęcych, stanowczém wyłomaniem sobie niezdobytéj dotąd bramy do Litwy, zburzeniem Kowna. Pod naczelnictwem samego wielkiego mi-

(1) „Quod non meam fidem sed pecuniam appetunt, et ideo perseverabo in paganismo". Chron. Vitodurani w Eccardi: Corpus hist. m. etc. I. 1874.

(2) Voigt. His. Pr. V. 128. Narbutt. Dz. n l. V. 90.

(3) Nadmienia o nim list papieża Innocentego VI. Voigt. Hist. Pr. V. 121. Narbutt Dz. V. 78.

strza Winryka, przy pomocy niezliczonych gości Krzyżowych przybyłych z wszystkich krain niemieckich: z Włoch, Anglii, Danii; po pięciotygodniowém oblężeniu, w czasie którego męztwo kilkutysięcznéj załogi pogańskiéj, musiało być zwalczane wyczerpaniem wszelkich środków oblężniczych: wzięto szturmem ostatnie szczątki zamku kowieńskiego, w samą Wielką Sobotę. Kilka tysięcy schronionych w zamku pogan, (z trzech albo z czterech tysięcy rycerstwa litewskiego, tylko trzydziestu sześciu wzięto w niewolę) spłonęło ku radości chrześcian Wielkanocną ofiarą w ogniu walącego się grodu. W Wielkanocną Niedzielę, towarzyszące oblężeniu duchowieństwo krzyżackie, pod przewodem biskupa, odprawiło na dymiących się jeszcze zgliszczach solenne nabożeństwo dziękczynne. Całe zwycięzkie wojsko chrześciańskie przyjęło Sakrament Ciała i Krwi Pańskiéj, a po okolicy, kędy pszczoła w wonnych lipowych gajach najsłodszy w świecie miód zbiera (1), zabrzmiała z wiosennym wiatrem tryumfalna pieśń Niemców: „Chrystus zmartwychwstał! cieszmy się bracia w Bogu, że przytarł poganom rogu! Kyrie elejson“ (2)! Kiejstut niezdolny z swą małą garstką stawić oporu tak ogromnemu wojsku nieprzyjacielskiemu, musiał z okolicznych gór przypatrywać się bezczynnie klęsce krwawéj. Nie podarzyło mu się nawet użyć ofiarowanéj przez wielkiego mistrza, jakeśmy to powyżéj czytali, obrony Kowna, za sposobność do rycerskiego, pojedynkowego sprobowania się z Krzyżakami w walce nazbyt nierównéj. Krzyżacy zaś kowieńskim wyłomem raz po raz w przyszłym roku głąb' Litwy najeżdżając, za sprawą onego zdrajczego kapłana litewskiego plądrują i burzą najskrytsze schronienia litewskie; a radzi zawsze uwikłać także Polskę w pęta podobnéj niewoli, nawiedzają ogniem i mieczem sąsiednią ziemię mazowieckiego książęcia Ziemowita, któremu spaleniem zamku Nowogrodu i szeroką łupieżą, niezmierne czynią szkody (3). Wonczasto Wielki Książę Olgierd, wzmiankowanym przez nas zwyczajem szukania po klęsce północnéj odwetu na południu, porucza jaką taką obronę Litwy od Niemców

(1) Czacki Dzieła I. 292.

(2) Wigand. Raczyński 130. „Ceperunt letanter cantare hoc laudabile carmen in vulgari: Cristus surrexit, concludentes in vulgari: Nos omnes volumus letari, pagani sunt in omni pena. Kirie“. Voigt V. 159. Narbutt V. 108. 124.

(3) Voigt. Hist. Prus V. 166. Narbutt. V. 131.

młodszemu bratu Kiejstutowi, a sam na Tatary do Krymu rusza (1). Zbogaconego łupami chersońskiemi, prowadzi niebawem nowa droga do Moskwy po skruszenie kopii rycerskiéj o jéj bramę. Wielki Książę moskiewski Dymitr, zaniosłszy w cerkwi kremlińskiéj modły do nieba za pomyślność swéj broni, będącéj właśnie nad rzeką Trostną w zapasach z bronią litewską, ujrzał za wyjściem z cerkwi chorągwie litewskie powiewające już na poblizkiém wzgórzu nad Moskwą. Ustąpiły one ztamtąd dopiéro po udaniu się Wielkiego Książęcia Dymitra z prośbą o pokój i pokłonem pokory do obozu litewskiego, rozłożonego na onéj górze, która odtąd otrzymała nazwę Pokłonna (2). Gdy po złożeniu darów, umówieniu warunków pokoju i przyjaznéj biesiadzie, Wielki Książę moskiewski miał już żegnać zwycięzcę, rzecze mu uczeń rycerskości zachodniéj Olgierd: „Wielki kniaziu Dymitrze Iwanowiczu! Lubo podałem ci rękę przyjazną, nie ustąpię przecież pierwéj z pod Moskwy, aż póki nie dotrzymam słowa mojego i nie skruszę kopii o bramę Moskwy, ku pamięci wiekom potomnym, że Wielki Kniaź litewski, żmudzki i ruski, Olgierd Gedyminowicz, skruszył kopią o ścianę stolicy twojéj". I kazał podać konia i pojechali obaj Wielcy Książęta ku miastu. A zbliżywszy się do bramy, wziął Olgierd kopią z rąk giermka, wypuścił konia w pęd i strzaskał ją o mur miejski. Żegnając zaś Wielkiego Księcia Dymitra, rzekł rycerski Gedyminowicz: „Pomnij, że kopia litewska skruszyła się o mur Moskwy (3)".

Temi postronnemi wyprawy zasilał się wprawdzie skarbiec i rosła sława książęcia, alić oto Krzyżacy straszni Litwie gdy chcą, nowym wkrótce uderzają w nią gromem. Padł on teraz na Gedyminowiczów w bitwie nad rzeką Rudawą, w siedm lat po wzięciu Kowna, na wiosnę roku 1370. Poniesiona tam strata kilku tysięcy litewskiego rycerstwa, dotkliwie znów wycieńczyła siłę narodu (4). Krzyżactwu zaś, szeroko po całéj

(1) Narbutt V. 135.
(2) Narbutt. V. 156.
(3) Kronika litewska Bychowca stron. 21, Stryjkowski kron. wyd. Mal. I 12. Narbutt Dzie. nar. lit. V 157. Porównaj słowa francuzkiego rycerza Gilberta de Lannoy, uderzającego w drodze z Polski do Turcyi o bramę miasta Samiette „a la quelle je m'en aloy heurter seulement pour dire: je y ay este". Lelewel. Rozbiór Dzieł. 420.
(4) Voigt. Hist. Prus. V. 220. Narbutt Dz. nar. lit. V. 180, 189.

Europie rozlegający się odgłos tego zwycięztwa przysporzył trójnasób sił. Zwabione tryumfalną wieścią rycerstwo europejskie, tém tłumniéj spieszy zewsząd do Prus. Napróżno więc chwyta się Litwa znowuż zwyczajnego środka odwetu w przeciwnych stronach; napróżno okoliczności tego roku podobnym innostronnym wyprawom, liczniejsze niż kiedykolwiek torują drogi. Nietylko bowiem że spór twerskiego księcia Michała, szwagra Olgierdowego, z Wielkim Księciem moskiewskim Dymitrem, wzywa Olgierda jeszcze tegoż samego roku do *Moskwy*, gdzie oprócz sławy rycerskiéj, oręż litewski niewielkie zebrał korzyści (1); lecz zdarzona w tym samym roku śmierć polskiego króla Kazimiérza, ściąga naprzód Kiejstuta i Lubarta, a potém Olgierda z Kiejstutem i Lubartem, także do *Polski* na łup pośmiertny. Ten przypadkiem zgonu Kazimierzowego wywołany najazd Polski, wpłynął niemało na poźniejsze losy naszéj powieści historycznéj; dlatego zależy nam na bliższém obeznaniu się z sprawioną nim Polsce niedolą.

Piérwsza wycieczka obudwóch młodszych braci litewskich w granice lackie, w szczególności w ziemię wołyńską, przyniosła Litwie w zysku dwa zamki w Włodzimierzu: jeden stary drewniany, drugi z niezwykłego w tych ruskich stronach materyału, z cegły, niedawno przez Kazimiérza Wielkiego, z niezmiernym kosztem założony, lecz dopiéro w połowie budowy swojéj będący. Obadwa poddał Litwie opieszały starosta polski Pietrasz. Litwini zburzyli do szczętu niemiły sobie zamek kamienny, zachowując tylko drewniany (2). Drugi przez wszystkich trzech Gedyminowiczów spólnie podjęty napad, rozlał dzicz litewską po niwach Małéjpolski. Były one zwykłą ofiarą Litwy. Podczas gdy Mazowsze, dla spokrewnienia swych książąt z książęty litewskiemi zwyczajnie spokój ze strony Litwy miało; gdy szlachta wielkopolska, dzięki odległości swojego kraju, nie troszczyła się o niebezpieczeństwo litewskie: Małopolska tylą innemi błogosławieństwy szczęśliwa, bolała ciągle na swoję plagę litewską. Zaledwie od czasu zaślubin Kazimiérza Wielkiego z Gedyminówną Aldoną, ucichły nieco te burze wschodnie, aż tu z jego śmiercią miała się wszcząć na nowo dawna niedola. Teraźniejszy jéj nawrót srodze o przyszłości zawró-

(1) Narbutt: Dz. n. l. V. 193.
(2) Archid. Gniez. 105.

żył. Skierowali go wodzowie litewscy na Lublin przez Wisłę ku Sędomirzowi. Wszędzie po drodze szły dwory i zagrody w perzynę, a mieszkańcy, zwłaszcza możni, w niewolę. Za główny jednak cel wyprawy wzięto przesławny klasztor Benedyktyński Świętego Krzyża, leżący o mil kilka na zachód od Sędomirza, na obnażonym szczycie lesistego pogórza, skalistéj Łyséj Góry.

O olbrzymie gruzy jakiejś pogańskiéj starożytności oparty, i ku czci przechowywanego u siebie szczątku krzyża Pańskiego, Świętokrzyzkim nazwany, wieczystym wieńcem mgły i chmur otoczony (1), panował ten klasztor tak swoją niebotyczną wyniosłością, jako też zabobonną grozą starodawnego pogaństwa i urokiem nowoczesnéj świętości, nad całą Małopolską. Litewscy łupiezcy skarbów kościelnych w świątyniach krymskich, zwrócili z świadomością rzeczy ku Łyso-górze swój pochód; gdyż jak na Wschodzie tak i w Polsce, kościoły i klasztory były właściwemi skarbcami kraju. Oprócz zwyczajnych bowiem bogactw kościelnych, oprócz kosztownych naczyń, złotogłowych ornatów, bogatych wotów, drogokruszcowych i klejnotami wysadzanych relikwiarzy, gromadziły się tam jeszcze różne inne dostatki. Toć kościelne i klasztorne skarbce służyły świeckim posiadaczom wieloletnich zbiorów pieniężnych za miejsce najwarowniejszego schowku skarbów (2). Wraz z temi skarbami osiadali często w klasztorze i starzy ich właściciele, kupując sobie testamentowym zapisem swoich pozostałości dożywotne utrzymanie w konwencie i pośmiertny spoczynek w habicie mniszym, w murach klasztornych. Niepoślednią też wagę w rzędzie tych bogactw miały gospodarskie zapasy monasterów i osobisty majątek przełożonych; a w niektórych chwilach roku, podwajały się, potrajały te wszystkie wymienione tutaj dostatki. Działo się to mianowicie w porze głównych świątecznych dni, poźniéj odpustów, przywabiających z najodleglejszych stron tłumy pobożnéj ludności z ofiarami, a oraz wędrownych kupców z rozmaitym towa-

(1) Długosz Hist. I, 32.

(2) Np. Nakielski Miech. z Dług. Lib. benef. o Gniewoszu z Dalewic str. 264. Długosz Hist. XI. 661. o Rytwiańskich.

(3) Voigt His. Prus. VI 648. Szczygielski Tinecia str. 157. „Quicumquae... ad eandem ecclesiam causa devotionis vel *mercimonii* vel cujuspiam rei venerint, 30 dies plena gaudeant libertate“ Nakielski Miech. Constit. Gregor. X. „Cessent in ecclesiis earumque caemeteriis... nundinarum ac fori cujuscumque tumultus“.

rem. Nieodzowna obecność tych ostatnich, zamieniała zwykle wszelkie zgromadzenie świąteczne w jarmark. Jarmarczny zaś charakter zboru, dozwalał przystępu gromadzie niezliczonych onego czasu przemysłowych i próżniaczych włóczęgów, rzezimieszków. Położenie Łyséj Góry u traktu sędomierskiego, głównéj drogi handlowéj między miastami nad-Baltyckiemi a Rusią Czerwoną i morzem Czarném, ściągało w podobnéj porze tém tłumniejszy najróżnorodniejszych przybyszów napływ. I oto podczas gdy zabudowania klasztorne, owe starożytne krużganki o krzyżowych sklepieniach z zawieszonemi u zbiegu żeber sklepieniowych, tarczami herbowemi (1), zapełnione są drużyną możnych gości świątecznych; gdy gmin w powystawianych naprędce szałasach, dokoła góry klasztornéj obozuje; gdy krajowi i zagraniczni kupcy niewymyślnym zwyczajem wieku, w chruścianych budach, albo pod gołém niebem, sprzedaż swoich futrzanych, sukiennych, bursztynowych, korzennych i tym podobnych towarów głoszą: uwija się pomiędzy tłumem tu jakiś z niemiecka, na wzór ulubionego za czasów Kazimierzowych magdeburskiego Sowizrzała (2) rubasznie błaznujący kuglarz, owdzie jakiś z ziemi krzyżackiéj powracający Rusin z tańcującym niedźwiedziem (3), gdzieindziéj wreszcie jakaś z rakuzkich Niemiec wygnana czarownica (4), która w tém ruinném siedlisku starodawnego pogaństwa, przedrzeźniającego się dotąd jakiemiś pogańskich bożków gruzami (5), w téj poźniejszéj stolicy nieznanego teraz jeszcze w Polsce czarownictwa, udzielała żebraczkom polskim potajemnie swoich guseł niemieckich, wiodących u nas poźniéj tyle ofiar pod ów niemieckiém piérwotnie piórem ukuty „młot na czarownice" (6), na stos płomienny. Najwięcéj przecież radowały polską ludność jarmarczną muzyczne popisy różnych grajków i gędźców, towarzyszących niekiedy gęstym

(1) F. M. Sobieszczański: Wiadomości Histor. o Sztuk. pię. w daw. Polsce. I 299.

(2) Till Eulenspiegel. Sowizrzał krotofilny. Maciejowski Polska pod wzgl. obycz. IV. 370.

(3) Voigt. Gesch. Mar. 237.

(4) Fr. Kurz: Öster. u K. Albr. II. Tom II. 364.

(5) Długosz Hist. I 32. Polska starož. II. 307.

(6) „Malleus maleficarum" napisany przez Niemców Jana Nidera i Jakóba Sprengera; drukowany po raz piérwszy w Niemczech, w Kolonii r. 1482.

podówczas starym ślepcom z śpiewaczą gęślą w ręku (1). Niemiecką zaś ludność zachwycał sprośny śpiew tak zwanych rymowników, wywoływanych surowo przez Kazimierza Wielkiego z towarzyskich zgromadzeń mieszczan krakowskich (2). Gędźba jednych dodawała ochoty do pląsów; sprosność drugich do rozpusty i zbytków. Wynikające z tego wszystkiego zamieszka i swawola, dochodziły do tego stopnia, że jeszcze w sto lat poźniéj, tojest w czasach świetlejszych, opat tegoż klasztoru Swiętokrzyzkiego, narzekając na zwykły w porze takich świątecznych jarmarków „niezmierny napływ ludności płci obiéj i powszechną wtedy gędziebną wrzawę trąb, dzwonków, fletni, piszczałek, jako téż innych narzędzi muzycznych; żaląc się na powszechną rozpustę pląsów i tym podobnych krotofil, owszem na mnogie nawet kradzieże, burdy krwawe i inne łotrowstwa i nierządności (3)“: upraszać musiał zwierzchność królewską, aby jarmarki tutejsze do pobliskiego miasteczka Słupia, przeniesiono. Im większy atoli napływ i nierząd, tém powabniejsza dla naszych łupieżców litewskich nadzieja obłowu i łatwość napadu. I możemy sobie wyobrazić, jak bogate w skarbcu kościelnym, u zgromadzonych w klasztorze gości szlachetnych, w kramach i składach kupieckich, wreszcie w różnego stanu jeńcach, zebrano łupy, jak bezbronny w tym świąteczno-jarmarcznym tłumie popłoch panował, gdy nasza Litwa wybierająca pospolicie podobne pory do swych odwiedzin, zwyczajem onéj tajemniczości Olgierdowéj, oskoczyła znienacka Łysą Górę! Obraz takiego napadu litewskiego zbliżał się wielce do znanych obrazów poźniejszéj dziczy krymskiéj. Litewskie kożuchy i wilcze szłyki (4), nie różniły się od baranich kożuchów i kołpaków tatarskich. Łuk, sajdak i troki na jeńców, składały walne uzbrojenie zarówno ordy jak Litwy. Nawet sposób przepła-

(1) Voigt Gesch. Mar. 236.

(2) Proces jur civil. Rkp w bibl. Ossolińskich LV. Przywiléj z r. 1336. „De nuptiis.“

(3) R. 1468 słowa opata: „Populi multitudo sexus utriusque assolet de consuetudine confluere, ubi tubarum, tympanarum, fistularum, aliorumque musicorum generum exercitia adhibentur, corearum caeterorumque jocorum plausus exercentur multa insuper furta, homicidia aliaequae enormitates et desordinationes plerumque commituntur.“ W Łukasza Gołębiowskiego: Panowanie Władysława Jagiełły. II. 182.

(4) Stryjkowski.

wiania się przez rzeki, trzymając się płynącego konia za grzywę, albo za ogon, a odzienie i broń na małéj obok siebie tratewce z sitowia wiozące (1), nadawał przeprawie Litwy przez Wisłę zupełnie tatarską barwę. Obecność trzech najwyższych książąt litewskich, odznaczająca się mnogością wozów, wiozących dwór książęcy, kapłanów, służbę: utrzymywała wprawdzie w zgrai litewskiéj niejaki pozór wojennego pochodu „kupą". Ale i ci książęta, zaniechawszy tu właściwego wojnie krzyżackiéj rynsztunku rycerskiego, a występując w zwyczajnym poźniejszego Olgierdowicza kożuchu albo ferezyi baraniéj (2), opiętéj szeroką tobołą (3), albo pasem rzemiennym, a może tylko jakiém kosztownem świecidłem, jakim dyamentowym guzem, lub złotym sznurem przyozdobionéj; ci książęta w szerokim kołpaku lisim, butach futrzanych i takichże rękawicach (4), nie psuli swoją powierzchownością tatarskiego pozoru całéj wyprawy. Na tatarskie więc podobieństwo plądrując Łysą Górę, zabrała Litwa obfite łupy. Obciążono wozy skarbami kościelnemi i uprowadzonym w niewolę ludem, pomiędzy którym jęczał niejeden szlachetny starzec, płakała niejedna dziéweczka możnego rodu; ze wszystkich jednak skarbów, najznamienitszym była owa bogato w srébro oprawna relikwia Świętego Krzyża, „lackim krzyżem" od litewskich pogan nazwana, od któréj cały klasztor miano otrzymał. Z pomiędzy jeńców wymieniają kroniki starego szlachcica Korobalę (5) i piękną córkę rodu Abdanków (6). Częścią dla dostatecznego już obłowu, częścią dla nadbieżenia po-

(1) Narbutt: Dz n l. V 348.

(2) Długosz Hist XI 659.

(3) W tłumaczeniu Statutu Wiślickiego. J L. pom. 52.

(4) Wszystkie te części ubrania bywają wzmiankowane w ówczesnych spisach darów książęcych, między innemi w Voigta Hist. Prus. i Marienb.

(5) Jestto zapewne jakieś ortograficzne spotworzenie właściwéj nazwy, trudne do sprostowania.

(6) Kronika litewska Bych str. 28. Narbutt Dz. n. lit. V. 349. Wiążąca się z temi jeńcami legenda o powróceniu zrabowanéj relikwii Świętego Krzyża, jest w polsko i rusko-litewskich źródłach różnie opowiedziana Polskie, (Dług. His. X. 4) odnoszą ją do roku 1370; litewskie, (Kron. lit. Narbutta V 349) do roku 1384. Nie mogąc przypuścić, aby relikwia dwa razy w obudwóch tych latach grabieży uległa, ile że źródła polskie byłyby o tém niewątpliwie wiadomość zachowały: musimy wybrać jednę z obudwóch dat; a ponieważ w tym wyborze dokładniejsza chronolo-

głoski, że szlachta małopolska zbrojno przeciwko Litwie nadciąga, zwróciły się zastępy łupiezkie w drogę do domu. Małéjpolsce pozostała tylko żałość poniesionéj straty, i świéżo rozbudzona obawa dalszéj plagi litewskiéj; Litwę zaś zachęciły korzyści tego napadu na Polskę tak żywo do nowéj wkrótce wyprawy, że już w lat kilka, roku 1376 ułożono zamiar powtórnego napadu.

Przewodniczyli tym razem dwaj młodsi Gedyminowicze, Kiejstut trocki, i Lubart łucki. Wielki Książę Olgierd, już blizko 80-letni starzec, pozostał w domu. Zamiast niego, miało młodsze pokolenie książęce zaprawiać się pod wodzą starego „pogromcy chrześcian (1)“ Kiejstuta, do boju w téj wyprawie. Tą młodą nadzieją Litwy byli synowie Olgierda i Kiejstuta: Jagiełło i Witołd, na wzór ojców swoich żywą z sobą zespoleni przyjaźnią. Jako piąty towarzysz wyprawy, przyłączył się trzeci wnuk Gedymina: Narymuntowicz Jerzy książę na Bełzie. Głośne przygotowania do wyprawy doszły wcześnie do uszu przelęknionych od lat pięciu i ciągle nadsłuchujących Małopolan. Atoli wewnętrzne spory odbywającego się teraz właśnie społecznego przeobrażenia Polski po świéżym zjeździe koszyckim, nie dozwoliły pospieszyć z odporem. Nim się jeszcze dostatecznie obwarowano, wkradli się książęta litewscy w granice polskie. Tajne pochody nocą przy bladém świetle księżyca, a ukrywanie się we dnie śród bagnisk i bezdrożów leśnych (2), zaprowadziły ich w początku listopada aż ponad San; zkąd kilką szlakami po nadwiślańskiéj rozlawszy się krainie, grasowała Litwa powszędy ogniem, nożem i trokiem. Aż po Tarnów płonęły stare modrzewiowe kościołki, mordowano księży łacińskich, łupiono dwory. Dworska i sielska ludność szła w jasyr, a kto się bronił, ginął (3). Niewymowny popłoch ogarnął Małopolan. Ów synowiec arcybiskupa gnieźnieńskiego Pietrasz, pan z Baranowa, z żoną i narodzoném niemowlęciem na koń wskoczywszy, ucieka wpław

giczność źródeł polskich, niezaprzeczone przed niedokładnością ruskich źródeł w tym względzie ma piérwszeństwo; przeto decydując się na jednę tylko datę, musieliśmy także zdecydować się na datę polską, to jest rok 1370.

(1) „Validissimus christianorum impugnator“ Archid. Gniez. 103. (2) Długosz. Hist. X, 32. (3) Archid. Gnieź. 117.

przez Wisłę. Owa owdowiała, „pani Wiślicka“, dworno i stroj no w odwiedziny do królowéj Elżbiety jadąca, odbiega w śmiertelnéj trwodze cugów i służby, i napół żywa, promu na Wiśle dopada (1). Wyruszyły wreszcie hufce uzbrojonéj szlachty ku odporowi; lecz i to nie przyniosło pomocy, bo rozbójnicza Litwa unikała wszelkiego z nimi spotkania, chroniąc się co chwila z porwanym plonem w niedostępne rycerstwu kryjówki; a po oddaleniu się rycerstwa, znowuż z nich po świéży plon wypadając (2). Takim sposobem spustoszono całą krainę miedzy Sanem a Wisłą. Szerokie jéj zgliszcza litewskie, nakazywały Małopolanom myśléć o koniecznem zabezpieczeniu się nadal. Ale cóż miało ich ubezpieczyć? Zdawało się Małopolanom, że dokaże tego przyszłoroczna wyprawa Ludwika, wróżąca tém groźniejsze przytarcie Litwy, ile że król Ludwik podejmował ją jednocześnie, a prawdopodobnie i w porozumieniu z potrójnym tegoż samego roku napadem Niemców krzyżackich na Litwę, tojest: dwukrotnym najazdem wielkiego mistrza krzyżackiego na Wilno, a trzecim najazdem mistrza inflanckiego na Żmudź (3). Z nadzwyczajną tedy ochotą pospieszyła szlachta małopolska pod sztandary króla Ludwika na wojnę z Litwą; lecz pokładane w królu nadzieje, srodze Polskę złudziły. Głównym skutkiem jego wyprawy litewskiéj ujrzała ona, jak wiemy, wydarcie sobie Rusi Czerwonéj, wcielonéj do państwa węgierskiego. Wspólném zaś z Krzyżakami uderzeniem na Litwę, dopomagali Polacy właściwie zakonowi, tojest: dopomagali własnemu głównemu wrogowi, głównemu z innéj strony niebezpieczeństwu. Czego przecież nie rozumieli Małopolanie, gdyż jak Wielkopolanie, oddaleni od Litwy, nie troszczyli się o napady litewskie; tak Małopolskę nie będącą w bezpośredniém zetknięciu z krzyżacko-niemieckiém niebezpieczeństwem, znamy dość przychylną zniemczałemu dworowi, cudzoziemczyznie. Jakoż nic wzdragają się Małopolanie wojennéj teraz współki z zakonem, a wdzięczni za to Krzyżacy, korzystając z obojętności Wielkopolan o Litwę, a Małopolan o Niemczyznę, przywiódłszy naprzód Kazimierzową Polskę nad przepaść, wtrącają obecnie Litwę w zgubę podobną.

(Dokończenie nastąpi).

(1) Tamże. 117. (2) Dług. Hist X. 32, 33. Narbutt: Dz. n. l. V. 219. (3) Narbutt Dz. n. l. V. 220. 228. 231.

ŻYCIE DOMOWE

JADWIGI I JAGIEŁŁY.

Z REGESTRÓW SKARBOWYCH Z LAT 1388 — 1417,

PRZEDSTAWIONE PRZEZ

Alexandra Przezdziechiego.

(Ciąg dalszy).

Rejestra nasze skarbowe przerwane są w końcu maja 1390 r. za powrotem królowéj Jadwigi z wyprawy na Ruś, a w czasie szczęśliwéj wyprawy Jagiełły na Litwę przeciw zbuntowanemu i sprzymierzonemu z Krzyżakami Witoldowi, gdy po zdobyciu Brześcia i Grodna król do Krakowa powrócił. Koniec roku był mniéj pomyślny dla Jagiełły; Wilno oblężone przez Witolda i Krzyżaków obroniło się wprawdzie, ale dwóch braci królewskich: *Korygiellę* czyli Kazimierza, i *Narymunda* okrutnie pozabijał nieprzyjaciel, ledwie z granic litewskich przez Jagiełłę na czele hufców polskich odparty. Wtedy król widząc, że Skirgiełło do rządzenia Wielkiém Księztwem niesposobny, odesłał go do Kijowa, a starostą wileńskim mianował *Jaśka z Olośnicy*. Rządy Litwy przeznaczył najmilszemu z braci *Alexandrowi-Wiguntowi*, ale ten wkrótce od trucizny życie stracił, ścieląc drogę Witoldowi do łaski królewskiéj, i do najwyższéj władzy. Jakoż w sierpniu roku 1392, gdy Jagiełło z Jadwigą przybyli do Litwy, zaszedł im drogę Witold w Ostrowiu, w Lidzkiém, i przeprosiwszy króla, otrzymał od niego czapkę wielko-książęcą. Skirgiełłę zaspokojono odda-

niem mu *Staroduba, Krzemieńca i Starych Troków.* Ale Krzyżacy zdradzeni przez Witolda, mścili się pustosząc ziemie litewskie, z pomocą przybyłych z Anglii i Niemiec na wojnę krzyżową rycerzy, i już w 1393 roku nęcili ku sobie rodzonego brata Jagiełły, *Swidrygiellę* czyli *Bolesława.* W połowie tego roku rozpoczyna się:

Rejestr JPana Hinczka podskarbiego, pierwszego roku po objęciu podskarbstwa, tojest roku 1393. (Registrum Domini Hijnczconis Vicethezaurarii ad annum primum sue intromissionis; videlicet anno Domini M. CCC. I XXXX IIJ^{o}) (1).

Następuje przychód.

Od pana *Mikołaja* plebana od Wszystkich Świętych (2) (*ab omnibus Sanctis plebano*), i *Gieca* (*Gezzone*) mieszczanina, mincarza krakowskiego, w piątek przed św. Janem (przed 24 czerwca) skarb z rozkazu króla J. M. przyjął w dzień Nawiedzenia N. Panny (2 lipca) 5 grzywien.

W poniedziałek nazajutrz po świętym Tomaszu apostole (2 grudnia), w miejscu łowów, inaczéj zwaném *Kozienice*, 20 grzywien. Razem 1025 grzywien.

Następuje inny przychód z żup (*do zuppis*) pod tymże rokiem 1393.

Naprzód od *Winka* (*a Wijncone zuppario salis*) żupnika solnego, w sobotę przed narodzeniem św. Jana Chrzciciela (przed 24 czerwca) 5 grzywien.

We czwartek po dniu Rozesłania Apostołów (po 15 lipca) 20 grzywien.

W niedzielę po Narodzeniu N. Panny (po 8 września) jadąc konno za królem J. M. do Lwowa (3), 18 grzywien. Razem 151 grzywien.

(1) *Hinczka z Przemankowa* podskarbi królewski.

(2) Kościół ten nie istnieje w Krakowie; parafia przeniesiona została do św. Piotra.

(3) O téj bytności Jagiełły we Lwowie we wrześniu 1393 r. nie wspomina *Kronika lwowska Zubrzyckiego.* Musiał być z powrotem przed końcem tego miesiąca, gdyż 21 września w Krakowie zapisał *Częstochówkę* i inne wsi ks. Paulinom częstochowskim.

Tu następuje inny przychód pieniędzy od *Piotra Borka*, z mennicy (*de moneta*) z roku czwartego (1394). Razem 500 grzywien.

Następuje znowu inny przychód pieniędzy od *Piotra Borka* ze stu rubli do mennicy oddanych.

We środę popielcową, 200 grzywien.

W sobotę ostatnią przed niedzielą *Invocavit* (1sza w. postu) za sto rubli odebranych, od rajców krakowskich (*apud Consules Cracovienses*) 190 *grzywien*. Razem 1,874 grzywien.

Następuje inny przychód pieniędzy, z różnych miejsc i od różnych osób, roku jak wyżéj *trzeciego* (r. 1393), oprócz żupników i mincerzy.

W piątek przed św. Mateuszem (przed 21 września), od *Jaśka* Rusina w *Dobrestanach* (1), na rachunek *podymszczyzny* do skarbu (2), 10 grzywien.

W piątek piérwszy po *jedénastu tysiącach panien* (po 21 października) od pana *Klemensa* podkanclerzego królestwa polskiego (3), z daniny pieniężnéj królewskiéj (*de pecunia contributionis Regalis*), 8 grzywien.

W piątek, w wigilią Wszystkich Świętych, od tegoż, 20 grzywien.

W wigilią *Poczęcia N. Panny* (7 grudnia) od *p. Marka* proboszcza wiślickiego, vice-kolektora poboru królewskiego (*exactione regalis*) w ziemi sandomierskiéj, 18 grzywien.

Nazajutrz po Bożém Narodzeniu, od rzeczonego p. *Marka*, z rąk domownika jego zwanego *Chrapp* (*per familiarem dictum Chrapp*) w Radomiu, 20 grzywien.

We wtorek w wigilią św. Sylwestra (30 grudnia) od p. Gościszewskiego (*a* D. Goszczisschowskij) ziemianina sandomierskiego, tamże w Radomiu do skarbu, 5 grzywien.

Tegoż dnia od p. *Pietrasza Podlodowskiego* w groszach szerokich, 20 grzywien.

(1) *Dobrestany* wieś należąca do Gródka w ziemi lwowskiéj.
(2) *Podymne*, podatek gruntowy.
(3) *Klemens z Moskorzewa* podkanclerzy koronny, kasztelan wiślicki, zmarły wedle Niesieckiego r. 1408.

W wigilią *Obrzezania Pańskiego* (31 grudnia) od p. *Klemensa* podkanclerzego, do skarbu tamże w Radomiu, 36 grzywien.

Tegoż dnia od p. *Spytka* wojewody i starosty krakowskiego (1), 12 grzywien.

We czwartek w sam dzień *Obrzezania Pańskiego*, (1 stycznia 1394r.) od rzeczonego p. *Spytka*, tamże w Radomiu, w denarach, 5 grzywien.

Podobnie od p. *Klemensa* podkanclerzego tamże w Radomiu (2), 10 grzywien.

W poniedziałek, nazajutrz po nawróceniu św. Pawła (26 stycznia) od p. *Marka* wice-kollektora poboru królewskiego w ziemi sandomierskiéj, przez domownika jego zwanego *Chrap*. 12 grzywien.

W niedzielę *Oculi* (3cia wiel. postu) od rajców krakowskich, z pieniędzy pewnych miasta Krakowa, 200 grzywien.

Przychód pieniędzy z żup w tymże roku. Od *Winka* żupnika w dzień Obrzezania Pańskiego, (1 stycznia 1394 r.) przez *Marcina*, domownika i łucznika żuby (*familiorem et sagitarium zuppe*) w Radomiu, 40 grzywien.

W poniedziałek przed nawróceniem św. Pawła (przed 25 stycznia), 2 grzywny.

We wtorek w dzień św. Walentego (14 lutego), gdy król J.M. był w Niepołomicach, 4 grzywny, 22 skojce i 1 grosz.

We czwartek następny, od żupnika przez *Mroczka* pisarza skarbowego, 5 grzywien.

Od *Piotra Borka* i mistrza *Monalda* 191 grzywien.

We środę w dzień św. Jana Chrzciciela (24 czerwca) od nichże 240 grzywien.

W piątek następny od tychże samych, 110 grzywien.

Razem 968 grzywien, 22 skojców, 1 grosz.

Cały przychód od 24 czerwca 1393 po 24 czerwca 1394 r. był 4,518 grzywien, 22 skojce i 1 grosz.

---

(1) *Spytek* z *Melsztyna* wojewoda i starosta krakowski.

(2) Musiał król bawić przez miesiąc styczeń w Radomiu, kiedy *Spytek* z *Melsztyna*, *Klemens* podkanclerzy koronny, i *Hinczko* z *Przemankowa* podskarbi królewski, razem się tam znajdowali.

Następuje rozchód z pomienionych pieniędzy, przez ręce pana H. podskarbiego Królestwa Polskiego, roku piérwszego po objęciu podskarbstwa, tojest roku Pańskiego 1393.

W niedzielę *Factus est* (2gą po Zielonych Świątkach) za papiér i pargamin kupiony do skarbu, 8 groszy.

Tegoż dnia za sieć zwaną *drgubicze*, daną rybakowi królewskiemu, $^1/_2$ kopy.

Za kapelusz słomiany (*pro stramipileo*) posłany królowi J. M. do Nowego-Miasta, 8 groszy.

Za pranie obrusów (*mensalium*), płacht (*lintheaminum* i ręczników (*manutergiorum*) królewskich, 3 skojce.

We wtorek w dzień św. Jana Chrzciciela (24 czerwca) za *floren* dany królowi J. M. na *offertę* w Szydłowie, $^1/_2$ grzywny. Litwinom posłom z Krzemieńca, (de *Crzemenecz*) (1) na wydatki, z rozkazu króla J. M. 1 wiardunek.

Za 6 funtów bawełnicy *(bombicis)* po 5 groszy, $^1/_2$ kopy.

Za 1 funt nici kolorowych, zwanych *moders*, 11 groszy.

Za jedwab biały i żółty na żądanie Henryka krawca królewskiego, 9 skojców.

Za żerdzie (pro *falangis*) do rozbicia namiotu królewskiego, 2 skojce.

Za przydatek zwany *gehynk* do przykrycia na głowę króla J. M. *(caleptram)* (2) posłany do Nowego-Miasta, 1 grzywnę.

We czwartek w wigilią św. Prokopa (4 lipca) za oliwę posłaną królowi J. M. do Nowego-Miasta, 1 grzywnę.

Za złoto klepane (dicto *klepane slotto*) darowane i posłane do kościoła Świętego Krzyża na Łyścu, (na Łyséj Górze, *in Lisecz*) (3), 2 grzywny.

(1) Zapewne od *Skirgiełły*, któremu król dodał Troki i Krzemieniec do księztwa kijowskiego, w zamian Wiel. Księztwa litewskiego, na które wyniósł był w roku zeszłym Witolda.

(2) *Caleptra*, t j. *Calyptra* podwika, rańtuch, przykrycie na głowę kobiece, ale tu wzięte jest w znaczeniu męzkiém; czy nie będzie to *misiurka*, a *gehynk*, oznaczałoby siatkę żelazną, zawieszaną naokoło jarmułki żelaznéj.

(3) Sławna świątynia Święto-Krzyzka z klasztorem Benedyktynów, fundacyi Bolesława Chrobrego, ozdobiona była, jak się pokazuje z naszych rejestrów, malowaniem w stylu bizantyńskim, bo wykonanym z rozkazu Jagiełły przez malarzów ruskich.

Za dwie baryłki wina czerwonego i białego dla malarzy malujących na *Łyścu*, na rozkaz piśmienny króla J. M., 6 grzywien.

W sobotę (6 lipca) *Andrzejowi* aptekarzowi (*appothecario*) za *konfekta* (*pro confectis*) i *powidła* (*electuariis*) posłane księżnéj pani Witoldowéj (1), z rozkazu króla J. M. 7 grzywien.

W niedzielę następną (14 lipca) za dwa kamienie wosku posłane królowi J. M. do Sandomierza, 1 grzywnę, 21 skojców.

Za 1 kamień mydła (*singmatis*) posłanego do Chełma, 7 skojców.

Ludziom którzy powieźli wino i potrzeby wszelkie do Chełmu, na wydatki podróżne, 1 grzywnę.

W piątek ostatni przed św. Antonim (*przed* 13 *czerwca*, a zatém dawniejsze wydatki, za 30 *talentów* (2) cukru (*pro* xxx *talentis czucri*), rachując talent po 9 skojców, 11 grzywien i 1 wiardunek. Za 2 talenty kwiatu muszkatowego, po ½ kopy, 1 kopa; za 3 funty kory cynamonowéj, po 3 wiardunki, 2 grzywny, 1 wiardunek; za 4 funty pieprzu indyjskiego (*cubeba*) funt po 9 skojców, 1 ½ grzywny; za 4 funty *rajskich ziarnek* (*raijszka ijandra* (3) libra po ½ grzywny, 2 grzywny; za 6 funtów anyżu, po 3 kwartniki, 9 groszy.

Wszystko to oddano *Andrzejowi* aptekarzowi dla przysposobienia konfektów dla króla J. M. na wyprawę (4). Za worki na powyższe korzenie i specyały 3 grosze.

W przyszłą sobotę za 8 kół do wozów królewskich, 21 skojców; za osie i dyszle do wozów królewskich 8 skojców;

(1) Księżna *Anna*, córka *Swiętosława* ks. smoleńskiego, a żona Witolda, którego wybawiła z więzienia w zamku krewskim.

(2) *Talent* musi tu być wzięty w znaczeniu *funta; Ducange* świadczy, że *talentum* znaczyło 100 funtów lub 50 funtów, a czasem 1 funt, lub 1 grzywnę. Cukier znali już starożytni pod nazwą *saccharum* czyli *miód z trzciny*, ale używali go jak pisze Pliniusz, jedynie na lekarstwo. Cukier *biały* znali oddawna Chińczycy i Arabowie. Wzmiankę o nim czynią *rejestr* domowy *Delfina Humberta* z r. 1333, i nakaz króla francuzkiego *Jana* z r. 1353. Cukier był bardzo drogi, sprowadzali go Wenecyanie z Indyj przez Alexandryą. (Ob D'Obigny Dictionnaire Universel d'Histoire Naturelle (Canne à Sucre).

(3) *Cardamomum*. czyli *Amomum, grana paradisi*.

(4) O téj wyprawie Jagiełły, w źródłach dotąd znanych nic znajdujemy żadnéj wiadomości.

za powrozy z konopi i inne potrzeby do wozów, wedle dyspozycyi *marszałka woźnicy*, mistrza wozów królewskich (*Marschaloni svectoris magistri curruum regalium*), 4 skojce.

W niedzielę *Omnes Gentes* (7ma po Zielonych Świątkach): za sieć zwaną *drgubicza* posłaną na wyprawę, 16 skojców; za *macicę* do téjże sieci, zwaną *maczicza*, 1 grzywnę, 15 skojców; za dwa niewody zwane *polij*, na wyprawę wraz z porządkami do nich, 2 grzywny; za powróz z sierci dla zrobienia tak zwanego włoku do sieci zwanéj *drgubicza*, 4 skojce; za ołów i *brożek* (*pro brzesco*) do téjże sieci, 1 wiardunek (1); za powrozy z konopi i z sierci do rzeczonego niewodu (ad dictum *newod*), 5 skojców; za wóz lekki zwany *Reijnwaijn* z podporą grzbietu zwaną *pokład* (cum reclinatorio dicto *poklath*), 2 grzywny; za trzy *tafty* białe (*pro tribus taffiis albis*) dla uszycia żupanika (*sopula*) dla króla J. M. na obyczaj francuzki (*more gallico*), za każdą po 5 grzywien, razem 15 grzywien (2); za wagę do skarbu, 2 skojce; za postronki i porządki do wozów zwane *lanwij*, 1 wiardunek; za pasy od koni zwane *popręgi* (*poprangij*) do przywiązywania namiotów króla J. M., 4 skojce; za torbeczkę korkową (*pro perula suberino*), w któréj konfekta i powidła na wyprawę zawieziono królowi J. M. do Żarnowca, 1 grosz; za 2 skrzynie wielkie, jednę na szaty, a drugą na zbroje królewskie, i trzecią skrzyneczkę na schowanie pieniędzy i pokrowca (*sedilibus*) z rzemienia, na to wszystko 4 ½ grzywny.

We środę nazajutrz po Maryi Magdalenie (23 lipca): za 20 kusz (pro xx balistis) posłanych do Wilna, rachując każdą po grzywnie i 5 skojców, 24 grzywny 4 skojce (3); płatnerzowi który z królem J. M. na wyprawę udać się musiał, na drogę 2 grzywny; rybakowi, który także z królem J. M. na wyprawę udać się musiał, na drogę, ½ grzywny; za beczki na piwo zatorskie na wyprawę, 5 skojców.

W piątek w wigilią św. Jakóba apostoła, (24 lipca): za mniejsze statki zwane *stawnicze* do tegoż piwa, 4 skojce; za rzemień dany woźnicom króla J. M. dla zrobienia szorów zwa-

(1) *Brożek*, kręgiel; *brożki* gatunek sieci pomniejszych do łowienia ptastwa (*Linde*).

(2) *Zuppa*, sugum militare, z francuzkiego *Juppe* jak chce *Ducange*: *Glossarium latinitatis medii aevi*.

(3) Na obronę Litwy od Krzyżaków.

nych *nabiodrki* (*nabodrkij*), 4 skojce; za żywicę czyli smarowidła przygotowane dla wozów królewskich na wyprawę, 21 skojców; za bicze i sznury do nich woźnicom na wyprawę, 5 skojców; za grzebła na tęż wyprawę, 4 grosze; za kocioł do lania świec, 4 garnce wielkie miedziane i patelnię, 4 grzywny; za nagolenice (*Beijngwantci*) i naramienniki czyli *skorki* (*shorcij*) dane *Kormańcowi* (*Cormanczoni*) posłanemu do Litwy z rozkazu króla J. M., 2 grzywny; za obrączkę złotą ze szmelcem wyrabianą (*cum szmelcze temperato*), przesłaną małżonce księcia Witolda, przez tegoż Kormańca, z rozkazu króla J. M., 2 grzywny; za 4 sztuki (*stamina*) materyi czyli atłasu (*purpure* alias *athłas*) w czarnym kolorze dla króla J. M., po 5 grzywien, 20 grzywien; za 2 skóry dla zrobienia futerałów na misy srebrne królewskie, 15 groszy; za paski do rzeczonych futerałów, 1 wiardunek; za woreczki ze skóry zwanéj *irchą* do chowania korzeni i specyałów (*species*) tartych, 5 skojców; za dwa kamienie mydła, na drogę dla króla J. M., rachując kamień po 7 skojców, razem 14 skojców; za 8 łokci płótna bielonego (*tele adalbate*) dla zrobienia ręczników dla króla J. M., a w których to mydło obwinięte było, 8 skojców; za 8 łokci płótna surowego danego łaziebnikowi królewskiemu, łokieć po ½ skojca, 4 skojce; za siodło dla *Dacza* (*Daczoni*) komornika króla J. M. wraz ze wszystkiemi potrzebami do niego, na rozkaz króla J. M., 9 skojców.

W sobotę, nazajutrz po św. Piotrze w Okowach (2 sierpnia): za ćwieki do naprawienia namiotów królewskich, około domów zwanych *gabbij* (1), 3 skojce; za malowanie tychże domów, 1 wiardunek.

W niedzielę następną na zaspokojenie wydatków królowéj J. M. gdy zabrakło pieniędzy na obiad, 3 grzywny. *Pietraszkowi* zwanemu *Koth*, na rozkaz króla J. M., 6 grzywien; *Grzymale* ziemianinowi dobrzyńskiemu, z rozkazu króla J. M., 4 grzywny; Rusinowi rękawicznikowi królewskiemu, na skórę dla zrobienia *kormanów* (*cormanos*) (2) dla króla J. M., 4 skojce; za pokrowce (*pocrowij*) na siodła króla J. M., ½ grzywny;

(1) *Gabia, Gabiones*, po francuzku *Gabion*, koszę napełnione ziemią, któremi zastawiali się oblegający jaką warownię. (Ob. *Ducange Glossarium latinitatis medii aevi*).

(2) *Korman* siermięga, sukmana z grubego sukna (*Linde*): widać, że robiono je także ze skóry.

za wóz na którym p. *Janusz dziedzic na Smogorzewie* zawiózł kusze do Wilna, z rozkazu króla J. M., 1 grzywnę 3 wiardunki; *Jezenowi* chorążemu mazowieckiemu, z rozkazu króla J. M., 8 grzywien; *Ranaszowi* łaziebnikowi króla J. M. na nici do uszycia zasłon (*cortinas*) do łaźni, 1 skojec.

We środę nazajutrz po św. Dominiku (5 sierpnia), *Staszkowi* synowi *Niemsty* na pancerz, 3 grzywny; temuż na kuszę, pas i kołczan, 2 grzywny; za 2 tafty białe na *kaftan* (ad *ijaccam*) dla króla J. M., do któréj samą taftę zamiast *bawełnicy* (*bombicis*) użyto (1), 10 grzywien; za sukno zwane *futertuch* dla króla J. M., na *czechczery* (*sotulares*) (2), 5 kwartników.

We czwartek następny (6 sierpnia) gdy król J. M. raczył udać się z Krakowa do Lanckorony, za podejmowanie dworzan po gospodach, na ręce *Pietraszka* obrocznego (*pabulatoris*) czyli szafarza obroków, 35 grzywien i 15 skojców; *Michałkowi* komornikowi króla J. M., 3 grzywny; pannom dwom królowéj J. M., (*domicellabus curie D. Regine*) z rozkazu króla J. M., 4 grzywny; za uździenicę dla wałacha królewskiego posłanego do żupy, 5 groszy; *Paszkowi* Rusinowi z polecenia *Hanusza* szafarza króla J. M., 1 grzywnę; *Jaśkowi Bogumiłowskiemu* i *Joszycowi* łucznikom (*sagittariis*) króla J. M. z polecenia pana *Mikołaja z Kurowa*, 2 grzywny; *Jakuszowi Łopacińskiemu* (Jacusschio Lopaczinskij) z rozkazu króla J. M., ½ grzywny.

W piątek przed dniem św. Wawrzyńca (7 sierpnia): *Mikołajowi Zimnowodzkiemu* (Nicolao Zimnowodczkij) na pancerz, 4 grzywny; *Linczowi* fleciście (*fistulatori*) na kuszę i przybory do niéj, 2 grzywny; *Jakuszowi* płatnerzowi (*brennario*) za *szosl* (3) stalowy (*calibeo* tojest *chalybeo*) i za *gehynk*, (4) karwasze (t. j. rękawice żelazne, *pro manicis*), oraz za naprawę pancerzów i innéj zbroi króla J. M., 10 grzywien; za dwa stoły (*sto-*

(1) *Jacke*, segum militare, quod loricae superinduebatur. *(Ducange Gloss. latin medii aevi)*. Rodzaj *kaftana* wojskowego, który nakładano na pancerz Po francuzku *Jacque*, casaque piquée qu'on mettait pardessus la cuirrasse.

(2) *Sotulares*, czyli *Subtulares* rodzaj obuwia niezbyt obcisłego; zdaje się, że to odpowiada *kamaszom* czyli spodniom długim, zwanym dawniéj *czechczery (Linde, Gołębiowski)*.

(3) *Szosl*, niewiadomo jaką część zbroi tak nazywano.

(4) *Gehynk* podobno siatka żelazna od misiurki.

li) na wyprawę, 1 wiardunek; za wykupienie pasa złoconego (*cingali deaurati*) niejakiego Litwina zwanego *Szudimuth*, zastawionego przezeń na wydatki, 6 grzywien (1); za 42 łokcie płótna zwanego *czwilich* na pokrycie wozu czterokonnego zwanego *kolebka* (quadrige dicte *Colebca*), 1 grzywna 3 skojce.

W niedzielę w dzień św. Wawrzyńca (10 sierpnia) za 2 floreny na offertę królowi J. M. podczas Jego mszy w Krakowie dane, 1 grzywna; tegoż dnia w kaplicy Panny Maryi, mansyonarzów w katedrze krakowskiéj na offertę królowi J. M., 1 wiardunek.

W poniedziałek (11 sierpnia) *Dlotowi* komornikowi króla J. M. na wykupienie tarczy zwanéj *pelta*, (rodzaj małéj tarczy obłączystéj) ½ grzywny; panu *Wawrzyńcowi* plebanowi z Radziejowa, na mszały, z rozkazu króla J. M. 2 grzywny; za 2 funty jedwabnicy koloru żółtego, brunatnego (*brunatici*) i białego dla zrobienia przepasek dla niektórych panien królowéj J. M. po 4 grzywny i 1 floren za funt, razem 9 grzywien; za 11 łokci płótna szarego na podszycie sukni (*ad subducendam tunicam*) księcia *Swidrygiełły* (2), 20 skojców; *Waśkowi* ziemianinowi dobrzyńskiemu z rozkazu króla J. M., 2 grzywny; za uszycie obrusów, chustek do nosa (*nasilcarum*) i ręczników królewskich, 8 skojców; za strzemiona i ostrogi dla króla J. M. kupione, ½ kopy; małemu książęciu *Siemistkowi* (*Duci parvo Semistkoni*) (3), z rozkazu króla J. M., 1 grzywnę; za odlanie łat (*asserum*) ołowianych dla naprawy zamku w Lublinie, 1 wiardunek; za podejmowanie dwóch Litwinów w gospodzie, *Dzacza i Michalona*, na rozkaz króla J. M., 1 grzywnę; Rusinowi który posłany był do Łucka dla przeprowadzenia Tata-

(1) *Szudimut* Litwin, zapewne ten sam, którego w roku następnym Krzyżacy pochwycili w niewolę i obwiesili. (Ob. *Narbutta, Historyą Litwy*, i *Kraszewskiego Litwę za Witolda*).

(2) *Swidrygiełło* czyli *Bolesław*, brat rodzony Jagiełły. opanował był Witebsk po śmierci matki swojéj księżnéj Julianny Olgierdowéj. Wyparty z tego miasta przez Witolda, przez zemstę zbiegł *Swidrygiełło* do Krzyżaków i w roku następnym prowadził ich na Litwę; ale okoliczność sukni sprawionéj mu kosztem królewskim zdaje się dowodzić, że przed ucieczką do Krzyżaków, odwiedził jeszcze króla, spodziewając się go może na swoję stronę nakłonić.

(3) Byłto syn *Ziemowita* mazowieckiego i *Alexandry* siostry Jagiełły, *Ziemowit Alexander*.

rów, z rozkazu króla J. M., 1 grzywnę; za podejmowanie rzeczonych Tatarów w gospodzie w Krakowie, 6 grzywien; na wydatki tychże Tatarów w powrocie do domu, z rozkazu króla J. M., 3 grzywny; tymże Tatarom na wydatki, gdy pojechali konno do króla J. M. (1), 3 grzywny.

W sobotę nazajutrz po Wniebowzięciu N. Panny (16 sierpnia), za smarowidło zwane *maź* do wozu skarbowego, gdy król J. M. z Krakowa do Nowego-Miasta przejeżdżał, 5 skojców.

W niedzielę *Deus in adiutorium* (w 12tą po Zielonych Świątkach): *Pietraszowi z Oleśnicy*, z rozkazu króla J. M., 14 grzywien; *Jakuszowi ze Strzeżowa*, 4 grzywny; *Dobkowi Oleśnickiemu* (*Dobconi Olesszniski*), który dał królowi na offertę w dzień św. Wawrzyńca, 1 wiardunek; za futerał na języki smocze (*lingwis draconum*) do stawiania na stole królewskim, od trucizny (2), 3 grosze; za oczyszczenie trzech mieczów królewskich, 2 skojce; za parę strzemion żelaznych z rzemykami dla króla J. M., 3 skojce.

W poniedziałek następny: *Chodkowi* komornikowi króla J. M., 2 grzywny; *Dobrogostowi Sassinowi* komornikom króla J. M., 1 grzywnę; *Wacławowi* rękawicznikowi króla J. M. na kupno skór dla zrobienia futerałów na kopie i łuk, 8 skojców; *Kunejowi* (*Cuneijo*) Rusinowi za hełm (*pro schlomone*) z rozkazu króla J. M., 2 grzywny; za 1 flaszkę (*flascula*) i 8 kubków (*cubconibus*) żelaznych do skarbu wówczas na wyprawę przygotowanych, ½ grzywny; za *pokład* (*podcladij*, wojłok, pilśń, pod siodło jednego towarzysza skarbowego (*socii Thesauri*), 2 skojce; panu *Bernardowi* sędziemu wieluńskiemu podejmując go w gospodzie, z rozkazu króla J. M., 4 grzywny; *Starczynowi* łucznikowi króla J. M. na kuszę, 1 grzywnę i 1 grosz; *Matofejowi* pisarzowi ruskiemu króla J. M., 1 grzywnę.

We wtorek następny *Wołczkowi* posłowi od księcia Witolda (3) na pancerz, nagolenice (*beijngwanthi*) naramienniki (*scorkij*) i rękawice żelazne, 8 grzywien i 8 skojców; za podej-

(1) O tém poselstwie tatarskiém piérwszą tu mamy wiadomość.

(2) *Linguae draconum* znajoma jest roślina zwana *Ophioglossum vulgatum* (*Języcznik*) *Langue de serpent*; któréj łodyga ma być gojącą rany. Ale dlaczegoby ją stawiano na stół od trucizny?

(3) Witold od roku już siedział na W. księztwie litewskiém w Wilnie.

mowanie w gospodzie tegoż *Wołczka*, 6 grzywien i 1 wiardunek; *Ruszkowi* (*Russzconi*) szewcowi króla J. M. za skóry na drogę, 1 grzywnę; dla biskupa francuzkiego (*Episcopo Gallico*) wracającego z Persyi do domu, za podejmowanie go w gospodzie w Krakowie (1), 10 grzywien; *Dobkowi Oleśnickiemu* (*Dobconi Oleschniski*) na nagolenice (*bejngwanthij*), 2 grzywny; *Mikołajowi* zwanemu *Żelazniglowa*, wysłanemu do miast z listami królewskiemi dla wybrania podatku królewskiego, zwanego *szos* (*szossz*) na postanowioną wyprawę, z rozkazu króla J. M. na wydatki (2), 2 grzywny.

We czwartek następny, za 2 obrączki wyrobione ze szmelcem koloru brunatnego (*brunatici*) przez *Litwosza* komornika (per *Litwoszonem*) posłane do Nowego-Miasta, a które ztamtąd król J. M. posłał małżonce księcia Witolda (3) 3 grzywny; *Hanuszowi Ilcuss* złotnikowi za robotę kubka złoconego, 3 grzywny.

W piątek następny *Mikołajowi* krawcowi z Lanckorony, który naprawiał namioty, za znaczną robotę, bo trwała blizko tygodnia, ½ grzywny; temuż za naprawę starych sukien królewskich, 6 skojców; za przyrządzenie skóry zwanéj *Thurzascora*, dla marszałka masztalerzowi (*quod marschalco auriga* exemit), ½ grzywny; *Zbrożkowi* puszkarzowi, (*Sbrosconi pixidario*) posłanemu do Wielkopolski na wyprawę, na pancerz (4), 6 grzywien; rzeczonemu *Zbrożkowi* z rozkazu króla J. M na szyszak (*cassida*), zwany *brzewicza* (*przyłbica?*), 4 grzywny; za blachę napiersną (*pectorale*), ½ grzywny; za nagolenice (bengwantij), 3 grzywny; za naramienniki (*scorkij*), ½ grzywny; za opaskę (*szorczel*) (5), 1 grzywnę; za rękawice żelazne, 1 wiardunek. Wszystko razem czyni 8 grzywien, 1 wiardunek. Za dwa żupa-

(1) Jak się nazywał ten biskup francuzki wracający z Persyi, nie znajdujemy w rejestrach naszych, a zkądinąd o tém poselstwie wiadomości nie mamy.

(2) Item Nicolao Zelazniglowa misso ad Civitates cum literis regalibus pro danda exactione dicta *Szossz* ad expeditionem determinatum, ad mandatum D. Regis, pro expensis 11 marc. *Szos* byłto podatek opłacany z domów.

(3) Już dawniéj jednę obrączkę taką posłał jéj Jagiełło przez *Kormańca*.

(4) Wyprawa do Wielkopolski, może w sprawie księcia Władysława Opolskiego

(5) *Szorc* (po niemiecku *Schürze*) opaska.

ny (*pro duabus soppis*) wierzchni i spodni temuż *Zbrożkowi*, 2 grzywny; za suknię zimową (*pro tunica hiemali*) dla tegoż *Zbrożka*, z rozkazu króla J. M., 1 kopę; za wykupienie czary czyli roztruchana (*hostruchani*) srebrnego, zastawionego niegdyś przez *Dzierżka Łopacińskiego* podówczas podskarbiego (*per Dirsconem Łopaczynskij*) 2 grzywny; za sztukę jedwabnicy (*pro stomine sericeo*) daną *Mikołajowi* synowi sędziego z Wielkopolski, 5 grzywien; kowalowi za zrobienie strzemion królewskich, 3 skojce; za mozdzierz miedziany zwany *stamka*, do skarbu na podróż oddany, ½ grzywny; za *klepane złoto* (*clepane sloto*), 2 grzywny; za glinkę czerwoną (*rubrica*), posłaną wraz ze złotem do Świętego Krzyża na *Łyscu*, 20 skojców; za 2 tafty, jednę szarą, a drugą białą, dla zrobienia ornatu mszalnego na drogę, 10 grzywien.

W piątek w dzień *Ścięcia św. Jana* (29 sierpnia): *Jakuszowi* zwanemu *Prusin* (*Jacussio Pruszijn dicto*), na list króla J. M. 3 grzywny; za *pobrzeszczanie* (*demitigatione dicta pobrzeszczane*) łuków królewskich (1), 3 skojce; za kuszę posłaną królowi J. M. do *Dobrostanów* wraz z futerałem, 1 grzywna i 6 groszy; za sprawienie kielicha, patyny, ampułek i puszki pozłacanych, posłanych królowi J. M. na łowy, 2½ grzywien; za zrobienie taśm zwanych *tkanice* (*pretentarum dictarum tkanicze*) do lekkiego ornata, 1 wiardunek.

Przybkowi z Grodziny, *Mieczysławowi* (*Meczlao*) *Chodkowi* (*Kotconi*) komornikom króla J. M., na rozkaz jego, każdemu na szyszak zwany *brzewicza*, po 4 grzywny, razem 12 grzywien; *Dłotowi* komornikowi na *szorczel* (*szorc*, rodzaj pasa) z rozkazu króla J. M., 2 grzywny. *Kipce* rybakowi króla J. M. posłanemu do Lwowa, na wydatki, 4 skojce; za robotę siatek (*pretentarum*) żelaznych do rzędów końskich (ad *falleras* t. j. *phaleras*) króla J. M., zwanych *sodalna zbroija*, 1 grzywną 10 skojców; za sprawienie strzemion podwójnych srebrnych, pozłacanych, posłanych królowi J. M. do Lwowa, 3 grzywny; za 8 funtów cukru dla przyrządzenia konfektów posłanych królowi J. M. do *Lwowa*, funt po 12 skojców i 1 kwartnik, razem 4 grzywny i 2 skojce. Złotnikowi *Sijnaij* za robotę jednego ro-

(1) Słowo *pobrzeszczanie*, *pobrzeszczać* ani w *Knapskim*, ani w *Lindem* nie masz; może pochodzić od *brzeszczot*, głownia nożowa nieoprawna.

gu królewskiego, 4 grzywny, a za naprawienie gąsiora (*canthari*) dużego srebrnego, 1 grzywnę; razem 5 grzywien. *Kunczowi* płatnerzowi w Krakowie za *szosl* i rękawy wzięte u niego przed rokiem i więcéj we Lwowie, dla księcia *Feduszka* (1), a za które p. *Hejnczo* (2) zapłatę za króla J. M. zaręczył, 3 grzywny: ślusarzowi, który naprawił zamki w domu Ottona (3), w którym podskarbi bawiąc we Lwowie, wiele porządków króla J. M. był złożył, 3 skojce.

W *Długiej-wsi* (w Villa longa) zwanéj *Lanki* przed Pilznem (4) *Hejnczka* podskarbi królewski jadąc do króla J. M. i mając z sobą osób 36, na piérwszym noclegu wydał 1 grzywnę i 2 skojce. Panu *Janowi Brzestowskiemu* za konia, którego król wziął od niego, a za którego podskarbi H. był zaręczył, 8 grzywien.

W *Łańcucie* na popasie 10 skojców.

Na noclegu w Przerowsku, (*in Przerowsko*, zapewne w *Przeworsku*), 8 skojców.

W *Jarosławie* na popasie 10 skojców.

Jakubowskiemu kucharzowi króla J. M., który tam chorował podówczas, na wydatki, 1 wiardunek.

W następną niedzielę w dzień *Podniesienia św. Krzyża* (14 września) w Przemyślu 16 skojców na popasie; w Radenczu, na noclegu 11 skojców. W poniedziałek (15 września) w *Gródku* na popasie, 1 grzywnę 10 skojców.

We Wtorek (16 września) sporządziwszy tamże w Gródku obiad i wszelkie potrzeby, na noclegu w *Dobrostanach*, 23 skojców. Za wykupienie (pro exempcione) podszycia futrzanego królewskiego, które *Fochczal* wybrał, danego biskupowi francuzkiemu, 26 grzywien; za dwie tafty białe na żupanik (*ad sopulam*) króla J. M., do którego tafta tylko zamiast bawełnicy użytą została, 10 grzywien; złotnikowi zwanemu *Ilcusar* za robotę dwóch kubków (*cupconum*) królewskich, 3 grzywny; za jedną taftę białą daną *Henrykowi*, krawcowi królewskiemu na

(1) Książę *Feduszko* t. j. *Teodor*. Trudno oznaczyć, który. Żyli bowiem podówczas książę *Teodor Koryatowicz*, książę *Teodor Korybutowicz*, książę *Teodor Patrykiewicz*, książe *Teodor Ostrogski* i innych mniéj znajomych kilku.

(2) Hinczko z Przemankowa podskarbi.

(3) Otton z Pilczy.

(4) Niedaleko Tarnowa.

wyżéj wymieniony żupanik królewski, 5 grzywien; za 21 łutów jedwabnicy brunatnéj i żółtéj dla zrobienia przepasek dla panien, z polecenia króla J. M., łut po 6 groszy rachując; za łokieć *pokoczynu* (1) szarego na żądanie rzeczonego Henryka, 6 groszy.

W sobotę w dzień św. Łukasza Ewangelisty (18-października) za trzy pancerze posłane królowi J. M. do Sandomierza, na rozkaz jego listowny, 13 grzywien; za ostrogi i strzemiona nowéj i niezwyczajnéj roboty, posłane królowi J. M. do Sandomierza, ½ grzywny; za 2 talenty *krokosu* (szafranu polnego, 3½ grzywny; za 1 kamień migdałów, 3 wiardunki; za 1 kamień ryżu ½ grzywny; za hełm (pro *seklom*) i *geynk* i za szatę zwaną *fassowanie* (*pro ornatu dicto fassowane*) dawniéj posłane do Sandomierza, 3 grzywny; za nowy kubek pozłacany posłany królowi J. M. tamże do Sandomierza, 3 grzywny; za 1 kamień rodzynków (*rosincorum*) posłany królowi J. M. do Sandomierza, na rozkaz jego listowny, 2 grzywny, 1 wiardunek; za 3 libry papiéru do skarbu, posłane do Sandomierza, 9 groszy.

We wtorek w dzień św. Szymona i Judy (28 października) za całkowity rynsztunek (*Harnasch*), posłany królowi J. M. do Nowego-Miasta przez *Matofeja* pisarza ruskiego, 11 grzywien i 6 groszy; za 12 funtów pieprzu, po wiardunku, 3 grzywny; za 8 funtów kminku, co wszystko posłano do Niepołomic z polecenia króla J. M. 4 skojce. *Puszczowi* za pancerz który król J. M. wziął u niego we Lwowie, z rozkazu króla J. M., 7 grzywien; za całkowity rynsztunek (pro *harnasch* totali) dany księciu *Wasylowi* synowi ś. p. księcia *Konstantego* (2), na rozkaz listowny króla, 9 grzywien, 20 skojców; za konia danego temuż, z polecenia króla J. M., 12 grzywien. *Ruskowi* rusinowi, szewcowi króla J. M. na zakupienie skór, 1 grzy-

(1) *Pokoczyn* materya na podszewkę używana.

(2) Książę *Wasyl*, syn zmarłego już ks. Konstantego. Niedokładne dotychczasowe genealogie książąt litewskich, znają trzech książąt tego imienia: ks. *Konstantego Koryatowicza*, którego Kazimierz W. zamierzał był następcą po sobie ogłosić, ks. *Butawa Konstantego*, głowę książąt Koreckich, ale ten miał dopiéro w r. 1399 życie skończyć, i *Korygiełłę*, który zginął r. 1390, ale tego nasze rejestra *Kazimierzem* a nie *Konstantym* zowią. Trudność musi jeszcze nie rozstrzygniętą pozostać.

wnę; *Zbrożkowi* puszkarzowi króla J. M. którego sam król J. M. na wyprawę do Kijowa wysłał, na kuszę (1), 1 grzywnę 1 grosz; *Arnoldowi*, towarzyszowi tegoż *Zbrożka* na rzeczonéj wyprawie, na kuszę, 1 grzywnę 1 grosz; za torby dla sług noszących chleb do stołu królewskiego (*famulis paniferis*) zwane *chlebnie*, 2 skojce.

Na wydatki księcia *Wasyla* w powrocie do domu, z polecenia króla J. M., 2 grzywny; za podejmowanie w gospodzie posła i sług księcia Witolda, ½ kopy; za wałacha posłanego *księciu Iwanowi* (2), na polecenie ustne króla J. M., 14 grzywien. *Pietraszowi* krawcowi króla J. M. na nici kolorowe 1 skojec.

W sobotę w dzień Wszystkich Świętych (1 listopada) za 2 floreny dane królowi J. M. na offertę podczas mszy św. w kościele Wszystkich Świętych w Krakowie, 1 grzywnę; na offertę królowéj J. M. przez Jana pisarza skarbowego, 8 skojców. *Szotlandowi* stolarzowi w Krakowie za stół króla J. M. odwieziony do Niepołomic, 2 grzywny; Litwinowi zbiegłemu z niewoli pruskiéj na obuwie (pro *calceis*), 5 groszy; temuż Litwinowi, z polecenia króla J. M. na konia, 2 grzywny; temuż na siodło z porządkami, 8 skojców. *Ziemie ze Zwęku* (*Zeme de Zvank*) który siedział w niewoli pruskiéj, z rozkazu króla J. M., 3 grzywny; *p. Pietraszowi z Falkowa*, na rozkaz ustny króla J. M., 5 grzywien; *Adamowi z Rudna* ziemianinowi strzeleckiemu, na rozkaz króla J. M., 5 grzywien.

P. *Pietraszowi Szaffrańcowi* na 12 kusz do zamku w *Pławnowicach*, 12 grzywien i 6 skojców.

Staszkowi z Siedlnicy z polecenia *Spytka* wojewody i starosty krakowskiego, 5 grzywien.

Szadkowi wójtowi (*advocato*) ze Skały, stróżowi bawołów (*ferarum*) na zamku krakowskim, 6 skojców; za kożuch gronostajowy zwany *ryniec* dla króla J. M. (*pro pellicio hermellino dicto Rinecz*), 3 grzywny.

(1) W Kijowie panował podówczas książę *Skirgiełło* brat rodzony Jagiełły.

(2) Książę *Iwan*, zapewne *Holszański*, nieodstępny towarzysz Witolda, a poźniéj z jego ramienia rządca w Kijowie. Zginął pod *Worsklą* r. 1399 w bitwie z Tatarami. (Ob. *Kojałowicza* Historiae Lituaniae. Pars II, p. 48 i 64.

Kanimirowi łowczemu, *Michałowi i Pietraszowi* ziemianom dobrzyńskim, 6 grzywien.

Chodkowi komornikowi króla J. M. na kuszę z porządkami do niéj, 1 ½ grzywny.

P. *Krystynowi* mistrzowi dworu królowéj, na kożuch lisi, na rozkaz ustny króla J. M., 5 grzywien.

Mikołajowi Zimnowodzkiemu na kożuch i wydatki, z rozkazu króla J. M., 4 ½ grzywny.

Przecławowi rzeczonemu *Bychorza*, z rozkazu króla J. M. 6 grzywien.

Hinczkowi podskarbiemu, na kożuch lisi, z rozkazu króla J. M., 5 grzywien.

Hermanowi i *Wężykowi* (*Wanszyconi*) pokojowcom, na obuwie (pro calceis) i rękawiczki, 10 groszy.

Ośmiu psiarzom (octo canistris dictis *pssarze*) na buty (pro caligis i *czechczery* (*sotularibus*), gdy podówczas sukna nie było, 6 groszy.

Opanaszowi łaziebnikowi królewskiemu na *czechczery* i na nici do uszycia płacht do łaźni króla J. M., 3 grosze.

Bachorzowi Rusinowi króla J. M. na buty (*pro caligis*) 6 groszy.

Dwom flecistom królewskim *Aulowi* (*Auloni*) i *Niespechowi* (*Nespechoni*), posłanym przez króla do księcia Witolda, na drogę, 4 grzywny.

Kanimirowi łowczemu, i *Michałowi Pietraszowi* ziemianom dobrzyńskim, z rozkazu króla J. M., 4 grzywny.

Kozie Rusinowi wysłanemu do Chełma na wyprawę, 1 wiardunek.

Minigałowi staroście wileńskiemu (1) na hełm (*scklom*) i *gcynk*, na rozkaz króla J. M., 3 grzywny.

Matofejowi pisarzowi ruskiemu na dwa pancerze, z polecenia samego króla J. M., 5 grzywien.

Andrzejowi Trunczkowi na pancerz i kuszę, 5 grzywien.

Bartłomiejowi trębaczowi, 1 grzywna.

Grzegorzkowi z Kijów (*de Kije*), 1 grzywnę; *Suczkowskiemu* (*Schuczcowskemu*), 2 grzywny; *Włochowi* (Wlockoni) starszemu, 4 grzywny; *Dobkowi Stobnickiemu* 3 grzywny; razem 11 grzywien.

(1) *Minigal* w akcie unii horodelskiéj wymieniony jest jako kasztelan wileński.

Kulii łucznikowi królewskiemu na pancerz, kuszę, sukno, rękawiczki i inne potrzeby, z polecenia *Dymitra marszałka królewskiego*, 10 grzywien.

Lirnikowi (*Citharistę*) Rusinowi, na podejmowanie w gospodzie, 1 wiardunek.

Groszamirzowi (*Groschamis*) Prusakowi z polecenia króla J. M., 2 grzywny; za pranie obrusów, ręczników i chust przez cały czas, który król bawił w Krakowie, prawie przez tydzień, ½ grzywny; za pokrowce drewniane na 20 kopij (ad (*lanceos*) królewskich, 20 skojców; za futerał skórzany na kopie, 20 skojców; za przeniesienie wosku przywiezionego z Lublina, z miejsca gdzie się oczyszcza, na zamek, 12 denarów.

Januszowi kotlarzowi (*ollifici*) za naprawę kotła, patelni i garnków królewskich, 1 grzywnę; za miedź do naprawy moździerza zwanego *Stampka miedziana*, 1 wiardunek; za odlanie tegoż moździerza, 8 groszy.

Hinczy trębaczowi królewskiemu posłanemu do księcia Witolda, na wydatki 2 grzywny; za robotę nowego kubka wysokiego *Hanuszowi Ilkussov* złotnikowi króla J. M., 3 grzywien 6 groszy; za futerał do tegoż kubka, 8 skojców; za 11 łokci aksamitu (*ijaxamitij*) czarnego, danego księżnéj bawiącéj przy królowéj (1), 13 grzywien 3 wiardunki.

Mikułce Rusinowi na skórnie, 1 wiardunek; za statek drewniany zwany *achtel*, i drugi rzeczony *półachtelek* (*poluachtelle*) do trzymania w nich piwa świdnickiego w Niepołomicach, dla króla J. M., 3 skojce; za butelki (*pro lagenis*) do stoczenia wina, posłanego tamże do Niepołomic dla króla J. M., 1 skojec; za atłas dany *Piotrowi* Czechowi, który z Monaldem (2) do króla przybył, 5 grzywien; za robotę dwóch czapek królewskich (*capuciorum*) złotnikowi zwanemu *Rolla*, za robotę (pro mercede), 3 grzywny i 3 wiardunki; za dwa kożuchy lisie dla dwóch księżniczek bawiących przy królowéj J. M. (3), 9 grzywien.

Hanuszowi podkoniuszemu króla J. M. (*podcone D. Regis*) na naprawę kuszy, 6 groszy; za *uździenicę* (*uzdzienicza*) na wa-

(1) Księżna ta nie wymieniona z nazwiska ani też bliżéj oznaczona.

(2) Mincarzem.

(3) Dwie księżne, z których jedna już wyżéj wspomniana, a obie niewymienione po imieniu swojém lub rodzinném

łacha królewskiego, którego pan *Skirgiełło* królowi J. M. powrócił (1), 3 grosze; za kapelusz czyli biret czarny kupiony dla króla J. M. u *Pawła Wierzynka* (2) na rozkaz, 15 skojców.

W sobotę w dzień *św. Cecylii* (22 listopada): za wyrestaurowanie domu pana *Mikołaja Kuli* w Krakowie, do którego p. Hinczko podskarbi przeprowadził się ze skarbem królewskim z domu p. *Ottona z Pilczy*, na rozkaz króla J. M., 1 grzywnę i 14 skojców; za robotę tasiem (*pretexte*) zwanych *tkanice* (*tkanicze*) do przepasek dla panien, dla których król J. M. rozkazał przepaski porobić, 1 grzywnę 8 skojców; za podejmowanie *Hostaszka* Rusina w gospodzie, z polecenia króla J. M., ½ grzywny.

We środę nazajutrz po *św. Katarzynie* (26 listopada): za *pobrzeszczenie* (*pobrzeszczene*) i pokostowanie (*pocosszczene*) dwóch łuków królewskich, z polecenia króla J. M., 1 wiardunek; za skóry kupione dla zrobienia poduszek (*pulvinario*) dla króla J. M., 3 wiardunki.

W sobotę w wigilią *św. Andrzeja* (29 listopada), posłańcowi do króla J. M. do Radomia, 1 wiardunek; za uszycie poduszek ze skóry dla króla J. M., 1 wiardunek; za uszycie worków i *krepłuchów?* (*crepluchonum*), 2 skojce; za sanie (*pro veijclis dictis sanij*), na których potrzebne porządki do Radomia zawieziono, 4 skojce; za *nabiodrki* i *naszelniki* (*naschyniki*) do tychże sani, 3 skojce.

Nazajutrz po *św. Mikołaju* (7 grudnia) na wydatki *księcia Skirgiełły* przez cały czas co w Krakowie przeleżał (*jacuit*) od czwartku po 11,000 Panien (od 24 października) po dzień w którym wyjechał, jak w osobnym rejestrze jest zapisano (3), 352 grzywien. Za 1 kamień pieprzu, 5 grzywien 10 skojców.

(1) *Skirgiełło*, książę kijowski.

(2) Aput *Paulum Warzinkij*. Nazwisko to zupełnie tak napisane, jak sławnego *Mikołaja Wierzynka* podskarbiego Kazimierza Wielkiego; napotykamy je pod rokiem 1393, gdy poczet osób tego nazwiska (przekręcanego na *Wersing* i *Wirzing*) wyliczonych w *Ambrożego Grabowskiego Starożytniczych wiadomościach o Krakowie* (str. 288—289) poczyna się dopiéro od r. 1406.

(3) O tym długim pobycie ks. Skirgiełły w Krakowie piérwszą tu wiadomość znajdujemy; może wtenczasto pogodzili go Jagiełło i Jadwiga z Witoldem, gdyż o podróży królestwa do Litwy wspomnianéj u Długosza pod r 1393, żadnego śladu nie znajdujemy. Chybaby ta na wiosnę tego roku miejsce miała.

W Radomiu, posłańcowi od króla do miast, aby księciu Skirgielle przy wyjeździe z Radomia na potrzeby jego wszystkiego dostarczono, 16 skojców.

Posłowi z listami do miast, uwiadamiającemi, że *książę Skirgiełło* nie pojedzie do Krakowa, 1 wiardunek.

Flecistom i lutnistom (fistulatoribus et citaristis) króla J. M. i królowéj wedle zwyczaju *na kolędę* (pro *colenda*), 3 grzywny.

Woźnicom króla J. M. także na kolędę, 3 grzywny.

Kucharzom króla i królowéj J. M. podobnież 2 grzywny.

Litwoszowi komornikowi króla J. M. posłanemu do Mazowsza, w interesie króla J. M na wydatki, 1 wiardunek; za 1 łokieć sukna dla małego księcia *Somiszka* (Duci parvo *Somisconi*), na buciki (*pro caligis*) 7 skojców; za 1 łokieć sukna szaraczkowego dla towarzysza tegoż, 3 grosze.

We środę w wigilią *Obrzezania Pańskiego* (31 grudnia), panu *Januszowi* szafarzowi króla J. M., na wydatki króla J. M. na drogę do Mazowsza, 37 grzywien.

Panu *Krystynowi*, mistrzowi dworu królowéj pani, na wydatki tejże królowéj, 36 grzywien.

Rusinowi posłanemu z listami do księcia Witolda, 1 wiardunek.

Wojtkowi szafarzowi z trzema towarzyszami, którzy po odjeździe króla aż do Mazowsza pojechali dla urządzenia wydatków królewskich, 8 grzywien.

Rozdano na różne potrzeby, które król J. M. *Wilhelmowi*, prokuratorowi sandomierskiemu poruczać raczył, 8 grzywien.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PAMIĘTNIKI LEKARZA POLAKA,

Z DOSWIADCZEŃ ZA GRANICĄ ZEBRANYCH, SPISANE PRZEZ NIEGO SAMEGO.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ I.

Boleść kolebką rozumu.— Obiór powołania.

Tak jest, a nieinaczéj: z własnych, i to jeszcze bardzo dotkliwych cierpień wykwitła myśl, wzrosło we mnie postanowienie poświęcenia życia mego dla ulgi cierpiącéj ludzkości, i tu w krótkich opowiém słowach, jakim dziwacznym, a jednak naturalnym zbiegiem okoliczności to się stało.

Jeszcze zanadto młodego wyrwał mnie los zawistny z grona rodzinnego, i w rok potém niespełna, zarzucił chorego, rannego, obolałego daleko od zagród rodzinnych, na obcą ziemię. Przez czas bardzo długi, przeszło przez dwa miesiące nie znałem całéj głębi mego nieszczęścia: leżałem bez przytomności, trawiony gorączką, w któréj gorzały siły moje niszczącym życie płomieniem. W głowie chaos okropny: tysiączne fantasmagorye, czasem potwornie śmieszne, ale najczęściéj duszę przestraszające, obrazy nadsuwające wszystkich uczuć przedsmaki, ale prawie zawsze rozpacz. Kręcono się około mnie; to jakoś spostrzegałem, ale nie wiedziałem, czy to byli aniołowie, czy czarci? czy te istoty w zamiarach przyjaznych, lub nieprzyjaznych przybyły? Raz bowiem zadawały mi ból, drugi raz wyświadczały ulgę. Nie wiem, czy spokojno-

ści zupełnéj, czy zdrowego uśpienia balsam, choć raz jeden duszę trwogą miotaną pokrzepił; mnie się zdaje, że nie: mnie się zdaje, że w najspokojniejszych chwilach jeszcze mnie trapiły jakieś niewypowiedziane nudy i gorycze, jakieś silenia się za uchwyceniem wątka zdrowéj myśli w zaklęciu leżącéj, wijącéj się, targającéj jak wąż w błotnistym kale. Czasem znowu owe wizye fantasmagoryczne dochodziły do wyraźności prawdziwie zastraszającéj. Tu widziałem trumny, tuż obok siebie trumny białe, żółte i czarne: nawet mnie zalatywał zapach terpentyny z ich wernixu; tam znów zblizka dochodził głos grobowy organu i śpiew żałobnych himnów. Cóż? czy mnie już chować chcą jeszcze żyjącego, jeszcze myślącego przynajmniéj? Grzebać mnie chcą jak trupa, mnie, który jeszcze czuję bole, pragnienie i trwogę, a znaku życia żadnym dać nie mogę sposobem, jak jękami, których odgłos na otaczające mnie osoby i ściany żadnego nie sprawia wrażenia! A niezupełnie niedorzeczne były te obawy; wskrzeszały one w pamięci okropne wspomnienia z lat dziecinnych jeszcze: wszakże o mało co podobnemu nie uległem nieszczęściu. Tak istotnie, w dzieciństwie mojém przez dzień cały w śmiertelnym byłem pogrążony letargu: już grób mi wykopano, już na marach leżałem! Ja nic wprawdzie nie pamiętałem z tego letargu i z tych przyborów śmiertelnych; ale ileżto łez matka moja nie wylewała, opowiadając szczegóły téj okropnéj przygody. Hal ten głos żałobnego organu, widok trumien, zapach terpentyny, krew mi w żyłach ścinał i serce ściskał; głaz na niém czułem okropny, zimny, a męki piekielnych rozpaczy szarpały wszystkie me nerwy, i żadnego z nich poruszenia wydobyć nie zdołały. I znów spokojniejsze następowały chwile: i znów mnóstwo mnie otoczyło ludzi w różnych mundurach, a jegomość jakiś w stosowanym kapeluszu, z ogromną czerwoną twarzą, w haftowanym kołnierzu, z mieczem przy boku, język mi pokazywać kazał; a drugi podobny, tylko jakoś młodszy, z wąsikami, głowę mi wiązał, nogę mi palił okropnie i krępował! Dwie także niewiasty kręciły się w niepokoju: jedna starsza, druga młodsza. Taki stan trwał długo, przez całe tygodnie, i nigdy okropność jego nie wyjdzie z méj pamięci; potém coraz niewyraźniéj czułem ból i trwogę, szał miotający myślami ustał, omdlenie jakieś nudzące nastało. Potém już nic nie czułem więcéj; zdawało mi się, że prawie całkiem umarłem, i na-

reszcie wszelkie ustało czucie. Nie! niezupełnie wszystkie jeszcze: niby czułem, że wszystkie me siły rozpierzchłe, rozproszone w swe żywioły po całym niezmiernym przestworze ciemnego chaosu, dzwoniły piskliwém tętnem, jak gdyby domagając się skupienia lub ostatecznéj nicości. I ten stan trwał także długo: ten stan uczucia nicości, podczas którego dusza moja błąkała się i tułała na pograniczu pomiędzy życiem a śmiercią, i wahała się, czy ma pozostać tu lub owdzie, a zaczepić się nie mogła nigdzie.

Było to sen bez marzeń: sen śmiertelny ciała, i sen duszy razem. Ale i to śmiercią nie było, bo dusza nie śpi, gdy ciało żyć przestanie. Dusza w chwili śmierci oswobodzona z więzów ciała, samoistnie żyć zaczyna, i na skrzydłach wznosi się ku niebu: wié, że istnieje, i wié, że kiedyś w ciele ludzkiém przebywała.

Nic z tego uczucia błogiego nie doznawałem. W chwilach natchnienia religijnego przeczuwanéj swobody duchowéj—nie doświadczałem ani razu w téj długiéj i okropnéj chorobie.

Nie umarłem! Tylko jednego pięknego południa, promienie słońca jasne i ciepłe padły na me powieki i rozwarły je. Stęsknione źrenice ścigały źródło tego życiodawczego płynu, i zoczyły postać jakąś tuż obok mnie siedzącą: postać młodéj, ładnéj dziewczyny, z nadzwyczaj łagodną i miłą twarzą.

I znów się zawarły powieki, olśnione światłem i widokiem tak niespodziewanym. Pojąć nie mogłem, co tu robi ta dziewczyna, tu, tu, w obozie!

Nie wiedziałem, że mnie sześć tygodni czasu od scen obozowych przedziela; pamięć moja jeszcze w nich krążyła, czyli raczéj skrzepła w ostatnich bolesnych wrażeniach. Znów omdlałem i dzień prawie cały zszedł w tém omdleniu, ale z pewnemi przerwami. Kilka razy otwierałem znów oczy nieśmiało w ciągu dnia tego, i zawsze inny mnie uderzył widok: raz ujrzałem ordynansa mego śpiącego obok kominka, drugi raz kolegów palących fajkę; znów owych jegomości w mundurze, wiążących mi głowę i nogę, a na ich twarzy jakieś uczucie radości dostrzegłem: nawet przemawiali do mnie. Potém znów młodą dziewczynę wyraźnie widziałem, jak mi łyżką w usta wlewała coś bardzo pokrzepiającego; nareszcie nic już nie dostrzegłem, choć doskonale oczy otworzyłem: ciemno było oko-

ło mnie, tylko nędzna lampka gdzieś w kącie tlała, i ktoś chrapał nielitościwie pod słabo oświetlonym kominem. To zapewne noc i mój ordynans Stanisław; tegom się domyślił, bo już pojęcie choć słabo, wyraźnie jednak wykwitać zaczęło z chaosu myśli moich.

Sen mnie zmorzył posilny, pokrzepiający; sen pełen słodkich, miłych marzeń, i duszę moją poniósł w zagrody rodzinne i w grono ukochanéj rodziny. Matka moja robótkę robiła, i często łzy z jéj źrenic na nią spadały:—o synie, owym tułaczu myślała. Ojciec książkę czytał, i często ją zamyślony na stół kładł, i oczy ku niebu zwracał:— on mnie błogosławił. Siostra pisała coś, zapewne list do mnie; a brat nad kartą jakąś geograficzną pochylony ślęczał:—niezawodnie odgadywał, gdzie ja być mogę i jaka mnie przestrzeń od brzegów Nidy przedziela. Ja żyję! ja żyję, zawołałem mimowolnie, i głos mój usłyszałem. Stach się zerwał równemi nogami, i lekarstwo mi zadał bardzo jakieś dobre; nowe we mnie wstąpiły siły. Ach! jak dobrze żyć i na tym smutnym świecie, powiedziałem czy pomyślałem, i znów mnie otoczyły snu błogiego opiekuńcze skrzydła, i jak nowonarodzony dziękowałem Bogu rzewném, serdeczném, choć w słowa nieujętém uczuciem wdzięczności!

Budzi mnie głos organu. Oh! jak pełne, przejmujące a harmonijne tony! Kąpie się w nich jak w eterycznym płynie dusza moja, do wyraźnéj zbudzona wiedzy. Oczy otwieram, i znów widzę miłą, schludnie w bielutki i malutki czepeczek ubraną dziewczynkę. Na ten widok wróciła mi się mowa.

— Moja ty! czy to sen, czy to na jawie? Powiedz mi, co tu robisz w obozie wśród tego zgiełku, pomiędzy temi trumnami?

Dziewczyna zaręczała mi w niemieckim języku, że jednego słowa z méj mowy nie rozumié, i zarazem prosiła, abym milczał, bo mi gadać niewolno: mógłbym omdléć, zapewniała.

— Będę milczał, będę milczał—odpowiadam po niemiecku także—ale powiedz na Boga, czy ja żyję, i czy ty żyjesz także?

— No pewno, że żyjemy oboje—odpowié Niemka, śmiejąc się tak serdecznie, że jéj łzy w oczy wstąpiły— ale niech pan nie gada, bo to niezdrowo; znów pan gotów omdléć. Doktor Schulgang zabronił gadać.

— Jaki doktor Stuhlgang? nie znam żadnego doktora Stuhlgang.

— Ale, *um Himmels Willen*, nie doktor Stuhlgang, tylko dr. Schulgang, lekarz pułkowy z trzeciego pułku kirasyerów. To on pana wyleczył, ach! to dobry doktor.

— Powiedz, powiedz *mein liebes Mädchen*, gdzie ja jestem, u kogo i od jak dawnego czasu?

— Jesteś pan w Elblągu od sześciu tygodni, na *Burg-Strasse*, w domu mego ojca stolarza Braun.

— A te organy, co tak huczą ciągle żałośnie i przejmująco?

— To organy z *Burg-Kirche*; w niéj się ćwiczy szkoła organistów co dzień rano i popołudniu.

— Cha! patrz *mein liebes Mädchen*, niemało mnie przestraszały; oh! dały mi się we znaki. Ale powiedz jeszcze, tu jakieś widziałem trumny około siebie; trumny i trumny: małe i wielkie, jasne i ciemne, ale wszystkie śmierdziały terpentyną.

Zasępiła się dziewczyna i rzekła:

— Ach! prawda: jeźliś pan widział co się około pana działo, toś pan nieraz musiał spostrzedz trumny, bo u mego ojca fabryka jest tych użytecznych mebli, a skład ich tu w sieni zaraz obok pokoju pana. No patrz pan, tegośmy nie przewidzieli; bo pan leżał jak człowiek bez duszy i życia, i znaków nie dawał najmniejszego pojęcia. Tegośmy nie przewidzieli, że pan rozeznajesz, co się około niego dzieje. Boże! a jednak tyle podejmowaliśmy starań, aby panu było jak najlepiéj!

I płakać zaczęła dziewczynka.

— No, pociesz się moja ty, pociesz aniele; przecież wasze starania nie były płonne, przecież żyję, Bogu i wam niech będą dzięki! i żyć będę długo, kiedym z tak ciężkiéj wydobył się proby. Jakże ci na imię, mój anioleczku?

— Mnie na imię Wilhelmina, ale mnie zowią Minna *Schlechtweg*.

— Moja miła Minna, mój dobry aniele, ja czuję w głębi duszy, że cię nigdy nie zapomnę: twój obraz splótł się jak nić jaka złota z dziejami tych ostatnich okropnych tygodni. Dziękuję ci, dziękuję najserdeczniéj za twe dobre serce.

Rozrzewnienie nie dało mi więcéj mówić, a Minna błagała, abym się uspokoił; groziła że zaraz wyjdzie, jeźli słowo jeszcze jedno przemówię.

Osłabiony tém piérwszém użyciem sił moich, tém wysileniem, usłuchać musiałem rady, i niebawem usnąłem; a gdym się znów obudził, ujrzałem obok siebie owego lekarza wojsko-

wego, z ogromną, rumianą, ale pełną dobroci twarzą. Radość błyszczała téj twarzy z oczu, a uśmiech tryumfu i zadowolenia igrał na jéj ustach.

— Ach, to zapewne doktor Schulgang?—rzekłem po chwili, rozpatrzywszy się w fizyonomii dotąd tylko oczom obłąkanéj wyobraźni znanéj, skupiwszy me rozpierzchłe siły umysłowe.

— *Potz der Tausend!*— krzyknął, żywą radością przejęty doktor—jakto, znasz pan me nazwisko? A któż to panu powiedział, jak ja się nazywam?

— Minna, *liebe Minna*, powiedziała.

— Jakto? zaledwieśmy powrócili do życia, i zaraz zawieramy przyjaźń z ładnemi dziewczynami? No, patrzcie moi panowie, jak piękny wstęp! To mi pacyent, co żadnéj nie traci chwili czasu; ten pewnie żadnéj nie miał ochoty umierać—rzecze, serdecznie się śmiejąc doktor, do jakichś jegomości wojskowych, między któremi poznałem mego podpułkownika i kilku kolegów.

— To dobry znak, kochany doktorze, wyborny znak; widać, że nam powrócił całkiem z tamtego świata—rzecze jeden z kolegów.

Siły młodzieńcze raz odzyskawszy swą sprężystość, szybko i dzielnie władać we mnie zaczęły. Z każdym dniem czułem się mocniejszym, i z każdą chwilą świat i życie nowe dla mnie przybierały powaby. Rzewnie dziękowałem Bogu za przedłużenie tego życia, które już w niewielu latach istności, zaledwie doszedłszy do lat młodzieńczych, przez tak trudne miało przechodzić proby, i tak wielkich rzeczy miało być świadkiem i współdziałaczem. Jakieś tkliwe a urocze usposobienie religijne posiadło całą mą duszę, otoczyło ją jakby atmosferą świętości, i trzymało ją w błogiém odosobnieniu czystą i nieskalaną żadną myślą ziemską. Jeżelim wiele cierpiał podczas téj strasznéj gorączki, która przez sześć tygodni ciało me żarła i trawiła, tom téż w stosunku więcéj jeszcze doznał rozkoszy cichéj i lubéj podczas tych kilku tygodni, których potrzeba było do odzyskania dawnego zdrowia. Dr. Schulgang odwiedzał mnie codziennie, czasem po dwa i trzy razy nawet, gdy mu się zdawało, że coś nie idzie zupełnie dobrze. Z jaką się troskliwością we mnie wpatrywał, z jaką pieczołowitością odgadywał i usuwał wszystko, co mi szkodzić, a przykazywał wszystko, co mi dopomódz mogło! Całe godziny trawił ze mną,

uśmierzał me trwogi i tęsknoty, prostował myśli od logicznéj czynności odwykłe, nadzieję mi wlewał w serce, i w miarę ubytku przyjaciół i kolegów, już się rozjeżdżać zaczynających we wszystkie, a po części dalekie strony świata, zastępował mi kolegów i dawnych przyjaciół.

Na takie dowody ludzkości pozostać nie mogłem obojętnym; i w miarę sił nowo nabieranych, rosła ma wdzięczność względem lekarza, który tyle podejmował trudów, a nawet i kosztów dla pacyenta nieznanego mu wprzódy, względem cudzoziemca, do którego narodowości niewiele było wówczas społeczucia ani łącznika. A żadnego nie chciał przyjąć wynagrodzenia, żadnego nawet podarunku, za dowód wdzięczności służyć mogącego; owszem, gdym mu tylko o wdzięczności prawić zaczął, jego twarz, już bez tego rumiana, purpurą wstydu się oblewała: widocznie go raziły moje oświadczenia.

— Panie doktorze, na Boga! tyle bezinteresowności ciążyć mi będzie kamieniem na sercu, dopóki żyć będę. Jakto? nawet i upominku przyjąć nie chcesz za tyle godzin strawionych dla mnie, za tyle znojów i tyle dobrodziejstw od tak dawnego czasu mi wyświadczanych?

— Cnotą to jest jedną z najpiękniejszych i najrzadszych razem, umieć znosić dług wdzięczności, a jeszcze większą, wypłacać go ludzkości, gdy się zdarzy sposobność i możność. Ale doprawdy, młody mój przyjacielu, i téj nie zaciągnąłeś powinności: ja za mój czas i za moje znoje sowicie wynagrodzony jestem przez ciebie samego. Ty jesteś moim pomnikiem lekarskim, i przez ciąg życia mego żywić mnie będziesz wiarą w siły moje; a twój obraz odganiać będzie wszelkie napastowania szatańskie, jakie powątpiewania w skuteczność nauki medycznéj w niejednego lekarza duszę wlewają. Tylko zważ młody mój przyjacielu: siłą mojéj nauki zwalczyłem tyfus i dwie rany niebezpieczne, nurtujące twe ciało, w samym rozwoju niesłychanemi znojami osłabione. To rzadko się uda tak piękna kuracya; miło ją sobie przypisać: jestem tedy wynagrodzonym przez ciebie, choć już pomimo woli twojéj. Dla tryumfu sztuki, któréj poświęciłem istność moję, i wroga starałbym się ocalić: czegożbym więc nie zrobił dla biédnego człowieka, a jeszcze tak nieszczęśliwego!

— I nieprzyjaciela osobistego ratowałbyś dla tryumfu sztuki swojéj?—zapytałem.

— I nieprzyjaciela osobistego. Zaiste zdaje mi się, że i takiego nawet, któryby na me życie godził, gdy siły odzyska; w pełnieniu tak pięknych obowiązków, jakiemi są lekarskie, łatwo zapomnieć siebie samego. Oh! wierzaj mi młody mój przyjacielu, wszakże człowieka cała wartość, duch jego i rozum są na probę wystawione, gdy idzie o ratowanie chorego i o zwalczenie choroby. Kiedyż może znaleźć mocniejsze do szlachetnego czynu pobudki, jeżeli nie przy łóżku chorego, za którego przyszłość odpowiada? — rzecze Dr. Schulgang; a tak poczciwa wiara na téj wielkiéj a rumianéj i prozaicznéj malowała się fizyonomii! Nie, w téj chwili pięknym mi się wydawał, jak najśliczniejsza dziewczyna.

— Oh doktorze! jak piękne posłannictwo twoje, jak świętą tchną religią twe słowa, a czyn jak słowu odpowiada! Wszyscyż tak lekarze pojmują piękność zawodu swego?

Zachmurzył się dobry Niemiec, i zażył tabaczki jak najmatematyczniéj, nim się na odpowiedź zdobył.

— Wielu powołanych, mało wybranych! Niestety! nie wszyscy lekarze tak swe obowiązki pojmują, i z powołania najświętszego niejedni robią proste tylko a częstokroć i brzydkie rzemiosło. Tak, do rzemiosła zniżają to, co powinno być najpiękniejszą z najpoważniejszych nauk wykwitłą sztuką; ale zaszczyt niech będzie zawodowi: w liczbie jego kapłanów od Hippokratesa do dnia dzisiejszego, od XXII wieków znalazło się tylu dobrych i zacnych, że honor naszego zawodu utrzymać zdołali. Widać, że godni zwolennicy Eskulapa więcéj dobrego, jak niegodni złego zrządzić zdołali.

Widząc, że wielkie na mnie sprawił wrażenie mój lekarz, przerwał rozmowę, wstał i poszedł obiecując wrócić nazajutrz.

Oh! jak płodną była w wyniki ta moja rozmowa z poczciwym doktorem! Całego mego życia koléj wytknęła od razu. Nigdy, od małego nawet dziecięcia, nie należałem do rzędu niedołęgów żyjących bez celu życia, od dnia do dnia, bez chęci służenia społeczeństwu, między którém się mieszczą. Skończyłem raz nazawsze zawód, do którego mnie wyjątkowe i nieprzewidziane wezwały okoliczności; skończyłem go raz na zawsze, bo w nim zasmakować żadnym sposobem nie mogłem: ani dusza ma samoistności łaknąca, ani serce dobrocią tchnące, ani umysł uczuciem porządku się rządzący, zadowolenia w nim

nie znalazły. Przechodni to był stan, w którym od roku trwałem i nic mnie nie zachęcało do wytrwania w nim.

Naprawdę, ale powiadam *naprawdę* zacząłem myśléć o zadaniu, jakie na mnie wkładało życie, którego odnowione tętno mocno w serce dzwoniło.

Cóż z ciebie będzie, cóż z sobą poczniesz człowiecze, który już za młodu i w tak trudnych okolicznościach srogości życia doświadczyłeś, któryś je przetrwał i siły swe po ciężkiéj chorobie z woli Boga odzyskawszy, do nowych wysileń z Jego woli powołanym się czujesz? Tak do siebie samego przemawiałem.

Całe życie się mozolić, aby godzić na szczęście, spokojność i istność tych, którzy nie tak wierzą jak ja? Nie! to misya nieodpowiadająca memu sercu. Grać, malować i tańczyć dla ubawienia oczu, uszu i zmysłów ludzkich? Nie! to posłannictwo nieodpowiednie polotowi mego ducha; zresztą i talentu na to mi niestarczy. Filologii, filozofii się poświęcić, ślęczyć całe życie nad książkami i z martwych liter miliona, starać się wyciągnąć jedno słówko, na niepewne dobro ludzkości może wpłynąć mogące? Nie! na to cierpliwości mi niestarczy, ani téż w systematologią te dostatecznéj nie pokładam wiary. Poświęcić się teologii, służbie bezpośredniéj Boga? Nie! zanadto szybko krew w mych żyłach krąży: ja pragnę czynu, natychmiastowych wyników mych prac, starań i poświęceń.

Jeden tylko zawód odpowiada memu sercu, memu duchowi, i żywości mego temperamentu, a zarazem zadowolniłby moję ambicyą daleko sięgającą, i umysł na wielki obszar patrzyć lubiący. Zawodem tym jest nauka lekarska, czerpająca swe zasoby w wszystkich naukach przyrodzonych, a dozwalająca mi kochać całą ludzkość, i świadczyć dobrze nawet i nieprzyjaciołom, żyć zgodnie z sumieniem chrześcianina, i zgodnie z chęcią człowieka czynu. Znać wszystko co bliźniemu szkodzić może, i poznać wszystko, co mu ulgę sprawić zdoła: jaka to piękna wiedza w rękach człowieka, którego serce pała dobrą chęcią względem ludzkości!

Dość, że już w méj rekonwalescencyi i jeszcze nie będąc w stanie podnieść się z łoża, na które mnie rzuciły rany i choroba; jeszcze świeżo mając wyryte w pamięci zniesione cierpienia, postanowiłem poświęcić się sztuce lekarskiéj, któréj

skuteczności winien byłem życie moje. Wiele żałowałem w mojém życiu słów i czynów, ale tego postanowienia nigdy; i zdaje mi się, że nigdy trafniéj człowiek nie odgadł swego powołania i swych usposobień, jak ja wówczas.

— Doktorze! nie mogę ci dać większego dowodu szacunku, jak oto ten, że sam postanowiłem być doktorem i tobie podobnym!—rzekłem jednego pięknego poranku do mego lekarza; i nigdy może w mém życiu nie sprawiłem komplementem większego wrażenia, bo dobréj wiary i rzetelny Schulgang, ani na chwilę nie wątpił o méj rzetelności, o méj dobréj wierze.

— Brawo! brawo! przyszły mój kolego! Co mi pan mówisz, to mnie do głębi duszy rozrzewnia, ale niewiele zadziwia, bo niezupełnie niespodzianie przychodzi. Wiedziałem ja, że z tego zamyślenia pańskiego i z tych pytań, zadawanych mi o medycynie, wykluje się jakieś postanowienie. Brawo! niemasz piękniejszego powołania jak zawód lekarski: w nim człowiek może korzystać z wszystkich nauk dla dobra ludzkości, w nim człowiek najswobodniejszy i najważniejszy zarazem, bo życia i śmierci częstokroć arbitrem.

U mnie postanowienia nigdy nie idą *ad acta*, ani téż nie gniją w tece: wziąłem się tedy raźnie do przedsięwzięcia. Wszyscy tymczasem moi koledzy wyjechali w najrozmaitsze i najodleglejsze strony świata; ja sam pozostałem i za żadnym iść nie miałem ochoty: mnie nie przyciągały uroki Zachodu, bo od małego dziecięcia jego mieszkańców doskonale znałem. Dom mego ojca był, że tak powiem, koszarami dla Francuzów wracających z niewoli, lub szukających chleba po wszystkich kątach świata podczas restauracyi. Znałem tego walecznego a lekkomyślnego narodu wady i przymioty. Nie spieszyłem się tedy na Zachód: wolałem pozostać w atmosferze méj ziemi i rodziny, w kraju, w którym już znalazłem dobrych, poczciwych ludzi, pomiędzy narodem sławnym z swych naukowych zakładów. Bóg mi téż przyszedł w pomoc, i cudownie ułatwił mych przedsięwzięć, zamiarów i chęci urzeczywistnienie.

Razu pewnego jawi się u mnie z doktorem Schulgang kapitan jakiś trzeciego pułku piechoty pruskiéj, którego nigdy nie widziałem, i z wzruszeniem, które zaledwie zdołał opanować, wpatruje się we mnie, i pyta: czy jego twarz nie nasuwa mi w pamięci, z podobieństwa, obrazu bardzo mię blizko obchodzącéj osoby?

Twarz miał piękną, regularną, lubo bladą bardzo, i drobnemi znakami ospy gęsto przypruszoną; czoło niezmiernie rozumne i śmiałe, włosy obfite czarne, i oczy niezbyt wielkie ale czarne, pełne ognia i blasku. Przytém jakiś charakterystyczny, odrębny od zwykłości, szlachetny, i dziwnie tkliwe we mnie wzbudzający uczucie, profil.

— Boże! jak dziwne, w oczy bijące podobieństwo do méj matki!—rzekłem zdumiały, drgając z wzruszenia.

Ledwom to wyrzekł, a już kapitan pruski był w mych objęciach.

Istotnie byłto H..... brat rodzony, młodszy mojéj matki, przybyły umyślnie z Królewca dla odszukania mnie, dla odwiedzenia mnie od podróży na zachód, dla namówienia mnie do pozostania w Prusach, i oddania się tamże nauce lekarskiéj.

Dziwnym instynktem, lub też życzeniem dyktowaném przez rozum i serce, rodzice moi, nieznając mego ówczesnego usposobienia umysłowego, ani też wyjątkowego położenia, obmyślili dla mnie tęż samą karyerę, którą ja sam obrałem dla siebie.

Wuj wyjechał z Królewca, aby mnie odszukać; mało jednak miał nadziei znalezienia mnie jeszcze w Prusach, bo już prawie wszyscy koledzy moi opuścili kraj ten; mniéj jeszcze miał nadziei odstręczenia mnie od projektów zachodnich, bo wówczas prąd tam pędził silny, a za prądem biegło wszystko szalenie. Niemało się tedy ucieszył i zadziwił zarazem znajdując mnie jeszcze w Elblągu, a przedewszystkiém znajdując tak usposobionego do pójścia za radą rodziców.

Królewiec był przytułkiem rozbitków starodawnéj z Szwecyi pochodzącéj rodziny Hor...., z któréj matka moja pochodziła. Matka jéj, siostra, dwóch braci, jeden w wojsku służący, drugi dostojne miejsce w sądownictwie zajmujący, żyli jeszcze w tém mieście, i cieszyli się z przybycia członka rodziny nigdy nieznanego, a burzą losu w te strony zawianego.

Uzyskawszy dymissyą od władzy właściwéj, i raz jeszcze zaprezentowawszy się generałowi pruskiemu Kanitz *in pontificalibus militaribus*, w towarzystwie wuja mego wyjechałem z Elbląga, w którym trzy miesiące na łożu boleści przepędziłem.

Przyjęto mnie w starym grodzie królewieckim tak, jak ludzie szlachetni, pełni serca i duszy przyjmują rozbitka.

Sześć miesięcy pracowałem dniem i nocą, aby trudny w szkołach pruskich złożyć examen *maturitatis*.

Ale ten examen źle złożyłem *cum laude*, i zapisany zostałem w poczet *Civium Reipublicae literariae Universitatis Regiomontanae dictae Albertinae*, a zarazem w poczet uczniów wydziału lekarskiego.

I oddałem się z całym zapałem młodzieńca, który już proby ognia przebył, nauce sztuki, która każe dobrze robić przyjaciołom i nieprzyjaciołom.

ROZDZIAŁ II.

Lekarz pogardzający formami światowemi.

W żadnym może zawodzie nie różnią ludzie tyle się od siebie temperamentem, charakterem, i innemi właściwościami moralnemi, jak w zawodzie lekarskim. Tę ważną i w oczy bijącą prawdę miałem sposobność poznać już w piérwszych latach mego pobytu w uniwersytecie. Przy łóżku niejednego z mych licznych krewnych i jeszcze liczniejszych rodaków, przebywających w Królewcu dla nauki, zdrowia lub innych interesów, widywałem często lekarzy, i gotując się sam do wstąpienia w to uczone ciało zdrowia-dawców, z napiętą uwagą śledziłem każde słowo, każdy giest mych starszych w karyerze. Choć ci panowie jednemu się poświęcili zawodowi, po większéj części w jednym kraju i w tym samym uniwersytecie nauki pobierali, jednakże różnili się od siebie tysiącznemi właściwościami. Zdawało się, że pierwotna, w organizacyi przyrodzonéj ugruntowana różnica, rozpada się na coraz liczniejsze i dzielniejsze odcienia, im więcéj nauka trudna, głęboka, wszechstronna umysł ich ukształcała, i duszy wyższy nadawała polot. Takjest: każdy żołnierz do każdego żołnierza, każdy prawnik do każdego prawnika, każdy nawet ksiądz do każdego księdza są więcéj do siebie podobni, jak jakikolwiek z lekarzy do drugiego, żeby do niego najwięcéj zbliżonego. Mnie się zdaje, że przyczyna tego zjawiska leży w naturze rzeczy; u lekarza bowiem żadna siła

temperamentu, charakteru, rozumu i ducha odłogiem leżéć nie może: wszystkie powinien wyprowadzać do walki, i wszystkich winien użyć w razie danym, gdy bój stacza z zaciętą chorobą i z nudnemi, wymagającemi ludźmi, najczęściéj chorego otaczającemi. A granitowych przecież podstaw medycyna nie posiada, prawidła jéj niewyryte na spiżu, pewności matematycznéj nigdzie: wiele tu jest powierzonem sztuce kombinowania, jaką sam lekarz posiada, – jego osobistemu natchnieniu, że tak powiem z natychmiastowości duchowéj, nieokreślonéj żadném prawidłem, wynikającéj. Dlatego może tak wielka różnica pomiędzy lekarzami zachodzi, że w żadnym innym zawodzie nie walczy się tak rozlicznemi siłami przeciw tak mało znanemu nieprzyjacielowi. Lekarz gorliwy i w zawodzie swym rozkochany, wykształca w sobie pomimowoli siły jakieś instynktowe, dotychczas z nazwiska nawet nieznane, u księdza, prawnika i żołnierza zupełnie odłogiem leżące, bo ci szczęśliwsi, z pewniejszemi rzeczami do czynienia mają.

Uderzyło mnie to zjawisko: ów zupełny brak podobieństwa w charakterze, formach i sposobie myślenia pomiędzy ludźmi oddającemi się temuż samemu zawodowi, zwłaszcza, gdym różnicę niezmiernie rażącą znalazł w dwóch bardzo uczonych lekarzach, z któremi miałem sposobność często być w styczności. Zjawisko to sprawiło na mnie wielkie wrażenie, nawet wpływ na mnie wywarło niezatarty. Zdaje mi się, że pod wielą innemi nawet względami zasługuje być opowiedzianem.

Razu pewnego, było to w trzecim roku mego pobytu w Królewcu, bawiemy się w najlepsze u księcia Hes... Hom.... generał-porucznika armii pruskiéj. Trzeba wiedzieć, że akademik królewiecki do najdostojniejszych był przypuszczanym towarzystw, jeżeli chęć do tego objawiał wizytą etykietalną; chętnie go nawet bardzo widywano, i wiele mu przepuszczano form burszowskich, gdy przynajmniéj nieźle tańczył i jakotako się ubierał. Działo się to za czasów, gdy cywilnemu tańczyć chcącemu, niewolno było występować inaczéj, jak w trzewikach, pończochach, krótkich okolicznościach, fryzowanych włosach, i w kłaku. Dość, że się bawimy w najlepsze; gospodarz młody i uprzejmy, gospodyni jeszcze młodsza, nadzwyczaj nadobna i wesoła. Bawić się umieją i Niemcy najwyborniéj, i dowcipu im niebraknie, gdy z pięknych ócz strzela światło, gdy szumna zagra muzyka, i gdy dobre wino wałęsa się często po salo-

nach, a w Królewcu naprawdę jednego, drugiego i trzeciego wówczas było podostatkiem. Naraz w przestanku pomiędzy kontradansem czy kadrylem a walcem, czy też galopadą (polki królowéj tańca jeszcze wówczas nieznano, z imienia przynajmniéj), zbliża się do mnie księżna H. H. z ciotką moją baronówną H. i obie mnie proszą, abym na chwilę zajrzał z niemi do dzieciarni, gdzie młode książę, niemowlę jeszcze, pierworodny syn domu, nagle zasłabło, i znajduje się w stanie wzniecającym obawę. Istotnie tak było: piękne, zaledwie sześć miesięcy liczące dziecko, leżało z rozpaloną głową, ciężko oddychało, pogrążone w śnie jakimś niespokojnym, z którego zbudzić go nie można było.

— Przedewszystkiém, zdaje mi się, przyłożyć dziecku wodę zimną z octem na głowę, i synapizma na nogi przystawić; ale zresztą, zaledwie jestem trzechletnim uczniem medycyny, brać nie mogę na siebie odpowiedzialności za zdrowie żadnego pacyenta. Księżna pani raczy posłać natychmiast po swego lekarza domowego. Któż jest lekarzem domu?

— Pan Linden, generalny lekarz korpusny; ale go nie ma w téj chwili w Królewcu: byłby tu razem z nami na balu. Boże! co tu począć: niedawno jesteśmy w tém mieście, żadnego innego godnego zaufania nie znamy lekarza — odpowié zakłopotana i łzy roniąca księżna.

— Należy tedy posłać do najbliżéj mieszkającego, jednego z najsławniejszych w mieście professora Sachs: nic czasu nie tracić.

— Ależ na Boga, ten pan Sachs, to sławny oryginał i wielki brutal, *mon cher cousin*,—zarzuci moja ciotka, która była panną.

— Prawda, ale bystry i cudownie trafny lekarz, a tu trzeba prędkiéj decyzyi. Radzę posłać po pana Sachsa, a zresztą sam po niego pójdę.

— Nie, nie, na Boga! zostań pan przy mém dziecku, i opowiedz lokajowi, gdzie mieszka professor Sachs — przerwie księżna i sadza mnie przy kolebce.

Okładania zimne i synapizma pewną ulgę sprawiły dziecku, ale niewielką. Nadchodzi nareszcie straszny pan Sachs, ale w stroju bardzo niedbałym, z czapką na głowie, którą zdejmuje dopiéro w środku pokoju, a co gorsza, pod nie-

złą datą: miał bowiem zwyczaj w nocy swe dzieła (1), które wielkiéj dostąpiły sławy, pisać, i pracę sobie słodzić rzęsistemi libacyami wybornego Bordeaux.

Usiadł przy łóżku pan professor. Książę i księżna chcą mu coś rozprawiać o chorobach, które dziecko już przeszło: o szczepionéj ospie, o apetycie i t. d. Pan professor prosi, aby sobie nie zadawano pracy, bo on już sam pozna co dziecku brakuje, bez żadnych pytań i odpowiedzi.

Spojrzeliśmy po sobie.

Ja znów się wyrywam, i mówię, żem dziecku robić kazał zimne okładania i synapizmy.

— Widzę, że się ktoś na ten rozum zdobył; winszuję panu,—rzecze professor, i rznął o ziemię chustkę napojoną wodą z octem.

Zawstydzony, umilkłem jak trusia, i przeraziłem się okropnie.

Professor obmacawszy dziecku głowę i brzuch, zbadawszy puls, przytknął nos do jego usteczek, wstał z krzesełka i rzekł: Mości książę! dziecko pańskie pijane! (2).

Teraz wszyscyśmy jeszcze raz spojrzeli po sobie i ramionami ruszyli, a ciotka rzuciła oczami na mnie, w których się najwyraźniéj malowały słowa: Otóż tedy masz, piękna rekomendacya: protegujże tu krewnych w wysokiém towarzystwie.

— Tak, tak, dziecko pijane najniezawodniéj!

— Ależ na Boga! dziecko jeszcze ssie: prócz pokarmu, jednéj kropli innéj cieczy w ustach nie miało—zarzuci księżna.

— Jednak pijano. Czy pani sama je karmisz?—zapyta professor.

— Mamka je karmi, panie doktorze.

— Témci gorzéj! A gdzie mamka?

— W przyległym gabinecie odpoczywa sobie; widać, że się znękała: dziecko zapewne było niespokojném, i znużyło mamkę.

— A ha! Nie to, nie to, mościa księżno, tylko mamka pijana, i pokarmem swoim upoiła dziecko. Ale sprawdźmy to, proszę o świecę.

(1) Natürlicher System der Krankheiten, von Dr. Sachs. Pharmacologie und Therapie, von Dr. Sachs.

(2) Durchlaucht! ihr Kind ist besoffen.

Poszliśmy wszyscy do przyległego pokoiku, i tam zastaliśmy mamkę rozgrzaną, jak bochenek świeżo upieczonego chleba, i leżącą bez duszy.

Professor zbadawszy u niéj głowę i puls, zbudził ją i kazał jéj chuchnąć na siebie.

— Stara litewka, niech mnie diabli biorą!—rzecze professor, i zaczyna daléj indagować:

— Ileś jéj wypiła? Daléj, gadaj panna dobrodziejka, daléj!

Mamka zrazu przyznać się nie chce; utrzymuje, że doktor sam pijany. Nareszcie wyznać musi, że uczuwszy ból brzucha, i widząc przygotowany do kolacyi likier, wypiła z niego odrobinę.

— Z kwaterkę?

— Mniéj daleko!

— Z dwa półkwaterki? Daléj, przyznaj się, przyznaj, a darujemy ci winę,—błaga strwożona księżna.

— Tak, tak, było że dwa półkwaterki,—rzecze mamka, i daléj w bek i szlochy.

— A cóż, moja panno, któż z nas tedy pijany: czy ja, czy ty?—spyta professor.

— Oboje, oboje! panie doktorze! wyznaję,—odpowié mamka, nieprzestając płakać.

Zakaszlał się cokolwiek pan professor, i obracając się do mnie, rzekł:

— Teraz do ostatniego najpewniejszego sprawdzenia, do wyleczenia. Stare Hipokratesowskie dictum: *Curationes naturam morborum ostendunt*: „kuracye wykazują naturę choroby", świętą jest prawdą, i w obecnym przypadku najlepiéj się objawi. Inny doktor widząc u dziecięcia rozpaloną głowę, gorączkę i senność tak chorobliwą, pomyślałby, że to początek zapalenia mózgu: goliłby głowę, stawiał pijawki, dał kalomel, trapił synapizmami. Ja, nic z tego nie zrobię: dam cokolwiek ammoniaku, zobojętnię nim alkohol krążący we krwi i cisnący na mózg, i odrazu zniosę chorobę, bom trafił na jéj prawdziwą przyczynę:—na upojenie.

I tak się stało istotnie: doktor przepisał mixturę z spirytusem Minderera (preparacya ammoniakalna), kazał jéj dać dziecku po połowie łyżeczki od kawy, mamce zaś po dwie łyżki stołowe, i oboje przyszli do siebie w bardzo krótkim czasie.

Professor zaś tak był pewnym swéj rzeczy, że pomimo prośby księżnéj, nawet nie wrócił spytać się o zdrowie książątka.

— Jakże się pani podoba professor Sachs?—spytałem księżnéj uradowanéj tak szybką kuracyą.

— Wyborny lekarz, człowiek śmiałych, gienialnych pomysłów; wielkie w nim pokładam zaufanie, i w razach trudnych, jego się radzić będę; ale to człowiek cokolwiek źle wychowany, a nawet prawie brutal. Przyznam się, że na ordynaryusza wolę generalnego sztabs-lekarza Linden: on taki grzeczny, układny, tak mu dobrze w jego haftowanym mundurze z sutemi złotemi szlifami, z swemi orderami; i choć istotnie nigdy nic oryginalnego nie powié, Dr. Linden zawsze jest tak stosownym, tak bardzo stosownym istotnie, i przytém wcale dobre, skuteczne przepisuje lekarstwa.

Rzeczywiście miru nie posiadał u publiczności Dr. Sachs, światły professor teraupetyki uniwersytetu królewieckiego, człowiek z pism swych w całym uczonym świecie znany, a przytém wymowny i pełen gienialności, chociaż wielu, od innych lekarzy opuszczonych, dogorywających chorych od śmierci ocalił, i na nogi postawił. Bystry jak piorun, śmiały jak lew, działał odważnie z pełną wiarą w siłę swéj głębokiéj nauki; działał *cito, tuto et jucunde*: szybko, pewnie i odważnie, jak ojciec medycyny przykazał. Ale z tą głęboką nauką, z tą sprężystością woli, professor Sachs nie umiał połączyć ani łagodności charakteru, ani nadobności w formach. Serce miał najszlachetniejsze, najlepsze dla wszystkich bolejących i biédnych; ale językiem władał obosiecznym i piórem srodze zjadliwém przeciw wszystkim, którzy byli chełpliwemi, zarozumiałemi, obłudnemi, fałszywemi i próżniakami. Żadnéj litości względem tych nie znał. Patrząc z wysokości własnego stanowiska duchowego, ani przypuszczał, żeby te płazy pełzające tak nizko, żadnéj usługi światu wyrządzić niezdolne, mogły się stać niebezpiecznemi i szkodliwemi dla niego, który od wczesnéj młodości ciągle sumiennie pracował na swe udoskonalenie, a poźniéj wszedłszy w życie praktyczne, poświęcał wszystkie swoje chwile dla dobra ogólnego, zapominając sam siebie, wyrzekając się wszelkich próżności świata, tak wielki urok dla wielu nawet wyższych ludzi mających. Takjest, nie przypuszczał, żeby mu te nędzne płazy, co tam pełzają tak nizko w kalc, szkodzić mogły. Zapomniał, że te podłe gadziny niczego nie lubią

co świeci, że one śmią zazdrościć i najwyżéj od nich stojącéj istocie; że te nikczemne żyjątka mają bardzo wiele czasu, bo ich nikt nie potrzebuje; że one przyciągane ku sobie złemi instynktami, porozumiewać się mogą z sobą, a obrawszy sobie zjadliwą żmiję za herszta, walkę rozpoczną długą, ale pewną przeciw świecącéj istocie, która ich się nie obawia, do siebie ich przypuszcza, która ich może ciepłem swego własnego ciała ogrzewała.—O tém zapomniał, albo może wiedzieć nie chciał, i tylko prawdziwie uczonych, cnotliwych i wybranych ludzi serca umiał pozyskać. A tych mało wszędzie, niestety!

Wprawdzie, gdzie tylko była trwoga, tam się udawano do mego światłego professora; ale używszy go, i z rad jego skorzystawszy, źle mu zapłaciwszy, bo nadzwyczaj był bezinteresownym, najczęściéj tak o nim gadano, jak publiczność lubiła żeby o nim gadano. I czemuż mieli postępować inaczéj? Wiedzieli, że Dr. Sachs przywołany do swego najzawziętszego wroga, o wszystkiém zapomni, pójdzie go ratować jak najchętniéj, i tylko jednę mu wyrządzi zemstę, że grosza od niego nie przyjmie *nigdy*. Tę zemstę umieją znosić ludzie z wielką cierpliwością.

Prawda, że brzydkie, nie dodarowania brzydkie wady cień rzucały gruby na ten wielki, szlachetny charakter, i blask jego zciemniały. Dr. Sachs miał niektóre przywidzenia i przesądy; tchórzów naprzykład niecierpiał, i utrzymywał, że w nich nie objawia się nigdy ta siła lecząca natury (*vis medicatrix naturae*), która człowiekowi nadaje prawo do życia; że tacy ludzie mają tylko pożyczaną istność, i że oddać ją winni obszarowi wszechświata, za piérwszém upomnieniem się ze strony natury.

Ale większą jeszcze wadą było, zbrodnią prawie Dra. Sachs, że niewiele znosił kobiét uczonych, zwłaszcza owych, co to o wszystkiém niezmiernie wiele wiedzą, oprócz o tém, że rozum kobiecy w ograniczonych powinien się obracać szrankach, jeżeli ma być trafnym i światu użytecznym. Prawda, że takie uczone damy namiętnie lubią nasuwać doktorowi wybór środków lekarskich; lubią także, żeby doktor pogadał, żeby się należycie wytłumaczył: czemu przekłada takie lekarstwa nad inne; chcą, żeby przepowiedział dzień, godzinę i minutę w których nastąpi śmierć lub wyzdrowienie, i tysiącznemi in-

nemi trapią go pytaniami i spostrzeżeniami; pokoju mu nie dadzą ani na chwilę, do cenzurowania i zganienia zdania jego bardzo są skore:—ale to wszystko robią z chrześciańskiéj troskliwości dla drogiego im pacyenta.

Srogie, i po całém mieście sławne walki staczał professor Sachs z tak lubemi i dostojnemi damami; okropnie się niecierpliwił, mścił nawet przygryzkami bardzo uszczypliwemi, leczył jednakże prędko i dobrze. Szkoda, że nie chciał lub téż nie umiał w sobie połączyć dwóch przeciwnych przymiotów właściwości: sprężystości w działaniu, i łagodności w formach.

Nawet skąpych nie lubił ludzi. Rozpowiadają, że raz się był spotkał piechotą na moście Pregla z dostojną i bogatą jedną damą, któréj nigdy niebrakło pieniędzy na stroje i fety, ale która namiętnie lubiła konsultacye gratysowe, nawet na ulicy, i gdzie tylko spotkała przypadkiem doktora Sachs, tam go się niezawodnie radziła. Oczy ją bolały! „Doktorze! doktorze, przypatrz się mym oczom: strasznie mnie bolą". — „Racz pani przymrużyć oczy, ale bardzo mocno, tak! a teraz nie otwierając ich pokazać język, niech mu się dobrze przypatrzę. Ot tak!"

Dama przymrużyła oczy i pokazała język. Doktor cichaczem się oddala, a gdy dama zniecierpliwiona otworzyła oczy, zoczyła doktora o sto kroków uciekającego, i mnóstwo ludu śmiejącego się około siebie. Wówczas uznano w całém wielkiém świecie, że professor Sachs jest brutalem i facecyonistą najgorszego rodzaju.

Uczniowie wiele mu winni. Nauki przez niego dawane w las nie poszły, bo miał sposób wysłowienia każdéj najtrudniejszéj myśli tak jasno i dobitnie, bo wykład swój krasił tak genialnemi dowcipami, bo tak lapidarnym stylem wyrażał fundamentalne prawdy nauki lekarskiéj: że i w najtępszym mózgu coś uwięzło, i w pamięci pozostanie aż do grobowéj deski.

Jednak niewszyscy go lubili uczniowie; bardzo bowiem był wymagającym i nieubłaganie się obchodził z nieukami i próżniakami: niejednemu z nich dotkliwie uchybił, co boleśnie zostało uczutem nietylko od nich, ale przez koleżeństwo i od innych.

Ubodzy wszyscy go kochali: dla nich był wspaniałym, dobrym, z niemi obchodził się bardzo łagodnie.

Jeszcze żyjesz, szlachetny mężu! Oby te słowa mogły ci być znanemi, i przekonać cię, że to nieprawda, co ci raz Józef Frank z pod Lago di Como napisał: że Polak nie umié być wdzięcznym za udzieloną naukę.

ROZDZIAŁ IV.

Lekarz uczony a nieszczęsny.

Niewszyscy uczeni lekarze posiadają owę bystrość wzroku, trafność sądu i sprężystość w działaniu, jakie tak podziwialiśmy w professorze Sachs. Pomiędzy skończonemi, głęboko w teoryi uczonemi lekarzami, znalazłem nieraz takich, którzy w praktyce talentów odpowiednich swéj uczoności nie wykazywali, którzy przy łóżku chorego bardzo nieśmiało, niepewnie nawet, poprostu niezręcznie postępowali.

Znali oni pewnie wszystkie niewyczerpalne zasoby siły złożone w naturze, i prawidła, według których działać zwykły; znali i miarę skuteczności wszystkich leków używanych i znanych od dwudziestu dwóch wieków, ale zastosować ich nie umieli. Czy wiary w trafność własnego sądu nie posiedli, czy to, że nieufając szczęściu, przed oczami ducha swego widzieli tylko owe bardzo rzadkie przypadki, w których lekarstwa zwykle działające dobrze, przeciwny wywierają skutek; bądź co bądź, z zbytniéj obawy, aby wyjątkowe złe nie sprowadzili, nie śmieli użyć całéj siły środków, pospolicie dobrze skutkujących. Przepisywali tak nazwane *expectativa*, tojest środki nie szkodzić nie mogące tam, gdzie jędrnie trzeba było dołożyć ręki do maszyny organicznéj, lub też poprostu niechcąc szarlatanizować, nic nie zapisywali. Pacyent tymczasem coraz głębiéj zapadał w chorobę, i w najlepsze sobie umierał, gdy nie zaproszono innego lekarza.

Jako prototyp podobnego rzędu lekarzy, dał mi się poznać doktor, dość dziwne noszący nazwisko; zwał się bowiem Majkäfer, co po polsku znaczy nie mniéj i nie więcéj jak *chrabąszcz*. O nimto będzie mowa w tym rozdziale.

Jeden z moich rodaków, słabowitego zdrowia i nader trwożliwéj duszy, ś. p. Bolesław Kurnatowski uczący się teologii

protestanckiéj z woli rządu i kosztem stypendyum Radziwiłłowskiego, zapadł był bardzo nagle na piersi, i mnie, mieszkającego nieopodal wezwał na pomoc, gdym jeszcze był trzecioletnim uczniem w Królewcu.

Nie po piérwszyto raz zapadł biédny Kurnatowski, ale nigdy tak mocno nie zasłabł, jak tym razem. Radziłem mu, aby wezwał skończonego lekarza; on przystaje na to, i żąda, bym doń poprosił owego przybyłego doktora, owe *lumen mundi*, które niedawno otoczone wielkim blaskiem sławy, przyjechało z Berlina. Było właśnie pan Majkäfer doktor nietylko medycyny, chirurgii i sztuki obstetrycznéj, lecz nawet filozofii, wyszły *summa cum laude*, z najwyższą chwałą zpod wszystkich examinów. Jeszcze był bardzo młodym, bo mógł liczyć lat ze dwadzieścia ośm, ale już ołysiał; bez okularów obejść się nie mógł, i twarz miał zoraną głębokiemi rysami.

Znalazłem go zakopanego między stosami ksiąg, i palącego knaster z porcelanowéj fajki, opatrzonéj długą berlińską szpicą. Prośbę mą wyłuszczam; dodaję, że chory zdaje mi się być w dość niebezpiecznym stanie, ale zresztą nie objawiam, że sam jestem początkującym medykiem, tojest, nie używam języka uczonego technicznego w wyliczaniu symptomatów, i opieram się z trudném do pojęcia męztwem chęci popisywania się z nową nabytą uczonością. Dr. Majkäfer, który rok przeszło strawił w Paryżu, i tam się obznajmił z nowo wymyślonemi sposobami wyśledzenia rodzaju, siedliska i stopnia wszelkiéj choroby; zabiera z sobą stetoskop, plessimetr, miarę na millimetry podzieloną, papierki czerwone i niebieskie, i całą szkatułeczkę napełnioną płynnemi reagencyami w buteleczkach.

Przecież jesteśmy u pacyenta. Doktor bada go tysiącznemi, dość nękającemi pytaniami o choroby rodziców i dziadów, wywiaduje się, jakie sam przebył w dzieciństwie, a jakie w młodzieńczym wieku, a potém i konstytucyą, i temperament, i skłonności ocenia. Wreszcie przystępuje do obrącania, wysłuchania, wysztukania, mierzenia, analizowania pacyentą, i do mnóstwa innych manipulacyj.

Teraz następuje drugi akt. Doktor myśli z dobry kwadrans, co ma zapisać: bije się z własnemi pomysłami okropnie, na twarzy jego maluje się obraz zaciętéj walki.

Na początku trzeciego aktu, syn Eskulapa przystępuje do napisania recepty, ale sobie przerywa ciężką pracę niektóremi

pytaniami, zadawanemi pacyentowi; były one tylko powtarzaniem poprzednich. Trzy podarł recepty, ale z czwartéj widać był zadowolony, bo się uśmiechał do niéj bardzo wdzięcznie.

Na początku czwartego aktu doktor przystępuje do chorego, tłumaczy mu, ile ma sobie kazać postawić baniek, jak zażywać przepisaną mixturę, jak brać proszki, co jeść i co pić.

W piątym akcie znów syn Eskulapa siada na krześle, w głębokie wpada rozmyślanie, walczy z sobą, waha się, i dziesięć rodzajów min tragiczno-komicznych tworzy.

Ale ten akt kończy się wcale nieprzewidzianą sceną: doktor z receptą w ręku wstaje, zbliża się do biédnego, uzdrowienia wyglądającego pacyenta, i mówi do niego:

— Wié pan co, może pan i bez lekarstwa wyzdrowiejesz, może najlepiéj naturze poruczyć kuracyą. Rozum ludzki, żeby najdoskonalszy, często się myli, a przyroda nigdy,—i to powiedziawszy, podarł receptę, porwał kapelusz i laskę, i wyniósł się, nieczekając na honoraryum, z pokoju.

Nikt sobie nie podoła wyobrazić zmartwienia biédnego mego, z przyrody już bardzo lękliwego rodaka; zdawało mu się, że nie ma dla niego lekarstwa, że nieodwołalnie umierać musi, i zemdlał z rozpaczy. Byłby może nawet na dobre skonał, gdybym go nie był silnie trzeźwił i pocieszał.

— Sam sobie przypisz winę, panie Bolesławie: dawni lekarze dobrze cię leczyli, a ty gwałtem chciałeś nowego. Ale zobaczmyż, co doktor przepisał; przecież tu w całym Królewcu uchodzi za bardzo uczonego, tylko widać, że sam sobie nie dowierza.

I podniosłem rozdartą na cztery kawałki receptę. Znalazłem, że wcale dobrze była zastosowaną do choroby, a że pacyenta bez ratunku zostawić nie można było, poszedłem do apteki, w któréj byłem znanym, i opowiedziawszy cały tok rzeczy, uzyskałem na podartą receptę lekarstwo. Niełatwo też było nakłonić chorego do użycia tego lekarstwa, ale namowy przemogły obawę i pacyent bardzo znaczne uczuł polepszenie.

Nazajutrz udaję się do Dra Majkäfer, aby mu podziękować za udzieloną pomoc, i zarazem, aby go prosić o dalszą radę.

— Nie moja w tém zasługa: to siły uzdrawiające natury dokonały, bo ja nawet recepty nie zostawiłem,—odpowié doktor z smutnym wyrazem twarzy.

— Owszem, panie doktorze, ja niechcąc pacyenta zostawić bez lekarstwa, uzyskałem je na podartą receptę, bańki przystawić kazałem, słowem, wszystkie pańskie rozporządzenia przed podarciem recepty dane, najskrupulatniéj wykonałem.

Moje słowa niemało wzruszyły uczonego Majkäfera: aż się biédak zatoczył, takie uczuł uderzenie do głowy. Na jego chudéj, zoranéj, irchowéj, prawie brzydkiéj, ale dalibóg poczciwéj fizyonomii, w jego pięknych, melancholicznych, pełnych duszy oczach, malowały się kolejno: naprzód zadziwienie, potém radość, nareszcie jakiś wstyd i zmartwienie.

Oh pewnie! żal mi go było wówczas serdecznie; przeniknąłem, co się w téj duszy tak głębokiéj a wahającéj się ciągle dziać musiało.

— Tak, panie doktorze, w istocie ta recepta pańska cudów dokonała; pacyent byłby dziś niezawodnie w bardzo opłakanym stanie, może śmiertelną złożony chorobą, gdyby był nie zażył owych lekarstw. Już teraz swobodniéj oddycha, krwią nie pluje, gorączka ustąpiła, przynajmniéj się znacznie umniejszyła.

Majkafer pochodziwszy sobie długo po pokoju i z sobą samym *colloquium* odbywszy, rzekł:

— Tak, tak! skuteczność niby usprawiedliwia środki, ale ztémwszystkiém na Boga, przecież wczoraj choroba dopiéro się znajdowała w rozwijaniu, jeszcze całości dwóch symptomatów, które steleskop i plessimetr wykazują, nie było jeszcze w zupełności, ani specyficznego rzężenia, ani owéj głuchości tętna, które lekarz racyonalny z taką uprzejmością wita, bo mu daje pewność o charakterze choroby. Podając lekarstwa, które ja jeszcze dać nie śmiałem, postąpiłeś sobie pan bardzo śmiało, junacko nawet.

— Ach bah! Przecież tam napisano gdzieś w naszéj biblii lekarskiéj, że *melior anceps medicina quam nulla medicina* (lepsze niepewne lekarstwo, jak żadne lekarstwo), a wszyscy ludzie zgadzają się na to, że *fortuna audaces juvat*, (szczęście odważnym sprzyja).

— Jakto, czy pan także medyk?—spyta zdziwiony Majkäfer; dotychczas bowiem nie wyjawiłem mu wcale ani *rostro*, ani *ungue*, że się sposobię na lekarza.

— Jeszcze nie medyk, tylko uczeń medycyny. Ale na honor, panie doktorze, dziś jeszcze przeszedłbym na wydział matematyczny, gdybym mógł przewidzieć, że zdobywszy uczoność

taką, jak pan, tak małą posiędę wiarę w me siły, jak pan posiadasz.

Znów się zmieszał pan doktor widocznie, ale spojrzawszy mi badawczo w oczy, i niedostrzegłszy w nich żadnego zamiaru obrazy, owszem, najwyraźniejszą dobrotliwość i szacunek dla siebie: ofiarował mi cygaro, prosząc, abym spoczął i pogadał. On też sam usiadł, i nakołysawszy głową tu i owdzie, rzekł:

— „Ha! toś mi pan wbił gwoździ w samuteńką głowę, i odrazu odgadłeś prawdziwą i bezwzględną przyczynę rzeczy. Tak jest! nauki posiadłem wiele, a przecież nieśmiały jestem w jéj zastosowaniu; w praktycznéj medycynie postępuję może zbyt nieśmiało, tak jak człowiek swoich sił niepewny. Pogadajmy z sobą, może to, co mnie się przytrafiło, posłuży panu za naukę. My Niemcy w ogólności zanadto hołdujemy uczoności teoretycznéj, a pomiędzy niemi ja ponad wszystkich wygórowałem zamiłowaniem w naukach abstrakcyjnych. Trzy lata strawiłem na uczeniu się saméj filozofii w uniwersytecie; zdawało mi się, że dobrym lekarzem nikt być nie może, kto sobie nie rozprzestrzenił pola umysłowego do ostatnich granic możliwości, a jako środek najlepszy do dopięcia celu, uważałem filozofią spekulacyjną, przez którą rozum ludzki nauczy się szermierzyć w obszarach nieskończonych, bo w idealności krążących, żadnemi zatém granicami nie określonych. Zostawszy po trzech leciech całkiem teoretycznych, żadnego sprawdzenia nieznoszących studyów, doktorem filozofii, wziąłem się do nauk medycznych: ale po swojemu, ślęcząc po nocach jak mól nad książkami, uczęszczając na kursa we dnie, i ucząc się z wielkim zapałem wszystkiego, co w najodleglejszym było związku z nauką medycyny. Niestety! zanadto pokładałem zaufania w abstrakcyjnéj uczoności, zanadto byłem zajęty jéj zdobywaniem, żeby mi mogło pozostać czasu i chęci na sprawdzenie tego w praktycznem życiu, co jako teoryą z łatwością pojmowałem i w co *in verba magistri* uwierzyłem. Na nieszczęście, owa niepraktyczność niemiecka, która się objawia we wszystkiém, nawet w naukach, w najbliższym znajdujących się związku z życiem, owa niepraktyczność przeszła swym duchem nawet szkoły lekarskie. Nie wymagano od nas samoistnéj praktyczności dowodów: wcale nie. Po czteroletniéj usilnéj pracy nad książkami i na krzesełku, zostałem doktorem medycyny, chirurgii i sztuki obstetrycznéj, chociaż

rumianku nie zapisałem nikomu, choć nigdy ani krwi nie puściłem, ani nawet ospy nie szczepiłem, choć się nigdy kobiéty nie dotknąłem inaczéj, jak za rękę. Na skórzanym fantomie nauczyłem się sztuki obstetrycznéj, krwi puszczania na mydle, a zapisywania recept pod okiem professorów, w klinice. Examina jednak moje tak świetnie złożyłem, jak nikt w tym roku, ani o trzy lata wprzódy, ani o trzy lata późniéj. Obdarzony wieńcami, medalem i pochwałami, uwierzyłem w me wielkie talenta i władze; pewny byłem, że dzięki mnie, śmierci już nie będzie, i że ludzie przecież raz przestaną umierać. Powróciwszy świetnego dnia méj doktoryzacyi, pod cokolwiek dobrą datą, późno w wieczór do domu, rzekłem do méj poduszki: o szczęśliwa poduszko! która laurami uwieńczoną głowę doktora Majkäfer dźwigać będziesz, a jeszcze szczęśliwsi ci, co w nim położą zaufanie, bo ci umrzéć już nie zdołają."

„Ślicznie się miały ziścić te wszystkie pyszne nadzieje! W kilka dni późniéj zawołano mnie do znajomego mi domu, i poproszono, abym pomógł dziecku nagle zapadłemu. Widzę, że tu idzie najwyraźniéj o tak nazwany *krup*, czyli zapalenie krtani duszące; przepisuję co potrzeba: kalomel, wcierania z merkuryuszu, na krtani pijawki stawiać każę. Lekarstwa wybornie pomogły, dziecko wolniéj oddycha, i już nie kaszle owym metalicznym kaszlem, który téj chorobie odrębny nadaje charakter; ale po odpadnięciu pijawek, krwi zatamować nie można było żadnym żywym sposobem. Dziecko stygnie i blednieje, ciągle blednieje i stygnie, puls zwalnia się, ucieka i ustaje. Dziecko mi pod rękami umiera! Wystaw sobie pan, *dziecko mi pod rękami umiéra*! Nieszczęściem, należało ono do owych arcy rzadkich indywiduów, *krwawcami* (po niemiecku *Bluter*) zwanych, którym krwi, z najmniejszéj rany pochodzącéj, zatamować nie można, i umierać muszą po najmniejszém zadrapnięciu (1). Proszę pana, żebym przy piérwszym wstępie w życie praktyczne, na tak wyjątkowy musiał natrafić przypadek!"

(1) Za pomocą nowo wynalezionéj we Francyi substancyi *collodionu* (roztworu bawełny strzeleckiéj w eterze siarczanym), zatamujemy krew z największéj poszarpanéj rany pochodzącą, a za pomocą nowo wymyślonych tamże szczypczyków (pinces hemostatiques) damy dziś radę największemu krwotokowi, z rany pijawczanéj pochodzącemu. Środki te dopiéro w r. 1850 odkryte, nie mogły być znane Dwi Majkäfer w r. 1835.

— To prawdziwa fatalność, ależ to przecie raz zdarzyć się może w życiu lekarza. Zrażać się nie wypada takim wypadkiem — rzeknę do doktora.

—„To tylko początek, panie kolego, początek; posłuchaj pan co się daléj stało. W tydzień poźniéj, gdym jeszcze nie ochłonął z zmartwienia, spowodowanego tak nagłém zejściem dziecka, wołają mnie do jakiegoś tokarza, który wracając do domu pijany, przewrócił się w rynsztok, i okropnie krzyczy na ból kolana prawego, a na nogę stąpić żadną miarą nie może. Biegnę do chorego, i znajduję go leżącego na łożu w powalanych sukniach, wyjącego z bolu: kolano mu spuchło okropnie, i taka w niém drażliwość, taki ogień, że ręki doń przybliżyć nie można było. Stopa odpowiedniéj nogi na wewnątrz wykrzywioną była. Bez dotykania, żeby było najboleśniejszém, trudno poznać naturę podobnych obrażeń; dotykam się tedy, obracam nogę, i słyszę jakieś skrzypienie, jakiś trzask blizko stawu; ani wątpliwości, *tumor*, *calor*, *dolor*, *mutatio positionis*, *impossibilitas motionis*, *crepitatio* (napuchnięcie, gorąco, ból, zmiana położenia, niemożliwość ruchu, trzaskanie w bolącém miejscu), nawet jakieś przedłużenie nogi. Oto najwyraźniéj złamanie; trzeba się wtedy poddać redukcyi, puścić krew, przystawić ze 40 pijawek, bo pacyent krwisty, obłożyć kolano lodem w pęcherzu, stosownemi przyrządami podeprzéć kolano, wyciągnąć, obandażować nogę, przytwierdzić stopę, i miesięcy dwa przynajmniéj leżeć nieruchomym w łóżku, bo tu idzie o złamanie w stawie: łatwoby pozostać w nim mogła niemoc i nieruchomość. Pewny swéj rzeczy, manipuluję w najlepsze, i nie zważam na krzyki pacyenta, jego matki, żony, siostry i córek. Bandaże przynieść kazałem od bandażysty; pan wiész, że w naszéj chirurgii niemieckiéj wielką one grają rolę, dlatego może najwięcéj, że liczba uczonych bandażystów znacznie wzrosła, i że każdy z nich chce żyć, z każdego garbu i złamania, z każdego wywichnięcia, skaleczenia ludzkości (1). Wszystko już w porządku, chory przytroczony *secundum regulam artis* (według prawideł sztuki), ani ruszyć się nie może;

(1) Nieodżałowanemu doktorowi Major z Lauzanny winniśmy, że wszystkie prawie owe przyrządy skomplikowane, stały się zupełnie niepotrzebnemi. Celu dopiąć teraz można daleko łatwiéj, taniéj i pewniéj bandażami sporządzonemi z chustek, które się wszędzie pod ręką znajdują.

ale jęczy jeszcze, bo wielkiéj ulgi nie doznał ani z wyciągania, wprawiania, puszczania krwi i przystawiania pijawek. Przecież polepszenie tak odrazu nastąpić nie może: wszystko co dobre da na siebie czekać, ale wszystko pójdzie jak najlepiéj. Tak zaręczałem i z spokojném sumieniem poszedłem sobie do domu, pogrążyć się między moje stosy książek, które stały się dla mnie, niestety! nieprzebytą baryerą, odgraniczającą mnie od rzetelnego świata.

„Nazajutrz, dość późno wprawdzie, bo zwyczajnie szedłem spać kiedy świtać zaczynało, nazajutrz mówię, dość późno, wstaję, pacyentów kilku gratysowych odprawiam, i udaję się do chorego mego z złamaném kolanem. Już sobie minę skomponowałem uroczystą, roztropną, poważną, stosowną do okoliczności; chciałem się pokazać przygotowanym na wszystko co będzie, a przedewszystkiém przewidywałem przecież, że bardzo wielkiego polepszenia jeszcze być nie może. Powagą i roztropnością mego spojrzenia chciałem wlać otuchę w serce cierpiącego. Drzwi otwieram, Panie Boże w niebiosach! jakiż mnie okropny widok spotkał!

— Co? co? pacyent umarł, leżał na marach?—przerywam doktorowi, przerażony jego wzrokiem.

— Ale gdzietam! sto tysięcy razy gorzéj: pacyent siedział przy tokarni, ową złamaną nogą kręcił kołem, pracował w najlepsze i śpiewał w niebogłosy:

Da kamen drei Burschen
Wandernd vom Rhein—Juch—he!

— Jakto? noga mu się w jednéj nocy zrosła?—spytam zdziwiony.

— Ale co pan myślisz, do czarta: noga nigdy nie była złamaną. Opowiem panu cały tok rzeczy. Tokarz zoczywszy mnie wchodzącego z miną doktorską do pokoju, wstał od swego warsztatu, przystąpił do mnie, nie kulejąc wcale, i rzekł:

— No, panie doktorze! musiałem się grubo omylić, bo zamiast sobie złamać nogę, jak się przynależało pijanemu, który się z wysokiego trotuaru stoczył w głęboki rynsztok, coś innego musiałem sobie zrobić. Wystaw sobie pan, że moje bole do najwyższego doszły stopnia w nocy; ruszyć się nie mogłem, gorączka mnie opanowała, zdawało mi się, żem na torturach rozpięty: to mnie do wściekłości przywiodło. W szale jakim

obłąkania, całe me natężyłem siły, potargałem krępujące mnie więzy, skoczyłem równemi nogami z łóżka, a tu naraz padł coś mi strzeliło w kolanie, tak, jak gdyby mi coś z niego wypadło; i rzecz cudowna, wszelki ból od jednego ustał razu, i nogą mogłem władać lepiéj jak kiedykolwiek. Ha panie! jaka ztąd radość była w całéj mój rodzinie. Tylko żona moja, która jest sknerą, żałowała pieniędzy za bandaże, pijawki i lekarstwa. I oto już od rana pracuję w najlepsze, bo dzieci mam mnóstwo, a każde z nich obdarzone od matki przyrody szalonym apetytem. Tak to było. Nieprawda? pan mi wybaczy, żem sobie nogi nie złamał: pan taki dobry, łaskawy człowiek. *Nicht wahr, sie nehmens ja nicht übel?*

„Oto wiernie oddana cała mowa szatańskiego tokarza! Ja myślałem, że się ziemia pod memi rozstępuje nogami; dalibóg, życzyłem sobie tego.

— Ale cóż mu było do kaduka, temu szatańskiemu tokarzowi? — zapytam zdziwiony.

— Co mu było? oto to mu było, co na stu lekarzy dziewięćdziesięciu dziewięciu nie zgadnie. Oto weszła mu podczas upadku w staw kolana owa chrząstka pływająca (cartilage flottante), znajdująca się w nadzwyczajnie rzadkich przypadkach w bliskości stawów, i wskazująca symptomata, które mogą małpować zwichnięcia, wykręcenia a nawet i złamania, bo się krepitacya czyli trzaskanie pochodzące z tarcia tej chrząstki o głowę stawów, niekiedy słyszeć daje. Choroba ta powstaje czasem (1) za najmniejszém fałszywém stąpieniem, a za drugiém ginie. Nieszczęście moje chciało, że tym razem tak długo trwała u pijanego tokarza, który w rynsztok wpadł i tam przez kilka godzin we śnie pogrążony leżał, aż go stróże nocni

(1) W roku 1848, kiedym był lekarzem towarzystwa dramatycznego w Besançon, takiż sam przypadek wydarzył się na scenie śpiewaczce, która grała rolę Romea w operze: Romeo i Julia. Chcąc lepiéj udawać mężczyznę, stąpała zanadto śmiało, i właśnie w chwili, w któréj się Romeo przebija, jakiś tak gwałtowny krok zrobiła, że upadła i przerażający krzyk boleści wydała. Publiczność myślała, że to do roli należało, zwłaszcza, że pomimo okropnego bolu, aktorka roli nie psuła, tylko zabitego udawała. Ale Romeo już nogą ruszyć nie mógł; po zapadnięciu kurtyny, wyniesiono go za kulisy, i przywołany, wyjść nie mógł, tylko reżyser oznajmił publiczności to, co się stało.

wydobyli, i do domu zawlekli. Staw miał czas spuchnąć, nabrzmieć i maskował mi prawdziwy stan rzeczy.

— I cóż pan na owe *dictum amabile* poczciwego tokarza?—spytałem.

— Na owe *dictum amabile* poczciwego tokarza, którego niech siarczyste pioruny trzaskają, dopóki mu pływać będzie chrząstka, odpowiedziałem, przyszedłszy do siebie, wydobyciem jedynego Frydrychsdora, którego posiadałem, z kieszeni, i dałem go jego żonie, aby nie narzekała na koszta pijawek, lekarstw i bandażów, i poszedłem sobie do domu, przejęty wstydem, zmartwieniem i złością. Byłbym sobie w łeb strzelił, gdyby mi w świeżéj pamięci nie były tkwiły moje siedmioletnie prace, me tryumfy w examinach i konkursach zyskane, nareszcie i obraz czcigodnych i wielbionych profesorów, przedstawiających mnie całéj młodzieży za wzór. I ten cios strawić musiałem koniecznie, nie mogłem się odrazu wyrzec ani życia, ze względu na rodziców, ani też zawodu, bom go istotnie szczerze całą duszą pokochał. Znacznie podupadłem na duchu, jednakże już nietyle dumnym byłem z świetnych owych tytułów uniwersyteckich. Los chciał mnie jednakże zgnębić do reszty, i niepokonawszy mnie dwoma ciosami, wymierzył trzeci najsilniejszy, a zawsze w toż samo miejsce.

„Była w Berlinie, w mieście w którém zawód mój rozpocząłem, panienka dobrego rodu i wychowania, młoda, ładna, dobra, przytém nieuboga, mająca dostać z 20,000 talarów posagu. Od dzieciństwa znała mnie i lubiła ta panienka, i dojrzewając zaczęła mnie i kochać jakoś tkliwie i tęskno. I ja ją kochałem więcéj, niż sobie sam wyznawać śmiałem; kochałem ją nie ową namiętną miłością młodzieńca, który całkiem tylko uczuciami żyje, lecz ową miłością człowieka, przywykłego przytłumiać swe uczucia dlatego, że zanadto chwil pracy swéj poświęcał; owego człowieka, który nigdy nie kochał, i raz tylko w swojém życiu kochać jest w stanie. Nie wyznając sobie wcale ani jednego razu wzajemności naszych uczuć, wiedzieliśmy o nich doskonale. Rodzice méj lubéj Matyldy nie patrzyli na to niechętném okiem; owszem życzyli sobie mieć dobrego doktora za zięcia, bo przyroda udzieliła Matyldzie bardzo delikatne, ciągłéj opieki lekarskiéj potrzebujące, zdrowie. Jak ona się rozkoszowała memi tryumfami uniwersyteckiemi! Boże drogi! w nich przewidywała swego ży-

cia rękojmię! Jednak nigdy mi nic nie mówiła, czemu się tak serdecznie cieszy; to się rozumiało samo z siebie, że przez całe nasze życie zobopólnem radować się będziemy powodzeniem.“

Doktor przestał mówić, tak był rozczulonym; kilka łez stoczyło się po jego bladych licach, wstał z krzesła, otarł je pokryjomu, i mężniejszym przemawiać zaczął głosem:

—„Niedługo miało trwać to szczęście, niedługo temi nadziejami mieliśmy się kołysać. Pan wiesz, jaki niezdrowy klimat w Berlinie, zwłaszcza w lecie: wyziewy Sprei, rzeki limfatycznéj, błotnistéj, roznoszą zarazę, i corocznie prawie panuje w lecie tyfus nad jéj brzegami. W tym roku, o którym mówię, w piérwszym méj praktyki lekarskiéj, wiele ginęło młodych ludzi na tyfus. Panna Matylda zaziębiwszy się i znękawszy na spacerze w Potsdamie i na pawiéj wyspie, dostaje bolu głowy, ociężałości i gorączki: apetyt znikł, jakaś smutna owładła ją myśl. Rodzice chcą posłać po lekarza, który dotychczas w domu leczył, ale ona zaręcza, że z żadnéj innéj ręki nie przyjmie lekarstwa, tylko z mojéj.

— A któż mnie lepiéj leczyć może jeżeli nie pan, który mnie znasz od dzieciństwa, i tak chlubnie examina złożyłoś,— mówiła biédna istota, i dodała po piérwszy raz w życiu: a mnie tak kochasz.—Drżącą ręką zapisałem lekarstwo, które ze wszech względów wskazaném było; zapisałem na womity, i sam zadałem to lekarstwo: dwie zadałem łyżki w odstępie kwadransowym. Pacyentka krztusić się zaczęła, mocować, i piersi sobie ściskała; wreszcie jakoś boleśnie jękła, uchwyciła mnie konwulsyjnie za rękę, i przeraźliwie blednąc krzykła:— Ach! jaki ból tu w piersiach, ach! jak mi duszno, gorąco!

„Wielki Boże! puls szybko słabnął i ustawał, ręka zięble, na twarzy bladość i pot zimny, oczy blask tracą. Przywoływam rodziców, trzeźwią: wody! octu! wody! Matyldo! droga Matyldo! ocuć się!

„Ona się ocuca, mdlejące oczy na mnie zwraca, i cichym przemawia głosem:— Ja umieram, biédny Auguście, do widzenia, tam! Ach! już umieram — i jeszcze coś przemawia, ale zupełnie niewyraźnie.

„Puls ustał, dech ustał, mdłe oczy w górę się obróciły, ręce opadły—śmierć!

„Tak panie, nieinaczéj, śmierć! śmierć! *Lege artis* zadana moją własną ręką istocie, którą najwięcéj kochałem w świecie. Matylda umarła, a ja jéj doktor, przy jéj łóżku pozostałem żyjącym, i widziałem rodziców wijących się z bolu na ziemi, i słyszałem jak jéj matka nazwała mnie katem swéj córki, i pójść mi kazała utopić się w Preglu.

„Poszedłem, ale nie utopić się w Preglu, tylko oskarżyć się za dokonane *lege artis* zabójstwo przed urzędem lekarskim, przed fizykiem cyrkułowym. Tok całéj rzeczy opowiedziałem: prosiłem, aby mnie okuto w kajdany, zamknięto w więzieniu, i domagałem się, aby w moich oczach i w przytomności urzędu lekarskiego otworzono ciało méj narzeczonéj.

— Idź pan do domu—odrzekł mi fizyk cyrkułowy —urząd lekarski wstąpi do domu nieboszki, autopsia będzie wykonaną, i pan na nią będziesz zaproszony.

— Ja błagam o więzy; ja pozostawiony na wolności, nie wiem cobym z sobą zrobił, a honor medycyny wymaga, abym żył, dopóki sekcya nie wykaże, w czém zawiniła sztuka, a w czém lekarz.

„Kreisfizyk spojrzał mi bystro w oczy. Nie wiem, czy tam znalazł znaki obłąkania; ale mnie ścisnął przyjacielsko za rękę, poprowadził do swego mieszkania, tam mi się kazał rozebrać, i włożył mi taką kamizelę, jaką tylko na waryatów i szalonych wkładają, i położył mnie w łóżko.

„Trzydzieści sześć godzin tak pozostałem nieporuszony, nie jedząc, nie pijąc, nie mówiąc, nie płacząc, nie wiedząc co się około mnie dzieje, chociaż wielu w tym czasie odwiedzało mnie życzliwych kolegów, i do mnie przemawiało. W zupełném pozostawałem osłupieniu.

„Po upływie tego terminu, zjawił się kreisfizyk, zdjął mi kamizelę, kazał się ubrać, i prosił z sobą na sekcyą trupa. Odrazu powróciłem do zupełnéj przytomności. Odbyła się najściślejsza autopsia téj młodéj ukochanéj dziewicy w mych oczach, i w przytomności siedmiu lekarzy urzędowych, z zacności i światła znanych.

„Tak, z mojéj przyczyny, z mojéj łaski, i w moich oczach krajano ciało téj młodéj, dobréj istoty, która mnie tak tkliwie kochała, że jeszcze w chwili śmierci, przezemnie zadanéj, o mnie myślała! Każde skrzypnięcie noża przeszywało mnie wskróś jak ognisty piorun, ale oka nie spuściłem z rąk ope-

rującego prosektora: szło tu o honor medycyny, o honor kochanka téj młodéj dziewicy. W mieście tak płodném w niemoralność, tak plotkarskiém jak Berlin, mogłyby się znaleźć osoby oskarżające mnie o zadanie trucizny, lub téż obwiniające ofiarę o wzięcie jéj. Sprawdzić musieliśmy wszystko, coby do podobnych domysłów za żywioł służyć mogło; usunąć musieliśmy wszelkich brzydkich podejrzeń źródło.

„Ja sam czuwałem nad doskonałém dopełnieniem wszystkich czynności; oka nie spuszczałem na chwilę z tego ubóstwionego ciała, które tak niemiłosiernie ćwiertowano: każde skrzypnięcie noża przeszywało moje serce niewypowiedzianemi męczarniami, a jednak wytrwałem.

„Znaleziono przyczynę téj nagłéj śmierci: rozdęcie w żyle pustéj (*in vena cava*), pęknięcie tego rozdęcia, krwotok wewnętrzny, cała piersiowa klatka zalana krwią czarną, i w sercu także początek rozdęcia. Teraz wszyscy pojęli ostatnich objawów życia najbliższe przyczyny: wszyscy jednomyślnie uznali, że za najmniejszém wstrząśnieniem, z jakiegokolwiek pochodziłoby ono źródła, śmierć powinna była, i to nagle, przeciąć oddawna skazanéj ofierze wątek życia.

„Domagałem się jednakże regularnego, surowego sądu, i ten złożono zaraz po sekcyi w gmachu urzędu lekarskiego. Pięciu lekarzy zasiadło w nim jako sędziowie, szósty musiał na siebie przyjąć rolę oskarżyciela, a siódmy wystąpił jako mój obrońca. Oskarżyciel utrzymywał: 1) że można było rozpoznać rozdęcie żyły w pacyencie, i uniknąć podawania środków tak wstrząsających jak emetyk; 2) że nawet emetyk wcale nie był wskazany w chorobie, przeciwko któréj go dałem: przyspieszenie zatém zgonu z méj miało pochodzić winy. Przeto zasługuję na karę przewidzianą w kodexie: winienem być zawieszonym na lat dwa w funkcyach lekarskich, i nie obejmować ich prędzéj, jak po złożeniu nowego examinu z dyagnostyki i terapii. Z tak nieubłaganą wymową kolega popierał swe oskarżenie, o którém w gruncie serca wiedział, że jest zupełnie fałszywém, tak dzielną sofiztyką, tak wybornemi paradoxami zacierał prawdę, że chwilami przekonany byłem o méj własnéj winie, i odwagi nie miałem bronić się.

„Kolega wyznaczony mi na obrońcę, musiał przecież głos podnieść, by we mnie wzbudzić chęć bronienia się i zatartéj prawdy ślady odkrywać. Nareszcie i ja wystąpiłem w własnéj

obronie. Jakoś w mój biednéj i skołatanéj głowie zatliła się niezwykła jasność myśli: usta zawrzały przekonywającą, porywającą i grzmiącą wymową. Przez dwie przemawiałem godziny, nie zająknąwszy się ani razu, a obecni stenografowie zaledwie nastarczyć mogli piórem; przebiegłem całą historyą nauki lekarskiéj dla dowiedzenia, że podobne niespodziane przypadki śmierci najsławniejszym wydarzały się lekarzom, od najdawniejszych aż do dzisiejszych czasów. Tak mnie uniósł méj własnéj wymowy zapał, że sam chwilami z dumieniem i najżywszą rozkoszą własnym przysłuchiwałem się wyrazom. Nareszcie skończyłem, dowiódłszy, że w stanie ówczesnym nauki lekarskiéj, nie było sposobu rozpoznania anewryzmu w pustéj żyle, i że emetyk był wskazany przeciw chorobie poczynającéj.

„Oskarżyciel w najchlubniejszych i pełnych serca wyrazach uznał się zwyciężonym, cofnął oskarżenie, i prosił mnie, abym mu wybaczył, że pełniąc swego urzędu obowiązki, popierał je przeciw własnemu zdaniu. Sędziowie uznali mnie jednomyślnie niewinnym, i zamknąwszy posiedzenie, uściskali mi ręce, i winszowali prawdziwie Demostenesowskiéj wymowy.

„Ja zaś skończywszy walkę z trybunałem lekarskim, widziałem, jak spadały na duszę moję jakieś wielkie czarne skrzydła; wysilony zemdlałem, a gdym po piérwszy raz z objęć śmierci znów wrócił do siebie, ujrzałem się otoczonym całą moją rodziną, memi rodzicami, siostrami i braćmi, i dowiedziałem się, że dwa całe miesiące przechorowałem na tak okropny tyfus, jaki jeszcze berlińskim doktorom widzieć się nie zdarzyło. Broda mi urosła jak u sapera, głowa ze szczętem wyłysiała, muszkuły mi poznikały, a kości brzydko stérczały za skórą wiszącą na ciele. Rekonwalescencya długo trwała, i nigdy już do zupełnego nie wróciłem zdrowia; rumieniec nazawsze z lica mego, głębokiemi zoranego rysami, ustąpił. Gdym się podnosić zaczął, i o swéj sile mógł chodzić, rodzice zawieźli mnie do siebie do Pomeranii, do małego folwarku, który dzierżawili. W kilka tygodni doszedł mnie tam list od ojca Matyldy. Śmierć jedynéj córki zrobiła go przed półrokiem bezdzietnym, a przed pół miesiącem śmierć żony wdowcem. Tak, matka Matyldy umarła, a umierając, poleciła mężowi, aby mnie przeprosił za bezbożne słowa wyrzeczone do mnie zaraz po zgonie Matyldy: „Niech wybaczy biédnéj, stroskanéj matce, i niech kocha pamięć córki naszéj“: to były jéj ostatnie słowa, pisał oj-

ciec. „Abyś pan mógł długo pełnić wolę méj nieboszki żony, staraj się wrócić do najzupełniejszego zdrowia: podróżuj, pojedź do Włoch, a tam pod pogodném niebem wrócą ci siły. By ci ułatwić środki podróży, bo wiem, że nie jesteś bogatym, przyłączam tu wexel na 3,000 talarów. Mnie żadnego nie zrobisz uszczerbku przyjęciem téj summy, bo sam jeden jestem na świecie i prócz kilku dalekich krewnych, których wcale nie znam, żadnych nie mam spadkobierców, a długo nie pozostanę na świecie.“

„Rozporządziwszy częścią darowanéj mi summy na dobro rodziny mojéj, pożegnawszy rzewnym listem mego dobroczyńcę, wsiadłem na okręt kupiecki udający się z Szczecina do Portugalii, i ztamtąd pobiegłem do Włoch. Sił tyle odzyskałem, ile można było odzyskać przy zwątlonym duchu i porażonych zmartwieniami zasobach życia. Z Italii, w któréj podziwiałem wszystkie zakłady naukowe i dobroczynne, udałem się do Francyi. Nowe tam zajaśniały dla nauki lekarskiéj i dla ludzkości światła, od czasu gdy surowi, sumienni badacze natury, w nauce górę wzięli nad przesądami obrońców starego pedantyzmu. Jakież to świetne a zupełne zwycięztwo, które tam świéży i ufający siłom swoim rozum, nad próżną, zaśniedziałą odniósł scholastyką! Nowe przybory zmysłów naszych wywyższające potęgę, rozlicznych i dotychczas nieznanych symptomatów wykrywają istność; chemia dotąd tylko podrzędną rolę w teraupetyce odgrywająca, staje się potężnym wyśledzicielem natury rozlicznych chorób i usposobień; anatomia patologiczna na trupie wykazuje ogrom i wartość najmniejszych zmian zaszłych za życia, i rzęsiste rzuca światło na patologią i na fizyologią; hufce nowych lekarstw wstępują w użycie. Ot! zaprawdę, płodnym jest wiek nasz i płodna jest ziemia francuzka w wynalazki zastosowane dla pożytku zdrowia naszego. Medycyna staje się z niepewnéj sztuki poważną nauką, na doświadczeniu i na znajomości przyrody wszystkich ciał pod zmysły podpadających, opartą.

„Lekcyom doktora Raciborskiego, winienem zapoznanie się z wszystkiemi dobrodziejstwami odkryć i prac Laënneka i Andrala. Niestety! wyznać musiałem, że w chwili, gdy dumne z swéj ciężkiéj filozofii Niemcy jeszcze błądzili, Francuzi już umieli uchronić się od tych nieszczęść, jakie mnie na początku zawodu mego praktycznego spotkały.

„Gdyby moi professorowie chcieli byli pójść za postępem, i zamiast wydrwiwania uwierzyć mogli w askultacyą: byłbym umiał rozpoznać za pomocą słuchawki, że Matylda oddawna miała usposobienie do rozdęcia żył; byłbym ją może ocalił, a przynajmniéj byłbym oględniejszym, i nie stał się ostatnią przyczyną jéj przedwczesnego zgonu.

„Po trzechletniéj podróży wróciłem do ojczyzny, osiedliłem się tu w Królewcu i praktykuję, ale tak jak pan widzisz: zawsze nieśmiało, nie ufając ani szczęściu, ani własnym zdolnościom. Przystępując do chorego, mam zawsze tylko przed oczami méj duszy obraz szkód, które sprowadzić mógłbym niestosownym leczeniem: — otóż téj niedołężności, która pana tak gorszy, prawdziwe przyczyny.

„Nie, samolubem nie jestem, ani téż od życia wielkich rozkoszy nie domagam się; ale żyć pragnę jak najdłużéj, choćby tylko dla tryumfu tego pięknego zawodu, któremu się od lat dziesięciu z takiém zamiłowaniem oddałem, w którym wytrwałem, pomimo klęsk, jakie mnie w nim spotykały; żyć chcę dla cierpiących, bo ich kocham wszystkich, tych nawet, co mi jeszcze nieznajomi. Życie tak piękną rzeczą! Czuć, myśléć i módz działać, to tylko żyjącemu dano. Któryż z żyjących, wiedzących że pełnemi żyją siłami, nie odgaduje *tego przynajmniéj*, że istność ta ziemska musi być przedwstępem do jakiejś doskonalszéj istności, że tu wytrwawszy, stale zdobywamy sobie doń prawo. Oh! musi być coś radykalnie mądrego, ważnego w tém poczuciu życia, którego czujemy katusze i ciężary, jeźli mnie nakłania do wytrwania w niém: *mnie* ciągle się spowiadającego przed sobą; *mnie* gotującego się na ciągłe, na bezustanne zawody. Otóż i wytrwam! spełnię puhar wszystkich czekających mnie nieszczęść, zniosę wszystkich czekających na mnie klęsk brzemię: stawię czoło biédzie, wstydowi, z pokorą nawet zniosę kolegów mych szczęśliwszych odemnie śmiechy i wzgardę! Bóg ze mną być musi, bo uczucie złości i zemsty nigdy w mém nie postało sercu, i na chwilę nie mię nie odwiodło od pracy i poświęceń!

„Teraz młody mój przyjacielu bądź zdrów! Niech echo słów moich, które z tak napiętą słuchasz uwagą, nigdy w twéj duszy nie przebrzmi; niech ci towarzyszy obraz twego starszego, i żywo stanie przed oczami jako anioł ostrzegający po-

cieszający, gdy doświadczysz jakiego nieprzewidzianego zawodu, odstręczyć cię mogącego od wiary w twe siły."

Temi zakończył słowy swoję jeremiadę biédny, zacny doktor Majkäfer, a widząc mnie w myślach pogrążonego, zasiadł pomiędzy foliałami swemi, i wzrok zatopił w księdze ojca medycyny. Po raz może setny w życiu wracał on z nowym zapałem do tych ksiąg, które niejednemu z szczęsnych i wziętych lekarzy i z tytułu może nie są znane.

Mnie głęboko wzruszyły owe jęki duszy szlachetnéj, a tak boleśnie upokorzonéj przez ślepy traf losu.

Gdybyś i ty straciwszy najlepsze lata życia twojego na mozolnéj pracy, stargawszy siły swoje na niesieniu ulgi cierpiącéj nędzy, pokochawszy zawód swój nie dlatego, że ci otwiera drogę do kufrów bankiera i do przyjaźni magnata, ale dlatego, że ci udziela siłę osuszenia łez boleści, przemienienia słabości w moc, a niedoli w szczęście; gdybyś i ty pomimo całéj nauki którą nabyć pragniesz, nie zdobył siły władania nią zręcznie i śmiało? Otóż pytanie, jakie sobie zadałem, a dreszcz mię ogarniał okropny, gdy szło o odpowiedź.

I młodość twoja może spełznąć w pracy, nędzy i tęsknocie, w staraniu się o dobro jeszcze uboższych; a gdy wrócisz do swoich, niepoznanym będziesz i może ci się spytają: pocóż przyszedłeś, kiedy już starzy ci, których widziałeś niegdyś młodemi.....

Ta myśl mnie przenikła, i zatętniała we wszystkich moich nerwach, jakby echem odbita. Ta myśl mnie przenikła już wtedy, bo każdéj rzeczywistości przedświt już gdzieś istnieje, tak jak w brzasku nocnym kolebka jutrzenki.

Zadrżałem, zadrżałem tak mocno, że aż Celsus Aurelianus, Galen i Awicenna runęli na ziemię.

— Co ci to, panie studiosus? co cię tak mocno wzrusza?— ozwie się doktor Majkäfer zdziwiony.

— To nic, panie doktorze: przypomniało mi się stare polskie przysłowie, i omałom nie wyskoczył ze skóry.

— Jakieżto tak silne przysłowie?

— Mówi ono: że jednemu szydło goli, a drugiemu brzytwy nie chcą.

— Wyborne przysłowie, i mądre i malownicze; nie wiedziałem, że Polacy takie dobre mają przysłowia.

— Tworzy je roztropność ludu, a nie rozum uczonych. i dlatego takie dobre; podobnie mądrych mamy z tysiąc.

— Ale do czego zastosowałeś w téj chwili owe szydło i te brzytwy, że aż klassyki moje podskoczyły?

— Otóż do tego, że niedość wiedzieć, trzeba potrafić. Na co się przyda znajomość tysięcy środków, kiedy się choć w jeden nie wierzy, kiedy się żadnego użyć śmiało nie potrafi.

Zasępił się dobry doktor, bo pojął, do czego zmierzam.

— Zgaduję teraz myśl twoję; ale jakżeż chcesz nabyć wiary w jeden środek, nie znając go gruntownie, nie porównywając jego istoty z innemi podobnie działającemi? Wszakżeż jednego koloru tęczy nie znalibyśmy, gdybyśmy go z innemi, na które się rozpada, porównać nie byli w stanie! A wszystko co tylko może być znanem, widzieć winniśmy koniecznie, nim przystąpimy do sprawdzania jego skuteczności: inaczéj w gruby wpadniemy empiryzm, i z najwszechstronniejszéj nauki, zrobimy proste rzemiosło.

—Takiemi argumentami zobojętnić można myśl każdą, żeby była silną i wielką jak mastodont. Kolorów tęczy jest siedm tylko, a jeden od drugiego o tyle jest różny, że je i ślepy rozróżnić potrafi, gdy mu je na papierze rozpostarte podasz w palce; środków zaś lekarskich wzmacniających i osłabiających, drażniących i stłumiających, wzniecających i uśmierzających, przemieniających, niby specyficznych jest po kilkaset, jeden do drugiego co do przyrody i skuteczności nadzwyczaj podobnych. O to idzie przedewszystkiém młodemu, wiary pragnącemu lekarzowi, aby się przeświadczył na własne swoje oczy samoistnie, że to, co uchodzi za wzmacniające lub osłabiające, za wzniecające lub stłumiające, za przemieniające lub wywierające wpływ jakiś specyficzny, istotnie tak działa, jak pan professor zaręcza. Wówczas gdy sam to sprawdzi i uwierzy *in verba magistri*, wówczas szacunku nabierze dla środka najczęściéj używanego, najcharakterystyczniejszego, i pokocha z serca braci, siostry i kuzynki, i wkrótce się z niemi zaznajomi. Łatwo mu będzie ocenić większe i mniejsze, gdy je porówna z tém, co już jest w istocie takiém lub owakiém, i wcześnie się nauczy oryentować w owym zagmatwanym Dedalu materyi medycznéj, coraz się zwiększającym; a późniéj dostawszy *veniam practicandi*, nie będzie się tak często i widocznie wahał przy łóżku chorego, jak się to zdarza uczonym teoretykom.

— *Me Hercule*! na miłość Boga, widzę, żeś pan postanowił wyskoczyć na medyka samoistnie praktykującego.

— Nieinaczéj: w butach z ostrogami, tak jak Minerwa z głowy Jowisza, i to bezzwłocznie, jutro, zaraz.

— Pan! trzechletni uczeń medycyny, coś ledwo filozoficzne twoje examina złożył? To mi odwaga! Ale jakżeż pan tej sztuki dokaże, któż się panu powierzy?

— Z chirurgią pójdzie najłatwiéj: pojedynków akademickich bywa rok rocznie dwa razy tyle przynajmniéj, ile dni w roku, a połowa ich kończy się ranami mniéj więcéj mocnemi. Jestem dobrze widzianym u wszystkich landmanszaftów, uczęszczać będę na wszystkie pojedynki, i pomagać szyć, plastrować i goić wszystkich kommilitonów. I z medycyną nietrudno pójdzie. Nie jestem wprawdzie jeszcze praktykantem klinicznym, ale brać będę adressa wszystkich słabych udających się do polikliniki professora Dietz, odwiedzać ich będę, aby sprawdzać skuteczność przepisanych lekarstw. Tym sposobem zapoznam się z ubogiemi rodzinami mieszkającemi w zaułkach, gdzie ciągle panują choroby, zwłaszcza pomiędzy dziećmi, z postrzeżeń moich relacyą zdawać będę albo panu doktorowi Majkäfer, albo professorowi Dietz, albo też jakiemu z znanych mi lekarzy, który się najpiérwszy nawinie. Żaden z nich nie odmówi mi rady i pomocy, a tak wkrótce nauczę się leczyć samoistnie choroby skór najcharakterystyczniejsze, febry i inne choroby najzwyklejsze. Ręczę, że pan sam, przekonawszy się, iż postępuję ostrożnie, blankietów nie odmówisz na recepty.

— Ja? blankiety powierzać panu, uczniowi trzech-letniemu?—za nic w świecie: musiałbym oszaleć. Ja sobie nie dowierzam, a miałbym reputacyą moję w pana oddać ręce? Nigdy, przenigdy, ani jednego razu!

— Ale professor Dietz nie odmówi mi blankietów, o zakład pójdę z panem.

— Professor Dietz! to co innego: to szalona pałka.

— Ale w trzydziestym roku życia zdobył europejską sławę, został pełnym professorem, dyrektorem kliniki, członkiem najoświeceńszych towarzystw, korrespondentem instytutu Francyi, najpiérwszego ciała uczonego na całéj ziemi.

— Tak, tak, temu się pan spodobasz ze swego pomysłu dziwacznego; on to weźmie za genialność, ręczę za to. Ale

à propos, któżto będzie płacić za owe lekarstwa, które pan przepisywać będzie samoistnie na blankietach professora Dietz?

— Ja, tu obecny, *meine Wenigkeit*, panie doktorze. Przepisywać będę najtańsze lekarstwa; syropów żadnych, złoconych papierków, szlifowanych butelek żadnych. Odmówię sobie pieczeni na obiad, herbaty na kolacyą, rękawiczek glansowanych, butów lakierowanych, kapelusza kastorowego i loży w teatrze, aby zdobyć wiarę we własne siły: wszystkich się wyrzeknę zabaw i przyjemności, aby płacić lekarstwa ubogim.

Z wyrazem litości w bladéj i chudéj twarzy, spoglądał doktor na mnie, i głową kiwał żałośnie.

— Zgubisz się, zgubisz, nieszczęsny młodzieńcze, jeżeli wykonasz, co sobie zamierzasz—rzecze nareszcie doktor Majkäfer.— Nauczysz się leczyć ubogich! Zgubisz się, jeszcze ci raz mówię.

— Bagatela, nauczę się leczyć ubogich! A w tém większa jeszcze sztuka, jak w leczeniu bogatych; trudniéj przecież wyleczyć chorobę wynikłą z ubóstwa, jak ze zbytków.

— Ale na Boga Wszechmocnego! bogaty inną ma krew, inne ciało, inne nerwy i kości, jak ubogi. Bogaty w zdolność twoję nie uwierzy, jeżeli ją na bogatych nie wykażesz; bogata wezwie cię do swéj siostry bliźniaczki jeżeli jest ubogą, ale ci się sama nie powierzy. Magnat powierzy ci swego sługę furmana, guwernera i biednego krewnego, bo umiesz leczyć *ubogich*; ale rąk nie umyje kosmetyczną wodą przez ciebie przepisaną, z bojaźni, żebyś mu skóry nie splamił. Otchłań jest pomiędzy konstytucyą, temperamentem, i chorobami bogatego a biédnego: czy o tém nie wiész, o biédny młodzieńcze?

I wystawić sobie! nie uwierzyłem doktorowi Majkäfer, i nauczyłem się leczyć—*tylko ubogich*.

(Dalszy ciąg nastąpi).

EDYP W KOLONIE.

TRAGEDYA

SOFOKLESA.

TŁUMACZYŁ Z GRECKIEGO

Kazimierz Kaszewski.

PRZEDMOWA.

Tragedya, którą obecnie czytelnikom podajemy, wiąże się z *Antygoną*; i choć daleko poźniéj przez Sofoklesa napisana, treścią wszakże jest od niéj wcześniejsza. Widzimy tu kilka znajomych nam już postaci, jakoto: Kreona, Antygonę, Ismenę, a obok nich występują i inne, mianowicie sam Edyp, w starości, z wyłupionemi oczyma. Kto chce dokładnie obeznać się ze wszystkiemi szczegółami uprzedzającemi pobyt Edypa w mieście Kolonie, niechaj przeczyta jeszcze jednę tragedyą p. n. *Edyp król* (1), rozpoczynającą dramatyczne dzieje téj głośnéj na całą Grecyą rodziny, która i poźniejszym, chrześciańskim już pisarzom dramatów dostarczała tragicznéj osnowy. My tu krótkiém tylko przygotowaniem wprowadzimy czytelnika w to koło wypadków, o tyle je przytaczając, o ile potrzebne są do zrozumienia rzeczy w obecnym utworze opiewanéj.

Edyp, syn Laja króla Teb i Jokasty, podrzucony na górze Citeron, wychowany przez obcych ludzi, nie zna własnych swoich rodziców; ale chodząc z krainy do krainy, za przybyciem do

(1) Tłumaczona na język polski przez p. Walickiego.

Teb zostaje przez lud okrzykniony królem po śmierci Laja, i żeni się z wdową po nim, żyjącą jeszcze Jokastą. Z jego téż ręki, choć bez jego wiedzy, ślepym trafem Lajus poprzednio zginął. Cała ta sprawa długi czas zostaje w uśpieniu; Edyp już jest ojcem kilkorga dzieci, kiedy nareszcie przekonywa się z zestawienia różnych zeznań, że spełniła się wyrocznia ogłoszona przy jego urodzeniu, która skłoniła rodziców do pozbycia się go z domu: że został ojcobójcą i kazirodzcą razem. Przerażony tym ogromem nieszczęścia i okropności, wydziera sobie oczy, Jokasta śmierć sobie zadaje, a Kreon brat jéj, spiknąwszy się z dwoma synami Edypa, Polinikiem i Eteoklesem, wypędza go z kraju. Edyp z pomocą Antygony uchodzi, i włócząc się po żebraninie, zatrzymuje się w Kolonos pod Atenami w gaju Eumenid, gdzie według wyroczni miał spokojnie i niejako chlubnie żywota dokonać. Z nieszczęśliwemi tułaczami łączy się i Ismena, która świeżo przybywszy z Teb oznajmia ojcu, że wyrocznia Delficka oświadczyła, iż kraina, która posiędzie grób jego, pozyska od bogów wielkie łaski; Edyp więc polegając na tém, prosi mieszkańców, a mianowicie króla Tezeusza o gościnność dośmiertną, którą téż ma sobie wspaniałomyślnie przyznaną.

Węzeł tragiczny jest tu bardzo słaby; polega on głównie na usiłowaniach Teban w odwołaniu wygnanego Edypa, dla pozyskania z grobu jego zapewnionych przez wyrocznią korzyści, oraz na oporze Edypa i Tezeusza. Lecz zalety tego utworu Sofoklesa w czém inném leżą: głęboka religijność, wysokość pojęć moralnych, to najwydatniejsze jego barwy. Jakoż, bóstwo nie jest tu prostą allegoryą poetyczną jak w Homerze, ale jest to uczucie siły wyższéj, ducha panującego rozumnie nad materyą i życiem. Tam bogowie mają jeszcze wszystkie własności natury ludzkiéj: waśnią się, nienawidzą, knują pod sobą intrygi, i te wszystkie ich zatargi krupią się późniéj na ludziach: tu Olimp czyli świat zaziemski nie jest już zapełniony temi istotami fantazyjnemi, ale przychodzi do pewnéj jedności, która wprawdzie rozdrobniona jeszcze w politeizmie, ale już graniczy z przeczuciem jedynego Boga, do którego jasnego pojęcia przychodzi Platon za Sokratesem.

Religia Greków (uczucie) wyrodziło ich filozofią (rozum); wzajemne oddziaływanie dwóch tych pierwiastków ducha i równoległe ich rozwijanie się, widać w całym szeregu szczeblów od Homera i Talesa, od rapsodów i wyrzeczeń, do Sofoklesa

i Platona. Wtedy wreszcie, gdy Grecya stała na ostatniéj wyżynie posłannictwa swego, dwa te pierwiastki harmonizują się w jednym dźwięku, który słabnąc coraz bardziéj, kona wreszcie pod sklepieniem alexandryjskiego Serapeun. Ztąd to pokrewieństwo tragików greckich z Platonem, które dostrzegł i Majorkiewicz, mówiąc w rozprawie o tłumaczeniu dzieł tego filozofa, że „Platona bez tragików greckich nikt nie zrozumié"; a poprzednio jeszcze, że „Plato stanowi przejście od tragików greckich do filozofii." Chciejmy tylko zwrócić uwagę, jakito postęp w pojęciach religijnych Grecyi, gdy Edyp wśród srogich utrapień nie uważa się bynajmniéj za ofiarę jakiejś olimpijskiéj koteryi, ale wprost powiada: „bogom zdało się to słusznem i właściwém abym cierpiał, więc cierpię". Co większa, tak on pewnym jest, iż tylko wolna wola czyni człowieka odpowiedzialnym za czyny, gotuje mu karę, lub zdobi zasługą; że pomimo tylu klęsk jakich stał się przyczyną, pomimo tylu zbrodni, o które mógłby go ktoś oskarżyć, oświadcza, iż on jest niejako świętym, bo jeżeli co zbroił, to niewiadomie, a cierpiał niewinnie. Nie wdaje się bynajmniéj w rozbiór przyczyn, które skłoniły bóstwo do zesłania nań takich ciosów, tém bardziéj nie złorzeczy mu; ale poddając się spokojnie wyrokom, oczekuje nagrody w szczęśliwéj śmierci. Nie jestże to jakieś przedpojęcie lepszego świata? Ale zkądżeto ta śmiałość Edypowi mianować się świętym? Byłożbyto przekonanie, iż cierpienia niewinne wyłączają człowieka z ogólnéj sfery, aby go postawić na okazalszém stanowisku; że przejście przez ogień nieszczęścia, oczyszcza i zbrodniarza, a sprawiedliwego otacza aureolą chwały? Ta myśl niewątpliwie kierowała piórem Sofoklesa; daje się to widzieć ze wszystkich wyrażeń Edypa, który wyznaje swoje czyny z całą godnością, jaką nadaje pewność wypełnienia swych obowiązków i zupełny brak udziału w chęci do złego, jakie się stało. Człowiek ten, pomimo ciążących na nim złych pozorów i uprzedzeń, tułacz i żebrak; potęgą wszakże niewinności zniewala sobie umysły obcych ludzi, jedna ich uszanowanie i skłania do przyjęcia udziału w swéj sprawie: wygnanie go nie hańbi, żebranina nie wstydzi. Co większa, tragedya dowodzi, że bogowie, jeżeli dla sobie wiadomych tylko celów zsyłają na człowieka niezasłużone cierpienia, to wszakże nie zostawiają ich bez nagrody, jeźli zwłaszcza człowiek umiał cierpiéć, tojest, jeźli pomimo trudności i goryczy życia, ustrzegł się moralnego upadku.

Tragedya, powtarzam, dowodzi tego nie już rozumowaniem, ale czynem, i zobaczmy w jaki to sposób.

Edyp, król bez ziemi, włóczęga bez chleba, żebrak okryty łachmanami, ślepiec, którego całą podporą słaba dziecina, przychodzi żądać łaski od obcych ludzi, chwiejąc się między nadzieją przychylności a obawą odmowy. W chwilę potém widzimy, jako za zrządzeniem bogów, tenże sam nędzarz ostatni z ludzi, nic nie znaczący na świecie, w godzinę śmierci prawie waży w swém ręku losy dwóch społeczeństw; jak dwaj królowie ubiegają się o jego osobę, a od jego tylko woli zależy przechylić się na stronę któregokolwiek. Sam Edyp zdaje się niedowierzać swéj potędze, gdy do córki, oznajmującéj mu wspomnianą wyżéj wyrocznią bogów, powiada z pewnym rodzajem goryczy. „A więc dziś, gdy przestałem istnieć, dopiéro mam być tak wielkim"! Córka chce go pocieszyć, pokrzepić na duchu i mówi: „Bogowie cię poniżyli, bogowie cię wznoszą". Ale długo nieszczęśliwy człowiek nie może jakoś odrazu otrząsnąć się z przykrych wrażeń minionéj niedoli; Edyp wymawia ostatnią skargę na przeszłość. „O! cóż staremu po wysokich zaszczyta h, kiedy za młodu zmarniał", i wraz po tym ostatnim jęku boleści waży swe obecne położenie, aby sobie właściwe w niém obrać stanowisko i korzystać rozumnie z nadanéj mu przez bogów władzy. Bez wahania prawie, na wieść, że Tebanie, gdyby nawet przeszedł z powrotem do nich, nie mają zamiaru pogrzebać go w swéj ziemi; przechyla się na stronę Aten, i im w nagrodę otrzymanéj gościnności, oliaruje bogate dziedzictwo,—mogiłę swą, do któréj łaska bogów przywiązana. Król i lud z wdzięcznością przyjmują tę ofiarę; Edyp, śród jęków dzieci i błogosławieństwa ludności, umiera:—bogi jedną chwilą wynagrodzili mu zgryzoty życia.

Człowiek ten wszakże, aby pokazać, że w przechyleniu się na stronę Aten, nie działa z bezmyślną dowolnością, ale z rozmysłem; przybyłemu Kreonowi systematycznie dowodzi właściwość swego postępowania. Powiada, że lud, który bezprawnie wygnał swego monarchę; że synowie, którzy ojca w złym razie opuścili, łącząc się z jego nieprzyjaciołmi: niegodni są jego względów, i te słusznie należą tym, którzy obcego sobie człowieka przyjęli gościnnie i dobrém obejściem chcą mu ostatnie chwile osłodzić. Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, że w całéj téj rozprawie z Kreonem, równie jak z kilku innych ustępów o któ-

rych zaraz wspomnimy, pokazuje się, jaką Grecy wagę przywiązywali do *słowa*.

W ogóle poezya grecka pokazuje nam lud niezużyty, świeży, radujący się z wszystkiego co dobre i piękne, bo dopiéro tych darów zaczyna używać: stan i skutki nadużycia jeszcze dlań tajemnicą. Cieszy się z życia, z rozumu, który go wznosi nad naturę, ze zmysłów, które mu dopomagają podziwiać ją i badać; cieszy się z daru mowy i ma ją za coś świętego, za coś tak wysokiego, że wyraz λογος znaczy tak dobrze rozum, jak mowę. Owoż co do téj ostatniéj mianowicie własności człowieka, weźmy z niniejszéj tragedyi wyrażenia jak to np., gdy Edyp powiada do Kreona: „Język ty masz wprawny; ale nie znam uczciwego człowieka, coby o wszystkiém bez wyboru pięknie umiał rozprawiać“ (1). Albo gdy tenże upomina córkę, żeby krótko opowiadała, „bo krótkość mowy przystoi młodemu wiekowi“. Ale nic charakterystyczniejszego jak chwila, gdy na scenie zjawia się Polinik, prosząc ojca o słowo przebaczenia. Starzec oburzony nań w głębi zakrwawionego serca, upornie milczy, i dopiéro na czułą prośbę Antygony i przypomnienie obecnych, że Polinik przychodzi doń z rozkazu Tezeusza, że winien mieć wzgląd na to; obrażony ojciec gwałtowne czyni wysilenie, aby do syna przemówić, i znać to z piérwszych zaraz słów jego odpowiedzi, która kończy się najokropniejszém przekleństwem. Do Kreona jednak mówił bez przymusu, bo Kreon to człowiek dla niego prawie obcy, mniéj więc dotkliwy cios przezeń mu zadany; ale Polinik to syn rodzony, a jednak śmiał podpisać akt wygnania przeciw ojcu. To zbrodnia, któréj w obecnych okolicznościach nie mógł inaczéj ukarać jak milczeniem lub przekleństwem.

Jedyny zarzut, jakiby uczynić można charakterowi Edypa, w stosunku do ogółu rysów, jest zbyteczna zawziętość jego przeciw Tebom. Bo, że czuje mocno osobiste krzywdy, i pragnie pomsty na swych osobistych nieprzyjaciołach, na to zgoda: usprawiedliwiają go wyobrażenia wieku i pogańskiego społeczeństwa; ale z temi domowemi jego zatargami, wiąże się interes państwa, bo Edyp dla dogodzenia osobistéj zemście, całe Teby zostawia na łasce Aten. Takie jest znaczenie téj jego mogiły na gruncie ateńskim. Zdarzenie to nie jest bynajmniéj prostym

(1) Była to może przymówka poety do spółczesnych mu sofistów i retorów.

wymysłem poety, ale historycznym faktem, wspominanym przez pisarzy greckich, mianowicie przez Demostenesa. Umowa nawet pomiędzy Edypem a Tezeuszem miała w sobie coś tajemnego dla ogółu, wiadomego tylko rządowi, jak to i sam text tragedyi wyraża. Edyp bowiem mówi do Tezeusza: „Ty sam dowiesz się tego, co świętą i nienaruszoną winno być tajemnicą; ja nawet córkom moim najdroższym jéj nie objawię, ani ludowi twemu, i ty zatém dochowaj jéj: dopiéro przed śmiercią powierz ją przyszłemu władzcy, a on następcy, niech ją w tenże sam sposób przekaże. Tak postępując, krainę twą na zawsze ubezpieczysz przeciw Tebom". Tak wystawiony Edyp, zakrawa jakoś na Koryolana i jemu podobnych, co nas zapewne uderzać musi w Sofoklesie, który miał już przecie przed oczyma takie wielkie przykłady zaparcia się bohaterskiego dla dobra ojczyzny w Temistoklu i Arystydesie (1). Z téj więc strony porównany Edyp z owemi bohaterami, byłby zapewne bardzo mały, zatém nieodpowiedni rozmiarom ideału męża sprawiedliwego, do jakich poeta go przeznaczył. Ale z drugiéj strony uważając, tenże sam zarzut może wypaść na korzyść Sofoklesa; chętnie więc chwytamy się sposobu usprawiedliwienia go.

W Grecyi starożytnéj długi czas wyraz: ojczyzna, narodowość, czyli jakkolwiek nazwiemy to, co odrębność społeczeńską stanowi, przywiązywane było do jednego jakiegoś okręgu, do jednego miasta, do jednéj gminy; bo Grecya była, jak dzisiejsze Niemcy lub Stany Zjednoczone, rzeszą ludności. Każdy uczą-stek działał na swoję rękę, aż póki przewaga jednego państwa nie natworzyła sobie satelitów, które koło niéj jak koło słońca wirowały. Taki stan rzeczy zgubnym był dla Grecyi osaczonéj nieprzyjaznemi sobie żywiołami: rozbudzał namiętności wewnętrzne, podawał broń do zamieszek domowych, bo związek Amfiktyoński figurował tylko nominalnie, a interes pojedynczych stanów był zwyczajnym punktem wyjścia działań politycznych. Owoż, czyliżby nie można przypuścić, że poeta, mający podówczas na widoku wojnę peloponezką, straszne następstwo decentralizacyi, mniéj sobie ważył to pojęcie narodowości, przywiązane do kilku stadii kwadratowych; że wyobrażenie ojczyzny

(1) Znajome słowa Arystydesa udającego się na wygnanie: „Oby ziomkowie moi nie mieli nigdy powodu kroku swego żałować".

u niego było rozszerzone przynajmniéj do rozmiaru całéj Grecyi: że zatém sprawę pomiędzy Tebami a Atenami, uważał jakby kompromis pomiędzy dwoma braćmi, i rzecz rozstrzygnął na korzyść godniejszego. Taki punkt zdaje się nam najwłaściwszym do sądzenia tego utworu Sofoklesa; tém bardziéj, że polityka, jak to już dawniéj mieliśmy sposobność wspomnieć, jest jedną z najwydatniejszych stron w tragikach greckich.

Sam Edyp w tym utworze jest główną postacią; cały charakter tragedyi jest jego charakterem. Powaga, religijność, wszystko co cechuje starca, zlało się tu, żeby całéj sztuce nadać jakąś barwę starości. Nie ma w niéj téj dramatyczności jaką zaleca się *Edyp król*, ani tego życia jakie widzieliśmy w *Antygonie*; ale możnaby ją bezpiecznie nazwać udramatyzowaną sielanką.

Prześliczną tu postacią jest Tezeusz, ideał zacności władcy i człowieka; charakterystycznym nadzwyczaj jest sposób, w jaki on zapewnia u siebie Edypowi gościnność, jak się wywięzuje z danych mu przyrzeczeń. Postać to, w którą wpatrzenie się, wiele może nam ułatwić poznanie wnętrza społeczności greckiéj, jéj umysłowego rozwoju i zasad życiowych; nastręcza ona, w zetknięciu z Edypem wiele uwag i porównań, ale trzebaby się przygotować na obszerniejszy traktat, aby je wyczerpać. Niemniéj przyjemną jest téż figura Antygony, która jak w tragedyi tegoż imienia jest ideałem siostry, tak tu wyobraża rzewne dziecięce uczucie. Rozmiłował się widać Sofokles w téj postaci, gdy ją wszędy w tak pięknych przedstawia barwach. Trudno zaprawdę wynaléźć na owe czasy coś piękniejszego w utworach sztuki wszelkiego rodzaju, jak tego starca z wyłupionemi oczyma, który oparty na wątłém ramieniu dziecięcia, powierza się jego pieczy w dalekiém tułactwie. Jakto cudnie obmyślany kontrast: starzec i dziecię, przeszłość i przyszłość na pustyni, dwie istoty bezbronne, a jednak silne wzajemną miłością. (Ten obraz stworzony przez Sofoklesa, musiał, zdaje się, wpłynąć na ułożenie tradycyi o ślepocie Belizaryusza). A przytém jakież to nieocenione serce téj Antygony! Jak ona kocha tę swoję rodzinę, jak się poświęca dla niéj! Miłość jéj jest nawet pod pewnym względem, że tak powiem, chrześciańską: ona kocha grzeszników, niegodnych swoich braci i modli się za nich.

Ciekawy téż szczegół wiąże się z przedstawieniem téj tragedyi. Kilku go pisarzy starożytnych przytacza; wyjmujemy go

np. z rozprawy Cycerona: *O starości*: „Sofokles do późnéj starości tworzył tragedye; dla któréjto pracy, gdy zdawał się gospodarskich zatrudnień zaniedbywać, pozwany został przez synów do sądu. Żądali oni, iżby go władza odsądziła od majątku jako człowieka pozbawionego zmysłów, jak to i u nas (w państwie rzymskiém) zwyczaj jest nierządnych ojców rodziny wywłaszczać. Tedy starzec sztukę świeżo przez się napisaną p. t. Edyp w Kolonie, którą w ręku trzymał, odczytał sędziom i zagadnął ich: *ażali tego poematu twórcą może być waryat*? Sędziowie jednozgodnie skargę przeciw niemu unieważnili".

Na jedno z powyższego przytoczenia się nie zgadzamy. Cycero za drugiemi powtarza, iż Sofokles przyszedł do sądu z gotowym już Edypem. Nam się to nie zdaje: zawiele bowiem jest analogii pomiędzy treścią tragedyi, a domowemi jego zatargami, iżby to stać się miało przypadkiem. Sądzimy raczéj, że Sofokles w starości, miał już bowiem lat przeszło 70, srodze przez synów ukrzywdzony, umyślnie w dziejach ojczyzny wyszukał faktu odpowiedniego swoim okolicznościom, a przytém coś innego jeszcze za jedną drogą obmyślił. Edyp w Kolonie jest niezawodnie ostatnią z jego prac; Kolon zaś, to jego miejsce urodzenia: ta więc tragedya, to śpiew łabędzi, hymn pożegnalny dla rodzimego miasta. Myśl, którą przypisujemy Sofoklesowi, objawia się mianowicie w piérwszym, pełnym narodowego uniesienia chórze tragedyi, który ma za cel rozsławić piękności kolonijskiéj ziemicy; chór ten, jakkolwiek przełożony na język dwudziestą przeszło wiekami oddzielony od tamtoczesnych form i wyobrażeń, blado wyglądać może: niemniéj przeto jest jednym z najpiękniejszych kwiatów liryki greckiéj.

OSOBY.

Edyp były król Teb.
Antygona } jego córki.
Ismena }
Tezeusz król Aten.
Kreon.
Polinik syn Edypa.
Przechodzień.
Posel.
Chór starców kolonejskich.

Rzecz dzieje się w osadzie *Kolonos* w pobliżu Aten, na XIV wieków przed Chrystusem.

EDYP, ANTYGONA.

Edyp.

Powiedz, starego ślepca córo ukochana!
W jakim grodzie jesteśmy, w jakich ziem ustroni?
Kto tułacza Edypa dzisiejszego rana
Podejmie skromnym datkiem z dobroczynnéj dłoni?
Oh! on żąda tak mało! Przecież nie narzeka
Choć mniejszy, niż się spodział, dar dobrego człeka.
Bo go wiek i cierpienie i rozum wytrwały
Nauczyły szanować dar, jakkolwiek mały.
Popatrz tymczasem, córko, czy nie widać kogo
Bądźto w ludzkim zaułku, bądź też w bożym gaju,
By nam zechciał powiedzieć, gdzie tą zajdziem drogą,
Rzekł słowo o tych miejscach, o ich obyczaju.
Posadź mnie gdzie na głazie i puść wzrok na zwiady:
My obcy, więc miejscowych trzeba pytać rady.

Antygona.

Widzę zblizka, Edypie, ojcze nieszczęśliwy!
Jakiś gród; wokół grodu obronne wieżyce;
A to miejsce snadź święte, bo zewsząd oliwy,
To wawrzyny, to bujne jaśnieją winnice, (1)
I słowików w powietrzu brzmią rozkoszne pienia:
Więc siądź ojcze, tu na tym odłamie kamienia,
Boś strudzon, ile stary, włóczęgą po świecie.

Edyp.

To mnie posadź i pilnuj ślepca, drogie dziecię!

Antygona.

Znamci ja mą powinność, bo ją spełniam codzień.

Edyp.

Więc nie wiesz gdzieśmy zaszli, czyje tu siedlisko?

Antygona.

Miejsca nie znam; lecz pewnie Ateny gdzieś blizko,
Tak nas bowiem na drodze upewniał przechodzień.
Lecz jeźli chcesz, to pójdę ku zebraniu wieści.

(1) Samo to oznaczenie roślin hodowanych w Kolonie oznacza niejako, które bóstwa szczególnéj tam czci doznawały: *oliwa* bowiem poświęcona była Minerwie, *wawrzyn* Apollonowi, *wino* Bachowi.

Edyp.

Zapytaj, czy tu ludziom przebywać się godzi.

Antygona.

O! to pewna, że tutaj lud się jakiś mieści;
Lecz zostanę, bo właśnie człek jakiś nadchodzi.

Edyp.

Czy się zbliża, czy spieszy?

Antygona.

Niebawem tu stanie.....
Już jest, możesz go pytać o radę i zdanie.

EDYP, PRZECHODZIEŃ, ANTYGONA.

Edyp.

Przechodniu! rad-em słyszał z ust téj, któréj oczy
Starczą dla nas obojga, że ktoś ku nam kroczy;
Bo mniemam, że nauczysz zbłąkanych w podróży...

Przechodzień.

Nie kończ: zanim wyłuszczysz rzecz, o którą-ć chodzi,
Zstąp z tych miejsc, kędy wkraczać ludziom się nie godzi.

Edyp.

Czyjażto więc siedziba, jakim bogom płuży?

Przechodzień.

Nie mieszkać w niéj, nie dotknąć stopy człowieczemi:
To jest mieszkanie strasznych cór piekła i ziemi (1).

Edyp.

Pod jakiémże imieniem mam wzywać ich pieczy?

Przechodzień.

Tu żyją Eumenidy świadome wszech rzeczy (2):
Tak je zwie lud tutejszy; inni zwą inaczéj.

(1) Furye, po grecku Erynny, inaczéj Eumenidy; gaj, na który Edyp natrafił, był im poświęcony.

(2) Tu mieszkaniec Kolonu powiada tylko, że inni inaczéj je nazywają nie zaś Eumenidy; bo też istotnie wyraz *eumenes* znaczy dosłownie: *dobrochętny*, tojest przyjazny, gdy tymczasem Furye są symbolem nienawiści i zniszczenia. Winniby więc Grecy nazywać je *dysmenidy*; ale nie czynią tego z bojaźni, iżby nadaniem im właściwego miana nie ściągnęli gniewu ich na siebie; ztąd też zwą je dobroczynnemi, i czynią im ofiary uprzedzając tém niejako ich złą wolę.

Edyp.

Więc bodajby ich umysł był dla mnie życzliwy!
Bo już ja z tego miejsca nie odejdę żywy.

Przechodzień.

A toż dlaczego?

Edyp.

Tak mi moja dola znaczy.

Przechodzień.

Ja-ć cię przecie swawolnie z tych miejsc nie wypłoszę,
Lecz udam się do radnych, a wtedy zobaczem.

Edyp.

Na bogi! nie pogardzaj mną biednym tułaczem,
Ale bądź mi powolnym w tém, o co tak proszę!

Przechodzień.

O cóż ci idzie? powiedz, ja-ć wzgardy nie czynię.

Edyp.

Wyjaśnij mi dokładnie, gdzie jesteśmy ninie.

Przechodzień.

Więc jako-m świadom, wszystko opowiem ci szczerze:
Ta ustroń jest wszechświęta, to wybrana strona
Olbrzyma Prometeja, cnego Posejdona (1).
Ziemia, gdzie stąpasz, zwie się miedziane odźwierze,
Na którém, jak na dźwigni, gród ateński stoi.
Nad jéj losami stale czuwa Kolon konny,
On jéj chluby użycza, on opieki swojéj,
I od jego się miana przezwał lud postronny.
Takie są, gościu, bóstwa w wiecznéj u nas cześci
I znane nam z pobytu, nie jedno z powieści.

(1) W Grecyi kilka było miejsc, przez które, według poetycznego podania schodziło się do piekieł, i którędy Pluto miał unieść porwaną Prozerpinę. Owoż jedno z takich jest w Kolonie i zwie się *miedzianym progiem* czyli *drogą miedzianą* ὁ χαλκοῦς οδος; droga ta była granicą pomiędzy ziemią i Tartarem, na niéj więc sadowią poeci Erynny. Niezależnie od tego Prometusz, Neptun czyli z grecka Posejdon i Kolon konny, starożytny bohater Grecyi, byli bóstwami opiekuńczemi téj osady, stanowiącéj jedną z dzielnic ateńskich; samo zaś miasteczko Kolonos było prawie przedmieściem Aten. Jowisz w VIII księdze Iliady przemawiając do grona bogów, wykrzykuje między innemi: „tego ja rzucę do czarnego Tartaru, daleko, kędy pod ziemią bezdenna przepaść: a drzwi jéj żelazne i miedziane przedproże."

Edyp.

A czy w tém miejscu ludzie mieszkają jakowi?

Przechodzień.

Toż ci mówię, że miano winni Kolonowi.

Edyp.

Czy krajem jeden rządzi, czy powszechna rada?

Przechodzień.

Panem jest król jedyny, co w Atenach włada.

Edyp.

Jakie-ż zaś imię tego przy kim, moc i prawo?

Przechodzień.

Tezej, co włada ojca, Egeja, dzierżawą.

Edyp.

Mógłbyś mi kogoś w posły do niego doradzić?

Przechodzień.

Czy chcesz mu co powiedzieć, czy go tu sprowadzić?

Edyp.

Za małą tu przysługę, wielki dzięk go czeka.

Przechodzień.

A cóż go może czekać od ślepego człeka?

Edyp.

Co tu z sobą rozsądzim, wszystkim jawne będzie.

Przechodzień.

A więc słuchaj mię, gościu, iżbyś nie był w błędzie;
Boć-eś zacny, choć w biédzie, i poznać to snadnie.
Owoż siedź tu, jak siadłeś, ja zaś pójdę blizko
Zmówić się z ludźmi, którzy tu mają siedlisko
Na tém wzgórzu, nie w mieście: jak z ich rady padnie,
Czy masz tutaj pozostać, czy ruszać gdzie daléj. *(odchodzi).*

Edyp.

Rzec mi córko, czy sami jużeśmy zostali?

Antygona.

Obcy odszedł; ja sama obok ciebie stoję.
Możesz, ojcze, bezpiecznie jawić myśli swoje.

EDYP, ANTYGONA.

Edyp.

O boginie przezacne! straszliwe boginie!
Gdy mi piérwszy spoczynek dało miejsce święte,
Które waszym pobytem i czcią waszą słynie;
Więc nie bądźcie na Teba, ni na mnie zawzięte.
Onto, wróżąc mi klęski, przepowiedział zasię,
Że znajdę wreszcie spokój po długim niewczasie;
Mówił mi, że gdy pośród dalekich bezdroży
Stąpię na waszę ustroń, przezacne boginie,
I gdy mi ona, progi gościnne otworzy:
To kres niedoli, która razem z życiem minie.
Szczęśliwi wielce, którzy przyjmą mnie śród drogi;
Lecz biada tym, co śmieli wypchnąć mnie za progi.
I oto znak wyraźny uprzedzi mnie o tém:
Ziemiotrzęś z błyskawicą lub piorunu grzmotem.

Wasza sprawa, ni wątpić, żem oto na drodze
Napotkał wasz gaj święty; wyście moi wodze:
Bo przecież nie trafunkiem stało się tak prawie,
Żem, wlokąc błędne nogi, zszedł się na téj ziemi
Z bóstwami, jak ja równie mało wybrednemi (1),
I spoczął na téj świętéj, acz tak prostéj ławie.
Więc wedle słów Apolla, błagam was, boginie!
Sprawcie, niech już tu z życiem raz rozbrat uczynię;
Chyba, że mnie nieszczęścia niedość jeszcze biły,
Chocia-m zmógł, co śmiertelne ledwie zmogą siły.

O wy, starca Ereba najłaskawsze córy!
O ty, grodzie ateński, wielki grodzie! który,
Zaszczycony potężnéj Pallady imieniem (2)
Świecisz ponad wsze grody niezrównaną chwałą:
Zmiłujcież się nad nędznym Edypowym cieniem,
Boć to cień, nie już ono moje dawne ciało.

(1) Edyp nazywa Furye niewybrednemi, gdyż im na ofiarę wylewano tylko wodę i mleko bez wina.

(2) Pallas Athene znaczy Minerwę, najwyższą opiekunkę Aten.

Antygona.

Przestań, ojcze! gromada starców ku nam kroczy,
A w to miejsce, gdzieś siedział, mierzą wszystkich oczy.

Edyp.

Zgoda: ty zaś mnie z drogi rychléj skryj w gęstwinie,
Aż się dobrze przysłucham téj całéj drużynie
I rozważę ich słowa; to jedyna rada,
By mieć naprzód rękojmią, jak działać wypada.

EDYP, ANTYGONA, CHÓR.

Chór.

Baczność na wszystkie strony!
Kto tu był? gdzie skrył się nam?
Gdzie przepadł wystraszony?
Śmiałku nad śmiałki! przybliż się sam!
A co! nic widać go kędy?
Wołaj nań, szukaj go wszędy.
Ten starzec obcy zbłądził śród drogi.
Obcy; bo czyżby ważyć się mógł
Świętego gaju przestąpić próg,
Kędy przebywa lik dziewic srogi,
Które strach nazwać, które my sami
Mijając, w stronę mierzym oczami,
Idziem w milczeniu, a tylko zcicha
Korną modlitwę pierś nasza wzdycha.
A bez uwagi na wszelkie względy,
Śmiałek się jakiś ważył wnijść tędy
I próżno wkoło wodzę oczyma;
Gdzież się przyczaił, że tu go nie ma?!

Edyp.

Owoż ja jestem, o którym mowa.
Srogim obciążon wyrokiem,
Głos mi jest okiem!

Chór.

Przebóg, straszliwa postać, i straszliwe słowa!

Edyp.

Nie myśl, żem prawo lekceważyć rad.

Chór.

Gromy Zeusowe! któż to jest ten dziad?

Edyp.

Nie ten, zaprawdę, czyjeby dolę
Sławiono naprzód w szczęśliwych kole;
Gdyby tak było, czyżbym, podróżny,
Chodził cudzemi wiedzion oczami?
Wielki, żebrałżbym małéj jałmużny?
O zacni męże! osądźcie sami.

Chór.

Ślepe, przebóg! twoje oczy,
W twéj postaci widny ślad
Że cię brzemię nieszczęść tłoczy,
Od poczęcia w starość lat.
Owoż ja, o ile zdołam,
Nie dopuszczę abyś nowe
Gromy ściągnął na swą głowę.

Ustąp, starcze! ustąp, wołam,
Obejdź, obejdź z innéj strony
Ten milczący gaj zielony,
W którym pełna wody, mléka,
Na objatę czarą czeka.

Wynijdź, gościu nieszczęśliwy!
Kroków swoich pilnie strzeż,
Niech cię długie dzielą niwy
Od tych miejsc: umykaj, spiesz!
Biédny dziadu z cudzych krajów,
Jeźli pragniesz moich słów,
Stąń za miedzą świętych gajów,
Gdzie wszem wolno; nie wprzód mów.

Edyp.

Cóż tedy, córko, mam robić na dobie?

Antygona.

Śród obcych, ojcze, upór nic nie nada;
Wtórzyć miejscowym, to jedyna rada.

Edyp.

Prowadź mnie córko.

Antygona.

Toż ja właśnie robię.

Edyp.

Lecz mię nie krzywdźcie, jeźli k'woli waszéj
Zacni mężowie! wyjdę z téj ustroni.

Chór.

Niechaj cię, starcze, wzgląd na to nie straszy:
Nikt cię przemocą z tych miejsc nie wygoni.

Edyp.

Czym dość się cofnął?

Chór.

Mało.

Edyp.

Teraz?

Chór (*do Antygony*)

Dziećię!
Pomóż ślepemu, boć ty widzisz przecie.

Antygona.

Ze mną pójdź, ojcze, drżącemi kroki,
I jako obcy na obcéj ziemi,
Cudzéj drużyny szanuj wyroki
I czcij i hydź się równo z drugiemi.

Edyp.

Prowadź mię, córko, prowadź ostrożnie
W miejsce, gdzie mógłbym stanąć pobożnie,
Słuchać mówiących i mówić wzajem
Zgodnie z potrzebą i obyczajem.

Chór.

Dość: przy tém kamiennem wzniesieniu
Stań, nie stąp daléj ni kroku.

Edyp.

Czy już?

Chór.

Już.

Edyp.

Mogęż usiąść?

Chór.

Siądź wzwyż na kamieniu
I nieco przechyl się z boku.

Antygona.

Ojcze! ty krom mnie, nie masz nikogo
Ku swéj podporze; więc oprzéj śmiało
Na mojéj ręce sędziwe ciało
I stąpaj zwolna noga za nogą.

Edyp.

Nieszczęsnaż dola!

Chór.

Człeku niebogi!
Kiedyś usłuchał naszéj przestrogi,
Przeto nam powiedz co o swym rodzie:
Kto jest twój ojciec, i w jakim grodzie
Ojczyzna twoja, i czemu przecie
Tak nędzny żywot wleczesz na świecie?

Edyp.

O! jam bez ziemi.... ależ.... mężowie!...

Chór.

Czém to tak, starcze, wahasz się w słowie?

Edyp.

Nie, nie, nie dręczcie mnie pytaniami
Kto-m jest: nie mogę zeznać przed wami.

Chór.

Co zacz?

Edyp.

Okropność!

Chór.

Niechże się dowiem.

Edyp.

O córko, przebóg! co ja im powiem?

Chór.

Kto ciebie rodzi, opowiedz nam.

Edyp.

Radź-że mi, córko, co robić mam.

Antygona.

Powiedz, gdy gwałtem za słowo biorą.

Edyp.

Nie mogę taić.

Chór.

Coś wam niesporo.

Edyp.

A więc, czy znacie wy Laja płód?

Chór.

Gwałtu!

Edyp.

A znacież Labdaków ród?

Chór.

Zeusie!

Edyp.

A teraz.... czy znany wam
Nieszczęsny Edyp?

Chór.

To ty!

Edyp.

Ja sam!....

Tylkoż was proszę, o mili moi!
Niech się słów moich nikt z was nie boi.

Chór.

O nieszczęśliwy! biadaż nam, biada!

Edyp.

Cóż teraz, córko, czynić wypada?

Chór.

Daléj nieszczęśni, precz z naszych granic!

Edyp.

A przyrzeczenia-ż swoje masz za nic?

Chór.

Kto raz upadłszy, podnieść się stara,
Nad tym wyroczna nie cięży kara;
Kto siał nieszczęście, niechaj nań spada
Owoc nieszczęścia:— za zdradę zdrada.
Więc wstań i wychodź z naszéj krainy,
By nie cierpiała przez twoje winy.

Antygona.

Jeżliż nie chcecie, mężowie czcigodni!
Wysłuchać głosu mojego rodzica,
Słyszéć wyznania poniewolnych zbrodni;
Więc ja was błagam, ja biédna dziewica,
Wzywam litości nad nim i nademną:
Nie chciejcież, abym prosiła daremno.

Jać nie ślepemi patrzę w was oczami,
Zda mi się jakoś, żem jedna krew z wami.
O! czyż was najmniéj dusza nie zaboli
Dla wieku jego i jego niedoli?!
Nie omieszkajcież, boć nadzieje wszelkie
Myśmy w was ninie jak w bogu złożyli;
Spełnijcie rychło dobrodziejstwo wielkie
Błagam was o to na wszystko, o mili!
Cokolwiek macie drogiego na świecie,
Na bogów, mienie, na żonę i dziecię!
Bo gdy nad człekiem boskie cięży ramie
Wprzód zginie, niźli z podeń się wyłamie.

Chór.

Wierzaj mi, luba córo Edypowa!
Nam żal was srodze, lecz się równie trwożym
O dolę naszą; a pod gniewem bożym
Nie możem zmienić poprzedniego słowa.

Edyp.

Cóż tedy jest ten rozgłos, co w świata obszary
Niesie sławy wsze wdzięki?.... Wieści, mdłe to mary.
O Atenach nam prawią niesłychane dziwy:
Że to wzór pobożności, gród nad wszystkie grody;
Tam przytułku nie żebrze tułacz nieszczęśliwy.
Także się na mnie pełnią téj sławy dowody?
Cóżto was we mnie takim strachem przeraziło,
Że mnie z miejsc tych i z kraju wygnać chcecie siłą?
Chyba groza imienia, nie ciało, nie czyny:
Bo gdybym ci ogłosił, lecz mi nie należy,
Dzieje mego rodzica i mojéj macierzy;
Tobyś krzywdy me widział większe niźli winy,
Za które mną się mierzisz bez słusznéj przyczyny.
Słusznaż zwać mię złym z rodu, kiedyć jedno losy
Zrządziły tak, żem wrogom oddał cios za ciosy?
A choćbym i świadomie mścił się krzywdy mojéj,
To jeszcze nie przyczyna, by mię złym mieniono;
Tém bardziéj nieświadomość staje mi obroną.
Ale wróg co knuł na mnie, ten znał że złe broi,
Więc błagam was na bogi, jakom w waszém słowie
Znalazł mir, tak przytułek niech znajdę, mężowie!

Iżbyście mając wrzkomo cześć bogów na pieczy
Nie zrządzili im ujmy działając od rzeczy.
Bo wierzajcie, zaprawdę, że oni z wysoka
Patrząc w dobre, ze złych też nie spuszczają oka:
I źli przed kaźnią bożą nigdy nie uciekli.
Baczcież przeto, ażeby bezbożnemi czyny
Nie zaćmić blasku szczęsnéj ateńskiéj krainy;
Lecz jak słowo otuchy rzeście wyrzekli,
Tak mi nie odmawiajcie swobody i straży.
Nie patrzcie na ochydę méj sędziwéj twarzy,
Bo ja dzisiaj przed wami niby święty staję,
Pomyślność wiodąc na was i na wasze kraje;
A gdy się jedno starszy waszéj ziemi zdarzy,
To każdy z was o wszystkiém z moich słów się dowié.
Nie krzywdźcież mnie tymczasem, błagam was! mężowie.

Chór.

Czcią pobożną napełnia nas, starcze! twa mowa;
Przejmujące zaprawdę to myśli i słowa:
A więc tę rzecz królewskie niech rozstrzygnie zdanie.

Edyp.

A gdzież proszę, mężowie, król wasz ma mieszkanie?

Chor.

Król nasz w ojcowéj ziemi na stolicy siedzi:
Człowiek co nas tu przywiódł i jego uprzedzi.

Edyp.

Będzież on miał, sądzicie, dosyć chętnéj woli
By przyjść tu ulżyć człeka ślepego niedoli?

Chór.

Jak się dowié, kto jesteś, przybędzie téj chwili.

Edyp.

Czémżeście wy tak spiesznie tu się zgomadzili?

Chór.

Droga krótka, podróżnych chyżo wieści biegą,
Wkrótce, jak my, tak władca dowié się wszystkiego;
A imię twe tak, starcze, okrzyczane wszędzie,
Że on ze snu się porwie, a tutaj przybędzie.

Edyp.

Dobrze: wzajemna korzyść drogi jego celem;
Jakiż człek mądry nie jest sobie przyjacielem?

Antygona.

O Zeusie! co to znaczy?

Edyp.

Cóż znów Antygono?

Antygona.

Niewiasta jakaś, ojcze, ku naszéj ustroni
Na etnejskim rumaku w całym pędzie goni (1).
Twarz jéj znad głów tessalską okryta zasłoną:
Ona-ż to czy nie ona?...czy mię łudzą zmysły...
Nie wiem...niepewne słowa w uściech mych zawisły...
To ona! jakaż słodycz z jéj oblicza spływa:
To Ismena, to moja siostra nieszczęśliwa!

Edyp.

Cóż tedy dziécię?

Antygona.

Siostra, twoja córka miła!...
Wraz ją ojcze usłyszysz, ot, już, już przybyła.

EDYP, ANTYGONA, ISMENA.

Ismena.

Ojcze! siostro! jak słodko głos wasz słuch mój pieści!
Jakom was biegła szukać w goryczy i trwodze,
Tak mnie znów, na wasz widok żałość ima srodze!

Edyp.

Przybyłaś, moje dziécię?

Ismena.

Dzielić twe boleści.

Antygona.

O, moja ty rodzona!

Ismena.

Opłakane-ż życie!

(1) Konie i muły sycylijskie sławne były w Grecyi. Sycylia zwie się u Greków *ziemią etnejską* od góry Etny.

Edyp.

Straszna dola nam dwojgu!

Ismena.

A mnie-ż nie liczycie?

Edyp.

Przybyłaś przecie...

Ismena.

Ciężkie trudy moje były.

Edyp.

Uściskajże mnie, córko!

Ismena.

Chętnie, ojcze miły!

Edyp.

Cóż cię tutaj znagliło?

Ismena.

Troska o twą sławę.

Edyp.

Jakto?

Ismena.

Z tym wiernym sługą przychodzę-ć zdać sprawę.

Edyp.

Jakże tam młodzi bracia do dzieła się biorą?

Ismena.

Zwyczajnie jak to oni: w złém idzie im sporo.

Edyp.

Jak uważam, to oni od niejakiéj chwili
Coś na sposób egipski życie urządzili..
Tam bowiem męże siedzą po domach z wrzeciony,
Kiedy o chléb za domem starają się żony.
Tak i oni spokojnie schowali się w mury
Jak dziewczęta; tymczasem wy, o mężne córy!
Ich spełniając powinność, cierpień nie szczędzicie,
By snadź ojcu osłodzić gorżkie jego życie.
Antygona od czasu, jak minęły chwile
Jéj dziecinnéj niemocy, odkąd wzrosła w sile,
Wraz ojcu nieszczęsnemu towarzyszy wszędy
Brnąc ochoczo ze starcem w tułacze obłędy.

Ileż razy niepomna głodu i niewczasu
Krwawiła bose nogi o cierniska lasu,
Gdy deszcze na nią lały, gdy żar piekł jéj głowę;
Tyle jednak zacności było w niéj od rodu,
Że wolała porzucić wygody domowe,
Byle ojciec samotny nie zamarł gdzie z głodu. *(do Ismeny)*
Ty doniosłaś mi, z domu uchodząc tajemnie,
To, co rzekła wyrocznia na karb mego ciała;
Tyś wówczas jak stróż wierny nademną czuwała,
Gdy mnie z ziemi ojczystéj wygnano nikczemnie.
A teraz jakież wieści, ma Ismeno miła,
Przynosisz twemu ojcu? Dlaczegoś za domem?
Wiem ja dobrze, żeś ty tu niepróżno przybyła:
Bodój wieść twa nie była nowym nieszczęść gromem!

Ismena.

Ile cierpień przetrwałam, o mój ojcze miły!
Zanim-em się do twego dostała schronienia,
Nie będę-ć opowiadać; bo nie starczą siły
Téj podwójnéj boleści: mąk i ich wspomnienia.
Ale idąc do rzeczy, powiem ci jedynie,
Jakie pomiędzy braćmi złe się wszczęło ninie:
Z uwagi na odwieczne nieszczęścia rodowe,
Co się aż pośród domu rozgościły twego;
Chcieli zrazu zdać władzę na Kreona głowę
Sądząc, że tym sposobem kraj od klęsk ustrzegą.
Lecz niebawem bóg jakiś zwaśnił ich umysły:
Nagle się bratniéj zgody ogniwa rozprysły
I bój zacięty srodze zawrzał między niemi
O władzę nad Tebami i godność zwierzchniku;
Młodszy przemógł starszego brata Polinika,
I wraz wyparł go z tronu i z ojczystéj ziemi.
Ten zaś, jak wieści chodzą pomiędzy Tebany,
Gdzieś aż w górzyste Argos schronił się wygnany;
Tam szuka związków, szyki kojarzy bojowe
W mniemaniu, że zań mszcząc się argiwscy bojanie,
Raz na zawsze zagarną ziemie Kadmejowe,
A on sławą przynajmniéj pod niebiosy stanie.
Szczera to rzeczywistość, nie zaś płonne wieści:
Kiedyż bogi, twe, ojcze! rozwiążą boleści?

Edyp.

Tuszysz więc, że bogowie zmiękczeni mą dolą,
Spojrzą na mnie łaskawie i z cierpień wyzwolą?

Ismena.

Tak ja mniemałam, słysząc ostatnią wyrocznię.

Edyp.

A co? a co? ciekawym, mówże mi niezwłocznie.

Ismena.

Że dla dobra własnego, kiedyś cię Tebanie
Zapragną mieć koniecznie umarłym czy żywym.

Edyp.

A cóż im po człowieku, jak ja nieszczęśliwym?

Ismena.

Ze słów wyroczni, takie jest ludu mniemanie,
Że przy tym będzie siła, kto ciebie utrzyma.

Edyp.

Więc ja mam być tak dzielnym dziś, gdy mnie już niéma.

Ismena.

Z bogów poszły twe klęski, z bogów pójdzie chwała.

Edyp.

Co mi po tém staremu, gdy młodość zmarniała.

Ismena.

Wiedz wszakże, iż tu Kreon za chwilę przybędzie.

Edyp.

A odkryjno mi, córko, co on ma na względzie?

Ismena.

Przed bramami cię miasta chcą trzymać, z powodu,
Iżbyś będąc w ich mocy, nie wkraczał do grodu.

Edyp.

Jakież ze mnie korzyści zpoza bram mieć będą?

Ismena.

Choć te, że grobu twego obcy nie posiędą.

Edyp.

To i bez wróżby bogów każdy pojmie snadnie.

Ismena.

Dlategoż właśnie pragną mieć cię na granicy,
A nawet siłą zmusić, jeźli tak wypadnie.

Edyp.

A chcą-ż mi grób usypać w tebańskiéj ziemicy?

Ismena.

Nie, bo zabójstwo ojca tego im zabrania.

Edyp.

Więc nie będą mnie mieli; próżne ich starania.

Ismena.

Lecz to Kadmejom na złe może wyjdzie potém.

Edyp.

Na złe, mówisz, co znaczy? i w jakimże względzie?

Ismena.

W razie utarczki z ziemią, co grób twój posiędzie.

Edyp.

Co ty mówisz, o córko, i zkąd ty wiesz o tém?

Ismena.

Od ludzi, którzy po to aż do Delf chodzili.

Edyp.

Tak się o mnie odezwał sam Apollo boski!

Ismena.

Tak oni za powrotem po Tebach głosili.

Edyp.

Czyż który z moich synów słyszał te pogłoski?

Ismena.

Oba-ć oni słyszeli wszystko, jako żywo...

Edyp.

O bezecni zbrodniarze! tedy oni wolą
Bić się o tron, niż boleć nad ojca niedolą!

Ismena.

Przykro to słuchać; ale niosę-ć wieść prawdziwą.

Edyp.

O! niech bogi nie gaszą do ostatniéj chwili
Pochodni ich rozterek; niechaj jedno we mnie
Leży koniec tych bojów, które już wzniecili,
Bratnią dłoń przeciw bratniéj podnosząc wzajemnie.
Ten bodaj stracił berło co je dzierży ninie;
Ów, zdala od ojczyzny niech tułaczem zginie

Za to samo, że ująć się nie było komu,
Gdy ich starego ojca wypędzano z domu;
Że, kiedy mnie wygnańcem w kraju ogłoszono,
To żaden się z nich ku mnie nie kwapił z obroną!
Chociaż może kto powié: lud nie mógł zawinić
Czyniąc to, co ja wprzódy sam chciałem uczynić;
Lecz nie tak jest. O! wtedy, gdy krew moję palił
Żar rozpaczy, gdy dla mnie śmierć była tak drogą:
Gdyby-ż mi był kto głowę kamieńmi rozwalił,
Byłbym wdzięczen; lecz wtedy nie było nikogo
Coby mnie chciał zrozumieć i żądzy wygodził.
Dopiéro, gdy czas jakoś boleść mą ochłodził,
Gdy-m sam spostrzegł, żem w srogiéj zawziętości na się
Cięższą, niż były winy, skarał się zgryzotą:
Dopiéro i lud zmądrzał, aleć po niewczasie
I wyrzucił mnie z granic, gdy mi nic szło o to.
Oni mieli dość siły, by ojcowskiéj doli
Ulżyć chociaż cokolwiek; ale brakło woli
By mię wesprzeć choć słówkiem w gwałtownéj potrzebie,
Że dziś przez nich się włóczę po żebranym chlebie.
Aliści córki moje, chociaż to dziewczęta,
Słaba płeć, ale przecie ta o mnie pamięta:
Mam i kącik bezpieczny i dostatek chleba
I wszystko co od dzieci rodzicom potrzeba;
Gdy bracia, pominąwszy co tam z ojcem będzie,
Tron, berło, władzę, mają na jedynym względzie.
Ja się téż od udziału usuwam w ich sprawie:
Nie imto gospodarzyć na Kadma dzierżawie.
Tak ja z tych wieszczb, com od niéj tutaj słyszał, wnoszę
I z tego, co mi dawniéj Feb wróżył potrosze.
Niech sobie przyjdzie Kreon, a jeśli być może
I mocniejszy w narodzie: jać się tam nie trwożę;
Bo jeźli wy, mężowie, wspólnie z czcigodnemi
Bogińmi, co opiekę dają waszéj ziemi,
Zechcecie mym potrzebom chętnie czynić zadość:
Oj! to płacz moim wrogom, a wam wielka radość!

Chór.

Jak ty, tak i te zacne, Edypie, dziewczyny
Zasłużyliście, by was z serca pożałować;

Więc gdy masz dobroczyńcą być naszéj krainy,
To poradzę-ć jak sobie w niéj masz postępować.

Edyp.

Oh! jam gotów: powiedzcie, a wszystko uczynię.

Chór.

Potrzeba najprzód, abyś przebłagał boginie,
Żeś się poważył ziemi ich dotknąć nogami.

Edyp.

A jakąż to koleją? nauczcie mnie sami.

Chór.

Pójdziesz, gdzie wieczne źródło toczy strugi kręte
I nabierzesz zeń wody, byle w czyste dłonie.

Edyp.

A gdy nabiorę wody?

Chór.

Będą tam na stronie
Czary, pięknie przez mistrza wybornego rżnięte:
Musisz więc im osłonić wierzch i ucha obie.

Edyp.

A czy liściem, czy wełną, czy inną osłoną?

Chór.

Wełną z młodéj owieczki świeżo ostrzyżoną.

Edyp.

A cóż potrzeba czynić, kiedy to już zrobię?

Chór.

Wylać objatę, stojąc ku słońca wschodowi.

Edyp.

Czy z tych czar, i ilekroć? niechaj kto z was powié.

Chór.

Ze trzech czar, a ostatnią znów napełnisz potém.

Edyp.

A czém napełnić? Muszęż bo wiedzieć i o tém.

Chór.

Wodą a miodem; wina nie dolewaj wcale.

Edyp.

A gdy trawiastą ziemię zleję już objatą?

Chór.

Wtedy trzykroć z obojéj ręki złożysz na to
Dziewięć różdżek oliwy. Potém ku ich chwale
Będziesz modły odmawiał, wzywając ich pieczy.

Edyp.

Jakie modły, powiedzcie; boć to ważne rzeczy.

Chór.

My je zwiem *Dobrodziejki*; stańże więc przed niemi
Prosząc, iżby ci dobrze świadczyły w potrzebie (1),
Jakoś i ty się przyrzekł być zbawcą téj ziemi.
A czy sam będziesz prosił, czyli kto za ciebie,
To pamiętaj, tajemnie a krótkiemi słowy;
I odchodząc téż za się nie odwracaj głowy.
Kiedy to spełnisz gościu, to mi ulżysz wiele,
Inaczéj się do ciebie nigdy nie ośmielę.

Edyp.

Słyszycież, córki, onych zacnych mężów mowę?

Antygona.

Słyszymy; cóż więc działać? Rozkaż: my gotowe.

Edyp.

Jać temu nie wystarczę; dwojaka mi bieda:
Zgrzybiałość i ślepota, spełnić tego nie da.
Niechże się więc z was jedna zajmie tą posługą,
Bo czy tysiąc, czy jedna, święcie temu wierzę,
Przebłagać może bóstwo, gdy się weźmie szczerze;
A więc daléj do dzieła. Tylkoż mnie tu długo
Nie zostawcie samego, bowiem dobrze wiecie
Że ja nic bez przywódzcy nie znaczę na świecie.

Ismena.

Ja pójdę; lecz wprzód wiedzieć chciałabym, mężowie,
Kędy iść, by objątę spełnić po zwyczaju.

Chór.

To musisz iść, dziewico, aż w sam koniec gaju;
A gdzie masz czego szukać, piérwszy lepszy-ć powie.

(1) W texcie oryginalnym jest pewna igraszka słów, któréj tu w zupełności oddać nie było można.

Ismena.

Ja tedy sama pójdę, a ty, Antygono,
Zostań przy naszym ojcu i bądź mu ochroną;
Mniemam bowiem, że w dzieciach piękną to jest cnotą,
Wsze trudy dla rodziców ponosić z ochotą.

EDYP, ANTYGONA, CHÓR.

Chór.

Wiem ja, o gościu, jakie to bole
Budzić uśpioną zdawna niedolę;
Jednakże chciałbym wiedzieć...

Edyp.

A co?

Chór.

Ciekawym wiedzieć, kędy poczęte
Cierpienia, które twą duszę rwą,
Nam równie straszne jak niepojęte.

Edyp.

Oh, na gościnność! nie badaj mnie:
Wspomnienia zgrozy srodze kaleczą.

Chór.

Odpowiedz wszakże, bo sprawdzić chcę,
O ile wieści godzą się z rzeczą.

Edyp

Przebóg!...

Chór.

Nie wzdrygaj się zjawić nam.

Edyp.

Straszno mi, strasznol

Chór.

Wszak widzisz sam
Jaką powolność znalazłeś we mnie;
Chciejże powolnym być mi wzajemnie.

Edyp.

Straszne me zbrodnie! lecz bóg mi świadkiem,
Że one ślepym jedno wypadkiem.

Chór.

Jakto?

Edyp.

Ziomkowie-ć moi niegodni
Przyczyną całéj małżeństwa zbrodni.

Chór.

A więc to prawda? czyż to być może,
Byś z własną matką rozdzielił łoże!

Edyp.

Śmierć mi to słyszéć, lecz trudna rada:
Te dwie dziewczęta, żyjące świadki....

Chór.

Co mówisz? przebóg!

Edyp.

Biadaż mi, biada!
To córki moje i mojéj matki.

Chór.

Nieszczęsny starcze, więc te dziewice
To razem córki twe i siostrzyce.

Edyp.

Tak jest, niestety.

Chór.

Oh, jakaż siła
Klęsk się sromotnych na cię zwaliła!

Edyp.

Oj straszne klęski! lecz nie z méj winy.

Chór.

Więc nie ty?....

Edyp.

Nie ja.

Chór.

Z czyjéj-ż przyczyny?

Edyp.

Oj z tego daru, którym w złéj chwili
Ziomkowie moi mnie uraczyli.

Chór.

O nieszczęśliwy! a więc to ty?...

Edyp.

Oszczędź, oh! oszczędź badawczych słów.

Chór.

Zabiłeś ojca....

Edyp.

O! biadaż mi...
Drugą mi ranę oddzierasz znów.

Chór.

Zabiłeś.

Edyp.

Wszakże za sobą mam...

Chór.

Co?

Edyp.

Sprawiedliwość.

Chór.

Jakto?

Edyp.

Zważ sam:
Jakkolwiek czyn mój zgrożny i krwawy,
Lecz żem omackiem jął się téj sprawy,
To rozum jedno mocen mnie winić,
A prawo może-ż sąd na mnie czynić?

Chór.

Owoż nareszcie wieścmi o tobie zwabiony
Tezej, syn Egejowy, przybywa w te strony.

TEZEUSZ, EDYP, ANTYGONA, CHÓR.

Tezeusz.

Po tém com niegdyś słyszał, o synu Lajowy!
O krwawém wyłupieniu twoich oczu z głowy,
Poznałbym cię od razu; lecz gdym szedł tą stroną,
Po drodze mi obszerniéj o tobie mówiono;
Przytém, kto-ś jest, dość świadczy postać nieszczęśliwa
I oblicze co z góry miłosierdzia wzywa.

Powiédz więc, co odemnie i od grodu chcecie,
Jak ty, tak i to twoje nieszczęśliwe dziecię,
Spólnica twéj podróży. Wyznajże mi śmiało,
Jakie cię tu przygody po prośbie znagliły;
A chybaby chęć twoja była nad wsze siły,
Żebym się nie pokwapił wygodzić jéj mało.
Boć ja przecie pamiętam, że, jako ty ninie,
Tak i jam żył chłopięciem, w obcéj mi krainie;
I gdy mnie śród ziem cudzych wiek zaskoczył męzki,
Jakie się o mą głowę rozbijały klęski.
Toż gdy mi jaki pątnik, jak ty, zajdzie drogę,
Nie omieszkam żadnemu, owszem dopomogę.
Wiemci przytém że-m człowiek, więc anim pewniejszy
Niźli ty, jako dzień mi przyda się jutrzejszy.

Edyp.

Tezeju! twa szlachetność w krótkim słów wywodzie
Sprawiła, że sam ledwie słówko dodać mogę.
Ty sam rzekłeś, kto jestem; wiesz o moim rodzie,
I wiesz z jakiéj ja ziemi wybrałem się w drogę;
Więc mi nic nie zostaje, aby rzecz wyświecić,
Jedno się tobie w moich potrzebach polecić.

Tezeusz.

Niechajże więc się dowiem, opowiadaj śmiało.

Edyp.

Przynoszę-ć oto w darze moje nędzne ciało,
Na oko nie powabne, ale mniejsza o to:
Nie pozór piękny:— korzyść główną jego cnotą.

Tezeusz,

A na cóż twoje ciało mnie się przydać może?

Edyp.

Teraz nie czas mi mówić: dowiesz się w swéj porze.

Tezeusz.

A kiedyż te korzyści staną się jawnemi?

Edyp.

Jak umrę, i ty pogrzeb sprawisz mi w swéj ziemi.

Tezeusz

Poskoczyłeś do życia ostatnich już granic,
A o środek nie pytasz, czy téż masz go za nic.

Edyp.

To jest nateraz moje jedyne żądanie.

Tezeusz.

Twoim żądaniom łatwo zadosyć się stanie.

Edyp.

Nie tak nazbyt; uważaj, ztąd wynikną boje.

Tezeusz.

Ja, mówisz, mam je począć; czy też syny twoje?

Edyp.

Oni chcą do powrotu przynaglić mnie siłą.

Tezeusz.

A tobie-ż zejść z wygnania nie zacniéjby było?

Edyp.

Nie chcieli mnie, gdym żądał; dzisiaj już po czasie.

Tezeusz.

Szalony! na cóż tobie gniéw w nieszczęściu zda się?

Edyp.

Wybacz; naprzód wysłuchaj, potém przyjdzie rada.

Tezeusz.

Prawda, wprzód niźli mówić, wysłuchać wypada.

Edyp.

Wycierpiałem, Tezeju, ból nad wszelkie bole.

Tezeusz.

Czyli wspominasz starą rodową niedolę?

Edyp.

Oj nie, boć o niéj głośno po Helladzie całéj.

Tezeusz.

Jakież cię więc nadludzkie nieszczęścia ścigały?

Edyp.

Ze mną tak rzeczy stoją: jam z ojczystéj strony
Wygnan przez moich synów; powrót mi wzbroniony
Jakom jest ojcobójca.

Tezeusz.

Czemuż oni wreszcie
Chcą cię miéć znowu, ale za miastem nie w mieście?

Edyp.

Do tego, to ich boskie znaglają wyrocznie.

Tezeusz.

A cóż im złego wróżą przepowiednie boże?

Edyp.

Że z téj tu ziemi na nich złe się zwalić może.

Tezeusz.

Ale z czegóż się zawiść między nami pocznie?

Edyp.

O synu Egejowy! wszak nikt nie zaprzeczy,
Jako bogi jedynie to mają do siebie,
Że ni ich starość znęka, ni ich śmierć zagrzebie,
Gdy czas wszechwładca zwala wszystkie inne rzeczy.
Siła ziemi niszczeje, ginie ciała dzielność,
Wiara mrze, a natomiast wznosi się bezczelność.
A czy zważysz przyjaciół, czyli zważysz kraje,
Niezawsze jednym duchem one tchną ku sobie:
Raz im coś zda się dobrem, a po krótkiéj dobie
Przechodzi w złe; niebawem znów się dobrem staje.
Tobie dzisiaj, Tezeju, z tebańską drużyną
We wzajemném przymierzu dni spokojnie płyną;
Ale pamiętaj na to, że czas w pędzie skory
Dni, nocy, tysiącami i rodzi i chłonie:
Więc te, co w ścisły węzeł przyjaźń splotła dłonie,
Może rozerwie dzida o lada pozory.
A wtedyto me zimne i bezduszne ciało,
Na waszéj oto ziemi pochowane z chwałą,
Pokrzepi się gorącym krwie tebańskiéj płynem.
Tak, dopóki Zeus Zeusem a Feb jego synem.
Ale pocóż wydawać tajemne zrządzenia?
Pozwól zamilczéć, tylko dochowaj mi wiary,
Nie powiész, że-ć się na nic nie zdał Edyp stary,
Chybaby mnie zawiodły boskie wyrzeczenia.

Chór.

Królu, ten mąż za wejściem na naszą ziemicę,
Takież nam dobroczynne jawił obietnice.

Tezeusz.

A któżby nieprzychylnie śmiał przyjąć człowieka,
Z którym nas łączy zdawna ołtarz gościnności?
Gdy on na ziemi bogiń, łaski prosząc, gości,
Gdy jéj i mnie niemałe korzyści przyrzeka?

Za co go błogosławiąc, nie minę w potrzebie,
Ale jakby spółziomka pomieszczę u siebie. *(do chóru)*
Gdy więc on chce tu zostać, zlecam go twéj straży,
Broń go, skoro obrony potrzeba się zdarzy;
Jeźli woli pójść ze mną, przyjmę go łaskawie:
— Oto tak ja, Edypie, chcę służyć twéj sprawie.

Edyp.

O Zeusie! błogosławże temu człowiekowi.

Tezeusz.

Jakże więc: zali pójdziesz ze mną ku domowi?

Edyp.

Gdyby mi się godziło; ależ tu.... prawdziwie....

Tezeusz.

Co tu chcesz czynić, powiedz, ja się nie sprzeciwię.

Edyp.

Ja w tém miejscu się pomszczę nad wrogi mojemi.

Tezeusz.

Stałaby się rzecz wielka przez cię na téj ziemi.

Edyp.

Gdy ty dotrzymasz słowa, tak jako masz władzę.

Tezeusz.

O! mnie możesz zawierzyć, ja ciebie nie zdradzę.

Edyp.

Przysięgą mi cię wiązać, jakoś nie przystało.

Tezeusz.

I przysięga nie starczy, gdy słowa zamało.

Edyp.

Jak więc zrobisz?

Tezeusz.

Najwięcéj co cię niepokoi?

Edyp.

Tu wpadną ludzie...

Tezeusz *(wskazując na chór).*

K'temu zastęp gotów stoi.

Edyp.

Nie odchodź ztąd...

Tezeusz.

Co czynić, wiem ja doskonale.

Edyp.

Na mnie strach.

Tezeusz.

Moje serce nie zna strachu wcale.

Edyp.

Ty nie wiész co za groźby...

Tezeusz.

Lecz to wiem dokładnie,
Że ci tu wbrew méj woli włos z głowy nie spadnie.
Siła wprawdzie słów groźby w gniewie miecą usta,
Lecz gdy w to wda się rozum, mdleje groźba pusta.
Odgrażają się strasznie przeciw tobie wrogi,
Chcąc cię ztąd uprowadzić; bo nie znają drogi,
Którą im przyjdzie przebyć: lecz ta im po czasie
Morzem długiém a wcale nieżeglownėm zda się.
Nie trwoż się; méj ci nawet opieki nietrzeba,
Jeśli-ś tu, jako słyszę, szedł za wolą Feba:
Wreszcie choćbym ja nawet odszedł z téj ustroni,
To cię przed wszelką krzywdą me imię zasłoni. *(odchodzi)*

EDYP, ANTYGONA, CHÓR.

Chór (1).

1.

Konna ziemia, śliczna-ż strona
Gdzie przebywasz, gościu mój!
Tu świetnego dom Kolona,
Tu słowików mnogi rój

(1) Chór ten, jak powiedzieliśmy w przedmowie, przedstawia szczere, naturalne, pobożne zachwycenie ludu, przy rozpamiętywaniu piękności ojczystéj ziemi i darów, w jakie ją uposażyli bogi. Plutarch w rozprawie: *Czyli godzi się starcowi rządzić krajem*, tak opowiada okoliczności tyczące się obecnego chóru: „Sofokles, powiadają, broniąc się w sądzie przeciw synom posądzającym go o utratę zmysłów, odczytał z Edypa w Kolonie piérwsze uroczy-

Słodko brzmiącą piosnkę dzwoni
W rosochatym gaju boga,
Śród zielonych dolin woni,
Gdzie nie stąpi ludzka noga,
Nie dopieka słońce dniem,
Ni wiatr zimnym siecze tchem;
Tylko bluszcz się pnie cienisty,
Tylko owoc lśni zwiesisty:
Z nimf orszakiem tu na społy
Pląsa wiecznie Bach wesoły.

2.

Tu w niebieskiéj kroplach rosy
Szafran w złote buja kłosy,
Tu w prześlicznéj narcys bieli
Codzień świeższą główką strzeli,
Narcys—zdawien ulubiona
Wielkich bogiń dwóch korona (1).
Tu Cefizu błędne tonie (2)
Nie zadrzemią na niw łonie,
Lecz się wzdłuż krętego brzegu
W nieprzerwanym wiją biegu,
I dżdżem czystym wilżąc ziemię
Płodną siłę tchną w jéj brzemię.
Tutaj grono Muz, a z niemi
Strojna w lejce złotolite
Sama nawet Afrodite (3)
Lubi przejść się po téj ziemi.

stc wystąpienie chóru, poczynające się temi słowy (tu następuje kilka wierszy początkowych). Pieśń ta do tego stopnia wszystkich zachwyciła, że, podobnie jak w teatrze, grzmot oklasków i okrzyki odprowadziły go z sądowéj izby." Nie od rzeczy będzie porównać z tym chórem znajomą pieśń Getego: *Kennst du das Land wo die Citronen blüh'n.*

(1) Prozerpina i Ceres; piérwszéj ofiarowywano narcyzy, drugiéj szafran.

(2) Cefiz rzeczka wypływa ze wzgórków Parnasu, okrąża Kolon i mijając Ateny wpada łącznie z Ilissem do zatoki tworzącéj port pirejski.

(3) Afrodyte czyli Wenus przedstawianą była zawsze w złocistych strojach: ztąd téż poeta nazywa ją tu: Afrodyte o złotéj uździe (α χρυσαγιος Αφροδιτη).

3.

Jest też drzewo w téj krainie,
Jakiém ani Azya słynie,
Ile-m słyszał, ani owa
Wielka wyspa Pelopowa (1),
Kędy Dorów żyje plemie.
Ni to człek je sadził w ziemię,
Ni go człek dogląda w wiośnie;
Samo weszło, samo rośnie.
Przed niém, kiedy na kraj biada,
Dzida wroga nawstecz pada (2);
A choć w innych ziemiach bywa
To najbujniéj u nas wschodzi:
Ciemno-listna to oliwa
Żywicielka naszéj młodzi (3).
Żaden z królów burzycieli
Wszechniszczącéj nigdy dłoni
Wznieść się na nią nie ośmieli;
Nad nią bowiem w téj ustroni
Czuwa wiecznie Zeus z wysoka,
Z nim Atene modrooka.

(1) Peloponez, od imienia Pelopsa zdobywcy tego półwyspu.

(2) Scholiastes opierając się na świadectwie Filochora i Androtiona twierdzi, że Spartanie idąc wraz z Peloponezyjczykami i Beocyanami pod wodzą Archidama i Zeuxidama (w czasie wojny peloponezkiéj) przeciw Attyce, powstrzymali włócznie od poświęconych Minerwie drzew oliwnych.

(3) W tém miejscu text jest wątpliwy, a przynajmniéj dobrze zaciemniony; dwa wyrazy: γλαυκη i παιδοτροφος niewiadomo do czego odnieść: czy do domyślnego miana Minerwy, czy do drzewa oliwnego, bo z obiema się godzą a sens dają różny. Że jednak zwrot do Minerwy jest raz jeszcze na końcu strofy, jam się przeto w przekładzie zastosował do drugiéj wersyi, tém bardziéj, że ona i historycznie da się usprawiedliwić; wiadomo bowiem, że zwyczaj był w niektórych stronach Grecyi nad nowonarodzoném dziecięciem płci męzkiéj kłaść wieniec oliwny: obok tego oliwa ma także znaczenie swe w ćwiczeniach gimnastycznych. Ztémwszystkiém nie tłumaczy to jeszcze w zupełności przydomka: *żywicielka dzieci*, jaki jéj nadał Sofokles, ale, odniosłszy przydomek ten do Minerwy, wykład byłby jeszcze trudniejszym.

4.

Jeszcze jednę ziemi téj
Wypowiedzieć zacność mam;
Tę najwyższą chlubę jéj
Wielki bóg darował sam.
—Owoż słynie ziemia święta
W konie, źrebce i okręta,
A te wszystkie sławy blaski
Płyną z twojéj na nią łaski
Synu Krona, Posejdonie!
Tyś na naszą wszedł ziemicę,
By wynaleźć uździenicę,
Która dzikie jarzmi konie;
Przez cię łódka pchnięta w morze
Pod wiosłami fale porze,
I mknąc chyżo po głębinie
Obok stu Nereid płynie.—

Antygona.

O ty ziemio, tak wielką ozdobiona chwałą!
Teraz czci nieskalanéj dowieść ci przystało.

Edyp.

A cóż nowego, córko?

Antygona.

Spostrzegam Kreona:
Zbliża się ku nam, ojcze, śród czeladzi grona.

Edyp.

O starce ukochani! teraz właśnie pora;
Zbawić mnie zdoła jedno wasza pomoc skora.

Chór.

Niechaj przybywa; zasię miéj dobrą nadzieję:
Jam stary, lecz téj ziemi dzielność nie starzeje.

KREON, EDYP, ANTYGONA, CHÓR.

Kreon.

Męże, którzy tę ziemię po ojcach dzierżycie!
Uważam z waszych oczu, że moje przybycie

Jakimś nagłym was wszystkich przestrachem raziło;
Ależ owo porzućcie obawę daremną,
Ni słowy zelżywemi pastwcie się nademną,
Boć nie mój wiek, bym na was miał nachodzić siłą.
Wiem przytém, że nie snadno sobie z ludem radzić
Który piérwszy z potęgi na Helladę słynie:
Ja, ile-m stary, po to przybywam jedynie,
By tego starca z sobą do Teb uprowadzić.
I to nie pojedyncza znaglila mnie wola,
Lecz rozkaz wszego grodu wyprawia mnie w posły,
Jako mnie więcéj jego obchodzi niedola
Niż kogokolwiek, bowiem jam jest krwią z nim zrosły.
Więc nieszczęsny Edypie, słuchaj mego słowa:
Wróć do domu, ot cała ziemia Kadmejowa,
Wszyscy cię przyzywają, a ja przed wszystkiemi,
Ja, który najgoręcéj czuję co cię boli,
Bo musiałbym najgorszym być człekiem na ziemi
Gdybym nie brał do serca twéj starcze, niedoli.
Dzisiaj zwłaszcza, gdy patrzę w tę okropną nędzę,
Gdy cię widzę bez chleba i w obcéj krainie
Żebrzącego przytułku; gdy w ciągłéj włóczędze
Nie masz znikąd podpory jedno w téj dziewczynie,
Któréj ja nie myślałem, przebóg! jako żywo
Widzieć tak, jak ją dzisiaj widzę nieszczęśliwą.
Ona samotwór z tobą włóczy się po świecie,
By ci chleba użebrać; dziś, gdy jéj tak przecie
Potrzebna pomoc męża, bez któréj ją srodze
Piérwszy lepszy ukrzywdzić zdolen gdzie na drodze.
O straszna-ż to niesława, którą ja i tobie
I całemu naszemu rodowi wyrzucam, i sobie.
Lecz gdy nie można ukryć co jest nazbyt jawne,
Więc wzywam cię, Edypie, na ojczyste bogi
Posłuchaj mnie; niepomnąc na urazy dawne,
Wróć do kraju, wróć do nas, wroć w domowe progi:
Powiedz uprzejme słowo téj zacnéj krainie
I żegnaj ją, boś więcéj swéj winien rodzinie.

Edyp.

Człeku wielce bezczelny! coś zawsze gotowy
Odziać zdradliwe chęci poczesnemi słowy,

Czemu mnie kusisz? chcesz-li nowemi obroty
Powtórnie i do gorszéj zmusić mnie sromoty?
To przedtém, gdym ja biédą domową trapiony
Z rozkoszą się wybierał precz z rodzinnéj strony,
To wtedy względy twoje jakoś mnie mijały:
Dopiéro, gdy rozpaczą nasycon dowoli,
Chciałem szczęśliwie w domu wypocząć z niedoli,
Toś mnie wypędził z kraju związkom krwi niedbały.
Teraz znów, gdy sam widzisz, jako na téj ziemi
Wszyscy mieszkańcy szczerze dobrem mém zajęci,
Znów mnie ztąd chcesz słówkami wywieść słodziutkiemi:
Zkąd ci ta dla mnie miłość pomimo méj chęci?...
Gdybyś téż ty miał jakie żarliwe żądanie,
A ktoś ci wzgardą jedno odpowiedział na nie
I dopiéro usłużność oświadczył ci chytrze,
Gdy ci dawna potrzeba z pamięci się wytrze:
Ta łaska nie byłaby łaską jako żywo,
Ni tybyś z czczego daru miał radość prawdziwą.
Tak i ja twéj usłużnéj nie wierzę ochocie:
W słowach to ona dobra, ale zła w istocie.
Muszę-ż więc w obec mężów, którzy tutaj stoją
Gwoli prawdy obnażyć niegodziwość twoją:
Owoż chcesz mnie ztąd uwieść, ale nie z powodu
By mnie w domu osadzić, lecz przy bramach grodu;
Dlatego, bym od klęski strzegł twojéj krainy
W chwili, gdy jéj tutejsze zagrożą drużyny.
Lecz nic z tego: a za mnie zawżdy z wami będzie
Duch mściciel mojéj krzywdy; i to mówię-ć szczerze,
Iż każdy syn mój tyle méj ziemi posiędzie
Ile jedno mu starczy na śmiertelną leżę.
Wiem ja lepiéj od ciebie, bo z zapewnień Feba
I ojca jego Zeusa, co Tebom potrzeba.
Ty tu ze zdradą w uściech przybyłeś na dobie
Siła z podstępnych słówek obiecując sobie;
Tylko że ci ten zamysł jakoś się nie ziści,
I więcéj na nim zbierzesz żalu niż korzyści.
Lecz wiem, że wmawiać w ciebie byłoby daremnie,
Więc pozwól mi żyć tutaj i idź precz odemnie:
Jakakolwiekby bowiem dola nasza była,
Przecież źle nie żyjemy, gdy nam ona miła.

Kreon.

Więc myślisz, że te twoje rozumne wywody
Więcéj mnie, niźli tobie, mogą zrządzić szkody?

Edyp.

O! jam aż nadto szczęśliw, iżeś słowy swemi
Ni mnie zdołał przekonać, ni mężów téj ziemi.

Kreon.

Niczże ci nie przybyło rozumu z latami?
Nieszczęsny! wiedz, ten upór twoję starość plami.

Edyp.

Wprawny masz język; ale nie to człowiek prawy,
Co się podejma bronić ladajakiéj sprawy.

Kreon.

Inna mówić stosownie, inna mówić siła.

Edyp.

Więc twa mowa i krótką i stosowną była!

Kreon.

Pewnie, lecz nie dla ludzi co podobni tobie.

Edyp.

Idź precz, mówięć, nie czekaj aż cię lud wygoni,
I przestań mnie szpiegować w miłéj mi ustroni.

Kreon.

Świadczę się temi ludźmi, jako-ś ty w sposobie
Przyjaźni mówił do mnie; lecz czekaj jeżeli....

Edyp.

Któż się śród mych obrońców skrzywdzić mnie ośmieli?

Kreon.

Pomimo tych obrońców będzie tobie biada.

Edyp.

Jakaż się w twojéj groźbie nowa kryje zdrada?

Kreon.

Już-em ci dotąd jednę pochwycił dziewicę
I uprowadzić kazał; wraz drugą pochwycę.

Edyp.

Przebóg!

Kreon.

Jeszcze boleśniéj jękniesz ty niedługo.

Edyp.

Wziąłeś mi moją córkę.

Kreon.

Wkrótce wezmę drugą.

Edyp.

Cóż wy na to, mężowie, gdzież wasza opieka?
Wypędźcież z waszéj ziemi zbrodniczego człeka.

Chór. *(do Kreona)*

Idź ztąd gościu; twe czyny, ilem przekonany,
Jak dawne, tak dzisiejsze godne méj nagany.

Kreon. *(do swoich)*

A wy, w drogę z tą dziewką! nie pora tu bawić:
Bierzcie siłą, jeżeli zechce opór stawić.

Antygona.

Cóż ja poczne nieszczęsna, do kogóż się schronię?
Bogi! ludzie! przybądźcie ku mojéj obronie.

Chór.

Co ty czynisz, przychodniu!

Kreon.

Nie tknę starca tego,
Ale tę uprowadzę, którą moi strzegą.

Edyp.

O władcy ziemi!

Chór.

Gościu, złe są czyny twoje.

Kreon.

Dobre.

Chór.

Wcale niedobre.

Kreon.

Zabieram co moje.

Antygona.

O grodzie! broń.

Chór.

Gościu! powstrzymaj gwałtowną dłoń,
Bo ci dam poczuć moję prawicę!

Kreon.

Wstrzymaj się!

Chór.

Najprzód puść tę dziewicę.

Kreon.

Wiedz, że mnie krzywdząc, krzywdzisz mój gród.

Edyp. (*do chóru*)

A co? czym tego nie wróżył wprzód?

Chór. (*do Kreona*)

Puść tę dziewczynę!

Kreon.

Nie słucham was,
Mnie rozkazywać nie wasza rzecz.

Chór.

A ja ci każę puścić ją wraz.

Kreon.

A ja wam każę odejść ztąd precz.

Chór.

Obywatele, bieżcie tu sam!
Gród, mój gród krzywdzą! na pomoc k'nam!
Spieszcie ratować nas!

Antygona.

Do mnie! do mnie! mężowie, gwałt mi czynią! zdrada!

Edyp.

Gdzież jesteś? moje dziecię.

Antygona.

Już mnie wloką w drogę.

Edyp.

Wyciągnij ręce, córko!

Antygona.

Ojcze! ja nie mogę.

Kreon, (*do swoich*)

Spieszcie się!

Edyp.

Nieszczęśliwy! o biadaż mi biada!

Kreon.

Teraz zapewne podróż pójdzie ci niesporo,
Kiedy ci te ostatnie dwa kije odbiorą.
Owoż możesz się chełpić, żeś przemógł odrazu
Ojczyznę i przyjaciół, z których ja rozkazu,
Acz ich król, zszedłem ninie, by przekonać ciebie,
Że jak dzisiaj tak dawniéj pobłądziłeś w radzie
Nie słuchając przychylnych; że w każdéj potrzebie
Gniewu twego zawziętość stała-ć wciąż na zdradzie.

(chce odchodzić)

Chór.

Nie odejdziesz ztąd, gościu.

Kreon.

Odstąpcie ode mnie!

Chór.

Lecz i ty te dziewice odstąp nam wzajemnie.

Kreon.

O! nie: ja jeszcze większy łup méj ziemi przyślę,
Bo na tych dwóch zdobyczach poprzestać nie myślę.

Chór.

A cóż więcéj?

Kreon.

Ja jego jeszcze ztąd pochwycę.

Chór.

Śmiele mówisz...

Kreon.

A nawet natychmiast to zrobię,
Chyba mię król téj ziemi zdoła zjednać sobie.

Edyp.

Zuchwalcze! śmiałbyś na mnie wznieść niecną prawicę!

Kreon.

Milcz!

Edyp.

O! nie, i tutejsze bóstwaby nie śmiały
Wzbronić mi, niegodziwcze, przekląć cię w głos cały,
Iżeś śmiał mi odebrać me jedyne wodze,
Co mi oczy wydarte zastąpiły w drodze.

Niech za to boskie słońce, co wszem rzeczom świeci,
Ześle jako na ciebie, tak na twoje dzieci
Życie i starość pełne nieszczęść jako moje.

Kreon.

Widzicie tedy sami, o! ateńscy woje.

Edyp.

Widzą i mnie i ciebie, i przyznają zgodnie,
Że ja odpieram słowy twoich czynów zbrodnie.

Kreon.

Nie wytrzymam już: gwałtem ztąd go uprowadzę,
Chocia-m tu jeden, chociaż wiek mi odjął władzę.

Edyp.

O ja nieszczęsny!

Chór.

Cóżto za szał
Oplątał, gościu, rozsądek twój,
Byś jego porwać z rąk naszych chciał?

Kreon.

Chcę.

Chór.

Chyba za nic gród liczysz mój,

Kreon.

Jeśli małego słuszność prowadzi,
To on i z wielkim jakoś poradzi.

Edyp.

Słyszycież groźby?

Chór.

Słyszymy, lecz
On ich nie spełni.

Kreon.

To Zeusa rzecz
Nie twoja.

Chór.

Tedy krzywdzisz mnie znów.

Kreon.

Tak, a ty musisz słuchać mych słów.

Chór.

Spieszcie kto żyje! spieszcie co tchu!
Królu, o królu! przybywaj tu
Ratować nas; ten człowiek zły
Chce nas ze wszelkiéj obedrzéć czci.

TEZEUSZ, EDYP, KREON, CHÓR.

Tezeusz.

Cóż to jest? zkąd te wrzaski? czyja głośna trwoga
Przerwała mą objatę dla wodnego boga
Władcy Kolonów? Jakąż przyczyną wzbudzony
Musiałem wszystko rzucić, a przybiedz w te strony?

Edyp.

O mój zbawco, poznałem twego głosu dźwięki;
Ja tu bez ciebie straszne przecierpiałem męki.

Tezeusz.

Jakie męki, opowiedz, kto był tak zuchwały?

Edyp.

Kreon, którego widzisz: dzieci me zabiera
Jedyne, których oczy nade mną czuwały.

Tezeusz.

Co ty mówisz?

Edyp.

Co mówię, to jest prawda szczera.

Tezeusz.

Niechajże który co tchu z waszego tu koła
Wybiegnie ku ołtarzom i cały lud zwoła;
Niech i pieszy i jezdny zdąża jako może
W miejsce, kędy dwoiste zbiega się rozdroże,
By dziewic nie przepuścić; bo ze wstydu spłonę
W obec gościa, któremu przyrzekłem obronę.
Idźcie więc jak najspieszniéj spełnić moje słowo;
Co się zaś tyczy człeka, co tu z nami gości
Pewniebym go z rąk moich nie wypuścił zdrowo,
Gdybym dozwolił ujścia sprawiedliwéj złości.

Lecz go tymczasem poddam po te same prawa,
Jakich spełnieniem wiedzion między nami stawa.
Słuchaj, ja ciebie niewprzód puszczę z méj dzielnice
Aż mi tu oddasz obie porwane dziewice,
Boś mi wielce ubliżył zelżywemi czyny
Niegodnemi twéj ziemie i twojéj rodziny:
Niepomny, że przybyłeś do państwa którego
Sprawiedliwe ustawy od nadużyć strzegą,
Jego mość, jego prawa zdeptałeś zuchwale
Dopuszczając się gwałtów w zbyt swawolnym szale.
A toż w nim mieszka naród, nie służalców tłuszcza,
I jest król, który darem złemu nie przepuszcza.
Tyś się tego wyuczył nie w tebańskiéj ziemi:
Bo Tebanie się brzydzą ludźmi nieprawemi;
Oni ci nie pochwalą, żeś w niecnym zamiarze
Targnął się na mą własność, na bogiń ołtarze,
Żeś bez względu na miejsce, na ich jęk żebraczy
Uprowadził ztąd gwałtem nieszczęsnych tułaczy.
Ja gdybym kiedykolwiek przyszedł w twoje strony,
To choćbym był we wszelkie prawa uzbrojony,
Lecz dla króla samego miałbym dosyć względów
Żeby się od swawolnych powstrzymać zapędów;
I tyle-m siebie pewien, że na obcéj ziemi
Potrafiłbym się znaleźć między miejscowemi.
Tymczasem ty, śród obcych, bezecnemi czyny
Okrutnie hańbisz zacność ojczystéj krainy,
I widocznie że lata co starość nawodzą,
Nie przydając rozumu po twéj głowie schodzą.
Tedy znów ci powtarzam, co rzekłem na dobie,
Niech mi wraz odprowadzą te dziewczęta obie,
Jeźli sam nie chcesz u mnie zostać zakładnikiem:
A mówię-ć rozumieniem, nie jedno językiem.

Chór.

Widzisz gościu, do czego twe czyny dowiodły;
Jesteś dobry napozór, a na jawie podły.

Kreon.

Ja was nie mam bynajmniéj, synu Egejowy,
Za tłuszczę bezrozumną, twemi mówiąc słowy;
Ale jeźlim wykroczył, to jedno przyczyną
Iżem nie myślał, aby kto między twojemi

Tak gorliwie obstawał za moją rodziną
I usilnie ją na téj chciał zatrzymać ziemi.
Nie myślałem zaprawdę, by człek osławiony,
Ojcobójca, bezecnik, z którego małżeństwa
Wyrodziły się dzieci z piętnem wszeteczeństwa,
Miał znaleźć między wami przytułek ochrony.
Wiem zarówno mężowie, że w waszéj krainie
Na skale Aresowéj z mądrości wiec słynie (1):
Przeto-m nie sądził, aby on gwoli swéj chwały
Dopuścił, by włóczęgi z ludem się mieszały.
W to ja ufny, na zdobycz rzuciłem się śmiało;
A możebym i na to nie ważył się — ale
On mnie i wszystkich moich łżył nazbyt zuchwale,
Więc jam za złe odpłacił złem jako przystało.
O! gdy chodzi o pomstę, sama starość — niczém,
Zmarły chyba z spokojném zniesie ból obliczem.
Ty możesz jako zechcesz postąpić, boś w domu:
Ja zasię, lubo czuję słuszne prawa moje
Wszakże jeden przeciwko wszystkim nie dostoję
Lecz chocia-m stary, łżyć się nie dam lada komu.

Edyp.

I komużto ubliżasz, wielki bezwstydniku:
Czyli mojéj starości, czy samemu sobie?
Przywodząc ślub, zabójstwo i klęski bez liku,
Które ja przyczyniłem, nie wiedząc co robię;
Bo to bogom jedynie słuszném się być zdało,
Zdawna snadź zagniewanym na rodzinę całą;
Ale we mnie napróżno wynajdujesz winy
Klęsk jako moich własnych, tak mojéj rodziny,
Wiedz oraz, że bogowie ojca upewnili
Przez wyrocznię, iż śmierć mu zada własne dziecię:
Słusznie-ż mi więc wyrzucasz? Jam nie był w téj chwili
Nawet w matki żywocie, nietylko na świecie.
A jeźlić się me życie w nieszczęściu poczęło,
Jeźli z własnym mym ojcem wszczałem walkę srogą,

(1) Trybunał patryarchalny założony przez Cekropsa w początkach istnienia Aten, od miejsca zwał się *Areopagiem*, tojest opoką Marsa. Starożytni pisali o nim, iż w ciągu swego trwania ani jedéj sprawy niesprawiedliwie nie osądził.

Jeźli-m go zamordował, a nie wiedząc kogo;
To godzi-ż się potępiać nieświadome dzieło?
I jakże ciebie nie wstyd, o sromotny człowiecze!
Wspominać o méj matce, a twojéj siostrzycy?
Więc zgoda; ja bynajmniéj słowom twym nie przeczę,
Gdyś już niecnemi usty dotknął tajemnicy.
Prawda, to moja matka! moja rodzicielka!
I matka moich dzieci: sromota ztąd wielka;
Ale ją nieświadomość dowiodła do zguby,
I jam téż nieświadomie z nią zawierał śluby.
Mówię o nich z goryczą, ze wstydem; ty przecie
Rad jesteś naszę hańbę rozgłaszać po świecie.
Ni ślub, ni ojcobójstwo, chociaż ty mi za nie
Najprzykrzejszych wyrzutów nie przestajesz czynić.
Nie mocne sprawiedliwie o złość mnie obwinić.
Odpowiedzno mi, proszę, na jedno pytanie:
Ty, coś taki cnotliwy, gdyby kto na ciebie
Godził śmiertelnym ciosem, czyżbyś w téj potrzebie
Pytał, żali nie ojciec z tobą się potyka?
Oj nie: jakkolwiek żywot twój ważyłbyś mało,
To podobnobyś naprzód zgromił napastnika,
Potém roztrząsał prawość tego, co się stało.
Takito jednak na mnie przypadł dopust boży!
Gdyby nawet mój ojciec zmartwychwstał, mężowie!
Pewnieby i on mojéj nie zaprzeczył mowie;
Lecz ciebie, niegodziwcze, nic w świecie nie trwoży;
Mówisz nie to co słuszne, ale co-ć się zdarzy,
Nie szczędząc najkłamliwszych przeciw mnie potwarzy.
Pięknie to, że Tezeja uczciłeś nazwisko,
Pięknie, żeś uczcił rady ateńskiéj siedlisko;
Lecz nie baczysz śród pochwał, jako przed innemi
Największéj czci doznają bogi na téj ziemi,
Gdzieś ty biédnego starca ujął w ręce swoje,
Gdzieś mu gwałtem ostatnie wydarł dzieci dwoje.
Lecz ja niebawem modły gorące uczynię,
By mi w pomoc przybyły przezacne boginie,
I abyś ty, zawstydzon poznał wzdy po szkodzie
Jacy to są ci ludzie, co rządzą w tym grodzie.

Chór.

To zacny człowiek; jego nieszczęścia i błędy
Zasługują, o królu! na litośne względy.

Tezeusz.

Dosyć słów: my tu stoim, a nieprzyjaciele
Co prawa nasze gwałcą, idą naprzód śmiele.

Kreon.

W czém człek bezbronny woli twéj wygodzić może?

Tezeusz.

Będziesz mi towarzyszył na owo rozdroże,
Gdzie mi oddasz porwane jego dzieci dwoje;
Że mi one nie zginą, o to się nie boję,
Bo odsiecz idzie w ślady grabieżców, i oni
Nie podziękują bogom, że uszli pogoni.
Idź więc i niewolnikiem uznaj się z kolei.
Patrz, jak cię los we własne twoje sidła bierze;
Cieszyć się złym nabytkiem wżdy nie miéj nadziei,
Ni licz na jaką pomoc; choć ja bardzo wierzę,
Iżeś ty nie samotny i nie bez poręki
Ośmielił się na takie narażać ich męki.
Ty w coś dufasz: lecz darmo, ja temu zaradzę,
By kraj jednego człeka nie uległ przewadze.
Staraj się więc zrozumieć, co słyszysz odemnie
I pomnij, że co mówię, nie mówię daremnie.

Kreon.

Nie odpowiem ci na to, bom w obcéj krainie;
Lecz w domu będę wiedział co zasię uczynię.

Tezeusz.

Gróź, lecz chodź ze mną. Ty zaś, o! Edypie stary,
Spokojnym bądź i pewnym, że-ć dotrzymam wiary;
Bodaj mi przyszło umrzeć, nie spocznę—aż tobie
Przyprowadzę do ręku miłe córy obie.

Edyp.

Bądź wspomożen, Tezeju, w téj szlachetnéj sprawie;
Za twą dla nas opatrzność ja cię błogosławię.

(*Tezeusz odchodzi*).

EDYP, CHÓR.

Chór.

1.

Czemuż nie jestem przytomny tam,
Gdzie dzielnych mężów bojowy huk
Przy szczęku stali posłyszy wróg;
Czy u Febowéj świątyni bram (1),
Czy w innéj stronie opodal ztąd,
Gdzie błyszczy świętych pochodni rząd (2),
Gdzie lud tajemnie w czci wiekuistéj
Wielbi przezacne boginie dwie,
Które zamknęły na klucz złocisty
Usta sług swoich z Eumolpa krwie (3).
Do téjto świętéj krainy snadź
Podąży Tezej nasz mężny wój,
By pomoc młodym siostrzycom dać
I stoczy z wrogiem przesławny bój.

2.

Albo téż może w strony zachodnie
W bok od śnieżystych Ojady skał (4)
Umkną w skwapliwym popłochu zbrodnie
Na wozach, konno, pierzchając w cwał.
W strasznéj potędze Ares tam stanie,
Już miga wszystkich uździenic błysk,

(1) W Delfach, gdzie znakomita świątynia Feba na pochyłości Parnasu.

(2) Eleuzis, gdzie się odbywały uroczystości Cerery i Prozerpiny, zwane tajemnicami Eleuzyńskiemi. Te zaś oznaczają tajemniczość rodzenia się zboża, przedstawioną przez dwie potęgi: Ceres przedstawia siłę płodną ziemi, Prozerpina ziarno, które pół roku bywa w gruncie, a drugie pół na powierzchni; tak zupełnie, jak Prozerpinie uzmysłowionéj myty naznaczają pół roku pobytu w podziemiach, pół roku na świecie.

(3) Wyrażenie to oznacza tajemniczość obrzędów w milczeniu się odbywających. Eumolp (dobry śpiewak) był pierwszym kapłanem Cerery i Prozerpiny w Eleuzie, ztąd następcy jego zwą się Eumolpidami.

(4) Miejsce górzyste, tak zwane od pastwisk.

Lśnią straszni męztwem cni Tezejanie,
Widzę już strojnéj konnicy ścisk;
Owéj konnicy, przez którą czczona
Konna Atene i władca wód (1)
Miły syn Rei, która w ramiona
Objęła ziemię i ziemian ród.

3.

A co! czy zwłoka, czy bój już wre?...
Przeczucie wróży mi błogą wieść,
Że nam powrócą dziewice dwie,
Co ciężkie krzywdy musiały znieść.
Dziś moc Zeusowa zjawi się tam,
Dziś ja pomyślność rokuję nam.
Gdybym mógł lotną gołąbką być,
Mógł na powietrzny obłok się wzbić
I usiąść na nim, i tak z wysoka
Patrzéć i z boju nie spuścić oka.

4.

O Zeusie, władco wszech bogów! który
Na wszelkie sprawy spoglądasz z góry,
Pallas Atene prześliczna panno!
Na pomoc naszym pokwap się skoro,
Władców téj ziemi uciesz wygraną,
Niechaj grabieżcom zdobycz odbiorą.
I ciebie prosim myśliwy Febie,
I siostrę, która w leśnéj ustroni
Pstre, prędko-nogie jelenie goni:
Niechaj nas dzisiaj w nagłéj potrzebie
Ratuje wasza wspólna opieka,
Któréj i wojsko, i gród nasz czeka.

EDYP, ANTYGONA, ISMENA, TEZEUSZ, CHÓR.

Chór.

Nie powiész gościu jako wróżby moje zwodzą,
Boć już widzę, że twoje dwie córki nadchodzą,

(1) Neptun i Minerwa dwa bóstwa głównie opiekujące się Atenami i dlatego tak często tutaj powtarzane, miały osobne ołtarze w Kolonie i czczone były w statuach konnych.

Edyp.

Gdzie są? gdzie! co ty mówisz?

Antygona.

Ojcze, ojcze drogi!
Bodajby ci zaprawdę dozwoliły Bogi
Widzieć męża pełnego zacności i siły!

Edyp.

Jesteścież, moje dzieci!

Antygona.

Oh! jegoto dłonie
I téj wiernéj drużyny wolność nam wróciły.

Edyp.

Pójdźcież, niech wasze ciała poczuję na łonie;
Myślałem, że mi nigdy ta nie wróci radość,

Antygona.

Z rozkoszą twym życzeniom czynim, ojcze, zadość.

Edyp.

Gdzież wy?

Antygona.

Idziemy razem.

Edyp.

Miłaż moja dziatwo!

Antygona.

Umiłować swe dzieci rodzicowi łatwo.

Edyp.

Podpory starca! w was mi jedyna opieka.

Antygona.

Oj nieszczęsne-ż podpory nieszczęsnego człeka.

Edyp.

Najdroższe moje skarby odzyskałem przecie:
Nie umrę najnędzniejszym, gdy przy mnie będziecie.
Tylko-ż bliżéj podejdźcie, podejdźcie tu obie,
Stańcie po obu stronach, chcę was czuć przy sobie;
Bodaj się nie wznowiła owa straszna męka,
Którą-m zniósł, gdy nas obca rozdzieliła ręka.
A teraz niech mi która przygody opowi,
Lecz krótko, jak młodemu przystało wiekowi.

Antygona.

Jest z nami nasz wybawca: jego tedy słowa
Wysłuchaj, ojcze... owoż krótka moja mowa.

Edyp.

Nie dziw mi się Tezeju, że mówię tak wiele:
Powrót dzieci kochanych, wielkie to wesele,
A wiem, że sprawcą jego tyś jest, nie kto inny;
Tobie tylko jednemu one wolność winny.
O! niech za to bogowie mym życzeniom gwoli
Błogosławią i twojéj i twych wojów doli,
Bowiem litość jam znalazł tylko między wami
I wiarę, która człeka fałszem słów nie mami.
A jam świadomy tego, co uręczam słowy.
Za wszystko co mam, tobie-m li winien podzięk̨ę:
A więc pozwól mi, królu, uścisnąć twą rękę,
I jeśli wolno, do ust nachyl mi swéj głowy.
Lecz co mówię? ja-ż śmiałbym dotknąć twego ciała,
Na którém żadnéj zbrodni plamka nie postała!
Nie, na to nie zezwolę! ten tylko niedoli
Drugiego ulżyć może, co sam czuł jak boli.
Pozdrawiam cię więc zdala, i błagam jedynie,
Byś dla mnie zawsze takim był, jak jesteś ninie.

Tezeusz.

Nie dziwię ci się wcale, żeś, uszczęśliwiony
Powrotem dzieci, w długiéj powitał ich mowie,
Ani na to bynajmniéj patrzę ze złéj strony,
Żeś do nich przemówiwszy, mnie pominął w słowie;
Nie obrażam się o to, ani ciebie winię,
Bo blasku życia szukam nie w słowach, lecz w czynie.
A na dowód: co-m tobie przysiągł w dobréj wierze,
To wszystko do ostatka wypełniłem szczerze.
Przyprowadzam ci oto obie córy zdrowe:
Nie dosięgły ich srogie groźby Kreonowe.
Nie będę-ć opowiadał, szczegółów zwycięztwa,
Nie będę-ć się przechwalał z potęgi i męztwa:
Niech ci to opowiedzą twoje własne córy.
Tymczasem zastanów się nad wypadkiem, który
Świeżo doszedł mych uszu, niby małéj wagi,
Lecz człowiek nie powinien nic spuszczać z uwagi.

Edyp.

Co znaczy? ja nic nie wiem, synu Egejowy;
Wyjaśnij mi, co temi rozpocząłeś słowy.

Tezeusz

Człek jakiś, mówią, z prośbą przybył tu na dobie,
Chociaż z innego grodu, ale krewny tobie,
I usiadł przy ołtarzu Posejdona boga,
Gdzie mnie od objat wasza oderwała trwoga.

Edyp.

Któż on jest, i w jakiéj się znajduje potrzebie?

Tezeusz.

Ile wiem, małéj łaski ma żądać od ciebie.

Edyp.

Ciekawy-m, jakiéj łaski chce żądać odemnie,
Bo miejsca, kędy usiadł, nie obrał daremnie.

Tezeusz.

Prosi, by się mógł z tobą rozmówić; a potém
Przy całém bezpieczeństwie odejść ztąd z powrotem.

Edyp.

Kto to być może, iż się aż za ołtarz chowa?

Tezeusz.

Uważ, czy nie masz w Argos krewniaka jakiego,
Któremu pożądana tak z tobą rozmowa?

Edyp.

O, kochany Tezeju! przestań już.

Tezeusz.

Dlaczego?

Edyp.

Już wiem, po wysłuchaniu, kto jest ten przychodzień.

Tezeusz.

Któż on tedy, odpowiédz, poczciwy czy zbrodzień?

Edyp.

Mój syn — moja nienawiść. Z pośród wszystkich ludzi
Jego głos najstraszliwszą we mnie boleść zbudzi.

Tezeusz.

Czemu nie chcesz go słuchać, cóż ci to zaszkodzi?
Przecież słuchać mówiących każdemu się godzi.

Edyp.

Tezeju! naleganiem nie drażnij méj duszy;
Głos jego zbytby ranił me ojcowskie uszy.

Tezeusz.

Lecz gdy on aż pod ołtarz boga się ucieka,
To zważ, że mu odemnie należy opieka.

Antygona.

Pozwól, ojcze, że-ć młode me zdanie otworzę:
Dziś gdy liczyć nie możesz na swe własne siły,
Spełnij wolą Tezeja i rozkazy boże
I spraw, byśmy naszego brata obaczyły.
A chociaż ci się jego nie podoba zdanie,
Jednak twéj myśli gwałtu bynajmniéj nie zada,
A że słowa wysłuchasz, cóż się złego stanie?
Wszak słowem i najlepsza objawia się rada...
A choćby-ć i najwięcéj zawinił, tyś przecie
Nie mocen mu wetować, boć to twoje dziécię.
Wszak i inni ojcowie miewają złe syny
I srogim się unoszą gniewem na ich czyny;
Jednak słowa przyjaźni gdy który posłucha,
To zaraz miasto gniewu obejmie go skrucha.
I dziś nie zapominaj, ile klęsk od rodu
Obiło się o ciebie z rodziców powodu;
A choć one przeminą, zostanie-ć nauka,
Jak źle robi kto w gniewie rad natchnienia szuka,
A na dowód zaprawdę stateczny ci stanie
Owoż sędziwéj głowy oczu twych wyrwanie.
Więc chciéj nam być powolnym; boć to źle wygląda
Uporczywie odmawiać, gdy kto słusznie żąda;
I gdyś tyle dobrodziejstw zyskał na téj ziemi,
To słuszna, byś je w części rozdzielił z drugiemi.

Edyp.

Córko! twe piękne słowa, gorzka dla mnie radość!
Zwyciężyłaś:—twym chęciom niech się stanie zadość.
Tylko proszę cię, królu, jeżeli w tę stronę
Wróci Kreon, zapewnij duszy méj obronę.

Tezeusz.

Dość raz powiedziéć starcze! Ja nie szukam chluby,
Lecz póki życia, strzedz cię będę od zguby.

EDYP, ANTYGONA, ISMENA, CHÓR.

Chór.

1.

Gdy się komu zamała
Średnia miara lat zdała,
Ale chciałby na świecie
Przeżyć jakie stulecie;
Tego rozum niewielki:
Bo im dłużéj tu człeka,
Tém mu dłużéj dopieka
Boleść, troska, trud wszelki.
Lecz on chciwy od rodu
Nie zna w chęciach swych miary:
Nawet wtenczas gdy stary
Czeka końca zawodu.
Ale próżne żądanie
Gdy już nad nim śmierć stanie,
Która równy z wszystkiemi
Zrobi koniec na ziemi.
Bierze człeka jak swego:
Ni go lira, ni gody
Ni taneczne zawody
Od jéj objęć ustrzegą.

2.

To najlepszy dla człeka los przecie,
By się wcale nie rodził na świecie;
Albo gdy się raz na świat urodzi,
Niech czémprędzéj, zkąd przybył, odchodzi.
Bo zaledwie nastanie wiek młody
Idą głupich obłąkań przygody;
A któż z biédnych pątników na ziemi
Zdoła życie uchować przed niemi?...
To mu nędza doskwiera, to zwady,
To morderstwa, to zawiść mu w ślady;
Aż nareszcie zgrzybiała, płaczliwa,
Znów bezwładna doń starość przybywa,
Bezprzyjaźna i pełna boleści:
Która słowem wszelakie złe mieści.

3.

Nie ja jeden cierpię przecie;
Oj! Edypa los na świecie
Jeszcze bardziéj opłakany:
Jako skałę na północy
Tłuką wściekłe wód bałwany,
Sieką wichry z całéj mocy.
Tak téż groźna nieszczęść fala,
Piętrząc się nad jego głową,
Z gwałtownością coraz nową
Ze wszech stron nań burze zwala.
Raz powieje od zachodu,
To znów ciągnie nań od wschodu:
To z miejsc, kędy naprost słońce
Ciska strzały gorejące;
To się z nocnych stref wynurza
Gdzie Rypejskie sterczą wzgórza.

EDYP, ANTYGONA, ISMENA, POLINIK, CHÓR.

Antygona.

Otóż, ojcze, zdaje się gość do nas przybywa,
Po którego obliczu łza kroplami spływa,

Edyp.

Któż on jest?

Antygona.

Ten, o którym rzecz była na dobie:
Brat mój, twój syn — Polinik zbliża się ku tobie.

Polinik.

Przebóg! nad kim wprzód płakać, powiedzcie dziewice,
Czy nad mą własną biédą, co mnie trapi srodze,
Czy nad ojcem, którego na obcéj ziemice
Sromotnie wygnanego, pośród was znachodzę?
Na starém ciele stare trzęsą się łachmany,
Na głowie, z któréj oczy wyłupione krwawo,
Bieli się włos wiatrami swawolnie rozwiany,
I nędzną on zapewnie żywion dzisiaj strawą.

Lecz to we mnie nieszczęsnym zapoźny żal budzi:
Jestem najgorszym z synów i najgorszym z ludzi,
Żem o twojéj najpiérwszéj zapomniał potrzebie.
Tak jest; ja o to jawnie oskarżam sam siebie.
Gdy wszakże Łaska siedzi na Zeusowym tronie,
Ojcze! niechajże stanie i po twojéj stronie;
Bo ja przecież rad jestem naprawić me winy,
I odtąd ci do gniewu nie dać już przyczyny.
Milczysz, ojcze? Oh! obdarz mnie słówkiem choć jedném,
Nie odpychaj od siebie i nie gardź mną biédnym,
Ani odpraw mnie z niczém, kiedy tu przychodzę
Zapytać: czemuś na mnie tak zagniewan srodze...
Wesprzyjcie-ż mnie, o siostry! Zobaczym: ażali
Ponure ojca usta dla was się otworzą:
Może bez odpowiedzi ztąd mię nie oddali,
Tém bardziéj gdy go błagam pod opieką bożą.

Antygona.

Więc powiedz, nieszczęśliwy, co cię tu przyzywa;
Bo mowa, czy uprzejma, czy też obelżywa,
Czy taka, co w człowieku miłosierdzie budzi,
Dobędzie jakieś słówko z ust milczących ludzi.

Polinik.

Będę mówił, bo dobrze radzisz siostro droga!
Ale wprzód ku pomocy wezwę tego boga,
Od którego mnie chramu odwiódł król téj ziemi
I dozwolił się tutaj rozmówić z krewnemi
Ręcząc, że przy odejściu nie poniosę szkody.
(O! niech się równe ku mnie miłosierdzie wzbudzi
W moim ojcu i siostrach, jak u obcych ludzi).
Owoż, ojcze, opowiem ci moje przygody.
Jestem wygnan z ojczyzny, okryty niesławą,
Żem chciał siąść na twym tronie, jako miałem prawo
Według starszeństwa wieku. Z tegoto powodu
Młodszy brat Eteokles wypędził mnie z grodu:
Nie iżby mnie przerównał rozumnemi słowy,
Albo czyny dzielnemi; lecz ze złej namowy.
Oj! z twegoto przekleństwa to złe na nas spada:
Wiem o tém, i wyrocznia toż samo powiada.
Poszedłem więc do Argos, doryckiego miasta,

Gdzie-m też pojął za żonę cną córę Adrasta (1)
I wiernych sprzymierzeńców zjednał dla méj sprawy,
Sławnych w ziemi apijskiéj z wojowniczéj sławy; (2)
Przy nich wraz siedm zastępów stanęło, z któremi
Walcząc zginę, lub zdrajców wyprę z mojéj ziemi.
Teraz znów ciebie prosić przychodzę z pokorą
O wzgląd dla mnie samego i dla mych spólników,
Którzy na czele siedmiu wyborowych szyków
Już Teby oblężeniem ścisnęli w siedmioro.
Amfijarej wódz pierwszy i wieszcz idzie przodem,
Drugi *Ojnéj* Tedejów syn z Etolii rodem,
Eteokl zasię z Argos trzeci zastęp wiedzie,
Hippomedon Talajów czwartemu na przedzie,
Piątym co się odgraża na tebańskie mury
Jest *Kapanej*, a szóstym *Pantenopej*, który (3)
W Arkadyi z Atalanty zrodzon; to mu miano
Dla zbyt długiego matki dziewictwa nadano.
Ja zaś syn twój, syn raczéj niedoli i błędu,
Wiodąc drużynę z Argos, jestem siódmy zrzędu (4).
Otoż błagam cię, ojcze, na te siostry moje,
I zaklinam na wszystko, co ci w życiu miłe;
Odrzuć zdala odemnie gniewu twego siłę
W chwili, gdy się wybieram na zacięte boje,
Aby ukarać brata, który mnie z niesławą
Wygnał z kraju i wydarł należne mi prawo.
A jeżeli wyrocznia prawdę objawiła,
Tedy za kim ty staniesz, przy tym będzie siła;
A więc błagam cię, ojcze, przez Teb święte rzeki
Przez bóstwa, co rodzinom dodają opieki,

(1) Argos jako leżące w Peloponezie nazywa poeta dorycckiem, tak jak poprzednio cały Peloponez nazwał wyspą Dorycką; albo też dla odróżnienia go od innego miasta *Argos Amphilochicum*, leżącego w Akarnanii.

(2) Peloponez nazywał się także ziemią Apijską, od Apiusa mitycznego władcy półwyspu, lub od gruszek (απιον) według mniemania Plutarcha.

(3) Partenopais znaczy dosłownie: syn dziewicy.

(4) Kolejne to wyliczenie wodzów prowadzonych przez Polinika na wyprawę tabańską jest historyczno-zgodne z małą odmianą z drugiemi tragikami.

Niech się twa niechęć zmiękczy prośby pokornemi,
Bądź na mnie łaskaw, ojcze, boć los nasz jednaki:
Oba zmuszeni wsparcia szukać w obcéj ziemi,
Oba jesteśmy zbiegi i oba żebraki;
On zaś królując doma, zbytkuje po woli
I bezpiecznie się naszéj urąga niedoli.
Ale jeśli ty moje podeprzesz zamiary,
To ja małym zachodem pychę w nim ukrócę;
Poprowadzę cię, ojcze, na twój dworzec stary
I sam też w nim zamieszkam, a jego wyrzucę.
Lecz z twą tylko spółwolą spełnić mi to snadnie,
A bez niéj wszystka moja nadzieja przepadnie.

Chór.

Trzeba, Edypie, byś mu swe myśli objawił,
Choćby gwoli Tezeja, co go tu wyprawił.

Edyp.

Gdyby też nie wzgląd na to, o! drużyno miła,
Że mi go po odpowiedź Tezej tu przysyła:
Pewnieby on z ust moich nie usłyszał słowa.
Lecz że nie chcę uchybić rozkazom zwierzchnika,
Więc i jego ten zaszczyt ode mnie spotyka;
Lecz go bynajmniéj moja nie pocieszy mowa.
Wszak tyś był, niegodziwcze, panem méj dzielnicy
Wprzód, nim brat na tebańskiéj rozsiadł się stolicy:
A przez kogóżto ojciec z własności wygnany?
Przez kogo on się tuła okryty w łachmany,
Na któreś sam zabolał, lecz dopiéro wtedy,
Kiedyś sam równéj ze mną zakosztował biedy.
Znoszę ja me nieszczęścia, choć nie płaczę na nie,
Pokąd pamięci twojéj, ojcobójco, stanie.
Twoja to sprawa, tyś mię wygnał, ja przez ciebie
Chodzę między obcemi po żebranym chlebie;
A gdybym nie miał córek, tedy dzięki tobie,
Dawno poczciwy synu, leżałbym już w grobie.
One-ć to mnie ratują, donosząc mi strawy,
Iście nie jak niewiasty, ale jak mężowie;
Ale wy! wy płód obcy, nie moi synowie.
Bogi też baczne oko mają na twe sprawy,
Wraz się przekonasz o tém, skoro wojska twoje
Pod sam zamek tebański przyciągną na boje:

I ty zdobyciem jego nie ciesz się tak przecie,
Prędzéj wy oba trupem w krwi własnéj padniecie.
Jam raz już te przekleństwa wzywał przeciw tobie,
A teraz znów je wzywam na pomoc ku sobie,
Byście się wy w synowskiéj zaprawili cnocie,
Nie urągali ojca starego ślepocie,
Jako żadna z siostr waszych tego nie uczyni.
Oj! siądą te przekleństwa po prawicy twojej,
Jeżeli sprawiedliwość, przedwieczna bogini,
Na tronie Zeusa siłą przedwiecznych praw stoi.
Teraz precz, zgiń, przepadnij, ty wyrodny płodzie!
Idź najgorszy z najgorszych z przekleństwy mojemi!
Oj! nie będziesz ty panem na ojcowskim grodzie,
Ani powrócisz więcéj do Argiwów ziemi,
Ale, bijąc się z bratem w rodzinnéj krainie,
Polegniesz i on razem z twojéj ręki zginie.
Przeklinam wasze życie, i niech was po zgonie
Tartar, krewny Ereba, w swych głębiach pochłonie.
Wzywam téż Eumenidy i Aresa, który
Taką wściekłą nienawiść w sercach waszych sieje.
Idź więc, idź z tém coś słyszał, pod tebańskie mury,
Opowiedz moje słowa: niech wiedzą Kadmeje
I twoi sojusznicy i wszystka kraina
Niech wié, jak Edyp synów przed śmiercią przeklina.

Chór.

Nie ci w tém, Poliniku, poradzić nie mogę;
Nie udała-ć się podróż, idź więc w swoją drogę.

Polinik.

O nieszczęsnaż godzina! Towarzysze mili,
I potożeśmy z Argos w te strony przybyli!
Biadaż mi! ani mogę wspomnieć o tém komu
Z mych spólników, ni cofnąć przedsięwzięć bez sromu,
Tylko w milczeniu muszę ponieść tajemnice.
O wy, córy Edypa! lube me siostrzyce!
Jeśli ziści się na mnie ojca wyrok srogi,
Któryście tu słyszały; błagam was na bogi,
Za powrotem do domu pamiętajcie obie
Ze czcią zwyczajną złożyć moje zwłoki w grobie:
A ten czyn nie za mniejszą dla was chlubę stanie,
Jak ninie wedle ojca uczciwe staranie.

Antygona.

Posłuchaj, Poliniku, mych rad w téj potrzebie.

Polinik.

A cóż mi radzisz? siostro, chętnie słucham ciebie.

Antygona.

Odpraw prędzéj do Argos tę zbrojną drużynę,
Inaczéj zgubisz siebie i swoją krainę.

Polinik.

Nie: czyż mógłbym podobny kiedy zastęp złożyć,
Gdybym teraz ja piérwszy począł sobą trwożyć.

Antygona.

Potrzebaż ci znów wzniecać płomień nienawiści!
Jakież, burząc ojczyznę, odniesiesz korzyści?

Polinik.

Ucieczka, to rzecz podła: o! słusznieby wtedy
Młodszy brat ze starszego natrząsał się biedy.

Antygona.

Już więc przekleństwo ojca pełni się nad wami,
Które wróży, że sobie śmierć zadacie sami.

Polinik.

Niech się spełni; ja jednak odstąpić nie mogę.

Antygona.

Ale któż się odważy pójść za tobą w drogę,
Słysząc, jaką ci dolę ojciec zapowiada.

Polinik.

Ja im tego nie powiem; dobry wódz w potrzebie
Dobrą wieść wojsku głosi: złą chowa dla siebie.

Antygona.

Takie twe przeznaczenie widać, trudna rada.

Polinik.

Nie zatrzymuj mnie: pójdę ja tą drogą śmiało,
Gdzie mi przekleństwo ojca zgubę zgotowało.
Was niech Zeus błogosławi, jeśliście gotowe
Oddać mi, umarłemu, po życiu tułaczem
Pogrzebową przysługę. Teraz, bądźcie zdrowe,
Bo się pono pod słońcem więcéj nie obaczem.

Antygona.

O ja nieszczęsna!

Polinik.

Siostro! nie żałuj mnie.

Antygona.

Ale,
Widząc cię w obec śmierci, mogęż stłumić żale?

Polinik.

Umrę, gdy trzeba.

Antygona.

Słuchaj rad mych, bracie drogi!

Polinik.

Lecz ty mi radzisz hańbę.

Antygona.

Biadaż mnie niebogiéj
Jeżeli cię utracę.

Polinik.

To już los oznaczy
Czyli ze mną ma stać się tak albo inaczéj;
Lecz błagam, by was bogi mieli w swojéj pieczy,
Boście nie zawiniły im w najmniejszéj rzeczy. *(odchodzi)*

EDYP, ANTYGONA, ISMENA, CHÓR.

Chór.

Otóż z przyczyny ślepego człeka
Nowa nas ninie przygoda czeka,
Chyba śmierć jego wyzwoli nas;
Bo nikt zapewne twierdzić nie może,
Aby chybiły wyroki boże;
Czuwa-ć nad niemi bez przerwy czas,
Co szereg zdarzeń wciąż snuje z siebie..,
—Lecz cóż to? Zeusie!.. jak grzmi podniebie! (1)

(1) Przypomnijmy sobie jako z początku zaraz oświadczył Edyp, że znakiem jego zgonu ma być grzmot, błyskawica i trzęsienie ziemi.

Edyp.

O córki, drogie córki! niechaj kto z téj rzeszy
Po zacnego Tezeja co rychléj pospieszy.

Antygona.

Dlaczego, ojcze?

Edyp.

Już, już do piekieł mnie wzywa
Skrzydlaty piorun Zeusa; niech Tezej przybywa!

Chór.

Znów straszny huk:—to Zeusa głos...
Oj! strach się, strach w mych piersiach szerzy,
Na głowie méj drętwieje włos,
Bo znów po niebie rozłysk bieży.
Oh! jakiż koniec? biada! tak...
To jakichś klęsk niechybny znak.
O ty bezbrzeżny przestworze!
O Zeusie! wielki nasz boże!

Edyp.

Już się zbliża godzina, córy ukochane!
W któréj u kresu życia bez wymówki stanę.

Antygona.

Zkąd wiesz o tém?

Edyp.

Wiem dobrze, i z téjto przyczyny
Proszę, by wraz wezwano króla téj krainy.

Chór.

Znowu podniebna zagrzmiała toń!...
O boże! bądź nam miłościw wielce,
Jeśli téj ziemi méj karmicielce
Jakie twa klęski gotuje dłoń.
Niechaj ja marnie za to nie ginę,
Iżem włóczęgę w strapienia czas
Uprzejmie w swoją wpuścił krainę:
O Zeusie, królu! wysłuchaj nas!

Edyp.

A co, czy przybył Tezej?... Póki we mnie ducha
I zdrowych jeszcze zmysłów, niechże mnie wysłucha.

Antygona.

Jakąż mu pragniesz, ojcze, zwierzyć tajemnicę?

Edyp.

Chcę mu wdzięczność objawić za dobro doznane
I zarazem wypełnić dane obietnice.

Chór.

Pospiesz, pospiesz synu k'nam,
Do naszego przybądź grona,
Porzuć ołtarz Posejdona
I objaty odstąp tam.
Oto gość nasz za gościnę
Błogosławić gotów nas,
Ciebie, królu! i krainę;
Tedy ku nam przybądź wraz.

TEZEUSZ, EDYP, ANTYGONA, ISMENA, CHÓR.

Tezeusz.

Czemużto znowu okrzyk wydajecie trwogi?
Czy że pioruny Zeusa ozwały się z góry,
Czy to, że się z przerwanéj grad rozsypał chmury?
Wszak to znak, którym burzę zwiastują nam bogi.

Edyp.

Właśnie-ś się, królu, gwoli życzeń moich zjawił,
Widać, że cię bóg jakiś w tę drogę wyprawił.

Tezeusz.

Cóż tu nowego zaszło? o synu Lajowy!

Edyp.

Wkrótce umrę, a chciałbym zanim legnę w grobie,
Dotrzymać przyrzeczenia téj ziemi i tobie.

Tezeusz.

Ale zkądże wiesz o tém, co upewniasz słowy?

Edyp.

Oj wiem, wiem; boć to znaki zwiastują mi boże,
A przecież wróżbom bożym człek zawierzyć może.

Tezeusz.

Jakieżto, starcze, znaki po których poznajesz?

Edyp.

Te huki powtarzane, co nad nami grzmiały,
Te z niepożytéj ręki piorunowe strzały.

Tezeusz.

Wiara ci się należy, boś ty niedaremnie
Przepowiadał nam dotąd. — Cóż więc chcesz odemnie?

Edyp.

Ja cię takich tajemnic świadomym uczynię,
Które nie postarzeją z wiekiem w téj krainie.
Pójdę bez przewodnika wraz z tobą w tę stronę,
Gdzie me ciało po śmierci ma być w grób złożone;
Ty zaś nie mów nikomu o mojéj mogile,
Nie ukazuj jéj miejsca ani okolicy,
Za to-ć ona zastąpi setne włócznie w sile
I będzie wieczną strażą dla twojéj ziemicy.
Tę to najświętszą tajnię niedotkniętą słowy
Ty sam ujrzysz, jeżeliś za mną pójść gotowy.
Ode mnie zaś ni lud twój o niéj się nie dowi,
Ni me córki, to moje największe kochanie;
Więc i ty milcz, a kiedy śmierć nad tobą stanie,
Wtedyto najstarszemu powierz ją synowi,
A on niech ją z kolei następcy przekaże,
To dzielną przeciw Tebom miéć będziecie straże.
Oj, bo często i mądrze kierowane grody
Z podszeptów dumy drugim przyczyniają szkody;
Lecz bogi, chociaż późno, nie przeoczą przecie
Zuchwalca, który śmiał ich znieważać na świecie.
Obyś uniknął tego, synu Egejowy!
A ty wiesz, co ja temi chcę wyrazić słowy.
A teraz chodźmy śmiało, chodźmi bez odwłoki
Na miejsce, gdzie mnie boże wzywają wyroki.
Pójdźcie i wy też za mną, pójdźcie córy młode;
Dawniéj wyście mnie wiodły, dziś ja was powiodę.
Tędy, o tędy idźcie, moje dzieci miłe!
Lecz mnie nie dotykajcie, ja sam pójdę przodem
Za Hermesa i piekieł bogini przewodem (1)
Wynaleźć przeznaczoną dla siebie mogiłę.

(1) Merkury i Hekate.

O! wy skryte przedemną światłości promienie,
Choć był czas kiedy na was spoglądałem śmiało,
Dziś wyście raz ostatni krzepiły me ciało,
Bo oto już mnie piekieł ogarniają cienie.
Ty zaś, cny mój podjemco, i ty, cna czeladzi!
Niechaj się wieczne szczęście w pośród was rozplemi,
A kosztując słodyczy jego na swéj ziemi
I o zmarłym Edypie wspomnijcie też radzi.

(*Edyp wychodzi, za nim córki i Tezeusz*).

Chór.

1.

Jeśli mi wolno błagalne słowo
Posłać do ciebie, mroku królowo! (1)
Do ciebie również, o! królu cieni,
Który w podziemnéj władasz przestrzeni (2):
Błagam was!.... niechaj biédny ten człek
W spokoju zstąpi na Styxu brzeg
W ono ponure zmarłych ustronie,
Które nas wszystkich kiedyś pochłonie.
A godzien, by mu nagrodził los
Niesłuszne męki, które tu zniosł.

2.

Bóstwa podziemne! i ty, potworze (3),
Którego żadna siła nie zmoże,
Ty czujny stróżu, który przed piekłem
U wrot gościnnych leżysz ponuro
I gości z wyciem napadasz wściekłem!
I ty, Tartaru i Ziemi córo, (4)
Ty, któréj oko wiecznie na jawie:
Błagam cię błagam; przepuść łaskawie
Gościa nowego, który pospiesza
W świat, gdzie umarła przebywa rzesza.

(1) Prozerpina.
(2) Pluton.
(3) Cerber.
(4) Śmierć.

POSEŁ, CHÓR.

Poseł.

Przychodzę do was w posły, ateńscy mężowie,
O śmierci Edypowéj przynosząc wam wieści,
Ale owo co zaszło niemałéj jest treści,
I podobno się w krótkich słowach nie opowie.

Chor.

Zmarł więc biedak!

Poseł.

Zakończył życia swego troski,

Chór.

A jak zmarł? czy bez męki? przy pomocy-ż boskiéj?

Poseł.

Rzecz to dziwna zaprawdę. Widzieliście sami,
Bo w waszéj obecności on z tych miejsc odchodził,
Jako nikt mu z przyjacioł w drodze nie przywodził,
Sam owszem, jak przywódca, kroczył wciąż przed nami.
Aż kiedy się już zbliżył do otchłani brzega,
Co na miedzianéj dźwigni wewnątrz ziemi zbiega,
Dopiéro się na jednéj zatrzymał drożynie,
Jakich tam bardzo wiele w jeden węzeł płynie,
Obok głębokiéj jamy, kędy w świętéj wierze
Tezeja z Pirytojem stanęło przymierze (1).
Tam stanąwszy pomiędzy Torykijską skałą (2)
A dziką gruszą, usiadł przy kamiennym grobie,
Potém z nędznych łachmanów obnażył swe ciało
I córki ukochane przyzwawszy ku sobie,
Kazał im do objaty oraz do kąpiele
Z czystego źródła nanieść żywéj wody wiele.
One, by rychło spełnić rozkaz ojca swego,
Wraz na zielony wzgórek Demetry pobiegą; (3)
I według obyczaju spełniwszy objaty,
Myły ojca i w świeże odziewały szaty.

(1) Pejrytoos, jeden z władców tessalijskich, słynny przyjaciel Tezeusza.

(2) Thorykon wieś Atycka nad morzem, snadź graniczyła z Kolonem.

(3) Ceres.

Gdy się starzec przekonał na swą wielką radość
Że się wszystkim rozkazom jego stało zadość;
Tedy bóg się podziemny ozwał w grom tak srogi,
Że aż biedne dziewczęta potruchlały z trwogi,
Padły do stóp ojcowskich i leżąc na ziemi
Płacz wielki zawodziły z jęki przeciągłemi.
On zasię posłyszawszy te okrutne grzmoty,
Odzywa się do dzieci, tuląc je w ramiona:
„Miłe córki! od dzisiaj wyście już sieroty,
Bo dzisiaj wszystko moje razem zemną skona.
Przestaniecie się troszczyć o me utrzymanie,
Co wam dobrze dopiekło, oj, wiém, lecz to przecie
Niechaj wam za nagrodę wszelkich trudów stanie,
Że was więcéj odemnie nikt nie kochał w świecie:
Teraz gdy mnie stracicie, to życia ostatki
Już wam przejdą w spokoju, lube moje dziatki!“
Potém w uścisku spólnym szlochali w głos cały,
Wreszcie głośne ich łkania zwolna ustawały,
I gdy natomiast cisza zaległa głęboka,
Ozwał się z wnętrza ziemi głos boga, na który
Wszystkim obecnym włosy powstały do góry:
„Edypie, pójdź! już pora, co tak długa zwłoka?!“
Słysząc, iż go Bóg wzywa w podziemne obszary,
Edyp woła Tezeja oraz tak doń rzecze:
„Podaj mi swą prawicę, przezacny człowiecze,
Jako zakład niezłomnéj dla mych córek wiary,
I wy, dzieci, z naszemi połączcie swe dłonie.
Przyrzeknij mi, że będziesz wciąż stał w ich obronie,
Przyrzeknij mi niezmiennym być im przyjacielem
I dobro ich miéć ciągłym, ile można, celem“.
Tezej, człowiek szlachetny, więc poprzysiągł święcie
Gościowi te żądania wypełnić niezwłocznie:
Co gdy się stało, Edyp w słabych rąk objęcie
Pochwycił obie córki i tak mówić pocznie:
„Dzieci! musicie teraz z tych miejsc się oddalić,
Uzbrójcie się więc w męztwo, aby się nie żalić.
Idźcie, bo wam niewolno; miejcie to na względzie,
Widzieć ni słyszéć tego, co się tu odbędzie;
Sam Tezej tu dostoi: tak ty jeden, panie,
Możesz być świadkiem czynu, który tu się stanie“.

Posłuszni woli jego, z mokremi oczyma,
Wszyscysmy się z córkami jego oddalili;
A spojrzawszy za siebie po niejakiéj chwili
Na miejsce gdzie stał Edyp, patrzym, już go niéma:
Sam Tezej, oczy dłonią zasłaniając, stoi,
Niby się w jakiś straszny obraz spojrzéć boi;
Potém go znowu widzim, jak w wielkiéj pokorze
Czci ziemię, potém Olimp, to mieszkanie boże.
Lecz jaką śmiercią Edyp umarł, o! mężowie,
Tego wam, krom Tezeja nikt z ludzi nie powié;
Ni go bowiem grom Zeusa zabił, ni nawała
Ciągnąca wówczas z morza z sobą go zabrała.
Chyba Bóg go wziął z sobą, lub ta czarna jama,
Która jest na téj ziemi, schłonęła go sama:
Bo ni osłabł, ni jęknął, ten mąż nieszczęśliwy,
Ale tak jakoś zniknął, że to istne dziwy.
Więc może kto z was mojéj powieści zaprzeczy:
Ja wszelako nie przyznam, że mówię od rzeczy.

Chór.

A gdzież są jego córki i ich towarzysze?

Poseł.

Pewnie gdzieś niedaleko, bo ich łkania słyszę.

ANTYGONA, ISMENA, CHÓR.

Antygona.

Przebóg, przebóg!... dawnych lat
W części tylkośmy cierpiały,
A dziś nieszczęść ogrom cały
Z śmiercią ojca na nas spadł.
Znosiłyśmy dotąd stale
Ciosy wszystkich bolów — ale
Ta dzisiejsza nasza bieda
Z rozumem się zgodzić nie da.

Chór.

Cóżto wam?

Antygona.

Niełatwo kto
Pojmie całą boleść mą.

Chór.

Jakże skończył?

Antygona.

Istny cud!
Ni on legł z Aresa rany,
Ani na dnie morskich wód;
Ale, w sposób niesłychany,
Ziemia czarne swe otchłanie
Otwiera mu na mieszkanie,
I nam także: biadaż, biada!
Czarna noc na oczy spada.
Gdzież my więc w nieszczęsnéj dobie,
Czy po obcych chodząc lądach,
Czy po morskich błądząc prądach
Nędzną strawę znajdziem sobie?!

Ismena.

Oby sroga śmierci ręka
Prędzéj mnie strąciła tam,
Kędy ojciec zniknął nam;
Bo me życie dziś—to męka.

Chór.

Dobre siostry! trza w pokorze
Dopuszczenia znosić boże;
Zbytnia boleść nic nie nada,
Nie tak straszna wasza biada.

Antygona.

Tedy nawet nad niedolą
Ludzie jęczéć nie pozwolą!
To nie rozkosz, wy powiecie,
Dla rozkoszy to zamało:
Mnie rozkoszą było przecie
Objąć w dłonie jego ciało.
I dziś nawet, ojcze miły!
Choć cię przed oczyma memi
Tam w głębokiém wnętrzu ziemi
Grube cienie już zakryły,
Choć-eś umarł; ja wszelako
Kochać będę cię jednako,

I czcić jako-m dotąd czciła
Mimo wiek twój i klęsk siła.

Chór.

Więc się stało zadość doli

Antygona.

Stało się po jego woli.

Chór.

Powiedz, jakim więc sposobem?

Antygona.

Obca ziemia jemu grobem.
W głębi ziemskiéj łoża jego
Już wieczyste cienie strzegą,
I żal szczery, żal jedynie
Został po nim w téj krainie.
Zawsze, ojcze! oko moje
Łez tu sączyć będzie zdroje,
I nic nigdy mnie po tobie
Nie pocieszy już w żałobie.
Nie tu, przebóg! twoje ciało,
Nie śród obcych leżeć miało;
Jednak ty-ś na obcéj ziemi
Z dziećmi rozstał się swojemi.

Ismena.

Oj nieszczęsna-ż ja dziewica!
Jakaż kolej dziś mnie czeka?
Zkąd nam obu dziś opieka
Opuszczonym, bez rodzica?

Chór.

Nazbyt, miłe, się troszczycie;
Boć on chlubnie skończył życie:
A nikt z ludzi nie jest przecie
Wolen przygód na tym świecie.

Antygona.

Chodźmyż siostro, w dalszą drogę.

Ismena.

Cóż tam czeka mnie niebogę!

Antygona.

Ja chcę jeszcze...

Ismena.

A co chcesz?

Antygona.

Zwiedzić ojca głąb' podziemną.

Ismena.

Zastanów się, przecież wiész...
Siostro droga, to daremno!

Antygona.

Czemu?

Ismena.

Próżne chęci twe.

Antygona.

Lecz dlaczego, wiedzieć chcę.

Ismena.

On bez grobu zniknął nam.

Antygona.

Tedy pójdę umrzeć tam.

Ismena.

Cóż ja wtedy, biédne dziecię,
Sama pocznę dziś na świecie?
Bez opieki, bez pomocy.
Będę-ż żywot wieść sierocy!

Chòr.

Zaprzestańcie próżnéj trwogi!

Antygona.

Lecz gdzież schronić się, na Bogi!

Chór.

Dotąd, mimo groźb niemało
Nic się złego nam nie stało.

Antygona.

Myślę...

Chór.

Cóż ci myśl przywodzi?

Antygona.

Jak nam się do domu dostać.

Chór.

Trudno troską złemu sprostać,
I mnie los wasz coś obchodzi.

Antygona.

Słowu twemu daję wiarę;
Prawda, w owéj nieszczęść toni
Dobrodziejstwa z waszéj dłoni
Były w miarę i nad miarę.

Chór.

W morzu nieszczęść tonęłyście

Antygona.

Oj tak!

Chór.

Sam to zeznam iście.

Antygona.

Jakiéj-ż dziś się chwycić drogi,
Zkąd nadzieję ześlą bogi?

TEZEUSZ, ANTYGONA, ISMENA, CHÓR,

Tezeusz.

Przestańcie płakać, miłe dziewice!
Kto na téj ziemi ratunek miał,
Winien precz z serca zrzucić tęsknice,
Boby to był już bezbożny szał.

Antygona.

Królu! do nóg twych padamy obie.

Tezeusz.

A jakież do mnie macie żądanie?

Antygona.

Pozwól nam pobyć przy ojca grobie.

Tezeusz.

Nie można!

Antygona.

Jakto? o! Aten panie!

Tezeusz.

Nie, moje dzieci! daremne rzeczy,
Wasz ojciec mojéj powierzył pieczy,

By nikt się z ludzi nie dostał w stronę,
Gdzie jego ciało w ziemię złożone.
Co jako kazał, jeśli uczynię,
To będę silny w mojéj krainie.
Więc mu przysiągłem: boskie potęgi
Świadkami były mojéj przysięgi.

Antygona.

Jeżeli-ć taka rodzica wola,
To my posłuszne będziemy jéj;
Jedno cię prosim, na owe pola
Teb Ogygejskich odwieść nas chciéj: (1)
A może nam się jako poszczęści
Powstrzymać braci zabójcze pięści.

Tezeusz.

I was i tego mając na względzie,
Którego ziemia wzięła do siebie;
Wspierać was będę w każdéj potrzebie,
Dobrych mi chęci nigdy nie zbędzie.

Chór.

Przestańcież boleć, nieszczęsne córy!
Bo taki na was padł wyrok z góry.

(1) Ten przydomek Tebom nadany zapewne od imienia jednego z fenickich przybyszów, którzy to miasto założyli.

O WYROKU ADJUDYKACYJNYM

WEDŁUG ARTYKUŁU 731 KODEXU POSTĘPOWANIA CYWILNEGO I POŹNIEJSZYCH USTAW KRAJOWYCH.

W całym kodexie postępowania cywilnego może nie ma drugiego artykułu, któryby pod względem teoryi prawodawstwa był tak ciekawym a w stosowaniu tak niesłusznym, jak art. 731 głoszący:

„że, przysądzenie stanowcze nic zlewa na nabywcę żadnych innych praw do własności nad te, jakie miał wywłaszczony"

L' adjudication définitive ne transmet à l'adjudicataire d'autres droits à la propriété que ceux qu'avait le saisi"

Pozorna prostota jego i snująca się w nim pieczołowitość o zachowanie praw trzeciego, prostą sprawiedliwość ująć się zdają: w istocie jednakże zadaje cios śmiertelny stanowczemu przysądzeniu i całemu postępowaniu subhastacyjnemu, utwierdzając w zasadzie niesłuszność, skutkiem której właśnie *trzeci, jakim jest nabywca* dóbr wywłaszczonych, krom wszelkiej możliwej przezorności, i krom najmniejszej winy jego, wprost na krzywdę niczém wynagrodzić się nie dającą narażonym bywa.

Znaczenie i wartość artykułu 731 wyjaśnić należy najsamprzód pod względem *historycznym* i *prawodawczym*: zkąd się wziął i jakim sposobem wszedł do kodexu postępowania cywilnego; potém zaś pod względem *prawniczym* z uwagi na zwykły stan prawnictwa wykonawczego, jako też na zmiany późniejsze prawodawstwa krajowego, wpływ na tenże artykuł wywierające, i wynikające ztąd następstwa.

Z nagromadzonych materyałów kodyfikacyjnych w dziele *Locré*'go okazuje się, że artykuł 731 był wypadkiem nader sprzecznych, a raczéj przeciwnych sobie zdań, jako też przeprowadzonych z wielką żarliwością rozpraw, nawet piśmiennych w łonie prawników, do udziału w kodyfikacyi postępowania cywilnego powołanych.

Jeżeli w ślad *Bacona de Verulam in fontibus juris* wolno kiedykolwiek zarzucić prawnikom *tanquam e vinculis sermocinantur*, że rozprawiają jakoby ich rozum w kajdany był okuty: to zarzut ten, w stosunku do artykułu 731 ciąży najprzód tych wszystkich, którzy się do jego przyjęcia przyłożyli, powtóre tych wszystkich, którzy go później w praktycznem stosowaniu lub w kommentarzach uwielbiali.

Wyznaczeni czterech prawników do ułożenia projektu do kodexu postępowania cywilnego, a mianowicie znakomity w całém znaczeniu *Treilhard*, dwaj prezesi *Seguier* i *Bertheau*, pierwszy sądu appellacyjnego, drugi trybunału cywilnego I instancyi w Paryżu, i znany u nas powszechniéj *Pigeau* były adwokat *au Chatelet*, ułożywszy projekt do postępowania względem wywłaszczenia z nieruchomości, nietylko nie zaprojektowali artykułu 731, lecz owszém przeciwną przyjęli zasadę w tém brzmieniu: *que l'adjudication définitive purge la propriété* „że przysądzenie stanowcze zlewa na nabywcę czystą własność".

Tegoż samego domagał się wydział prawodawczy trybunatu w swoich spostrzeżeniach, z całém pojęciem rzeczy wyłuszczonych, a w szczególności: uwolnienia nabywcy dóbr wywłaszczonych od wszelkich nagabań po stanowczém przysądzeniu, jako też włożenia obowiązku na osoby trzecie, ażeby wszelkie żądania o wyłączenie z pod wywłaszczenia i o zachowanie innych praw rzeczowych, *jura in re*, wprzód wnosiły nim stanowcze przysądzenie nastąpi.

Nadto, z piśmiennych a przeciwnych sobie wywodów radców stanu *Réal* i Bigot-*Préameneu* okazuje się, że zasada wręcz artykułowi 731 przeciwna, nadająca nabywcy dóbr wywłaszczonych mocą stanowczego przysądzenia, niewzruszalną własność, wykonywaną była ciągiem czterech wieków w $^3/_4$ częściach Francyi, bez różnicy *du pays de droit écrit et du pays de droit coutumier*, przez najsławniejsze parlamenta *w Paryżu*, *w Bordeaux*, *w Tuluzie*, niemniéj w *Orleanie*: a to w okolicach, gdzie była największa ludność i gdzie znajdowały się rozdrobnione najbardziéj posiadłości. Tylko w trzech ziemiach *du droit écrit*, a mianowicie w *Dauphiné*, *Provence* i *la Bresse*, zachowywaną była zasada, dozwalająca trzeciemu niepokoić nabywcę majętności wywłaszczonéj aż do upływu przedawnienia: którato zasada w czasie prawa pośredniego, *droit intermédiaire*, wywracającego bez ładu i bez badania wszelką dawność, przez ustawę z dnia 11 *brumaire* VII, całej Francyi narzuconą została

Wprawdzie *Bigot Préameneu* podawał w wątpliwość twierdzenie *Réala* i jego stronników, o panującéj w prawnictwie parlamentów i w edyktach lub ordonansach królewskich zasadzie: że przysądzenie stanowcze zlewa na nabywcę własność niewzruszalną i czystą, i że tak co do samej własności, jak co do innych praw rzeczowych wieczystych, tylko aż do stanowczego przysądzenia wolno było trzeciemu wszczynać spory: lecz samo porównanie szczegółów historycznych jako też płytkie przypuszcze-

ała p. *Bigot-Préameneu*, w istocie przez nikogo nie poparte, i ostatnia rozprawa w radzie stanu zbijają aż nadto dostatecznie jego historyczną wiedzę, tém bardziéj, że i sławny *Pothier*, w swoim czasie prezes parlamentu orleańskiego, którego dzieło teoretyczno-praktyczną redakcyą *du droit écrit et du droit coutumier*, tworząc, kodyfikacyi nowych praw cywilnych francuzkich za podstawę służyło, zasadę *que l'adjudication définitive doit purger la propriété* za niezbędną uważał.

Lecz ani prawdy te historyczne, ani jednozgodne zdania nowych sądów appellacyjnych, z których ani jeden nie podniósł głosu przeciwko téj zasadzie, ani nader światłe i trafne uwagi radców, stanu *Siméon*, *Cretet*, *Berlier*, zwłaszcza piérwszego i ostatniego nie zdołały przełamać uporu i przesądu p *Bigot-Préameneu*, którego moc dowodzenia zasadzała się na śmiałości twierdzeń i przywiedzeniu ogólników pozornych, niekiedy na przewróceniu logicznego następstwa: że coby dopiéro usprawiedliwić należało, wystawiał z góry jakoby prawdę ustaloną, poparcia pobudkami niepotrzebującą.

Jakoż płytkość wierzch zająwszy, i widoczne znużenie umysłów na ostatniém posiedzeniu rady stanu, spowodowało przyjęcie artykułu 731, dorywczą raczéj jak dojrzałą większością głosów, i wcielenie go do kodexu postępowania cywilnego.

Lecz do tak niepomyślnego wypadku przyczyniło się po wielkiéj części i to, że redaktorowie kodexu postępowania cywilnego i ich stronnicy, zaraz po piérwszych zarzutach ich zasadzie uczynionych, chcąc niejako sprzeczne zdania do siebie zbliżyć i między niemi pewną tranzakcyą ułożyć, odstąpili od pierwiastkowéj stanowczości i czystości zasady, doświadczeniem wieków wyrobionéj, wnosząc, ażeby przysądzenie stanowcze przenosiło niewzruszalną własność na nowego nabywcę, jeżeli $^3/_4$ części dóbr wywłaszczonych były istotną własnością wywłaszczonego, i jeżeli wywłaszczony przez lat trzy przed przysądzeniem stanowczém, był w posiadaniu dóbr jawnie i bez cudzéj łaski, *non praecario*, oraz wpisał dobra na swe imię w publiczne rejestra podatków gruntowych, nadto, ażeby trzeciemu utracającemu swą własność, nadano piérwszeństwo wynagrodzenia z szacunku, aż do uporządkowania wierzytelności.

Połowiczne czyli trzy i jednoćwierciowe zmiany te, nietylko osłabiły zasadę stanowczą, ale nadto podały p. *Bigot-Préameneu* łatwą sposobność do kierowania wszelkich pocisków wyłącznie przeciwko tym zmianom, a tém samém możność podkopywania głównéj zasady, tak, że ta prawie sama z siebie upaść musiała; co widocznie okazuje się z bardzo światłego zapatrywania się radcy stanu *Berlier*, który acz początkowo obstawał jak najmocniéj przy początkowym projekcie, późniéj, widząc niestosowne zmiany, przeszedł do przeciwników, w chwili, a gdy *Regnaud de Saint-Jean d' Angely* zrobił uwagę, że system redaktorów kodexowych

z nowemi zmianami trudniejszym jest do bronienia, jak gdyby był bezwzględnym.

Podobnież odstręczał wielu zamierzony pośpiech w odbywaniu całego postępowania subhastacyjnego, od nakazu exekucyinego aż do stanowczego przysądzenia, w przeciągu trzech miesięcy: co wszakże w wykonywaniu okazuje się być teoretycznem marzeniem.

Co do odwoływania się nowych prawników francuzkich do prawa rzymskiego, ci w tym względzie więcej przechwałki jak treściwéj wiedzy okazali; szczególniéj też p *Bigot-Préameneu*, który po ogłoszeniu pełnych ogólników „że kto chce podpierać się doświadczeniem przeszłości, zacząć powinien od dokładnego sprawdzenia stanu i prawodawstwa, i jurisprudencyi dawnéj"; a następnie po przytoczeniu, że w niektórych działach Francyi, a mianowicie w trzech ziemiach już wyżéj wymienionych, zawsze zachowywaną była czystość i prostota prawa rzymskiego: na tém-to przytoczeniu poprzestał, i nie wyjaśniwszy, na czém to owa czystość i prostota prawa rzymskiego polegała, pospieszył do wykrzywienia jurysprudencyi, z ordonansów i edyktów czerpanéj.

Nie takto łatwo wyjaśnić teoryą exekucyjną rzymską, a mianowicie w szczegółach co do *missio in possessionem bonorum* i *bonorum venditio* podług *edictum Praetorum*; następnie co do *cessio bonorum* podług *lex Julia* i t. d. Teorya exekucyjna rzymska zmieniała się stanowczo po trzy lub więcéj razy, acz pewne zasady stale zachowywała, i za Justyniana miała zupełnie inną postać jak dawniéj: a chociażby i przyznać należało, że trzeciemu służyło prawo dochodzenia swoich praw własności, lub swych innych praw rzeczowych wieczystych *post bonorum venditionem*, i że *bonorum emptor* nie stał się natychmiast właścicielem rzeczy cudzych, *in missione in bonorum possessionem* lub *in cessione bonorum* objętych, i miał tylko możność *usucapionis vel praescriptionis* nawet i za Justyniana: jednakże wszystko to niby nie dowodziło we względzie instytucyi subhastacyjnéj francuzkiéj, jako innego w każdym względzie sposobu exekucyjnego, od wszelkich exekucyi rzymskich. Owszem, jeżeli idzie o przykład przekonywający, że nietylko w dawnéj Francyi, ale i gdzieindziéj a mianowicie w Holandyi, która głównie prawem rzymskiém się rządziła, subhastacya pozbawiała trzeciego niezgłaszającego się o prawo własności lub innych praw rzeczowych, znajdziemy go w kommentarzu *Voeta, antecessoris in academia Lugduno-Batava*, od r. 1696 do 1716, *ad Pandectas, in quo praeter Romani juris principia, jus etiam podierum et praecipue fori quaestiones excutiuntur*: który w tytule *de rebus auctoritate judicis possidendis et vendendis*, powołując się na *Anthonium Matthaeum de auctionibus* przywodzi:

„Ad haec ab eodem autore diligenter observatum, dominum aliosque similes, quibus pro juris sui conservatione, intercessionis seu oppositionis necessitas incumbit, ex ejusdem omissione post venditionem solonnem et subsecutam traditionem, cadere domi-

nio suae rei alioque simili jure in re, nec rem evincere posse ab emtore jam domino facto, aut eundem inquietare; ad pretium tamen concursum ei cum caeteris creditioribus *chirographariis simplicibus* non oportere denegari, tanquam tali, qui rem suam videtur, habita fide de pretio vendidisse debitori isti, cujus nomine illa nunc proscripta et vendita fuit; sed si et pretium jam inter creditores distributum ac adjudicatum iis sit, omni cum actione et jure cecidisse" i t. d.

Lecz zachodzące pytanie rozbierano obustronnie i bez względu na dawną jurysprudencyą bądź rzymską, bądź francuzką, jedynie według pobudek, jak się wyrażono, z natury rzeczy wynikających.

Natura rzeczy, wyrażenie zwykle nazbyt ogólne, znaczyło w tym przypadku ułożenie instytucyi subhastacyjnéj co do jéj istoty, celu, przedmiotu i stanu społeczeńskiego, jako też co do jéj skutków prawnych względem dłużnika wywłaszczonego, wierzyciela subhastacyą popierającego, czyli raczéj wszystkich wierzycieli, i względem nabywcy posiadłości wywłaszczonéj, nakoniec względem trzeciego przez subhastacyą poszkodowanego.

W stosunku więc do wywłaszczenia dłużnika z dóbr nieruchomych pewnych przez jego wierzycieli, w celu otrzymania na nim swoich należytości, jako środka exekucyjnego najważniejszego, który, jak *Treithard* uważał, stanowi wraz z instytucyą hipoteczną prawdziwą rękojmię całego kodexu cywilnego względem wykonywania wszelkiego rodzaju kontraktów i umów, czyli klucz sklepienia tę wielką budowę prawodawczą uwieńczającego, należało wynaleźć *równowagę sprawiedliwości* między sprzecznemi interesami wywłaszczonego, wierzycieli, nabywcy, i trzeciego poszkodowanego.

W tym względzie wywody i uwagi redaktorów prawodawczych, pośpiechem naglonych, może nie były wyczerpującemi; jednakże i tu przyznać należy wyższość panom *Réal*, *Siméon*, *Berlier*, *Cretet* nad szermierskie argumentowanie p. *Bigot-Préameneu*, który w istocie nie przedstawiał samoistnego rozbioru, lecz ograniczał się na urywkowém i płochém krytykowaniu kompromissarskich, że tak rzekę zmian, które w rzeczy saméj same z siebie główną zasadę nadwyrężały; jako też na wykazywaniu niedostateczności zaprojektowanych form postępowania wywłaszczalnego: skutkiem czego, ściśle biorąc, p. Bigot-Préameneu doszedłby właściwie do téj niestosowności: że cała instytucya subhastacyjna na nic się nie zda.

W ogólności jednak postrzegać się daje, że w zachodzącéj kwestyi prawodawczéj, właśnie najistotniejszy punkt kolizyi i stosunków prawnych *trzeciego nabywającego, i trzeciego poszkodowanego*, tak między niemi samemi, jak w stosunku do dłużnika i wierzycieli, zamało był rozważany przez tych wszystkich, którzy utrzymywali, *que l'adjudication doit purger la proprieté*. Lecz p. Bigot-Préameneu wcale nie zwracał uwagi na stronę prawną trzeciego nabywcy, tak, jak gdyby w porównaniu z trzecim

poszkodowanym nic to nie znaczyło: że piérwszy, polegając na uroczystości form kodexem krajowym ustanowionych, i na publicznéj sądowéj sprzedaży, a tém samém na wierze, rękojmią prawa i sądu, *in absoluto et in concreto* uświęconéj; nie mając ani obowiązku prawem włożonego, ani nawet otworzonéj procedurą sposobności sprawdzenia tytułu i granic własności wywłaszczonéj; przywołany publicznemi ogłoszeniami jako współubiegający się do dawania jak najwyższéj ceny za dobra; nakoniec postąpiwszy najwyższy szacunek, otrzymawszy przybicie i uznany za właściciela jawnego, prawego i prawnego, i jako taki zapłaciwszy w ciągu zakreślonych prawem dni 20, pod groźbą relicytacyi, cały szacunek na rzecz wierzycieli dłużnika wywłaszczonego: potém zaś, nim lat 10 ku przedawnieniu upłynie, wyrzuconym będzie z dóbr, lub pozbawionym ich części przez trzeciego, który przypomniał sobie, że mając dawniejszy tytuł własności, łatwo zarobić może na odbiorze dóbr lub ich części, które nabywca w dobréj wierze do kwitnącego stanu zagospodarowania przywiódł.

Zgoła poparte praktyką parlamentów i opinią sądów appellacyjnych pojęcie, że nabywca dóbr wywłaszczonych uważanym być powinien tak z ogólnych zasad teoretycznych, jak z istoty, postaci i celu instytucyi subhastacyjnéj za bezpiecznego nabywcę *trzeciego*, z ujmą praw własności trzeciego niezgłaszającego się przed przysądzeniem stanowczém, nie osiągnęło w wiedzy prawników prawodawczych właściwéj potęgi. Wielu około niego krążyło, lecz nikt nie użył dobitnego wyrażenia: że nabywca dóbr wywłaszczonych jest *właściwym trzecim* w całém znaczeniu tego pojęcia prawnego, że w miarę okoliczności wywłaszczeniu towarzyszących jest nim daleko więcéj, aniżeli trzeci dawniejszy właściciel, niezgłaszający się i poszkodowany: że więc w zachodzącéj sprzeczności praw na bezwarunkowe piérwszeństwo przed wszystkiemi innémi zasługuje. Tylko radca stanu *Cretet* napomknął przeciwko p *Bigot-Préameneu* „*qu il'y aurait plus de justice encore à s'occuper avec sollitude de conserver la propriété entre les mains de l'acquereur*; *c'est porter le respect a la propriété un peu loin* que d'en faire un motif *á la troubler*, car assurément on ne la protége pas, quand on la laisse incertaine jusqu'a ce que la prescription l'ait consolidée (1).

Jakoż w rzeczy saméj, artykuł 731 robi igraszkę z całego ogółu działań subhastacyjnych, skrzętnie od nakazu i zajęcia do stanowczego przysądzenia prawem przepisanych, i zwykle z wielkim mozołem i znacznym kosztem przewiedzionych; dopuszcza się podstępu, *dolus malus* względem nabywcy dóbr wywłaszczonych, obowiązując go do zapłacenia szacunku w ciągu dni 20 pod groźbą powtórnéj sprzedaży, a dozwalając przeciwko niemu sprawy zaborczéj windykacyjnéj, i przez to narażając go na utratę i przysądzonych mu dóbr i zapłaconego przezeń szacunku; poświęca

(1) Locré Tom XXII, str. 531.

i tegoż nabywcę i wierzycieli, i dłużnika, słowem wszystkich interesantów dla jednego trzeciego, który własności swojéj nie pilnował, albo o nią nie dbał, i wywołuje nadto trudne następstwa i zgubne dla wszystkich procesa.

Pomimo powagi dawnych parlamentów, nowych sądów appellacyjnych, i sławnych prawników, jakiemi byli *Pothier* i *Treilhard*, pomimo wyłuszczonych zdań przez innych prawników kodyfikacyjnych, którzy wszyscy obstawali za wyrobioną i dojrzałą kilkowiekowém doświadczeniem zasadą; znany kommentator procedury cywilnéj *Carré*, podjąwszy teoretyczny przesąd p. *Bigot-Préameneu*, i nie zgłębiwszy, jak się zdaje, materyałów kodyfikacyjnych przez Locré'go zebranych, powiada pod artykułem 727 kod. postęp. cywil.: *c'est avec grande connaissaece de cause, que cette disposition* (art 731) *a été inserée dans le Code, et qu'il a été par consequent decidé que l'adjudication sur saisie immobiliére ne purge pas la propriété*" dodając „un respect profond pour la propriété a dû l'emporter sur toute autre considération, et l'orsque l'article 1599 du Code civil prononce que la vente de la chose d'autrui est nulle, il étoit impossible (?) que le Code de procedure consacrât une maxime qui eut produit un resultat contraire."

Odpowiedź na tę przesadną pochwałę artykułu 731 już w powyższym rozbiorze znajduje się. Tu chyba dodam, że przecież redaktorowie kodexu cywilnego nie przejęli się tak głębokiém uszanowaniem dla własności, stanowiąc w artykule 2,280, że prawdziwy właściciel rzeczy skradzionéj, a przez trzeciego w dobréj wierze na targu lub jarmarku nabytéj, może ją jedynie za zwrotem ceny trzeciemu, odzyskać; bo bez względu nawet na krzywe porównanie *de la vente volontaire avec l'expropriation forcée* wyższa panuje maxyma prawna: *nulla regula sine exceptione.*

Na tych kilku rzutach krytycznych, co do wewnętrznéj wartości artykułu 731 ograniczając się, przystępuję do zapatrywania się na odnoszącą się doń nową jurysprudencyą francuzką.

Nadmienić przychodzi, że artykuł ten nie przepisując nic co do form lub środków postępowania subhastacyjnego, lecz zawierając w sobie materyalną zasadę prawa o skutkach prawnych wywłaszczenia przymusowego, właściwie nie należy do kodexu postępowania cywilnego, lecz do kodexu cywilnego w tytule o wywłaszczeniu przymusowém.

W samym zaś kodexie postępowania cywilnego, stanowiąc łączną całość z czterema poprzedzającemi artykułami od 727 do 730, przepisującemi sposób postępowania do żądań incydentalnych o wyłączeniu od licytacyi bądź całości, bądź pewnych części dóbr na wywłaszczenie zajętych, jako też termin do appellacyi od takiegoż wyroku pierwszej instancyi, wywołuje dwojaką *sprzeczność* logiczną: bo skoro artykuł 731 dozwala trzeciemu powodztwo o własność swą jeszcze i po sprzedaży stanowczéj: na cóż te szczegółowe przepisy w artykułach 727, 728 i 729

względem żądań wyłączenia od licytacyi, mających być wnoszonemi *wprzód*, nim stanowcze przysądzenie nastąpi; i pocóż znowu artykuł 730 tamuje appellacyą po upływie dwóch tygodni od wyroku, który właśnie w sporze o wyłączenie od wywłaszczenia wcześniéj przed przysądzeniem stanowczém lub przygotowawczém wytoczonym został? Artykuł więc 731 stawia w gorszém położeniu trzeciego pilnującego swojéj własności w ciągu toczącego się wywłaszczenia i przed terminem przysądzenia, aniżeli trzeciego, który dopiéro po dokonanéj subhastacyi dóbr i klassyfikacyi szacunku, nieco wcześniéj jak w lat 10 lub 20 przedawnienie dopełniających, przypomniał sobie, że miał jaką posiadłość lub cząstkową własność, niewłaściwie zajętą i sprzedaną.

Wszystkie cztery artykuły od 727 do 730 mają dopiéro zupełny sens logiczny przy zasadzie przez redaktorów kodexowych pierwotnie przypuszczonéj, że przysądzenie stanowcze zlewa na nabywcę natychmiast czystą i niewzruszalną własność.

Nie ma więc logicznej zgodności między artykułem 731 a artykułami od 727 do 730, z któremi przecież całość organiczną ma i powinienby stanowić.

Wytknięta sprzeczność pochodzi z pozostawienia nietykalnie czterech artykułów tych według pierwotnego projektu, pomimo wywrócenia zasady pierwotnie w artykule 731 projektowanéj i przyjęcia wręcz przeciwnéj.

Przeciwnicy zdań, tocząc spór prawodawczy do artykułu 731 odnoszący się, wyraźnie ten tylko wypadek mieli na widoku, jeżeliby po zajęciu i sprzedaży nieruchomości wywłaszczonéj okazać się miało, że nieruchomość ta w całości lub cząstkowo, w pewnych nomenklaturach, nie należała prawem własności do dłużnika wywłaszczonego lecz do innego trzeciego. Tymczasem zasada *que l'adjudication définitive purge la propriété* obejmowała i inne prawa rzeczowe wieczyste, czyli w ogólności *dominium et jura in re*, co i w ciągu rozpraw prawodawczych uważano. Nadto w oczy bije, że text francuzki w artykule 731, nie mówi „d'autres droits *de* propriété" lecz „*à la* propriété." Ostatni zatém wyraz wzięty jest tu za sam przedmiot własności, za dziedzinę, majętność, posiadłość; z czego wynika, że artykuł 731 nietylko prawo własności, *dominium*, *propriété*, ale i inne prawa rzeczowe wieczyste *jura in re* trzecim osobom zachowuje po stanowczém przysądzeniu aż do terminów przedawnienia, wyjąwszy długi hipoteczne, które podług kodexu postępowania cywilnego w tytule o uporządkowaniu, a w szczególności w miarę artykułów 759, 772, 773, 774 wykreśleniu ulegają.

Fałszywa zasada prawodawcza w artykule 731 ustanowiona i wynikające z niéj trudności i krzywdy, uwiodły nową jurysprudencyą francuzką do porównania instytucyi subhastacyjnéj i stanowczego przysądzenia z kontraktem czyli umową dobrowolną kupna i sprzedaży.

Trudno w jurysprudencyi co błędniejszego i bardziéj naciąganego znaleźć, jak to porównanie, powtarzane wszakże lub przypuszczone przez wszystkich kommentatorów francuzkich i niemieckich, bez myśli i bez zgłębienia materyałów prawodawczych.

Strony przystępując dobrowolnie do kupna i sprzedaży dóbr, mają wszelką możność i łatwość sprawdzenia tytułów własności, rozległości i granic dóbr, przekonania się o przychodach. Wola i przezorność stron w sprawdzaniu wszystkich szczegółów, niczém tu nie jest tamowaną. I samo prawo wkłada na dobrowolnego sprzedawcę obowiązki rękojmi i odpowiedzialności, za spokojne przez nabywcę posiadanie sprzedanéj mu posiadłości, od art. 1626 do art. 1640 kodexu cywilnego.

Nic z tego wszystkiego nie masz w postępowaniu subhastacyjném, kończącem się na stanowczém przysądzeniu. Dłużnik wywłaszczony pozostaje na boku, i z umysłu nie objawia prawnego i właściwego stanu dóbr zajmowanych na wywłaszczenie. Istotnym sprzedawcą nie jest właściciel, lecz jeden z wierzycieli wywłaszczenie popierający, czyli wszyscy wierzyciele.

Ci co się ubiegają o nabycie dóbr, i stanowczy nabywca, nic nie mają do czynienia z dłużnikiem, ani nawet z wierzycielami sprzedaż popierającemi. O nic nie układają się i nic zgoła sprawdzać nie mogą, tylko muszą przyjąć warunki licytacyjne tak, jak są. Zgoła nabywca dóbr wywłaszczonych żadnego nie ma podobieństwa z kupującym mocą kontraktu dobrowolnie zawartego, chyba li w tém zewnętrznem wyrażeniu, że staje się nabywcą dóbr.

Jeżeli nabywca dóbr wywłaszczonych, dawno zapłaciwszy ich szacunek na rzecz wierzycieli, pozwanym będzie o zwrot nabytych dóbr, lub pewnych części nie należących do dóbr wywłaszczonego dłużnika: kogoż ma przypozwać o wynagrodzenie straty: czy dłużnika? ten wszakże zwykle jako podupadły na majątku, nic nie ma; czy popierającego wywłaszczenie i innych wierzycieli, którzy podług zamkniętego planu klassyfikacyjnego swe długi odebrali? czy komornika, który zajęcia dopełnił?

Otóż prawidła kontraktu kupna i sprzedaży na nic się nie przydadzą nabywcy dóbr wywłaszczonych, których tenże w całości lub w części, wraz z zapłaconym szacunkiem pozbawionym został w lat 10 lub 20 po stanowczém przysądzeniu. A zatém porównanie instytucyi wywłaszczenia przymusowego z dobrowolnym kontraktem kupna i sprzedaży, pomimo wysilenia się wszystkich kommentatorów, Francuzów lub Niemców, na pochwałę artykułu 731 zawsze teoretyczném marzeniem pozostanie, i nie ochroni nabywców dóbr wywłaszczonych od krzyczącéj niesprawiedliwości *in facto et in jure*.

Natomiast znachodzimy w zmianach prawodawczych, po wprowadzeniu kodexów cywilnych, u nas nastąpionych, ustawy i zasady, które bądź swym duchem znaczenie i skutki artykułu 731 względem nabywcy dóbr wywłaszczonych, jako *istotnego*

trzeciego osłabiają lub wyłączają, bądź je zupełnie mocą prawa cywilnego, jako późniejszego odsuwają, i niweczą.

Takiemi ustawami są: prawo hypoteczne z r. 1818 o ustaleniu własności i innych praw rzeczowych co do dóbr ziemskich i nieruchomości po miastach dziś gubernialnych, i prawo z r. 1825 o przywilejach i hypotekach, stanowiące oraz porządek hypoteczny dziś okręgowym zwany; niemniéj dawniejszy dekret królewski z dnia 26 czerwca 1811 r. nadający każdemu wierzycielowi dłużnika wywłaszczanego i samemu dłużnikowi prawo domagania się taxy dóbr wywłaszczanych, w tym celu, ażeby niżej $^2/_3$ części wartości rzeczywistéj nie były zbywanemi.

Lecz organiczne i logiczne połączenie ustaw tych lub zasad niemi zakréślonych z artykułem 731, czyli w ogólności z instytucyą subhastacyjną otwiera szranki do sporów prawniczych, *quaestiones juris*, nietylko naszemu wyłącznie stanowi prawa cywilnego właściwych, ale i trudnych do rozstrzygnienia lub spowodowania zgodnych uznań.

Przypomnieć tu należy, że ustawa hypoteczna z r. 1818 nakazując konieczny obowiązek objawienia hypotecznego tytułów własności, jako też innych praw rzeczowych, wieczystych lub czasowych, co do wszystkich pojedynczych dóbr ziemskich w kraju, i wszystkich nieruchomości położonych w zakresie miast, w których zasiadał trybunał cywilny I instancyi, przejęła się żywotnym tym celem, ażeby *trzecich, nabywających w dobréj wierze* bądź własności, bądź innych praw rzeczowych podług otwartego wykazu hypotecznego, ochronić raz na zawsze i we wszelkich zgoła wypadkach nabycia, od utraty tychże przedmiotów, a nawet od wszelkiéj odpowiedzialności względem wszystkich osób, z wykazu hypotecznego niewiadomych, któreby potém twierdziły i udowodnić zdołały, że ta własność lub te prawa rzeczowe, istotnie acz niejawnie czyli tajemnie do nich należały. Art 31. 54. 33. 30. 21.....

Żywotny cel ten rozciągniętym został prawem z r. 1825 o przywilejach i hypotekach do wszystkich posiadłości miejskich i wiejskich, nie należących do dóbr nieruchomych, ustawą z r. 1818 objętych: atoli bez koniecznego obowiązku podawania ich do regulacyi hypotecznéj i z pozostawieniem regulacyj téj, samym stronom w miarę wynikających potrzeb.

Stoi zatém według ustaw z r. 1818 i 1825 oderwana i niezatarta *zasada prawna*, że kto podług wykazu hypotecznego nabędzie w dobréj wierze prawa własności lub innych praw rzeczowych, względem dóbr ziemskich lub nieruchomości miejskich, dziś gubernialnemi zwanych, albo posiadłości miejskich lub wiejskich dziś okręgowemi zwanych: ten stanie się natychmiast prawnym nabywcą i wolnym będzie od wszelkich poszukiwań osób właściwie także trzecich, mniemających mieć lepsze lub równe prawo, które wszakże w wykazie hypotecznym objawioném nie zostało.

Zastosowanie zasad tych do nabycia własności dóbr ziemskich lub nieruchomości miejskich gubernialnych, albo posiadłości miejskich lub wiejskich okręgowych, zajętych w drodze *exekucyi subhastacyjnéj na właściciela z wykazu hypotecznego wiadomym*, żadnéj wątpliwości w naszém prawnictwie wykonawczém czyli w praktyce pozasądowéj i sądowéj ulegać nie może: zwłaszcza, że instrukcya hypoteczna z r. 1819 ustawie z roku 1818 towarzysząca, w artykule 41 utyskując na niepewność hypoteki kodexowéj, przypuszczała usunięcie artykułu 731 kodexu postępowania cywilnego przez nowe prawo hypoteczne, przywodząc „że kupno nawet dóbr na *publicznéj licytacyi* nie jest obwarowane większém bezpieczeństwem".

Niepewność więc tę, czyli skutki artykułu 731, ustawa z roku 1818, jako prawo późniejsze, usunęła i umorzyła raz na zawsze we wszystkich przypadkach nabycia dóbr nieruchomych mocą wyroku adjudykacyjnego po wywłaszczonym właścicielu *hypotecznym*.

Atoli prosty stosunek ten prawny nie wyczerpuje wszelkich wypadków i nie usuwa wszystkich trudności odnoszących się do artykułu 731 kodexu postępowania cywilnego, i nowego prawa hypotecznego.

Albowiem pomimo wywołania wszystkich dóbr nieruchomych ustawą z r. 1818 do pierwiastkowéj regulacyi hypotecznéj wskazanych, niektóre z nich mogły pozostać bez uregulowania i przyznania tytułu własności, bądźto z powodu opuszczenia posiadłości, bądźto z powodu niezgłoszenia się właścicieli, lub niezłożenia dostatecznych dowodów, bądźto nakoniec dla wszczętych i nie popartych sporów o własność. Lecz, co się tyczy posiadłości miejskich lub wiejskich, okręgowych, tych mało jest uregulowanych hypotecznie, owszem większa część pozostaje bez pierwiastkowéj regulacyi hypotek: tak, że we wszystkich takich wypadkach nie masz właściciela *hypotecznego*.

Gdy zaś artykuł 2 prawa o przywilejach i hypotekach z r. 1825, odpowiadający dawniejszemu artykułowi 2092, kodexu cywil. dozwala zajęcia dóbr nieruchomych na sprzedaż subhastacyjną, wszystkim bez różnicy wierzycielom hypotecznym lub *osobistym*, i artykuł 150 ustawy z r. 1818, poparty instrukcyą hypoteczną z r. 1819, w artykułach 26 i 120 nie przypuszcza nawet możności wpisania długów hypotecznych bez poprzedniego uregulowania tytułu własności; nadto ustawa z r. 1818 nie zastąpiła żadném inném rozporządzeniem *znikléj* z nowym porządkiem hypotecznym krajowym księgi oddzielnéj, artykułem 677 kodexu postępowania cyw. przewidzianéj, w biurze hypotecznem właściwém utrzymywanéj do wpisywania zajęć subhastacyjnych: przeto z tych przyczyn powstają pytania do rozwiązania: jakim środkiem lub jaką formą prawną, wierzyciel bądź osobisty, bądź hypoteczny, którego wszelako hypoteka z powodu nieuregulowania tytułu własności w dziale II wykazu hypotecznego, wpisaną hypotecznie być nie mogła, może i po-

winienby przystąpić do początkowania i przeprowadzenia subhastacyi?

Tu otwiera się niedostatek prawa, a mianowicie co do ubytku księgi hypotecznéj subhastacyjnéj, artykułem 677 kod postęp. cywil. wymaganéj, i względem przeszkód tamujących wierzycielom i osobistym i hypotecznym możność rozpoczęcia exekucyi subhastacyjnéj w przypadkach, w których nie ma właściciela hypotecznego.

Brak pomienionéj księgi prawnictwo wykonawcze, w naglącéj i koniecznéj potrzebie zaradzenia, zastąpiło wpisywaniem zajęć na wywłaszczenie do działu III nowych ksiąg i wykazów hypotecznych, naciągając ku usprawiedliwieniu tego sposobu postępowania artykuł 43 ustawy hypotycznéj z r. 1818, chociaż artykuł ten mówiąc o ścieśnieniach własności dóbr nieruchomych, i wyszczególniając wszystkie rodzaje ścieśnienia własności w liczbie pięciu, bynajmniéj do ścieśnienia własności mocą exekucyi subhastacyjnéj nie ściąga się. Atoli obmyślony środek ten uznać przychodzi za analogią konieczną i stosowną, którą ciągle w praktyce zachowują.

Lubo z artykułu 677 kodexu postęp. cywil. księga hypoteczna subhastacyjna ubyła, jednakże sam przepis prawa nakazujący *wpis hypoteczny zajęcia subhastacyjnego* pozostał.

Jeżeli więc dobra ziemskie lub nieruchomości miejskie gubernialne, nie osiągnęły pierwiastkowéj regulacyi hypotecznéj stanowczo, tak, że prócz niektórych luźnych protokółów, w istocie formalnéj księgi hypotecznéj nie ma; albo jeżeliby przedmiotem exekucyi subhastacyjnéj miały być posiadłości miejskie lub wiejskie, okręgowe, których właściciele do regulacyi hypotecznéj okręgowéj nie podali, tak, że podobnież żadnéj księgi hypotecznéj nie mają: jakże w takim przypadku ma sobie postąpić wierzyciel hypoteczny lub osobisty, dla uskutecznienia zajęcia subhastacyjnego, jako téż wpisu hypotecznego tegoż zajęcia?

Prawnictwo krajowe uważa tu za jedyny środek możności rozpoczęcia i przeprowadzenia exekucyi subhastacyjnéj, ażeby wierzyciel sam kazał wprzód wywołać nieruchomość dłużnika swojego do regulacyi hypotek, i przyznania mu tytułu właściciela. Jakoż, w rzeczy saméj, skoro artykuł 677 kodexu postęp. cywil. nakazuje wpisanie zajęcia nieruchomości na wywłaszczenie w księgę hypoteczną, potrzeba przedewszystkiém założenia téj księgi i uregulowania stanu własności.

Z takowego związku prawa proceduralnego i prawa hypotecznego wprawdzie wynika, że artykuł 731 kod. postęp. cywil. w stosunku do *ogólnéj nomenklatury dóbr* księgą hypoteczną wskazanych, na wywłaszczenie zajętych i stanowczo sprzedanych, w teraźniejszym stanie naszego prawodawstwa cywilnego, żadnego skutku prawnego mieć nie może względem nabywcy tychże dóbr, *jako trzeciego po właścicielu hypotecznym* nabywającego: lecz jeżeli pomimo zajęcia ogólnéj nazwy dóbr w granicach ja-

wnych, używalnych, cudze nomenklatury n. p. grunta orne, łąki, las, pustkowie, plac, dziedziniec, ogród; albo jeżeli wśród nich budynki lub inne przedmioty nieruchome do kogo innego należące; albo jeżeli nawet jakie całkowite nieruchomości przedtém nieprawnie przyłączone, pod ogólną nazwą dóbr dłużnika i właściciela hypotecznego zajętemi, i następnie najwięcéj dającemu stanowczo przysądzonemi zostały: czy w takim przypadku nabywca tychże dóbr, co do zajętych cudzych części może się zasłonić prawnie przymiotem i znamieniem trzeciego, przeciwko skutkom artykułu 731 kod. postęp. cywilnego?

W tym względzie nowe prawo hypoteczne, nic ręcząc za pewność granic, właściwie żadnego nie użycza bezpieczeństwa; lecz zasada nabywania dóbr po *jawnym* właścicielu hypotecznym mocą stanowczego przysądzenia, polegając i na wykazie hypotecznym i na zajęciu exekucyjném, i prócz ogłoszeń i obwieszczeń na warunkach licytacyjnych, nasuwa prawnictwu naszemu wykonawczemu częstokroć pytanie prawne do rozstrzygnienia, które w miarę zbiegu rozmaitych okoliczności, zapewne niejednostajnie było rozwiązywanem, a może najczęściéj otwierało nurt, nabywców dóbr wywłaszczonych pochłaniający, pomimo zapłacenia przez nich całkowitego szacunku, i dopełnienia najściśléj wszelkich warunków licytacyjnych.

Rażąca niesprawiedliwość ta wszakże wywoływała przeciwne mechanicznemu pojęciu artykułu 731 kodexu postępowania cywilnego uwagi: że to wszystko, co pod tytułem ogólnym dóbr w zajęciu exekucyjném wyraźnie objęto i wyszczególniono, adjudykatorowi wydartém być nie może, skoro w ciągu postępowania subhastacyjnego i przed stanowczém na publicznéj licytacyi przysądzeniem żadne żądanie o wyłączenie z pod wywłaszczenia nie zaszło.

Uwagi te znajdują pewne poparcie w dekrecie królewskim z dnia 26 czerwca 1811 o możności domagania się taxy dóbr na wywłaszczenie zajętych, ażeby niżej $^2/_3$ części wartości rzeczywistéj sprzedawanemi nie były. Wprawdzie dekret ten zamierzał li zabezpieczyć tak dłużnika, jak i jego wierzycieli od strat wynikających z nazbyt nizkiéj sprzedaży dóbr; lecz skoro zasady dekretem tym wprowadzone, do instytucyi subhastacyjnéj, a w szczególności do kategoryi sporów incydentalnych, które przed stanowczém przysądzeniem załatwionemi być powinny, wcielonemi zostały; skoro to, co na wywłaszczenie drogą exekucyi zajęto, jeszcze i otaxowano, a tém samém nieruchomość wywłaszczającą się nietylko podług aktu zajęcia, ale i podług taxy przez trybunał zatwierdzonéj na publiczną sprzedaż wystawiono: skoro więc skutkiem powołanego dekretu, do licznych form subhastacyjnych *przybyła* nowa forma względem taxy dóbr, która z jednéj strony ułatwiając roznoszenie głośnéj wieści o zajęciu dóbr na wywłaszczenie, pomnaża środki procuderalne, końcem ostrzeżenia każdego trzeciego o wczesne zgłoszenie się z żądaniem wyłączenia

mniemanéj swéj własności z pod zajęcia, z drugiej zapowiadać się zdaje tym, którzyby się do licytacyi zgłosili tém większą pewność prawnego nabycia majętności; niepodobna zatém w takim stanie uzupełnionego prawa i postępowania cywilnego nie uznawać tego skutku prawnego: że zgłaszający się z chęcią nabycia dóbr wywłaszczanych, niewzruszalną znaleźć powinien rękojmię prawnego nabycia nietylko całości dóbr, wykazem hypotecznym wskazanéj, ale i wszelkich nomenklatur lub części aktami zajęcia i taxy objętych.

Jakoż w rzeczy saméj, gdy artykuł 731 kodexu postępowania cywilnego, skutkiem późniejszego prawa hypotecznego z roku 1818 utracił całą swą moc, w stosunku do ogółu nieruchomości subhastacyjnie sprzedawanych, w granicach jawnych, używalnych, aktami zajęcia i taxy zaręczonych: przeto w stosunku do szczególnych części, ogół nieruchomości téj składających, żadnéj mocy mieć nie może: zwłaszcza, że w razie przeciwnym, przy potrąceniu pojedynczych nomenklatur lub cząstek, powództwu windykacyinemu pozostawionych, cały ogół nieruchomości wywłaszczonéj mógłby być wyczerpanym i doszłoby się *ad absurdum*: że nabywcy nieruchomości, pomimo stanowczego przysądzenia, pomimo wyjęcia i posiadania wyroku adjudykacyjnego, po zapłaceniu szacunku licytacyjnego, niby nie pozostało, chyba ulotnienie się dóbr w jego ręku przez czarodziejstwo postępowania subhastacyjnego.

Wszelaką nakoniec trudność usuwa artykuł 154 ustawy hypotecznéj z r. 1818, o prekluzyi prawnéj wszelkich praw rzeczowych, który, jak to w poglądzie na prawnictwo krajowe co do spraw granicznych wyjaśniono, niezgłaszającemu się w czasie wywołania posiadłości nieruchomej do pierwiastkowéj regulacyi tytułu własności i hypotek, z mniemanemi prawami swemi, bądź własności, bądź służebności lub innych obciążeń wieczystych, pozostawia jedynie prawo osobiste, które wszelako żadnego skutku mieć nie może, skoro posiadłość mocą prawnego tytułu nabycia w ręce trzeciego przeszła: co właśnie w całém znaczeniu tego wyrazu następuje mocą wyroku adjudykacyjnego.

Z ogółu rozumowań tych, wprost lub konsekwentnie wywiedzionych aż nadto jasno okazuje się, że artykuł 731 kodexu postępowania cywilnego, w duchu dzisiejszego stanu prawa naszego obowiązującego za upadły, i już nic nie znaczący uważanym być powinien.

Mniemam nadto, że zgoła w żadnym przypadku na artykuł ten powoływać się nie można: bo gdyby n. p. w kontraktach dzierżawy dóbr na wywłaszczenie puszczonych, znachodziły się zbywania i nabywania własności jakichkolwiekbądź przedmiotów nieruchomych, w skład dóbr tych wchodzących, tego rodzaju prawa jako *rzeczowe* z *ogółu dóbr wyłączone*, pomimo warunków licytacyjnych objawiających ogólnie, że kontrakt dzierżawny za pozostały czas obowiązywać będzie nowonabywcę, tegoż prawnie

wiązać nie mogą: raz dlatego, że kontrakty dzierżawy z istoty swojéj kodexem cywilnym onymże nadanéj, nie są uzdolnione do przenoszenia praw własności, ani jakichkolwiekbądź praw rzeczowych; powtóre dlatego, że podług ustawy hypotecznéj z r. 1818, wszelkie pojedyncze prawa rzeczowe, a tém bardziéj jakiekolwiekbądź prawa własności, do szczególnego przedmiotu nieruchomego dóbr wywłaszczonych odnoszące się, *nie w warunkach licytacyjnych, lecz w wykazie hypotecznym* objawionemi być powinny: gdyż jako nieobjawione, w myśl artykułu 11 i innych ustaw hypotecznych, znaczenie praw li osobistych zachowują; potrzecie dlatego, że umowy o własność w kontraktach dzierżawy dóbr długami przeciążonych zawarte, za skryte, zmowne i podstępne uznanemi być powinny.

Nakoniec gdyby zachodziła niezgodność między aktem zajęcia do księgi hypotecznéj wpisanym, a taxą przez trybunał zatwierdzoną, że w jednem z tych dzieł subhastacyjnych jaki przedmiot nieruchomy do składu dóbr subhastowanych wchodzący byłby opuszczony, a w drugiém dodany, do któregoby następnie trzeci rościł prawo; za takową niezgodność lub pomyłkę, w braku ostrzeżenia w wykazie hypotecznym dóbr wywłaszczonych, nowonabywca jako trzeci odpowiadać nie byłby obowiązanym. Odpowiedzialność owszem ciążyłaby jedynie obrońcę, wywłaszczenie popierającego *propter dolum lub culpam latam*: gdyż do niego czuwanie nad rzetelnością wszelkich działań subhastacyjnych należy.

Kończąc rozprawę tę teoretyczną, z krajowéj praktyki sądowniczéj wyosnowaną, na usprawiedliwienie pasma jéj zasad, odnoszących się do ustaw prawodawczych późniejszych od artykułu 731 kodexu postępowania cywilnego, przytoczę z ogólniejszego stanowiska wedle pandektów rzymskich, lib. I tit. III, de legibus, senatus-consultis et *longa consuetudine*, legem 24 ex Pauli quaestionibus „Non est novum ut priores leges ad posteriores trahantur".

August Heylman.

ROZMAITOŚCI.

Spór *de lana caprina*, albo jeszcze słów kilka o znaczeniu wyrazu: **Nawojka.**

Chcielibyśmy zakończyć spór literacki, jaki się wszczął między mężami nauki. Nie idzie tu o rozwiązanie węzła gordyjskiego, ale poprostu o spór *de lana caprina*, jak go słusznie nazwał p. Żochowski; a więc nie trzeba być koniecznie Wielkim Alexandrem, ażeby się pokusić o jego rozstrzygnięcie.

Rzecz się tak ma: znaną jest w literaturze książeczka, na której miała się modlić Śta Jadwiga, matka Henryka księcia na Lignicy, jako chce podanie wypisane na jéj okładce. A więc byłbyto stary, bardzo stary zabytek polszczyzny, bo jak wiadomo, Śta Jadwiga jest postacią z piérwszéj połowy XIII wieku (1).

Pan Józef Motty professor gimnazyum poznańskiego, piérwszy wydawca tego zabytku, opierając się na owéj legendzie, nazwał go książeczką Śtéj Jadwigi; ale Motty nie przekonał, że napis który położył na tytule jest prawdziwym: bo i jakże mógł dowieść tego, kiedy sam język pomnika jawnie ukazuje na poźniejsze jego pochodzenie. Michał Wiszniewski odniósł tę książeczkę do XIV wieku (2); uczony zaś Wacław Alexander Maciejowski zaprotestował przeciwko niewłaściwości jéj napisu tytułowego i dowiódł, że jest płodem drugiéj połowy XV wieku (3). Nakoniec i p. Julian Bartoszewicz oświadczył się także za panem Maciejowskim. Wszyscy ci uczeni pokładli dowody historyczne i filologiczne aż nadto przekonywające; można więc śmiało przyjąć za fakt, że książka ta nie była nigdy własnością pobożnéj księżnéj szlązkiéj. A więc jakaś *Nawojka* książeczkę tę posiadała, mówi autor *Piśmiennictwa*, i dowodzi twierdzenia swego wyrażeniami napotykanemi śród textu modlitw: „Mnie *Nawojce* (str. 70), ja *Nawojka* proszę (str. 74), wejrzyj okiem miłosiernem podług woli twéj na mnie *Nawojkę* (str. 83) i t. p.

Nowy ten tytuł nadany książeczce Mottego przez autora Piśmiennictwa, dał powód do licznych kommentarzy i uwag:

1) P. Felix Żochowski gwałtem przekonywał, że wyraz Nawojka znaczy ni mniéj ni więcéj, jak tylko grzesznicę (4).

(1) Umarła r. 1243.
(2) Literatura T. I str. 421.
(3) Piśmiennictwo tom I str. 364, 367.
(4) Uwagi p. Zochowskiego z tego powodu są drukowane *w Bibliotece Warszawskiéj* za r. 1852 T. III str. 140 i w *Gaz. Warszaw.* zr. 1853 nr. 217.

2) Bartoszewicz dowodził, że Nawojka to imię kobiece, i w tém był jednego zdania z autorem Piśmiennictwa (1).

3) Nakoniec Alojzy Kalixt Kozłowski, znakomity filolog, o którego obszernych badaniach nad językiem polskim ledwo że mamy jakieś wyobrażenie, z pomocą wątłych etymologicznych naciągań silił się dowieść, że Jadwiga a Nawojka to jedno; tylko Jadwiga po gecku, a Nawojka po polsku (2).

Wolno naszym panom grammatykom i filologom, lubiącym snuć etymologiczne tkaninki, dowodzić wszystkiego, co się im jeno przywidzi; będziemy ich czytać z uwagą, cierpliwością, a nawet z zajęciem; będziemy podziwiać głęboką erudycyą, unosić się nad zręcznością nakręcania dowodów dla okazania rzeczy z góry założonych, na wszystko przystaniemy: ale nie poświęcimy im wolności nie wierzenia w to ich gawędki. Przy gruntownéj znajomości języka można wiele zrobić, ale gdy filolog przywłaszczy sobie monopol rozwiązywania wszelkich bez wyjątku zagadnień, ani się postrzeże, jak wpadnie w śmieszność; wszakże we wszystkiém są pewne granice. Otoż przeprosiwszy za naszę otwartość pana Kozłowskiego, a po części i p. Żochowskiego, nie wypada nam nic lepszego uczynić, jak pisać się bezwarunkowo na żdanie p. Juliana Bartoszewicza. Nie możemy inaczéj postąpić, bo mamy dowody, których sam nawet autor artykułów o Nawojce, drukowanych w Dzienniku Warszawskim, nie miał pod ręką, a które dziwnie popierają jego dowodzenia.

Nawój było to imię męzkie tak dobre, jak Borzywój, Sędziwój, Mściwój i t. p.; z imieniem tém nie trudno napotkać się temu, kto czyta dawne dyplomata i stare księgi. Nawój Toporczyk kasztelan krakowski wspomniany jest w Szczygielskiego *Tinecii* i Nakielskiego *Miechovii*, również jak i w metryce koronnéj (3). Tenże sam Nawój kasztelan podpisany jako świadek na dyplomacie z roku 1327 (4). Podobnież kilka razy wzmiankowany inny Nawój w regestrach z roku 1393, jak o tém już pisał *Dziennik Warszawski* (5). Było także kilku Nawojów kanonikami krakowskiemi (6).

Z tego imienia męzkiego *Nawój*, urobiło się imię kobiece *Nawojka*. A chociażby imię to wydało się komu najnielogiczniéj, nawet najniezgodniéj z duchem języka utworzone, podobno w końcu będzie zmuszony na nie przystać, boć sam p. Żochowski przyzna, że za nic najdowcipniejsze rozumowania tam, gdzie można naprzeciw nich stawić fakta niezbite. I tak:

1) *Nawojka* była żoną Macieja ze Służewa chorążego inowłocławskiego, jak o tém świadczy nieposzlakowanéj autentyczności dyplomat z roku 1474, zapisany w metryce koronnéj (7).

(1) Artykuły p. Bartoszewicza są w *Dzienniku Warszawskim* za r. 1852 nr. 193, 194 i 291, przedrukowane także w dzienniku krakowskim *Czas*.
(2) List Kozłowskiego, także w *Dzienniku Warszawskim* z r. 1852, nr. 240, 241.
(3) Księgi *metryki koronnéj* nr. 11 fol. 143 pod rokiem 1320.
(4) *Polska wieków średnich* J. L. T. III str. 198.
(5) Z roku 1852 nr. 291, artykuł pod gwiazdką.
(6) *Katalog* i t. d. Łętowskiego T. III i IV.
(7) Księga nr. 12, fol. 189.

2. Inna *Nawojka* z Koniecpola, była małżonką Macieja z Bnina, naprzód wojewody kaliskiego, potém poznańskiego i generała wielkopolskiego; dowodem tego akt znajdujący się również w księgach metrycznych pod rokiem 1490 (1). Taż sama *Nawojka* z Koniecpola, po śmierci męża swego Macieja z Bnina otrzymuje zapis na Lelowie 149. roku (2).

3. Nakoniec *Nawojka*, również Koniecpolska z domu, wydaje akt w roku 1531 (3).

Po przytoczeniu tych kilku dowodów, opartych na tak poważném źródle, jakiém są księgi *metryki koronnéj*, zbytecznem byłoby wdawać się w obszerniejsze gadaniny; Nawojka jest *imieniem* kobiecém, to pewnik (4), i żaden wykrzyknik nie zachwieje go.

Ale sprobujemy, czy zdanie pana Żochowskiego i nasze, napozór tak sprzeczne, nie dadzą się jakoś pogodzić. P. Żochowski mówi, że wyraz Nawojka jest wyrazem pospolitym, znaczącym taką kobiétę, która dużo *nawojowała, nagrzeszyła*; ztąd sama w modlitwie nazywa się *Nawojką* czyli *grzesznicą*". Zdaniem tém tego tylko dowiódł pan Żochowski, że w imieniu *Nawojka* jest pierwiastek *nawojować*, czego bynajmniéj nie zaprzeczamy; bo jestto własność spólna wszystkim imionom słowiańskim, że każde z nich ma jakieś znaczenie: i tak np. w imieniu *Kazimierz*, widne słowa *skazić-mir* czyli *pokój* (to téż rzeczywiście naszego nieszczęśliwego Jana Kazimierza, zwała szlachta kazipokojem). Ale tak jak imię *Kazimierz* nie może oznaczać *skaziciela pokoju;* tak téż Nawojki niegodzi się brać zamiast grzesznicy; bo do czegoż byłoby to podobném, gdyby naprzykład naszego Władysława Warneńczyka, za to, że naruszył traktaty z Turkiem, zechciał kto nazwać *Kazimierzem*!...

Ale dość tego: nie chcemy dłużéj rozwadniać przedmiotu i tak już zanadto drobiazgowego. Nigdybyśmy się nie mieszali do sprawy wywołanéj przez znakomitego naszego Wacława Alexandra Maciejowskiego, ani téż wtrącali do sporu, w którym po jednéj stronie walczył p. Julian Bartoszewicz, autor znany z talentu i erudycyi, a po drugiéj niemniéj zasłużony badacz języka polskiego p. Felix Żochowski: ale cóż robić, przemogło zamiłowanie prawdy.

Władysław Wieczorkowski.

(1) Księga nr. 14, fol. 386. *Niesiecki* znał ten dokument i wspomina o Nawojce, ale datę podaje fałszywą, bo był wydany nie w r. 1480, ale w 1490. (Niesieckiego Korona wyd. Bobr. T. VI str. 260, pod herbem *Łodzia*).

(2) *Metryka koronna* nr. 17 fol. 137.

(3) *Metryka koronna* nr. 45 fol. 587. Widzimy aż dwie Nawojki Koniecpolskie, i to potwierdza nieco domniemania Helcla, że jedno imię utrzymywało się długo w rodzinie, i od dziadów pradziadów przechodziło w następne pokolenia, bo taki był zwyczaj ówczesny. Tak podobno się działo z imieniem *Nawojki* w rodzinie Koniecpolskich.

(4) *Nb. imieniem*, nie nazwiskiem. Pan Żochowski nie zrozumiał ani Maciejowskiego, ani Bartoszewicza, mówi bowiem ciągle w swych artykułach o jakiejś tam *rodzinie Nawojów*, o czém ani jeden, ani drugi nie mówili.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1852.

161. *De Chlorosi scripsit Michaël Zieleniewski Doctor Medicinae et Chirurgiae*... 12*mo*. *Cracoviae*. 1852. (W drukarni Czasu). Str. 44. Kop. 20.

162. Kasztelanice Lubaczowscy. Powieść ostatniego z domu Nieczujów. Spisana przez Zygm. Kaczkowskiego. 16ka. Kraków. 1852. (Nakład Juliusza Wildt, w drukarni Czasu). Karta 1 i str. 130. Kop. 60.

1853.

92. *Do nru.* 81 *Kroniki z r.* 1851.

Badania filozoficzne o Chrystyanizmie przez Augusta Nicolas, przekład Ignacego Badeniego, Radcy Tajnego, Członka Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. Tom II i IIIci. 8ka. Warszawa. 1853. Nakładem tłómacza, druk Gazety Codziennéj. Tom II, str. 247. T. III, str. 355. Rsr 4.

93. Bitwa o chorążankę, Junacy, Swaty na Rusi. Powieści spisane przez Zygmunta Kaczkowskiego. (Na okładce i przedtyt. kartce ogólny tytuł: Ostatni z Nieczujów. Tom I.) 8ka. Petersburg. 1853. Nakładem B. M. Wolffa, druk Karola Kraja. Str. 319. Tom II i III: Murdelio. Powieść spisana przez Zygmunta Kaczkowskiego. (Z godłem):

Kto tak mądry że zgadnie
Co nań jutro przypadnie?
Sam Bóg wié przyszłe rzeczy, a śmieje się z nieba,
Kiedy się człowiek więcéj troszcze niźli trzeba.
J. Kochanowski. Pieśń V.

3 tomy, Petersburg. 1853. Nakład B. M. Wolffa, druk Gazety Codziennéj w Warszawie. T. II str. 307. T. III str. 387. Rsr. 4 k. 50.

94. Dwie sceny z pożycia wiejskiego przez Jana Kantego Gregorowicza. 16ka. Warszawa. 1853. Nakładem księgarni pod firmą Zawadzkiego i Węckiego, druk J. Zawadzkiego w Wilnie. Str. 229. Kop. 80.

95. Krynice. Ze wspomnień i gawęd z sobą samym autora Dawnego Autoramentu. 12ka. Wilno. 1853. Nakład i druk T. Glücksberga. Str. 228. Rsr. 1 kop. 20.

96. Narodowe pieśni serbskie wybrane i przełożone przez Romana Zamarskiego. 2 tomy razem oprawne. 16ka. Warszawa. 1853. Nakładem G. Sennewalda, druk Ungra. Tom I, str. 195, II, 335. Spisu rzeczy str. liczb. VII. Rsr. 2 kop. 70.

97. Nauka pomiaru gruntów, do praktycznego użytku właścicieli ziemskich. w stosownem przerobieniu z niemieckiego, wydana przez Komitet C. K. Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego.

Z ryciną o 16 figurach. 8ka. Lwów. 1853. Druk Zakładu narod. Ossolińskich. Kart 2 i str. 72. Kop. 40.

98. O poruszeniu i wróżbiarstwie stołów przez Walerego Wielogłowskiego. 18ka. Kraków. 1853. W księgarni i wydawnictwie dzieł katolickich, czcionkami drukarni Czasu. Str. 72 i przypis. kart 2.

99. O sposobie poznawania mleczności krów. 12ka. Kraków. 1853. W księgarni pod L. 15 w Rynku głównym, czcionkami drukarni Czasu. Str. 14, (z tablicą). Kop. 7½.

100. Rzut oka na dotychczasową pierwotną polską historyą przez Augusta Bielowskiego. 8ka wielka. Warszawa. 1853. Druk St. Strąbskiego (nakład red. Bibl. Warsz. jako oddruk z Bibl. w ilości 250 ex.). Karta 1 i str. 90. Kop. 60.

101. Wady staropolskie. Przedruk dzieła Robak sumienia złego, człowieka niebogobojnego i o zbawienie swoje niedbałego, wydanego w pierwszéj połowie XVII wieku. 8ka. Kraków. 1853. Wydanie i druk Józefa Czecha. Str. liczb. XV i 175. Rsr. 1 kop. 20.

102. Wiadomość o zgromadzeniu siostrzyczek ubogich we Francyi. Z Francuzkiego. 12ka. Warszawa. 1853. Druk Jana Jaworskiego. Kart 2 i str. 70. Kop. 22.

103. Wody mineralne włoskie, w celu lekarskim najwięcéj używane, zwiedził i opisał Leon Sokołowski Doktor Medycyny i akuszer... 12ka. Warszawa. 1853. Nakład autora, druk S. Orgelbranda. Napisów i przedmowy str. liczb. XXX i str. 344. Rsr. 1.

104. *Do nru* 139 *Kroniki z r.* 1852.

Zasady Geometryi napisane przez Józefa Mazurkowskiego..... Część II. Solidometrya (Stereometrya). 12ka. Warszawa. 1853. Nakład autora, druk J. Unger. Kart 2, spis. prem. str. IV i 336. Rejestru karta I. (Z 7 tabl). Rsr 1.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Józef Unger rozpoczął druk „Poezyj Deotymy" (Jadwigi Łuszczewskiéj) w ozdobném wydaniu.

— S. Orgelbrand drukuje „Żarysy wiejskie" Jana K. Gregorowicza; jestto jeden z najpiękniejszych utworów tego pisarza. Również wkrótce wyda: Kalendarz powszechny, Panowanie Augusta IIgo, i tom V Historyi powszechnéj Cezara Cantu.

— Księgarz G. Sennewald wyda w r. b. „Domowe wspomnienia i powiastki" Romana Zamarskiego.

— P. Michał Gliszczyński znany z wyborowego przekładu dzieła Kallimacha, zajmuje się obecnie tłumaczeniem R. Hejdensztejna: „Rerum Polonicarum ab exces. Sigismundi Augusti libri XII", obejmującego dzieje od 1572 do roku 1603.

— Fr. Kowalski tłumacz Moliera, którego sześć tomów już wyszło, a dwa ostatnie oczekują nakładcy, zajmuje się teraz zbieraniem materyałów historycznych, z których ułożył pamiętnik p. n. „Archiwum Tarła" (Jana wojewody sandomierskiego) z lat 1737—1740, w czterech tomach. Podobnąż pracę ma zamiar wykonać do epoki Stanisława Leszczyńskiego.

— Jan Glücksberg księgarz ogłosił prospekt na dzieło księdza J. Gaume: „Rzym podziemny czyli Historya katakumb", które wyjść ma z pod prasy przed końcem r. b.

— W zakładzie litograficznym M. Fajansa wyszedł portret znanéj z talentu improwizatorki Deotymy, zdjęty z natury przez Maryą Łubieńską, a rysowany na kamieniu przez M. Fajansa. Odznacza się trafném podobieństwem, i piękném a starannem odbiciem.

— K. Wł. Wojcicki przygotował do druku seryą drugą: „Domowych powiastek i wizerunków", które księgarz Gustaw Sennewald wydaje swoim nakładem.

— W Wilnie w drukarni J. Zawadzkiego ukończono druk powieści J. Korzeniowskiego: „Garbaty", a wkrótce wyjdą tamże z pod prasy: „Dwie sceny życia wiejskiego", Jana Kantego Gregorowicza, w jednym tomie.

— Ks. Ostapowicz, szczególnym trafem uratował autentyczne akta OO. Franciszkanów prowincyi ruskiéj i litewskiéj, idące od r. 1625 do 1650, i takowe znanemu badaczowi A. Przezdzieckiemu przesłał. Owoż co pisze w liście swoim o tym zabytku ks. Ostapowicz: „Do dziejów kościoła polskiego, a w szczególności do dziejów Franciszkanów owego czasu, materyał to ważny, a w niektórych względach jedyny. Są tam wszystkie narady i czynności kapitulne prowincyi przez lat 25; jest mnóstwo oryginalnych listów i rozporządzeń generała zakonu; są listy nuncyuszów: jest nawet jeden list generała do króla, i listy tegoż generała do rozmaitych dygnitarzów Rzplitéj, to jednak nie są żadnym nabytkiem dla historyi, bo tyczą się tylko spraw zakonu. Jako pamiątka zwraca uwagę autograf Samuela Karola księcia Korzeckiego. Do biografii znanego w literaturze ks. Dębołeckiego można się tam doczytać dziwnie ciekawych i nieznanych dotąd, lubo niewiele budujących szczegółów. Niegdyś prowincyał Franciszkanów prowincyi polskiéj, znany osobiście w Rzymie, z upoważnienia generała jeździł po prowincyi ruskiéj, zbierając jałmużny, jako kommissarz generalny, do wykupywania więźniów. Owoż niechcąc ulegać miejscowéj zakonnéj władzy, nieustanne a gorszące miał z nią zatargi. Mówiono o nim, że *vagatur ubi vult, et vivit sicut onager in silva.* (str. 207), co szczególniejszym sposobem charakteryzuje byłego kapelana Lissowczyków. Że nie miał miłości u swoich, to widać wszędzie w tych aktach. O tym ks. Wojciechu z Konojad wiele jest w nich wspomnień!"

— Zeszyty V i VI „Wzorów sztuki średniowiecznej i z epoki odrodzenia, po koniec wieku XVII w dawnéj Polsce", wydawanych przez A. Przezdzieckiego, i E. Rastawieckiego, wyszły i obejmują:

1) Grobowiec Bolesława Śmiałego w Ossyachu. 2) Buńczuk turecki i strzała po Janie III w skarbcu katedry krakowskiéj. 3) Rzeźba z bursy Jerozolimskiéj w Krakowie. 4) Wierzch kija pielgrzymiego i koronka księcia Radziwiłła (Sierotki) w skarbcu częstochowskim. Ryciny odbijane już w Warszawie w zakładzie litograficznym M. Fajansa. Do Nowego Roku wyjdzie jeszcze sześć zeszytów, a w ciągu roku 1854 do lipca, wydaną zostanie cała piérwsza serya, obejmująca zapowiedziane w prospekcie 24 zeszyty.

— J. Unger rozpoczął druk swego Kalendarza illustrowanego na rok 1854; również znany Kalendarz J. Janickiego (Gałęzowskiego dawniéj) w r. b. znowu się ukaże. Drukarnia Jaworskiego drukuje także swój Kalendarz w staranniejszém wydaniu.

Lwów. Wyjątek z listu. „Do wskazówek archeologicznych dodam wam szczegół nieznany może, że w r. 1840 ś. p. Gwalbert Pawlikowski w okolicach Szczawnicy, pobudzony podaniem górali o grobowiskach, przez dni kilkanaście kopał po szczytach skał, i wynalazł nietylko kilka urn, ale i starożytne zbroje i strzały, jak się zdaje tatarskie, z onych czasów, gdy Św. Kinga (Kunegunda) uciekała w Karpaty. O niéjto przez całe Karpaty, począwszy od Nowego-Targu do Kesmarku, pełno podań, które się dziwnie plączą, naprzemiany z podaniami o sławnym rozbójniku Janosiku, o którym dotąd prawią powieści nietylko nasi, ale i słowaccy w Węgrzech górale. — Bielowski przygotowywa ułamki wynalezione Troga Pompeja. — A. Fredro ukończył w rękopismie zbiór bajek i przypowieści.—Józef Dzierzkowski wykończa zbiór powieści obyczajowych, które drukować się mają w Warszawie. Przenosi się teraz z gospodarstwa wiejskiego do Lwowa na stałe mieszkanie.— Kroniki miasta Lwowa J. T. Józefowicza, przekład z rękopismu łacińskiego, wyszedł drugi zeszyt. W r. b. ma być wydane całe dzieło."

— Komitet statystyczny gubernii wileńskiéj wydał po rossyjsku: „Rys historyczno-statystyczny gubernii wileńskiéj" który opracowaniem i zebraniem bogatych szczegółów dziejowych od przedhistorycznych czasów aż do 1852 roku, szczególnie nas obchodzi i zasługuje na przekład.

— Znane sztuki dramatyczne J. Korzeniowskiego przełożone zostały na różne języki; na niemiecki: „Okno na pierwszém piętrze", „Żydzi", „Żywi i umarli", „Piąty akt" „Karpaccy górale" „Wąsy i peruka" „Panna mężatka" „Stary mąż" i „Pierwéj mama"; na czeski: „Okrężne"; na rusko-galicyjskie narzecze „Karpaccy górale". Tłumacz Ustianowicz we Lwowie dał im napis: „Werchownicy Beskid". Na rossyjski język: „Panna mężatka".

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Sierpień, 1853.

	mm.	c.	l.	
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.714	27	7.901	
Najwyżéj dochodził — d. 31 o g. 10 r.	754.67	27	10.542	
Najniżéj — — d. 18 o g. 10 r.	735.29	27	1.952	
Średnia zmiana dzienna barometru	2.907		1.289	
Największa zmiana dzienna barometru d. 18—19 o g. 10 w.	13.61		6.055	
Średnia wysokość barometru jest niższą o od stanu normalnego z 27 lat poprzedzających	749.488	27	8.244	
Średnia temperatura sierpnia wynosi:	+ 17°.48 C.		+ 13°.98	R.
i ta jest niższa o	0.63 „		0.51	„
od stanu normalnego z 27 lat poprzedzających	18.11 „		14.49	„
Największe ciepło dochodziło d. 23 o godz. 4 wiecz.	29.0 „		23.20	„
Najniższa temperatura była d. 31 o g. 6 r.	9.2 „		7.36	„
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.426 „		1.941	„
Największa zmiana dzienna temperatury d. 25—26 o g. 10 r.	9.0 „		7.20	„

Termometrograf wskazał:
Maximum: +23°.5 R. d. 23 i 24 po połud.
Minimum: + 5°.5 „ d. 31 rano.

Ilość wody spadłéj z deszczu wynosi co do wysokości: 58,7 milim. czyli 26,02 lin. par.; tojest o 7.76 lin. par., mniéj jak zwykle.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 75,5 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 11,25 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.02 większą od normalnéj.

Dni pogodnych było 3, napół pogodnych 14, pochmurnych 14.
— deszczu 17 (d. 1, 5, 7, 9, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 22, 25, 27, 28, 29, 30).
— mgły 1 (d. 22).
— grzmotów 2 (d. 2, 21).
— błyskawic bez grzmotów 3 (d. 2, 21, 22).
Wichrów było 2 (2 Z.).
Wiatrów mocnych 13 (6 Z., 2 PnZ., 5 Pn.).
Wiatr panujący: zachodni.

Sierpień r. b. był niepogodny, wilgotny, słotny i wietrzny, deszcze padały często lubo nie obficie, co przy częstych i silnych wiatrach znacznie oziębiało powietrze, osobliwie z rana i wieczór. Niektóre jednak dni były nader gorące jako to: d. 2, 15, 21, 22, 23, 24, 25; dni najchłodniejsze były d. 1, 11, 12, 19, 20, 27, 30, 31; w ogóle miesiąc ten był o pół stopnia R. chłodniejszy niż zwykle

D. 5, 8, 21, 23, 24, 25, 28, pokazywały się plamy na słońcu.

PAMIĘTNIK
O TOMASZU ZAMOJSKIM
KANCLERZU W. KOR.

UŁOŻONY PRZEZ

Seweryna Gołębiowskiego.

Tomasz Zamojski, syn wielkiego Jana i Barbary Tarnowskiéj, urodził się w kwietniu r. 1594. Ojciec troskliwie czuwał nad jego wychowaniem; byłto syn, którego się doczekał mając lat przeszło 50, jedyne dziecko, które mu się uchowało. Zakładając akademią zamojską miał na myśli, żeby w niéj syn jego, jeżeli go Bóg da kiedy, na równi z inną szlachecką młodzieżą odbierał wychowanie. Nie chował go w domu, pod bokiem matki, w pieszczotach i miękkości; ale siedmioletniego chłopca do szkół odesłał, żeby zawczasu sposobił się do zawodu publicznego, do téj przyszłości, która go czeka. Osadził go ludźmi prawego charakteru i zdrowego sposobu myślenia, dobierał mu dobrych mistrzów, z poczciwego gniazda młodzież do towarzystwa.

Uczucie silnéj wiary i zaufania w Bogu stanowi podstawę dobrego wychowania. „Bojaźń Boża jest początkiem mądrości:“ to był piérwszy wiersz łaciny, którego nauczył się Tomasz Zamojski, starosta knyszyński, bo król Zygmunt uczcił zasługi ojca, pozwalając mu przekazać synowi posiadane starostwo. Głównym mistrzem, któremu kanclerz ster wychowania powierzył, był Adam Burski, który pana starostę uczył historyi, wy-

mowy i filozofii, Tomasz Dresner wykładał prawo, Walenty Ftarmiusz i Adryan Roman matematykę, Herman Fuchs język niemiecki, a Jan Iwaszkowicz uczył go po turecku.

Ojciec odumarł go w dziecinnym wieku; opiekę nad nim powierzył krewnym i przyjaciołom, a mianowicie Mikołajowi Zebrzydowskiemu wojewodzie krakowskiemu, Stanisławowi Żółkiewskiemu kasztelanowi lwowskiemu, Markowi Sobieskiemu wojewodzie lubelskiemu, i Jerzemu Zamojskiemu biskupowi chełmskiemu. Bystry znawca serc ludzkich zawiódł się w wyborze człowieka, którego naznaczył piérwszym opiekunem.

Źle szły sprawy opieki: Zebrzydowski rozpraszał skarby wychowańca, wojskiem jego wspierał stronnictwo rokoszowe, dochody zabierał, a potrzeby jego ladajako opatrzone zostawiał. Żółkiewski pilnując Ukrainy i spraw publicznych, nie mógł we wszystko wglądać. W jednym z listów Barbara Zamojska z uczuciem matki mówi o sprawach domowych: „Sierotaś, cierpieć musisz; ale Bóg sprawiedliwy pomści się, a tobie nagrodzi. Wiedz, że ojciec ojca twego w małych majętnościach odumarł, a za błogosławieństwem Bożem i cnotą do takich przyszedł, jakie zostawił. Ja jechać i czynić co dobréj matce należy będę, Pana Boga biorąc na ratunek, którego opiece cię poruczam (1)". W innym liście tak powiada: „Dla ratowania spraw twych przyjechał tu j. m. pan wojewoda (Stanisław Żółkiewski). Pokazuj Jegomości swoję uniżoność, a nie frasuj się: będzie da Bóg lepiéj z twemi rzeczami, niż było dotąd. Jestto pan dobrego sumienia (2)".

Doszło do tego, że dziad Tomasza Zamojskiego, Stanisław Tarnowski kasztelan sandomierski, na sejmie skarżył się przed królem, że pan wojewoda krakowski majątkiem Tomasza Zamojskiego źle rządzi, w Zamościu konie siodła wyprawując się na rokosz i z rokoszu wracając tam je rozsiodływa, pieniędzmi małoletniego swoje potrzeby opędza, sługi swoje arendami w ordynacyi opatruje. Prosił zatém, żeby król raczył w to wejrzéć, żeby powierzył szczególną opiekę Stanisławowi Żółkiewskiemu wojewodzie kijowskiemu (3). Żółkiewski poszedł z wojskiem do Moskwy, a opieka została przy Zebrzydowskim.

(1) Z Krzeszowa 10 lutego 1608.
(2) Z Krzeszowa 14 lutego 1608.
(3) Stanisław Tarnowski do Barbary Zamojskiéj.. 1609.

Od śmierci ojca, Tomasz Zamojski stale przebywał w akademii, a matka rada była, że chłopiec nie tęskni, powiadając: „głupichto synów rzecz tęsknić do matek, a mądrych starać się, żeby matkę ucieszyć.“ Pisywała do niego często, dowiadując się o jego zdrowiu i dosyłając mu rozmaite przysmaki, a nawet puzderko wina węgierskiego i parę flasz piołunkowego dla poleczenia żołądka. Oto jeden z takich listów, które zawsze zaczynały się znakiem krzyża świętego: „Pomarańcz dziesięć posyłam ci; mało, bo mi ich mało przywieziono z Gdańska: popsowały się na szkucie. Soku cytrynowego dla przysmaku do kurcząt posyłam ci: zdrów jadaj z nim pieczyste, po kąsku biorąc na przystaweczkę, w szafce go swéj miej. Z tém cię Panu Bogu poruczam (1)“.

W drugim liście daje mu naukę, jak ma pisać do matki.

†

Mój namilszy synu.

Pytam się o twém zdrowiu, ale mi właśnie pisz jako syn matce. Zda mi się, że poznawam pana Komorowskiego słowa w twych liściech. Nietrzeba nikomu zdobić syna matce; miłuj mnie jedno: milsze mi słowo z własnéj głowy twojéj, niż cudzéj mądrości libra. Brzoskiń nie mam już; byś był tygodniem pierwéj pisał, bardzo radabym ich była posłała; teraz wina w gronach posyłam z winnice księdza plebanowéj. Nie wiem jeślić tam oddawano gruszki, śliwy, orzechy włoskie, com ci słała. Opiece boskiéj cię poruczam. W Krzeszowie, 1607. Gruszek i jabłek posyłam ci téż.

Matka życzliwa
Barbara Zamojska z Tarnowa
ręką swą.

W innym liście tak się wyraża: „Nie dziw, żem cię poprzedziła pisaniem, bom cię i miłością poprzedziła. Odpoczynek mój na świecie jeno ta uciecha, abym to o tobie słyszała, czego dobra matka po dobrym synu czeka“ (2).

Pani pobożna i świątobliwa posyłała mu książki nabożne, obrazki świętych, relikwiarze i odpusty, któremi ją obdarzali ojcowie Jezuici. Przypomina mu piérwszy wiersz łaciny, którego

(1) Z Krzeszowa 4 czerwca 1606.
(2) Z Krzeszowa 15 maja 1609.

się nauczył: „bojaźń Pańska jest początkiem mądrości.“ Prawda, że i podług świata chciała go mieć mądrym; ale i duchownie tém bardziéj, bo to jest wieczne dobro (1).

Codzień zrana wstawszy przy łóżku odmawiał modlitwy, potém w drugim pokoju przy ołtarzyku. Po skończeniu pacierzy szedł do nauk, których słuchał od godziny 6 do 10; o 10 szedł na mszą, a po mszy czas pozostały do obiadu, obracał na rozmowę z gośćmi albo ze staremi sługami ojca. O 11 szedł do stołu, przy którym zawsze miewał swoich nauczycieli, ludzi godnych i uczonych, z któremi prowadził dyskursa o rzeczach szkolnych, o rzeczach wojennych, albo też o wierze, kiedy się trafił przy stole jaki heretyk. Nie tknął jedzenia, dopóki kapłan błogosławieństwa nie odprawił. Popołudniu nauki trwały od 2 do 5; o 5 szedł na przechadzkę, o 6 jadł wieczerzę, a czas od 6 do 8 zajmowały powtarzanie nauk na dzień następujący, zabawy i rozmowy. Po 8 rekolekcya w duchu i pacierze wieczorne, o 9 szedł spać, skropiwszy wodą święconą wszystkie kąty. Przy nim zawsze sypiał w tym samym pokoju starszy sługa, Jerzy Średziński. W dni czwartkowe przy rekracyach przystojnych wyjechawszy w pole z inszemi panięty, którzy z nim razem słuchali nauk, jak Mikołaj Potocki, Mikołaj Ostroróg, Marcin Urowiecki, Alexander Prusinowski, Prokop Leśniewski i drudzy, wprawiał się jak koniem władać, a kopią gonić do pierścienia. Uczył ich konno jeździć Andrzej Kanewezi, kawalkator z dworu cesarza Rudolfa, umyślnie sprowadzony.

Matkę swoję miłował i nigdy nie dał jéj powodu do zmartwienia. A gdy umarła w Krzeszowie 27 kwietnia 1610, nieutulony był w żalu; zamknąwszy się w pokoju, przez pół dnia krzyżem na ziemi leżał, aż starsi słudzy drzwi wyłamali, i upominali go łagodnemi słowy, żeby żal swój miarkował. Wyjechał do Krzeszowa, gdzie ciało matki było złożone, i kilka dni tam przepędził na nabożeństwie; a gdy prowadził ciało z Krzeszowa do Zamościa, więcéj szedł piechotą ze sługami, niż na wozie jechał. Przez cały czas pogrzebu w ławce nie usiadł, ale klęcząc przy trumnie pacierze odmawiał. Pogrzeb był bardzo ludny i okazały; senatorów było kilku: Janusz Ostrogski kasztelan krakowski, panowie Tarnowscy niemal wszyscy, mię-

(1) Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego, z Krzeszowa 22 maja 1607.

dzy niemi Stanisław kasztelan sandomierski ojciec zmarłéj, panowie Ociescy, Zamojscy, Herburtowie, i innych przyjaciół, krewnych i sąsiadów niemało. A że ta pani świątobliwa miała we zwyczaju ubogich w dzień św. Barbary częstować, syn naśladując jéj przykład, sam ze sługami dla ubóstwa stoły zastawiał, sam potrawy z kuchni przynosił i przed nimi stawiał.

W jedzeniu był skromny, pijanego towarzystwa unikał, do Bogarodzicy godzinki codziennie odprawiał, święta jéj obchodził spowiedzią i przyjęciem komunii, i tak prowadził swój żywot, filozofii ucząc się z pilnością, aż do roku 1612. W tym roku skończył nauki; a że była sposobność zasłużenia się królowi i Rzplitéj, począł się wybierać na wyprawę do Moskwy. Gdy miał w drogę wyruszyć zaszło inne królewskie rozkazanie, więc ze swoim oddziałem udał się do wojska kwarcianego pod regiment Stanisława Żółkiewskiego, i czynił opór pogaństwu, które pustoszyło Polskę po pogromie w Wołoszech Stefana Potockiego. 1 września 1612 przybył do obozu na Tatarzyskach o milę od Dunajgrodu, w ośmset ludzi, z armatą przednią. Tam poznawał się z ludźmi rycerskiemi; a lubo zawsze dostatek u stołu jego był wielki, na dnie kielicha przyjaźni ludzkiéj nie szukał, i nikogo u siebie nie spoił. Mszy codzień w namiocie swoim słuchał; po mszy jechał do hetmana, gdzie przysłuchiwał się naradom i sądom.

Po obiedzie raczéj z kopią gonił do pierścienia, niż przy trunku czas trawił. Grą rzadko się bawił. W ciągnieniu do wojska i w obozie pilno tego przestrzegał, żeby ludzie jego nikogo nie krzywdzili, a szkody ze swojéj skrzynki nagradzał. Gdy straż wypadała na jego chorągiew, w któréj porucznikiem był Krusz, całą noc przy niej jeździł we zbroi, z konia nie zsiadając, tak jako inszy żołnierz na posłuchach stawał, i wszystko pełnił co strażnik rozkazał. Tym sposobem młodzieży, której dostatek było na jego dworze, z siebie dawał przykład, żeby nie uchylała się od niewczasów, zaprawiając się do rycerskiego rzemiosła, jak przystoi ludziom szlacheckim.

Poszła sława do Wołoch, że na granicy skupiło się wielkie wojsko; Skinder basza, który stał obozem niedaleko Jass, wyprawił swoich czauszów z kommissarzami wołoskimi, żeby traktowali z hetmanem o pokój. Hetman naznaczył kommissarzów: Wojciecha Chamieckiego kasztelana halickiego, Jerzego Zbaraskiego krajczego koronnego, Tomasza Zamojskiego starostę knyszyń-

skiego, Wal. Alexandra Kalinowskiego starostę bracławskiego i Piotra Grudzińskiego. Wziąwszy z sobą kilka chorągwi stanęli na miejscu naznaczoném naprzeciw Chocima, z téj strony Dniestru, w miasteczku Braki. Turcy i Wołochy każdego dnia przewozili się przez Dniestr do namiotów kommissarskich; nie bywało z nimi więcéj nad trzysta koni, z naszéj strony takaż liczba, a drudzy ludzie pod gajem o kilkoro strzelenia z łuku. Szanowano Turków przystojnie, częstowano ich rozmaitemi wódkami, winami, małmazią, cukrami, a po takim traktamencie rozmawiano o rzeczy. 8 października stanęło postanowienie, a hetman wojsko na leże rozpuścił. Zamojski ze swoim pułkiem udał się do Szarogrodu i przybył tam 29 października przed południem. Tegoż dnia ze trzy godzin w noc przybiegła straż dając znać o Tatarach, że wpadli na Podole. 30 października Baterbej murza we 40,000 ordy kosz położył pod Murachwą. Do Szarogrodu ściągnęła chorągiew hussarska Tomasza Zamojskiego, chorągiew petyhorska Jana Zamojskiego strażnika kor., szlachty i ludu niemało. Przebrawszy 120 koni, Tomasz Zamojski wyprawił ich pod wojsko tatarskie dla języka, dawszy téj czacie za wodzów dwóch braci charwatów w dziele rycerskiém doświadczonych. Pogromili jeden zagon tatarski i ośmiu żywcem przywiedli. Wyrozumiawszy co za wojsko i jaka jego potęga, Zamojski z rady starych wojennych ludzi postanowił zetrwać na miejscu; a kiedy nadciągnęły dwie chorągwie kwarcianych Kozaków, poszedł prosto na Baterbeja. Noc 1 listopada zaskoczyła go w Stanisławowie; nieprzyjaciel był o półtory mili. Dwóch szpiegów wyprawił, ale ich straż tatarska porwała. Więc kiedy nie wracali, nadedniem po mszy, przy któréj spowiedź odprawił i komunią przyjął, siadł na koń i wyprowadził wojsko w pole. Kiedy tak postępował ku Meżyrowu, z inszéj strony ukazał się pułk tatarski około 300 koni; Zamojski puścił na nich sto koni własnych Kozaków z rotmistrzem Gniazdowskim, za Kozakami skoczyli ochotnicy i wojsko zwolna się posuwało. Kozacy zegnali Tatarów, siekli, strzelali i przyprowadzili 12 więźniów; między nimi był jeden murza osobisty, ale go chłopi rozsiekali u mostu. Od tych więźniów dowiedział się, że Baterbej nazad już ruszył tym samym szlakiem, którym przyciągnął. Tymczasem przybyło około 400 ludzi z Murachwy, na koniach i pieszo, z Golińskim dzierżawcą tamtejszym. Chociaż z Baterbejem była potęga ogromna, Zamojski bez wszelkich respektów chciał na niego

uderzyć, poruszony rycerską ochotą i żalem, że tyle ludzi Tatarzy nabrali w niewolę. Zwołał ochotników z pod wszystkich chorągwi na straceńce, znalazło się ich 130. Dał im za starszego Mikołaja Marchockiego i puścił ich na harc od prawego skrzydła; na lewém postawił murachowców, którzy się zataborowali kolasami, na przodzie dwie chorągwie kozackie, strażnika koronnego i Gorzyckiego; za niemi stali w szyku hussarze i piechota z armatą. Baterbej widząc, że garść ludzi stanęła rezolutnie, zatrzymał wybór wojska a plon i hałastrę puścił przodem. Uderzyli Tatarzy na murachowców, którzy nieźle wytrzymali natarcie strzelając od kolas, a gdy za ustępującemi Tatarami puściwszy się w pogoń od wozów odbiegli, Tatarzy ogarnęli ich ze wszystkich stron i srodze nasiekli, gdzie na placu kilkadziesiąt trupa zostało. Za drugiém natarciem, gdy Tatarzy zmyślili ucieczkę, głupie chłopstwo niesłuchając rozkazu, żeby stać w miejscu, znowu wymykać się zaczęło; więc Zamojski skoczył na ratunek ze swoją chorągwią, ale nie zapędzał się daleko. Baterbej ze swoim dworem uderzył na harcowników, którzy nie mogąc wytrzymać natarcia zemknęli do płotu i odstrzeliwali się jak mogli, aż piechotę na pomoc im ruszono i z dział dano ognia. Baterbeja zranił w rękę z muszkietu towarzysz Dobrzyniecki. Po takiéj zabawie Baterbej ze swoimi ustąpił i stanął na noc pod Murachwą. Tymczasem do Zamojskiego nadciągnął Łaszcz starosta lisiański we 200 koni, Kulinowski starosta kamieniecki we 400 jazdy i 200 piechoty, Lowikowski rotmistrz z chorągwią kwarciana, barskich 400 ludzi: słowem, zebrało się wojska do 4,000. Rada była w nocy, jeśli iść za nieprzyjacielem; stanęło na tém żeby iść, ale czekając świtu. Nieprzyjaciel nie czekał i o północy ruszył w drogę. Nim oni przystąpili do Murachwy, już Tatarzy cztery albo pięć mil z plonem ubiegli. Zaniechali więc dalszéj pogoni i tak odbył piérwszą wyprawę Tomasz Zamojski. Miał przy sobie starych sług swojego ojca, którzy chociaż mu znakomitéj sławy życzyli, hamowali jego ochotę, bacząc, że z małemi siłami nie podoła nieprzyjacielskiéj potędze. A tacy byli: Jan Zamojski strażnik koronny kasztelan chełmski, który potém zginął pod Stryjem napadnięty przez Tatarów, Marcin Tarnowski, Maciéj Leśniowski, Paweł Piaskowski, Mikołaj Marchocki, Andrzej Chrząstowski, Jerzy Srodziński, Tomasz Napiórkowski i drudzy.

Po wsiach i po lasach, jak się zdarzyło, bili chłopi Tatarów i dostawili Zamojskiemu 84 jeńców postrzelanych i pokłutych; kazał ich swoim chirurgom leczyć i posłał w upominku królowi, prymasowi i innym panom senatorom. Zatrzymał się w Szarogrodzie, gdzie wytchnąwszy sobie po trudach obozowych, objechał swoje wsie i miasteczka naddniestrzańskie, aby co ma wiedział, i poddanym swoim dał się poznać.

Po Trzech Królach 1613 wyjechał z Szarogrodu do Zamościa: a że miał zawsze w obyczaju szanować ludzi starszych wiekiem i urzędem znakomitych, zwrócił z drogi na Ostróg, żeby odwiedzić księcia Janusza Ostrogskiego kasztelana krakowskiego, oświadczyć mu powolne służby i powinszować powtórnego wejścia w stan małżeński. (Pan krakowski świeżo przedtém pojął był Tarłównę). W dobrach książęcych, słudzy i mieszczanie wychodzili z chorągwiami, a gdy zbliżał się do Ostroga, wysłał pan krakowski o milę na jego spotkanie dwór swój, konnych i piechoty więcéj nad 2000 ludzi; sam na dół zszedłszy na podwórzu gościa czekał i wdzięcznie go przyjął. Z domu nie chciał go puścić aż po trzecim dniu, ciesząc się miłą jego rozmową i zdaniami roztropnemi. Z Ostroga udał się do Lwowa, żeby poznać się z senatorami, którzy zjechali się dla zaspokojenia żołnierzy skonfederowanych, i z przedniejszém rycerstwem wojska stołecznego. Gdy wjeżdżał do Lwowa, co tylko ludu było w mieście, wszyscy wysypali się na ulice, żeby zobaczyć syna wielkiego Jana, na którym ludzie budowali świetne nadzieje, a któremu Pan Bóg pobłogosławił w piérwszém polu z nieprzyjacielem. Stanisław Żółkiewski wysłał dwór na jego spotkanie; wyjechało téż ze 200 towarzystwa z wojska kwarcianego i konfederackiego. Zamojski ze swoimi konno wjeżdżał; co ludzie przyjęli z wielką pochwałą, powiadając, że tak należy młodemu panięciu, synowi hetmana, zasługować się ludziom rycerskim. Przez kilka dni mieszkał we Lwowie, każdego z senatorów wizytując, co mu téż nawzajem oddawali. Jednego dnia miał u siebie na bankiecie senatorów i urzędników ziemskich, drugiego przedniejsze rycerstwo z wojska stołecznego; pułkowników, rotmistrzów i innych ujmował podarkami, kogo pieniędzmi, kogo końmi, rzędami bogatemi, bławatami na szaty, aby tylko ubodzy ludzie poddani jego ucisku od konfederatów nie cierpieli. Ze Lwowa przybył do Zamościa; tam znowu mieszczanie witali go z wielkim tryumfem.

Mieszkał w domu przez zimę i przez wiosnę, przepędzając czas nad księgami lub też na zabawach przystojnych. Co dzień, wyjąwszy dni niepogodne, jeździł konno ze swemi kawalkatorami, wprawiając się w gonitwę do pierścienia i inne ćwiczenia rycerskie. W życiu umiarkowaném i wstrzemięźliwém zawsze się kochał. Z sąsiadami żył w zgodzie, a jeźli który przykrość mu wyrządził, patrzał na to przez szpary; w domu swoim każdego uczcił i uszanował, niewyłączając tych, którzy mu niesmaki czynili.

Mszy codzień słuchał, we święta na kazaniu bywał; święta uroczyste i Matki Boskiéj, do któréj miał szczególne nabożeństwo, obchodził odbywając spowiedź, i przyjmując ciało i krew Pańską. A jeżeli którego dnia nie mógł być na mszy, dawał ubogim 10 złotych jałmużny.

Wezwany przez hetmana, stawił się do obozu na Kublicz za Bracławiem; odbył wjazd razem z hetmanem, z którym spotkał się w drodze. W obozie sześć tygodni zabawił, pełniąc służbę pułkownika, rotmistrza i towarzysza. Straż sam trzymał, na posłuchach stawał nie zsiadając z konia przez noc całą, i u hetmana codzień bywał.

Hetman upewniony, że nie ma powodu obawiać się trwogi od nieprzyjaciela, rozporządził wojsko na pułki i na leże iść kazał. Zamojski swój pułk odprowadził i wrócił do Szarogrodu. Tam zastał złożonego ciężką chorobą starego i zasłużonego sługę ojca, Pawła Piaskowskiego; często bywał u niego w mieszkaniu i starał się go pocieszyć. Następował sejmik w Kamieńcu Podolskim; pan starosta za poradą przyjaciół pojechał na niego, żeby się poznał z obywatelami. Nie dojeżdżając do Kamieńca, w Dunajgrodzie spotkały go wieści, że Tatarzy przez wołoską ziemię idą ku Kamieńcowi. Czémprędzéj nadworną piechotę, któréj miał 150 wsadził na wozy i pospieszał do Kamieńca, dokąd przybył szczęśliwie, choć już Tatarzy plondrowali po okolicach. Dał więc pokój sejmikowi i zebrawszy co można było ludzi, razem z Kalinowskim starostą kamienieckim wyszedł w pole. Ci dwaj panowie gromiąc Tatarów tak się w sobie rozmiłowali, że jak dwaj bracia, po trudach dziennych, na jednym kobiercu we zbrojach sypiali, i dochowali sobie przyjaźni aż do śmierci. Po odbytéj rozprawie z Tatarami, obrano pana starostę deputatem na trybunał lubelski. Z Kamieńca wracając wstąpił do Buska, żeby dziada swego, Stanisława Tarnowskiego, odwiedził.

Ztamtąd po drodze w Bełzie trafił na sejmik, na którym zgodnie został obrany posłem ziemskim; a że piérwszy raz miał wystąpić na zgromadzeniu stanów, jechał z wielkim dworem i splendorem, zaciągnąwszy niemało przyjaciół i sług ojcowskich, także i towarzystwa z wojska konfederackiego. Królestwo oboje łaskawie go przyjęli, a w senacie mowa jego zrobiła wrażenie, gdy w imieniu izby poselskiéj wstawiał się za Mikołajem Strusem starostą halickim, domagając się, żeby Rzplita czyniła staranie o wydobycie go z niewoli. Ten sejm złożony był w grudniu 1613. W czasie świąt Bożego Narodzenia, zacząwszy od piérwszego nieszporu w wilią, odprowadzał króla do kościoła i stawał przed nim jako piérwszy dworzanin, zasługując sobie przez to jego łaskę, i dając z siebie przykład drugim a chudszym, jak króla szanować należy. A chociaż król napominał go, żeby nie zadawał sobie tego trudu; on z miejsca nie zszedł, i było tak jednego razu, że godzin pięć nie ruszając się stał przed królem. Na urzędzie poselskim nie wdawał się w rozprawy, ale rad przysłuchiwał się starszym. Często bywał u nuncyusza, u prymasa, u senatorów tak świeckich jak duchownych, także u paniąt bawiących na dworze królewskim; i co tylko było najprzedniejszego między ludźmi miewał u siebie na bankietach. Przed końcem sejmu (1) powrócił do Zamościa. Tam podczas zapust ożenił swojego nauczyciela i lekarza Szymona Birkowskiego z Zofią Możdżarską; w czasie postu zajmował się czytaniem ksiąg, a zwłaszcza matematycznych, bo w téj nauce znajdował szczególne upodobanie. Po świętach Wielkanocnych pojechał do Lublina na trybunał, i pilnował sądów jako deputat trybunalski. Z odsądzenia spraw co win jemu należało, darował na kościół Święto-Krzyzki za przedmieściem lubelskiém, i na wywyższenie wieży farnego kościoła. Ubogim codzień, gdy szedł na mszą, po kilka złotych dawać kazał; czego pilnował jeden z pacholąt, który pieniądze ze skarbu odbierał, i za panem idąc ubogim rozdawał. Zakonnikom, którzy podczas obiadów zwykli z miskami po jałmużnie chodzić, raz nazawsze kazał dawać po czerwonym złotym. A że natenczas wielu wielkich panów było deputatami, często miewał ich u siebie, i sam téż zaproszony do

(1) List Jana Swoszowskiego do Tomasza Zamojskiego z Dzierzkowic, 4 stycznia 1614, w którym donosi mu co zaszło po jego odjeździe.

nich chodził; więc gwoli przyjaźni ludzkiéj sfolgował zwyczajowi, i nie tak umiarkowane życie prowadził jak dotąd. Żeby tego uniknąć odjechał do Kraśnika, a przed końcem trybunału wrócił znowu do Lublina.

Odbywszy urzędowanie zaczął myśléć o drodze do cudzéj ziemi, czyniąc w tém zadosyć ostatniéj woli ojca. Niektórzy odwodzili go od téj drogi, namawiając, żeby raczéj żony sobie szukał w jakim znakomitym domu, a osobliwie zalecając przed nim wdzięki i przymioty starościanki żmudzkiéj, córki Jana Karola Chodkiewicza. Zamojski chciał poznać pannę pierwéj, nim starać się o nią zacznie; puściwszy więc głos, że odjeżdża do cudzéj ziemi, dwór swój rozpuścił, sługi wyprawił w drogę, a sam z Gratusem Tarnowskim kasztelanem żarnowieckim pojechał do Szkłowa do domu Chodkiewicza, i tam udawał się za czeladnika pana kasztelana żarnowieckiego. Poznali go ludzie i ostrzegli hetmana, który przyjął go jak swojego przyjaciela i miłego gościa, córce u stołu siedzieć kazał, wielką uprzejmość okazywał i strzelbę ogromną puścić kazał, na znak, że wielkiego hetmana synowi w domu swoim rad serdecznie. Zamojski oświadczył się, że z domem jego pragnie związku, jeżeli Bóg da szczęśliwie wrócić z pielgrzymki po obcych ziemiach. Panna tymczasem poszła za mąż za Stanisława Sapiehę.

Z domu hetmana wyjechawszy, na Lublin, na Sandomiérz udał się do Krakowa i stanął na Stradomiu. Dał o sobie znać Mikołajowi Zebrzydowskiemu wojewodzie krakowskiemu, jako opiekunowi swemu, a potém szedł do niego na zamek. Tam u niego wieczerzał i nazajutrz cały dzień przepędził. Wojewoda odprowadził go do Lanckorony i przez trzy dni gościnnie podejmował, a potém z nim razem pojechał do Krzepic do Mikołaja Wolskiego marszałka nad. kor. który go wziął na swoję pieczę, i przez Wielkopolskę, Kujawy i Prusy, prowadził aż do Gdańska. Tam pan starosta mieszkał koło sześciu tygodni, strój cudzoziemski przywdział, i osoby świadome obcych krajów przyjął do swojéj służby. Przejeżdżał się czasem do księdza Konarskiego opata oliwskiego, który był podskarbim u jego ojca; a piérwéj nim się w drogę ruszył, zwiedził Malborg i Elbląg i obejrzał amunicye i porządki tameczne, które u innych narodów miały swoję wagę; żeby mu cudzoziemcy nie powiedzieli: obce kraje zwiedzasz, a nie wiesz co jest godnego widzenia w twoim własnym.

Puścił się w drogę z Gdańska ostatnich dni stycznia 1615; pomorską ziemią jechał do Sztetyna, tam zachorował niebezpiecznie. Wyzdrowiawszy udał się do Lubeki, a potém do Amszterdamu. Był w wojsku niderlandzkiém u sławnego wodza Maurycego de Nassau, był także w wojsku hiszpańskiém u wodza Ambrożego Spinoli: oba wodzowie uprzejmie go przyjęli, dlatego, że był synem hetmana na wszystek świat sławnego. Z Amszterdamu udał się do Anglii, i w Londynie bawił pięć miesięcy; bywał u króla Jakóba, z synem jego Karolem, który był potém ścięty, na łowy często jeździł. Królowi Jakóbowi darował czapkę z kitą kosztowną, a król go nawzajem oddarował noszeniem drogiemi kamieniami nasadzoném, na którém twarz króla i królowéj subtelnie była wymalowana. Z Anglii udał się do Francyi, przemieszkał w Paryżu rok cały na dworze Ludwika XIII, często bywał u młodego króla, który w jego rozmowie znajdował upodobanie. Jeździł konno, odbywał gonitwy z lancą do pierścienia, uczył się sztuki szermierskiéj i grania na lutni; przytém bywał na sądach w parlamencie, na posiedzeniach w akademii; tak mu czas pożytecznie i przyjemnie przechodził. Do Włoch przybył w 1617. W Rzymie brał lekcye fortyfikacyi, o czém własną ręką wielką księgę napisał, i w niéj się kochał bardziéj, jak w najdroższym klejnocie: woził ją z sobą na wyprawy wojenne razem z narzędziami matematycznemi. Nie zaniedbywał praktyk pobożnych: włosienicą ciało trapił, w dzień Wielkopiątkowy między książęty i panami wielkimi niósł krzyż wielki, ciężki, bez żadnéj pomocy; tę processyą bosemi nogami odprawił.

Z Rzymu udał się do Neapolu, gdzie go przyjmował wicekról książę Ossuna z królewską wspaniałością, i jako podarek ofiarował mu dwóch Polaków szlachty, odbitych z niewoli tureckiéj, przyodzianych w aksamity od stóp do głów. Pozwolił mu także koni wiele zechce z kraju neapolitańskiego wyprowadzić. Na ucztach piérwsze miejsce mu dawał, zgoła przyjął go uprzejmie. Powróciwszy do Rzymu miał posłuchanie u Pawła IV papieża, który go przyjął po ojcowsku, i wiele łask wyświadczył dla kościoła i akademii zamojskiéj.

Trzeci rok już mijał wędrówki po obcych krajach; zatęsknił za domem, więc na Loret, Wenecyą, przez czeską ziemię wrócił do Polski. W Kościanie powitali go słudzy, którzy z nadworną jazdą i piechotą spieszyli na jego spotkanie. Odpocząwszy dni kilka przybył do Poznania. Dowiedziawszy się o tém

Adam Czarnkowski wojewoda łęczycki, generał wielkopolski, zapraszał go do zamku; a gdy się wymówił, i stanął w gospodzie, sam go odwiedził winszując szczęśliwego powrotu do kraju, i przez trzy dni wspaniale podejmował. W Poznaniu zrzucił ubiór cudzoziemski, włosy ostrzygł i do polskiego stroju wrócił. Czwartego dnia kiedy już miał wyjeżdżać, ojcowie Jezuici zaprosili go na śniadanie i na dyalog. U Jezuitów pożegnał się z wojewodą, który mu darował konia tureckiego niewielkiego, ale dzielnego, i strzelby przedniéj sztuk kilka. W Łowiczu odwiedził Wawrzyńca Gembickiego arcybiskupa gnieźnieńskiego. Ostatniego listopada 1617 stanął w Warszawie, złożył uszanowanie królowi i królewiczowi, i więcéj tygodnia zabawiwszy przy dworze, udał się do Zamościa. Jak tylko wysiadł z karety, poszedł do kościoła, za powrót w dom ojców Bogu podziękować. Duchowieństwo czekało tam na niego; więc odśpiewawszy *Te Deum laudamus* powitali go w kościele; toż uczynili panowie akademicy przez rektora swego, imieniem akademii zamojskiéj.

Nadszedł sejm w lutym 1618 r. złożony. Zamojski przybył do Warszawy w pół sejmu; przybyli też po raz piérwszy książęta Konstanty i Janusz Ostrogscy wojewodzice wołyńscy; z nimi często przestawał, i tak się w sobie zakochali, że rzadki dzień minął, żeby jeden u drugiego na chlebie nie był. Król za wstawieniem się hetmana Żółkiewskiego mianował go wojewodą podolskim (1). Zamojski miał wtedy rok 25ty.

Zostawszy senatorem wdał się w praktyki pobożne: pacierze kapłańskie odmawiał, piątki marcowe suszył, w Wielki Czwartek dwunastu ubogim nogi umywał, i każdemu z nich własną ręką dawał czerwony złoty; noc Wielkopiątkową przepędzał na modlitwach trapiąc ciało włosiennicą i dyscyplinami, dzień Wielkopiątkowy na rozmyślaniu o męce Pańskiéj, a w sobotę kiedy w kościele odśpiewano Aleluja, wyjechawszy w pole rozmaitemi krotofilami wesołości sobie dodawał. Te praktyki weszły mu we zwyczaj; soboty suszył, pacierze kapłańskie odmawiał, a kiedy sam czytać nie mógł, kazał czytać pacierze pokojowemu, a sam siedząc lub leżąc, słuchał z wielką pilnością.

Wiosnę i lato przepędził w domu na zwykłych zatrudnieniach. Wtém zaczęły latać wieści o następowaniu wojsk tatar-

(1) Piotr Oleśnicki do Tomasza Zamojskiego z Warszawy, 6 marca 1618.

skich na państwa koronne. Zamojski wybrał się do obozu na orynińskiém polu, i przybył 1 września 1618 w 1200 ludzi służebnych, zaciągniętych za własne pieniądze, z armatą porządną. Hetman tę cześć mu oddał, że wyjechał na jego spotkanie ze wszystkiemi pułkownikami, rotmistrzami i z towarzystwem celniejszém. Zamojski zajął stanowisko na lewém skrzydle i zatoczył obóz na osobnéj górze. Razem z nim stanęli: dziad jego Stanisław Tarnowski kasztelan sandomierski we 400 ludzi, i Gratus Tarnowski kasztelan żarnowiecki z ludem kasztelana krakowskiego. Nieprzyjaciel nastąpił potężnie. Dewlet Giraj kałgaj i Kantemir murza 29 września przez cały dzień do obozu szturmowali. Widząc dobrą potęgę i zbite siły na prawém skrzydle, wytężyli usiłowania, żeby złamać lewe skrzydło, gdzie Zamojski stał osobnym obozem. Bili się wszyscy dzielnie; Zamojski, na ratunek Kozakom których nieprzyjaciel z miejsca ruszył, sam prowadził do boju chorągwie hussarskie i petyhorskie; Stanisław Tarnowski starzec 70letni życia nie oszczędzał. Najwięcéj zasług położył Maciéj Leśniowski podkomorzy bełzki, który z piechotą bronił taboru. Bili się wszyscy dzielnie, ale pan Zamojski w tém był winien, że rozkazu hetmana nie posłuchał i nie przeszedł zawczasu do obozu hetmańskiego. Tatarzy dziewięć razy szturm przypuszczali, a hetman patrzył na walkę i nikomu z miejsca ruszyć się nie pozwalał. „Niechaj się nauczy młodzieniec, powiedział, pierwéj słuchać, a potém rozkazywać.“ Dopiéro w ostatniéj potrzebie posłał 200 strzelców w zbrojach Krzysztofa Zbaraskiego, któremi dowodził Jan Bielecki stary Kozak, a którzy pomogli bardzo dobrze; posłał także dwie chorągwie hussarskie o zachodzie słońca, kiedy już nieprzyjaciel ustępował. Tatarzy ustąpili na uroczysko Zerdzie, a niektórzy z nich podbiegali pod tabor wołając, żeby na jutro przygotowali się do bitwy, że to była jedno igraszka. W nocy za rozkazem hetmana, Zamojski zwinął swój obóz i przeszedł do głównego obozu. Nadspodziewanie nieprzyjaciel ruszył z miejsca o północy, zostawiwszy kilka tysięcy na straży i poszedł głęboko w ziemię, a spustoszywszy niemało kraju, z wielką zdobyczą nazad wrócił. Poszło wojsko za nieprzyjacielem, ale niesporo, bo po dwie mile, nie więcéj, na dzień uchodzili; a stanąwszy na Żabińcu kilka dni hetman zmieszkał i wojsko rozpuścił. Zamojski odjechał do Szarogrodu i bawił tam przez dwa miesiące; na Boże Narodzenie wrócił do Zamościa.

W 1619 r. kiedy Żółkiewski postąpił na pieczęć wielką, król posunął Zamojskiego na województwo kijowskie. Tegoż roku był w liczbie kommissarzów, którzy zawarli z Kozakami postanowienie, jak się mają zachować w służbie króla i Rzplitéj. We wrześniu przybył do obozu pod Pawołoczą; miał z sobą 1500 ludzi. Wojsko zaporozkie, nad którém starszym był Piotr Konaszewicz Sahajdaczny, stało o sześć mil od polskiego obozu. Traktowali przez posłów, i zawarli postanowienie nad Rastawicą 8 października 1619. Po odprawieniu téj kommissyi, Zamojski ze swoim ludem udał się do Kijowa i wjechał na województwo. Odsądziwszy kilka spraw na ramku, udał się na ratusz, i tam duchowieństwo, urzędników ziemskich, szlachtę i rycerstwo z wojska kwarcianego i zaporozkiego, chlebem u stołu swego częstował. Przez cały dzień strzelbę ogromną puszczano, bez przestanku aż w noc godzin dwie.

Odbywał sądy dopóki spraw stawało w rejestrze. Na tych rokach Niemirycza, prawem przekonanego o najazdy na domy szlacheckie, na śmierć osądził; ścięto go zrana w dzień Zaduszny.

Odprawiwszy roki grodzkie mieszkał w Kijowie ze trzy niedziele, w porządek dobry sprawy miejskie wprawując, zabawy wojenne z żołnierzami czyniąc, a który się pokazał dzielniejszym w gonitwach, temu dawał w nagrodę konia, rząd, broń lub bławat na szaty. Odjechał potém do Zamościa z dworem swoim; chorągwie powoli za nim postępowały, a gdy ich do Słobodyszcza chłopi puścić nie chcieli, zganili to bezpieczeństwo chłopstwu ubiwszy ich kilkunastu.

Czas już było pomyśléć o serdecznych związkach: przyjaciele radzili mu, żeby szukał żony w domu książąt Ostrogskich, Jakoż przez poważne osoby wyrozumiał wprzód chęci matki Anny ze Sztemberka Ostrogskiéj, wdowy po Alexandrze-Ostrogskim wojewodzie wołyńskim; potém zjechał do Jarosławia, i przystojnie według starożytnego zwyczaju starać się zaczął o jéj córkę Katarzynę.

Wracając do Zamościa upolował rogacza, którego posłał do Jarosławia z takim listkiem:

„Jadąc przez mój zwierzyniec, na szczęście W. Ks. M. méj miłościwéj panny, dał mi się pan Bóg obłowić. Ja i siebie samego za sługę W. Ks. M. oddałem, i to co mi zdarzyło szczęście, rozumiem że W. Ks. M. mej m. pannie właśnie należy.

Życzę uprzejmie, abyś zdrowo z księżną jejmością moją miłościwą panią raczyła téj zwierzyny zażyć, pana łowczego nie przepominając, który jest i będzie W. Ks. M, swéj M. panny wiecznym przyjacielem i cały sługą.

„Na osobę księżny Jejm. Anny (1) jedną ćwierć naznaczam, nie więcéj, bo się na mię gniewa; jednak jeśli czas co odmienił, zalecam przy W. M. moje uniżone służby".

Na list odebrał od matki taką odpowiedź:

„Córka moja teraz jeszcze ani pisać ani wskazać nic nie umie, muszę ja sama za nią odprawić. Za zwierzynę wielce W. M. memu miłościwemu panu dziękuję i ja, i ona, wdzięczna wielce téj pracy W. M. mego miłościwego pana, którą na szczęście jéj podjąciesz W. M. raczył. Nie zwierzyłać mi się tego, żeby nie zapominać miała pana łowczego, ale ja przypominać jéj chcę. Zalecając służby swe w łaskę W. M. mego miłościwego pana. Dat na Jarosławiu d. 22 lutego roku 1620.

W. M. mego miłościwego pana życzliwa przyjaciołka i sługa
Anna z Sztemberku księżna Ostrogska
wojewodzina wołyńska
ręką swą".

Nastąpiło przez przyjaciół oddanie pierścieni ze stron obu. We dwie niedziele potém w czasie zapust, w Jarosławiu odbyło się wesele. Ślub dawał ksiądz Próchnicki arcybiskup lwowski; pannę młodą w kościele Jezuitów oddawał Stanisław Wapowski kasztelan przemyski, dziękowanie za nią w łożnicy odbyło się przez Żółkiewskiego kanclerza i hetmana W. Kor. Przenosiny na czwarty tydzień w Zamościu odprawiły się z wielką wystawą. Od tego czasu w poszanowaniu, zgodzie i miłości wzajemnéj żyli z sobą przez lat kilkanaście.

Nie zdaje się, żeby tam miała być miłość przed ślubem; państwo młodzi nie znali się prawie. Po bliższém poznaniu w ciągu pożycia rozwinęło się serdeczne przywiązanie. Dość spojrzéć i porównać listy Katarzyny Zamojskiéj do męża pisane w piérwszym roku po ślubie (2), zimne i obojętne, gdzie pisze do męża, jak do Jaśnie Wielmożnego pana wojewody kijowskiego,

(1) Anna Aloiza księżniczka Ostrogska, która poźniéj była żoną Jana Karola Chodkiewicza.

(2) 23 i 30 marca 1620.

pana i dobrodzieja, i listy z lat późniejszych, które zwykle w te słowa zaczyna: „Moje najukochańsze serce, mój serdeczny dobrodzieju;“ w jednych pisze się powolną małżonką i sługą, w drugich z serca miłującą małżonką, a pisze dlatego, że się stęskniła bez wiadomości od niego (1), a grozi mu że jak do domu wróci, to go nie puści więcéj (2), gdyż nic nie ma milszego na świecie nad osobę męża i pana, w któréj są zawarte wszystkie jéj szczęścia i fortuny (3).

Każdy jéj list do męża oddycha miłością i tęsknotą. „Dlaboga! cóżem uczyniła, żeś mnie tak prędko z pamięci utracił? Przy pożegnaniu odniosłam obietnicę, że co trzeci dzień waszmość będziesz pisywał, a tu tak długo listu nie ma“ (4). Wkrótce potém pisze uszczęśliwiona, że w tym tygodniu troje pisania od niego odebrała (5). Chwali się przed nim, że nie ma dnia w którymby nie pisała do niego, a czasem, jak się miła zręczność poda, to i dwoje pisania posyła (6). To samo poczciwe przywiązanie ożywia listy z lat późniejszych; mniéj może tęsknoty, bo też dziatwa przybyła i było się czém w domu zająć, i dom nie był tak pusty, gdy po komnatach rozlegało się ich szczebiotanie. „Wiem, że na tak częste pisania moje waszmość nie masz czasu odpisywać, i na tém poprzestaję, że mogę mieć częste okazye, które mię od grzechu próżnowania wolną czynią. I miła mi ta praca pisać do waszmości; ptakiembym przeleciała i ucieszyła się z widzenia W. M. (7). Dziatki nasze z łaski Boga zdrowe; Gryzelka z wielką chęcią obiecała się pacierza nauczyć“ (8).

Byłato białogłowa łagodnego charakteru, skromna i cicha, ale w żyłach jéj grała krew dzielnego rodu. Kiedy Tatarzy pustoszyli okolice i w okna zamkowe świecili pożarami, donosząc o tém mężowi, tak do niego pisze: „Mało kto się stawił do odporu: wszyscy się chowali. Nie z tak wielkiém wojskiem przodkowie nasi bywali straszni temu nieprzyjacielowi, ale teraźniejsi nasi regimentarze wszystko co czynią, to dla prywat swych.

(1) 24 września 1622.
(2) 3 kwietnia 1622.
(3) 21 października 1622.
(4) 27 października 1622.
(5) 30 października 1622.
(6) 31 października 1622.
(7) 5 listopada 1633.
(8) 10 września 1626.

Wszyscy mężczyzni jako żółwiowie w skorupach siedzieli po wsiach, żaden się nie śmiał z za muru wychylić. Wiem, żem się urodziła do igły nie do szabli; alebym się nie frymarszczyła swoim animuszem i sercem na ich błazeńskie serca. Szkoda, że się szlachtą porodzili" (1).

W kilka miesięcy po ożenieniu Zamojskiego, Stanisław Żółkiewski wkroczył na Wołoszczyznę, i stoczył z Turkami bitwę na cecorskiém polu; po sześciugodzinnéj walce ustąpił obronną ręką i zamknął się w okopie. Nazajutrz popłoch padł na wojsko, i do trzech tysięcy ludzi opuściło obóz. Większa część wyginęła albo poszła w łyka, bo na drugiéj stronie Prutu czatowali na nich Tatarzy; ci, którzy dostali się do kraju roznieśli wieści, że wszystkie wojsko zniesione. Tymczasem do Żółkwi przyniesiono list, który hetman z obozu pisał do króla. Regina Żółkiewska niespokojna o zdrowie męża i syna, otworzyła ten list, a zrozumiawszy z niego na co się zanosiło, strwożona przyjechała do Zamościa, i złożyła w ręce Zamojskiego co mogła zebrać złota, srebra i kosztowności, zaklinając go na miłość boską, na wszystko co jest świętego, żeby zebrał ludzi co może najwięcéj i spieszył na odsiecz hetmanowi. Nietyle może jéj rozpacz, jak miłość kraju, obudziła w nim odważną ochotę. Rozesłał w rozmaite strony kilkadziesiąt tysięcy złotych, żeby zaciągano ludzi służebnych, rozpisał listy do panów, żeby mu dopomogli, i do młodszéj braci wezwanie w te słowa:

„Nie przywłaszczam nic sobie między w. m. panami, coby mi nie należało: jednak jako brat i sługa w. m. panów, oznajmuję o niebezpieczeństwie w którém są ichm. panowie hetmani i wszystka Rzplita. Dla Boga poczuwajcie się w. m. panowie. Ja wszytkiemi siłami staram się stawić tam, ale o ludzie służebne bardzo trudno; przeto pilno proszę, kto z ochoty, ktoby zasłużonego żołdu chciał, pomóżcie waszmość tego, cośmy wszyscy bożém i przyrodzoném prawem ojczyznie powinni, a mianowicie w tak niebezpiecznym razie. Pan Bóg waszmościom nadgrodzi tę pobożność, ja odsłużę. Ku Tarnopolu z niedzieli téj brać się będę, i o dalszym postępku wojska naszego zrozumiewać nie zaniecham. W Zamościu, die 5 octobris 1620."

Stanisław Lubomirski podczaszy kor. szwagier Zamojskiego odpowiedział na wezwanie, że gotów wystąpić do boju; dali

(1) 6 października 1620.

więc sobie hasło łączyć się u Tarnopola. Zostawiwszy w gnieździe rodzinném przyjaciela od Boga danego przed kilkoma miesiącami, Zamojski wyruszył z Zamościa 14 października w 800 ludzi, a tym, którzy się zbierali w Tyszowcach i we Włodzimierzu, kazał ciągnąć do Bełza. Ledwie zdążył do Bełza poczęły wieści latać, że już wojsko zniesione w Wołoszech, a Tatarzy koło Lwowa i Żółkwi plondrują. Na ten huk Zamojski wyprawił kilkadziesiąt ludzi, żeby dostali języka; ci spotkali się z jego hussarzami, którzy przebierali się z Potylicza ku Mostom. Połączyli się z hussarzami, nad któremi starszym był Andrzéj Drwalewski, a ciągnąc razem trafili na zagon tatarski pod Żółkwią: bili się mocno i odgromili od Żółkwi nieprzyjaciela. Zamojski tymczasem postępował naprzód; pominąwszy Lwów stanął w Strumiłowéj Kamionce, i dał znać o sobie Lubomirskiemu będącemu we Lwowie, żeby się z nim zdejmował; ale Lubomirski sam we Lwowie został, a ludzi swoich posłał ku Bóbrce, nad któremi starszym był Szymon Kopyczyński i Jerzy Rzeczycki starosta urzędowski. Rozmaicie się tym ludziom zdarzało: gromili nieprzyjaciela, sami byli gromieni, tak, że raz przyszło Rzeczyckiemu w kilkadziesiąt ludzi zamknąć się we młynie i odstrzeliwać się, zrzuciwszy dach, a jego oddział wiatry po polu gonił. Tatarzy prędko wrócili z téj wojny, zdobycz niezmierną uwodząc z lwowskiéj i przemyskiéj ziemi; należało się jednak obawiać, że nowe wojska wpadną drugim nawrotem; z tego powodu Zamojski, do którego przyłączyło się nieco szlachty bełzkiéj, zmieszkał w Kamionce dwa tygodnie.

Lud Zamojskiego, 600 ludzi Lubomirskiego, z których po pogromie 400 tylko zostało, i 200 ludzi Daniłowicza, oto była cała gotowość na Rusi. Nie było wodzów, wojska, ani pieniędzy; Rzplita znajdowała się w największém niebezpieczeństwie, a Kozacy, którzy ciągle drażnili Turków, w końcu września znowu poszli na morze we sto czółen.

Zamojski wezwany przez króla pospieszył na sejm do Warszawy, zostawiwszy ludzi własnego zaciągu w Strumiłowéj Kamionce: 200 koni hussarzów i 150 arkabuzerów. Przybył do Warszawy na sejm, który zaczął się w listopadzie; królowi jak zwykle cześć oddawał, pilnował jego boku i nieraz go pod rękę wodził. W dzień niedzielny, kiedy króla wprowadzali do kościoła św. Jana biskupi, a Zamojski prowadził królewicza Władysława: Piekarski szlachcic uderzył Zygmunta III czeka-

nem w głowę. Król upadł na ziemię; podniósł go szlachcic Kaliński i razem z Zamojskim zaprowadził do pobocznéj kaplicy, a gdy się tumult uciszył, przez ganek z kościoła odprowadził go do pokojów zamkowych.

Na tym sejmie Zamojski w imieniu wdowy poległego hetmana, oddał królowi na zgromadzeniu senatu 5 grudnia 1620 r. pieczęć i buławę, i w ten sposób przemówił: „Te dwa przedniejsze w Rzplitéj urzędy, król zjednoczył w osobie sławnéj pamięci hetmana; za tę łaskę Zółkiewski nie mógł lepiéj wdzięczności swojéj okazać, jak położeniem żywota w służbie króla i Rzplitéj. Pamiętał na to, że hetmanowi nie na łożu, ale w polu umrzéć przystało. *Imperatorem stando mori oportet.* Pieczęć w jego ręku była kluczem od warownego skarbu łask królewskich i praw pospolitych. Buława, którą piastował, torowała wojsku drogę przez środek nieprzyjacielskich hufców; poskromić nie mogła wyuzdanéj swawoli, ani złamać wyroku bożego. Z bronią w ręku zginął ten nowy Epaminondas. Ranami okryty, krwią zbroczony stanął na sądzie bożym. Pomogła mu zaiste śmierć za króla, za kraj i za wiarę do wiecznéj chwały, któréj cieniem jest chwała ziemska. Siebie, syna, synowca, zięcia, oddał na obronę Rzplitéj. Ogarnijże miłościwy królu cały dom ten twoją łaską, pokaż co u ciebie ważą takie zasługi. Żal wielki hetman po sobie zostawił; ale nie tak mają żołnierze, nie tak obywatele hetmanów swoich żałować, jako czułe matki dziateczek swych żałują. Nie łzami, ale krwią nieprzyjaciół naszych płakać trzeba; to będzie dla niego obchód pogrzebowy, kiedy prędko wojska w polu staną i szczęśliwie z nieprzyjacielem czynić będą".

Po zawarciu sejmu powrócił do Zamościa, żeby sposobić się do wojny. Król przysłał mu list przypowiedny, zrazu na tyle koni hussarzów, wieleby mógł sposobić, potém na pułk, który miał w sobie zawierać 1000 koni hussarzów i 500 rajtarów (1). Tymczasem żołnierze zostawieni na leżach w Strumiłowéj Kamionce, posłyszawszy o zaciągach od innych panów, że wyższe żołdy postępują, rozerwali się i wyjechało ze 200 koni, którzy zaciągnęli się z panami Sieniawskimi. Tych więc, którzy zostali wyprawił pod Kamieniec pod rozkazami Wojciecha Sredzińskiego, i zajął się pilnie koło tego, żeby co najwięcéj ludzi sku-

(1) Zygmunt III do Tom. Zamojskiego 11 i 26 stycznia 1621.

pić. Rozesłał między szlachtą swoje sługi, na Szlązk i do Inflant wyprawił z listami, zaciągając do służby cudzoziemców. Płynął czas i zbliżała się pora wojenna. W lipcu 1621 Zamojski ruszył do Satyjowa na Wołyń. Będąc w Równem przyjął do swojéj służby Stefana Chmieleckiego, naznaczył mu 2000 złp. rocznego jurgieltu, miasteczko Nowy Międzyboż i dwa sioła: Szczuczyńce i Dewce w dożywocie, i puścił mu włość kraśniańską w łaskawą arendę. Ludzi ukrainnych oddał pod jego władzę, i kazał z nimi ciągnąć do Tarnopola, gdzie miał zamiar skupić całą siłę. Tych ludzi, których miał przyprowadzić Chmielecki, zatrudniło przechodzenie przez włość zaporozkiego wojska, które ciągnęło na Wołoszczyznę, i niezmiernie ciężkie było ludziom w tém ciągnieniu, mając nad sobą wodza zuchwałego i wielkiego pijaka, nazwiskiem Borodawkę.

Gdy w Tarnopolu czekał na skupienie się ludzi, nadszedł list z obozu od hetmana Chodkiewicza, który mu donosił, że już cesarz turecki stanął pod Chocimem dnia 2 września. Wkrótce też Tatarzy weszli w ziemię, i 5 września stanęli pod Tarnopolem. Zamojski wyszedł do nich w pole za folwark, między rowami rozstawił piechotę i armaty. Tatarzy raz i drugi natarli potężnie; rażeni ogniem z dział odstąpili i poszli w głąb ziemi wojować: srodze spustoszyli lwowską, bełzką, i przemyską ziemię, i cało powrócili z wielkim plonem. Stefan Chmielecki który prowadził 600 Ukraińców, szczęśliwie pogromił jeden zagon, ale niewielką mając siłę, na tém przestać musiał.

Do Zamojskiego przyniesiono list od królewicza, który nalegał, żeby co prędzéj z posiłkiem przybywał i żywności przyprowadził jak najwięcéj (1). Pożyczył więc kilkadziesiąt tysięcy złotych od Jana Łosiatyńskiego, i za te pieniądze kazał żywność kupować. Już też nadciągnął Stefan Chmielecki w 600 koni, Anzelm Kietlicz z Inflant przyprowadził sto rajtarów; drugiego kapitana La Barego ze stem rajtarów rozkaz królewski zatrzymał w Rydze, bo w tym czasie Gustaw król szwedzki wpadł do Inflant; Kołaczkowskiego też spodziewał się lada dzień ze Szlązka z trzema stami rajtarów. Wtém odebrał od króla rozkaz, żeby skupił pospolite ruszenie pięciu województw (kijowskiego, wołyńskiego, bracławskiego, ruskiego i podolskiego) i z niém ciągnął do obozu pod Chocim. Rozesłał uniwersały, do nie-

(1) Z obozu 24 września 1621.

których sam jeździł; ale nic się nie sprawiło, bo województwa broniły się tém, że według prawa nie z kim innym powinny ciągnąć w pole, jedno z królem. Powróciwszy od województwa ruskiego, które stało pode Lwowem, przysposobił żywności 2000 wozów i już miał się ruszyć, gdy nadeszła wiadomość, że zawiązano traktaty, a wkrótce po tém ponowa, że już pokój stanął. Pomimo to Tatarzy weszli w ziemię ku Przemyślowi; zatém wsadził na koń 600 piechoty, i z całém wojskiem ruszył za Tatarami, tu i owdzie ich szlakując, ale daremnie. Wrócił z niczém do Tarnopola. Na drugi dzień przyjechał z obozu królewicz Władysław; Zamojski przyjmował go w swoim domu i odprowadzał za groblę w pole: tam go pożegnał, i darował mu konia tureckiego z siedzeniem bogatém. Wkrótce potém odjechał do Zamościa, dowiedziawszy się z listów o złém zdrowiu swojéj żony.

Wojsko koronne wróciwszy z pod Chocima, podniosło konfederacyą. Tomasz Zamojski naznaczony królewskim kommissarzem (1), pracował wraz z innemi nad uśmierzeniem związku (2), W jesieni 1622 został obrany deputatem na trybunał.

Mieszkając w domu przez całą zimę, jak przystało czujnemu senatorowi utrzymywał szpiegów w Białogrodzie i w Krymie, od których miewał często wieści o gotowaniu się wojsk tatarskich na wojowanie państw koronnych. Dawał o tém znać królowi, który mało na to zwracał uwagi, i owszém do Prus odjechał.

Wykluło się to złe, o którém Zamojski dawał przestrogi. W czerwcu 1623 weszło wielkie wojsko tatarskie, i położywszy kosz pod Medyką, rozpuściło zagony ku Tarnowu, Sandomierzowi, i w Podgórze; bełzką i lwowską ziemię ze szczętem splondrowali. Gdy się nazad wracali, utrąciło ich trochę wojsko kwarciane pod Haliczem, i plonu część odbiło.

Zamojski odjechał na trybunał; tam doszły go wieści o nowych na Rzplitą następujących trwogach, osobliwie, że car tatarski z wielkiém wojskiem przeszedł Dniepr u Oczakowa. Dał

(1) Zygmunt III do Tomasza Zamojskiego 28 stycznia 1622.

(2) Podczas kommissyi lwowskiéj, Tomasz Zamojski usłużył Rzplitéj pożyczeniem znacznéj summy na zapłatę wojsku. Przekonać się o tém można z kwitu na 20,000 złp. wypłacone Zamojskiemu, wydanego przez Hermolausa Ligęzę z Bóbrka 1 września r. 1630.

o tém znać królowi prosząc go, żeby zbliżyć się raczył do miejsc zagrożonych (1). Na to król odpisał, że wyprawił hetmana polnego, żeby sposabiał obywatele tameczne (2). Mimo tych postrachów nie było najazdu. Nastąpiły w ordzie zamieszki, w których Szahin Giraj tak ważną grał rolę; więc zaciągnąwszy Kozaków zaporozkich wojował z Turkami i chylił się pod opiekę Polski.

Sejm odprawił się w Warszawie w lutym 1624; Zamojski przyjechał na sejm gromadnie i okazale. U króla miewał częste posłuchania, znosił się z senatorami, każdego dnia ośmiu posłów na bankiecie u siebie miewał. W tym czasie Stefan Chmielecki z ludźmi ukraińnemi Zamojskiego, złączywszy się z wojskiem kwarcianém, przez Stanisława Koniecpolskiego został wyprawiony na podjazd pod wojsko tatarskie na Podolu wojujące. Trafił na potężny zagon Sałmasz murzy: mężnie nań uderzył, więźnie i łupy odgromił, i hetmanowi tak fortunném powodzeniem do zwycięztwa drogę utorował. Chmielecki postrzelony strzałą w prawy bok, zdał dowództwo Janowi Dzikowi, który napadł w nocy na drugi zagon tatarski w Zalesiu pod Skałą, nasłał Tatarów trupem i żywcem wziął niemało. Sam hetman z wojskiem kwrarcianém nastąpiwszy na kosz tatarski, odniósł świetne zwycięztwo, i gromiąc nieprzyjaciela gnał go przez trzy mile w zimna tak ciężkie, że żołnierzom bronie do ręku przymarzały.

W Warszawie dano znać Zamojskiemu o zejściu ze świata Wawrzyńca Gembickiego arcybiskupa gnieźnieńskiego, z którym żył w ścisłéj przyjaźni, i z którym zwali się braćmi. Pełen dni i zasług spoczął w Panu 16 lutego 1624 w Łowiczu. Synowcom nie zostawił bogatego dziedzictwa; umierając polecił ich opiece królewskiéj, i kazał im uważać pana Zamojskiego za osobliwego przyjaciela i opiekuna. Jakoż Zamojski dotrzymał przyjaźni domowi Gembickich: usługi ich zalecał królowi, a zostawszy podkanclerzym, księdza Piotra Gembickiego mianował rejentem kancelaryi. Potém za postąpieniem księdza Szyszkowskiego sekretarza w. kor. na biskupstwo warmińskie, posunął go wpływem swoim na ten urząd; nakoniec wyrobił mu pieczęć mniejszą. Co dlatego się pisze, aby wiedziano, jak statecznie zacnym ludziom przyjaźni dotrzymywał.

(1) Tomasz Zamojski do Zygmunta III 21 lipca 1623.
(2) Zygmunt III do Tomasza Zamojskiego z Poznania 1 sierpnia 1623.

W jesieni 1624 przybył do obozu na Gorczyczanach w tysiąc ludzi, z sześcią działami i z dwunastą wozami różnéj armaty. Nie było żadnéj bitwy, zatém odjechał do Szarogrodu, a zmieszkawszy tam kilka tygodni, pojechał pod Tarnów na rozgraniczenie, które wypadało w grudniu, z dobrami Tarły kasztelana lubelskiego, w skutek wyroku trybunalskiego.

W tymże roku z rozkazu Zamojskiego, kapitan Fityng zaciągnął sto niemieckiéj piechoty, którą potém zamienił na dragonią: byłto piérwszy przykład dany innym panom, do chowania stale przy swoim boku ludzi niemieckich. Z téj piechoty wybierał instruktorów dla nauki wybrańców, naznaczając im większe zasługi, a nawet opatrując majętnostkami.

Święta Bożego Narodzenia przepędził w Tarnowie, zapusty w Krzeszowie; ale nie do zabaw mu było, bo powietrze grasowało dokoła, i przez cały ten czas cierpiał bole podagryczne. Wyjechał na Wołyń, a potém w Tarnopolu mieszkał przez całe lato, z żoną i z drobnemi dziatkami. A ponieważ na sejmie był naznaczony kommissarzem na kommissyą z Kozakami zaporozkiemi, w październiku 1625 wyjechał do obozu. Gdy wojsko rzekę Roś przeszło, nadciągnęli téż jego ludzie. Pod Mosznami Jan Odrzywolski w kilkanaście chorągwi kwarcianych uderzył na tabor, ale Kozacy rozerwać się nie dali. Uniosł wtedy koń kniazia Czetwertyńskiego którego Kozacy porwali i trzymali u siebie do zamiany jeńców. Poczęli zwolna ustępować, a na noc zatrzymali się o pięć albo sześć mil od wojska. Szli na Czerkasy, Borowice, Kryłów i stanęli na Cybeliku, zataborowawszy się kolasami, które ziemią nasypali. Do hetmana wyprawili posłów, prosząc o miłosierdzie i obiecując, że będą powolnemi i wiernemi poddanemi króla i Rzplitéj. Hetman położył za warunek, żeby hersztów buntu wydali, na co posłowie przystać nie chcieli, i odjechali nic nie sprawiwszy. W ślad za posłami ruszył hetman wojsko 28 października, i z trzech stron nastąpił potężnie. Wyszli Kozacy pieszo przed tabor, ale ich prędko wegnały chorągwie i piechota niemiecka, nad którą byli kapitanami Butler i Winteral, ludzie w dziele rycerskim doświadczeni. W téj potrzebie Zamojski trzymał prawe skrzydło, a lewe Kazanowski kasztelan halicki. Zamojski kazał zatoczyć sześć swoich dział pod sam tabor i utrzymywał ciągły ogień; sam rychtował działa, sam je zapalał, a gdy hetman na jego skrzydło przyjechał, palił z działa za zdrowie J. W. hetmana, hetman

spieszywszy się z konia nawzajem tę cześć mu oddał, a krew ludzka lała się prze zdrowie jasnych panów. Piechotę cudzoziemską na tabor do szturmu puszczono; Kozacy wytrzymali natarcie. Trzysta koni wysunęło się z taboru pod chorągwie prawego skrzydła, wrzekomo na harc, a za niemi w trawie czołgała się na brzuchach piechota z rusznicami w zasadzce ukryta. Zamojski postrzegł zasadzkę i posłał Chmieleckiego ze swemi ludźmi, do których dodał dwie chorągwie kozackie ale dobre: Kruszyńskiego i Łąckiego. Skoczyli naprzód, wygnali Kozaków z zasadzki, i goniąc ich siekli pod sam tabor. Tam dopiéro wstręt im uczyniono, strzelając z działek i ze strzelby. Nie zginął nikt znaczny, pacholik jeden tylko, i postrzelonych było kilkadziesiąt. Łąckiemu kula działowa urwała łęk zadni u siodła, kołczan i kawał ferezyi; sam z łaski bożéj zdrów i cały został. Z drugiéj strony doliną kilkuset ludzi skradać się zaczęło do dział; Zamojski wyprawił przeciw nim Fitinga z piechotą, która wegnała ich w tabor, a wtém ze wszystkich dział po kilkakroć do taboru uderzono na dobranoc. O zachodzie słońca sprowadzono wojsko do obozu, który był zatoczony o ćwierć mili od taboru kozackiego. Przez całą noc był pokój. Nazajutrz kto kogo mógł na strażach podchodził. Tego dnia Sadowski pokojowiec Zamojskiego wyszedł z bandoletem na upatrzonego; źle mu się powiodło, bo go Kozak postrzelił między łopatki. Kiedy się o tém Zamojski dowiedział, posłał kilkadziesiąt koni; przywieźli rannego, więc kazał go położyć w swoim namiocie, swoich dał mu poduszek, cyrulikowi swemu kazał go opatrzyć, i białogłowę umiejętną w sztuce lekarskiéj dla pilnowania go sprowadził. Ten młodzieniec był w wielkim dozorze i w wielkiéj opatrzności; nie na wozie jechał za wojskiem, ale nieśli go na noszach pańscy Kozacy; jednakże wkrótce w Pawołoczy umarł.

29 października w nocy straż dała znać, że Kozacy rozłożywszy wielkie ognie, sami cicho wyszli taborem. Hetman złożył radę, na któréj stanęło, żeby iść za nimi. Przodem wyprawił Chmieleckiego, żeby ich zabawił i zatrzymał, dopóki sam z wojskiem nie nastąpi. Chmielecki uderzył na tabor i część jego rozerwał, a wziąwszy kilkunastu więźniów, odesłał ich do hetmana. Kozacy zarzucili się znowu kolasami i odstrzelali kwarcianych. Chmielecki ciągle się nad nimi wieszał, a upatrzywszy porę kiedy się zmieszali przy niedobréj przeprawie, znowu ude-

rzył, znaczną sztukę taboru urwał i niemało ich nabił. Tak jak i pierwéj kolasami się związali, i pozostałego taboru potężnie bronili. Przybył potém za Chmielckim Janusz Tyszkiewicz, za nim kapitan Butler z Niemcami, aż téż sam hetman z pułkami. Przyparli ich do rzeki Kalnik, przez którą przecie Kozacy w bród przeszli, sprawiwszy tabor. Zamojski i Tyszkiewicz z chorągwiami skoczyli do nich przez rzekę, i rozerwali część taboru i gnali ich przez pół mili aż do uroczyska Niedźwiedzie Łozy. Tam między błotami i kłodziną zatrzymały się kozackie pułki. Zamojski uderzył na nich ze swoją hussarską chorągwią, i naraził ją na wielką strzelbę; cofnął zatém chorągiew, a sam przejeżdżając w bok przed chorągwią, zapadł z koniem w błocie. W tém błocie zataiło się niemało Kozaków; widząc, że koń z nim uwiązł, ze czterdziestu do niego wystrzeliło; jednak Bóg ręką swoją go zasłonił, że jedna tylko kula w pierś go trafiła, i ta odbiła się od zbroi, na któréj ślad został od uderzenia. Koń téż dzielny wyniósł go z niebezpiecznego miejsca i słudzy odstrzelali nieprzyjaciela. Osobliwie Jan Świeżyński porucznik od chorągwi Zamojskiego skoczył żeby go ratować; zaraz pod nim konia zabito, więc z koniem zwalił się na ziemię, i dostałby się w niewolę, gdyby nie to, że Kozacy którzy go opadli, zabawili się koło złotego rzędu, który był na koniu, wtém nadbiegło kilku towarzystwa i odratowali Swieżyńskiego.

Przysłali Kozacy posłów do hetmana, dla Boga o miłosierdzie prosząc, żeby im dał czasu dwie godziny dla namowy między sobą. Pozwolił hetman, a oni korzystali z czasu, okopali się, zataborzyli i zawalili kłodami; a miasto onéj obietnicy, że wszystko uczynią co hetman rozkaże, z dział poczęli strzelać. Hetman z kilku stron kazał uderzyć chorągwiom i piechocie, ale naderemnie: Kozacy dali dobry odpór z niemałą naszych szkodą. Tego dnia zginął Rogawski, który bywał pułkownikiem nad Lisowczykami, człowiek mężny i w dziele rycerskiém biegły. Ku wieczorowi sprowadzono wojsko do obozu; siła było nastrzelanych, ale i kozacki trup gęsto leżał na pół mili. To się działo 30 października.

Po odstąpieniu wojska, Kozacy mocniéj się okopali, a swoim porządkiem wyprawili posłów do hetmana, oświadczając swoję powolność a prosząc, żeby ich zachowano przy dawnych prawach i wolnościach. Hetmanem zaporozkim był wtedy Marko Izmajło, starszym między posłami Piotr Odyniec. Odjecha-

li posłowie 4 listopada z podanemi warunkami. Na drugi dzień obrali sobie hetmanem Michała Doroszenka; po téj elekcyi strzelali, trąbili i różne aplauzy czynili. Trupy ich Zamojski kazał zebrać i pochować. 5go listopada Kozacy przysłali z oświadczeniem, że przyjmują podane warunki. 6go hetman wyprawił do taboru dla odebrania przysięgi Jakóba Sobieskiego krajczego kor. i Bałabana starostę trembowelskiego, których wdzięcznie i z wielkiém poszanowaniem przyjmował nowoobrany hetman Doroszenko. Wyjechał przeciwko nim z taboru na kilkoro stai we 300 koni, i wprowadził ich do swojéj kotary. Potém zwołał wojsko wszystkie do koła, i w obec delegowanych starszyzna i czerń wykonała przysięgę na wierność i posłuszeństwo królowi i Rzplitéj.

Po téj przysiędze rozeszły się wojska, każde w swoję stronę, a Zamojski odjechał do Równego. Adwent przemieszkał w Równem, potém wrócił do Zamościa.

U dworu długo nic nie wiedziano o rozprawie z Kozakami; dopiéro Ungier podskarbi Zamojskiego przysłał krótki dyaryusz téj rozprawy księdzu Starczewskiemu; ksiądz Starczewski pokazał go księdzu podkanclerzemu, więc doniosło się do króla, który kazał go sobie odczytać przy wszystkich senatorach, a każdy prosił o przepisanie tego dyaryusza. Król wdzięcznie wspominał o Zamojskim; żałował, że ta kommissya krwią się oblała, ale niepomału się cieszył z uskromienia hardości chłopskiéj (1).

Częste dochodziły wieści o następowaniu wielkich wojsk tatarskich ku państwom koronnym. Z tego powodu Zamojski kazał Chmieleckiemu skupić ludzi ukrainnych. Rozkaz jego został spełniony: Chmielecki w dobréj gotowości czekał na Tatarów. W opisie żywota tego sławnego pogromcy Tatarów wypadnie mi mówić obszernie, jak pod Tarnopolem w 800 ludzi wpadł na kosz tatarski i hana przepłoszył; jak znosił pojedyńcze zagony i odbijał brańców, zarabiając na uczciwą sławę i przysparzając sławy temu, kto dał mu sposobność służenia krajowi z większym pożytkiem.

W lipcu 1626 Gustaw król szwedzki w Pilawie wylądował z wojskiem; Elbląg mu się poddał, Malborg także. Zamojski list od króla odebrał, żeby zaciągnąwszy ludzi ile może,

(1) Paweł Wilkostowski do Tomasza Zamojskiego 24 listopada 1625.

z nimi do Prus na ratunek ojczyzny przybywał. Posiadłości ukrainnych nie mógł ogołacać z obrońców, dał więc pieniądze na zaciąg nowych ludzi: Stanisławowi Czerneckiemu na koni 150, Adamowi Kisielowi na koni 150, Andrzejowi Drwalewskiemu na koni 150; swoich też miał wołyńców 150 pod Alexandrem Płyzińskim, piechoty 100 pod Bohdaszewskim, 120 piechoty cudzoziemskiéj pod kapitanem Grymem, rota hussarska ściągała się pod Glinianami, nad którą porucznikiem był Świeżyński. Zamojski z tymi, których naprędce mógł zebrać, pospieszył za królem, dogonił go w Kowalu, a potém prowadził do Torunia, Na téj wojnie nie było regimentarza: Zamojski dowodził pułkiem, do którego należeli czterej bracia Działyńscy z tysiącem zbrojnych ludzi, roty husarskie Niewiarowskiego i Wejera starosty radzyńskiego, rota kozacka Wodyńskiego wojewodzica podlaskiego, Szmeling Inflanczyk który miał 150 rajtarów, Abramowicz wojewodzic smoleński który miał 400 rajtarów; do tego pułku przyłączywszy własnych ludzi, zawsze w przedniéj straży chodził, chorągwie na straż prowadził i posłuchy rozstawiał, a po wieczerzy znowu wziąwszy z sobą kilka osób objeżdżał straże; o północy dopiéro wróciwszy do namiotu zabierał się do snu, a często kładł się spać nierozebrany. Nad świtem nieraz straże objeżdżał, a kiedy wypadało czynić z nieprzyjacielem, piérwéj mszy św. wysłuchał. Pilnie przestrzegał, żeby po wytrąbieniu hasła nikt w obozie niebawił się muzyką, pijaństwem ani grą. Pod Gniewem towarzysza, który z białogłową pijaństwem się bawił, ukarał słowy surowemi, a téj, która mu przyczyną była, nosa kazał naderznąć i wyprowadzić z obozu; a potém otrąbić, żeby żadna białogłowa, która nie ma męża w obozie, nie bawiła w nim pod gardłem.

W dzień Narodzenia N. Panny (8 września), król z Torunia ku Gniewu ruszył. Kiedy wojsko stanęło pod Gniewem, Zamojski z dwoma tylko kapitanami miasto od Wisły do Wisły objechał, sam miejsca naznaczył w których szańce sypać i kosze stawiać kazał, a zatoczywszy działa, sam je rychtował i zapalał. Dla braku kul i prochu musiano zaprzestać strzelania, i działa do obozu sprowadzić.

Gustaw stał pod Czczowem; 22 września wybrawszy się w kilka tysięcy piechoty i osiem kornetów rajtarskich, szedł z posiłkiem ku Gniewu, i między tamą a Wisłą ludzi swoich prowadził. Zamojski nastąpił ze swoim pułkiem, a zegnawszy

z tamy nieprzyjacielską piechotę, osadził swoimi strzelcami; z boku na regiment szwedzkiéj piechoty kazał uderzyć dwom chorągwiom kozackim, które rozerwały Szwedów i szablami na placu położyły ze dwieście: drugi regiment odstrzelał Kozaków bez wielkiéj szkody. Zamojski posłał do króla prosząc o piechotę, bo w jego pułku nie było jéj więcéj nad 200, a jazdą trudno co począć w miejscu przerzniętém rowami. Król przysłał kapitana Astona z trzema stami Niemców bez prochu; więc znowu po proch posłano do obozu. Wzięło to siła czasu, a gdy prochy nadeszły i Niemcy rozbierali je między siebie, któryś z nich nieostrożnie iskrę z knota upuścił i prochu trzy beczki w powietrze wysadził, przyczém zginęło niemało ludzi. Gustaw widząc, że nasi słabo strzelają, ruszył swe regimenty ku tamie, a strzelając gęsto, plac sobie ostrzelał i sprawnie nazad poszedł. Potém przez tydzień spokojnie szły rzeczy. 29 września Gustaw znowu nastąpił ku Gniewu; niedochodząc dębniaku, gdzie piérwéj była walka, przy tamie między rowami i płotami, zasadził swoję piechotę, od czoła w równém polu uszykował kiryśników i rajtarów. Zamojski wyprowadził przeciw niemu swój pułk i tysiąc cudzoziemskiéj piechoty. Długo stali patrząc na siebie spokojnie i harce zwodząc; aż za rozkazaniem króla skoczył Zamojski ze swemi chorągwiami, przy nim Abramowicz we 400 koni rajtarów dobrych Inflanczyków: wegnali do Gronowa jazdą Gustawową, sami wpadli w ogień działowy, i za dymem przez kilka chwil nie było ich widać. Rowy przecięły im drogę, więc Zamojski uprowadził jazdę, a piechotę obrócił, i strzelali do siebie od trzeciéj godziny aż do zmierzchu. Kazano Mocarskiemu, który miał kilkaset koni ochotników, z tyłu wpaść do Gronowa, i wieś zapalić. Dokazał on tego: wpadł do wsi, i zapalił dom jednego gbura; ale go prędko Szwedzi odstrzelali. i ogień ugasili. W téj zabawie kapitana Gryma, Szkota, w rękę postrzelono, rotmistrza pieszego, którego Wejer wojewoda chełmiński przysłał z dwoma stami Kaszubów zabito; żołnierzy pieszych zginęło 43, pod chorągwiami jezdnemi daleko więcéj, między innymi Herburt z pod chorągwi Zamojskiego.

Gustaw nie wracał do obozu, ale położył się na noc w Gronowie i w dębniaku nad Wisłą. Nazajutrz począł się przymykać z piechotą ku Gniewu, mało co strzelając: sypał szańce i forty na tamie. Zamojski sypał z swojéj strony na górze, i przez cały dzień umacniali się w swoich stanowiskach, nic sobie nie

czyniąc. Na trzeci dzień Gustaw ruszył swoję piechotą wprost ku Gniewu, a ogniem z dział tak pole strychował, że piechota postępowała naprzód bezpieczna od wszelkiego napadu. Na górze od tamy w szańcu, który Zamojski kazał usypać, 600 piechoty broniło przystępu; spędzili ich Szwedzi i do szańca wleźli. Zamojski wziąwszy z sobą kilka chorągwi hussarskich i rajtarskich, skoczył rezolutnie, żeby Szwedów z szańca wybić; zegnał wprawdzie tych co wleźli, ale gdy z boków inne regimenta z gęstą strzelbą następować zaczęły, ustąpić musiał. W zamieszaniu zginął Niewiarowski chorąży od jego własnéj chorągwi, a chorągiew Szwedzi porwali; drugiéj chorągwi Wejera starosty radzyńskiego kawał szarpnęli, chorąży raniony omdlał od krwi upływu i dostał się w moc Szwedów, lecz towarzystwo wydarło im chorągiew i odbiło chorążego. Kapitana rajtarów Szmelinga i porucznika Szwarchofa, ludzi bardzo rycerskich postrzelano; Zamojski obmyślił im dworek blizko obozu, i cyrulikom swoim zlecił pilne koło nich staranie; odwiedzał ich niemal codziennie straż zawodząc i po kilkaset złotych wydał na ich potrzeby. Tego dnia postrzelono także księdza Rycyusza kapelana, który w bitwie towarzyszył Zamojskiemu; kazał go odwieźć do Gdańska razem z resztą rannych.

Gustaw opanował górę i uszykował na niéj swoje wojsko. Zamojski ruszył przeciwko niemu wszystką piechotą, co jéj jeno było: Fitynga, Astona, Judyckiego, Kreta i innych. Strzelali się nieustępując kroku więcéj niż dwie godziny, a gdy prochy wystrzelała i nasza piechota i Gustawowa, przestali strzelać i stojąc w miejscu na siebie patrzyli. Król ze wszystkiém wojskiem wyszedł w pole; stanęły chorągwie jak kto chciał bez żadnego szyku: Zamojski w to się nie mieszał, pilnując porządku w swoim pułku. Popatrzywszy na nieprzyjaciela król przed wieczorem sprowadził wojsko z pola, a Gustaw w nocy bez przeszkody wszedł do Gniewa, załogę dawną sprowadził, a nowym ludem miasto osadził; sam tejże nocy nazad powrócił, a żywności, prochu, ołowiu i kul Wisłą na batach przysłał wiele było trzeba.

Zamojskiemu żadne przedsięwzięcie nie wiodło się dobrze na téj wojnie, z powodu wielu rządców, bo co jeden naprawił, to drugi zepsuł. Prędko potém król ruszył wojsko pod Czczów. Gustaw stał nad Wisłą o dwie mile od wsi Walignowéj, dobrze oboz opatrzywszy blokowcami i armatami, a na Wiśle most zrobić kazał ze szkut, naprzeciw Czerwonéj Karczmy na Żuławie.

Zawiązano układy. Ze strony królewskiéj ci byli komissarze: Tomasz Zamojski wojewoda kijowski, Wacław Leszczyński kanclerz koronny, Krzysztof Wesołowski marszałek nad. lit., i Denhof starosta dorpacki. Ze strony Gustawowéj: Alexander Oxenstiern, Hans Wrangiel, drugi Wrangiel i Arnold Horn. Zjechali się wpół drogi między obozami; namioty rozbite były tuż obok, tak, że kapę podniosłszy widzieć się z sobą mogli, a oba namioty jednę izbę tworzyły; stoły w obu namiotach ustawione były obok siebie, i siedząc przy stołach z sobą rozmawiali. Po długich naradach, gdy się doskonale nic nie sprawiło, kommissarze wrócili do obozów.

W tych dniach przyniesiono Zamojskiemu wiadomość o zwycięztwie, które odniósł Stefan Chmielecki na Ukrainie. Nuradyn sułtan w 80,000 ordy pustoszył województwo kijowskie; Chmielecki z wojskiem kwarcianém, do którego przyłączyło się 2,000 Kozaków zaporozkich, w biały dzień, w samo południe, pod Białącerkwią uderzył na ordę gotową do boju, pobił ją, rozgromił i uwolnił wielkie mnóstwo brańców. Zamojski doniósł o tém królowi, i wielka radość była w polskim obozie.

W październiku 1626 Koniecpolski hetman polny przybył pod Czczów do króla z wojskiem. Za jego przybyciem, Zamojski już nie wdawał się w rządy; jednak hetman i królewicz ustawicznie z nim się naradzali. A że często przechadzki czynili Szwedzi na zdobywanie żywności, i po wsiach czeladź polską płoszyli; zmówiwszy się z sobą królewicz i hetman, wysłuchali w namiocie u Zamojskiego przededniem mszy świętéj, i we 2000 jazdy dobréj ruszyli ku szwedzkiemu obozowi. Tego dnia właśnie Gustaw wojsko swoje ruszył i przeprawił się przez Wisłę ku Malborgowi. Z obozu wysłał trębacza od kanclerza Oxenstierna do kanclerza koronnego, oświadczając, że król szwedzki życzy sobie, żeby kommissarze zjechali się na traktaty. Ale to były sztuki, żeby przejść bezpiecznie przez Wisłę. Nasi czekając na zasadzce do samego południa nikogo nie widzieli, żeby wychodził ze szwedzkiego obozu, prócz trębacza i zwyczajnéj straży. Patrzyli przez perspektywę co się dzieje u nieprzyjaciela, i widzieli, że Szwedzi ciągle idą na drugą stronę Wisły. Zatém hetman posłał rozkaz do obozu, żeby piechota i jazda wszystka co prędzéj następowała z armatą; ale nim wojsko nadciągnęło, już ostatnie chorągwie szwedzkie most przechodziły. Zamojski zajął szaniec przedmostowy, a sprowadziwszy arma-

ty raził z nich nieprzyjaciela; z drugiéj strony Gustaw z ośmiu dział na dobranoc do szańca wypalił. Sprowadziwszy działa, Zamojski nocował w Walignowéj; hetman z królewiczem odjechali do obozu. Rano wstawszy udał się do szańca, a zatoczywszy działa wypalił do Czerwonéj Karczmy, gdzie Wrangiel dowódca szwedzki jadł śniadanie; wystraszony śniadanie porzucił, dopadł konia i ze swoimi pospieszył za Gustawem, który szedł drogą do Malborga. Most w nocy został przez Szwedów rozebrany i szkuty uprowadzone.

Gustaw téj zimy w polu nie był; król odjechał do Gdańska. Zamojski przez niego wezwany pięć dni bawił na dworze: a gdy hetman przybył, on powrócił do obozu, żeby objąć rząd w jego nieobecności. Podług swego zwyczaju, straże za światła rozstawione objeżdżał z poufałemi sługami. Raz się zdarzyło, że trafił na chorągiew Łaszcza, w któréj towarzysze i pachołkowie pozsiadawszy z koni zasnęli snem twardym, a chorągiew stała w ziemię zatknięta. Zamojski cicho, ostrożnie podjechał, wziął chorągiew i odesłał do swego namiotu przez kawalkatora Julego Włocha, a sam jak gdyby nic nie było powrócił do namiotu, spać się położył i przykazał surowo warcie, żeby nie mówiła przed nikim, że wyjeżdżał téj nocy. Przybyli zdać sprawę porucznik z chorążym od chorągwi Łaszcza; Zamojski budząc się ze snu, zapytał:

— Jest tam kto? abo słychać co o nieprzyjacielu?

— Nie, miłościwy panie, przyszliśmy tylko opowiedzieć żałosną nowinę, że nam podczas snu ktoś chorągiew pochwycił.

— Moi panowie, wielce was żałuję, ale skoro dzień, w wojsku każę otrąbić, jeźli kto nie znalazł waszéj chorągwi.

Porucznik i chorąży padli mu do nóg, żeby im tego wstydu przed całém wojskiem nie czynił. Więc kazał przynieść chorągiew i dał im dobrą łacinę, żeby inaczéj powinności swéj dopełniali.

Drugiego albo trzeciego dnia wrócił hetman z Gdańska, a Zamojski ruszył ku domowi, i przyjechał do Zamościa w końcu listopada 1626. Na sejmie nie był obecny; z tego powodu pytano się u dworu, jeźli nie malkontent odjechał (1); ale tak było, że domowe sprawy pilnie potrzebowały jego bytności. Do Warszawy wysłał Piotra Oleśnickiego i starał się o bula-

(1) List pisany cyframi do Tom. Zamojskiego 16 grud. 1626.

wę polną. Współcześnie starał się o nią Stanisław Lubomirski starosta sandomierski. Koniecpolski nalegał i prawie z płaczem prosił, żeby król jednego z tych dwóch panów dodał mu do pomocy (1); król wahał się w wyborze, a rzecz publiczna cierpiała na tém.

Trudy obozowe zrujnowały zdrowie Zamojskiego: trzeba je było ratować lekarstwami. Z tego powodu pisał do hetmana: „Wolałbym się na koniu widzieć przy waszmości, niż na łóżku z plastrem. A to tak prędko kaleczeję, jako źrebiec po starym ojcu. Podobno on i za mnie i za siebie Rzplitéj odsłużył. Ale przecie będę się otrząsał póki Pan Bóg żywota użyczy, i będę pomagał miłéj kompanii waszmości (2).“

Chorągiew kwarcianą, którą miał w wojsku, pieniędzmi i żywnością opatrywał, gdyż zwyczajnie oprócz żołdu Rzplitéj, na każdego konia z własnéj szkatuły dopłacał. Pod jego niebytność niektórzy panowie odwabili mu z pod chorągwi niemało towarzystwa, ale gdy przyjechał Andrzéj Drwalewski z pieniędzmi, nietylko chwiejących się utrzymał, ale i tych, którzy powyjeżdżali na dawne miejsce zaciągnął.

Trzy tysiące albo więcéj zaciężnych Niemców weszło do Prus, żeby połączyć się z wojskiem Gustawowem. Koniecpolski dniem i nocą idąc zeszedł ich niespodzianie w Hamersztajnie, otoczył i do poddania się przymusił. Pozwolił na to, żeby poszli nazad wydawszy broń, znaki wojenne i dowódzców, którzy ich zaciągali. Chorągwie na pamiątkę tego zwycięztwa zostały zawieszone w Warszawie w kościele farnym: a kto chce wiedzieć o szczegółach téj rozprawy, niech przeczyta relacyą Łukasza Miaskowskiego, która była w druk podana.

(Dokończenie nastąpi).

(1) List cyframi pisany do Tom. Zamojskiego 10 marca 1627.
(2) Tom. Zamojski do Stan. Koniecpolskiego 30 kwiet. 1627.

CHOROBA SERCA.

OPOWIADANIE.

NAPISAŁ

M. Rostkowski.

Mimo krótkich wieczorów w letnich miesiącach, raz przyjęty zwyczaj zbierania się na pogwarkę w domu państwa W*, od lat kilku nie ulegał zmianie; dlatego i w czasie grasującéj w r. z. epidemii tém chętniéj, jakby w jedno rodzinne kółko, łączyli się znajomi i przyjaciele. Niepewność czy jutro nasze, strach paniczny, smutek, jakby za pośrednictwem telegrafu elektrycznego udzielający się mieszkańcom Warszawy: usprawiedliwiał te odwiedziny i robił je niejako koniecznemi. Tu jedni drugim udzielali czasem prawdziwych, a czasem przesadzonych wiadomości o zaszłych wypadkach; tu pocieszano się wzajemnie, tu zapominano o czarnym kirze, który co dzień w ciszy i ponuro przesuwał się po ulicach miasta. Kiedy ustała pogwarka o cholerze, wówczas jaki zręczny dowcip, jakaś naukowa rozprawka lub powiastka, przerywały myśl towarzystwa, prawie zawsze skierowaną do ciążącéj nad nami plagi, i wtenczas oczy wszystkich zwracały się na mówiącego lub czytającego: każdy zapominał o niebezpieczeństwie, każdemu spokojność wracała na oblicze, i nieraz głośny śmiéch wydobył się z piersi ciśniętéj przed godziną bolesném jakiém wspomnieniem. W takiémto zebraniu w jednym z dni miesiąca sierpnia, wtenczas, kiedy cholera do najwyższéj cyfry posuwała ilość swoich ofiar, słyszałem opowiedziane zdarzenie, które chciałbym wam dosłownie powtórzyć.

Nie wiem jakie nadzieje, mówił jeden z obecnych, jakie były widoki i marzenia rodziców, kiedy po raz piérwszy usłyszeli mój krzyk niemowlęcy. Nie wiem, czy w przyszłości myśleli widzieć na głowie jedynaka infułę, czy na ramionach togę, czy mundur lub bluzę; za to tylko ręczyć mogę, jak się późniéj przekonałem; że ani sobie życzyli, ani się spodziewali słyszéć o synu, jako o lekarzu i to lekarzu zachwalonym, że powiem błogosławionym; a przecież, choć na chwilę przed śmiercią, ojciec miał tę niepocieszającą pociechę. Co mu zawinił szlachetny zawód doktora, dlaczego nie dał sobie o nim słówka nasunąć?—tego nie wiém, i nigdy nie badałem; zaś o tém, co dziś opowiem, nigdy najmniejszéj nie uczyniłem wzmianki, nigdy się z tém nie pochwaliłem, aż zbieg okoliczności zmusił mię przed samą śmiercią ojca, przyznać się do dziwnéj mojéj doktoryzacyi.

Roku 1837, w jednym z pięknych dni lipcowych, wtenczas, kiedy epidemia z cokolwiek większą grzecznością oddawała Warszawianom wizyty: z bramy gmachu pocztowego wyruszał dyliżans na trakt petersburski. W dyliżansie oprócz dwóch młodych i ładnych kobiét, było również dwóch mężczyzn, tojest ja, i mój przyjaciel Edward S. Po małéj chwili stanęliśmy na moście.

Turkot karety, zmieniające się postacie ludzi, przebieganie w przeciwną stronę kamienic, zresztą myśl, czy wróciwszy za rok lub więcéj, zastanę przy życiu tylu znajomych, tyle kochanych i miłych mi osób, zwłaszcza, gdy ich opuszczam wystawionych jakby na rotowy ogień, bo pod czarném berłem epidemii: —ta mówię myśl zajęła całą moję istność, nie dała czasu spojrzéć na sąsiadki, zaskarbić sobie, a przynajmniéj ułożyć planik do pozyskania grzeczności i łaski pięknych towarzyszek podróży; słowem, byłem jak to mówią „sam nie swój". Zbyt długo mogłem pozostać w takiéj zadumie, gdyby nie potrącenie, którém mnie uczęstował mój towarzysz Edward.

Nie ze wszystkiém rad z téj grzeczności, gdy zabierałem się do zrobienia mu maleńkiéj uwagi, on wskazując rzutem oczu na sąsiadki, szepnął mi do ucha:

— Wacławie! tyś Warszawiak, więc bądźże grzecznym i zabaw nasze damy; bo inaczéj, to ja, wieśniak, będę zmuszony zawstydzić cię—i pokręcił potężnego, lecz starannie ułożonego wąsa.

Wiedziałem dobrze, że Edward dotrzyma słowa. Byłto bowiem człowiek żywy, dowcipny aż do złośliwości, przed kilką laty dandy warszawski; a chociaż wieś, na której obecnie zamieszkał, obejście jego zrobiła nieco szorstkiém; chociaż słońce częściéj spotykając pana Edwarda na polach, białe i delikatne oblicze śniadością pokryło: przecież śliczny rys męzki, żywość oczu, jedne i też same pozostały. Nie miałem więc nic przeciw rozpoczęciu pogwarki, szepnąłem tylko:

— Odstępuję ci pierwszeństwa: ja nie znajduję pobudki.

— Jakto?.... nie znajdujesz pobudki?.... Profanie!! spojrz na oczy brunetki: jakie życie! jaki ogień!!.. A blondynka? Przysięgam, muszę je zaczepić—i nie czekając, z wielką układnością zwrócił mowę do brunetki:

— Z minięciem rogatek, zdaje się, że nowe życie wstępuje w człowieka; i panie zapewne to czują?

— Tak—odpowiedziała zapytana, i na tém skończyła.

— Trudno, żeby kto z nas jadących nie zostawił kogoś z drogich lub przyjaznych mu osób—mówił daléj Edward zwracając się do blondynki;—a jednakże przyznają panie, że mamy zarazem i pociechę ujeżdżając przed cholerą.

— Zdaje się—odrzekła blondynka, i jak tamta ucięła.

— Za to—mówił daléj Edward—ileż przyjemności, ile pociechy, gdy wszystkich zastanie się w pożądaném zdrowiu, bo zapewne panie wracają do Warszawy.

— Może—odrzekła brunetka.

— Jakto? więc nie napewno panie powrócą? Czyż nie obchodzi je Warszawa?

— Nie—odrzekła niedbale blondynka.

— Darują panie, ale to się niegodzi: Warszawa miasto pełne rozrywek, zabawy, nowości, tyle każdego zajmujących; miałyżby panie wśród wszystkich być wyjątkowemi?

— Tak—przerwała brunetka.

— A pani równie nie jesteś wielbicielką Warszawy?—spytał raz jeszcze blondynki.

— Nie—odrzekła zapytana i zamilkła.

Umm.... mruknął przez zęby Edward i szepnął mi do ucha:

— Przekleństwo tym kobietom, żeby zaniemówiły! Czyliż one umieją tylko tak, i nie?

— Przepraszam,—odrzekłem Edwardowi dusząc się od śmiechu—umieją jeszcze jeden wyraz: może.

— Masz słuszność, trzeba więc zacząć na nowo; kto wié, czy nie wydobędę co więcéj, a wtenczas niczém *l'abbé de L'Epée*, niczém Falkowski, — to mówiąc rozpoczął attak.

— My z przyjacielem jedziemy do Pułtuska: panie zapewne daléj?

— Tak—odrzekła brunetka.

— Jeżeli na téj stacyi nie będzie nowych podróżnych..... będzie może smutno?

— Nie—odpowiedziała blondynka.

— Ależ dla Boga! nie może być!.... Więc panie nie lubią większych zgromadzeń, liczniejszych towarzystw?

— Nie—ozwała się brunetka.

— A więc panie z całą zimną krwią opuszczają Warszawę?

— Tak—odrzekła blondynka.

— To nie do zniesienia!—szepnął mi z gniewem Edward, odwracając się od kobiét.—Patrz, one nawet zapomniały trzeciego wyrazu: może. To jawne szyderstwo, gotów jestem odpłacić im niegrzecznością.

— Dajże pokój, mój Edwardzie: nie miałbyś wcale słuszności. Poprobuj jeszcze.

I mój pan Edward zaczynał ze wszystkich źródeł, zaczepiał z każdéj strony; ale jak na złość *tak* i *nie* gradem leciały z pięknych usteczek naszych towarzyszek: więcéj ani słowa. Wreszcie grymasy, krzywienie twarzy, niecierpliwość Edwarda do tego stopnia były zabawne, że mimowoli na głos parsknąłem śmiechem.

Edward spojrzał na mnie dziwném okiem; potém uśmiech przebiegł mu po ustach, zamyślił się, i zaledwie po kwadransie szepnął mi do ucha:

— One przecież muszą umiéć więcéj; niech do domu nie dojadę, jeżeli cię nie przekonam.... jeżeli jedna przez drugą nie będą szczebiotały.

Znałem aż nadto Edwarda; wiedziałem, że w obejściu się z kobietami był zręcznym, miał tysiące pomysłów, które doprowadzały go do celu; ale tu nie byłem pewny, czy jego dowcip przyda się na co. Siedziałem więc spokojny i prawie drzémiący.

— Wacławie!—zawołał po chwili półgłosem, tak jednak, żeby nasze towarzyszki słyszały,—wiesz, że robi mi się niedo-

brze.... mdło mi— i przy tych wyrazach zrobił szczególniéj dziwne oczy; sam nawet przeląkłem się.

— Co mówisz?—zapytałem— słabo ci?

— Tak, słabo mi... ściska— i trącając mnie łokciem, pochylił głowę w tył, a rękę przycisnął do piersi.

Nasze damy w mgnieniu oka pobladły, spojrzały jedna na drugą, potém sięgnęły do woreczków, i prawie razem zawołały:

— Pozwól pan.... oto krople anticholeryczne, oto pastylki miętowe!...

— Słabo mi... bardzo słabo!—jąkał daléj Edward.

— Ależ przez litość zażyj pan kropli—mówiła brunetka nalewając nektaru na kawałek cukru.

— I pastylki są dobre—wołała blondynka.

— Niech pan weźmie ten cukier.

— Przegryś pan pastylkami.

— Prędzéj panie, prędzéj! Boże mój, żeby tylko nie cholera!

— Jakże panu teraz? — pytała blondynka, widząc, że Edward oburącz pakował w usta pastylki i cukier z kroplami. Ja zaś zaledwie mogłem wstrzymać się od śmiechu, a tém samém ratunku żadnego nie dawałem.

— Lepiéj mi, o! stokroć lepiéj, anioły opiekuńcze! Ależ ty Wacławie jak mogłeś pozwolić na tyle utrudzenia?... Straciłeś widzę przytomność.

— Trudno panie—przerwała brunetka—w podobnych wypadkach do kobiét ten przymiot należy.

— Na końcu świata, z serca, z własnego doświadczenia powtórzę pani zdanie—przemówił z wyrazem podzięki Edward.

I od téj chwili przegryzając pastylki mój pan Edward, prowadził jakby ze znajomemi sobie ciągłą, nawet wesołą rozmowę. Ja także kiedyniekiedy wtrąciłem słówko. Towarzyszki podróży ciesząc się dobrym skutkiem lekarstw, z wesołością, jedna przez drugą, jak się wyraził Edward, szczebiotały. Dowiedzieliśmy się tyle, ile tylko delikatność pozwalała być ciekawym; tak dalece, że kiedy trąbka pocztyliona dała znać, że dojeżdżamy do Pułtuska, z serca złorzeczyłem krótkości drogi. Nic przecież naszemu rozstaniu się zapobiedz nie mogło, a wpół godziny, po kilkunastu ukłonach z jednéj i drugiéj strony, widzieliśmy tylko wznoszący się tuman kurzu za pędzącym naprzód dyliżansem.

— Były i nie ma ich—odezwałem się do Edwarda, z którym postępowaliśmy w głąb miasteczka, dla odszukania koni, które po nas ze wsi przyjść miały.

— Nieme, i mówiły; takto się wszystko dzieje na tym bożym świecie—odrzekł śmiejąc się Edward.

— Zawsze jednak z ciebie trzpiot, pustak, mój przyjacielu; a gdyby też kara Boska!...

— Czyliż zawiniłem tym postępkiem?—odrzekł Edward—alboż Pan Bóg nie znał mojéj myśli?...

— Zawsze to żarty, a żarty z Twórcą!...

— Zbyt mało znasz mnie przypuszczając, abym śmiał żartować z Boga. Ten, co zna najskrytsze tajniki serc ludzkich wié o tém, że żartowałem z kobiét. Wreszcie nie pomyślałem nawet, że to może być grzechem. Tylko wiesz mój przyjacielu, te przeklęte krople ledwie mi ust na drugą stronę nie wykręciły. Biedaczka, nie żałowała dozy: dotąd język mi palą.

Tak rozumując doszliśmy miejsca, gdzie konie czekały; lecz dla interesów, które Edward miał załatwić na miejscu, podróż o kilka godzin spóźnić się musiała. On więc poszedł w swoję stronę, a ja zapragnąłem obejrzéć miasteczko, które niegdyś było rezydencyą książąt pułtuskich (1), biskupów płockich, a dziś jest tylko rezydencyą tytułu ostatnich. Chciałem przyjrzyć się zblizka zamkowi, i przebiedz chociaż niektóre zakątki miejsca znanego w naszéj historyi.

W téj przechadzce, na ulicy zwanéj Stare Miasto, doszedł mnie jęk bolesny i płacze dziecięce. Zbliżyłem się do zapadłego nawpół dworku z którego słyszałem głosy, i widziałem w jednéj izbie prawdziwy szpital cholerycznych. Ojciec na lichém łożu, matka na ziemi przy mężu, dwoje starszych dzieci na pęku słomy, wili się niemiłosiernie z boleści i kurczów; zaś dwoje najmłodszych, wrzeszczały na całe gardło. Jedna tylko kobieta krzątała się koło nawiedzonych chorobą, to z miętą, to z rumiankiem, to z gorącym popiołem lub ogrzanemi cegłami; ale naraz wszystkim nastarczyć, przechodziło siły kobiéty. Spytałem więc:

(1) Dotąd w kościele farnym w Pułtusku, w pięknéj kaplicy, znajduje się nagrobek biskupa dyecezyi płockiéj na Szeptycach Szeptyckiego, z wyrażeniem: książę pułtuski.

— Czyliż tu nie istnieje żaden szpital, albo czy nie ma doktorów? moja matko.

— Są, łaskawy panie, jest wszystko, ale ci biédni zachorowali tak prędko jedno po drugim, że doktor może teraz dopiéro dowiaduje się, i tylko go patrzéć.— Jakoż ujrzałem we drzwiach spokojne, miłe oblicze doktora, stojącego tu pułku, za nim przybiegł chirurg również wojskowy, a następnie kilkoro osób z sąsiedztwa.

Poczciwy doktor obejrzał każdego chorego z ojcowską troskliwością, i zwróciwszy się do mnie, powiedział nieco ciszéj: „niewiele tu nadziei"!...

Następnie kazał grzać piasek, sypać go w woreczki, okładać nim słabych i dawać pić zimnéj wody ile można najwięcéj; zaś felczer miał polecone dopilnować, aby tarcie nóg i rąk nie ustawało.

Za wychodzącym i ja pospieszyłem, dziwnym mi się bowiem zdawał ten sposób kuracyi; jakoż zapytałem:

— Przebacz szanowny konsyliarzu, czyliż rodzaj takiego leczenia przynosi kiedy dobry wypadek?

— W ostatnich razach—odpowiedział—używa się wszystkiego; dwa przeciwne działania, zewnątrz i wewnątrz, mogą przynieść pożądany skutek, tém więcéj, że na wielu ludziach z naszego pułku miałem jawne dowody. Już tu bańki, piérwsze zwykle używane środki, i najgwałtowniejsze lekarstwa są zapóźne. Uważałeś pan—mówił daléj—że nawet zwyczajne chorobliwe objawy ustały; zbytek wody wzbudzi je może, zaś ciepło zewnętrzne pomoże do ewaporacyi, z którą dopiéro wróci nadzieja.

Rozważaliśmy jeszcze chwil kilka; potém on udał się do innych chorych, a ja nie mogłem przenieść na sobie, aby nie wrócić na Stare Miasto.

Czynność tu panowała w całém znaczeniu; ja tylko jeden byłem smutnym i ciekawym widzem. Nikt się mną nie zajmował, mogłem więc nie *dolce far niente*, ale *doloroso* rozmyślać nad znikomością rzeczy ludzkich, nad życiem człowieka, nad jego siłą, z któréj się nieraz zbyt nieoględnie chlubi; i byłbym długo tak pozostał, gdyby nie krzyk rozpaczy sąsiadów, na ponawiające się zwyczajne oznaki epidemicznéj słabości w samym początku.

Wtenczas ja, pewny słów doktora, pocieszony, zawołałem na całe gardło: *victoria*! będą zdrowi, przykrywać ich czém można.

Troje chorych, tojest: ojciec, matka i jedna dziewczynka zaczęli usypiać, czwarte tylko zasnęło od kilku minut snem wiecznym; a że więcéj nie miałem tu co robić, wracałam więc do Edwarda.

— Czy zabłądziłeś, mój przyjacielu?—zapytał tenże trącając mię zlekka po ramieniu— szukam cię od półgodziny, i zdaje mi się, że mógłbym szukać do jutra, gdyby nie zdarzenie...

— A to jakie?— zapytałem.

— Spotkałem dwóch zdaje się obywateli miasta, opowiadających sobie o doktorze, tylko co przybyłym z Warszawy, który z miejscowym wojskowym lekarzem już probuje praktyki na Starém Mieście. Z opisu poznałem ciebie, biegłem więc co prędzéj, żeby szanownego konsyliarza nie porwano w inną stronę, bo w takim razie albo musiałbym cię zostawić praktyce, albo konie słuchałyby na środku rynku najczyściejszéj retoryki.

— Rzeczywiście, byłem razem z doktorem w domu, gdzie cała prawie rodzina uległa epidemii.—Tu opowiedziałem mu wszystko, com widział i co zauważałem.

— A zatém, ci dwaj poczciwcy nie mylili się nazywając cię doktorem—przerwał mi Edward.—Rozprawiasz jak z karty, dowodzisz jak Eskulap: słowem, od dziś jesteś doktorem.

— Żartuj sobie, żartuj— odpowiedziałem Edwardowi— ale gdybyś był ze mną, patrzył na cierpienia tych nieszczęśliwych, pewny jestem, że ominęłyby cię żarciki.

— Dziś nie jestem usposobiony do płaczu, mój przyjacielu; ale przecież i to bywało. Zresztą dajmy temu pokój, a spieszmy siadać na bryczkę. Moje bieguny, jak to wiész w gospodarstwie, niekoniecznie wyglądają na młynarskie: obroku niewiele, trzeba spieszyć do domu.

Tak rozmawiając doszliśmy rynku, z którego ruszyliśmy na trakt prowadzący do Ciechanowa.

* * *

Gdybyśmy naszę podróż odprawiali w jesieni lub w czasie wiosny, miałbym co do opowiedzenia, bo droga od Pułtuska do

Ciechanowa w tych porach roku jest prawdziwém piekłem, topieliskiem, gdzie nieraz wysiadłszy z bryczki dla umniejszenia ciężaru, można bez siadania, bez obcéj pomocy pozbyć się najniższéj części ubioru i lekko deptać grunt iłowato-gliniasty: lecz w lipcu wcale co innego: droga jak po stole, kurz nie dusi jak na szosy, koła toczą się jak szalone. Przecież interesa Edwarda nie dały nam wyjechać aż nad wieczorem, i dlatego dobrze już było ciemno, gdyśmy stanęli w mieście, niegdyś ulubioném ustroniu królowéj Bony. Na tle czystego nieba, czarno odbijały się resztky dwóch baszt obronnego przed paręset laty zamku, małe domki i kościół tworzyły coś fantastycznego, a cichość, brak wszelkiego ruchu i światełka w oknach, po gwarze Warszawy nasuwały mi dziwnie ponure myśli.

Edward kazał zwrócić na rynek i niebawem stanęliśmy przed karczmą, gdzie po cztero-milowéj podróży koniom wytchnąć należało.

— Zsiadaj przyjacielu — zawołał Edward — konie się popasą, a my wstąpimy na szklankę wina lub miodu; zresztą i głodny jestem.

— Zgoda — odrzekłem, i szedłem za Edwardem.

Miejsce do któregośmy weszli, było, jak się poźniéj przekonałem, głównie uczęszczane przez urzędników i przez okoliczną szlachtę. Tu dobijano zgody w czasie jarmarków, tu załatwiano spory w obec sądów polubownych, tu zawierano kontrakta, tu nakoniec przychodziło do czubów; co wszakże zbyt rzadkim było wypadkiem, bo Abram, właściciel zakładu, żyd poważny i dbały o sławę, wolał z jednego jarmarku stracić dukat, byleby następne przyniosły mu dziesięć. Dlatego ile możności nie dopuszczał kłótni, a tém więcéj bijatyki. Jak wyżéj powiedziałem, przybyliśmy do Ciechanowa dość pożno; nie zastaliśmy nikogo więcéj, prócz tamtejszych mieszkańców.

— Dobry wieczór, panie Abram — zawołał wchodząc Edward — cóż tu u was słychać?

— Oh! co słychać! — odrzekł żyd z westchnieniem. — Źle, i bardzo źle słychać: wnuczek mi umarł. Wielmożny pan go znał, takie śliczne dziecko! Oj waj! oj waj! to serce się radowało, a teraz się rozpękuje.

— Szkoda, wielka szkoda dzieciaka, mój Abramku; ale cóż robić: taka wola Pana Boga — dodał żałośnie Edward.

— I jeszcze jedna szkoda, Wny Panie: moja żona takoż bardzo chora, i... oj waj! oj waj! jéj może i na śmierć przyjdzie—tu żyd jął rzewnie płakać.

— A cóż znów Abramowéj?

— Ny, a co być może innego, jak nie cholera! Żeby ona sobie już poszła gdzie na koniec świata; za co tu nas biédnych męczyć.

— Czy wołaliście doktora?— zapytał Edward.

— Doktora? a zkąd doktora? Pan wié, że tu nie ma ciągle doktora; jak jest, to przyjeżdża z Pułtuska albo z Przasnysza, a nasz starozakonny felczer, co on tu może doradzić? Oj waj! oj waj! biédni my ludzie.

— Czy można widzieć Abramowę?

— Za co nie: ona tak bardzo stęka, że aż strach!—to mówiąc podniósł się i poprowadził Edwarda do przyległéj izby.

Przez ten czas wypróżniłem szklankę wina i przegryzałem wyborny sér żuławski, którego tu, jak się zdaje, mają podostatkiem.

Niedługo gospodarz z moim towarzyszem bawili u choréj. Na ich twarzach przy wyjściu dziwne malowały się uczucia: Edward zdawał się wstrzymywać od uśmiechu, a żyd z jakąś radością i nieśmiałością zbliżał się do mnie.

— JW. Panie—mówił żyd kłaniając się kilkakrotnie—jesteś młody, bardzo młody: to widać na jego policzkach i na jego brodzie; ale dlatego Bóg ci dał mądrość jako Dawidowi i Saulowi i Salomonowi, to nic nie ma do tego. A kiedy jesteś tak bardzo mądry choć tak młody, pewnie ci Pan Bóg dopomoże wykurować moję żonę. Ja wiem, że ty nie chcesz nigdzie kurować, że ty się zapierasz żeś doktor; no, ale ja już wszystko wiem. Ten Wielmożny Pan—mówił daléj wskazując na Edwarda—zna dawno, bardzo dawno starego Abrama, i on mi to wszystko opowiedział. Jaśnie Wielmożny Panie! ratuj moję żonę!

Zgłupiałem na takie *dictum acerbum*: prędzéj śmierci byłbym się spodziewał, niżeli podobnego figla ze strony Edwarda, który w téj chwili odwrócił się do okna i bębnił palcami po szybie.

— Mój przyjacielu — odpowiedziałem żydowi — jesteś w błędzie: ani jestem, ani byłem doktorem. Pan Edward żartował tylko.

— Pan Edward? — przerwał żyd — ny, pan Edward nie, jest taki zły człowiek; pan Edward nie żartowałby ze starych, którzy go jeszcze małym bachorkiem znali. Co on powiedział, ja bardzo wierzę; a on powiedział, że Jasny Pan tylko przejeżdżasz do Królewca, gdzie się jeszcze wiele rzeczów masz wyuczyć, i że nie chcesz tutejszym doktorom wydzierać kawałka chleba.

— Ale przysięgam ci na Boga, że nie jestem doktorem, ani nim być myślę, i żony twojéj leczyć nie będę.

Tu dał się słyszéć jęk w izbie, gdzie chora leżała.

— Słyszy JW. pan, to moja żona tak stęka. Oj waj! oj waj! ja pana nie puszczę, ja będę gwałt krzyczéć. Pan jesteś chrześcianin, pan jest katolik, no, to jak JW. pan swojego katolickiego Boga kocha, to niech ratuje biédną kobietę; co pan chcesz ja zapłacę, ja wszystko oddam, ratuj tylko moję żonę Ryfkę.

Żal i złość naprzemian mną miotały, i kiedy już miałem wybuchnąć z tysiącem wyrzutów na Edwarda, on w téj chwili odwrócił się, i z zimną do niepojęcia twarzą przemówił:

— Daj się uprosić, mój przyjacielu! Wydałem się z sekretu, ale cóż robić? Abram poczciwy człowiek, trzeba dopomódz.

W téj chwili stanąłem przy Edwardzie i szepnąłem mu do ucha:

— Trzeba być nieczłowiekiem! Narażasz mnie i żydówkę; widzę, że ciebie życie ludzkie nie obchodzi, i wierz mi, że lękam się jechać daléj z tobą.

— Poezye, poezye!—odrzekł mi równie na ucho—jak każdemu wolno chrzcić w razie niebezpieczeństwa, tak każdy kto tylko ma cokolwiek więcéj oświaty, powinien spieszyć z ratunkiem choremu bliźniemu.

— Ale jakiżeś dziwny! Czyż ja mogę dać ratunek? chyba zabić.

— Rób co możesz, co ci się zdaje: w własném sumieniu nie będziesz odpowiedzialny.

— Dlaczegóż ty—zapytałem Edwarda—nie weźmiesz się do tego?

— Ja? a to doskonałe. Ja? co nie pamiętam kiedy byłem w szkołach; ty zaś świeży przykład leczenia miałeś w Puławach. Zresztą nie lécz, ale się staréj pokaż.

W téj chwili nowy jęk dał się słyszéć z przyległéj izby, i żyd porwawszy mnie za rękę, gwałtem pociągnął do choréj.

W jedném okamgnieniu przesunęły mi się wszystkie ważne zdarzenia mojego życia. Ani piérwsza godzina w szkole, ani żadne examina i popisy, ani przerażenie, jakiego doznałem kiedy w wieku młodzieniaszka zeszedł mnie ojciec u nóg równie młodéj, a nawet dziecka panienki, nietyle mię przestraszyły; słowem, nie wiedziałem gdzie i na czém stoję. Patrzyłem więc w żydówkę kamiennem okiem, co jeszcze większego nabawiło mię kłopotu, bo Abram wziął to za głęboką naukę, za gruntowne badanie; to téż złapał mię za nogi i zawołał:

— Widzę, widzę JW. Panie, żeś człowiek bardzo mądry. Ty tak patrzysz, tak patrzysz! Oj waj! ratuj moję Ryfkę!..

Głowę miała zimną, ręce i nogi wolne, ale wszelkie inne cierpienia dowodziły jawnie napadu epidemii. Domyślacie się zatém, że użyłem środków dopiéro co praktykowanych przez doktora w Pułtusku: zrobiłem też same zastrzeżenia, i jak z łaźni wyszedłem do gościnnéj izby, rzuciłem się na krzesło, zamknąłem oczy jak zbrodniarz, który słucha wyroku, a nie chce widzieć szafotu. W duszy modliłem się do Boga z takiéj głębokości serca, jakiéj nie pamiętam, i słuchałem, czy tylko krzyk rozpaczy nie doleci mnie z izby, gdzie leżała chora, otoczona kilkunastą osobami z rodziny i znajomych. Wreszcie przyszło mi na myśl, żeby jak najprędzéj uciekać od wypadku śmierci, który i bez mojego leczenia był bardzo naturalnym; dlatego zawołałem:—Edwardzie. jedziemy i to natychmiast jedziemy! Nie wystawiaj mnie na dłuższe męki.

Jakoż nawet bez widzenia się z Abramem opuściliśmy Ciechanów. Przeszło kwadrans jechaliśmy w milczeniu: ja nie wiedziałem czy żyję, a Edward drzémał; dopiéro gwałtowny grzmot zbudził nas obudwóch. Przeciągła błyskawica pokazała nam, że zjeżdżamy w rów, i Edward krzyknął:

— Stój! stój mazgaju!— i już leżeliśmy w dole.

To jawna kara Boska, pomyślałem, i téj myśli udzieliłem Edwardowi, który klął niezgrabnego woźnicę.

— Zdaje mi się—mówiłem daléj—że żydówka pewnie w téj chwili skonała.

— Co ci się marzy?—odrzekł Edward.—Ja mam przeczucie, że będzie zdrową, bo czyliż robiliśmy w chęci zysku? Ale to szczególna, że po pięknym wieczorze w kilka godzin taka burza! Nie postrzegałem żadnéj chmurki.

Pomogliśmy woźnicy dźwignąć brykę, urządziliśmy napowrót siedzenie, i śród najtęższego deszczu stanęliśmy w domu.

Gdyby nie znużenie podróżą, nie przemoknięcie do nitki i nie złe zakupienie placu w rowie, pewnie nie zasnąłbym przez resztę nocy; tymczasem obudziłem się dopiéro wtenczas, kiedy moi gospodarze jedli drugie śniadanie.

Sen był lekarstwem na wczorajsze zdarzenie. Edward śmiejąc się, dowcipkując, opowiadał wszystkim moję praktykę, tak dalece, że sam z siebie śmiać się musiałem. Kieliszek wina jeden i drugi dodał nam jeszcze więcéj wesołości, a figiel mojego przyjaciela wydał mi się tak doskonałym, że mu wszystko przebaczyłem. Lecz jakaż wesołość długo trwać może? Właśnie w téj chwili, kiedy wznosiliśmy kieliszki za zdrowie pani Abramowéj, dał się słyszéć tętent na podwórzu. Spojrzałem w okno i ujrzałem, zgadnijcie państwo kogo?...—żyda Abrama, pędzącego kurcgalop prościuteńko do dworu. Kieliszek wypadł mi z ręki.

— Rób co chcesz—zakrzyknąłem do Edwarda—ja się kryję.

Można sobie wyobrazić, co się we mnie działo... Czekałem żyda jako wyroku na śmierć, czekałem jego przekleństw i złorzeczeń jak ciężkich śmiertelnych razów, a jednak ciekawy byłem, co będzie mówił; przyłożyłem więc ucho do dziurki od klucza i słyszałem:

— Wny Panie— krzyknął żyd wchodząc — Bóg wielki niech będzie z wami, niech ci wszystko szczęście daje! Bogdajeś się ożenił z JWPanną, żebyś miał dzieciów pięknych jak gwiazd na niebie! Oj! waj! Abram teraz żyje, bo i jego Ryfka żyje, i nie chora, bo jeść wrzeszczy—i daléj całować ręce i kolana Edwarda, daléj przedłużać błogosławieństwa.

Odetchnąłem, podskoczyłem z radości: kamień zleciał mi z serca.

— A gdzie Jaśnie Wielmożny doktor? niech ja jemu ucałuję ręce, niech ja jemu popatrzę. To tak młode, a takie mądre.

Nie czekając wyszedłem. Żyd rzucił się do mnie jak na swoję zdobycz, tylko że nie z pazurami, ale z uściskami, z błogosławieństwy i pokłonami.

— Dlaczegoż ją opuściłeś, mój przyjacielu?—zapytałem żyda.

— A ktoby podziękował, a ktoby to oddał—i tu jął z sakwy wydobywać pomarańcze, cytryny, figi, kawę, herbatę i inne drobiazgi.

— Nie jestem tak bardzo bogaty żyd, żebym zapłacił Jaśnie Panu jak przystało, a podarek zawsze podarkiem.

— I to niepotrzebne, mój bracie.

— Jak niepotrzebne, czemu niepotrzebne? A mnie pan był potrzebny, a mojéj Ryfce pan był potrzebny? a naszym dzieciom, naszym wnukom JPan był potrzebny? I żyd umié być wdzięcznym, to téż Jaśnie Panowie muszą tego przyjąć.

Kiedyśmy tak rozmawiali z żydem, i Edward zabierał się poczęstować go kieliszkiem francuzkiéj wódki, dało się słyszéć głośne szczekanie psów na podwórzu.

— Komu tam otwiérają bramę, ciekawy jestem.

— Ny, jaki ja głupiec!—zawołał żyd uderzając się w czoło—nie powiedziałem co miałem powiedzieć. To jeden pan Alfons, syn kommissarza od JWéj sędziny R. Wny Pan wié: ona także bardzo chora na cholerę, i ja wstąpiwszy po drodze powiedziałem, że tu jest taki wielki doktor, co moję Ryfkę wykurował. Ona téż zaraz kazała jechać po pana; a panna Marychna jéj wnuczka tak pięknie prosiła pana Alfonsa, tak na niego spoglądała, że on zawziął się choćby gwałtem zabrać JWgo Pana: a to bardzo można pani!

Mimowolnie przysiadłem, pot na mnie wystąpił i pomyślałem: otóż mości zaimprowizowany doktorze, wpadłeś w kabałę z Jaśnie Wielmożną sędziną, z panienką Marychną i z synem pana kommissarza, co tak na siebie mają pięknie spoglądać. To sprawa nie z Abramową; trudno, ani krok za drzwi, a jeżeli mi ją tu przywiozą, to chociażby kominem uciec muszę.

Niebawem wszedł i pan Alfons: byłto człowiek wieku równego prawie ze mną, przystojny w całém znaczeniu tego wyrazu, a w twarzy malowała się dobroć i nieco melancholii. Edward przywitał go po sąsiedzku i przedstawił mnie jako swego przyjaciela.

— Wiem już o wszystkiém— odrzekł Alfons—poczciwy Abram opowiedział nam każdy szczegół; i gdyby téż nie nadzieja, że konsyliarz jest twoim przyjacielem, nie byłbym się może puszczał w drogę z zamiarem wyrwania ci na chwilę doktora. Ale ty mi pomożesz, połączysz swoje z mojemi prośbami.....

— Ależ panie—przerwałem.

— Nie słucham, panie, nie słucham. Osoba, która jest słabą, w panu ma nadzieję; mnie zaklęto i przysiądz musiałem, że pana przywiozę: jéj wnuczka ze łzami przez usta moje prosi. Dwie godziny drogi, czyż wielkie utrudzenie!

— Ale pozwól panie słowo sobie powiedzieć: nie byłem, nie jestem i nie będę doktorem...jakżeż...

— Dosyć, dosyć, toż samo mówiłeś wczoraj, szanowny konsyliarzu Abramowi, a jednak pokazało się inaczéj.

— To wypadek, to zdarzenie, to opatrzność Boska— wołałem prawie z rozpaczą.

— Więc dobrze: jeżeli cię panie Opatrzność wybrała za swoje narzędzie, czemuż nam masz odmówić pomocy? Jeżeli ty nie pojedziesz, ja tam już nigdy nie będę; a doktorze, sam młody, masz serce i ja jestem młody.

— Edwardzie!— zawołałem zwracając się do niego—widzisz, ile twoja nierozwaga, twoje roztrzepanie narobiło mi kłopotu. Zawierz mi panie, nie jestem doktorem: jestem urzędnikiem z Warszawy—powiedziałem znów do Alfonsa—zabić mogę, ale wyleczyć, to sam Bóg tylko.

— O tém wszyscy wiemy, a doktor choćby najlepszy, Bogiem nie jest; jednakże bądź co bądź, pan nie odmówisz wizyty. Nie mówię mu o nagrodzie, bobym ubliżył delikatności i sercu pańskiemu; ale ręczyć mogę za dozgonną wdzięczność słabéj, moję i jeszcze jednéj osoby, która jest sierotą, wnuczką cierpiącéj.

Nie wiem co jest takiego w wielu ludziach, że raz rzuceni fatalizmem na jakąkolwiek drogę, mimo wewnętrznéj chęci nie mogą oprzéć się pędowi i naprzód postępują. Ja na sobie jawny tego dowód miałem: pomyślawszy bowiem chwilę porwałem za czapkę, i jak szalony, zagłuszony, przekonany że Bóg za jakiś ciężki grzéch dotyka mnie krzyżykiem, skoczyłem do czekającego przed sienią wolancika, a za mną pan Alfons i Edward. Siedziałem jak na rozpalonych węglach; pragnąłem, żebyśmy nigdy nie dojechali i klątem w duszy Edwarda.

Na słowa wyrzeczone przez Alfonsa: „otóż cel naszéj podróży“, dreszcze mię przeszły, i wysiadając z wolantu szepnąłem Edwardowi:

— Słuchaj nieroztropny! na twojéj duszy moja zgryzota i życie staréj.—A kiedy Alfons zostawił nas samych, by uwia-

domić kobiéty o naszém przybyciu, wtenczas Edward odpowiedział mi nie żartując, ale z prawdziwém przekonaniem:

— Wchodzę w twoje położenie, mój przyjacielu; dziś cierpię tyle, co i ty, ale tak się rzecz złożyła, że nie mogłem zrobić inaczéj. Szczerą chęć miałem nie pozwolić ci jechać, i byłbym tego dopełnił, gdyby...

— Cóż gdyby?

— Gdyby w tém nie było interesu Alfonsa. Lubię tego chłopca, będzie z niego dobry obywatel, dobry sąsiad i przyjaciel, a jemu na tém wiele zależy. Mała przysługa jaką wyświadcza przywożąc ciebie do sędziny, zjedna mu jéj względy, a powoli może co więcéj. Kocha jéj wnuczkę i zdaję się mieć wzajemność.

— Ależ na Boga! chcecież ażebym zabił starą dla usunięcia przeszkód, jeźli jakie istnieją?

— Wacławie! czy możesz to przypuścić?

— Więc jakiż ja wpływ mam wywrzéć na los Alfonsa?

— Jakąbądź radą; tém więcéj, że mówił mi Alfons, iż tak źle nie jest, i przepisawszy babuni ścisłą, dyetę, uwolnisz ją od boleści w żołądku: to proste lekarstwo, to każda baba na wsi potrafi.

W téj chwili otworzyły się drzwi od pobocznego pokoju, i Alfons prosił mię bliżéj, następnie wskazał mi sypialnią pani sędziny, a sam pozostał z Edwardem.

Nowe poty uderzyły na mnie; szedłem jak na rusztowanie, i kto wié, czy nie byłbym się zawrócił, gdyby nie dźwięczny i miły głosik, który mię zaprosił przy otworzeniu sypialni:

— Tu panie, tu. Jakżeś dobry, że nie odmówiłeś ratunku!

— Pani!... to... to jest moim obowiązkiem... tylko... że...

— Wiemy już wszystko, i dlatego po tobie, panie, panu Alfonsowi winniśmy prawdziwą wdzięczność.

I to mówiąc, zlekka postąpiła do łoża.

— Babuniu! pan doktor.

Ten wyraz doktor bieg krwi we mnie zatrzymał; jednak trzeba było daléj ciągnąć najdziwniejszą i najniebezpieczniejszą rolę.

Nietrudne były dla mnie znajomości z doktorami w Warszawie; wielu z nich było mojemi kolegami ze szkół, innych poznałem z przypadku: wiedziałem więc zwyczajne ich postępowanie i wziąłem za puls, którego ani liczyć, a tém bardziéj

namacać i wnioskować z uderzeń nie umiałem. W innym razie możebym sobie dał radę, ale w takiém położeniu, stałem się zupełnym okrąglakiem: trzymałem więc dla zwyczaju za rękę, rzuciłem kilka zwyczajnych pytań, a gdy mi staruszka odpowiedziała, sam się przekonałem, że nie mogło być nic innego jak kurcz żołądka, lub jak tam nazywają doktorzy dosyć, że z przesytu lub z zaziębienia, czego moja matka często doznawała. Rozgrzewanie zatém powierzchowne, picie gorącego rumianku, i pewne lekarstwo powszednie matki mojéj było całą moją radą; nadto przyrzekłem za powrotem do domu nadesłać trzy proszki, za których skutek ręczyłem.

Ileżto było podzięki, ile słów wdzięczności od babuni i panny Maryanny! Pan Alfons był chwalony jako chłopiec skrzętny i poczciwy.

Pani sędzina życzyła sobie, abym się zatrzymał na obiad, i po długich naleganiach musiałem się zastosować do woli gospodyni. Przez czas parogodzinny przekonałem się: że Edward miał słuszność co do Marychny i Alfonsa, ale postrzegłem także, że oboje muszą przejść ciężkie proby; że babunia była dumna z urodzenia i majątku, i że Alfons był tylko widzianym jako syn wiernego sługi. Pomyślałem też sobie: biédny młodzieńcze! sądzisz, że poprawiłem twoje interesa; jakże grubo się mylisz! Tydzień, miesiąc, kwartał dłuższego bywania, za twoję usłużność podniosą do 3, 4, 5. potęgi uczucia, a koniec zawsze jednaki, tylko boleść większa.

Gdyśmy skończyli obiad, jeszcze raz poszedłem do pani sędziny i zastałem ją siedzącą w łóżku. Z wyciągnionemi rękami dziękowała mi, i tylko czekała jeszcze na proszki, po których, jak mówiła, pewnie zupełnie będzie zdrową.

Pod wieczór wróciliśmy do domu. Z cukru miałko utartego i z kremortartary, którą mi stara a oględna gosposia Edwarda jeszcze zrana w apteczce swojéj pokazywała, zrobiłem trzy proszki i przesłałem do wiadomego użytku. Długo w noc rozmawialiśmy o Alfonsie i pięknéj wnuczce sędziny, objawiłem Edwardowi moje postrzeżenia i uwagi, na które on się zgodził, ale wypadkom trudno było zapobiedz. Następnie umówiwszy się, że nazajutrz o południu wyjedziemy nad samą granicę do mojéj familii, zasnęliśmy ze słowami na ustach.

Opowiadający zamilkł, i zdawało się, że już na tém skończyła się jego praktyka; ale kiedy całe towarzystwo milczało, jakby czekając dalszego ciągu, kiedy młode panienki zaczęły badać, co się zrobiło z Alfonsem i Marychną, kiedy zaczęły dopytywać się, czyli téż babunia wywdzięczyła się synowi kommissarza za przywiezienie tak biegłego lekarza: rzecz prosta, że musiał daléj mówić i mówił:

Dwa lata minęło od mojéj bytności w ciechanowskiéj ziemi. W ciągu tego czasu spędzonego za granicą nie miałem chwała Bogu żadnéj praktyki, i doktoryzacya moja jałowiała, z czego wszakże bardzo się cieszyłem. Wracając jednak do Warszawy chciałem zwiedzić Busk w téj właśnie chwili, kiedy najwięcéj było goszczących. Zboczyłem więc kilkanaście mil drogi do moich krewnych, mieszkających bardzo blizko miasteczka, i po dwu dniowym spoczynku udaliśmy się wraz z bratem i siostrą do źródła.

Mało znany w tych stronach, piérwszy dzień poświęciłem oglądaniu zakładu; nawet mimo potrzeby sprobowania niezbyt przyjemnego nektaru, przejrzałem wszystko i przyjrzałem się prawie wszystkim. Następnych dni nie bywałem regularnie, ale być co drugi dzień uważałem sobie za powinność; tém więcéj, że czas miałem ograniczony. Szczególnym trafem przy źródle spotkałem owe dwie damy, towarzyszki naszéj podróży dyliżansem, a one z całą naiwnością poskoczyły do mnie jak do brata z powitaniem i zapytaniem, czy mój towarzysz z pięknemi wąsami dojechał zdrowo, czy nie zachorował późniéj na cholerę i czy żyje? Na wszystko odpowiedziałem jak mogłem, bo od Edwarda przeszło trzy miesiące nie miałem listu, a tak zadowolone pytały mię, jak dawno tu jestem i czy długo pozostanę?

Odpowiedziałem im, że od dwóch tygodni, że nie mieszkając w Busku i nie potrzebując kuracyi, zaledwie co drugi lub trzeci dzień bywam u źródła, że nakoniec moja chatka jest o godzinę drogi na południe od miasta....

— Ach! to zapewne pana widzimy przez perspektywę chodzącego przed wieczorem z fuzyą na ramieniu, bo zawsze w téj stronie—odezwała się blondynka.

— Nie pani: lubię wprawdzie polowanie, ale z charta·mi; tu fuzyi nie mam nawet z sobą.

— Ależ co dzień, i w téj właśnie stronie— przerwała brunetka.

— Może być, że ktoś inny używa téj przechadzki, ale za siebie ręczę że nie.

Następnie dowiedziałem się, że jedna z nich, tojest bruneta była mężatką, że były rodzonemi siostrami, że mieszkają aż w cyplu augustowskiéj gubernii; słowem, zapoznałem się prawie z całą ich rodziną, ale tylko przez opowiadanie.

Odprowadziłem moje damy aż do ich mieszkania, gdzie zastałem matkę i małego brata mocno cierpiącego na skrofuły. Po krótkiéj wizycie wracałem do domu, rozmyślając, kto był ten jegomość w dzień polujący, bez strzału, bo strzału nikt w naszéj okolicy nie słyszał.

Tak ubiegło jeszcze kilka dni, i czas mojego odjazdu już był bardzo blizkim.

Moje piękne znajome nie były zadowolone z tego, że je mam opuścić, i ja muszę się przyznać, że nie z radością widziałem krótki termin odjazdu. Przyzwyczaiłem się do ich towarzystwa: lubiłem naiwność blondynki, wielbiłem jéj dziecinną szczerość, a rozsądek brunety zachwycał mię w całém znaczeniu. Ale cóż robić?—mus, jestto twardy orzech, ale go zgryźć trzeba. Raz tedy przed zachodem słońca wracając od augustowskiéj rodziny, mimowolnie przyszedł mi na myśl ów strzelec spostrzegany wieczorami, a którego ja dotąd jeszcze nie widziałem. Rozmaite domysły chodziły mi po głowie, każdy w następstwie z wiatrem ulatał, gdy jednéj chwili zatrzymano mię z tyłu.

— Panie Wacławie! niebo zsyła cię na moję pociechę!

Obejrzałem się i ujrzałem Alfonsa w stroju myśliwca i z dubeltówką na ramieniu.

— Pan Alfons tu?

— Jak widzisz.

— Czy dawno?—zapytałem.

— Od pięciu tygodni—odrzekł Alfons.

— Nie widujemy się przecież u źródła.

— Bo tam nie bywam; mojém lekarstwem, moją pociechą i mojém życiem jest ten kawałek obszaru, który dwa razy dziennie przebiegam.

— Nic tego nie rozumiem—odrzekłem Alfonsowi—racz mi się jaśniéj tłumaczyć.

— Czy dawno tu jesteś i jak długo myślisz jeszcze bawić?—zapytał Alfons.

— Jestem blizko trzy tygodnie, a wyjeżdżam za dwa dni.

— Czy je widziałeś?

— Kogo?—zapytałem zdziwiony.

— Sędzinę i wnuczkę Maryą.

— Czy są także w Busku?

— Od pięciu tygodni, tojest tyle, co i ja.

— Nie widziałem, mój przyjacielu i to mię dziwi; od tygodnia bywam regularnie co dzień u wód, a nie spotkałem.

— Niech cię to nie dziwi: Marya musi być bardzo słabą. O Boże!—i zakrył sobie twarz rękami.

W téj chwili dopiéro przyszło mi do głowy, że moje domysły były nie bezzasadne, że skutek wypadł taki, jakiego się spodziewałem. Popatrzywszy więc z boleścią na Alfonsa, zapytałem:

— Czy i ty jéj nie widujesz?

— Już więcéj od roku. Sędzina przeciwna jest naszym uczuciom: wzbroniono mi bywać i wszelka kommunikacya przecięta; przez żebraczkę tylko mogłem miéć czasami jakąś karteczkę lub wiadomość. Marya w miesiąc stawała się słabszą, nakoniec doktorzy kazali jéj wyjechać do Buska. Wiesz teraz, dlaczego tu błądzę.

— Pojmuję: biédny Alfonsie, ale jakiż koniec twojego błądzenia?... cóż robić zamyślasz?

— Sam nie wiem: tego tylko pewny jestem, że ojciec mój przestał być sługą sędziny, że siedzi i gospodaruje na swojém, że i ja mam gospodarstwo, że co do rodu nie ustępuję herbowym tarczom pani sędziny, a poczciwa służba nikogo nie hańbi: bo nie my okolicznościami, ale okoliczności nami rządzą. O przeklęta manio!!

— Ależ mój panie Alfonsie, trzeba przecież obrać jaką drogę, żeby nią postępować do celu.

— Trzeba, a ja jéj nie widzę—odrzekł Alfons. Po chwili milczenia i wpatrywania się w ziemię, podskoczył jak zmysłów pozbawiony, rzucił mi się na szyję i wołał:—Mam już, mam drogę, już mam środek: ty panie Wacławie będziesz moją, będziesz naszą drogą, na któréj się z Maryą spotkamy.

Usunąłem się od Alfonsa i patrzyłem na niego, nie dowierzając rozumowi biédnego młodzieńca.

— Wszak nie odmówisz mi tego, nie odmówisz: zaklinam cię na wszystko! na wszystko co miałeś, co masz, co miéć będziesz najświętszego!... Czy dajesz mi słowo?

— Ale cóż ja ci dopomódz mogę, mój Alfonsie?

— Wszystko, wszystko, tylko daj słowo.

W tym razie, widząc tyle cierpienia ze strony Alfonsa, domyślając się równéj boleści ze strony dziewicy, nie mogłem odmówić słowa, i nie pytając na co, rzekłem:

— Masz moje słowo — i słucham.

— Zatrzymasz się kilka dni dłużéj; z tego wzgórka wskażę ci ich mieszkanie. Bardzo rano i o zachodzie słońca babka z wnuczką siadują przed sienią lub w oknie; tam musisz krążyć, żeby cię spostrzegły, a spostrzegłszy powitają jako doktora i wprowadzą do domu: będą żądać rady, pomocy....

— Stój, stój! człowieku! Ja.... jeszcze raz mam być doktorem?— i poty wystąpiły mi na czoło.— Czy ty wiesz, że Busk to nie kącik jakiś mały w ciechanowskiéj ziemi, że w Busku nie brak doktorów jak w Ciechanowie, że tu nie z Abramkami sprawa. Nie, to być nie może, na to mnie nie wystawiaj.

— Czyliż nie możesz żądać sekretu, i pod tym jednym warunkiem podjąć się kuracyi?

— Ale jakaż będzie moja kuracya?

— Wiadomość o mnie, i wiadomość o niéj dla mnie.

— Jesteś tego pewnym?

— Jak tego, że to słońce zaszło.

— Więc zgoda: przystaję.

I po najszczerszych uściskach, po wyrazach żywéj wdzięczności, i po umowie o czasie i miejscu schadzki, rozeszliśmy się każdy w swoję stronę.

Nie wiem jak zaszedł pan Alfons do mieszkania; ale ja po drodze myślałem sobie: to już chwała Bogu trzeci raz będę doktorem; ale tu nie przyjmuję na siebie przynajmniéj odpowiedzialności: może téż to raz ostatni, a zresztą i z Litwinkami przepędzę kilka dni więcéj.

Nazajutrz, zaledwie słońce zaczęło czerwienić wschodnią stronę nieba, już byłem w drodze. Mieszkańcy miasta i jego goście od godziny powstawali; wszędzie ruch i życie już się objawiły. Zmierzałem ku wskazanemu mi domostwu, i jakby z umysłu, w chwili kiedy dochodziłem okien mieszkania sędziny, ona je sama otwierała. Ja niby zdziwiony przystanąłem, aż z za staruszki dał mi się słyszéć znany głos:

— Babuniu! pan doktor z Ciechanowa!

Obejrzałem się dookoła, czy nie ma czasem kogo, coby usłyszał mój tytuł, i postąpiłem kłaniając się naprzód.

— Prawda, prawda, moje dziécię: witamy, panie doktorze, w samą porę.

Jednym krokiem byłem w stancyi, unikając głośnego mianowania, i powitałem obie nizkim ukłonem.

— Bóg cię sprowadza w te strony! O! teraz spokojną jestem o moję Marychnę: patrz doktorze, jak ona słaba.

I rzeczywiście Marya była nie do poznania: nie było śladów rumieńca tak pięknego przed dwoma laty, przez spadnięcie z ciała rysy tylko wybitniejsze pozostały. Oczy melancholiczne, kibić pochylona i ciche cierpienie na całéj twarzy, jawnie pokazywały słabość, która daleko zaszła. To, czego wymagała moja rola, zrobiłem: siadłem bliżéj dziewczęcia, wziąłem za miejsce gdzie puls uderza, i patrzyłem w oczy.

— Mój kochany doktorze jeszcze zbyt rano, żebyś był już po kawie; zatém wypijesz z nami, tojest ze mną, bo Marychnie nie wolno. Nie wiém, co wy macie przeciw kawie! A że teraz niéma mnie kto wyręczyć, więc zostawiam was samych; wyspowiadaj ją, a ja pójdę. Wiész, że na służącéj polegać nie można—to mówiąc staruszka sunęła się ku drzwiom innego pokoju.

Zostaliśmy sami, świadka żadnego, ale nie wiedziałem jak zacząć. Uderzyłem więc w przyjętą rolę.

— Cóż panią najwięcéj boli?—zapytałem Maryi.

Ona się uśmiechnęła i spojrzała mi w oczy. Tym uśmiechem dobiła mię: domyśliłem się bowiem, że Alfons musiał jéj powiedzieć jakim ja doktorem i kto mnie doktoryzował, bo w téjże chwili zapytała o Edwarda.

Głupią była moja mina jak sobie wyobrażam, ale zarazem i ucieszyłem się serdecznie. Odpowiedziałem więc:

— Edwarda dawno nie widziałem, ale widziałem pana... —i tu naodwrót ja wlepiłem w nią oczy.

— Kogo pan widziałeś?—mówiła rumieniąc się i ze wzruszeniem.

— Widziałem pana Alfonsa. Małe zdarzenie przekonało mnie, że biédny chłopiec miał słuszność.

— Pana Alfonsa? kiedy i gdzie—mówiła z nieśmiałością?

— Wczoraj i bardzo blizko pani.

Drżenie się wzmagało.

— Chciéj się pani uspokoić: widzisz przed sobą przyjaciela, który wszystkie sprężyny poruszy, abyście byli szczęśliwemi.

Błagalne spojrzenie, uściśnięcie ręki, było całą odpowiedzią; lecz po chwili mówiła:

— Nie panie! tego nie dokażesz. Alfons używał wszelkich środków, babka pozostała niewzruszoną.

— Bądź pani dobréj myśli: to nastąpi prędzéj może, jak się pani spodziewasz. Nie dziś, nie jutro, ale najdaléj za trzy dni.

— Panie! nie pocieszaj téj, dla któréj niéma pociechy.

— Cóż mam powiedzieć Alfonsowi?

— Więc on rzeczywiście tak blizko?—zapytała z pewną radością.

— Takjest, jedném oddycha powietrzem; zresztą jutro opowiem pani więcéj: dziś widzę cię zmęczoną.

W téj chwili weszła i babunia, a za nią służąca z kawą i ciastem.

— No, mój doktorze, pij kawę i mów mi, co jest temu dziecku. Bóg widzi, że połowę resztki życia, jakiém mi się jeszcze Niebo cieszyć pozwoli, oddałabym za jéj zdrowie—i to mówiąc otarła łzę, która spłynęła po twarzy sędzinéj.

Marya ucałowała ręce i kolana babki, a ta przytuliła ją do piersi.

— Bo to widzisz, mój kochanku, Marychna, to piérwsze dziécię mojéj nieboszki córki, a jéj ojciec, to znany ród w Małopolsce, familiant od wieków: jego pradziady krzesła senatorskie zasiadali. Ta jedna gałązka mi pozostała, ta jedna pociecha na stare lata; tymczasem zły wiatr ją gnie. Boże! cóż jabym poczęła!

W takiém rozrzewnieniu najlepiéj dodać jeszcze słówko, któreby więcéj zastraszyło; dlatego nachyliwszy się do pani sędziny, prosiłem, ażeby wynalazła coś takiego, za czém panna Maryanna wyjśćby musiała. Sędzina więc ją zaraz wyprawiła i zostaliśmy sami.

— Nie mam potrzeby taić przed panią sędziną, że z panną Maryanną jest źle...

— I bardzo źle — przerwała staruszka— to mi wszyscy doktorzy powtarzają, ale żaden trafić na słabość nie może.

— Nic dziwnego, że ja dziś jeszcze, a może i jutro nie dam stanowczego zdania; wszelako jeżeli mi pani zaufasz, mam

w Bogu nadzieję, że młodość i siły, jeźli nie są jeszcze wstrząśnięte, wszystko przemogą. Żebym to poznał, trzeba się wstrzymać od wód i od wszelkich lekarstw.

— Dobrze, dobrze mój opiekunie! mój dobrodzieju! Pytasz mnie, czy mam zaufanie? a któż mi wrócił życie przed dwoma laty? O! bądź pewny, że Busk cały niedługo się zatrzęsie twoją bytnością.

Nim się Busk miał zatrząść, ja już drgnąłem; dlatego nie czekając rzekłem:

— Właśnie jeszcze jeden warunek: bywam u wód, widują mnie i znają prawie wszyscy, ale nikt nie wié o mojém stanowisku w społeczeństwie, i pragnę, żebym tak pozostał; jeźli więc szanowna sędzino życzysz sobie ażebym leczył pannę Maryannę, w takim razie musisz mi dać słowo, że nikomu przez ciąg naszéj tu bytności nie wspomnisz, że jestem doktorem, iż podjąłem się kuracyi jéj wnuczki. To jest, powtarzam, warunek, którego nie odstąpię: inaczéj wizyta moja będzie ostatnią.

— Ależ przez Bóg żywy! cóż za człowiek z ciebie, mój kochanku! Nie chcesz sławy, nie chcesz pieniędzy... więc czegoż ty pragniesz?

— Dobrego wspomnienia u osób, którym mogłem się zasłużyć, i wewnętrznego zadowolenia.

— Ale daruj, że cię zapytam, jak się nazywasz: bo Bogiem się świadczę, że wdzięczną jestem, a nie wiém komu. Mówili mi coś przed dwoma laty, ale staréj z głowy wyleciało.

— Nazywam się Wacław P...

— P... P... uum. Znam tę familią, równie ród dawny jak męża mojego, a nawet przypominam sobie, że jeden P... był sędzią ziemi ciechanowskiéj.

— Być może; ale wracając do rzeczy, czy dajesz mi pani słowo, że nie wspomnisz o zajęciu się mojém, i kuracyi jéj wnuczki.

— Masz doktorze moje słowo; ale skoro wyzdrowieje?...

— Wtenczas choćby przez gazety — odrzekłem uśmiechając się.

— Zgoda: przecież cośkolwiek ustąpiłeś.

Następnie przywołała Marychnę, a ja po krótkiéj chwili dom, a wnet i mieszkanie sędziny opuściłem.

Domyślacie się państwo z jaką niecierpliwością czekał na mnie Alfons, i z jaką żywością wypytywał się o wszystko.

Powiedziałem co uważałem że mogę mu powiedzieć, opisałem stan Maryi, a w końcu dodałem:

— Bądź cierpliwym, mój przyjacielu; zdaje mi się, że jeszcze ztąd wyjedziecie zaręczeni.

— Panie! opiekunie! zbawco mój! jakiż balsam pociechy wlewasz w moję duszę!

Pożegnałem Alfonsa i zadowolony, wróciłem do domu.

Z kolei przez dwa dni, rano i wieczór bywałem u sędziny i widywałem się z Alfonsem; lecz w ciągu tego czasu, nie wiém, czylito z przyczyny że Marya wiedziała o blizkiéj obecności kochanka, czy też ze zbytnich wrażeń zaczęła być słabszą. Nie było czasu do stracenia: czwartego dnia zatém powiedziałem dziewczęciu, że dziś musimy skończyć wszystko.

— Pani musisz widzieć Alfonsa.

Marya zadrżała.

— Nie panie! przyjacielu! nie, ja nie chcę, przeląkłby się Maryi, i naraziłby siebie, nic nie zyskawszy.

— Dlaczegóżby nie? I kamienie rozbijają, a ja pewny jestem, że jedném uderzeniem rozbiję żelazo, które owija serce babuni.

— Nie, próżne marzenie; zresztą ja czuję że żyć długo nie będę: jestem bardzo, o bardzo słabą. Od czasu jak wiém że czuwa tak blizko nas, częściéj doznaję bicia serca, a to ostatnich sił mnie pozbawia.

Masz tobie, pomyślałem w duszy, więc ja przyspieszyłem jej koniec— to niezle: *nec sutor ultra crepidam*: ale cofać się nie można, nadzieja w Bogu, idźmy naprzód.

— Musisz go pani widzieć: będziesz jego żoną.

— To nigdy nie nastąpi. Nie uwodź się panie Wacławie, ja znam babunię.

— Zobaczymy; proszę tylko o spokojność i najpewniejszą nadzieję.

W téj chwili weszła i pani sędzina.

— Jakże znalazłeś mój doktorze Marychnę?

Dałem znak babuni, ażeby poleciła wyjść słabéj.

Skoro wyszła, rzekłem poważnie:

— Teraz właśnie podług przyrzeczenia objawię pani wszystko, co zauważałem, jakie zrobiłem wnioski, co daléj być może i jakie na to środki.

— Słucham cię, słucham mój dobrodzieju: mów wszystko, wypełnię, wszystkiemu uwierzę.

— Widzisz pani, bo zbyt jawne są tego ślady, że wycieńczenie sił panny Maryanny doszło prawie najwyższego stopnia: życie w niéj na włosku, z cichém tchnieniem lada moment ulecieć może, tak nawet, że nikt z nas o tém wiedzieć nie będzie. Bicie serca od dni kilku zwiększyło się, a to bicie roztrąci ciało; i dziécię, któreś pani wypiastowała, któreś wychowała, w którém wpoiłaś miłość Boga i nieograniczone przywiązanie do siebie.....

— Tak panie! tak! — przerwała babka zanosząc się od płaczu.

— To dziécię — ciągnąłem z większym jeszcze zapałem — które miało ci zamknąć oczy, oddać ostatni pocałunek i odebrać jak od ojca i matki ostatnie błogosławieństwo... musi.... umierać, i umierać....

— Panie! panie! ratuj ją — zawołała stara zsuwając się z fotelu na kolana przedemną i wyciągając złożone ręce — wszak mówiłeś, że są jeszcze środki.

— Są, powtarzam drugi raz, ale tych środków nie znajdziemy w aptece. Pani, albo jéj wnuczka, musicie mi się przyznać. Zaklinałem, badałem pannę Maryą, ale nic się nie mogłem dowiedzieć. Jeśli jeszcze pani, jako najbliższa opiekunka, jako anioł stróż nad sercem młodéj dziewicy, nie odpowiesz na pytania: wtenczas ja się usuwam. Posłuchaj mnie sędzino! to jest straszna choroba, straszniejsza jak cholera, jak dżuma: to jest choroba serca.....

— Choroba serca! — powtórzyła staruszka załamując ręce. — O Boże mój! choroba serca! Panie! zawierz mi, ani słyszałam o podobnéj słabości.

— Poznasz ją pani niezadługo w skutkach; przekonasz się, że z modlitwą na ustach, z westchnieniem do Boga opuści ludzi, którzy przecież musieli jéj jakieś złe wyrządzić.

— Nie, nigdy, nigdy najmniejszéj krzywdy nie dozwoliłam jéj uczynić.

— A jednakże cierpiała i cierpi; a dopókąd cierpiéć będzie, śmierć stoi przed nią, i to co dzień, co godzina, co uderzenie serca, — bliżéj. Powiedz mi pani, kiedy nie mogłem się dowiedzieć od jéj wnuczki, czy panna Maryanna nie kochała kogo?

— Panie! zabiłeś mię—wykrzyknęła sędzina!—Ja nieszczęśliwa! zgubiłam dziécię moje! krew córki mojéj. Kochała, panie! i bardzo kochała; a jak sobie teraz przypominam, od chwili kiedy wzbroniłam wizyt młodzieniaszkowi, Marychna dzień za dniem słabszą się stawała. Ależ, bo zważ kochany doktorze, jaka niestosowność: on jakkolwiek dobry chłopiec, poczciwe dziecko, ale syn kommissarza dóbr moich, czyli dóbr mojéj Marychny; poprzysięgłam więc sobie, że na ten związek nie zezwolę.

— Nie wchodzę—przerwałem sędzinie—kim jest ten młody, wiém tylko, że przysięgę pani dobrodziejki rozwiąże śmierć panny Maryanny.—To mówiąc podniosłem się z krzesła i wziąłem za kapelusz.

— Doktorze! mój dobrodzieju! zlituj się nad namił wszakże ci wszystko powiedziałam! Podaj więc środki ratunku: czekam od ciebie.

— Zezwolić na ten związek, zawiadomić ukochanego przez Maryą młodzieńca, ażeby przyjeżdżał jak najspieszniéj, pocieszyć dziécię, przycisnąć ją do serca, dać błogosławieństwo, i patrzéć, czuwać nad ich pożyciem, nad ich szczęściem: to jedyny ratunek. Innego nie ma, i ten, za sześć, dziesięć dni już będzie zapóźny. Żegnam panią i chciałem wychodzić, bo prawdziwie zmęczyłem się tym monologiem; przytém serce mi pękało patrząc na Marychnę.

— Stój panie, stój, rób co chcesz, na wszystko przystaję; do grobu poniosłabym wyrzut sumienia, boleść nieukojoną. Ty wiész o wszystkiém, tobie jak księdzu na spowiedzi wszystko odkryłam; teraz ratuj moję Marychnę, dziécię moje! Cóżby mi było po życiu—i poczciwa sędzina zanosiła się od płaczu.—Tak doktorze! na wszystko przystaję: niech mi tylko ona zamknie oczy. Pisz do niego, szukaj go, on musi być przy ojcu lub na swojéj dzierżawie; niech przyjeżdża, niech leci jak ptak: bo jeśli Marychna umrze, to ja jéj nie przeżyję. Bóg cię sprowadził: tyś mi dopiéro oczy otworzył.

— Proszę sędziny,— rzekłem po chwili—nic nie mówić o tém pannie Maryi aż ja powiém kiedy; dziś okalać ją tąż samą pieczołowitością jak dotąd, i tylko zrób jéj pani nadzieję, że ja posłałem daleko po pewne lekarstwo, które musi przynieść dobry skutek.

— Wszystko wypełnię, wszystko, doktorze, tylko zapewnij mię, że będzie zdrową.

— Zapewniam, ale nie tak prędko—to mówiąc pożegnałem sędzinę i pełen zadowolenia wracałem do domu.

Jak czuwający bandyta, Alfons czekał mojego powrotu; a ponieważ wiedział, czego dziś miałem dokonać, schwycił mię drżącą ręką i zawołał:

— Panie Wacławie! co mi przynosisz? śmierć czy życie?

— Życie, przyjacielu! życie pełne rozkoszy, słodyczy i błogosławieństwa!

— A więc precz odemnie—krzyknął z radością rzucając na bok dubeltówkę. Wystrzał z jednéj lufy przez wstrząśnienie wydobyty, zwrócił moję uwagę i zapytałem:

— Dlaczegoż rzuciłeś o ziemię broń tak ładną: mogła się uszkodzić.

— Do téj chwili była mi potrzebną, lecz teraz, nie!— i postąpił daléj, podniósł ją, a wykręcając nabój z niewystrzelonéj lufy, pokazał mi kulkę.

— W obudwu były takież same— powiedział.—Gdyby rzeczy poszły inaczéj, obiedwie dziś jeszcze rozsadziłyby mi głowę.

Wstrząsnąłem się na tę wiadomość i z rozrzewnieniem dziękowałem Niebu za łaskę doznaną. Następnie opowiedziałem wszystko uszczęśliwionemu kochankowi; wyrachowaliśmy z nim czas potrzebny na dojście listu, przyjazd, i ułożyli cały plan dalszego postępowania.

Ja codzień bywałem u sędziny, zwolna przysposobiłem Maryą do przyjęcia wiadomości o pomyślnym skutku starań, i nareszcie powiedziałem jéj: że już babunia na wszystko przystała, że co chwila Alfonsa spodziewać się możemy.

I nadszedł ten dzień oczekiwany. Babunia spostrzegłszy czasem uśmiéch dziewicy, zdawała się odmładniać, ale się niecierpliwiła, że nie dawałem pozwolenia wygadania wszystkiego, jakie jéj szczęście przysposobiła.

— Ależ mój doktorze—mówiła mi nakoniec—kiedyż mi pozwolisz powiedzieć Marychnie, że będzie żoną Alfonsa?

— Chociażby i teraz—odrzekłem.

— Doprawdy! kochany doktor!—i posunęła się do dziewicy, wzięła ją za głowę, zaczęła płakać, całować i łkając rzekła:

— Moje dziécię, moja jedyna podporo! Ty mnie nie opuścisz, ty będziesz pielęgnować starą babkę, która ci już pozwala iść za Alfonsa. Dziś ma przyjechać, dziś będziemy się cieszyć, wraz z kochanym doktorem.

Co było płaczu radosnego, można sobie wyobrazić; ja sam kilka razy sięgnąłem po chustkę.

Uspokoiły się nareszcie Marya z babunią, i zaczęliśmy mówić o przyszłości, a więcéj jeszcze zwracałem uwagę na inne przedmioty, żeby przerywać mękę oczekiwania.

Na odgłos trąbki pocztarskiéj Marya zemdlała: ja kląłem pocztyliona, babunia wołała wody i szukała flakoników; Alfons tylko chwycił Maryą, przycisnął do piersi i starał się ocucić ją najrzewniejszemi słowy. Powoli dziewica przyszła do siebie, błogosławieństwo natychmiast nastąpiło, a ja téj nocy już nie wracałem do domu.

I cóż mam państwu jeszcze powiedzieć? Domyślicie się że były zaręczyny i że ślub nastąpił; ale ja wam mogę to jeszcze dodać: że babka jest dziś prababką, błogosławi Boga za zrządzenie tego małżeństwa, i mnie, choć wié o wszystkiém, zawsze panem doktorem nazywa. Ja zaś powtarzam: że często bywa dobry skutek dziwnéj konieczności.

GEDYMINOWICZE.

Ustęp z dzieła Karola Szajnochy:

JADWIGA I JAGIEŁŁO.

II.

Podjęta jednocześnie z Ludwikiem wyprawa Krzyżaków do Litwy, objawiła najwidoczniéj coraz cięższą przewagę zakonu nad pozorną potęgą Gedyminowiczów. Zdobywcy Kowna, zwycięzcy nad Rudawą, obaczyli się teraz wpośród saméj stolicy litewskiéj, w wielko-książęcém Wilnie. Zapalone ze wszystkich stron przedmieścia, w trzeciéj części w perzynie legły. Pojedyncze wycieczki krzyżackie, zapuszczały się jeszcze niżéj w głąb kraju. Wielki Książę Olgierd musi szukać pokoju, prosząc w szczególności o zachowanie niedopalonéj jeszcze części stolicy. Krzyżacy pewni rozbrojenia Gedyminowiczów, przeciwni ostatecznemu wytępieniu pogaństwa, a blizcy zaboru krain litewskich, jakieby jeszcze przed prawdopodobnym chrztem Litwy zająć się dały, nigdy tymczasowego nie odmawiają pokoju (1). Na tém téż rozejmie z Krzyżakami, zamyka Olgierd swój zawód. Ostatnią wiadomą sceną jego żywota jest uczta rycerska, wyprawiona tryumfującym Krzyżakom w zamku wileńskim (2). Jużto zamek nawpół krzyżacki, jak i ziemia litewska napoły ziemią niemiecką. Nawet w Kiejstutowym zamku, w Trokach, czeka Niemców takaż sama uczta zwycięztwa. Młody Kiejstutowicz Witold uderza wprawdzie jeszcze

(1) Narbutt Dz. n. lit. V. 221.
(2) Voigt His. Pr. V, 274.

w młodzieńczéj zapalczywości na powracających do domu Krzyżaków, lecz starego Wielkiego Księcia Olgierda strawił już bój z Krzyżakami. Poczém „największy z książąt litewskich“ „twórca głośnéj w świecie potęgi, jakiéj żaden z braci jego, ani ojciec, ani dziad jego nie odzierżył (1)“ ustępuje Olgierd skrycie z widowni dziejów. Niestaje niewątpliwych wiadomości o jego końcu. Polscy współczesnicy jego syna (2) opowiadają za rzecz pewną, którą i my za najbliższą prawdzie przyjąć musimy (3), że Olgierd umarł w wierze pogańskiéj, i jako poganin, z zwykłą starodawnym książętom litewskim wystawnością, na pogańskim spalony został stosie, w pérłami i klejnotami przetykanym kaftanie, w purpurowym płaszczu książęcym, z srébrno-złocistym pasem na biodrach, wraz z najdzielniejszym z rumaków swoich, w lesie Kokiwejtos, w pobliżu grodu Miskoli. Na Rusi przeciwnie krążyła wieść, jakoby Wielki Książę przed śmiercią, za sprawą kapelana drugiéj małżonki swojéj Julianny, greckiego księdza Dawida, przyjął chrzest święty, i nadto pod imieniem Alexego w habit czerńca na śmiertelném łożu przyobleczony, spoczął w zbudowanéj przez siebie cerkwi Bogarodzicy w mieście Wilnie (4). Sama sprzeczność tych podań dowodzi moralnego rozchwiania ówczesnéj Litwy. Jedyną niewątpliwą okolicznością zda się, iż umierający Olgierd, za przyzwoleniem obecnego przy łożu śmiertelném brata Kiejstuta, przeznaczył tron wielko-książęcy synowi swojemu Jagielle, najstarszemu z potomstwa spłodzonego z drugiéj żony Julianny, Rusinki, księżniczki twerskiéj. Oprócz wymienionych powyżéj sześciu synów z piérwszego małżeństwa, z których teraz żyje już tylko trzech (5), tojest: Andrzéj, Wingolt niebawem do Moskwy zbiegły, Konstantyn, Korygiełł, niedawno od Krzyżaków przybyły, i ów na

(1) Voigt His. Pr. V, 222, 274.

(2) (3) Długosz Hist X, 114. Wiadomość Długosza współczesnika Jagielle, domownika wnuka Olgierdowego, Kazimierza Jagiellończyka, jest dla nas tém pewniejszą od późniejszych podań kronik ruskich, iż Długosz zwyczajnie bardzo dobrze zainformowanym okazuje się, a nawet tam, gdzie mu późniejsi pisarze fałsz zarzucają, po dokładniejszém wyjaśnieniu rzeczy, prawdę nakoniec przyznaną sobie miewa.

(4) Kron. Nikon. Narbutt Dz. n. l. V, 235.

(5) Narbutt Dzieje narodu litewskiego, V. 241.

dworze rzymskiego cesarza bawiący Buttaw czyli Borys, oprócz oznaczonego wielkim księciem Jagiełły, pozostawił zmarły Olgierd jeszcze pięciu z drugiego małżeństwa synów, mianowicie: Skirgiełłę, Swidrygiełłę, Dymitra Korybuta, Dymitra księcia na Korcu, i Wasila-Alexandra-Wigunda, tudzież pięć córek: Agrypinę, Maryą, Alexandrę, Helenę i Teodorę, o których-to wszystkich braciach i siostrach Jagiełłowych, nieraz później mówić nam jeszcze przyjdzie (1).

Obecnie nad tych wszystkich braci, nad samego młodego Wielkiego Księcia Jagiełłę, najpotężniejszym w rodzie i całym kraju był Kiejstut. Niezmienny w swojém przywiązaniu do starodawnéj narodowości i zmarłego brata Olgierda, powtórzył on teraz względem jego syna Jagiełły tęż samą scenę, która przed trzydziestą laty ojca na tron wyniosła. Przestając na swojém księztwie trockiém i na ciągłéj walce z Niemcami, ukoronował ośmdziesięcioletni już starzec, 26-letniego Jagiełłę mitrą książęcą. Poczém wespół z młodszym bratem Lubartem księciem na Łucku i Włodzimierzu, uznał go panem wielkoksiążęcéj stolicy Wilna. „Gdyby Kiejstut był chciał," mówią o nim naoczni owych czasów świadkowie, Niemcy, „byłby snadnie mógł osiąść sam na zamku w Wilnie, a Jagielle inne dać księztwo. Ale Kiejstut nie chciał uczynić tego dla miłości Olgierda starszego brata, i osadził Jagiełłę na stolicy wileńskiéj, i ochraniał go ze wszech stron, aż dopóki nie podrósł, i aż póki ludzie nie przywykli do niego (2)". I aż starzec nie postrzegł, że młody wielki książę nie podziela jego pogańsko-narodowych zamiarów, jakie Kiejstutowi jedyném zbawieniem Litwy się zdały; bo jakkolwiek sprawa narodowa ku upadkowi się pochyliła, dziecięco-uporny umysł Kiejstuta trwał wiernie przy dawnych bogach. I jeźli Żnicz święty miał jeszcze gorzeć, potrzeba było w istocie bezwzględnéj uporności; przy wszelkiéj bowiem potędze i powadze Kiejstuta w Litwie, rosła nad nią niepowstrzymanie przemoc krzyżacka. Nowa Niemców po śmierci Olgierdowéj wyprawa, jedna z siedmiu w przeciągu jednego roku, rozlewając się z dwóch stron: od północy znad ujścia Niemna, i od zachodu znad Narwi, sprowadziła w końcu oba skrzydła wyprawy w pobliżu niedostępnego dotąd Krzy-

(1) Narbutt: Dz. n. lit. V 239. 240.
(2) Voigt. Hist. Prus. V 287. Stryjkowski Kron. II. 60.

żakom Bugu (1). Tak rozprówszy całe wnętrze Litwy mnogiemi szlakami pożogi i spustoszenia, objął ją zakon dokoła uściskiem śmierci. Młody Wielki Książę Jagiełło patrzył obojętnie na klęskę kraju. Sam Kiejstut wet za wet Niemcom oddając, zgromił ich w Prusiech, gdzie zdobył warownię krzyżacką Insterburg; a z nieodstępującém go męztwem, nie odstępywała go na chwilę i dawna ludzkość. W téjto właśnie wyprawie chciało pogaństwo spalić pojmanego w zdobytém Insterburgu starostę zamkowego Surbacha, wieloletniego tyrana Litwy. Kiejstut zachował go przy życiu (2), a również łaskawy dla Olgierdowego syna, Jagiełły, przystał wreszcie na podpisanie zawartego przezeń z Krzyżakami rozejmu, zabezpieczającego przedewszystkiém rusko-litewskie pogranicze, między Niemnem a Bugiem, od Brześcia aż po Grodno, i podobnież rozległą pograniczną przestrzeń ziemi krzyżackiéj na lat dziesięć od wzajemnych napaści (3). Potrzebował naród téj ulgi, gdyż, jak niełatwy do uznania bezsilności swego narodu dziejopis litewski przyznaje: „straciła już Litwa tęgość oporu, krzepkość władzy najwyższéj i zbliżyła się do katastrofy, jaką jéj przygotować usiłowali nieprzyjaciele (4)". Jednakże cóż po téj uldze chwilowéj, skoro rozpoczęte raz podupadanie sił kraju, nieuchronne daléj rozwijało z siebie następstwa! Najsmutniejszém z tych następstw okazał się zwykły towarzysz osłabienia, tajny jątrz waśni, wylęgłéj w samém książęcego rodu zanadrzu. Młody Wielki Książę Jagiełło nie miał żadnego współczucia dla pogańskiéj wytrwałości Kiejstuta. Pachnęła mu widocznie przeciwna starodawnemu pogaństwu nowoczesność, obczyzna, skłaniająca go do używania nowszego tytułu: „król litewski (5)". Małego zresztą serca, czuł on się upokorzonym moralną przewagą stryja. Upo-

(1) Narbutt: Dz. n. lit. V. 246. 247.

(2) Tamże V. 250.

(3) R. 1379. Raczyń. Cod. dipl. Lith. 53. Voigt Hist. Pr. V. 293. Narbutt Dz. nar. lit. V. 256. Niesłusznie w ostatniém z przytoczonych tu dzieł na str. 258 nazwano rozejm niniejszy „nowym i piérwszym w swoim rodzaju, mającym w sobie coś szczególnego i zadziwiającego". Już bowiem przed jedenastą laty, roku 1367 zawarli byli Olgierd i Kiejstut podobny traktat, *pax latrunculorum* nazwany, z mistrzem inflanckim Wilhelmem, dla okolic nad Dźwiną. Obacz Dogiela Cod. diplomat. V. 78.

(4) Narbutt V. 247.

(5) Voigt. His. Pr. V. 286. 360. Narbutt V. 260.

korzenie nadstawiało chętnie ucha przeciwnym Kiejstutowi podszeptom. Krzyżacy ze swéj strony nie omieszkali dolać żółci cichaczem, starając się poważnić śmiertelnie Wielkiego księcia z stryjem Kiejstutem. Pozostał nam w téj mierze nadzwyczajnie kosztowny list krzyżacki do matki młodego Wielkiego księcia, Julianny, jak wiadomo grecko-chrześciańskiéj Rusinki. Zaczyna on nader miłym sercu macierzyńskiemu doniesieniem, jak wspaniale jeden z synów Wielkiéj księżny, Skirgiełło, bawiąc w gościnie u „Wielkiego książęcia niemieckiego", jak wielkich mistrzów krzyżackich na Rusi zwano (1), podejmowany był przez Krzyżaków, „jakie dworskie grzeczności i rewerencye i biesiady i uczty i podarunki" witały go ze strony wielkiego mistrza we wszystkich zamkach krzyżackich, jak świetną wreszcie garderobą, odpowiednią jego dostojności zaopatrzył go mistrz wielki na zamku toruńskim, gdy młody książę spieszył na jakieś wesele, wyprawiane w Polsce przez książąt mazowieckich. Kończy się list pobożném napomnieniem Wielkiéj księżny do chrześciańskiego wychowywania dziatek, i wzmianką o załączonym podarunku dla Wielkiéj księżny i ukochanego jéj syna Jagiełły. Dość niezręcznie zaś, w pośrodek listu, pomiędzy inne wiadomości wsunięte żądło krzyżackie przestrasza biédną matkę podszeptem, zalecającym zwrócić uwagę na to, „jako ów wściekły pies (2), Kiejstut, nietylko przeciw chrześciaństwu, ale i przeciw Litwie złośliwe knuje zamysły, a w szczególności, jak to już poprzednio donosiliśmy wam, dysze żądzą owładnięcia państwa litewskiego, przemyśliwając codziennie, jakimby sposobem zgubić waszego przesławnego syna Jagiełłę, i wydrzéć mu wszystkich poddanych i wszystkie zamki, i posiąść państwo całe."

Oprócz uzyskanego tym sposobem poufnictwa u Wielkiéj księżny Julianny, oprócz wielu książąt litewskich uciekających

(1) Daniił latop Lit 63.

(2) „Iste furens tanquam canis rabidus". Cały list przedrukowany w Narbutta Dz. n. lit V. Dod. II. Zdaje się jednak, iż mylnie odniósł go autor do roku 1382, kiedy Jagiełło z matką w Krewie był na wygnaniu. Wielosłowne bowiem oznajmienie, jako Kiejstut pragnie objąć (regnum) wielkie księztwo litewskie, zdradzić Jagiełłę, odjąć mu ziemie i grody i posiąść całe państwo, każe wnosić, że tu mowa jest o czasie, kiedy Jagiełło był jeszcze W. księciem, a Kiejstut tylko książęciem trockim, tojest w czasie przed sierpniem 1381 roku.

się w ich opiekę, powiodło się Krzyżakom nawet pomiędzy ludem zjednać sobie stronników. Owi przesiedlający się do Prus Litwini, ów oprowadzający Krzyżaków po Litwie kapłan pogański, późniejsi Surwiłłowie (1), są tego smutnym dowodem. Podobnież usłużył im teraz dworak Wielkiego Księcia, Wojdyłło. Naprzód nadzorca piekarni książęcéj, potém pokojowiec Wielkiego Księcia Olgierda, doszedł on jeszcze za życia ojca Jagiełły do wyższych urzędów państwa, mianowicie dostąpił starostwa w Lidzie. Młody Wielki Książę Jagiełło tak dalece sprzyjał ulubieńcowi ojcowskiemu, że własną siostrę Maryą, wdowę po ruskim książęciu Dawidzie, wydał za niego. Zapewne jeszcze z czasów Olgierdowych niechętny Wojdylle Kiejstut, obruszył się żywo na toż małżeństwo, a nowy gniéw Kiejstutów dodał ostrza zauszniczemu językowi Wojdyłły. Czy ujęty już przez Krzyżaków, czy uprzedzając przyjazne z nimi związki, poduszczył starosta lidzki drażliwe serce Wielkiego Księcia przeciw staremu stryjowi. Z synem Kiejstutowym Witoldem, żył Wielki Książę w ścisłéj przyjaźni, naśladującéj braterską miłość ich ojców; lecz stryja starego, butnego wroga Jagiełły, godziło się według porady Wojdyłły, na pewną narazić zgubę. Piérwszym ku temu krokiem odbyto w Dawidyszkach, śród puszczy leśnéj, poufny zjazd z dostojnikami zakonu niemieckiego, pozornie tylko kilkudniowéj rozrywce myśliwskiéj poświęcony, na którym tak potajemnie, że nawet obecny tam Witold niczego domyślić się nie mógł, zawarto w imieniu Wielkiego Księcia układ z zakonem, przyrzekający mu okrom pokoju, ze swojéj strony nie wspierać księcia trockiego w razie zaczepienia go przez Krzyżaków (2). Spiskiem tym, zwróconą została wszystka potęga zakonu przeciwko osamotnionemu Kiejstutowi; uwikłany w sidła krzyżackie Jagiełło, przechodził w opiekuństwo zakonu, a z łatwém teraz rozgromieniem Kiejstuta, zbliżała się dla Krzyżaków chwila zupełnego owładnięcia ziemi litewskiéj. Zaczém uderzyli Krzyżacy całą potęgą na Kiejstuta. Do mnogich jego nieprzyjaciół, przybył jeszcze nowy rodzaj broni krzyżackiéj, najstraszniejszy ze wszystkich dotąd znanych, użyty po raz piérwszy w obecnéj

(1) Narbutt: Dz. n. l. V 378.

(2) R. 1380. Raczyń. Cod diplomat. Lithu. 55. Voigt Hist. Pr. V 356. Narbutt V 464.

przeciw Kiejstutowi wyprawie—działa prochowe. Pod ich gromowemi wystrzały padła ku przestrachowi Litwy starodawna twierdza krajowa Neuenpille, uważana za niezdobytą (1). Po wszystkich kościołach pruskich zabrzmiały modły dziękczynne za świetne nad Kiejstutem zwycięztwo. W Litwie Wielki Książę Jagiełło nietylko że mu nie dopomagał w zapasach z wrogiem, lecz nadto niezrozumiałym dla Kiejstuta sposobem nie doznawał żadnéj napaści ze strony Niemców, omijających troskliwie jego granice, a dziwnie dokładnie o każdym Kiejstuta planie uwiadomionych (2). Wzbudzona tém podejrzliwość Kiejstuta, nie wahała się w rozmowie z synem Witoldem, posądzić Jagiełłę o tajne porozumienie z zakonem. Niewiedzący o niczém Witold zapewniał starego ojca o niewinności brata i przyjaciela Jagiełły. Wszelako ten stary ojciec był najfortelniejszym z synów Gedyminowych (3), i łatwo téż fortelność Jagiełłowego knowania przejrzał. Utwierdziło go w domysłach ostrzeżenie samego komtura krzyżackiego twierdzy Osterode, Kuna de Liebstejn, który jako chrzestny ojciec Kiejstutowéj córki Danuty, małżonki mazowieckiego księcia Janusza, osobiście z Kiejstutem rycerską pobratany przyjaźnią, uwiadomił go o konszaktach Jagiełły z zakonem (4). Gwałtowność niebezpieczeństwa zwiększona starością Kiejstuta, z którego bliską już może śmiercią wszelkie dla sprawy narodowéj upadały nadzieje, nagliła do doraźnego kroku. Wreszcie jawne niebawem na życzenie Jagiełły posiłkowanie Jagiełłowego brata Skirgiełły przez Krzyżaków inflanckich przeciw Kiejstutowemu synowi Andrzejowi Garbatemu w Połocku, usunęło wszelką wątpliwość o nieprzyjaznych Kiejstutowi planach Wielkiego Księcia (5). Przeto niezwierzając się synowi Witoldowi, najechał rączy starzec niespodzianie Wielkiego Księcia

(1) Narbutt V. 271.

(2) Tamże V. 273.

(3) Długosz Hist. X 66. „Inter omnes Godymini ducis filios magis prudens magisque industrius, et quod illum plurimum honestabat, civilis, humanus et verus in sermone", którato fortelność i przemyślność rycerska, nawet w połączeniu z kawalerskością, miłosierdziem i szczerotą, nie daje mu przecież prymu nad Olgierda „umeniem", i jego wszechstronną bacznością i potęgą.

(4) Kron. litew. Bychow. 23. Narbutt Dzieje nar. lit. V 273.

(5) Narbutt V 277.

w Wilnie, opanował obadwa zamki, uwięził Jagiełłę z matką, z bratem Korybutem i całym dworem, i zagarnął skarbiec książęcy, w którym, pomiędzy innemi, znalazły się dokumenta zawiązanego z zakonem spisku. Dopiéro teraz przywołany został Witold do Wilna, dla naocznego z tych dokumentów przekonania się o zdradzie przyjaciela, Jagiełły. „Bądź jednak spokojnym o jego dolę“ rzekł Kiejstut do Witolda, „wydzielę mu księztwa: Witebsk. Krewo i wszystką ziemię, jaką ojciec jego Olgierd, od mojego ojca Gedymina otrzymał (1)“. Uczynił to Kiejstut, aby, jak spółczesne świadectwo niemieckie prawi (2) „nie skalać swego imienia rycerskiego, i nikogo ze swéj rodziny nie robić wygnańcem z ojczyzny“. Za co Jagiełło przyrzekł nie pokuszać się nigdy o odzyskanie Wilna, i jako wierny hałdownik Kiejstuta, mając wszelkie ojczyste skarby i dostatki, a między temi kosztowną stadninę wielko-książęcą zwrócone sobie od stryja, osiadł z matką Julianną w Krewie. Wielko-książęcą zaś godność, wraz z sterem skołatanéj Litwy pogańskiéj, objął w chęci podźwignięcia upadającéj narodowości 83-letni Kiejstut.

Było ostatni dzień pogaństwa w Europie. Ten sędziwy, gołębiego serca staruszek, to ostatni jego obrońca. Nie mógł on już innéj dać mu pomocy, jak tylko uderzyć jeszcze na Niemców. Jeszcze raz więc zwołał Kiejstut lud zbrojny pod chorągwie bogów ojczystych i wyprawił je w ziemie krzyżackie. Z gwałtownością ostatniego wysilenia, runęła teraz Litwa na grody pruskie. W trzy miesiące po zajęciu wielko-książęcéj stolicy przez Kiejstuta, zdobyło pogaństwo krzyżacki gród Osterode. Po kilku tygodniach przedarła się druga wycieczka litewska pod którymś z synów Kiejstutowych w głąb pruskiéj Warmii, w pobliże głównéj wielkiego mistrza stolicy. Nieco późniéj sam Kiejstut obległ jurborski zamek nad Niemnem. Wytężono wszelkie siły do zdobycia niemieckiéj twierdzy: bito ogromnemi machinami w mury zamkowe, strzelano nawet z sprawionych już przez Kiejstuta dział ognistych, lecz nadesłana tymczasem odsiecz krzyżacka, położyła granicę zamachom

(1) Kronika Litew. Bych. 24. Narbutt V, 279.

(2) Voigt Histor. Pruss. V 367. „weil Kynstutte sich keinen bösen namen erwerben und nemanden seines geschlechtes vertreiben wollte“.

broni pogańskiéj. Zniewolony do odwrotu Kiejstut, musiał wnet o obronie własnych Trok myśléć. Odpartą z pod nich siłę krzyżacką poparła wkrótce nowa wyprawa, zdążająca pod samo Wilno. Straszném po dwakroć spustoszeniem Żmudzi, dostarczającéj zapewne najwięcéj środków wojennych do obecnego podźwignięcia się kraju, pomścili Krzyżacy sowicie ostatni tryumf pogaństwa. W końcu przypadło Kiejstutowi uzupełnić na nowo swoje zeszczuplałe już roty wykupnem mnogich przez Krzyżaków zabranych jeńców. Nie mając dość krzyżackich braúców do wymiany, wypłacił Kiejstut 3000 grzywien za wykupioną z niewoli Litwę, a 1000 grzywien winnym pozostał (1). Tak krótka, tak małoznaczna pomyślność wojny z zakonem, oziębiła ducha narodu. Najwytrwalsi poczęli trwożyć. Śmiałe rozkazy Kiejstuta przyjmowano z niechęcią. Coraz powszechniejsze nieposłuszeństwo, rozprzęgło wszelką możność oporu (2). Opuszczony od ludu własnego Kiejstut, ujrzał przed sobą nieuchronną wynikłością wszelkich swoich wysileń, ten los zupełnego „wygnania lub ustąpienia całego rodu książęcego z wszystkich kraiu litewskich", od którego, według późniejszych słów jego syna (3), zbawiła Litwę jedynie niespodziana pomoc obca. W takiém położeniu niezachwiana niczém chęć ocalenia Litwy, na przekor saméj Litwie, zniewalała nieraz do srogich środków. Wojdyłło, ów piérwszy sprawca nieszczęsnego przymierza Jagiełły z Krzyżakami, został za jakieś nowe knowania powieszonym. Zaledwie zaś jednego winowajcę ukarano, wypadło poskromić bunt drugiego rodzonego hrata Jagiełłowego, Dymitra Korybuta książęcia siewierskiego. Otrząsłszy się z zwierzchnictwa Wielkiego Księcia Kiejstuta, zagarnął on niektóre zamki litewskie i poddał się Wielkiemu Księciu moskiewskiemu (4). Kiejstut zostawił syna Witolda w domu ku obronie Wilna i Trok, a sam pospieszył z wojskiem w daleką

(1) Narbutt Dzieje nar. lit. V. 281 — 285. Voigt Hist. Pr. V. 307, 368.

(2) Alte Preuss Chron: „Kynstod war eyn alder mann und syne land und leut waren ym ungehorsam". Voigt His. Pr. V. 371.

(3) Witold: „ingenue profitebatur asserens suam et suorum omnium ejectionem et discessionem ex terris Lithuaniae et Samogithiae (1378— 1386) beneficio polonico esse et fuisse aversam et prohibitam." Długosz Hist. X. 44.

(4) Narbutt: Dz. n. lit. V. 287.

wyprawę przeciwko Dymitrowi. Samego rodzonego brata Dymitrego, Jagiełłę, zawezwał rozkaz Wielkiego księcia do obowiązkowego przystawienia zbrojnych ze swego księztwa posiłków. Brat Dymitrów, Jagiełło, nieukojony jeszcze po niedawnéj stracie wielko-książęcych rządów, bolejący świéżo śmiercią swojego ulubieńca i powiernika Wojdyłły, wyruszył z wojskiem z Krewa, lecz nie przeciwko bratu swojemu Dymitrowi. Zamiast za Kiejstutem, do dalekiego Siewierza, zwróciły się roty Jagiełły w przeciwną stronę ku poblizkiemu Wilnu. Ciągłe spiski z Krzyżakami, zabezpieczały Jagielle, w razie powstania przeciwko Kiejstutowi, jak najrychlejszą pomoc niemiecką. Nadto wspomniane zniechęcenie się samegoż ludu ku Kiejstutowi, dozwoliło mu zawiązać potajemne stosunki z niektóremi mieszkańcami Wilna, mianowicie z przychylnym Krzyżactwu cudzoziemczym dowódzcą miasta Hankiem (1), Niemcem rygajskim. Ztąd skoro Jagiełło pod miastem stanął, sami Wilnianie ochoczo poddali mu oba zamki (2). Witold ustąpił do Trok, lecz słysząc, że Krzyżacy z Prus i Inflant ciągną już z pośpiechem ku pomocy Jagielle, zabrał z sobą matkę Birutę z skarbami ojcowskiemi i cofnął się z Trok do Grodna. Jakoż w istocie nadciągnęły niebawem znaczne siły krzyżackie pod wodzą wielkiego marszałka zakonu. Połączony z niemi Jagiełło, zajął z łatwością Troki (3). O czém wszystkiém dowiedziawszy się Kiejstut, nie złożył jeszcze broni. Wyprawił czémprędzej kilku naczelników wojskowych na Żmudź, do téj walnéj twierdzy pogaństwa, po liczniejszą pomoc orężną, a sam pognał do Grodna. Tam pokrzepiała go nadzieja doczekania się znaczniejszych posiłków od poblizkiego książęcia mazo-

(1) Czyli, jak pospolicie piszą: Hanulem, Hanulonem. Jestto niewątpliwie ten sam „Hancke" albo „Hannike" mieszczanin wileński, „Burger czur Wilne" niemiecki przybysz z Rygi, a ztąd także „Hannike von Rige" zwany, poufnik Jagiełły, który w tymże samym roku, wraz z Jagiełłą i braćmi, podpisuje po trzykroć przyjazne z Krzyżakami układy. Raczyński Cod. dipl. Lit. str. 57, 58, 60, 65, 66.

(2) Kron. Hermana Kornera w Eccarda Corp Hist. Medii aev. II. Mieszczanie wileńscy opanowawszy podstępem zamek książęcy „mittentes post Jagil castrum sibi praesentarunt". Narbutt Dzie: narod. lit. V 288.

(3) Wigand. Raczyński 274. Voigt Histor. Prus. V 370, 371. Narbutt V, 290.

wieckiego Janusza. Przytarty od Krzyżaków, zdradzony od synowca, którego sam na tronie wielko-książęcym osadził, opuszczony od własnego narodu, mniemał znękany starzec, iż w obecném tonięciu swojém, będzie się mógł uchwycić ręki małżonka swojéj rodzonéj córki, ręki syna swojego. Toć dwór tegoż zięcia mazowieckiego stał się uciekającemu niegdyś z niewoli krzyżackiéj Kiejstutowi tak szczęśliwą przystanią ocalenia!.....

Prócz tego znana mądrość Janusza (1) pozwalała spodziewać się, że przenikliwy wzrok księcia mazowieckiego oceni należycie niebezpieczeństwo, jakiém nietylko Litwie, lecz zarazem i Polsce groziła wzmagająca się przemoc krzyżacka, i nie zechce przeto dopuścić teraz jéj ustalenia się w Litwie, upadkiem ojca, Kiejstuta.... Mądry Janusz widział tylko niepodobieństwo utrzymania się Kiejstutowego pogaństwa w Litwie, i uprzedzając blizkie jéj rozszarpanie, najechał pozostałe Kiejstutowi Polesie, a po zawojowaniu całéj ziemi, zagarnął dwa główne powiaty z grodami: Drohiczynem i Mielnikiem (2). Kiejstut chciał ocalić sprawę, którą bogi i ludzie opuścili. Pozbawiony ostatniéj nadziei, z przekleństwem losów na siwych włosach, zgarnął nasz nieszczęśliwy obrońca Żnicza, młodszy brat onych we mgle starożytności zanurzonych bohaterów pierwotnego pogaństwa Europy: onego celtyckiego Artusa, saskiego Witukinda, słowiańskich kruków, ostatek skarbów swoich, i wraz z żoną i synem ustąpił do świętéj Żmudzi. Wypadło tam uznać, że nadeszły już czasy, w których się miała spełnić krążąca po kraju wróżba o blizkim upadku wiary ojczystéj, blizkiém zgaśnięciu Żnicza świętego (3). Najgorliwsi zwolennicy narodowości myśleli wprawdzie o ciągłém jeszcze panowaniu pogaństwa, lecz w obradach swoich odzywali się niekiedy przychylniéj sprzymierzonemu z Krzyżactwem Jagielle, niż uciążliwemu z powodu swoich ustawicznych wymagań i bojów, Kiejstutowi. Miano nawet wyprawić do Jagiełły poselstwo z oświadczeniem mu uległości, jeźli pozostanie wiernym Żniczowi (4). Nareszcie w żałobnych wówczas zgromadzeniach ludu, ważących osta-

(1) Długosz His. XI. 509. „Homo inter suae aetatis principes sapientissimus et insignis"

(2) Archid Gniez 137. Dług. His. X. 64. Narbutt V. 289.

(3) Narbutt Dzieje narod. litew. I. 229.

(4) Wigand. Raczyń. 284.

tecznie losy narodowości, stanęła rada powszechnego wychodźtwa z kraju. Ziemię litewską i żmudzką chciano pozostawić Krzyżakom, a cały naród z wszelką ludnością sielską, z trzodami i stadami, miał szukać innych bezludnych stron, bezpiecznych nieprzebytemi lasy i bagny, gdzieby zwyczajem dawnych wędrówek narodowych, nową założył ojczyznę (1). Odraczając jednakże chwilę spełnienia téj gorzkiéj ostateczności, usłuchano tym razem odezwy starego wodza Kiejstuta, powołującéj Żmudzinów do ostatniéj walki pod mury Trok. Zdawało się jakoby głos wewnętrzny ostrzegał, że dla wytępionego w téj części świata pogaństwa, nie ma już nigdzie spokojnego kwitnięcia, nie ma już przyszłości, jak tylko w losie boju. Osobliwie zgrzybiałego w téj walce bohatera pogańskiéj Litwy, ciągnęło serce w ten los. Jakkolwiek więc smutną jest przyszłość sprawy, o któréj życiu, tylko śmiertelna walka rozstrzyga: stanął przecież Kiejstut do boju. Niebawem ściągnęły Kiejstutowe i Witołdowe hufce pod mury trockie, które oblegać miano. Nie było w Trokach Jagiełły: oczekiwał on gdzieindziéj nadejścia nowych posiłków krzyżackich. Jakoż spełniły się wkrótce jego życzenia: niebawem po wyruszeniu Kiejstuta z Żmudzi, wtargnął tam mistrz inflancki, i spustoszywszy kraj cały, sunął w głąb Litwy.

Z drugiéj strony zbliżał się ku Trokom marszałek zakonu z znaczną potęgą; Jagiełło wiódł trzecie wojsko. Wszystkie te siły dokoła pod Trokami opasały Kiejstuta. Zniknęła dlań wszelka nadzieja. Sam Jagiełło użalił się próżnego krwi rozlewu; przeto dla ocalenia stryja, wyprawił przed rozpoczęciem bitwy wysłańców do przyjaciela swego Witolda, z wezwaniem: aby skłonił Kiejstuta do rozejmu (2). Witold przyjął wdzięcznie głos łaski, i po zaprzysiężeniu bezpieczeństwa osób, udał się wraz z ojcem do obozu Jagiełły. Syn Olgierdów wyjechał z licznym orszakiem naprzeciw przybywającym (3). Przy spotkaniu, poddali się Kiejstut i Witold zwycięzkiemu Jagielle, prosząc jedynie o życie dla reszty zbrojnego ludu. „Jagiełło poruszył mistrza inflanckiego do miłosierdzia, i wzięto 5,000

(1) Długosz His. X. 44.

(2) (3) Latopis Lit. Daniłłow. Obacz Kron. lit. Bychowca. Narbutt V. 292.

Kiejstutowego wojska w niewolę (1)". Lecz gdy Kiejstut z Witoldem do pozostałych im jeszcze niedobitków powracać chcieli, zatrzymał ich zdradnie Jagiełło (2), rozkazując, aby jechali z nim do Wilna (3). Opasani zewsząd Jagiełłowym orszakiem, musieli Kiejstut i Witold chcąc niechcąc ruszyć wraz z tłumem naprzód. Cztero-milowa odległość Wilna, usunęła ich z przed oczu rozprzężonego wojska żmudzkiego. Rozbroili je do szczętu gońcy Jagiełły, donoszący raz po raz, jako stanęła zgoda między książęty, jako Kiejstut zdał wielko-książęcą władzę Jagielle, a Witold za to otrzymał Żmudź; jako wreszcie niepotrzeba już wojska, bo niéma wojny (4). Nazajutrz cała armia pogańska częścią sama do domów się rozproszyła, częścią pod rozkazy lub w niewolę Jagiełły przeszła. Całe rozwiązanie téj ostatniéj wyprawy Kiejstutowéj, okazuje najjawniéj śmiertelną omdłałość jéj natchnienia. Ostatni zamach litewskiego pogaństwa, skończył cichem zachodniego słońca zgaśnięciem. Zgrzybiały jego wódz, gasł już w więzieniu krewskiém.

Po przybyciu książąt do Wilna, zostali Kiejstut i Witold z osobna uwięzieni. Syna zatrzymano tym razem w Wilnie, starego zaś ojca, po zwyczaju (5), w ciężkie zakutego łańcuchy, wywiózł brat Jagiełłów, Skirgiełło, do odległego o kilkanaście mil

(1) (2) Wigand, Raczyń. 286. „Jagel rex movit magistrum ad misericordiam .. Dederuntque se captivos 274 et sic in dolo ibidem K captivatur."

(3) Cała scena pod Trokami, głównie według Wiganda, wyd. Raczyń. str. 274, 286, nieco odmiennie od Narbutta. Jako świadek społczesny, może naoczny, ma Wigand stanowczą przewagę nad kronikami ruskiemi. Długosz połączył Wiganda z latopisarstwem ruskiém, lecz powodowany raczéj względami narodowości niż krytyką historyczną, dał ruskim źródłom piérwszeństwo. Naruszewicz poszedł za Długoszem. Narbutt nieznający całkowitego Wiganda, wydanego w lat kilka po jego dziele, oparł całe opowiadanie na latopisach ruskich, z niemałą, jak sądzimy, krzywdą Jagiełły.

(4) Kron. lit. Bych. 26. Narbutt Dz. n. l. V. 291, 293. Voigt His. Pr. V. 371.

(5) Posuwano ten *zwyczaj* podówczas w rzeczy do tego stopnia, że niektórzy Niemcy, mianowicie nasi Krzyżacy, nie jeńców, lecz gości swoich, w szczególności księcia geldryjskiego Wilhelma, i jeszcze jakiegoś grafa von Kyburg, jak o tém list samego wielkiego mistrza donosi, niekiedy w łańcuchach na żelaznéj

zamku Krewa, niedawnéj stolicy strąconego z tronu Jagiełły. Osadzono tam Kiejstuta w podziemnym sklepie sterczącéj dotąd baszty. Byłato ostatnia niewola, często imanego i więzionego książęcia. Przeżył w niéj nieszczęśliwy starzec cztery noce (1). Piątego dnia rozeszła się pogłoska, że stary książę życie sobie odebrał. Złotym od ferezyi sznurem miał się udusić.

Rozlegając się szeroko po świecie, ulegała ta wieść różnym długo wykładom. U Rusi nienawidzącéj Jagiełłę, dla jego ochrzczenia się późniéj nie w ruską, ale „niemiecką wiarę", jak tam obrządek łaciński powszechnie zwano (2), utwierdziło się zdanie, że Kiejstuta z rozkazu Jagiełły uduszono w więzieniu. Wiedzą tam nawet kroniki, jak się to stało. Trzej służalcy Jagiełłowi, w spółce z jakimś Krzyżakiem, mieli wnijść przebrani do więzienia, i zabić naprzód czekanem pacholika Kiejstutowego, a następnie sznurem od ferezyi zadławić starego księcia (3). W Polsce opowiadano sobie, że Kiejstut sam się udusił (4). Najważniejszym w téj mierze głosem jest świadectwo spółczesnych Niemców krzyżackich, śmiertelnych niebawem wrogów Jagiełły. Otoż żadna z kronik pruskich, zaciekających się nieraz w swojéj złości ku Jagielle aż do nazywania go „psem wściekłym" (5), nie śmié zadawać mu jawnie winy mordu Kiejstutowe-

uwięzi do siebie wprowadzali. Voigt Hist. Pr V. 512. Wielki mistrz pisze, że urzędnicy zakonni „lisen in spennen in ein kete mit dem graffen von Kyburg und furen in das laht czu Prüssen." Dopiéro groźba odebrania sobie życia w ręku Krzyżaków, uwalnia książęcego gościa po kilkomiłowéj podróży od tego procederu gościnności krzyżackiéj.

(1) W Litwie, księżyc nie słońce, noc nie dzień, były miarą czasu I. Jaroszewicz, Obraz Litwy I 80.

(2) Latopis: Litwy i Kronika ruska Daniłł. 204.

(3) Latopis Litwy Daniłł. 38. Narbutt Dz. n. lit. V. 294.

(4) Archid Gniez. 136. Wiadomość u Długosza (X. 66) jest dosłownie, nawet z wiernem powtórzeniem jawnych omyłek, np. Mosten, zamiast Moster, (Narbutt V. 295, wyimek z Kroniki litewskiéj w przypisku) wyjęta z późniejszych kronik ruskich, i mimo wszelką naszę cześć dla Długosza, ma ona ztąd mniejszą w naszych oczach wartość, niż słowa wcześniejszego Archidyakona gnieźnieńskiego. Anon Rerum a: 1330—1426 gest: Historya przy gdańskiém wydaniu Kadłubka 1749 str. 108 wspomina: „Hunc quoque Ceistuthy patruum sibi offensum Wladislaus R. P. in caloribus balnearibus suffocavit."

(5) Alte Preuss. Chron. „der boze hunt." Voigt. Hist. Pr. V. 502.

go. Wszystkie poprzestają na dwuznacznych półsłówkach (1), blizkich zupełnemu uniewinnieniu Jagiełły (2). Ponieważ jednak, według wyrażenia się jednéj z kronik niemieckich (3), „życie opuściło Kiejstuta“ w ręku Jagiełły; ponieważ śmierć Kiejstuta rymowała z widokami Jagiełłowemi; ponieważ można było przypuszczać, że Jagiełło jako przyjaciel powieszonego Wojdyłły, siostra Jagiełły Marya, jako wdowa po tym Wojdylle, pragnęli chciwie śmierci Wojdyłłowego zabójcy, Kiejstuta: przeto każda z wzmianek o śmierci Kiejstutowéj pozwala sobie rzucić cień podejrzenia na wiadomość o *dobrowolnéj* śmierci starego książęcia (4). A jak syn Kiejstuta mógł późniéj wyrzec: że Jagiełło zgubił jego ojca (5); tak sami Krzyżacy nie wahali się w następnych czasach, nadać półsłówkom swoich kronik, znaczenie rzeczywistego obwinienia (6). Nam co do uznania winy lub niewinności Jagiełły, niegodzi się w naszych wymaganiach dokładnego udowodnienia rzeczy być surowszemi od najświętszych onego czasu dusz, którym bliższe w istocie obeznanie się z okolicznościami całego wypadku, wystarczało do uznania niewinności Jagiełły (7). Jedyną jego winą był nieszczęsném parciem wypadków narzucony spisek z zakonem. Niewiedząc zaś co zaszło w więzieniu krewskiém, wysłał tam Jagiełło swego brata Skirgiełłę do Kiejstuta. Skirgiełło „chcąc mówić z stryjem w więzieniu, zastał go już nieżywym (8)“. Nie pozostało mu nic więcéj jak sprowadzić ciało do Wilna, dla oddania mu czci ostatniéj. Odbył się ten obrzęd pośmiertny obyczajem pogań-

(1) Wigand Raczyński. 274. Przy mylności wyraźnego twierdzenia o Birucie, „submergunt.“ (Narbutt. V. 301) musi dotyczący Kiejstuta wyraz „strangulatu“, mieć wartość ogólnika, a ogólnikowość ta obraca się w końcu stanowczo przeciwko Wigandowi, gdy on późniéj str. 288 sam wyraźnie wyznaje: że „nikt w świecie nie wié, jakim sposobem Kiejstut zeszedł ze świata.“ Lindenblatta Jahrbücher str. 50 mówią o samobójstwie Kiejstuta.

(2) (3) Kron. Detmara str 321. „In der vengnisse verlos Kinstutte sinlif“, opuściło Kiejstuta życie.

(4) Archid. gnieź. 136, „ut dicitur“, Lindenblatt Jahrb. str. 50, „als man sagete.“ Voigt Hist. Prus. V. 371, 372.

(5) Wyraz Witolda w tranzakcyi z r. 1384 u Baczka Annal. des Königr. Voigt Hist Pr. 372.

(6) Voigt Hist Pr. V. 372. Handlung vider Polen.

(7) Jadwiga żąda przed ślubem z Jagiełłą wyświecenia pogłosek o śmierci Kiejstutowéj, i uspokaja się powziętą wiadomością. (8) Wigand. Raczyński. 288.

skim, z nadzwyczajną uroczystością. Na wileńskim zgliszczu Swyntoroga, nad wydrążoną wewnątrz na półtora chłopa mogiłą (1), uczyniono wielki stos z drzew suchych. „Tamże ubrawszy ciało Kiejstutowe we zbroje i szaty książęce, z orężem, włócznią i sajdakiem, położyli je na stos; a przy nim sługę wiernego żywego, konia najlepszego żywotnego, ubranego, parę chartów, sokołów i wyżłów, paznogcie rysie i niedźwiedzie, i trąbę myśliwczą; potém uczyniwszy bogom modlitwy i ofiary, i wyśpiewawszy dzielności jego, co za żywota uczynił, zapalili on stos drew smolny, i tak wszystko ciało zgorzało (2)". Obecni pogrzebowi Krzyżacy widzieli z przerażeniem, jak po przedarciu się płomieni do spodniéj warstwy drzew, cały stos runął z trzaskiem w niedostrzeżone przez nich wydrążenie mogiły, i nowym wybuchem ognia i dymu przestraszył lud zgromadzony (3). Brakowało przy pogrzebie najmilszych nieboszczykowi świadków, rodziny. Żona bohatera zmarłego, dawna pogańska kapłanka, Biruta, przeszło sześćdziesięcioletnia już niewiasta, została w tym samym czasie utopioną (4). Najsławniejszy z synów tęsknił w więzieniu wileńskiém. Z reszty pięciu Kiejstutowiczów, dwaj: Wojszwił i Wojdat już nie żyli; trzej: starszy od Witolda

(1) Wigand. 288. „Vorago..... pro funda in longitudinem unius viri et medii."

(2) Stryjkowski wyd Malin. II. 65. Pozwoliliśmy sobie anachroniczną „szablę" zamienić na oręż. Dalsze zaś słowa Stryjkowskiego: „Popiół, potém i kostki wypalone zebrawszy, w trumnie pochowali", mogą nam posłużyć za skazówkę do wyjaśnienia sprzeczności podań o poprzednim pogrzebie Olgierdowym. Mogło być, iż ciało Olgierda zostało naprzód (według Długosza) spalone, a taka „trumna z popiołem i kostkami", poszła potém (według kroniki ruskiéj) za staraniem księży greckich, poczytujących zmarłego księcia za tajemnego wyznawcę wiary Chrystusa, do cerkwi Bogarodzicy w Wilnie.

(3) W taki ponoś sposób należy sobie tłumaczyć owę „miraculosam voraginem", Wiganda. Szanowny dziejopis Litwy, wyszczególnił szczęśliwie „nowy wybuch ognia i dymu", lecz bez potrzeby każe swoim Lingussonom i Tylussonom czynić „nadzwyczajność".

(4) Wigand 274. Słowa Witolda w Baczka: Annal. des Kön. Pr. Voigt Histor. Prus. V, 372. Tamże: Handlung wider Polen. Tak stanowcze świadectwa przeważają wzmiankę Narbutta V. 301. 302, przedłużającą żywot przeszło sześćdziesięcioletniéj staruszki, do dalszych trzydziestu czterech lat.

Patirg, i młodsi: Zygmunt i Towciwiłł, dopiéro późniéj imienia w dziejach nabyli. Z córek, jedna z litewska Danuta, po chrzcie Anną nazwana, żyła, jak wiemy, za Januszem mazowieckim, księżną na Czersku i Zakroczymie; druga, Marya, za Iwanem książęciem twerskim; trzecia nieznanego imienia, za Kazimierzem księciem szczecińskim (1); czwarta i ostatnia, Ryngałła, równie niebezpieczna dla duchowieństwa, jak ojciec dla rycerstwa chrześciańskiego, przywiedzie w dalszym ciągu powieści naszéj, wdziękami swemi jednego z biskupów polskich do stanu małżeńskiego.

Teraz jednakże cały ród Kiejstuta w poniżeniu. Pojmanego Witolda przeniósł niebawem rozkaz Jagiełły z Wilna do Krewa. Tam w świéżo przez ojca opróżnioną wieżę wtrącony, mógł Witold najsroższego lękać się losu. Poznał bowiem Jagiełło przedsiębierczą duszę stryjecznego brata swojego, i okazał się dlań nader surowym. W jedyny dowód łaski, pozwolono mu widywać żonę w więzieniu. Przychodziła księżna Anna codziennie pod wieczór z dwoma służebnemi pannami, które jéj łoże słały. Ciągła jednostajność tych odwiedzin, uśpiła czujność straży. Jednego razu postrzega dozorca zamku po wyjściu księżny z pannami, zamiast Witolda, jednę z tych panien w odzieży więźnia. Wszelkie poszukiwania były nadaremne.

Witold za radą żony przywdział strój jednéj z panien służebnych, a że był drobnéj postaci i niewieściego oblicza (2), więc niepostrzeżony, wyszedł za księżną wraz z drugą panną z wieży, i umknął wkrótce z zamku (3). Poczém nie zdało mu się rzeczą stosowną szukać przytułku gdzieindziéj, jak u Krzyżaków. Potęga Niemców pruskich, zaciążyła do tego stopnia nad Litwą, że jeźli nie wojną, tedy przyjaźnią, ucieczką do nich potrzeba koniecznie wiązać się z nimi. Odnawiając zatém wste-

(1) Narbutt Dzie narod litew. V. 302. 303.

(2) Długosz Hist. XI, 558, „In corpore ejus et tenuitas notabatur et brevitas". Stryjkowski Mal II. 66 „bez brody",

(3) Ze wszystkich świadectw kronikarskich, jeden Wigand str. 200. mógłby dać powód po wniosku, że nie któraś z panien, lecz sama księżna Anna, zamiast męża w więzieniu pozostała. Atoli niedokładność słów jego niemówiących nic o pozostaniu księżny w więzieniu, każe zgodzić się na powyższy sposób opowiadania. Długosz Histor. X. 66. Narbutt V. 305. acz Voigt V. 409. do przeciwnego chyli się zdania.

cznym sposobem dawną drogę ojca Kiejstuta z niewoli krzyżackiéj przez Mazowsze, zmierzał teraz Witold przez toż samo Mazowsze, przez książęcy dwór swojéj siostry Danuty w Czersku, do ziemi pruskiéj w gościnę, będącą w rzeczy tylko dobrowolną niewolą. Jaki los spotkał pozostałą w więzieniu krewskiém Litwinkę pannę służebną, nie wspominają dzieje (1). Dowiadujemy się za to, iż upadkowi Kiejstuta i Witolda towarzyszyło krwawe pognębienie przywiązanéj do dawnych bogów Żmudzi. Wielu możnych Żmudzinów, między któremi stryj i wnuk dawnéj kapłanki żmudzkiéj, księżny Kiejstutowéj Biruty (2), przypłaciło śmiercią na kole (3) swój udział w ostatniém podźwignięciu starodawnéj narodowości i wiary. Ale jeszcze sroższém dla niéj niebezpieczeństwem groziły dalsze obecnych zdarzeń następstwa. Z tych, najsmutniejszém okazuje się teraźniejszy stosunek osadzonego przez zakon na tron litewski Jagiełły do Krzyżaków, swoich sprzymierzeńców i mistrzów. Byłto stosunek zupełnéj uległości. Obaczym jéj wszechstronność w dokumentach, jakiemi Jagiełło musiał zapisać się Krzyżakom w nieszczęsnéj chwili, mającéj być błogiém dla Niemców uwieńczeniem całego obecnego przesilenia narodowego w Litwie.

Jestto właśnie chwila onego zjazdu z wielkim mistrzem krzyżackim, na który zawezwał go Jagiełło w tym samym czasie, kiedy również przychylny Niemcom nowy władzca, również upokorzonéj Polski, owszem sam Niemiec, Luxemburczyk Zygmunt, zaprosił wielkiego mistrza na poufną u granic polskich rozmowę. Upadek bowiem Kiejstuta, zdarzył się prawie jednocześnie z śmiercią króla Ludwika, w miesiącu sierpniu 1382 r. Jednocześnie też i *Polska* wstrząśniona swoim nowym w Koszycach ustalonym porządkiem rzeczy, pod swoim nowym „panem“ Niemcem Zygmuntem; i *Litwa* rozchwiana obaleniem dawnego pogańskiego porządku rzeczy, pod swoim nowym z Niemcami sprzymierzonym władzcą Jagiełłą, kłonią się do

(1) Narbutta nieoznaczone bliżéj źródło: „Rękopism starej daty“, jest ponoś niedość stare i wiarogodne.

(2) Latop Lit. Daniłł 38. Narbutt Dzi nar lit V. 307.

(3) Jeżeli szanowny Narbutt V. 308 złajał Stryjkowskiego za mylne upatrzenie wyrazu „koło“ „kołeso“ zamiast „kół“, tedy musimy ująć się za Stryjkowskim wskazaniem tegoż właśnie wyrazu „na kolese rozbili“, w głównym Latop. lit. Daniłł. 38.

stóp tryumfującego zakonu niemieckiego, przed jego, w tymże właśnie czasie, po śmierci Winryka, nowym wielkim mistrzem Konradem Colnerem de Rotenstejn. I trudno orzec, który z obudwóch sąsiednich ludów smutniejszego w téj porze doświadcza upokorzenia.....

Polska, pocieszona dotąd nadzieją, że przy rozdziale koron węgierskiéj i polskiéj po śmierci króla Ludwika, zabrana przez Węgrów Ruś Czerwona będzie mogła wrócić do Polski, musiała teraz patrzéć, jak stary Gedyminowicz Lubart, książę na Łucku i Włodzimierzu, na wiadomość o śmierci Ludwikowéj, przekupił starostów węgierskich w grodach czerwono-ruskich, i wetując na Polsce pognębienie Litwy ze strony Niemców, zagarnął pod panowanie Litwy mnogie „pracą i krwią polską nabyte zamki“, jakoto: Krzemieniec, Olesko, Przemyśl, Grodło czyli Horodło, Łopatyń, Śniatyń i inne (1). Taka nowa zniewaga padła teraz Polsce ze strony Litwy. Litwa zaś upraszając wielkiego mistrza o zjazd, który tylko zakonowi zaszczyt i korzyść przynosił, musiała wzajem boleśnie uczutéj doznać zniewagi (2), iż wielki mistrz krzyżacki nie raczył nawet osobiście przyjąć hołdu Jagiełły, lecz spiesząc na zjazd z Zygmuntem, wyprawił do Litwy, na umówioną wyspę na rzece Dubissie, marszałka zakonu Konrada Wallenroda, z mistrzem inflanckim i kilką innemi urzędnikami. Z Jagiełłą nadpłynęli statkami na Dubissę: owdowiała wielka księżna Olgierdowa, matka Julianna, najbliższy po Jagielle brat Skirgiełło, obdarzony niedawno Kiejstutowem księztwem trockiém, i wspólnie z Jagiełłą w imieniu całéj rodziny działający; młodsi bracia: Korybut, Langwenii, Korygiełł, Wigand i Swidrygiełło; wreszcie ów niemiecki mieszczanin i rządca Wilna „nasz wierny sługa“, jak go Jagiełło w dokumentach nazywa, Hanko z Rygi. Sześć całych dni trwały układy (3). Co w nich na korzyść zakonu postanowiono, zostało spisane w trzech ważnych niemieckich dokumentach. Piérwszym (4), oddaje Jagiełło wraz z rodziną,

(1) Archid. Gnieźnień. 138. Narbutt V. 312.

(2) Że Jagiełło ją uczuł, okazuje się z późniejszego tłumaczenia się Krzyżaków, dlaczego wielki mistrz osobiście podówczas przybyć nie mógł. Raczyński Cod dip. Lithu. 64.

(3) Raczyński Cod. dipl. Lithu. 65 „sechs gantze tage“.

(4) Tamże 57.

zakonowi niemieckiemu na własność cały kraj żmudzki od morza aż po rzekę Dubissę. Drugim (1), przyrzeka Jagiełło w imieniu braci i ludu, przyjąć w przeciągu czterech lat chrześciaństwo. Trzecim (2), porucza się Jagiełło z całym rodem i krajem zwierzchniczéj opiece zakonu, obowiązując się pomagać mu we wszystkich jego wojnach i przedsięwzięciach, a nie podejmować ze swéj strony żadnego przeciw nikomu kroku „bez rady, wiedzy i zezwolenia zakonu". Ważność tych ofiar i zobowiązań nie potrzebuje bliższych objaśnień. Dla tém pewniejszego obalenia pogańskiéj narodowości w Litwie, zostaje najwarowniejsza twierdza pogańska, Żmudź, poświęcona darem krzyżactwu, uzyskującemu w ten sposób zamierzone wydarcie Litwie tego, z czego ją pomyślne okoliczności przed chrztu bliskiego przyjęciem, wyzuć jeszcze dozwolą. Po próżnym śmiechu Gedyminowiczów z onego niegdyś wezwania na chrzestną ceremonią w Wrocławiu, przyszło przecież do poniewolnego przyzwolenia na takąż ceremonią w saméjże Litwie.

Litwa wstąpiła w przymusową współkę wojny i pokoju z wrogiem śmiertelnym. I niedość jeszcze na tém. Dopiéro niebawem po tym zjeździe nad Dubissą, dostał się Witold przez Mazowsze do ziemi pruskiéj. Krzyżacy przyjęli go uprzejmie, gdyż w razie przeniewierzenia się Jagiełły, służył im syn Kiejstutów za nader szczęśliwe narzędzie nowego zawichrzenia, i nowego zaboru Litwy w podobnyż sposób, w jaki Jagiełło przeciw Kiejstutowi posłużył. Czy z Jagiełłą, czy z Witoldem w ręku, panował zakon nad Litwą. Jako pan Prus, Inflant, polskiego Pomorza, litewskiéj Żmudzi, zwierzchnik Jagiełły, sojusznik pogwałconéj przez siebie Polski Zygmuntowéj, przytłoczył zakon niemiecki znaczną część wschodu europejskiego swojém brzemieniem. A niemieckie to brzemię gniotło tém ciężéj, iż, jak to obraz potęgi zakonu przedstawił, cała zachodnia zagranica, w szczególności niemczyzna, popierała jego cele zaborcze, spółpracowała z nim razem nad dziełem przywłaszczenia sobie tych wschodnich Europy dziedzin. Toć równocześnie z zagarnięciem Pomorza i Żmudzi przez Niemców krzyżackich, zagarnęła niemczyzna luxemburska z Czech cały Szląsk polski; wdzierała się niemczyzna naddunajska z Rakuz do Węgier.

(1) Raczyński Cod. dipl. Lith. 56
(2) Tamże str. 59.

W takim składzie rzeczy, nie chodziło już dziejom o Polskę lub Litwę poosobnie, a chodziło o całą słowiańską Europę. Potęga krzyżacka przestawała być potęgą samegoż zakonu, a biła w Słowiańszczyznę jako najbliższa, najpotężniejsza fala powszechnego nacisku zachodu na wschód, fala starodawnego powszechnego nawału teutonizmu na Słowiańszczyznę. Przyzwyczajeni do widzenia rzeczy w takiéj postaci, w jaką one poźniéj zbiegiem niespodzianych wypadków i okoliczności inaczéj ułożyły się; nie czujemy bolu i trwogi ówczesnego niebezpieczeństwa: lecz pokolenia ówczesne czuły i pojmowały je gorzko, i godzi się w powieści dziejowéj, mającéj opowiadać koleje szczęśliwego w części odparcia, grożących z zachodu niebezpieczeństw, dać głos téj narodowéj obawie, dać widok temu śmiertelnemu podówczas wezbraniu fal teutonizmu.

POGRZEB KMIOTKA.

W jesienny ranek z wieży kościoła
Jęknął poważnie żałobny dzwon,
Zwiastując kmiotkom cichego sioła,
Zmarłego druha pobożny skon.

Z drabiastym wozem, woły strokate
Zaszły powoli przed nizki próg;
A lud się tłumem garnął przed chatę,
Kędy przed dobą—śmierć zesłał Bóg!

Ujęli kmiecie trumnę na bary,
I każdy w niebo modlitwy słał
Za bratem, co dni dobiegłszy miary,
W sosnowéj trumnie na wieki spał.

Na garści słomy złożyli społem
Tego, co ziemski skończył już trud!
Ruszyły woły, a z kornym czołem
Za wozem mnogi pociągnął lud.

Czarną chorągwią smutno wiatr wieje,
Szumiąc ponuro w konary drzew;
Zgasłego życia opowiada dzieje,
Którym pogrzebny wtoruje śpiew.

Krótkieżto dzieje! Bez blasku, chwały,
Bez marnéj wrzawy, bez rojeń, złud,
W pracy i znoju zbiegł żywot cały,
Jak cichy potok nieznanych wód.

Krajał on pługiem jałową rolę,
Boga modlitwą i pracą czcił;
Splatając wzajem trud, i niedolę,
Ciernisty wianek żywota wił.

Z skowronkiem piosnkę słał on w niebiosa,
Składając w dani gorycz i ból;
A gdy porankiem zalśniła rosa,
Krzepił pierś wonią—rodzinnych pól!

Pracował, cierpiał, kochał, i prosił,
Własny mu zagon stanął za świat;
Z wiarą krzyż ciężki na barkach znosił,
Aż dobiegł zwolna kresu swych lat.

I oto ciche cmentarza wrota,
A grób otwarty przyzywa już;
Za trumną idzie żona sierota,
Przy niéj dziateczek gromadka tuż.

Tęskny jęk dzwonów, poranna rosa
Z żałobném pieniem i sierot łzą,
Niesie pospołu prosto w niebiosa,
Pokryte grubą, jesienną mgłą.

Ksiądz skropił trumnę wodą święconą,
By złe nie trafo zmarłemu snu;
A kmieć brat z wiarą, na martwe łono
Garść czarnéj ziemi porzucił mu.

I zapłakała żona—sierota,
Żegnając zimny na wieki grób;
Dziad zawarł ciche cmentarza wrota,
Gdzie z zmarłą bracią pozostał trup.

I znów spokojnie, cicho wśród wioski,
Zamilknął dzwonów żałobny jęk:
Anioł ukoił zbolałych troski,
Praca sieroty zgłuszyła jęk.

Wieczorem szedłem znów środkiem sioła:
Dziateczki cichy obsiadły próg,
Matka sierotę do strawy woła!.. ..
O! czyż im serca odmówił Bóg?

„Nie! nie odmówił (głos mi odpowie
Niby z powietrznych płynący fal);
O! snadno przebrzmi, gdy w łzach i słowie
Z zbolałéj piersi wyplynie żal!"

„Milczące skargi, Bóg z nieba słyszy,
Anioł je wznosi nad ziemskie nigły,
Żywot prostaczków upływa w ciszy:
Gdzie cichy żywot—ciche tam łzy".

Wyjątek z przekładu tragedyi Sofoklesa:

ELEKTRA,

wygotowanego do druku

PRZEZ

Antoniego Maleckiego.

OSOBY DRAMATU:

Klitaemnestra, królowa w *Mycenach.*
Aegisthos, jéj drugi mąż, król mycenejski.
Elektra,
Orestes, } dzieci *Agamemnona* i *Klitaemnestry.*
Chrysothemis,
Paedagogos czyli Stary sługa domu Agamemnona, piastun *Orestesa.*
Pylades, królewicz *phocejski*, przyjaciel *Orestesa.*
Chór piętnastu szlachetnych dziewic mycenejskich.

WSTĘP.

Co najwięcéj może uderza w sposobie starożytnych tragików, to ścisłość formy, przestawanie na małem w przyborach: słowem, ograniczenie w środkach. Kiedy dramat grecki stanął pod ręką *Sophoklesa* na wysokości, nad jaką w wiekach starożytnych już się nie wzniósł; uważano za regułę, ażeby w sytuacyach pojedyńczych, tworzących wątek dramatu, nie działało na scenie nigdy więcéj osób razem, jak *trzy*. Napotykamy wprawdzie sceny, w których występuje *jedna* tylko, albo *dwie* osoby;

ale nigdy nie znajdziemy, gdzieby ich było więcéj naraz jak *trzy*. Samo się rozumié, że mowa tu jest o osobach rzeczywiście *mówiących*; gdyż *ról niemych*, jaką np. w tragedyi obecnéj jest *Pylades*, który się wcale nie odzywa, mogło być oprócz tamtych ile się tylko podobało poecie. Również nie ściąga się, co mówię, do *chóru*, gdyż ten zajmował miejsce od sceny i znaczeniem i odległością odrębne: tak zwaną *orkiestrę*. Tak samo i w *orszaku* którego z bohaterów działających bywa czasem wielka ilość osób; tych jednak za role dramatyczne także bynajmniéj nie uważano.

Pomiędzy temi trzema osobami zachodzi zawsze taki stosunek, że *piérwsza* wyczerpuje w sobie całe *pathos tragiczne* chwili danéj; *druga* je dzieli z piérwszą, ale w sposób dopełniający tylko, i, że powiem, powierzchowny; *trzecia* nakoniec pozostaje albo *ponad*, albo *poniżéj* uczuć, zażegających tamte osoby, i jako taka stanowi w dramacie osobę tylko dodatkową, pomocniczą i podrzędnie współdziałającą.

Spostrzeżenie powyższe zląd jest ważniejsze, niżby się wydawało na piérwszy rzut oka, że bez przestrzegania téj zasady nie byłaby mogła miéć miejsca *druga* obserwancya praktyki scenicznéj u starożytnych, która jak dla nas nowożytnych prawie dziwną się widzi. *Mówię tu o fakcie dowiedzionym i bezwyjątkowym, że do odegrania całego dramatu nigdy nie dawano poecie więcéj aktorów, jak trzech.* Ci trzej byli winni obsadzić i zapełnić wszystkie role, jakie tylko sztuka w sobie obejmowała.

Działo się zatém, że wszystkie role, które w pojedyńczych sytuacyach czyli scenach występowały jako *piérwsze*, t. j. jako całkowicie *patetyczne*, oddawano aktorowi najzdolniejszemu; wszystkie zaś role dopełniające czyli *drugie*, mniéj zdolnemu; a nakoniec wszystkie podrzędne czyli *trzecie*, trzeciemu, najmniéj zdolnemu pomiędzy nimi.

Samo się rozumié, że co tu mówię o *zdolności* lub *niezdolności* aktorów starożytnych, jest nader względnem. Kto zna wymagania artystycznych Greków od wszelkich wyobrazicieli sztuki; komu nie tajno, jakie zadania równocześnie winni byli spełniać artyści dramatyczni w wiekach klassycznych, tak pod względem deklamacyi, jak muzyki i orchestyki: ten wyrozumié, że najmniéj zdolny, skoro był dopuszczony do wystąpie-

nia przed attycką publicznością, przewyższyłby niejednego, którego my podziwiamy jako wielce już utalentowanego artystę.

Ten więc aktor, który występował w roli naczelnéj, t. j. w roli bohatéra tragedyi, i w rolach najwięcéj doń zbliżonych (jeżeli właśnie były takowe w składzie dramatu), uważany był za *aktora pierwszego rzędu*, i nazywał się *protagonistą* téj sztuki. Aktora, który odgrywał wszystkie role *drugie*, nazywano *deyteragonistą* (graczem *drugiego rzędu*); przedstawiciela zaś ról podrzędnych, *tritagonistą* czyli graczem *trzeciego rzędu*.

W zastosowaniu tego wszystkiego do naszéj sztuki, rozkład osób dramatu pomiędzy artystów wykonawczych scenicznych, przedstawia się jak następuje:

Elektra . . . . . grana była przez *protagonistę*.

Orestes . . . . . } „ *deyteragonistę*.
Chrysothemis i } „ *deyteragonistę*.
Klitaemnestra, }

Aegisthos i . . . } „ *tritagonistę*.
Stary sługa. . . } „ *tritagonistę*.

Pylades był „*niemą maską*" jak się wyrażali starożytni, czyli osobą milczącą. Również i *orszak Orestesa* i *służebnice Klitaemnestry*, przytomne na scenie w milczeniu.

Chór składały inne osoby, tak zwani *Choreyci*, t. j. baletnicy i śpiewacy.

Że *protagonista* prócz *Elektry* nie miał w téj sztuce już żadnéj innéj roli do odegrania, to wynika najprzód ztąd, że żadna inna osoba do składu téj tragedyi wchodząca nie przedstawia takiéj namiętnéj walki uczuć i woli, jak Elektra; a daléj i z samego architektonicznego porządku, albowiem prawie wcale ona sceny nie opuszcza.

Z równą pewnością godzi się wnosić, że rola *Orestesa*, *Chrysothemidy i Klitaemnestry* oddane były przez jednego i tego samego aktora, t. j. przez *deyteragonistę*. Wszystkie trzy te osobistości zajęte są *czynnie* wprawdzie, ale *nie* naczelnie zadaniem spełnić się mającém w ciągu dramatu. *Orestes* rzecz rozstrzyga i rozwięzuje powikłanie tragiczne, to prawda; ale przybywa na scenę z zamiarem już gotowym, i wykonywa bez gorącego uniesienia to, po co przybywa. *Klitaemnestra* przy całéj zabiegliwości swojéj jest tylko oporną, a zatém *bierną*. *Chrysothemis* nakoniec, obok Elektry, przedstawia się jako

umiarkowanie obok namiętnego zapędu, jako rozsądek obok uczucia, nieodpowiedzialnego już za czyny, do jakich mimowolnie jest niesiona przez cały obrot wydarzeń. Że tak jest, to potwierdza też i sama architektonika dramatu, jeślibyśmy się w niéj bliżéj chcieli rozpatrzéć. Dwie naraz osoby z tych trzech, nigdy nie pojawiają się równocześnie na scenie. Natomiast występuje pojedyńczo tak obok *Elektry* (jako tego prawie cały dramat dowodem), jak obok *sługi* (obacz scenę od wiersza 1) i *Aegisthosa* (obacz scenę ostatnią). A zatém tak *Elektra*, jak *Aegisthos* i *sługa*, były grane przez drugich dwóch aktorów, nie zaś przez *deyteragonistę*.

Jeden i ten sam aktor grał nakoniec rolę *Aegisthosa* i *sługi*. Byłto *tritagonista*. Dwie te osoby naraz nigdy nie występują. Natomiast dowodzą sytuacye, jak n. p. scena od wiersza 1, 653, 1318, i t. d. że ani *Aegisthos*, ani *sługa* nie mógł być przyłączony ani do zadania protagonisty, ani deyteragonisty. Zkądinąd sama natura rzeczy naprowadza na wniosek, że charaktery te, o ile są podrzędne w osnowie dramatu, tworzyć musiały właśnie role trzeciego rzędu.

Rzecz dzieje się w *Mycenach*, jednéj ze stolic kraju *Argos* w Peloponezie.

Czas:—*wiek heroiczny* przedhistorycznéj Grecyi.

Co zaś do samego *wydarzenia*, wystarczy zapewne, co poniżéj zapisujemy:

Syn *Atreysa*, *Agamemnon*, pan *Mycen* i *Argu*, najpotężniejszy z królów helleńskich, potomek głośnego sławą, ale też obarczonego rozliczną zbrodnią, rodu *Pelopidów*, poprowadził jako dowódzca naczelny siły greckie do *Troi*, by skarać *Ilion* za uprowadzenie *Heleny*, dokonane przez trojańskiego królewicza *Parisa*. Dziesięć lat trwała ta wojna. W ciągu tak długiego czasu nie sami tylko mężowie wystawieni byli na codzienne boje na ziemi obcéj; równie i żony ich, w domach same pozostawiane, znajdywały się nieraz w trudnych położeniach, gdzie walczyć trzeba było obowiązkowi przeciw chwilowéj skłonności, wierności dla prawego męża, przeciw natarczywości ponętnych zalotników. Znana jest stałość i fortele *Penelopy*, żony *Ulissesa*, przez które zaledwo się oparła formalnemu oblężeniu swych konkurrentów. Nie wszystkie jednak żony wojowników z pod Troi

były tyle szczęśliwe. Najfatalniéj upadła małżonka samegoż ich wodza, królowa *Klitaemnestra*, żona Agamemnona. Była bo téż przyrodnią i snać nieodrodną siostrą *Heleny*! Podczas gdy bohaterski *Agamemnon* w obozie, zjawia się w jego domu zniewieściały *Aegisthos*, jego brat stryjeczny, syn *Thyestesa*. Niezdatny do boju na polu sławy, tém obrotniejszy był w zabiegach, których sceną ciasna komnata niewieścia; i stało się, że *Klitaemnestra*, zapomniawszy i męża i obowiązku, jemu rękę i tron królewski oddała. Jest coś w naturze ludzkiéj, że i najgorsze serce nim się dopuści niedobrego uczynku, musi wprzód rozgrzeszenie znaleźć w obec własnego rozumu! Rozgrzeszenie takie znalazło się i dla *Klitaemnestry* z okazyi następującego wypadku. Kiedy się jeszcze wojska greckie zbierały na wyprawę trojańską, i kiedy połączone pod miastem *Aulis* w *Euboei*, miały na okrętach wyruszyć daléj: nastąpiła taka cisza morska w całéj téj okolicy, że nie można było ani naprzód wyjechać, ani napowrót. Przykuci do miejsca przez czas niemały, zapytali wreszcie Grecy wyroczni, co tego przyczyną, jaki na to sposób? Wyrocznia odpowiedziała, że to *Agamemnon* plagi téj winien, który zabił nieświadomie na łowach daniela poświęconego *Artemidzie*. Gniéw bóstwa wtedy dopiéro będzie przebłagany, kiedy własną córkę poświęci *Agamemnon* jako ofiarę na ołtarzu bogini. Że nie było sposobu uczynienia w inny sposób zadosyć woli *Artemidy*, wódz zmuszony został przez wojsko do wykonania wyroku: posłał przeto do domu po *Iphigenią*, jednę z córek swoich, i krwią jéj zbroczyły się ołtarze. Otóż zajście, które posłużyło *Klitaemnestrze* za wymówkę. Złamała wiarę mężowi, *jako zabójcy własnego dziecka*; oddała się *Aegisthosowi*, a co większa, uknuła nadto wraz z nim zamiar zabicia *Agamemnona*, skoro powróci z wojny.

Po dziesięciu latach wraca do domu zwycięzki pan i król mycenejski. Zamiast serdecznego przyjęcia i wypoczynku po trudach, znalazł piérwszego zaraz dnia po przybyciu swojém, przy rzęsistéj wrzkomo uczcie, śmierć dawno dla siebie przygotowaną. Pomiędzy dziećmi *Agamemnona* i *Klitaemnestry*, był jeden tylko syn, imieniem *Orestes*. Ten lubo w owéj chwili nie miał lat więcéj jak około 12, przecież z obawy, ażeby z czasem nie wystąpił jako mściciel rodzica, zamierzyła *Klitaemnestra* i jego zgładzić. Zapobiegła przecież téj zbrodni jedna z córek *Agamemnonowych*, *Elektra*, wiekiem starsza od Orestesa, i wy-

prawiła brata potajemnie przed matką i Aegisthosem do jednego z krewnych swoich, panującego w kraju *phocejskim*, imieniem *Strophiosa*. Wykonawcą tego jéj zlecenia był *stary sługa* domu Pelopidów. Ten nietylko zaprowadził *Orestesa* do *Phocei*, ale i czuwał nad jego młodością, jako nauczyciel i piastun jego, czyli, jak się poeta wyraża, jako „paedagogos" młodego królewicza. Od téjto chwili aż do czasu, kiedy się akcya dramatu naszego poczyna, upłynęło lat *ośm*. Klitaemnestra razem z Aegisthosem opływają w szczęście wszelkie; dzieci Agamemnona ponosić muszą uciemiężenia tak ze strony okrutnéj matki, jak nikczemnego ojczyma; potęga kraju niszczeje coraz widoczniéj. Klęski te szczególniéj odbijają się w duszy i doli Elektry, która ani umié, ani chce sztucznie pokrywać nienawiści do nieprawych przywłaścicieli tronu jéj ojca. Tymczasem Orestes spędza lata młodociane bezpiecznie w domu *Strophiosa* we Phokis, i wyrasta na młodzieńca wzrostu olbrzymiego, a woli potężnéj. Nie zapomina o obowiązku pomsty za ojca, włożonym na siebie przez siostrę, która go wybawiła od śmierci; ale się nie kwapi do spełnienia onéj przed czasem. Wreszcie doszedłszy lat blizko dwudziestu, staje przed *wyrocznią delficką*, aby wyrozumiéć: jaka jest wola bogów w téj sprawie. Przez usta kapłanki daje mu rozkaz *Apollo* przystąpić do czynu natychmiast. Poczém przybywa Orestes wraz z przyjacielem młodości swojéj *Pyladesem*, synem Strophiosa (a późniejszym mężem Elektry), do domu ojców swoich niespodzianie i potajemnie; i scena piérwsza dramatu właśnie od téj chwili prowadzi rzecz daléj.

Dla nadania rzeczy właściwych ram, dorzucam jeszcze następujące data o sposobie i miejscu przedstawienia obecnéj sztuki.

Teatr, dla którego została napisana *Elektra*, t. j. teatr ateński, mieścił w sobie 30,000 widzów.

Był on zbudowany a raczéj wykuty w podnóżu skały, na któréj szczycie wznosił się gród ateński. Byłato zatém jakby ogromna jama, poziomo chyląca się w formie półkola. Amfiteatr, t. j. miejsce gdzie zasiadała publiczność, tworzyły ławy coraz szerzéj i coraz wyżéj się piętrzące ku górze. Te ławy, byłyto warstwy naturalnego głazu, tworzącego miąższość owéj skały,

ogładzone wedle potrzeby, i gdzie były szczerby, kunsztownie nadłożone innym kamieniem.

Dachem téj ogromnéj budowy, było gołe niebo.

Naprzeciwko tego półkola wystawiony był w *klamrę* budynek murowany, zwrócony frontem do widzów. Front środkowéj części tego budynku tworzył głąb sceny; dwa zaś skrzydła stykające się z tą częścią po obydwu stronach pod kątami prostemi, stanowiły boczne ściany miejsca, które ciągnąc się w przedłużony czworobok, było *widownią*, czyli, jak się już wyraziłem, *sceną* tego olbrzymiego teatru.

Występujący na niéj aktor grecki, ażeby być widzianym przez całą rzeszę zapełniającą teatr, przywdziewał *kothurny*, rodzaj obuwia zachodzącego prawie do kolan, którego wysokość dosięgała często stopy i więcéj. Nie przestając na tém, wkładał sobie i na głowę tak zwany *onkos*, za pomocą którego jeszcze więcéj przedłużały się naturalne rozmiary postaci ludzkiéj. W miarę zolbrzymionéj *wysokości* postawy, były przyrządy nadające mu i *wszerz* wielkości.

Również potęgowano i głosu donośność za pomocą masek, których akustyczne przyrządzenie zresztą nie jest nam znane. Bez maski takiéj nigdy się aktor nie pojawiał przed publicznością grecką, i w ogóle przed żadną starożytną.

W sposób taki podniesiona postać przyrodzona człowieka, wyrównywała dopiéro ideałowi *Homera*, którego pieśni były skarbnicą tragików greckich, a sposób zapatrzenia kanonem wiary potomnych.

Jako więc śpiewał wieszcz ten pra-stary o bogach i herosach bohaterskiego wieku Hellady, że ludzkiéj byli postawy, lecz większéj siły, piękności i kolosalniejszych rozmiarów ciała, „niżeli ludzie dzisiejsi"; takimi téż dawała ich widzieć scena ateńska swéj publiczności, i potęgowała nietylko charaktery, ale i samą powierzchowność bohaterów tragedyi.

(Dla ułatwienia porównywania przekładu z oryginałem, dodane są liczby bieżące wierszy textu greckiego. Wzięto za podstawę wydanie *Schneidera*).

ELEKTRA.

Scena przedstawia przedsionek zewnętrzny grodu królewskiego w Mycenach.—W głębi front tegoż gmachu z trojgiem bram.—Koło nich posągi bogów i ołtarz ofiarny.—Po obu stronach sceny, widok na dalsze okolice miasta.— Rzecz dzieje się o świcie.

ORESTES, SŁUGA, PYLADES I ORSZAK ORESTESA.

Sługa.

Synu męża, co pod *Ilion* wojsk helleńskich był hetmanem (1),
Orestesie! *Teraz* pora żywém spojrzéć okiem w okół
Na ten kraj ojczysty tobie, kędy zawsze myśl cię niosła.
Oto *tam* jest *Argos* stare, do któregoś tyle tęsknił,
Poświęcone *Inachowéj* opętanéj szałem córze (2);
To zaś boga-wilczobójcy (3) *plac lycejski*; a po lewéj
Hery słynnato świątynia; dokąd zasię przybywamy,
Wiédz, że widzisz te *Myceny*, głośne złotem i potęgą!
(*wskazuje na gród królewski*)
Oto dom obarczon zbrodnią dziadów twoich *Pelopidów*!
Ztądto zpośród krwi rodzica twego cię uniosłem kiedyś,
Ręką siostry twéj rodzonéj zbawionego otrzymawszy,
(*podnosi rękę ku głowie Orestesa*)
Wychowałem na *takiego*, na mściciela śmierci ojca!
Toż więc teraz Orestesie, i ty z obcych najżyczliwszy
Pyladesie, jak najprędzéj radzić trzeba, co poczynać,
Bo już słońca promień jasny budzi ptastwa gwary ranne,
Gwiazdy gasną, noc się chyli.— Zanim kto więc z grodu wyjdzie,
Ułóżcie się w mądréj radzie; bo to chwila *nie* potemu,
By się wahać i rzecz zwlekać; ale sama czynów pora!

Orestes.

O najmilszy ze służebnych, jakież dajesz oczywiste
Znaki, że mi życzysz wiernie! Jako rumak on szlachetny,

(1) *Agamemnona.*

(2) *Jo*, córka *Inachusa*, panującego niegdyś nad *Argos*, była kapłanką *Hery* (Junony), i potajemnie kochanką *Zeysa*. Zazdrosna Hera dostrzegłszy niewiary małżonka, zesłała szaleństwa na Jonę.

(3) „*Wilczobójca*"—Lykcios—przydomek *Apollina.*

Co choć stary, nie upadnie w chwili ciężkiéj na otusze,
Ale w górę stawia uszy: równie nas i *ty* popędzasz,
Sam na przodzie przed drugimi.
Toż obwieszczę, co zamyślam; ty zaś bystry dawaj posłuch
Na wyrazy, jakie powiém; a jeżeli w czém pochybię,
Przestaw w lepsze. — Kiedym stanął przed wyrocznią, przed *pythyjską*,
Chcąc posłyszéć, w sposób jaki mogłbym spełnić mściwą karę
Na mordercach ojca mego: wróżył *Phoebus*, co usłyszysz:
„Bez zbroicy, i bez tarczy, i bez wojska, i samemu,
„*I podstępem zatajonym ziścić krwawy ręki zamach.*“
Kiedy takie więc wieszczenie posłyszałem z ust wyrocznych,
Ty się zabierz; w chwili zręcznéj prowadzony krokiem zręcznym
Wniknij w wnętrze grodu tego, i co dzieje się, rozpoznaj
I dokładnie nas o wszystkiém, świadom będąc, zawiadomij;
Bo nie poznać im już ciebie żadną miarą w téj starości,
Nie widziawszy czas tak długi; i zawierzać będą ufnie
Téj siwiznie, w którąś zakwitł. Mowy zaś zażyjesz takiéj,
Żeś przychodzień od Phocei; że cię przysłał *Phanoteys*:
Mąż-to bowiem najwierniejszy jest towarzysz ich oręża.
I oznajmij, uroczyste dokładając zaręczenie,
Że *nie żyje* już Orestes, że przeznaczeń nieuchronność
Na igrzyskach go pythyjskich wytrąciła z niesionego
W całym pędzie wozu. — Taka niechaj będzie powieść twoja!
(*do Pyladesa i towarzyszów*)
My zaś, jako rozkazano, przedewszystkiém cześć mogile
Rodzicielskiéj dajmy zbożną szczodrym zdrojem płynów świętych
I wiązanką włosów z głowy (1); a następnie wrócim znowu
W rękach niosąc śpiżo-biodrą czarę (2), co ją w oczeretach
Jako wiész i sam, ukryłem; by słowami łudząc onych,
Słodkie zanieść zwiastowanie, że się oto już rozwiała
Postać moja wśród płomieni i rozpadła w popiół nikły!
Bo cóż miałoby mnie smucić, że umarłszy wedle *słowa*,

(1) Zlewano groby zmarłych ofiarą mleka, wina, oliwy, miodu lub wody. — Również poświęcano im końce włosów swoich z głowy odcięte.

(2) Urnę, wrzkomo z popiołami Orestesa.

Wedle *rzeczy* żyw zostanę i wyniosę z tego sławę?
Żadne, sądzę, złém nie będzie słowo, które zysk przynosi.
Wszakże mądrych nawet często już widziałem, co w pogłosce
Umarłemi byli wrzkomo, a następnie gdy do domu
Powrócili, tém rozgłośniéj zasłynęli czcią i sławą.
Równie *ja* też tuszę sobie, że przez wieść tę pełen życia
Zajaśnieję wrogom jeszcze, by w ciemnościach nocnych gwiazda.
Tylkoż, o! ojczysta ziemio i bogowie wy domowi,
Z błogodawczém mnie przyjmijcie powitaniem na téj drodze,
I ty domie ojców moich!—Wszak przybywam po słuszności
Jako twój oswobodziciel, z dopuszczenia bogów zesłan.
Niech daremnie nie odejdę z tego kraju, pohańbiony,
Ale rządy mi oddajcie nad dziedzictwem i nad grodem.
Otóż na tém słów mych koniec. Zatém starcze idź i pomnij
Czuwać nad tém, jak należy;
(*do Pyladesa*)
a *my* pójdziem, bo upływa
Czas, ten mocarz najwładniejszy wszelkiéj sprawy między ludźmi.

Elektra (*w wnętrzu grodu*)

O niestety mnie biédnéj!

Sługa.

Toż zaprawdę tam z za bramy jakby jęk z służebnic któréj
Zdaje mi się że doleciał uszu mych, o dziécię moje!

Orestes.

A czy tylko nie *Elektra*-to nieszczęsna? Poczekajmy,
Jeślić wola, i słuchajmy, czy się jęk nie ozwie znowu.

Sługa.

Żadną miarą! Nic poczynać pierw nie kuśmy się, niżeli
Co wyrocznia nakazała. A poczynać trza od *tego*:
Od zroszenia świętym zdrojem grobu ojca; *to*-bo tylko
I zwycięztwo da nam pewne, i skuteczną czynów dzielność.
(*wszyscy odchodzą*)

Elektra.

(*wychodzi z jednéj z bram pałacu i obraca się ku wschodzącemu słońcu*).

O święty promieniu i czysty powietrza (1)
Nad ziemią wznoszący się tchu!

(1) Następujący tu śpiéw Elektry, że jest ujęty w spadki *anapaestyczne*, i to bez *stroficznego układu*, ma wiele podobieństwa

Ileż jęków wy mych, ileż w piersi skrwawione
Bolesnych uderzeń słyszycie codziennie,
Gdy ciemna zapadnie już noc!
A po nocach co już—to chyba bezsenne
Posłanie me wié w nienawistnéj komnacie,
Jak płaczę nad biédnym, och! biédnym rodzicem,
Od którego na ziemi i obcéj i dzikiéj
Pragnący krwi *Ares* (1) powściągnął swych rąk;
A żona go własna i łoża jéj wspólnik
Aegisthos o ziemię toporem morderczym
Cios w głowę zadawszy, rzucili jak dąb!
I ni jedna téż w jęk nie uderzy niewiasta
Prócz mnie opuszczonéj, nad tobą, o ojcze!
Tak nędznie, tak grzesznie zgładzony!
(*chwila milczenia*).
Ale moich narzekań i jęków żałosnych
Przenigdy nie spełni się czas!
Póki oczy me gwiazd widzą jasność promienną
I świetnéj białości ten dzień;
Jako słowik ptaszyna, co dzieci mu wzięto,
U proga ja bramy ojczystéj płacząca
Wszem wobec zawiodę mój żal!
O przybytku *Hadesa* i *Persephonei!* (2)
O *Hermesie* umarłych, i *Aro* czcigodna,
I *wy*, córy bogów, straszliwe *Erinye* (3),

do tak zwanego *Parodos*. Nie jest nim jednak; gdyż takowy bywał śpiewany tylko przez *chór*, w chwili przybywania jego na *orkiestrę*. W natłoku uczuć lirycznych Elektra wyśpiewuje tu swą boleść; towarzyszące zaś w takich razach instrumenta dęte, (mianowicie *fletnie*) podnosiły tém bardziéj ten wyraz elegijny, jakim całe to miejsce napiętnowane. Pod koniec śpiewu przychodzi na orkiestrę *chór*. Pochód jego dany tu jest bez *parodos*, gdyż śpiéw niniejszy, tego samego będąc pod względem rytmu układu, co właściwy parodos, zastępuje takowy.

(1) *Ares* grecki *Mars*.

(2) *Hades* i *Persephone*, bóstwa śmierci, piekieł, umarłych. To samo co *Pluto* i *Proserpina*.

(3) *Ara*, mytyczne uosobienie zemsty, mało różna od *Erinyi*. *Erinye* zaś byłyto bóstwa ścigające zbrodniarzy; mianowicie jeżeli ci się dopuścili przelewu krwi w zakresie rodziny własnéj. Liczba ich nieoznaczona. Zrodzenie niejednostajnie podane. Miały być według jednych córami *Skotosa* (ciemności) i ziemi; według

Wszak bezprawiem ginących dopatrzy wasz wzrok!
Przybywajcie na pomoc, przychodźcie zdradliwych
Cudzołożców ukarać, o ojca się śmierć
Naszego upomnieć;
I brata mi mego na pomoc przyślijcie,
Bo sama już dłużéj brzemienia żałości
Nie zniosę ku ziemi cisnącéj!

(Pod koniec śpiewu Elektry przybywa na orkiestrę (1) *Chór*. Piętnaście dziewic, z wieńcami z kwiatów na głowie; przewodniczka chóru na przodzie: postępują rzędami, w milczeniu w takt śpiewu Elektry. Przybywszy na miejsce, rozstępują się na *dwa pół-chóry*, gruppują się symetrycznie na stopniach *Thymeli*, tak iż najwyższe miejsce zajmuje przewodniczka, i towarzyszą Elektrze aż do końca śpiewu stosowną pantominą. — Następnie muzyka coraz rzęśniéj wplata się do pieśni, i zaczyna się *śpiew chóru*. — Podnosi głos najprzód przodownica chóru (2).

drugich córami *nocy*; według jeszcze innych początek ich odnosi się do chwili, kiedy krople krwi, sączące z ran zadanych *Uranosowi* (niebu) przez syna jego *Kronosa* (czas), spadły na ziemię i wydały za dotknięciem swojém ze ziemi te straszliwe istoty. Postacią ani do bogów, ani do ludzi podobne, w kir osłonione, ze żmijami we włosach, niedościgłe w biegu, nieznużone w prześladowaniu, żadną modlitwą ani ofiarą nieprzebłagane, o wszelkiéj zbrodni wiedzące, jak wyrzuty niedobrego sumienia póty ścigały zbrodniarza, póki nie skończył szaleństwem. Odpowiednie im były w rzymskiéj mitologii *Furiae*.

(1) *Orchestra* w teatrach naszych nie ma miejsca sobie odpowiedniego. Pomiędzy *scenę*, wyniesioną nad poziom na jakie 10 stopni a właściwym *teatrem*, gdzie zasiadali widzowie, znajdowała się w pośrodku rozległa przestrzeń, na samym poziomie urządzona, z przeznaczeniem ażeby w témto miejscu odbywał chór swoje pieśni i tańce. Miejsce to nazywało się *orkiestrą*. Punkt środkowy na orkiestrze stanowił ołtarz ofiarny, wyniesiony nad poziom do pewnéj wysokości. Kilka szerokich stopni ułatwiało przystąpienie do niego. Ten ołtarz nazywano *Thymele*. Około tegoto ołtarza zgromadzał i ustawiał się chór, i raz przybywszy nie oddalał się już od niego ani na scenę, ani téż do żadnéj innéj części teatru. Przybywał zaś na orkiestrę *nie* z pałacu, jaki zazwyczaj scena przedstawiała, ani téż w ogólności ze *sceny*; ale z zewnątrz, przez wielkie wnijście teatralne, jakich było *dwa*, po jednemu na każdéj stronie gmachu teatralnego. Temiż wnijściami przychodzili do teatru i widzowie. Wystawiano sobie, że chór przybywa z miasta złożyć ofiarę na ołtarzu owym; spotkanie zaś jego z osobami na scenie działającemi było wrzkomo przypadkowe.

(2) *Śpiewy chóru*, jakich tu pierwszy przykład, mogą być rozmaitéj natury, jak się to pokaże poniżéj. Obecny śpiew należy

STROFA PIĘRWSZA.

Przodownica chóru.

Dziecię moje, córo złowieszczéj
Matki, *Elektro*, cóżto we łzach
Niewyczerpanych się rozpływasz
Za bezbożnie zgładzonym,
Zdradą matki podstępnéj
Niegdyś *Agamemnonem*?
Oby zginął morderca, jeśli tak mówić się godzi!

do rodzaju przez starożytnych nazywanego *Kommos* κόμμος, właściwie *skarga, planctus*). Charakterystyczne jest w nim to, że go chór samodzielnie i odrębnie od sceny *nie* podnosi, ale owszem wiedzie niejako spiewaną rozmowę z osobą dramatu, działającą na scenie. W tém miejscu np. widzimy, że śpiewająca wprost zagaduje Elektrę, i otrzymuje od niéj kilkakrotnie odpowiedź. Drugą a nieodłączną od tamtéj właściwość *Kommosu* w tém uważać należy, że go nie wykonywa cały chór w połączeniu, ani też głosów kilka złączonych; ale zawsze tylko głos jeden, pojedyńczo, z towarzyszeniem muzyki instrumentalnéj. Zresztą wiedzieć należy, że podczas gdy pojedyńczy głos z chóru albo też ze sceny odśpiewuje rzecz swoję, cały chór tymczasem uwydatnia plastycznie melodyą przez *taniec*. Były to oczywiście tańce poważne, uroczyste, nie polegające na zwinnych rzutach, szybkich poruszeniach, ani skocznych obrotach; ale na pełném gracyi i wyrazu *uzmysławianiu* pieśni, właśnie śpiewanéj, przez ruchy ciał i odpowiednie pantominy. Było więc, że tak powiem: *balet tragiczny*, a zwano go *Emmeleia*.

Zwracam jeszcze czytelnika uwagę na inną okoliczność. Wszelki śpiéw chóru tragicznego składa się ze *strof*. Każda *strofa* ma swoję odpowiednią *antistrofę*. Między strofą a antistrofą zachodzi zaś zawsze jak najściślejsza spójność. My wyrazu *strofa* lub spolszczonego *zwrotka* używamy już o każdéj liczbie wierszy tak razem złączonych, że jakąś całość stanowią. Starożytni przywiązywali do tej nazwy daleko więcéj znaczenia. Jak u nas, tak też i u nich nie było żadnéj zasady, z ilu wierszy ma składać się strofa. Liczba takowych powszechnie bywa dość znaczna; tak np. strofa obecna obejmuje wierszy 16. Również wcale nie było konieczną, ażeby jeden wiérsz w strofie był do drugiego podobny. Owszem, różnią się one po największéj części od siebie, a to nietylko pod względem liczby zgłosek, ale i co do rodzaju rytmu. Ale za to zachodzi zupełne podobieństwo i że tak powiem *geometryczne przystawanie do siebie* pomiędzy strofą a antistrofą. Ile

Elektra.

O pokolenie szlachetnych!
Cieszyć mą żałość przyszłyście,
Wiém to, zgaduję, przenikam...
Ależ niech zdala zostanie odemnie,
Bym zaniechała po ojcu nieszczęsnym
Płaczu żałoby!
Zatém jeżeli wdzięk wdzięk rozliczny
Spłacić mi chcecie: o! dajcież, zaklinam,
W smutku tym zostać!

ANTISTROFA PIÉRWSZA.

Przodownica chóru.

O! nie wskrzesisz z toni *Hadesa*
Wszem przeznaczonéj ojca ty już,
Ani przez modły, ni przez skargi...!

wierszy w strofie, tyleż jest ich w antistrofie. Następstwo, rodzaj rytmiczny, długość lub krótkość, i w ogólności cała budowa wierszy tak pojedyńczo, jak razem wziętych, jest ze wszech miar ta sama w strofie, co w antistrofie. Słowem, antistrofa zawsze jest wykonana według téj saméj nuty, a zarazem według tego samego rytmicznego schematu, co odpowiednia jéj strofa.

Powtarzam raz jeszcze, że podczas kiedy strofę śpiewano, chór tańczył tymczasem w takt nuty, téjże strofy. Tańczył zaś w ten sposób, że obydwa połchóry, z których się składał, w tanecznych ewolucyach swoich przesuwały się z miejsc, na których stały pierwotnie, na miejsca przeciwległe, tak, iż piérwsza połowa chóru przy końcu strofy znalazła się tam, gdzie na początku strofy stała druga połowa; a druga tam, gdzie piérwsza. W téjto chwili następowała antistrofa. Terazto znowu wracały półchóry w tychże samych ewolucyach, ale odwrotnych, każdy na swoje pierwotne stanowisko, tak, iż przy końcu antistrofy znalazł się każdy z nich na swoim właściwym posterunku. Otóż więc od tego, że to był *zwrot* a następnie *odwrot* taneczny, nazwano piosnkę piérwszą, *strofą*, (zwrotką) a drugą *antistrofą* (odwrotką); i samo z siebie wynika, że i nuta, i układ i cała budowa muzyczna jak w piérwszéj, tak w drugiéj musiała być ta sama. W samym końcu dopiéro następowało *dośpiewanie* (epodos), gdzie już obydwa półchóry razem śpiewały w głosach złączonych. Tańca wtedy zapewne już nie było.

Ale przez smutek ten zbytni
Brniesz z cierpień znośnych w bezdenne
I zatracasz się sama!
Czemuż rzucasz się w rozpacz, z której, ach! *nie ma*
zbawienia?!

Elektra.

Tylko niemądry zapomni
Zdradnie zgładzonych rodziców!
Dla mnie zaś słodki już tylko
Jęk onéj ptaszki żałośnie *Itysa*,
Zawsze swojego *Itysa* płaczącéj,
Wiosny zwiastunki!... (1)
Ach! jako bóstwu ci cześć, o Niobo,
Głazie boleści, kamieniu płaczący,
Kornie oddaję! (2)

(1) Wyrażenie w greckim texcie: *posłannica Zeysa* zamieniłem odrazu na zrozumialsze dla czytelnika polskiego: *Wiosny zwiastunka*, ponieważ o tyle tylko *słowik* nazwany być może wysłańcem tego rządcy niebios i ziemi. Natrącenie zaś o Itysie wyjaśni następujący *mythus* grecki o powstaniu piérwszego słowika. *Tereys*, król Tracyi, miał za żonę *Proknę*. Młodszą siostrą Prokny była *Philomela*. Tereys doczekawszy się z Prokny syna Itysa, pokochał się w Philomeli, i kiedy właśnie oddaliła się z domu Prokne, dopuścił się gwałtu na niéj. Żeby go zaś nie oskarżyła przed siostrą, wydarł jéj język. Pomimo tego za powrotem siostry, Philomela dała jéj wiedzieć o swojéj krzywdzie przez kilka wyrazów, które wyszyła na jéj welonie. Prokne zemściła się na małżonku w ten sposób, że syna swego Itysa zabiła i ugotowanego podała Tereysowi zamiast potrawy. Poczém razem z siostrą uciekła z domu. Natychmiast poznał okrucieństwo Tereys i poszedł w pogoń za uciekającemi. Już ich dopędzał, już podnosił topor morderczy nad ich głowami, kiedy ulitowawszy się bogowie nad niemi, przemienili Proknę w *słowika*, Philomelę w jaskółkę, a Tereysa w *dudka*. Otóż ocucone sumienie w Proknie-słowiku jest powodem, dlaczego ptak ten takie smętne tony zawodzi!

(2) Dorzucam w krótkości znane podanie o *Niobie*. Nioba, żona króla tebańskiego *Amphiona*, a siostra pradziada Elektry, *Pelopsa*, była matką *siedmiu* dorodnych synów i tyluż córek. Uniesiona dumą, rzekła razu pewnego, że nie równać się z nią w zaszczytach macierzyńskich ani nawet boskiéj *Leto* (Latonie), ponieważ ona miała tylko dzieci dwoje, t. j. *Apollina* i *Artemis* (Dianę). Leto skarciła zarozumiałość: Apollo pozabijał Niobie w jednym dniu wszystkich synów; Artemis wszystkie córki. Wtedy Nioba

STROFA DRUGA.

(Piérwsza w piérwszym półchórze).

Nie samę tylko ciebie
Przygnębił ciężki los;
Lecz cząstkę zajęłaś tak wielką zeń sobie,
Że żadno z rodzonych nie zmierzy się z tobą
Ani *Chrysothemida*, ani *Iphianassa* (1),
Ni ów, co zdala cierpień
Szczęśliwą spędza młodość,
Przez słynne swe Myceny
Z witaniem wyglądany,
Przybyć kiedyś mający pod *Zeysa* boską pawężą,
Dziedzic *Orestes*!

Elektra.

Jegoto, jegoto bez wypoczynku ja
Przyjścia wyglądam.
Krok mój się chwieje już, łzy w lica wpiły się,
Obce mi matki rozkosze,
Obce małżonki mi szczęście,
Dla mnie—tylko sieroctwo!.....
On zaś zapomniał już pomsty i cierpień swych,
Zawsze zawodne mi wieści orędzie:
Że tęskni i przyjdzie.
Czemuż „tęskniąc", przyjść się nie kwapi?!

ANTISTROFA DRUGA.

(Piérwsza w piérwszym półchórze.

Odwagi, dziécię moję,
Jest w niebie wielki *Zeys*
Wszechwiedny, wszechwładny!—Zdaj *jemu* żal gniewny,
A wrogów się pilnuj, lecz zawiść staw w karby,

w rozpaczy bez granic opuściwszy Teby, powróciła do ojca swego *Tantala*, króla Frygii, i przemieniona została przez Zeysa na górze *Sipylos* w skałę. Ale jéj boleść była tak wielką, że i z téj skały potok łez dniem i nocą się sączył.

(1) *Chrisothemis* i *Iphianassa* siostry Elektry.

Resztę zostaw *czasowi*: bóg-to bo smutki kojący!
Bo ani na *kryssejskiém* (1)
Bawiący tam nadbrzeżu
Rozkosznych trzód obfitém
Syn Agamemnonowy
Nie zapomniał o pomście, ni bóg królujący potężnie
Nad *Acherontem*. (2)

Elektra.

Lecz pod nawałem rozpaczy wyczerpła się
Życia krynica....
Zwiędły me siły już, lat młodych kwiat mi schnie,
Ani mnie matka, ni ojciec,
Ani przyjaciel, małżonek
Upadającéj nie wesprze!.....
Lecz, by klucznicza najlichsza ja krzątać się
Muszę po domu ojcowskim, odziana
W żebraczą tę suknię,
Próżne głodna stoły obchodząc!

STROFA TRZECIA.

(Pierwsza w drugim półchórze).

Kiedy z wojny powracał,
Gdy na łożu małżeńskiém
Wypoczynku szukając,
Morderczych toporów uderzył weń cios:
Wtedy głosów żałosnych
I skarg boleściwych był czas!
Zamysł *Zdrada* poddała,
Spełniła go *Chuć*,
Okropny okropnie
Widok, dawszy na jaw!
Czyż był bóg, czy człek tego sprawcą?

Elektra.

O! ze wszystkich złych
Najczarniejszy ty dniu!

(1) Miasto *Kryssa* położone było w *Phocei*, gdzie się wychowywał Orestes stosownie do woli Elektry.
(2) *Acheron*, jedna z rzek krajów śmierci.

O nocy kryjąca biesiadę straszliwą,
Gdzie ręce spiknięte napasły mi ojca
Haniebném morderstwem!
O! te ręce mordercze *mnie* życie podcięły,
Wtrąciły mnie w grób!
Niechaj bóg olimpijski z potężnéj prawicy
Dolegliwych udręczeń udręczy (1) je kaźnią!
Co wesele i błogość, niech nigdy już w życiu
Nie wiedzą za czyn tak ohydny!

ANTISTROFA TRZECIA.

(Pierwsza w drugim półchórze).

O powstrzymaj ten zapęd!
Czemuż myślą nie zmierzysz,
Z jakiéj doli dzień za dniem
W coraz głębszą niedoli pogrążasz się toń?
Zapalczywym umysłem
Kiedy wciąż budzisz waśnie i bój:
Alboż mały do cierpień
Zesłanych przez los
Przysporzyłaś naddatek?
Do dzierżących bo moc
Niegodziwe zwadą się zbliżać!

(1) Raz na zawsze nadmienię przy okazyi obecnego zejścia się dwóch równobrzmiących wyrazów (jak „*udręczeń udręczy*"), że ilekroć napotka takowe czytelnik w niniejszym przekładzie, niechaj ich nie kładzie na karb ani niedbałości, ani też upodobania tłumacza w wyszukanych tego rodzaju niezwyczajnościach. Jestto tylko wierne naśladowanie jednéj z częstych właściwości stylu Sofoklesowego. O kilka wierszy wyżéj było: „*okropny okropnie* widok dawszy na jaw", także na zasadzie podobnego wysłowienia w oryginale. Również nie mogę nie wspomnieć o obfitości może niejednego rażącéj w wierszu 129. „Wiem to, zgaduję, przenikam"; zostawiłem tam te trzy mało stopniujące się odcienia tylko w chęci zbliżenia się we wszystkiém do sposobu, który nietylko jest cechą naszego poety, ale co ważniejsza, w pewnym względzie i całéj klassycznéj wyrazistości, jaka wszystkim greckim autorom właściwa.

Elektra.

O dola-to zła
Dała zapęd mi ten!
O wiem i nie taję, że zgubny to zapęd!
Lecz w strasznym tym prądzie nie wstrzymam zagłady
Póki życia mi stanie!
Bo i któżby mi kiedy, o miłe wy moje,
Któż mądrzeby rzekł
Niedaremną mi radę i trafną w sam raz?
Więc i wasze niech zmilkną, niech zmilkną pociechy!
Dla mnie *nie ma* pociechy! mym skargom żałosnym
Wypoczynku *nigdy* nie będzie!

EPODOS.

Wszystkie trzy głosy z chóru.

Ależ dobrze ci życząc,
Głosem matki stroskanéj wołam ku tobie:
Nie ródź zguby ze zguby!

Elektra.

Piłże kto z czary nieszczęścia pełniejszéj?
Czyżto zapomnieć umarłych jest *sławą*?
Gdzież w człowieku myśl taka?!
Szpetna „sławo", precz że odemnie!
Jeśli na drodze żywota
Mam jeszcze słodycz gdzie spotkać:
Niech mi się w jad na ustach zamieni,
Jeślibym skarg rozgłośnych nad ojcem,
Czci go zbawiwszy,
Skrzydła wstrzymała!
Bo jeśli zmarły w grobie,
Jak proch, jak *nic* wzgardzone
Zostanie,
A dwaj morderce jego
Przez krew mu krwi wzajemnie
Nie spłacą:
Nie ma chyba już wstydu, ni grozy bożéj na ziemi!

Przewodnica Chóru (*mówi*):

Jać przybyłam, o dziewico, bacząc skrzętnie i na twoję
I na saméj siebie korzyść; lecz jeżeli źle ci radzę,
Ty przemagaj: bo pójdziemy z tobą wszystkie dokądkolwiek.

Elektra.

Wstydzi dla mnie, o niewiasty, jeżeliście rzekły w sobie,
Sądząc z skarg tych wielorakich, żem ja zbyt nieznośna w gniewie!
Ależ wszakto twarda przemoc być mi każe jaką jestem!
Pobłażajcież!—Bo jakżeby z domu onego białogłowa
Widząc krzywd ojczystych pasmo, jako *ja* je widzę coraz
Dzień za dniem i noc za nocą, zamiast niknąć, wzrastające,
Nie czyniła, co *ja* czynię?—Oto serce mi nasamprzód
Nienawiścią szarpie podłość, ach! ohydna téj, co moją,
Urodziwszy mnie, jest *matką*; a do tego w własnym domu,
W domu moim żyję wespół z mego ojca mordercami,
I rządzona jestem przez nich i z ich ręki otrzymuję
Równie kęs codziennéj strawy, jak i głód i niedostatek!
A posłuchaj daléj jeszcze: jakież dni-to sądzisz spędzam,
Kiedy widzę na królewskim, *na mojego ojca tronie*
Aegisthosa rozpartego! i kiedy go w szaty widzę
Odzianego takie same, w jakie *tamten*, i ofiarne
Lejącego bogom zdroje właśnie *tam*, gdzie zabił jego?
Kiedy widzę zgoła owo ze wszech zuchwalstw najzuchwalsze:
Mężobójcę w łożu ojca, ach! w objęciach matki naszéj,
Jeśli wolno nazwać matką *Aegisthową rozkosznicę*!...
Ona zasie tak bezczelna, że się tuląc do zbrodniarza
Ni przed mściwą drży *Eringą*, i z uśmiechem prawie jeszcze
Broi grzechy; gdy doczeka dnia onego, w którym niegdyś
W zdradzie, miłczkiem, z tyłu godząc, ojca nam zamordowała,
Wtedy chóry więc tanecznc stawia na cześć bogom zbawczym
I ofiarą jagniąt licznych co miesięczną żebrze łaski!
Ja zaś patrząc na to wszystko w domu, płaczę udręczona,
Tonę we łzach, tłumić muszę w sobie saméj jęki moje

Nad tą, smutném zwaną mianem, *Agamemnową stypą*;
Bo już nawet płakać tyle, ile pragnie żałość moja
Zabronili! – Zaraz owa tak szlachetna w mowie wiedma
Wrzeszcząc w głosy, miota na mnie obelgami i złorzeczy:
„O bezbożna plago moja, czyż ci ojciec umarł saméj?
„Niktże inny ze śmiertelnych jego zgonu nie żałuje?
„Zgiń, przepadnij! Żebyć nigdy z tych przeklętych twych wyrzekań
„Nie zbawili cię bogowie, co nad grobów światem rządzą".
Tak się pastwi w swém zuchwalstwie; a jeżeli kto jéj wspomni,
Że Orestes przyjdzie: wtenczas krzyczy wściekła przyskakując:
„A nie tyżeśto przyczyną? a nie twojaże to sprawka?
„ Tyśto z rąk mi Orestesa skradłszy, gdzieś tam wyprawiła!
„Ale wiédz, że czeka ciebie za tę śmiałość godna kara"!
Tak ujada. A podszczuwa jeszcze nadto, obok stojąc,
Owże gach jéj najmilejszy, to sromotne Do-niczego,
Niedołęga od stóp do głów, tchórz z babami wojujący!
Ja zaś ciągle wyglądając Orestesa jako zbawcę
Mającego w pomoc nadejść, ginę oto nieszczęśliwa;
Bo wciąż dzieło odraczając, wszystkie zniszczył mi nadzieje
I obecne przed oczyma, i na spodzie serca skryte.
Toż w niedoli tak okropnéj wżdy nie pora, miłe moje,
Ani na potulność baczyć, ani na uległość zbożną,
Lecz w złym domu z konieczności człek i sam się odda złemu.

Przewodnica chóru.

Powiédz-no mi, czyli, podczas gdy Aegisthos w domu bawi,
Ty tu z nami tak rozmawiasz,—czy téż wyszedł dokąd z domu?

Elektra.

A zaiste! Nie myśl żebym, gdyby był obecny w domu,
Śmiała chodzić tak przed bramą;—lecz na pole wyszedł właśnie.

Przewodnica.

Toż i ja się sama puszczę śmielej z tobą i bezpieczniéj
W pogadankę bez ogródki, kiedy tak się rzeczy mają.

Elektra.

Ufna, że go w domu nie ma—mów i pytaj, czego pragniesz.

Przewodnica.

Otóż pytam córo ciebie: twój rodzony—cóż ty myślisz,
Przyjdzież on, czy zwlecze przyjazd?—tobym wiedzieć najprzód chciała.

Elektra.

Obiecuje, lecz z obietnic żadnéj dotąd nie uiścił,

Przewodnica.

Rad spełnienie bo odwłóczy, kto gotuje dzieło wielkie!

Elektra.

A ja przecie *nie* przez zwłokę wybawiłam go od śmierci!

Przewodnica.

Miejno ufność!—Krew szlachetna płynie w nim, to wesprze swoich.

Elektra.

W toć ja wierzę! bez téj wiary jużbym dłużéj żyć nie mogła!
(Chrysothemis wychodzi z bramy pałacu)

Przewodnica.

Ni już słowa więcéj nie mów, bo spostrzegam we drzwiach oto
Tejże krwi co ty dziewicę i ze szczepu tegoż co ty,
Jak po ojcu tak i z matki, *Chrysothemidę*; właśnie z domu
Niesie dary pogrzebowe, jakie zmarłym dawać zwyczaj (1).

Chrysothemis *(przystępując do Elektry).*

Cóżto znów, o siostro moja, wysunąwszy się z komnaty,
Tak wygłaszasz przed bramami? Aniż długi czas więc ciebie
Nie nauczy, że daremne gniewom czczym jest folgowanie?
Wżdyć nie tajno ani dla mnie, że bolesna dola nasza,
Tak że gdybym siłę miała, poznaliby, jak im życzę.
Lecz obecnie, wpośród burzy wolę płynąć z żaglem na dół,
I nie zdawać się że działam: nie działając nic ni szkodząc.

(1) Chrysothemis występuje na scenę z pałacu, którego front przedstawia tylna ściana sceny. Spostrzega ją chór dlatego pierwéj niż Elektra, ponieważ chór stoi ciągle twarzą ku scenie, tyłem lub bokiem ku publiczności; Elektra zaś przeciwnie: twarzą do widzów i chóru, plecami do bram pałacowych. W ten sposób jestto naturalną, że chór choć więcéj oddalony od nadchodzącej Chrysothemidy, aniżeli Elektra, przestrzega ją przecież o tém.

Ależ takie pragnę siostro, by i *twoje* były czyny;
Chocto wprawdzie nie *to* słuszne, co wyrzekną *moje* usta,
Ale jak *ty* osądzisz; przecież jeśli nie jak sługa
Ale żyć mam jako wolna, trzeba słuchać panujących.

Elektra.

Ach okropnie, żebyś ojca, *jego* córką, *jego* dzieckiem
Własném będąc, zapomniawszy, dbała tylko o chęć matki!
Bo tych wszystkich przestróg dla mnie *od niéj* się to nauczyłaś,
Sama z siebie nic nie mówisz; chyba że wybierzesz z dwojga:
Albo czucia nie masz w sercu, *albo* mając, za nic sobie
Poczytujesz pamięć drogich (1)! Rzekłaś świeżo, że gdyby ci
Dano siłę, twa nienawiść jasną łuną-by zabłysła;
A gdy ja każdego razu pragnę ojcu pomstę ziścić,
Ty nietylko mnie nie wspierasz, ale jeszcze łamiesz zapęd!
Nie grzechże to przeciw ojcu i lękliwość iście podła?
Nauczno mnie, lub odemnie posłysz: jakiż zysk mi spłynie,
Jeśli skarg tych zaprzestanę? Czyż nie żyję nędznie? prawda!
Ale więcéj mnie nie trzeba! A dokuczam im i dręczę,
Że aż cieszy się w mogile, iż mu taka cześć, umarły,
Jeśli *jest* tam radość jaka!... A cóż *ty*, *zawistna* wielce,
Twoja zawiść — w *słowie* tylko; w *rzeczy* jesteś z mordercami!
To téż jabym się ich władzy nie ugięła, choćby mi kto
Wszystkie łaski w darze stawił, w jakie *ty* opływasz teraz!
A dla ciebie niech tam sobie stół bogato zastawiony
I obfitość będzie wszelka! Moją strawą: *nie opuszczać*
Opuszczonych! Twéj szczęsności ci nie zajrzę i nie pragnę,

(1) Miejsce jedno z najtrudniejszych, które explikatorowie powszechnie źle wykładają. Całe te zdanie uważam za stawione na dowód, że w rzeczy saméj Chrysothemis ma owe „roztropne" przestrogi nie ze siebie, ale od matki. Ztąd wyraz ἔπειδ (ἔπελα) w tém miejscu (mniéj zwyczajnie) znaczy *gdyż*. Ja go wcale nie przetłumaczyłem, bo zwrot zdania sam już oddaje odcień przyczynowości, o który tu chodzi. Powiada więc Elektra, że albo nie ma żadnego przywiązania do ojca Chrysothemis, kiedy takie jéj daje przepisy; albo téż, będąc przywiązaną, nie dba o niego. Do pierwszego się pewnie nie przyznaje; drugie jest sprzecznością, zatém niepodobieństwem; nie pozostaje przeto jak wnosić, że powtarza bez zastanowienia zasady cudze, zasady matki.

Ani tybyś, mądrą będąc! Tak zaś, mogąc dzieckiem prawém
Najlepszego się nazywać z wszystkich ojców: zwij się matki!
Owoż ujrzy świat zdumiony, żeś przewrotna i zdrajczyni
Rodu, ojca umarłego i wszech osób drogich tobie!

Przewodnica Chóru.

Tylkoż, przebóg, nie dawajcie skrzydeł słowom aż do gniewu!
Wszakże w obu mowach waszych zysk utajon; byleś tylko
Ty z rad mądrych *jéj* korzystać, a znów *ona* z *twych* umiała.

Chrysothemis.

Jać już, o niewiasty miłe, zwykła jestem mów jéj takich
I przenigdy rzeczy o témbym nie wszczęła, gdybym właśnie
Nie słyszała o najsroższéj już wiszącéj nad nią kaźni,
Która ją powstrzyma od tych nieskończonych utyskiwań.

Elektra.

Toż-no powiédz, cóż tak straszne? Bo jeżeli rzeczesz gorsze
Niźli tamto: jużbym dłużéj ci nie stała w przeciwieństwie.

Chrysothemis.

Owoż ci wypowiem wszystko, ile mi wiadome tylko.

DZIEJE KSIĘZTW NAD-DUNAJSKICH,

TOJEST:

MULTAN I WOŁOSZCZYZNY,

podług

Kogalnitchana,

SKREŚLONE PRZEZ

Leona Rogalskiego.

Dzieje Multan i Wołoszczyzny są pod pewnym względem cząstką historyi kraju naszego; nie mieliśmy ich jednak opisywanych odrębnie i w zupełności. Aby zaradzić temu niedostatkowi, zamierzyliśmy wydać je w skróceniu, podług dzieła Michała Kogalnitchana: *Histoire de la Valachie, de la Moldavie et des Valaques Transdanubiens* (Berlin, 1837). Autor, sam Mołdawianin, czerpał wiadomości ze źródeł rodowitych, drukowanych i rękopiśmiennych, nieznanych obcym pisarzom. Tych ostatnich bogaty miał zbiór pod ręką: z polskich przytacza Długosza, i Kodex dyplomatyczny Dogiela. Korzystał z rozmaitych historyj węgierskich, w téj liczbie z dziesięcio-tomowéj Fesslera, z historyi państwa Osmanów Hammera, z historyi Dacyi, wydanéj w języku nowo-greckim, w Wiedniu 1818 roku, we 3 tomach, przez Photino, i z wielu innych, tak dawniejszych, jako téż najnowszych pisarzy o księztwach Nad-Dunajskich.

Gdzie dzisiaj leżą: ziemia Siedmiogrodzka, Wołoszczyzna, banat Temeswarski i Multany czyli Mołdawia, znajdowało się

niegdyś potężne i niepodległe państwo, przed którém sam Rzym drżał, tojest Dacya. W piérwszym wieku ery chrześciańskiéj, rozciągała się ona od Cissy i Karpatów do Dunaju, Dniestru i morza Czarnego. Jéj mieszkańcy pochodzić mieli z Persyi, z okolic rzeki Oxus. Wiele mieli podobieństwa do Getów, zamieszkałych przy ujściach Dunaju, i takichże jak oni obyczajów, języka, nawet pochodzenia, gdyż Getowie żyli niegdyś nad rzeką Oxus, która w arabskim języku ma imię Geihu, a lud tameczny nazywał się Geih albo Geci. Dakowie i Geci nie mieli w początkach ani miast, ani wsi, ani żadnych stałych siedzib; byłto naród koczujący, i zaczął budować miasta dopiéro na dwa wieki przed Chrystusem. Zamolxis był ich prawodawcą, a późniéj przez nich ubóstwiony (1). Herodot i Strabon powiadają, że był uczniem Pytagorasa, i że jego naukę o przechodzeniu dusz zaszczepił pośród swego ludu. Byłto naród waleczny i bitny, ustawiczne prowadził wojny o swą niepodległość. Piérwszą, o któréj wspomina historya, była wyprawa Daryusza. Monarchę perskiego, gdy przeszedł Dunaj, zwabili w głąb' kraju, a potém otoczyli Scytowie czyli Dakowie: stracił tu on największą część swego wojska, i po wielkich trudnościach zaledwie zdołał wrócić do Azyi. Falangi Alexandra Wielkiego nie zdołały przełamać dzielnego męztwa Daków. zrazu odniósł nad nimi niejakie korzyści, ale przewidując iż spotkać go może los króla perskiego, spiesznie zawarł pokój i opuścił Dacyą.

Roku 324 przed Chrystusem, Lyzymach, król Tracyi, przedsięwziął także wyprawę na Daków. Dromichetes, ich król, podstępem zwabił nieprzyjaciela w głąb' kraju, gdzie wojsko jego blizkiem było zguby, z powodu pragnienia; musiał więc z nim razem oddać się w niewolę. Uwolnił go Dromichetes, za co mu przez wdzięczność król Tracyi dał swą córkę w małżeństwo. Często znajdowano w Multanach medale Lyzymacha. Na lat 50 przed Chrystusem, Berebistes, Dak rodem, został zwierzchnikiem swego ludu. Znalazł on Daków osłabionych bezustannemi wojnami, ale przy pomocy rad filozofa egipskiego Dyceneusza, wskrzesił zachwianą ich potęgę. Przeszedł Dunaj, dokonał wielu ważnych zdobyczy, i rozszerzył swe panowanie od morza Czarnego aż do

(1) O tym Zamolxisie posiadamy uczoną rozprawę po łacinie, przez sławnego Grodka, b. professora niegdyś uniwersytetu wileńskiego, wydaną w Wilnie 1818 r.

Bawaryi. August gotował się wyruszyć przeciw Berebistowi, ale raniony przez Dalmatów (33 r. przed Chr.), zdał dowództwo wojska na Statiliusa Taurusa, który odniósł kilka zwycięztw nad królem Daków. Ten chciał zawrzéć pokój z Augustem, lecz gdy podawał zbyt twarde warunki, Oktawian ich nie przyjął. Berebistes zamierzał wówczas przejść na stronę Antoniusza, ale zabili go Dakowie, sprzykrzywszy sobie wojnę.

Po jego śmierci, trzej wodzowie podzielili się Dacyą. Rholus, jeden z nich, dopomógł Krassusowi przejść Dunaj i oblegać Dapyxa, innego króla Dacyi, który zamknął się z wojskiem w jednéj twierdzy. Rzymianie przez zdradę pewnego Greka dostali się do niéj, a ubieżeni znienacka Dakowie, woeli pozabijać się nawzajem, niżeli wpaść w moc nieprzyjaciela. Krassus zdobywszy drugą jeszcze twierdzę, nazwiskiem Genukla, wrócił do Tracyi. Dakowie, którzy podczas zwycięztw wodza rzymskiego schronili się w góry, wybrali swoim królem męża zasłużonego, imieniem Kotysona. Ten, wycieczkami do prowincyj rzymskich stał się tak groźnym, że August, aby mieć go sprzymierzeńcem, chciał córkę jego zaślubić; ale gdy mu to odradzono, wyprawił Kn. Lentula przeciw Dakom. Wódz rzymski, opatrzywszy szańcami brzegi Dunaju, przeszedł rzekę i stoczył walną bitwę; nieprzyjaciel porażony został, a król ich poległ. Kotyson założył Kotyn albo Chocim, twierdzę niedaleko Kamieńca Podolskiego, pamiętną w historyi polskiéj. Dakowie nie straciwszy odwagi z powodu śmierci swego króla, połączyli się z Sarmatami i wyrugowali Rzymian ze swego kraju.

Około tego czasu Owidyusz, wygnany z Rzymu przez Augusta, przybył w te strony do Tomi. Ztąd przeniósł się do Akkermanu czyli Białogrodu. Jest tu jeszcze jezioro, które mieszkańcy nazywają jeziorem Owidyusza. Według upowszechnionego podania, nauczył się on mowy Getów, i pisał w tym języku poezye, które zyskały mu serce barbarzyńców. Zresztą, sam Owidyusz mówi: *Nam didici getice, sarmaticeque loqui.* Wieśniacy powtarzają dotąd z podania, „że przyszedł z nad brzegów Tybru mąż nadzwyczajny, który posiadał słodycz dziecięcia, a dobroć ojca; że ten mąż wzdychał ustawicznie i rozmawiał niekiedy sam z sobą; ale jeżeli do kogo przemówił, zdawało się, że miód z ust jego płynie.“ Owidyusz 10 lat przepędził na wygnaniu i tutaj umarł.

Filius Katon wyruszył przeciw Dakom roku 14 po nar. Chr., na czele 50,000 wojska, ale zwyciężony wrócił do Tracyi. Nic ważniejszego w Dacyi nie zaszło aż do czasów Domicyana, za panowania którego Dakowie, pod naczelnictwem Durasa, przeszli Dunaj i porazili wojsko rzymskie, dowodzone przez Appiusza Sabina, który poległ w bitwie. Duras, będąc młodym i nie czując się na siłach do oporu Rzymianom, złożył władzę w ręce Decebala, zdolnego do wielkich przedsięwzięć. Zostawszy królem, Decebal zamierzył połączyć różne części Dacyi w jedno ciało, gdyż od czasu Berebistesa, Dakowie podlegali wielu zwierzchnikom; i powiódł mu się ten zamiar, roku 87 po nar. Chr. Zawarł też on przymierze z Parokusem władcą Partów, tudzież z Sarmatami i Kattami. Dowiedziawszy się że Domicyan wyprawił przeciw niemu Fuska, dowódzcę straży pretoryańskiéj, zaczął działać zaczepnie, i zgadzał się na pokój, jeżeli mu zapłacą po dwa obole za każdego Rzymianina. Oburzony Domicyan, rozkazał Fuskusowi wkroczyć do Dacyi; lecz ten niezwłocznie był porażony, i sam poległ w bitwie. Lepiéj powiodło się Julianowi jego następcy; zwyciężył on nieprzyjaciela pod Tapes albo Talpa, wsią wołoską. Zwycięztwo to wszakże nie przyniosło Rzymianom korzyści, bo Domicyan porażony przez Markomannów, zobowiązał się płacić Dakom roczną daninę. Wszelako, chociaż zwyciężony, odprawił tryumf w Rzymie, i przybrał przezwisko *dackiego*.

Podanie, stwierdzone nawet przez żydów, do téj epoki odnosi następny wypadek. Tytus zburzył Jerozolimę roku 70 po nar. Chr.; większą część żydów zabrano w niewolę i posprzedawano. Mniemają, że Decebal przyjął w swe posiadłości tych, którzy zdołali uniknąć niewoli, i że dał im na mieszkanie ziemię, którą oni nazwali Thalmus, a która dziś jeszcze nosi nazwisko Talmaci, blizko Czerwonéj-Wieży (*Rothe Thurm*), niedaleko Hermannstadtu. Wspomnione miasto słynęło w wiekach średnich swoim handlem.

Dakowie pobierali daninę od Rzymian aż do wstąpienia Trajana na tron. Teraz postać rzeczy zmieniła się: Trajan postanowił oswobodzić Rzym od haniebnego haraczu; wystąpił więc roku 100 przeciw Decebalowi, przepędził zimę w Mezyi, a następnéj wiosny gotował się przejść Dunaj. Król Daków dzielnie mu bronił przejścia, ale w końcu musiał cofnąć się

ze wszystkiemi siłami pod Tapes czyli Talpa. Dognał go Trajan; stoczono wielką bitwę, i Dakowie na głowę byli porażeni. Kroniki mołdawskie twierdzą, że Trajan nie przechodził Dunaju, lecz owszem Decebal wyszedł na jego spotkanie do Mezyi, że uderzył na Rzymian w miejscu zwaném Dobroja, ale zwyciężony, musiał wracać za rzekę. Następnie, po wielu stratach, Decebal ciągle zwyciężany, udał się sam do obozu nieprzyjacielskiego prosząc o pokój, pod warunkami jakie zwycięzcy nałożyć podoba się. Cesarz rzymski przystał na pokój, zastrzegłszy, że Dakowie wydadzą Rzymianom swoje machiny wojenne i warownie. Zostawiwszy załogę w Zarmizegethuse, stolicy Dacyi, Trajan wrócił do Rzymu, gdzie mu senat przyznał zasłużony tytuł *dackiego*.

Ale taki mąż, jak Decebal, nie mógł długo zachowywać się spokojnie. Zebrawszy Daków, pobudowawszy nowe machiny, wymordował załogi rzymskie, zburzył szańce nad Dunajem, i uderzył na Jazygów, sprzymierzeńców Rzymian. Na wiadomość o tém, Trajan gotował się do nowéj wojny: wziął z sobą synowca swego Adryana i Lucyusza Kwinta Maura, i stanąwszy w jesieni na prawym brzegu Dunaju, tu zimę przepędził. Następnéj wiosny, cesarz chcąc aby kommunikacya między dwoma brzegami nie była przerywaną, kazał zbudować most z kamienia; sławny architekt Apollodor z Damaszku miał poruczony sobie kierunek téj budowy. Most ten był arcydziełem; o czém przekonać się można z opisu Diona Kassyusza. Wielu podróżnych twierdzi, że most ten znajdował się między Severinem a Cerneti. Michał J. Quin w podróży swojéj nad Dunaj widział jego zwaliska; ale Sulzer (*Geschichte des transalpinischen Duciens*, Wiedeń, 1782, tomów 3), twierdzi z większą słusznością, że ów most był zbudowany w Celleh, w okolicach Nikopolis, przy ujściu Oltu. Powiada on, na zasadzie opisu Diona Kassyusza, że most rzeczony nie mógł być gdzieindziej wzniesionym, tylko w tém miejscu, bo pod Severinem i Cerneti Dunaj ma ledwie tysiąc stóp szerokości, pod Celleh zaś przeszło pół mili; i utrzymuje, że zwaliska znajdujące się pod Severinem, są szczątkami mostu Konstantyna Wielkiego.

Podczas budowania mostu, Decebal często ofiarował pokój, ale Trajan go nie przyjmował. Po wielu niepomyślnych walkach dla Daków, Trajan stanął pod Zermigethuse i szturmem zdobył to miasto. Część Daków żelazem lub trucizną życie sobie poodbierała; reszta poszła w niewolę, a miasto spalono.

Garstka ich ratowała się ucieczką w góry. Decebal sam sobie życie odebrał, r. 106, po przeszło 20letniém panowaniu. Tak upadła Dacya i zginął król, który za najpiękniejszych dni cesarstwa, zmuszał Rzymian do płacenia mu haraczu w ciągu lat dwunastu (88 — 100 r.). Vicilis, sekretarz tego króla, aby ocalić swe życie, odkrył Trajanowi ogromne skarby, które jego pan schował w rzece Sargentias; cesarz rzymski wzniósł w tém miejscu kolumnę na cześć Jowisza *inventor*. Potém ciągnął daléj swą wyprawę, podbijając lub w pień wycinając Daków. Tak przeszedł z wojskiem 300,000, rzeki Seret, Prut, Dniestr, Dniepr, a według niektórych Boh i Don, i wytępił naród Daków.

Dacya miała swego ducha opiekuńczego, o czém świadczy napis znaleziony w Alba Carolina, w ziemi Siedmiogrodzkiéj. Duchem tym była tak nazwana *Babą Dokia*. Na najwyższym szczycie góry Ciahlou, w Multanach, znajduje się jéj posąg olbrzymi, częścią utworzony przez naturę, częścią dokonany ludzką ręką. Otacza ją dwadzieścia owiec, i z niéj wychodzi strumień. Kmiecie opowiadają mnóstwo podań o tém bóstwie dackiém.

Nic prawie nie wiadomo o dackim języku; mniemać wszakże można, że był dyalektem trackim, pomieszanym z wyrazami sarmackiemi.

Od Trajana do przyjścia Bułgarów w r. 678.

Trajan, zawojowawszy całą Dacyą, ogłosił ją prowincyą rzymską, i wrócił do Rzymu, gdzie mu senat wzniósł kolumnę, na pamiątkę wojny z Decebalem: jestto sławna kolumna Trajana. Ponieważ większa część Daków była wytępiona, wysłał on do ich kraju wielką liczbę osadników rzymskich z całego cesarstwa, i podzielił Dacyą na trzy części: Dacya *ripensis*, Dacya *transalpina* i Dacya *mediterranaea*. Aby ułatwić kommunikacyą między Rzymem a nowemi osadnikami, Trajan zbudował wielką drogę rzymską, która się zaczynała u Żelaznéj Bramy, a kończyła się w Bessarabii pod Caussani nad Dniestrem. Osadnicy rzymscy przybywszy do Dacyi osiedli naprzód w ziemi Siedmiogrodzkiéj, w Zarmizegethuse, odbudowanéj przez cesarza i nazwanéj *Ulpia Trajana*; na Wołoszczyznie w miejscu, gdzie ich naczelnik założył miasto *Craeatu*, i w Multanach, w mieście zwaném *Romanu*. Nie te jedne były miasta osadników: Trajan pobudował i inne, jakoto: *Turris*, po wołosku *Turnu*, *Turris litterata* na górze *Mica* albo Mała; w banacie temeswarskim, *Caput bovis*, przy ujściu Dunaju,

gdzie była dacka twierdza Genukla, *Aquae Herculae*, blizko Mehadia, *Municipium Jassiorum*, dzisiejsze miasto Jassy. Cesarz mianował zwierzchnikiem tych osadników, propretora, dowódzcę 13 legii.

Sarmaci dowiedziawszy się, że Trajan żyć przestał (r. 117), gotowali się wkroczyć do Dacyi; ale Adryan wystąpił przeciw nim i zwyciężył. Świadczy o tém medal, z napisem: *Adriano restitutori Daciae*. Zazdrośny sławie stryja swojego, kazał zburzyć most wzniesiony przez niego na Dunaju, a to pod pozorem przeszkodzenia najazdom barbarzyńców. Za cesarza Antonina, szesnaście drobnych ludów barbarzyńskich osiadło w Dacyi: to jest przyczyną, że w języku romańskim czyli wołoskim, znajduje się wiele wyrazów obcych i niewiadomego pochodzenia. W r. 212, pod cesarzem Karakallą, osadnicy w Dacyi uznani byli za obywateli rzymskich, i odtąd Dacya ustawicznie była zabierana i odbierana przez barbarzyńców i Rzymian, do r. 257, kiedy wpadła zupełnie w moc Gotów, za cesarza Gallijena.

Cesarz Aurelian, w r. 270, widząc, że wielka część Dacyi znajduje się w ręku barbarzyńców, stracił nadzieję utrzymania tego kraju pod panowaniem rzymskiém. Przeprowadził zatém szczupłą liczbę legij i część osadników tam znajdujących się na drugi brzeg Dunaju, i osadził ich w Mezyi, którą nazwał Dacyą Aureliańską. Łatwo zrozumiéć, że największa część Rzymian, którzy od dwóchset lat mieszkali w Dacyi, nie opuścili tego kraju w owéj epoce. Ludność wzrosła znacznie, i Rzymianie nie doświadczali wielkich przykrości ze strony barbarzyńców; przeciwnie, ci ostatni starali się o ich przyjaźń, gdyż będąc ludem koczującym, musieli udawać się w potrzebach do Rzymian, którzy byli rolnikami i mieszkali po miastach. Gdyby zaś barbarzyńcy chcieli uderzyć na osadników rzymskich, ci schroniliby się zaraz w niedostępne swe góry, tojest Karpackie.

Gotowie podzieleni byli na dwie gałęzie: pod imieniem Wizygotów, Tajfalów i Terwingów posiadali Dacyą Trajana; a pod imieniem Greutungów, Austrogotów, zajmowali północne brzegi morza Czarnego, Od Dunaju państwo ich rozciągało się aż do morza Baltyckiego. Roku 332, Konstantyn Wielki wyruszył z liczném wojskiem przeciw Gotom. Zbudował most na Dunaju pod Severinem, i przeszedłszy rzekę, poraził na głowę Gotów i odparł ich aż do Sarmacyi. Odebrał wówczas Dacyą

z rąk barbarzyńców, i za jego panowania ta prowincya stała się dyecezyą prefektury Illiryjskiéj, podzieloną na pięć powiatów.

Już przed soborem Niceńskim wielu Romanów albo Daków rzymskich, tudzież Gotów, przyjęło wiarę chrześciańską; gdyż na tym soborze znajdowali się dwaj biskupi: jeden Scytów, drugi Gotów, imieniem Teofil, a r. 360 Ulfilas opowiadał ewangelią Gotom, którzy znowu opanowali Dacyą.

W r. 376, Hunnowie z królem swym Rua, wkroczyli do Dacyi. Atanaryk, król Wizygotów, musiał cofnąć się między Dniestr a Dunaj. Aby się zabezpieczyć od nieprzyjaciela, wzniósł między Prutem a Dunajem mocny mur: ale za zbliżeniem się Hunnów, tak się przelękli Gotowie, że w liczbie 200,000 zdolnych do noszenia broni, uciekli do Tracyi, gdzie im cesarz Walens pozwolił osiedlić się, pod warunkiem, iż dostarczać będą posiłków, ilekroć cesarstwo zniewolonę będzie do wojny. W owymto czasie Nicetas, który mianował się apostołem Daków, założył biskupstwo Milkow w Multanach. Hunnowie byli panami Dacyi do r. 453, tojest do śmierci Attyli. Podczas rozlicznych najazdów barbarzyńców na Dacyą, Dako-Rzymianie, nie spodziewając się niczego od Rzymu i Byzancyum, ukrywali się w górach Karpackich, lub też służyli zwycięzcom. Często zatém później walczyli pospołu z barbarzyńcami przeciw Rzymianom byzantyńskim.

Gdy Ellach, syn Attyli, nastąpił po ojcu, Gepidowie, pod swym królem Ardarykiem, powstali przeciw Hunnom, wypędzili ich z Dacyi, położywszy im trupem, 30,000, w bitwie stoczonéj nad rzeką Netard albo Nera. Ellach poległ w bitwie. Anagnastus, wódz Rzymian, zabił Dengezika, drugiego syna Attyli, a Innak, trzeci jego syn, cofnął się do małéj Scytyi. Dako-Rzymianie zostali więc pod władzą Gepidów, po wyrugowaniu Hunnów.

Roku 505, Alboin król Longobardów, zawarł przymierze z Bajanem, królem Awarów, na obronę przeciw Gepidom, których królowi Kunimundowi porwał córkę Rozamundę. W bitwie, w któréj Gepidowie na głowę byli porażeni, Alboin własną ręką zabił Kunimunda. Królestwo Gepidów, po 110 latach istnienia, upadło, i już się nigdy nie podźwignęło. Longobardowie osiedli w Pannonii, Awarowie zaś w Dacyi. Longobardowie przeniosłszy się do Włoch, odstąpili Pannonią Awarom, i ci pod swym hanem Bajanem opuścili Dacyą, i udali się na nowe siedziby.

Po ich odejściu, żaden inny naród barbarzyński nie wkraczał do Dacyi. Dako-Rzymianie, którzy dotąd ukrywali się w górach, gdzie mieli własnych zwierzchników, zaczęli teraz rozszerzać się na równinach, pod imieniem Wołochów. Wielka liczba Rzymian z Dacyi Aureliańskiéj, znęcona pokojem jakiego używali Rzymianie Dacyi Trajana, przeszli Dunaj, przy końcu VIIgo wieku i osiedli w téj części Wołoszczyzny, która leży między rzeką Oltu a Dunajem. Wybrali sobie zwierzchnika imieniem Basaraba, któremu dali tytuł *Bana*, odpowiedni margrabiemu. Kraj, zostający pod jego rządami, obejmował pięć powiatów, które dziś nazywają się banatem Krajowy. Stolicą tego małego państwa była naprzód wieża Severin, a późniéj Krajowa.

Tyle rozprawiano o pochodzeniu nazwiska Wołochów, że wypada nieco nad tém zastanowić się. W dziele *Althochdeutscher Sprachschatz* Dra. E. G. Graff, członka akademii nauk w Berlinie, czytamy: *Walah*, peregrinus, romanus, *Walahise*, romanus, latinus. Te dwa wyrazy są gockie. Od tego narodu inne ludy przejęły zwyczaj nazywania Rzymian Wołochami. Niemcy długi czas nazywali i Dako-Rzymian i Włochów *Wälschen*, a Włochy czyli Italią, *Wälschland*. Dziś piérwszych nazywają *Walachen*, a drugich *Wälschen*. Węgrzyni mianują Włochów *Olach*, a Mołdawian i Wołochów *Oulach*. Piotr Katantsich, pisarz illiryjski, powiada, że odkąd Illiryjczycy poznali Rzymian, zawsze ich nazywali *Vlassi*, tojest *Lassi* (mieszkańcy Lacyum) przydając literę *V* właściwą Illiryjczykom. Wołosi zaś nie nazywają mowy swojéj językiem wołoskim, ale zawsze językiem romańskim, *Limba românésca*; a mówiąc o całym swoim narodzie, nazywają go Romanami, *Românii*. Dopiéro gdy chcą powiedzieć z którego mianowicie księztwa albo kraju pochodzą, mianują się Mołdawianami, Siedmiogrodzianami, Wołochami. Nie nazywają nawet Wołochami mieszkańców księztwa wołoskiego, ale *Munteni*, góralami. Podobnie jak w Niemczech, nazwiska Austryaków, Prusaków, Bawarczyków, rozróżniają poddanych różnych krajów, nazwisko zaś Niemców spólne jest całemu narodowi.

Od przyjścia Bulgarów do założenia księztw.

W roku 678, Bulgarowie przybyli z nad brzegów Wołgi, i połączywszy się z Rzymianami Dacyi, zaczęli plondrować prowincye cesarstwa Wschodniego. W r. 683 Bulgarowie przeszli Dunaj i osiedli w dzisiejszéj Bulgaryi. Cesarze carogrodzcy, aby mieć pokój, musieli płacić im daninę.

Bulgarowie byli wtedy sprzymierzeni i z Wołochami Dacyi, i z Wołochami Mezyi. W r. 812, zjednoczone te narody, pod królem swym Krumm, odniosły wiele zwycięztw nad wodzami byzantyńskiemi. Brat Krumma obległ Adryanopol, król zaś stanął pod murami Konstantynopola. Cesarz Michał abdykował na rzecz Leona. Ten zaś prosił Krumma o rozmowę, celem porozumienia się w przedmiocie zawarcia pokoju. Król Bulgarów zgodził się na pokój, pod warunkiem, żeby mu płacono haracz w pięknych dziewczętach i w szatach jedwabnych. Leon chciał podstępnie zabić Krumma w czasie téj rozmowy, ale nie powiodło się nasadzonym zbójcom. Król Bulgarów i Wołochów raniony, potrafił ocalić się z rąk nieprzyjaciół; a rozgniewany, stanął pod Adryanopolem, zdobył to miasto, 20,000 mieszkańców wziął w niewolę, nielicząc kobiét i dzieci. Ci jeńcy musieli osiąść na brzegach Dunaju.

Leon Ormianin, zawarł pokój w r. 814 z następcą Krumma; a za księżnéj Teodory, matki i opiekunki cesarza Michała III, Bogorys, król Bulgarów, przyjął wiarę chrześciańską, ze wszystkiemi poddanemi swemi, r. 865, i w następnym roku pisał do Ludwika niemieckiego, prosząc o biskupa i kapłanów. Romanie czyli Wołosi byli chrześcianami już od r. 330. Bulgarowie zostawali zjednoczeni z Wołochami, i składali z nimi jedno królestwo, aż do przyjścia Madżarów, w roku 899.

Madżary czyli Węgrzy, zawojowawszy Pannonią na Bulgarach, opanowali potém ziemię Siedmiogrodzką, gdy jéj książę romański Gelou poległ w bitwie. Nieco wprzód Węgrzy wyruszyli przeciw Menomorutowi, który posiadał ziemię, położoną między Siedmiogrodem, Cissą i Maros. Stolicą jego było miasto Bihor, dzisiaj Wielka Oradya. Menomorut był także księciem romańskim. Miasto, po dwunasto-dniowych szturmach, poddało się Węgrom. Menomorut zawarł wówczas pokój z Arpadem; ponieważ miał córkę jedynaczkę, wydał ją za Zultusa, młodszego syna księcia węgierskiego, i tym sposobem, po jego śmierci, księztwo jego przeszło w dom Arpada. Po zawarciu rzeczonego pokoju, Madżary wystąpili przeciw Gladowi, innemu władcy Romanów albo Wołochów, który przybył z Widynu i panował w banacie temeswarskim. Glad opierał się im z wojskiem, składającém się z Kumanów, Bulgarów i Wołochów; ale musiał zgodzić się na pokój, i uznać się wielkim lennikiem Węgier. Ród Glada panował w banacie temeswarskim aż do czasów świętego Stefana króla węgierskiego.

Ahtum czy Ohtum, potomek Glada i pan kraju leżącego między Maros, Cissą i Dunajem, był chrześcianinem i bardzo potężnym. Ponieważ miał wojsko liczniejsze niżeli Stefan węgierski, odmówił uznania go swym zwierzchnikiem, a Stefan nie odważał się zmusić go do tego; ale wypadek niespodziewany podał mu oręż w rękę. Chanadin albo Sunnad, dowódzca wojsk Ahtuma, opuścił go, i przybywszy do króla węgierskiego, objawił mu wszystkie tajemnice dawnego swego pana, obiecując, że mu ułatwi zawojowanie Temeswaru. Stefan mianował dowódzcą sił swoich Chanadina. Węgrzy przeszedłszy Cissę, uderzyli na wojska bana, ale po bitwie, która trwała do południa, musieli cofnąć się w lasy Kwkyner i Zewreg. Chanadin stał obozem na górze Orozlan, Ahtum zaś bardzo blizko ztąd na dolinie Nagenz. O północy, wódz Stefana rozbudził swych żołnierzy, i oświadczył im, że święty Jerzy pokazał mu się we śnie, i wezwał aby spiesznie uderzyli na nieprzyjaciela, obiecując zwycięztwo. Węgrzy więc napadli znienacka na wojska Ahtuma i porazili je na głowę; sam ban poległ w bitwie. Król tak się ucieszył tém zwycięztwém, iż rozkazał aby miasto Maros nazywało się odtąd Csanad albo Chanadin, a prowincya komitatem Csanad, którego rządcą mianował zwycięzcę. Były jeszcze w ziemi Siedmiogrodzkiéj posiadłości romańskie, Maramos i Fogaras, które, jako położone w górach, dłużéj opierać się mogły Węgrom. W końcu jednak i te dwa księztwa uznać musiały zwierzchnictwo Węgrów, ale rządzili niemi książęta romańscy, wybierani przez naród.

W czasie osiedlenia się Węgrów w Pannonii, Multany i Wołoszczyznę zajmowali Kumani albo Komani, połączeni z Romanami. Wielu pisarzy twierdzi, że Kumani w Dacyi byli ciż sami co Komani albo Komuki, zamieszkali wyżéj Georgii albo Gruzyi; podług innych są to dawni Jazygowie, sprzymierzeńcy Trajana; inni znowu mniemają, że są tymże samym narodem co Wołochy, zwani także Romanami; jeden zaś autor wyprowadza nazwisko Kumanów od miasta Kumy we Włoszech, opierając się na księdze ósméj Liwiusza, gdzie powiedziano: *Cumani ab Chalcide Eubeica originem trahunt.* Oprócz Kumanów, Pieczyngowie długi także czas mieszkali w Multanach i Wołoszczyznie; byli oni zapewne pokoleniem Kumanów, ponieważ tymże co ci mówili językiem.

Pomimo wspomnionych dwóch ludów barbarzyńskich, było jeszcze kilka pomniejszych księztw w Multanach i Wołoszczyznie, rządzonych przez zwierzchników romańskich. Na Wołoszczyznie, już od r. 683 byli banowie Krajowy, a w Multanach około tegoż czasu istniało księztwo romańskie, o czém przekonywa medal bronzowy, znaleziony w zwaliskach twierdzy zwanéj Semendrya, blizko Romanu w Multanach. Medal ten jest z wieku VIIgo; z jednéj strony ma wizerunek księcia w kapeluszu, zwanym po romańsku *pilèrie*, tudzież napis „ojciec Mołdawii"; z drugiéj zaś napis: „*Heredia de Moldova*", dziedzictwo mołdawskie. Te posiadłości Romanów były niepodległe, i żadna historya węgierska nie przekonywa, iżby one były pod rózkazami świętego Stefana lub jego poprzedników, ani téż Bulgarów, lub Słowian, lub Greków byzantyńskich, bo nigdy wojska carogrodzkie nie posunęły się za Dunaj.

W roku 1042, Romani albo Wołosi, znani pod nazwiskiem Pieczyngów, sprzymierzyli się z cesarzową Zoe, opiekunką Konstantyna Porfirogenita, i walczyli, przeciw Bulgarom, którzy się oświadczyli nieprzyjaciółmi Greków.

Salomon, syn Andrzeja Igo, sam potrzykroć koronowany na króla węgierskiego, a wyzuty tronu przez Władysława, widząc się pozbawionym wszelkiéj pomocy, udał się do Bessarabii, i błagał Kumanów o wsparcie, których wódz Kutesku odznaczył się w wojnie przeciw Bulgarom i Grekom. Salomon zobowiązał się, jeżeli on przywróci go na tron ojcowski, dać mu nazawsze ziemię Siedmiogrodzką, i poślubić jego córkę, chociaż był już żonaty z córką Henryka III, cesarza Niemiec. Kuman ujęty tak piękną nadzieją, wyruszył z wojskiem swém do Węgier. Opanował już północną część tego kraju aż do Munkaczu, ale Władysław zaszedł mu drogę pod Unghvar i wypędził go z Węgier (1085 r.). Salomon nie upadł na duchu: nad Prutem ułożył nowe plany z wodzem Kumanów. Tzelgu, naczelnik Pieczyngów, połączył się z nimi, i tak wszyscy trzej, na czele 80,000 Kumanów, Pieczyngów i Wołochów przeszli Dunaj, i społem z Bulgarami pustoszyli ziemię grecką aż do Skotinos i Chariopolis. Pod Kule spotkali wojsko greckie, którém dowodził Mikołaj Maurokatakalus, stoczyli bitwę, i wielką ponieśli klęskę. Tzelgu poległ; Salomon, ze szczupłą liczbą sprzymierzeńców, potrafił uratować się przez środek nieprzyjaciela, i dostał się na drugi brzeg Dunaju.

We dwa lata potém (1089 r.), Kumani wkroczyli do ziemi Siedmiogrodzkiéj, która zostawała pod panowaniem Węgrów, i srodze ją spustoszyli. Święty Władysław, król węgierski, zajęty był wówczas wojną z miastami Dalmacyi. Na wieść o wtargnięciu Kumanów, opuścił swe zdobycze, i spiesznie stanął nad rzeką Themes, gdzie spotkał nieprzyjaciela, który pod dowództwem Kopulcha, ogniem i mieczem pustoszył całą ziemię Siedmiogrodzką. Władysław przed bitwą przemówił do żołnierzy: „Walczyć powinniśmy; zwycięztwo jest przy nas. Wiecie, że prawdę zawsze mówię: kto ufa Bogu, niech idzie za mną"! To rzekłszy, wziął chorągiew czerwoną, i uderzył na Kumanów, wprzód nim mogli stanąć w szyku bojowym. Nie spodziewając się tak nagłego napadu, byli zwyciężeni: a wódz i większa część wojowników dostali się w niewolę. Władysław oświadczył, że daruje im życie, jeżeli chrzest przyjmą; ale nie chcieli wyrzec się dawnéj wiary i woleli śmierć. Król węgierski uniesiony żarliwością, kazał ich wszystkich pozabijać: jeden tylko zdołał uciec do Multan, i przyniósł wiadomość o rzezi spółbraci. Kumani, w następnym roku, chcieli ich pomścić się, ale znowu odparci, czekać musieli pomyślniejszéj dla siebie pory (1).

W roku 1123, Wołosi Dacyi Trajana, powstawszy przeciw Grekom, przeszli Dunaj i zwyciężyli wojsko Kalamana; zebrawszy wielkie łupy, wrócili do Dacyi, ale wojna jeszcze się nie skończyła; dopiéro w r. 1164 zawarli traktat z cesarstwem byzantyńskiém, i obowiązali się pomagać cesarzowi Emmanuelowi przeciw Węgrom. Wołosi, połączeni z Kumanami, tudzież ludami słowiańskiemi, prowadzili wojnę już przeciw Grekom, już przeciw Węgrom, ale czyny ich zawsze były jednostajne: spustoszenia, rabunek, rzeź. To trwało do r. 1220, tojest epoki kiedy Robert, arcybiskup Granu, ochrzcił wielu Kumanów, wraz z ich księciem.

Za panowania Baldwina de Courtenay w Konstantynopolu, r. 1228, liczne hordy tatarskie plądrowały Multany, Wołoszczyznę i Bessarabią. Mołdawianie i Wołosi musieli przenieść się znowu w góry; równiny do szczętu zostały zniszczone. Batuhan, około r. 1241, szedł na Kumanów. Ich państwo rozciągało się od rzeki Prutu do Jaik. Król ich Kuthen dwa razy odparł hordy tatarskie, ale trzeci raz zwyciężony, musiał uciekać na cze-

(1) Fessler, *Die Geschichte der Ungern.* Lipsk, 1815, tom I, str. 478.

le czterdziestu tysięcy familij, i schronił się w góry Karpackie. Ztąd wyprawił posłów do Beli IV króla węgierskiego, prosząc o ziemie dla siebie i narodu swego. Przyrzekał żyć w pokoju, uznawać zwierzchnikiem swoim króla węgierskiego, i przyjąć wiarę chrześciańską (1). Bela zgodził się na przyjęcie Kumanów do swego królestwa, i osiedli oni w prowincyi, nazwanéj Wielką Kumanią. Ich król obowiązany był mieszkać w zamku niedaleko Pestu, jako rękojmia wierności swego ludu. Tymczasem nadciągali ku Węgrom Tatarzy. Dnia 15 marca 1241 r. Batu-han znajdował się tylko o pół dnia drogi od Pestu. We dwa dni potém, Węgrzy uderzyli na Mongołów, ale byli pobici. Jeniec wzięty przez nich, stał się przyczyną okropnych wypadków. Powiedział on, że wielu Kumanów znajduje się w szeregach tatarskich. Węgrzy domagać się wnet zaczęli śmierci Kuthena, gdyż on, jak mówili, sprowadził nieprzyjaciela do ich kraju. Bela IV, nadaremno chciał bronić niewinnego: nie słuchali go i biegli do zamku, gdzie mieszkał król Kumanów. Ten bronił się z początku, ale musiał uledz liczbie. On i towarzysze jego byli pozabijani, a głowy ich wyrzucono ludowi, który obnosił je po ulicach. Kumani usłyszawszy o morderstwie swojego króla, użyli odwetu: pozabijali wielu przedniejszych Węgrów i zrabowali niemało miast.

Bela wyszedłszy przeciw Mongołom w sto tysięcy, stoczył walną bitwę między rzekami Sajo i Cissą; ale porażony, uciekać musiał do Austryi. Tatarzy, po trzyletniém pustoszeniu Węgier, opuścili je, bo nic już tu nie było do rabowania. Trwoga, jaką wszędzie obudzali, rozeszła się i w ziemi Siedmiogrodzkiéj, któréj część splądrowali. Z tego powodu wielu Romanów przesiedliło się do Wołoszczyzny. Mnóstwo uciekających szukało schronienia w miastach Fogaras i Maramos, położonych w górach, a zatém mniéj wystawionych na napady barbarzyńców. Ludność tych miast tak dalece urosła, że potrzeba było szukać nowych siedzib. Do tego pobudziła i inna jeszcze okoliczność.

(1) Tylko część Kumanów przyjąć musiała wówczas wiarę chrześciańską, a druga pozostała w pogaństwie jeszcze przez wiek cały; gdyż widzimy w liście Barnaby Kędzierskiego, pisanym ze Lwowa 13 lutego 1780 r., przytoczonym przez Sulzera *(Geschichte des transalpinischen Daciens)*, że dwaj Minoryci ponieśli męczeństwo w mieście Seret, r. 1340, gdy chcieli nawracać barbarzyńców na wiarę chrześciańską.

Ci Wołosi byli religii greckiéj, Węgrzy zaś wyznawali rzymsko-katolicką. Grzegorz IX, papież, pisał r. 1234 list do Beli, wzywając aby nawracał Wołochów na wiarę katolicką. Wołosi więc z Fogaras, wraz z swoim księciem Rudolfem Czarnym, szukali przytułku na Wołoszczyznie (r. 1241), prawie bezludnéj, wyjąwszy banat Krajowy, gdzie długi czas mieszkali Templaryusze.

W Multanach, pomniejsze posiadłości romańskie coraz bardziéj były zacieśniane, z powodu najazdów Tatarów, zwłaszcza Nogajskich, tak, że równiny całkiem się wyludniły. Górne Multany i część Bessarabii zamieszkiwali Kumani; z téj przyczyny całą Mołdawią nazywano czas niejaki Czarną Kumanią, a Budżak dzisiejszy zaludnili Tatarzy Nogajscy. Taki stan rzeczy, trwał do r. 1354, tojest epoki, kiedy Dragos, syn Bogdana, króla Maramos, przeszedł do Multan i tu założył dzisiejsze księztwo.

Nim mówić będziemy o nowéj erze, która się zaczyna dla ludu romańskiego w Multanach i Wołoszczyznie, zobaczmy jaki wpływ nań wywarły ludy barbarzyńskie, z któremi żyć musiał ciągle, od Adryana aż do XIIIgo wieku.

Rzymianie, zmieniając ojczyznę, musieli téż zmienić swoje zwyczaje i obyczaje: przyczyna tego bardzo naturalna. Przychodząc z kraju gorącego do zimnego, zniewoleni byli zastosować do tego sposób życia, odzież, pomieszkania. Ale wszystko co się ściągało do religii, praw, rozmaitych obrzędów, małżeństw, pogrzebów, utrzymało się nietykalnie przez wiele wieków w nowéj ich ojczyznie. Dziś nawet dostrzedz można tego ślady. Wieśniacy wołoscy zachowali mnóstwo zabobonów rzymskich, przy małżeństwach zachowują wiele obrzędów, jakich używali obywatele Rzymu; na pogrzebie Romana znajdują się płaczki, *Praeficae*, które przeprowadzają nieboszczyka do mogiły, opiewając jego pochwały i piękne uczynki.

Sami tylko zajmowali się rolnictwem w Dacyi, gdyż barbarzyńcy nie dotykali nawet pługa (1); lecz kiedy późniéj zniewoleni byli prowadzić życie koczujące w górach, wzięli się także do chowu bydła: wtedy nazwano ich *Tschiobani*, albo pasterze. Wstręt oni mieli zawsze do barbarzyńców, dlatego téż ani Gotowie, ani Gepidzi, ani Hunnowie żadnego wpływu na nich nie wywarli; tylko od Bulgarów, którzy byli chrześcianami, przejęli oni

(1) Nemo apud eos arat, nec stivam aliquando contingit. *Ammian Marcellin*, lib. 31, cap. 2.

trochę zwyczajów. Język rzymski musiał przybrać wiele wyrazów z języka barbarzyńców, ale nigdy nie zlał się z ich mową. Wołosi wiernie trzymali się zwyczajów swoich przodków, nie naśladując koczujących przybyszów. Nigdy Romani nie chcieli żenić się z kobiétami innego narodu. Wstręt do takich małżeństw dotąd u nich istnieje. Nigdy chłop mołdawski lub wołoski nie weźmie za żonę Węgierki, Polki lub innéj cudzoziemki. Słusznie powiedział Gibbon: „Wołosi są otoczeni przez barbarzyńców, ale nie pomieszali się z nimi (1).“

Wołosi Zadunajscy, do zniszczenia ich królestwa przez Turków, w r. 1394.

Nie wchodzi do naszego planu pisać całéj historyi Wołochów Zadunajskich, aż do dni naszych; nàpomkniemy tylko o czasach, kiedy oni składali państwo udzielne: bo gdy pokonani zostali przez Turków w r. 1394, historya ich zlewa się z dziejami państwa Ottomańskiego.

Odkąd Aurelian wyprowadził część Dako-Rzymian do Mezyi, ci nowi osadnicy zostawali już pod władzą barbarzyńców, już pod panowaniem Rzymian, a późniéj Greków, aż do przyjścia Bulgarów. Ci Rzymianie, znani w historyi pod imieniem Wołochów, Mezyan, niekiedy nawet Bulgarów, dostarczyli kilku cesarzów Rzymowi i Byzancyum. Galerius Armentarius urodził się w Dacyi *ripensis*; jego następca Galerius Maximins tu także się rodził, ponieważ był synem siostry Galeryusza; przed wstąpieniem na tron Cezarów, nosił nazwisko *Dara* (2). Licinius był także Dakiem, równie jak Justynian.

Bulgarowie wkroczywszy do Mezyi, połączyli się z Wołochami, i utworzyli spólne królestwo, które trwało aż do śmierci króla Bulgarów Samuela, w r. 1014. Ten król wiele

(1) The Walachians are surrounded by but, not mixed with the barbarians. Gibbon, *Decline oft he roman Empire*, rozd. XI.

(2) Ród tego cesarza istnieje podziśdzień: zachowywał swe nazwisko *Dara* do XVIIgo wieku. W owych czasach, gromada Turków napadła na członka tego rodu Mikołaja Dara, który mieszkał w mieście Moskopolis. Bronił się on tak dzielnie, że sześciu Turków trupem położył; inni zebrali swych przyjaciół i w większéj liczbie uderzyli na zamek Dara, który także zgromadziwszy sobie przychylnych, zwyciężył Turków, puścił się za nimi w pogoń, i każdego kogo schwytał, żywcem odzierał ze skóry. Podobnie postępował z Grekami, którzy przyłączyli się do Turków, i piérwsi dla okazania strachu, jaki obudzał Mikołaj, zamienili jego nazwisko *Dara* w *Dera*, które pochodzi od greckiego słowa Δέρω, co znaczy obdzieram; odtąd ród ten sam przybrał nazwisko *Dera*.

zwycięztw odniósł nad Grekami. Wkroczył do Tracyi, Macedonii, przeszedł dolinę Tempe i rzekę Peneus, i dążył do Peloponnezu, ale Nicefor Uranus, wódz cesarza Bazylego, dognał go nad rzeką Sperchius, i w pień wyciął jego wojsko. Samuel nawet nie mógł ocalić się inaczéj, jak tylko leżąc długi czas zatajony między trupami. Ztąd wrócił do Bulgaryi, zaciągnął nowe wojsko, które także było porażone.

Co rok Bazyli odnosił nowe zwycięztwa nad Bulgarami, ale najsławniejsza jego wyprawa była r. 1014. W bitwie, w któréj Samuel musiał ratować się ucieczką, gdy wojsko jego było pobite na głowę, cesarz wziął w niewolę piętnaście tysięcy jeńców; podzielił ich na seciny, i wszystkim kazał oczy wyłupić, zostawiwszy jedno oko każdemu setnemu, aby odprowadził tamtych do Samuela. Nieszczęśliwy król tak się zasmucił tym okrutnym widokiem, że we dwa dni potém umarł. Jego syn i następca Gabryel, zwany także Romanem albo Radomirem, odniósł zwycięztwo nad Grekami; ale zabił go krewny jego Jan Władysław, i nastąpiwszy po nim, poddał się Bazylemu. Ten mając podejrzenie, że on myśli zbuntować się, wysłał przeciw niemu żołnierzy, którzy go zabili w potyczce pod Dyrrachium. Bulgarya stała się naówczas prowincyą rzymską, i Bazyli przybrał chlubne przezwisko Bulgarochtona. Zjednoczone królestwo Bulgarów i Wołochów upadło więc, a ich krajem rządzili książęta, mianowani przez dwór byzantyński. Wszelako Nicetas Choniates świadczy, że Wołosi zatrzymali swe miasta i warownie, i że panowanie Greków nad nimi było tylko pozorném. Ten pisarz bizantyński nazywa także Wołochów Mezyanami.

Cesarz Izaak Angelos, z okoliczności małżeństwa swego z córką Beli, króla węgierskiego, aby zwrócić sobie koszta godowe, nałożył większe podatki na prowincye. Wszystkie ludy, a zwłaszcza Bulgarowie, mocno się tém zniechęcili. Piotr i Asan, dwaj bracia Wołosi z góry Hemus, obrażeni za policzek, jaki jeden z nich odebrał od cesarza, zaprzysięgli zemstę, podburzyli Wołochów i Bulgarów, i na ich czele pustoszyli kraje cesarstwa. Ale Izaak Angelos w r. 1187, rozproszył ich, zmusił do cofnięcia się za Dunaj, gdzie oni prosili o pomoc Romanów i Kumanów Dacyi. Z temi nowemi sprzymierzeńcami, Asan wrócił na drugi brzeg Dunaju i wyparł Greków z Mezyi. Cezar Jan Kantakuzen, szwagier Izaaka, wyruszył przeciw rokoszanom, którzy za jego zbliżeniem się schronili się w góry. Kantakuzen mniemając że uciekli, rozłożył swój obóz na równi-

nie, nie zabezpieczywszy go czatami i rowami. Bulgarowie i Wołosi wpadli tu niespodziewanie w nocy, i wielką rzeź sprawili. Kantakuzen, z garstką wojska, ledwie zdołał dostać się do Konstantynopola.

Po takiéj porażce, Izaak Angelos zebrał liczne wojsko i sam wystąpił przeciw nieprzyjacielowi. Przybywszy do Taurokome, dowiedział się, iż Wołosi rabują okolice Lardei, i z ogromnemi łupami będą wracać w góry. Cesarz przyspieszył pochód, i po czterech dniach stanął pod Bereą, gdzie spotkał nieprzyjaciela. Wojsko wołoskie, poleciwszy jednemu oddziałowi uprowadzenie łupów w góry, gotowało się do boju. Nicetas Choniates, który towarzyszył cesarzowi jako historyograf w czasie téj wyprawy, opisuje z najdrobniejszemi szczegółami bitwę, i sposób wojowania Bulgarów i Romanów, których nazywa Scytami i Wołochami. Naprzód, mówi on, pokilkakroć puszczali strzały, potém wzięli włócznie w ręce; zmyślili poźniéj ucieczkę, żeby wywabić pogoń Greków, i z większą zajadłością, lotem ptaka wracali do bitwy. Powtarzali to razy kilka, a spostrzegłszy, że zwycięztwo przechyla się na ich stronę, przestali uciekać i wracać; wzięli się do szabel, i z okropnym wrzaskiem rzucili się na Greków, chyżéj niż słowo wymówione, i zabijali bez różnicy walczących i uciekających. Izaak ze wstydem wrócił do Carogrodu, i następnéj wiosny szedł znowu przeciw Asanowi, który ogłosił się królem. Naderemno oblegał przez trzy miesiące twierdzę Lobitze, i wrócił bez skutku do stolicy. W rok póżniéj, wyruszył raz jeszcze na Wołochów, i zbliżył się aż pod górę Hemus; nie spotkawszy atoli nigdzie nieprzyjaciela, zamierzał wracać do Byzancyum; lecz Asan znienacka napadł na niego w wąwozie, i otoczywszy go ze wszech stron, większą część jego wojska w pień wyciął. Cesarz winien swe ocalenie poświęceniu się kilku jezdnych, którzy ofiarowali swe życie, przeszkadzając czas niejaki Wołochom ścigać Izaaka. W tych to bitwach przekonano się, że Wołosi nie byli *Kutzowlachi* czyli Wołosi kulawi, jak ich Grecy przez szyderstwo nazywali, ani też *Cinciari*, albo komary; ale *Cinciani*, godni potomkowie znakomitego rzymskiego rodu *Cinciana*.

Ośmieleni Wołosi rozszerzyli się daléj, zdobyli Anchialo, Warnę, Triadizza, Stumium, Nisus. Izaak zamierzał wysłać przeciw nim Konstantyna Angelos: lecz gdy ten chciał wynieść się na cesarza, został uwięziony i oślepiony. Wołosi, w których jeden tylko Konstantyn wzniecał obawę niejaką, na wieść o jego

nieszczęściu, spuścili się ze swych gór, rozbiegli się po ziemiach cesarstwa, spalili Filippopolis, zrabowali Sardykę i pomknęli się aż do Adryanopola. W r. 1193, Izaak wyprawił przeciw nim liczne wojsko, pod dowództwem Alexego Gui i Bazylego Vatatzes, które zniesione zostało; piérwszy wódz uciekł, drugi zginął w bitwie. Cesarz nie stracił jednak odwagi, wystawił nowe wojsko, prosił o pomoc i otrzymał ją od teścia swego Beli III króla węgierskiego. Wszyśtko mu zapowiadało pomyślny skutek; lecz Alexy Komnen, jego brat, kazał mu oczy wyłupić i sam wstąpił na tron carogrodzki. Przywłaszczyciel ofiarował pokój Wołochom, ale ci podali tak twarde warunki, że wolał prowadzić daléj wojnę. Kiedy go zaprzątały sprawy Wschodu, dwaj bracia wkroczyli na nowo, pobili wojska cesarskie i wzięli w niewolę księcia Aspiatesa. Cesarz polecił swemu zięciowi Izaakowi Sebastokrator iść przeciwko nim; młody i niedoświadczony wódz pośpieszał na nieprzyjaciela, który pustoszył okolice Strymonu i Amfipolis; nie powziąwszy wiadomości jakie były siły Wołochów, gonił za nimi; jazda jego cwałem przebiegła trzydzieści stadyów, piechota co tchu zdążała za nią; i wojsko stanąwszy znużone naprzeciw nieprzyjaciela, nie zdolne było do boju. Większa część Wołochów, ukryta w zasadzce, otoczyła hufce cesarskie; Izaak dostał się w niewolę; żołnierzy jego prawie wszystkich wycięto. Siedział on w okowach aż do śmierci, która nastąpiła niedługo przed zgonem Asana. Ten po dziewięcioletniém panowaniu, zamordowany został przez swego krewnego Ivancu. Takiż los spotkał jego brata Piotra, bo i tego zabił jakiś Wołoch. Tron otrzymał Jan, młodszy brat Piotra i Asana, który uciekł z Konstantynopola, gdzie był długi czas zakładnikiem. Alexy wyprawił przeciw niemu protostratora Manuela Kamutzes, ktorego żołnierze opuścili, jak tylko zechciał wystąpić w pochód, nieżycząc bić się z Wołochami; cesarza także odstąpiło wojsko, i Jan swobodnie przebiegał i rabował okolice góry Hemus, Tracyą i Macedonią.

Następnego roku 1199, Alexy Komnen ciągnął z wielkiém wojskiem przeciw Chryzusowi, Wołochowi rodem, który na własną rękę prowadził wojnę z cesarzami: opanował on Strumizza, ogłosił się królem, i założył swą stolicę w zamku Prosaka. Alexy obległ go w téj twierdzy, nadzwyczaj mocnéj i opatrzonéj we wszelkie machiny wojenne. Po kilku bezskutecznych szturmach, Grecy musieli ze wstydem zaniechać oblężenia: cesarz prosił o pokój, obowiązując się uznać Chryzusa kró-

lem i dać mu w małżeństwo jednę ze swych krewnych. Wołoch zgodził się, i Komnen za powrotem do Carogrodu przysłał mu córkę protostratora, która rozwiodła się z mężem. Tegoż roku Wołosi z góry Hemus, społem z Kumanami bessarabskiemi, spustoszyli na nowo Tracyą, i pomknęliby się aż pod bramy Konstantynopola, gdyby Ruś nie wkroczyła do kraju Kumanów, którzy zniewoleni byli opuścić Jana i spieszyć na obronę własnych posiadłości. Wołosi, bez względu na odejście sprzymierzeńców, nie zaprzestali wojny; opanowali miasto Konstancyą w obwodzie Rhodope, i oblegli Warnę; ale to miasto zamieszkałe przez Łacinników, dzielnie się broniło. Jan przy pomocy ogromnéj machiny oblężniczéj, szerokości rowów a wysokości murów miasta, po trzydniowym szturmie zdobył Warnę.

Ten Jan był królem Wołochów i Bulgarów; ci ostatni nie składali największéj części wojsk jego. Niektórzy pisarze mylnie biorą te dwa narody za jeden, gdyż one wielce od siebie różniły się. Innocenty III papież wyprawił legata do Jana, aby go koronował na krola Macedonii, Tessalii, Bulgarów i Wołochów. W liście do niego pisanym winszuje mu, że on i jego naród pochodzą od Rzymian. Jan przez wdzięczność zgodził się na zjednoczenie z kościołem rzymskim; ale niedługo potém, gdy zaszły pewne nieporozumienia między nim a papieżem, odprawił księży katolickich, i dochował wiary kościołowi greckiemu.

Alexy, syn Izaaka Angelos, po śmierci swego ojca uciekł do Rzymu, i błagał papieża o pomoc przeciw swemu stryjowi, Alexemu Komnenowi, który oślepił jego ojca i tron sobie przywłaszczył. Papież polecił Krzyżownikom obecnym w Rzymie, przywrócić na tron ojcowski młodego Alexego, który obiecywał wielkie nagrody za tę posługę. Stanąwszy pod Konstantynopolem, Krzyżownicy wezwali Greków o wygnanie przywłaszczyciela, i uznanie prawego ich cesarza; ci ostatni po długich układach, zgodzili się wreszcie, ale niedługo potém zbuntowali się i zabili młodego Alexego. Łacinnicy mszcząc się jego śmierci i aby otrzymać to, co im obiecał, oblegli Konstantynopol, zdobyli go dnia 14 kwietnia 1204 roku, i mianowali cesarzem Baldwina, hrabiego Flandryi.

Jan chciał mieć pokój z nowym cesarzem; ten mu odpowiedział dumnie, że nie powinien on był pisać do niego jako do równego sobie, ale jako do suzerena. Król Wołochów postanowił wypowiedzieć wojnę Krzyżownikom: nastręczyła się

wkrótce do tego pochopna zręczność. Adryanopol podniósł rokosz przeciw Łacinnikom, którzy spiesznie go oblegli. Miasto prosiło Jana o pomoc; ten przybył prędko z wielkiem wojskiem, i na głowę poraził Łacinników: większa ich część, jak hrabia de Blois, legła na pobojowisku, Baldwin wzięty w niewolę, a Dandolo doża zaledwie zdołał dostać się z tylną swą strażą do Rodosto, a ztąd wraz z Henrykiem, bratem cesarza, do Konstantynopola, gdzie umarł tegoż roku. Jan trzymał Baldwina w Ternove rok i cztery miesiące; lecz rozgniewany że Alexy Aspietes uciekł do Łacinników, kazał cesarzowi Konstantynopola obciąć ręce, nogi, a potém głowę. Poraziwszy Krzyżowników, i obrażony, że Adryanopol nie chciał poddać się jemu przez wdzięczność za oswobodzenie od Łacinników, dopuszczał się okrucieństw i względem Greków; z tego powodu przybrał tytuł Romeochtona czyli niszczyciela Greków, jak Bazyli, co się był mianował Bulgaroochtonem. Jan zwyciężył w kilku bitwach Henryka cesarza Konstantynopola, brata Baldwina; obległ powtórnie Adryanopol, na prośbę cesarza greckiego Teodora Laskarysa, który walczył przeciw Henrykowi, i jego wojska posunęły się aż pod mury Konstantynopola; ale nagła śmierć zaskoczyła go podczas oblężenia Tessaloniki. Tak umarł ów mąż, który godnie prowadził dalej dzieło Asana i Piotra. Piękne zajałby miejsce w historyi, gdyby okrucieństwa nie plamiły wielkich jego przymiotów. Często żywcem grzebał Greków w zbroi i z końmi, i zasłużył u nieprzyjaciół na przezwisko *Skylojoannes*, tojest pies Jan. Żaden wróg, mówi Akropolita, za ludzkiéj pamięci, nie przyczynił tyle złego Grekom byzantyńskim, co ten Jan. Ten sam król Wołochów panował i w banacie wołoskim. On założył miasto Krajowa, stolicę banatu, i dał jéj swoje imię. Król po wołosku znaczy *krel* albo *krin*, a *Jow* albo *Iwan*, Jan; tak więc z *kraliów* utworzono później nazwisko Krajowa, Craiova. Zbudował też w tém mieście kościół nazwany Banesa, który dotąd istnieje.

Po śmierci Jana, Frurila albo Burila, jego synowiec, wstąpił na tron (1207 r.), z krzywdą Jana, syna Asana. Kilku wiernych sług uprowadziło młodego księcia z Alexandrem jego bratem na lewy brzeg Dunaju, i ukryło u Scytów lub Kumanów mołdawskich, przy pomocy których, Jan Asan wstąpił na tron ojcowski r. 1217, wypędziwszy przywłaszczyciela.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA LITERACKA.

KOMPOZYCYE NA FORTEPIAN.

Muzykalność i kompozytorowie.—Chopina dzieła pośmiertne.—PP. Dietrich, Dobrzyński, Karasowski, Koman.—Oryginalność.—PP. Ant. Kątski, Krzyżanowski.—Mazur i cechy muzyki narodowéj.—Ks. Lubomirski, p Moniuszko.—Kompozycya głosowa i narzędziowa, klassycy i romantycy.—PP. Madejski, Nowakowski, Ostrowski, Pusch, Rodkiewicz, Terajewicz, hr. Józef Wielhorski.—Życie i sztuka.—Wysocki.—Cel i korzyść przeglądu.

Gdyby kto chciał wątpić o coraz większém upowszechnianiu się u nas muzyki, mimo na tysiące dających się liczyć fortepianów, i wygrywanych na nich tworów różnego rodzaju, od polki do wielkiéj fantazyi, od gamm do etiud koncertowych: toby go z błędu wywieść powinien poczet kompozytorów polskich coraz większy, rosnący we wszystkich kątach, gdzie mowa polska przeważa. Poczetto nietylko ludzi fachowych czyli tak zwanych artystów zawierający nazwiska, ale i miłośników, *vulgo* amatorów. Nazwy: artysta, amator, oznaczają stosunki do towarzystwa raczéj niż do sztuki, nic nie mówią na korzyść lub niekorzyść płodów fantazyą stworzonych; i łatwo być może, bywa nawet, że tak zwany amator więcéj ma przygotowania, więcéj wrodzonych zdolności, niż człowiek fachowy. Przecież ogół większą ma w tego ostatniego wiarę, bo ufa jego specyalności w rzeczy, z któréj sam bardzo mało pojmuje, i przypuszcza bez badania dalszego, że powinien to rozumieć czemu się poświęcił. I ogół słusznie postępuje; postępowałby sprawiedliwiéj, gdyby sam miał dosyć świadomości rzeczy, potrzebnéj do zrozumienia różnego stopnia zasługi, różnego rodzaju działania; bo mało która nauka lub sztuka zatrudniających się nią ludzi, na tyle kategoryi dzieli, co muzyka. A każda kategorya zakreśliła sobie pewne granice, za które oddające się jéj indywidua nie są obowiązane wychodzić. Do wykonywających nie należy uczyć, ani komponować; kompozytor niekoniecznie uczy albo biegły jest w wykonaniu, równie jak uczący, któremu nikt nie zarzuci że nie komponuje: a przecież uczący są tak często zarazem wykonawcami i kompozytorami! To się znaczy, że kategoryę zatrudnień muzykalnych ściśle są z sobą połączone, i żadnéj wyłącznie poświęcać się skutecznie niepo-

dobna. Szczególniéj też kompozytor: musi sam przedewszystkiém swoję pracę choćby w przybliżeniu wykonać, a nieraz uczyć innych jak ją chce mieć wykonaną. Jeśli jednak nie jest dyrektorem jakiego ciała muzykalnego, a koncertów nie daje, to musi uczyć albo umierać z głodu. U nas przynajmniéj, gdzie z literatury trudno się utrzymać, z kompozycyi niepodobna. Więc kompozytor u nas poławia się w najniepodobniejszych czasem do tego indywiduach, i wykazuje przedewszystkiém potrzebę duchową wylania swoich myśli tonami. Więc gdzie ta potrzeba częstsza, tam więcéj serc dla muzyki bijących, tam muzykalność więcéj upowszechniona. Nie idzie jeszcze za tém, by tam sztuka piękniéj kwitła, jak polot literatury nie na liczbie piszących i czytających zależy. Wielu powołanych, lecz mało wybranych; a to tak mało, że gdyby oni sami tylko rzeczą się zajmowali, nie byłoby prawie ruchu. Więc graj, ktoś się uczył, choćbyś ani pięciu tonów poczciwié zagrać nie był zdolny; ucz, kto znajdziesz uczniów choćbyś ich tylko nauczył gardzić pracami tych, których świat za wybranych okrzyknął; komponuj kto zdołasz wydać, choćbyś nie wiedział dlaczegoś jednę nutę obok drugiéj położył! Szczególniéj komponuj, to świat powié żeś wszystkie rozumy pojadł! Bo świat naiwny myśli że musiałeś się uczyć kiedy umiész, a umiész skoro robisz. Świat logicznie rozumuje, a jakże się często myli! Jeśli kiedy, to tutaj można powiedzieć, że teorya z praktyką się mija. Wielu kompozytorów pamięta, że „żaden rycerz wojny nie nauczył się z księgi" i mniema, że dosyć uczyć się grać, to przyjdzie chwila intuicyi i kompozytor jak grzyb z ziemi wyrośnie. Gazety imą głosić imię „znanego kompozytora", ludzie się będą dziwić i głową kiwać, czyjeś serce się rozczuli, droga do nieśmiertelności otworem stanie i t. d. i t. d. Im więcéj takich, tém lotniéj sztuka w górę pójdzie—dlatego, by uciec; a jeśli nas nie opuściła dotąd, to dlatego, że większa łaska Pana Boga jak złość ludzka, że kilku istotnie zdolnych podtrzymuje to, co ćma innych psuje, a psuje tém snadniéj, że się w specyalność uwinęli. Cóż dopiéro jeśli w jednéj kategoryi, dajmy na to, wykonywających, zyskali imię choćby i zasłużone i do kompozycyi się wezmą? Nie uczyli się nie prawie z tego, co do niéj umieć potrzeba, albo żadnych do niéj nie mają zdolności, ale mają imię. Z niemi trudno wytrzymać walkę kilku poczciwiéj mniemającym, i to w obec tłumu nieumiejącego pojąć co zacne: bo tamci koryfeusze pociągają go ku sobie tak samo, jak pajac lub akrobata przemoże u mass mówcę i szlachetnego mimika. Chcemy przez to powiedzieć: że płytkość żywiołem jest tłumu, bo ją rozumié; a jeśli mu się przedstawia w imię sztuki, w wabnéj postaci poetyczności albo w todze szarlatańskiéj powagi, to i cóż dziwnego, że go zachwyci? Trzebaby tedy naprzód, by ogół się wykształcił i sam wybierać umiał. U nas i muchy się na to nie gonią; jesteśmy pod tym względem w położeniu tak rozpacznem, że gorszego obawiać się nie potrzebujemy. Że to nie przesada, łatwoby było przekonać, zastanawiając się nad naturą muzyki, jéj rodzajami, zastosowaniem i t. d. i przymierzając to do nas. Ale to rzecz zbyt długa na dzisiaj; dosyć będzie rozebrać pytanie: zkąd się u nas biorą ci, którzy muzykę propagują czynnie, z zawodu, tojest

artyści? A nawet i nie wszyscy, bo sami tylko kompozytorowie, skoroć im ten artykuł ma być poświęcony.

By zostać twórcą w muzyce, zacząć trzeba od nauki wykonania, dlatego tylko, by za jego pomocą otworzyć sobie wrota do téj odrębnéj czarodziejskiéj krainy, zaludnionéj tonami mówiącemi nie o tém, co się widzi i wié napewno, ale o tém, co nikomu widziéć nie dano, co wszyscy jednak przeczuwają, zgadują; tak jak przeczuwają życie przyszłe, a nie mają o jego szczegółach wyobrażenia. Jeszcze się Swedenborg dla muzyki nie zjawił i nie nauczył nas: jaki jest stosunek między tonami a przedstawioném przez nie, albo wywołującém je uczuciem? między światem muzyki zmysłowym i duchowym? — pewnie nigdy się nie zjawi; ale każdy kompozytor jest témsamém i dla siebie, i dla innych wielkim owym mistykiem. Tłum słucha i wierzy, albo nie. Żeby jednak umiéć do niego przemawiać odrębnym językiem muzyką zwanym, trzeba go się nauczyć. Tutaj jedni biorą się do grammatyki i składni: oglądają cząstki i w całość je wiążą; inni wolą się uczyć z praktyki, przez konwersacyą muzyczną; inni nakoniec przez jedno i drugie, i oczywiście ci najlepiéj sobie radzą. Dla piérwszych i ostatnich nie ma u nas sposobności uczenia się, bo nikt, ile nam wiadomo, nie zajmuje się istotnym kompozycyi wykładem, któryby jéj poetykę i filozofią obejmował: to i zagranicą, mimo katedr i konserwatoryów niewszędzie się zdarza. Ani składni muzycznéj nikt u nas nie uczy, i wszystko się kończy na oderwanych grammatyki częściach, z których znów każda jest bez całości w sobie, bez systemu, bez ducha, istny trup, czasem jakiém tam galwaniczném doświadczeniem poruszony. Że to na mało się przyda, łatwo pojąć; czegoż naprzykład nauczy tak zwany choć zmarły oddawna generałbass, prócz kilku akkordów na seciny rozmnożonych, z któremi nie wiadomo co robić? Więc kto chce więcéj, ile można najwięcéj, jedzie za granicę. W istocie najlepszy to sposób, ale mało komu dostępny. Kto musi zostać w domu ratuje się jak może i jak rozumié; a że i praktyczne kształcenie się coś znaczy, więc powoli, powoli coś się zbierze, i kompozytor się zrobi. Jeśli wielka zdolność tą drogą idzie i przyzwie w pomoc wytrwałość a pracę; jeśli wpadnie na tor szczęśliwy i ma zkądinąd nabyte pomocnicze przygotowanie: to zaiste może dojść do czegoś godnego sama przez się. Nauczycieli jéj innych niepotrzeba, bo i oni tylko wskazać mogą; ale trzeba w dziesięćkroć pomnożonéj usilności, długich lat mozolnéj pracy, by doświadczeniem krótkiego żywota zastąpić doświadczenie wieków, myślą młodą i swoją tylko prawie, zastąpić myśl wytrawną tylu mistrzów! Po większéj części tego wszystkiego nie bywa; oswojenie się z mnóstwem rozmaitych dzieł sztuki, pogadanka koleżeńska, osobisty namysł, proba, trochę nauki tu i owdzie w lot schwyconéj: oto siły z któremi często nowsi nasi kompozytorowie występują do walki z zamiłowaniem publiczném wzrosłém na płodach, którym miejsce nie w świątyni sztuki, ale w jéj kruchcie się należy. Zaiste, siłyto niewielkie, to téż i niewielkie rzeczy niemi powstają. Formy najprostsze, jak: pieśni, waryacye, zaledwie niemi zbudować można jakotako, a w najgorszym razie jakie pot-pourri, choć to wszystko różne nosi

nazwy, rzadko prawdziwe. Na co inaczéj, kiedy i to do wziętości i sławy zyskania wystarcza, a publiczność téż więcéj nie pragnie, bo nie zna! Takeśmy nizko spadli (jeśliśmy kiedykolwiek wyżéj stali), że już niżéj spaść nie możemy. To, co do nas handel księgarski sprowadza i co jedynie odchodzi, co powszechnie jest ulubione, należy do jednego prawie lub dwóch rodzajów najniższych w hierarchii płodów muzycznych, a i to jeszcze najczęściéj bierzemy plewę zamiast ziarna. Na tém się kształci smak ogółu, na to się zapatrują nasi kompozytorowie niektórzy; a im gorzéj naśladują, tém pewniejsi powodzenia. Nie wymieniamy tu nikogo i niczego, bo po chrześciańsku postępując nie można nikogo wyłącznie obwiniać, chyba okoliczności. Niemniéj jednak serce boli widząc drugą, trzecią, a nawet szóstą edycyą (co znaczy przynajmniéj tysiąc exemplarzy) jakiejś tam kompozycyi, gdy najlepszych naszych autorów zacne i podniosłe prace i w jednéj się nie rozchodzą. Możnaby niemal zawsze popularność utworu za miarę niedołężności jego uważać, za miarę poczciwości muzycznéj autorów. Więc cóż robią lepsi?—albo nie wydają wcale, by kosztów nie ponosić, jeźli zwrotu ich z góry pewnemi być nie mogą, albo rzadko tylko probują szczęścia, albo nakoniec zniżają się do ogółu. I do tego dochodzi nieraz, że ludzie istotnie zdolni pojąć różnicę wartości prac muzycznych, zamiast naśladować co lepsze, gorszemu się oddają. Dowodem ich utwory na coraz płytszy dylletantyzm obliczone, obawa zrobienia nie już czegoś pomnikowego, ale sumiennego przynajmniéj, zawierającego myśl głębszą; bo to zapoważne, zaciężkie, może zaproste i skromne. Jak niéma szczęku, brzęku, jak niéma tytułu chwytającego jak wędka, jak niéma jakiego stereotypowego szurum-burum: kompozytor za nieszczęśliwego się uważa, i tak długo pracuje, póki nie skrzywi prostego, naturalnego nie odzieje przesadą arlekina, łoskotem nie obwinie tego, co ciche. Otóż tak naginają artyści swój talent do żądań ogólnych.

„Przecież nie wszyscy; o! nie, na Peruna!..."

Są i u nas ludzie, którzy wyrobiwszy sobie zacne o sztuce pojęcie, stróże czujni własnéj godności, nie zniżą się do schlebiania gminowi—nie mogą; kwiat nie może się zbyć swéj woni i farb uroczych. W tém wyżsi od kwiatu, że się doskonalą ciągle i zyskują w sztuce przyjaciela, który ich do grobu nie opuści, a po śmierci orędownikiem im będzie, bo za życia w czystości ich widział.

I tamci piérwsi godni pobłażania: im brak sił, by wytrwali, bo pusty worek nie może stać prosto, jak mówi poczciwy Ryszard Franklina. Widząc, że na schlebianiu lepiéj wychodzą, bo zyskują pieniądze, choć liche, niestety! i wziętość nielepszą także, usuwają się od walki, mimowolnie brną coraz daléj, a nawet jako ludzie fachowi popiérają głośno opinie dające im puklerz nieprzebity niby; kto wié, możeby ich niemylność zaprzysiądz gotowi: alboż kłamca powtarzając się ciągle nie uwierzy nakoniec w to, co sam wymyślił? I oto od ziarnka do ziarnka nazbiera się miarka; trochę się zużyje, a reszta pójdzie na śmieci: tak łatwo mieć nowe! Cóż dopiéro, jeśli ten i ów inaczéj nie umie, a potrzeba mu gwałtem zdobyć sobie pozycyą, okazać się artystą? Daremnie mu gadać: bratku! zajrzyj do książki i dzieł sztuki, do własnego

serca i tajników natury—nie zrozumié coby to znaczyło. Bo żeby to zrozumiéć, trzeba wiedzieć, jaki stosunek człowieka do sztuki; pomyśléć czasem nad przyczyną skutków, poznać olbrzymie prace innych i zmierzyć wysokość do któréj podnieść się trzeba, by w ich szeregu stanąć. Umiejętność nadstawienia miną i czupryną jest ceniona od ludzi, ale w obec sztuki na nic się nie zdała, która cię jak daguerotyp przedstawi czém jesteś, a nie czém chcesz się pokazać. Ona jest złączeniem wiedzy i czucia; więc kto chcesz być z nią za panie-brat, nabywaj ciągle wiedzy i ciągle wykształcaj serce, albo urodź się gieniuszem. Mamy przekonanie, długiém porównywaniem ludzi i ich dzieł zyskane, że z prac najdokładniéj choć ogólnie można poznać autora; gdy praca jałowa i pusta, i człowieka umysł pusty a serce jałowe. Gieniusz także, jakkolwiek jeszcze byłby niewyrobiony, nadaje swym płodom właściwe piętno: dar boży zastępuje mu pracę i studya innym konieczne. Jest on jasnowidzącym poniekąd i dlatego zgaduje to nawet, czego inni nie zobaczą, nie posłyszą może nigdy, a co z czasem szerzéj, dobitniéj wypowiedziane, pokaże się związane tajemną nicią z tém, co kiedyś bez wiedzy, mimowolnie, albo rzucone przezeń jako drobiazg małocenny, powstało. Świat potém pozbiera te okruchy i dziwić się im będzie, choćby nie było czemu.

Takim drobiazgiem w szeregu arcydzieł Chopina są już po jego zgonie wydane dwa mazurki w Warszawie u R. Friedleina, waryacye z piosnki narodowéj niemieckiéj u Haslingera w Wiedniu, i dwa walce u Wildta w Krakowie. Mazury należą do najpiérwszych jego utworów: są dziećmi radosnéj chwili Terpsychorze poświęconéj, improwizacya wychodzącéj z dziecińśtwa młodości, olśnionéj wdziękiem i ułudą życia, które jeszcze jak rozwijająca się róża wygląda, choć już w niéj zaród robaka, który ją zniszczy. W mazurku drugim znać już piętno, połowę młodszą dzieł jego cechujące, łzę z uśmiechem zmieszaną, wesołe czoło chmurką smętności jak plamką narzucone. Te znaki są nieomylne. Prawdziwość pochodzenia lepiéj jeszcze, bo dotykalnie zaręcza egzemplarz tych mazurów, litografowany ręką towarzysza młodości w 1825 r. na użytek kilkunastu osób pragnących je posiadać. Mamy go w téj chwili przed sobą; dwie stronnice, a na każdéj jeden mazurek starym zwyczajem pomieszczony bez tytułu oddzielnego; tylko nad piérwszym położono: Mazur par F. Chopin; nad drugim świecą same początkowe głoski F. Ch. Waryacye zdają się pochodzić z czasu, w którym panna Sontag piérwsze swe laury w Europie zbierała i zachwycała między innemi piosnką szwajcarską: *Steh' nur auf du lieber Schweizerbue* (waryacye z tego tematu śpiewane przez p. Sontag wydali u nas wówczas Bielawski i Damse). To, co Chopin z téj piosnki zrobił, zgrabne jest i wykończone, ale drobne i bardzo mało ma cech odznaczających dzieła jego. Naśladowanieto ogólnego stylu waryacyj, i dlatego może za życia autora nie wydane. Chopin tak był surowym dla siebie, że nawet znacznie wyższéj sonaty (op. 4) wydanéj miéć nie chciał, choć ją był zrazu nakładcy odstąpił. Walce noszą na tytule datę wpisania w imionniku hrabiny P. rok 1844. Znać też w nich więcéj dojrzałości, szczególniéj w piérwszym; a lubo niewykończone zostały tak, jak Chopin zwykł był to robić z tworami,

które sam do publicznego użycia oddawał, i nie mają pociągającéj, magnetycznéj siły prac innych, która częściéj niż się zdaje pochodzi z wykończenia: niemniéj jednak widać, że jemu winny życie. Pewni jesteśmy, że większéj jeszcze wartości i większych rozmiarów twory Chopina ukryte jeszcze są tu i owdzie; dobrzeby było je światu pokazać (1), a może i włączyć do ogólnego zbioru dzieł jego, który się pewnie z czasem ukaże, ale który teraz liczne spotyka trudności. Gdyby się nas pytano o sposób, w jaki należałoby urządzić ogólne takie wydanie, albo nawet cząstkowe nieznanych dotąd prac Chopina: radzilibyśmy trzymać się porządku chronologicznego. Według niego możnaby iść za rozwijającą się, potężniejącą, przedzierzgającą się a raczéj odkrywającą myślą autora. Nie należałoby tu koniecznie trzymać się liczby dzieła, którą sam autor położył, uwzględniając raczéj kolej wydawania niż tworzenia. Jedno z drugiém mogło paść niekiedy razem, ale niezawodnie niezawsze; wszelkie wiadomości w tym względzie korzystnie użyte byćby powinny. Gdyby jeszcze w przedmowie spisano powody, które dały życie temu i owemu dziełu; powody nieraz drobne a płodne w skutki, charakterystyczne może niekiedy; powody jakich każdemu człowiekowi a więc i artyście nie brakuje, byłby to materyał pomocniczy przyszłemu biografowi Chopina. Owszem, samo takie wydanie dzieł wszystkich byłoby już autobiografią tonami, nauczającą jak mało która.

Zamierzywszy dzisiaj trzymać się abecadłowego porządku, przechodzimy od Chopina do p. Dietricha, którego ostatnie dzieła, wszystkie nakładu Friedleina w Warszawie, przejrzyć chcemy. *Chant sans paroles* op. 19, maleńki ale zgrabny kawałek; Tarantella op. 20. podobna raczéj do kontredansa zbyt szybkiego do tańca. Tarantella jest tańcem także, ale powinna mieć charakter szalony, przypominający skutki ukąszenia zjadliwego owadu: szybkość tempa nie stanowi tutaj wszystkiego. Walc op. 20 dobry. Marsz op. 24 nie ma nic w sobie wojennego ani poważnego. Talizman op. 25 pieśń rossyjska ułożona na fortepian; lichy to romans, ułożenie lichsze jeszcze. Daleko lepsze op. 26, bo choć waryacye na temat ukraiński są biédne, to przecież jest tam jeden rys charakterystyczny na str. 6téj, udatny do za-

(1) Nigdy jednak inaczéj, jak za pozwoleniem osób, które do tego mają prawo; one same rozstrzygać powinny co wydać, a co nie, bo im znaną jest ostatnia pod tym względem wola zgasłego. Komuż wolno ją lekceważyć? Komu innemu przystoi ją tłumaczyć? Kto wie, może osoby mające do tego prawo nie zezwolą na wydanie albo postarają się o wykończenie, którego ślad w pozostałych po autorze papierach być może. Nie chcemy tu już mówić o własności, lubo i to dla uczciwych ludzi wiele znaczy, ale o nadużyciu. Rodzina Chopina, wiemy o tém, *nikomu* i *nic* po nim nie odstąpiła: jakiemże prawem księgarz krakowski może wydawać dzieła Chopina pośmiertne i pisać wielkiemi literami, że to jego własność handlowa? Gdzie rękojmia, że mnóstwo mogących się pod wielkiém Chopina imieniem okazać publikacyj, przedstawia istotnie jego twory? Gdy przyjdzie czas i okoliczności pozwolą na wydanie prac jego nieznanych, to znajdą się środki zawiadomienia o tém kogo to obchodzić będzie. Nim to nastąpi, niech nikt się nie poważa frymarczyć imieniem gienialnego człowieka, nie pokrywa nadużycia i gwałtu miłością dobra ogólnego, bo w braku pisanego prawa, opinia publiczna go skarci.

dziwienia. O *Kaskadzie* op. 27 trudno co powiedzieć; z góry widać, że jeśli p. D. chce w muzyce malować materyalną stronę zjawisk natury, to mu się nie uda, bo muzyka do tego niezdolna. To, co z kaskady da się słyszeć, jest tylko szum mniéj więcéj mocny; więc sumienny kompozytor może na kawałku papieru napisać *tremolando* jaki taki akkord, i kazać go grać tak długo, jak komu chce się szumu kaskady słuchać. Kto chce widzieć massę wody spadającą, tuman, mgłę, kurzawę wodną, pianę, skały i wszystko co w kaskadzie widzieć można, to niech się do prawdziwéj uda. Figura jakiéj p. D. użył raczéj kropło znaczy, których w kaskadzie nie bywa. Słowem, kompozycya ta choć zgrabnie ułożona mniéj maluje przedmiot, niż narysowana na mappie rzeka prawdziwą, bo tam przynajmniéj długość i kierunek widać. Parafraza z opery Rigoletto op. 29 cierpi na brak effektów instrumentalnych, w które ubierać zwykli cudze pomysły wszyscy kompozytorowie parafraz, jak Kullak naprzykład. Położone na tytule: *morceau de concert* dla oznaczenia wzniosłości stylu czy trudności mechanicznych, zupełnie jak przesadzona pretensya wygląda, bo tam ani stylu, ani świetności mechanicznéj niéma. Kto to pot-pourri zagrać zdolny, gotów się uważać za wielkiego wirtuoza, a w gruncie bardzo mało może umieć. Sycylianka op. 30 zupełnie w stylu tarantelli pana D. ułożona, mniéj tylko rozwinięta, mniéj ma pretensyi, więc milsza. Bluet op. 31 zgrabna piosnka, ale nic więcéj; przypomina często walca. Jużto oryginalne kompozycye pana D. zwykle walca lub kontredansa rytmem się żywią; zdaje się, jakoby z natury do tego rodzaju tworów miał skłonność, bo w istocie tańce tego autora są wcale dobre: niechże téj naturalnéj skłonności folguje, a znajdą się wdzięczni. Może nawet w tym rodzaju byłby oryginalniejszym, o ileby nie zechciał posiłkować się wyjątkami z oper; bo co w tworach jego podobnych większéj części tych któreśmy wymienili, źdźbła oryginalności nie widzimy, nic talentu samoistnego. W tylu przytoczonych wyżéj pracach żeby téż nie znaleźć nic, coby było nowe, charakterystyczne, a raczéj jeden tylko pomysł — to szkoda papieru. Wprawdzie to wszystko napisane zręcznie, gładko, elegancko nawet; przecież wszędzie i zawsze to naśladowanie tylko: pustka z każdego okresu wygląda.

Rétablissement, gr. valse brillante op. 63 pana Dobrzyńskiego, nakład Friedleina w Warszawie, istotnie walc wielki, świetny, z werwą napisany, urozmaicony aż miło. Jest tam przecież jedno chropowate miejsce w przykończeniu (coda), na które autor wszedł wiedziony wykręcającym się piérwszym pomysłem, które pewnie w jego fantazyi ma znaczenie dla nas niewidzialne; szorstkość tylko czujemy. Bolero z opery tegoż autora wyjęte (u Friedleina w Warszawie) dawną jest znajomością, o któréj jużeśmy w swym czasie mówili; taką znajomość chętnie się spotyka.

Nokturno na basetlę i fortepian op. 1 pana M. Karasowskiego (w Lipsku u Breitkopfa i Haertla) dobre nam o autorze rokuje nadzieje. Styl tu właściwy przedmiotowi, melodya gładka, łagodna, wpadająca niekiedy w patetyczność podniecona rodzajem recitatiwa instrumentalnego, ożenienie dwóch narzędzi muzycznych w ogóle szczęśliwe:

tyle zalet w téj piérwszéj kompozycyi. Ale brak jedności prawie zaraz z początku uderza, z powodu różnych tematów zaczynającego rzecz fortepianu i występującéj po raz piérwszy basetli. Czy utwór cały miał być *solo* jednego narzędzia z towarzyszeniem drugiego, czy to miał być duet (co prawdopodobniejsze), zawsze wspólność pomysłu była konieczną, choćby z pewnemi odmianami, naturze każdego narzędzia przystającemi. Albo to, co mówi fortepian, z początku nieco krótsze być powinno i wyglądać jako wstęp do tego, co basetla obszerniéj opowié; albo to, co mówi basetla po fortepianie (str. 2) w innéj powinno być tonacyi i stanowić część drugą dyalogu. Nie brakłoby i innych jeszcze sposobów wprowadzenia rzeczy, a każdy mniéj więcéj kazałby zmienić coś z dalszego ciągu, który zawsze wypływem logicznym początku być winien. Nie rozszerzamy się tu jednak nad tém, bo całe prowadzenie tego nokturna pokazuje, że autor to dobrze pojmuje. Splątaniem dwóch tematów pod koniec trochę może zakrótkiém, dowiódł staranności nawet o jedność, któréj z początku uchybił.

Niegodzi się z piérwszéj już pracy pana H. Komana, romansem nazwanéj, (u Friedleina w War.) decydować o talencie autora; to téż zatrzymamy się do następnych, jeźli nas niemi obdarzy. Może w nich więcéj samoistności spotkamy, więcéj interesu w melodyi i ściśliwości, więcéj równowagi, biegniki nie tak pospolite, kiedyć mają być okrasą. Wolelibyśmy ich nie widziéć w romansie, bo one wychodzą z prostoty, jednéj z cech tego rodzaju kompozycyi; kompozycyi trudniejszéj niż się zdaje, bo w skromnym przyborze zawierać mającéj myśl nową, tkliwość, naiwność, czasem lekkość, a zawsze płynność i prostotę. Wszystko to przymioty konieczne, a nader rzadkie w nas, przywykłych do świetności, wytworności, kokieteryi.

Zarzucając tu i owdzie brak oryginalności i przeczuwając, że to jeszcze zrobić nam przyjdzie: czujemy potrzebę powiedzenia o niéj cokolwiek, by nasze wyrazy źle zrozumiane nie rzuciły na kogo podejrzenia, że przepisuje cudze myśli a nie własne daje. To się nie tak ma rozumiéć, znaczy tylko: że tam nic nowego nie ma, żeśmy już to samo, a raczéj prawie to samo słyszeli jakie sto razy lub daleko więcéj. Tak samo w życiu potocznóm uwija się tysiąc zużytych myśli, powszechnie znanych, temi samemi prawie wyrzeczonych wyrazami; dlatego one nikogo nie uderzą, w nikim myśli nie rozbudzą, a nudzą niemiłosiernie. Tak naprzykład poeci opisują od wieków piękność dziewiczą; więc opisów tych na tysiące liczyć można, a wszyscy opowiadają szczegóły tak samo widziane przez wszystkich, tym samym prawie porządkiem, temi samemi wyrazami. Piękność dziewicza zbrzydłaby już czytelnikom, gdyby nie była jednym z cudów stwórcy. Kto nie umié inaczéj widziéć jak inni, to niech swoje extazy dla siebie schowa, bo będą ziewać słuchając. W muzyce prócz ważniejszych rzeczy stanowiących jądro, są jeszcze inne podrzędne dla wielu, które takiemi jednak nie są, bo na główne wpływają więcéj niż oprawa na obraz, jako stanowiące jego cząstkę. Są to raczéj formy przygrywki, różna harmonia, różne maniery i formuły tu i owdzie wcielone, biegniki i t. p. Wyglądają one w muzyce jak poró-

wnania w poezyi, albo jak rymy, lub coś podobnego. »Porównania zużyte niczego nie dowodzą; trzeba nowych, by uderzyły i z nowéj strony przedstawiły przedmiot; w ten sposób z podrzędnego stanowiska do głównego niemal podnieść je można. A rymy?... toć już oddawna słynie u nas owe: za-go-ści-ła-się i t d. zbiór rymów spowszedniałych, których się wierszopisom wystrzegać kazano. I chociaż śmiesznym jest bezwarunkowy zakaz ich używania, to pokazuje, czém jest dla wiersza świéżość końcowego brzmienia. Więc choć i w muzyce śmiesznémby było wypędzać z niéj to i owo, pojąć łatwo, że ono wszędzie przystawać nie może, chyba że obojętne, nieznaczące, a więc tém mniéj warte. Proszę tedy wystawić sobie poezyą przedstawiającą obrazy znane, i z téj właśnie strony, z któréj je wszyscy widzą i czują, porównania dającą oklepane, np. usta jak maliny, włosy jak heban i t. d. a do tego rymy trywialne i bez właściwego charakteru, jaki mieć winny stosownie do treści (boć są dla ucha, nie dla oka); proszę sobie to wszystko wystawić i powiedzieć, co tam jest oryginalnego, samoistnego? Przenieśmy to do muzyki; zobaczywszy tam melodyą, harmonią, przygrywkę, formuły, passaże, a wszystko tak samo lub prawie tak samo, jak to już było tysiąc razy użyte, jeśli nie więcej, nazwiemyż to oryginalném? A jednak autor nie przepisał żywcem, ale jako niemający własnego zdania, powtarza innych i wypali jakie tam setne kilkadziesiąto czasem *opus*. Świat krzyczy na płodność, na pracowitość, na gieniusz nakoniec... w kopijście! Mówimy tu o autorach w ogóle, zaludniających wszystkie części ziemi. Papier który w ciągu roku nieużytecznie zabazgrzą, wystarczyłby pewnie, mierząc po angielsku, na pokrycie Chin całych, a wartości artystycznéj niema i na kawałek ziemi. Bo im się zdaje, że lada pomysł godzien uwieńczenia, że im ktoś więcéj pisze, tém znakomitszy; więc nic dziwnego, że ich dzieła wyglądają jak przedmiot zdaleka widziany. Nie znać dobrze ani kształtów, ani rozmiarów, ani koloru, ani charakteru, ale jest to coś, tego nikt nie zaprzeczy. To coś w miarę jak się zbliżamy do niego coraz bardziéj traci wydatność, zamiast jéj nabierać i rozpłynie się gdzie w powietrzu. Nie tak! Żeby stworzyć godne człowieka i sztuki dzieło, trzeba czekać na natchnienie lub myśl zacną, a strzedz się, by kaprysu nie wziąć za natchnienie, wspomnienia cudzéj myśli za własną. Daléj trzeba umieć myśl pochwycić, rozwinąć, obejrzyć i pokazać; potém można ją wykończyć, wygładzić jak jéj przystoi lub autorowi się zdaje, a ciągle czuć serce bijące, widzieć otwierający się świat własny:—to będzie oryginalność. Albo w kilku słowach: trzeba się uczyć harmonii i kontrapunktu, kształcić umysł i serce, reszta przyjdzie z łatwością, jeśli pan Bóg niezupełnie talentu odmówił. Wstanieli myśl nieudatna lub niezupełnie świéża, to ją ozdobi i odświeży wypracowanie, które samo niczém innem być nie powinno, jak dopełnieniem pomysłu, może nawet cząstką jego. Ono jeśli myśl buja, wiąże jéj ustępy w jednę całość, jeśli jednostajna to ją urozmaica. Ale dosyć! gdybyśmy tu foliały napisali, podobno na nicby się to nie zdało, bo zmuszałoby do pracy i oględności, które są ciężarem dla bark słabych:—dźwigać go nie zechcą. Oto raczéj damy

tu krótką receptę dla chciwych sławy kompozytora, i dla większéj jasności, w porównaniu. Dajmy na to, że malarz ma predylekcyą do krajobrazów; więc żeby imaginacyi nie wysilał, przygotowuje sobie różne krajobrazu przypadłości na osobnych kartonach, np. wodę, młyn, lasek i piasek, i tak, by linia w linię pasowały. Z tych czterech szczegółów różnie umieszczonych, kilkanaście krajobrazów mieć może; a jeśli młyn zdarzy mu się od wody laskiem albo piaskiem przegrodzić, to tém oryginalniejsze będzie. Więc kompozytorze przyszły splondruj tuzin oper włoskich i francuzkich romansów, piérwszą lepszą szkołę generałbasu, ćwiczenia kilku autorów, a masz materyału na całe życie i będziesz artystą! O formę się nie troszcz:—śmieciom wszystko jedno w jakim są worku.

Z trzech dzieł p. Antoniego Kątskiego, któremi są walc op. 151, romans bez słów op. 152, i mazur op. 153 nakładem R. Friedleina wydanych, drugie najlepsze. Szkoda, że figura przygrywki na któréj przeprowadzeniu możnaby powiedzieć że wypracowanie polega, choć daje ruch, jest tak monotonna, że choć dość szczęśliwie utrzymana, nie podniosła się do stworzenia własném bogactwem oddzielnego ustępu. Ożywiłaby się przeto całość, piękna i tak wprawdzie, ale nieco jednostajną melodyą wypełniona i napozór zadługa, choć istotnie nią nie jest. Zawsze to jednak szanowna praca. W walcu zgrabnym formą, udatnym nielicznemi pomysłami, najmniéj się spodoba część druga, dlatego że nieśpiewna, jako z tak zwanéj gammy chromatycznéj zrobiona. Nie należąca do żadnéj tonacyi, dopiéro z pomocą harmonii zyskuje miejsce stałe, na niéj się opiera, zamiast ją zawierać niejako w sobie. Pomysły tego rodzaju dobre są na krótkie rzuty, ale nie na wypełnienie ustępu jako treść główna; a jeśli wszędzie melodya, która potrzebuje wsparcia harmonii, by być pojętą, jest wadą, to szczególniéj w tańcach. Prostota i łatwe wpajanie się w słuch piérwszą po taneczności jéj zaletą być musi. Mazur zwany Karnawałem Warszawskim arcy słaby; daremnieby w nim szukać szaleństw i excentryczności karnawałowych, choćby tak skromnych i pospolitych jak w Warszawie. Jako muzyka do tańca ujdzie, jak się to mówi. Takich prac wysypać można na dzień i codzień tyle, ile napisać można, choćby się nie miało wprawy pana K. w spisywanie i ubieranie pomysłów muzycznych.

Pan Ignacy Krzyżanowski udarował nas dwiema pracami: romansem bez słów op. 9 i dwoma mazurkami op. 10 u Breitkopfa i Härtla wydanemi. Gdyby zawsze podobne tym kompozycyom rozbierać przychodziło, małoby było zatrudnień równie przyjemnych, jak pisać recenzye. Wszystkie niemal wyrazy zdążałyby do wykazania zalet, opowiedzenia szlachetnych dążności, dowodzenia, że autor rozumié rzecz swoję, że jego przygotowanie i większym sprosta zadaniom, gdy mniejsze tak poważnie traktuje; słowem do powiedzenia wszystkiego co autorowi miłe być może, i ozłocenie jakiéj tam pigułki, którą recenzent zadaje mu niekiedy dla utrzymania swéj powagi. Nie zarobiłby wtenczas na opinią złego języka, jadowitego pióra, niedowarzonego mędrka, i wszystkich epitetów, któremi odpornie mający się autorowie

tém chętniéj zasłaniać się lubią, im prace ich mniéj warte, im więcéj prawdomowne a niepowściągliwe pióro wyda się z wątpliwością co do usposobienia, pojęcia, oryginalności, natchnienia. W takim razie lepiéj nie pisać o tém co nie warte, powiedzą ci i owi, zapominając, że gdyby tylko o istotnie ważném się mówiło, bardzo mało o czém powiedziéćby coś można. Tymczasem rozprawiając ubodzie się czasem kogo wprawdzie, ale jak ochłonie i pomyśli, to może mu to na dobre wyjdzie; czasem i recenzentowi samemu, jak mu porządną wytną replikę. Albo ż i on tego nie potrzebuje? Więc bracia, postępujcie po chrześciańsku, opatrujcie potrzeby bliźniego! Tymczasem wy, których pracom odmawiamy tego i owego, zajrzyjcie z nami do pana Krzyżanowskiego pracy, to dojrzycie jak tam w Romansie myśl piérwsza zaczyna się w charakterze ogólnym, ale niebawem błyśnie z niéj iskra, tętno uderzy i już w połowie piérwszéj stronnicy, poznać łatwo, że autor ją sobie przyswoił, na własność swoję obrócił i po swojemu mówić jéj każe: a znacząco, a szeroko, a szlachetnie. Każdy przybywający okres zapala się niejako do przedmiotu. Na stronnicy drugiéj występuje rozkołysana figura przygrywki, własna, znacząca, i do bolejącego śpiewu dodaje groźne zrzędzenie basu lub rozpaczne trzepotanie się wiolinu. Nagłe ucinanie téj figury, a raczéj przeskakiwanie jéj z jednéj skrajnéj ekolicy instrumentu w drugą, podnosi wartkie jéj życie i sprzecznością uwydatnia rysy cząstkowe. Nie w tym jednak charakterze dojść ma do końca romans; nagle, bo nieskończywszy okresu przemienia się w spokojniejszy. Nowa figura przygrywki występuje; jéj pospolitość pogłębieniem harmoniczném pokryta, nie ufa widać sobie, bo wkrótce drugiéj przyzywa, a potém się łączą na czas jakiś. Tém wsparciem wzmocniona, nabrawszy otuchy, figura przedostatnia sama już do końca rzecz prowadzi, zatrudniając obie ręce i towarzysząc najpiérwszemu pomysłowi, zesmutniałemu, rozbolałemu, i jak myśl każda po stoczonéj walce, po przeżytym czasie, mocno zmienionemu.

Usiłując tu wyrazami tłumaczyć naturę téj kompozycyi, nie chcieliśmy przedstawiać jéj treści: byłoby to z pomocą ograniczonych środków w niezmierzoną krainę wyobraźni chcióć się zapuścić, w któréj każdy właściwą sobie drogą postępuje: byłoby chcieć objaśnić rzeczy właśnie w półświetle urok mające, widome zupełnie tylko w stanie owego nastrojenia osobliwego, w jakiém dźwięki muzyczne nas osadzać zwykły. Przedstawiliśmy tylko cielesne przypadłości kompozycyi, widome każdemu jednakowo, kto pojmuje charakter czynników muzycznych; a przedstawiliśmy je nie dlatego, że interesującą ułożyły całość, ale dla zrobienia jéj zarzutu, który brakiem jedności oznaczamy. Nie ulega mu melodya główna, niby kanwa rozciągnięta, na kilka wydatnych części rozdzielona, choć chwilami mętna lub jakby figurze przygrywki poświęcona; rozmaitość to figur przygrywających (zbyt ruchomych na *romans)* uwłacza jedności. Każda z nich albo sama z siebie wydatna, co szczególniéj do drugiéj (str. 4) się odnosi, albo starająca się o wydatność za wpływem harmonii (str. 5), albo wyróżniająca się rytmicznie (str. 5) choć na krótko występuje, by nie dosyć dawała powodów do utrzymania jéj ciągłego. Nierozległe ka-

żdéj działanie sparaliżowane jest innych znaczeniem, i co najważniejsze, żadna przygotowana, zapowiedziana nie jest, tylko tak z nienacka się zjawia. Taki kompozytor jak p. K. zrozumić szczegóły inne tego nieco hurtem zrobionego tu zarzutu, ani będziemy dlań szukać usprawiedliwienia w zwyczaju mnogich na fortepian pisarzy. Wielu z nich nie okazuje się tyle myślącemi i czującemi w kilkunastu razem wziętych pracach, jak p. K. w jednym mazurku; op. 10 dwa ich zawiéra. Na co tylko złożyć się mogą: szczęśliwy pomysł, znajomość szczegółów techniki muzycznéj, wykończenie najdokładniejsze, wszystko te mazury mają w sobie. Ale to wszystko jeszcze mało, bo tam w każdym okresie i frazesie, w każdéj niemal kadencyi melodyjnéj i harmonicznéj tkwi życie i prawda, w szatę rzewnéj prostoty najczęściéj odziana. Oba te mazury, a szczególniéj drugi, wyżéj stawiamy od rozbieranych dawniéj tego autora mazurów (op. 2), bo w ogóle są prostsze, łatwiejszej faktury, a co do ducha więcéj się zbliżają do niedającego się opisać typu ludowego, tak mistrzowsko odwzorowywanego dawniéj przez Chopin'a. Chopin tyle napisał mazurów i tak różnych od siebie, czyli innemi mówiąc wyrazami: z tylu różnych stanowisk ducha narodowego w nich przedstawiał (że o innych jego dziełach nie mówimy), tak wreszcie mistrzowsko rys po rysie układał, a w samym układzie tak wiernie obyczaj ludowy zachowywał, że każdy z nowych kompozytorów w tém lub owém podobny mu będzie, jeśli jak p. K. dopatrzy uczuciem, co tam na dnie serc naszych leży. Podobnym mu nawet być musi w ogóle mówiąc, bo dla kompozytora polskiego Chopin pozostanie arcywzorem, dopóki istota życia ludowego się nie zmieni i nowych typów nie stworzy.

Mazur nawet taneczny bierze wzór i okrasę z tego, co lud tworzy; dowodem wszelkie mazury nieco lepsze, tojest niepolegające wyłącznie na rytmie, najważniejszéj, ale nie jedynéj z cech muzyki narodowéj, jak to powszechnie mniemają. Bo i czemuż w muzyce nie mającéj nic z rytmu za narodowy uznanego, ślady narodowości bywają jednak? Drugą cechą są owe zwroty melodyjne, jakby z jakiéjś szczególnéj gammy wysnute, na jakiéjś szczególnéj harmonii oparte, których nawet technicznie dokładnie i wyczerpująco opowiedzieć nie można, ale które istnieją i są znane. Wielkie jest prawdopodobieństwo, że te zwroty zabytkiem są tonatności dawnéj, która w wykształceńszym świecie znikła już zupełnie. Lud tradycyonalnie przechowujący ojców obyczaj stary i formę widzenia choć nie szczegóły, wiarę i przesądy i wszystko co stanowi jego charakter, zatrzymał ją dotąd jeszcze. Zatrzymał ją mimo nieszczęśliwych katarynek, roznoszących po stołach nowych pomysłów roje, martwém wywrzeszczanych zadęciem i fałszywemi tonami. Tonalnośćto sięgająca dawniejszych czasów, może wsiąkła w zagon z krwią i potem, a pług co rok coś z niéj wydobędzie a resztę przyorze, by jeszcze na jakiś czas starczyło. Inna rzecz rytmiczny mazura żywot. Rytm nie wydatny w muzyce staréj, dopiéro z wyrobieniem się taktu w miejsce dawnéj mensury stał się dosadniejszym. Daty oznaczyć niepodobna, bo choć prawo natury na którém rytm się opiéra istnieje od początku stworzenia, różne narody przodku-

jące cywilizacyi ludów, różnie je sobie tłumaczyły; w naturze bowiem każdy szczegół bogaty jest w stosunki do innych i w zastosowanie do potrzeb człowieka. Rytm zaczął się wyrabiać wtenczas, gdy narody miały czas obejrzéć się wkoło siebie, oddzielić granicami od drugich, poczuć się w sobie, i na tle cywilizacyi ogólnéj uwydatnić własny charakter, i jak któremu przystało, jąć się nauk, handlu, rolnictwa i w nich działalność swoję przedewszystkiém rozwinąć. Rytm, to jest ruch, a ruch istotnie umysłowy zaczął się w Europie w wieku XV. Znać go już było wówczas nieco, i biegł w jednym kierunku choć licznemi drogami aż do wieku XVIII, by na jego krańcu się wstrzymać i w nowym kierunku rzucić. To też rytm powoli w owéj epoce jął się wydobywać; dojrzałość jego pada właśnie w końcu XVII i początkach XVIII wieku, i od téj dopiéro pory wiemy coś pewnego o muzykach narodowo-rytmicznych, równie jak i o tańcach nowszych; od téj pory wiemy coś o mazurze. Spotykamy go w pieśniach, które do tój opoki odnieść wypada, lubo jako taniec wykształcony tak, jak go mamy, podobno i wieku jeszcze nie istnieje. Zwroty dziwne o których mówiliśmy wyżéj, są duchową muzyki stroną, historyczną, że tak się wyrazimy; połączone z tętnem materyalnego życia, młodszych sięgającego czasów, stanowią muzykę narodową. Wieki to z wiekami ożenione w małoznaczącym tańcu zrobiły obraz narodu; bo każdy byt nosi ślady pochodzenia, piętno istnienia obecnego, a może i przeczucie jutra. Cech własnych zrzec się nie może, ani przywłaszczyć obcych. Dlatego to daremnie Włosi, Francuzi i Niemcy silą się na mazura, a nie umieją go zrobić, ani żadnego z naszych domowych tańców. Oni niebożątka nas nie znają; chwycą rytm, żywot dzisiejszy, i myślą, że nim wszystkiego dokażą, a my się śmiejemy, że do naszego najlepszego dobrać się nie mogą. Zajrzyjcie do mazura Schulhofa (souvenir de Varsovie) nakładem Friedleina w Warszawie wydanego; zgrabne to jest i piękne nawet, ale polskiego nic tam nie widać.

A teraz zajrzyjcie do mazurów kscia K. Lubomirskiego; o ile skromniejsze o tyle prawdziwsze. Liczne te drobiazgi (wiele ich wydał Friedlein w Warszawie) widocznie dzielą się na dwie kategorye: mazurów do słuchania i do tańca, mówiąc językiem potocznym choć niewłaściwym, boć i tych ostatnich słuchać można nie tańcząc. Jedne i drugie zawierają zawsze w sobie coś przypominającego owe cechy wyżéj przytoczone, coś niekiedy zupełnie oryginalnego. Charakter ich ogólny łagodny, często tęskny, rzadko zamaszysty. W jednych i drugich zacność pomysłów w parze idzie z opracowaniem staranném, wyższém bez porównania od tego, które spotykamy w mnóstwie mazurów różnych autorów, mazurów często spisanych tak, jakby chciano by ich nikt nie grał. Ta sama staranność cechuje inne taneczne utwory kscia L, jak walce, polki i zbliżone do tanecznych marsze. Co do ich taneczności nie wyrzec nie umiemy, wątpiąc o naszéj kompetentności i wiedząc, że ochota taneczna nie z saméj tylko muzyki tryska: jéj obowiązkiem raczéj ją mierzyć, porządkować, a na to często i rytmu dosyć. Widzieliśmy już tańczących przy muzyce z dłoni i butelek wydobytéj,

Ale za to dopatrujemy w melodyach i prowadzeniu ich przez naszego autora rysy, które w znakomitszym kompozycyi rodzaju miejsce znaleźćby mogły, gdyby go chciał probować. Już go nawet probował w tylu pieśniach do śpiewu, o których tu jednak nic mówić nie możemy, postanowiwszy samą tylko muzyką narzędziową dzisiaj czytelników naszych zajmować.

Nie koniec jeszcze tańcom; bo jakże pominąć dwie polki i trzy walce pana S. Moniuszki, wydane u Friedleina w Warszawie. Taki kompozytor czego się imie wszystko uszlachetni. Jego walce prześliczne może niesłusznie do tańców liczymy, drugi przynajmniej. Sąto raczéj pieśni w rytmie walca ulane, odziane wypracowaniem pełném świadomości i czucia, których utwory przeznaczone do tańca nie miewają; bo trudno pozostać myślącym gdy się szaleje, albo innych w gruppy taneczne kojarzy. I polki pana M. nie takie drygalskie jak zwykle bywają: to też zapewne zaciężkie, za mądre będą na muzykę taneczną, choć autor w nich jak i wszędzie zachował właściwą sobie swobodę prowadzenia harmonii, ale odebrał swobodę grającym. Mniemamy, że ten ustrój prac pana M. na fortepian pochodzi z nawyknienia jego do traktowania muzyką wyrazów poezyi i potrzeby jego ducha zapuszczania się w jéj głębię, z fantazyi przenikliwéj widzącéj kilka stron przedmiotu naraz, i umiejącéj je tonami schwycić. Do tego trzeba mieć przedmiot wydatny, tyle przynajmniéj, ile słowo wydatnym go uczynić może, i to podobno będzie powód że p. M. tak mało dał nam dotąd prac wyłącznie narzędziowych; śpiéw go mocniéj pociąga. Przyjmując tekst nietyle za przewodnika jak za główną oś około któréj myśli się wiją, objaśnia niemi przedmiot albo go przetwarza wedle swego widzenia, a zawsze w nim ma dowód, poparcie i kontrollę nawet, któréj się nie lęka, która owszém jest mu pożądana, bo pokazuje prawdę tego, co się odstrychać zdaje, naturalność tego, czego w texcie nie ma na wierzchu. Jedno i drugie w pracach pana M. do śpiewu pokazuje, że umié poddać się poecie i sam poetą niezależnym pozostać. Dlatego jego pieśni wielką mają potęgę, bo to dwóch poetów ożenione myśli: jedno w dwóch, dwoje w jedném. W muzyce narzędziowéj przedmiot widzenia poetycznego nie jest w materyą wcielony poprzednio, dwoiście, ale raz tylko i pojedyńczo. Niejeden kompozytor usiłuje więc uchwycić pojawy swéj fantazyi w szereg chwil i myśli, determinowane mających znaczenie. Streszcza rozpierzchnione, porządkuje logiką od ziemi pożyczoną, co mu się łączyć inaczéj nie chce; słowem tworzy sobie text niejako, obraz jakby istotnie narysowany i dopiéro muzyką kształt po kształcie, rys po rysie wyrabia. Za tém idzie, że chłodnie przy opisaniu tego, co w nim gorzało poprzednio; pracuje by wydobyć to, co się już niepowrotnie skryło, cień tylko zostawiwszy. A że formę chciał mu dawniéj nadać w myśli, choć ono formy narzuconéj przyjąć nie mogło, bo miało własną: więc kompozytor cień widzenia swojego schwyci i technicznie go uwinie jak można najstrojniéj. A tacyto zwykle najlepiéj umieją, bo ucieleśniając wszystko nabrali wprawy do wygładzania formy ze wszystkiemi jej przypadłościami. Są oni tém prawie w muzyce, czém byli niedawno

w poezyi klassycy nowożytni (1). Inaczéj romantycy. Oni na skrzydłach fantazyi lecą za przedmiotem swego widzenia, nie usiłując go na ziemię przyciągnąć, od któréj stroni; szczęśliwi, że tyle stron niezmierzonych obszarów z nim zwiedzili, chwytają jego obraz lekkiemi rysami przelewającemi się w inne, w miarę jak fantazya sunie. Więc w ich tworach chwila za chwilą oryginalna i nowa, a jednak myślą o tym samym przedmiocie wypełniona. Rysy same przez się składają formę; ztąd ona także oryginalna w ogóle i w szczegółach, lubo koniecznie się logicznie układa. Nie z pomocą jednak téj logiki, na wyrozumowaniu, na obliczeniu effektów opartéj, ale według logiki marzenia nieujętego, przeskakującego przestrzenie, zawsze przecież od punktu do punktu, tak, że przynajmniéj jego rzuty policzyć można, jeśli nie odległości zmierzyć. Na zimno oglądane tego rodzaju prace być nie mogą, bo je silne uczucie wywołało, a jego władza budzi uczucia, jak dźwięk oddźwięk rozbudza. Tamte o których mówiliśmy poprzednio, fantazyą tylko w grę wprowadzają, bo mimo całego starania o określność, nieokreślonemi pozostały dla słuchacza. Więc zawsze słuchacz muzyki narzędziowéj mniéj lub więcéj własnemu uczuciu, własnéj fantazyi oddać się może, a tłumaczącsobie jedném i drugiém to, co uchem chwyta, cieniuje rysy ostro, grubo zestawione, mgliste obrazy łączy z sobą i z chwili w chwilę przebiegając używa, rad, że dusza jego czynna życiem nieziemskiém buja po okolicach oprowadzana przez inną duszę. W muzyce głosowéj widniejsze mu one, w narzędziowéj rózleglejsze i ponętne tajemniczością; w tamtéj na myśli więcéj, w téj więcéj na fantazyi użycie polega. Sąto cechy rodzaju. Ale nie przeto kompozytor głosowy fantazyi pozbyć się może, narzędziowy myśli, bo przestałby być artystą, którego zadaniem właśnie jest łączyć myśli fantazyą, jako jednej duszy przymioty dopełniające się nawzajem. Każda myśl zdolna jest przejść w marzenie, w idealność, każdy ideał opiéra się na myśli jak na opoce, i dlatego jest czemściś. Sama myśl zimna i ograniczona zyskuje od fantazyi zapał i polot: fantazya sama z siebie mglista i niepraktyczna, od myśli bierze żywot i statek. Jak je p. Moniuszko łączy w swych pracach głosowych, opowiadaliśmy już tyle razy; a przy oglądaniu jego pracy wyłącznie na fortepian ułożonéj pod napisem *Vilanella* (Warsz. R. Friedlein) spostrzegamy to samo z właściwą rodzajowi różnicą. Nadpis ten włoski znaczy po polsku dziewczynę wiejską, i dlatego może *Vilanella* była kiedyś nazwiskiem pieśni oddzielnego rodzaju (2) i tańca w południo-

(1) Że przez klassyków i romantyków nie rozumiemy tu szkoły, ale osobistość autorów, nie płody jakiejś epoki, ale ogół tworów: powinnoby być z dalszego widoczne. Mniéj jeszcze chcemy tym sposobem stopień mistrzowstwa wskazywać, jak ktoś z wyrazu: klassyk, mógłby wnosić; raczéj, jeśli wolno mówiąc o kompozytorach tak się wyrazić, racyonalistów i idealistów określić pragniemy.

(2) .... les villanelles aries, *les canzonnette alla Napolitana*, étaient aussi repandues sur le continent pendant la dernière moitié du 16me siècle, que les barcaroles venitiennes et les vaudevilles provençaux le fûrent vers la fin du 17me. Memoires sur la vie et le siècle de Salvator Rosa par lady Morgan. Paris 1824. I. 60.

wéj Europie używanego w siołach, i prawie wyłącznie przez dziewczęta wykonywanego. Widocznie p. M. o tańcu nie myślał, by sobie zeń zadanie utworzyć; nie pragniemy jednak dociekać, czy, i jakieto obrazy determinowane go natchnęły; dosyć, że sielskie. Myśl główna przez całą przewija się kompozycyą, a fantazya coraz szersze wyrabia jéj koło. Niedosyć ono rozległe, by nieścignione okiem obszary zajmować, bo myśl sielan przygląda się temu co ma około siebie, w obrębie jednéj miejscowości się zamyka: jak to życie szlachetne rolnika za granicę własnego łanu nielubiące wybiegać, ciasne niby, ale obszerne, bo znajdujące pod ręką wszystko, co mu potrzebne dla ciała i duszy. Wy, coście nawykli do pracy i natury, a Pan wam pobłogosławił, że wam i użyzniony znojem waszym łan się złoci, i łąka kobiercem kwiecistym połyskuje, i strumień słodko szemrze, i gaj rzewnie szumi, i trzódka wesoło skacze, tak, że wam się serce rozpływa i rośnie zarazem:—znajdziecie obraz waszych uczuć w kompozycyi téj p. M.; podsłuchał was widać i nam powiedział, a wam ułatwił przypomnienie ich sobie w smutnych chwilach.

Mówiliśmy nieco wyżéj, że z tonalności i rytmu można poznać epokę powstania pieśni; muzyka zatém zdolna jest iść w pomoc badaniom historyków, i więcéj niż się zdaje tym szczególniéj może, którzy jéj nie znają filozoficznie i historycznie. Osadziwszy rozwinięcie się rytmu i tańców w pewnéj epoce, jak co do którego, np. mazura, można oznaczyć czas urodzenia niektórych pieśni pobożnych, z których wiele ma rytm mazura, mniéj widoczny jako poważnie kroczący, niemniéj jednak niewątpliwy. Taką jest kolenda: W żłobie leży i t. d. niezawodnie nie starsza jak wiek XVIII, co i język potwierdzać się zdaje. Nie idzie jednak za tém, by dzisiaj żyjący muzyk dobrze robił traktując ją jakby jaką wczorajszą piosnkę świecką, jak to się zdarzyło jéj w pracy pana Marcellego Madejskiego (*Nöel, cantique spirituel slave, transcrit pour piano. Vienne, chez Mechetti*). Autor dał téj pieśni podszewkę z najnowszéj i zarazem najlichszéj materyi, choć zdaje się, że z początku poważniéj myślał. I tam jednak nie zdobył się na nic godnego pieśni napół przynajmniéj religijnéj, pieśni jeśli skromnéj myślami, to wzniesionéj wysoko tajemnicą wiary, którą opowiada w swój sposób. Cieszy nas jednak, że pieśń polska i ludowa (nie wiemy czy godzi się nazwać ją ogólnie słowiańską), zaczyna zajmować kompozytorów. Jużby też czas był, byśmy przestali żywić się cudzoziemskiemi, kiedy mamy podostatkiem naszych i pięknych. Przedmiot to godzien uwagi, a może natchnie naszych pracowników lepiéj, niż dotąd się im wiodło. Wprawdzie niewielu tego probowało, to też jeden p. Dobrzyński zasługi tu położył istotne.

Część licznych nakładów Friedleina stanowią prace pana Nowakowskiego i należą do lepszych; o niektórych mówiliśmy dawniéj. Z nowszych mamy przed sobą: Gondolier, romans op. 36, i elegią op. 37 oboje na fortepian. Widzimy w nich rozwinięcie znakomitsze w szczegółach treść obchodzących, gdy ono dawniéj więcéj do formy się ściągało; widzimy zagłębienie się w uczucie, szperanie w jego skarbach a więc więcéj duchowości i prawdy, niż dawniéj bywało; wi-

dzimy wypielęgnowanie i wykończenie dowodzące łatwości, tém zaszczytniejsze, jeśli ona jego jest wypadkiem. Ale widzimy także zawsze jeszcze tę samą manierność zużytą już przez tylu kompozytorów, odbierającą pracom niezaprzeczenie własnym autora tę cechę samoistności, którąby im między tysiącem utonąć nie dała, która zawsze świéża, odróżnia dokładnie dzieło jedno z pomiędzy innych tego samego pióra. Gdyby nas zapytano, ile takich prac różnych kompozytorów wskazać umiemy, tobyśmy przyznać musieli, że, by je zliczyć między mnóstwem tych, któremi się dzisiaj zajmujemy, palców dwóch rąk możeby nie brakło. I jeśli niewszędzie gdzieby można, ten sam zarzut powtarzania innych i siebie kładziemy, to nieraz i dlatego może, że nie dostrzegamy jeszcze wyrobienia technicznego, które musi poprzedzić każdy objaw oryginalnéj myśli, aby jéj niedać połamaną i w ogólnym kolorycie tonącą. Wykończenie i zgrabność znowu, choć wiele znaczą, nie na długo wystarczą; ale skoro im towarzyszy świeżość i siła, to pokoleniom dzieło przekazaćm ogą. Rozumiemy my i to dobrze, że i te przymioty jakkolwiek ważne, niezawsze są dostateczne do upowszechnienia dzieła: trzeba jeszcze okoliczności przyjaznych, o które u nas trudniéj podobno jak gdzieindziéj; ale gdy okoliczności przybędą, niechby zastały rzecz czekającą już na nie. Od pana N. wolno żądać tego, co daremnie byłoby proponować niejednemu autorowi, tak zwanych *morceaux de concert*. Co najwięcéj zarzucamy panu N. to owo passażowanie, którém szczególniéj pod koniec melodye swoje osnuwać lubi. Żeby już znacznie dawniejszych prac nie sięgać, wskazujemy prócz wymienionych wyżéj dzieł, jeszcze 32, 33 i 34. W każdém spotykamy to samo, lub prawie to samo: maż-to znaczyć, że prace te mają jeden charakter? Autor mniema inaczéj, jak z samych już tytułów widać. Może to wskazuje, że passaże owe mają charakter bardzo rozliczny? Nam się to nie zdaje, a pewnie i panu N. Wié on dobrze zapewne, jak z motywów poprzednio wprowadzonych nowe stworzyć pomysły, nadać im kształt passażów, jeślić już przyjęta metoda używać ich każe. Bo prawdą jest, że mają pewien wdzięk i schlebiają grającym; to téż nie potępiamy ich bezwarunkowo, tylko świeższe i stosowniejsze do treści mieć pragniemy; praca zyska na znaczeniu i spojności części.

Adagio i *Rondo* na fortepian op. 11 pana F. Ostrowskiego (u Friedleina w Warsz.) możnaby przyrównać do ludzi, o których każdy kraj zachował pamięć w legendzie różnie cieniowanéj, co to zasnąwszy raz snem głębokim w jakiém ustroniu, po kilku lat dziesiątkach wyszli na świat boży. Oni się nie zmienili, lecz jakże wszystko około nich się zmieniło! Jakimże okiem nowi ludzie patrzą na ich kostium i obyczaj, jakże się dziwią ich pojęciom i opiniom? Otóż tak pewnie dziwią się dzisiejszéj muzyki wychowańcy pracy wspomnianéj. I my się jéj dziwimy; nie dlatego jednak, że trochę szpakowato wygląda. Tyleśmy razy już wydali się z naszém uwielbieniem dla rzeczy starych, mchem prawie porosłych, że radzibyśmy prawie odkryć gdzie jaki ich skarb, chcielibyśmy, by się podobne im na kamieniu rodziły, gdybyśmy nie czuli, że czas powrotu dla nich nie przyszedł

jeszcze, a może nie tak prędko przyjdzie, bośmy napiękne w *postęp* wkroczyli. Ale temu się dziwimy, że autor naśladował Czernego, najmniéj godnego naśladowania z kompozytorów na fortepian szkoły, która naszą poprzedziła. Szkoła szkołą, rodzaj rodzajem: każde z nich ma swoje dobre, jeśli nie brak konceptu i zręczności; obojga szczupło bardzo autor w swéj pracy rozrzucił.

Z licznych dzieł pana Aloizego Maryi *de* Pusch znamy tylko dwie polki, marsza i parę walców. Na tytule jednego położone op. 35 i tytuł autora, *membre honoraire de plusiers societés philharmoniques*, uprzedza na jego korzyść. Gdy się jednak zajrzy do środka!... ale o tém zamilczamy, dopóki nie poznamy innych dzieł wspomnianego autora.

Z nowemi dziełami pana Gedymina Rodkiewicza, którego *amour en rêve* (op. 3 u Friedleina w Warszawie) mamy przed sobą, pewnie się nieprędko zobaczymy. Domyślamy się bowiem, że to op. 3 należy do trzydziestu przynajmniéj, które chce napisać i spalić przed piérwszém, które na świat chciał puścić. Jakiś wielbiciel mnóstwa nut podszedł go i wydał, nie wiedząc, że nie na liczbie, ale na ich znaczeniu rzecz stoi.

Dowód tego wyraźny w mazurku skrzypcowym pana Alexandra Terajewicza, ułożonym na fortepian i jako op. 11 wydanym u Friedleina w Warszawie. Nut tam tak mało, że mniéj nie można prawie, a jednak są myśli, jest wdzięk, jest czucie; aż miło, i żałować nam przychodzi, żeśmy innych prac tego autora nie spotkali dotąd. Może są między nimi i takie, którym nazwa koncertowych (de concert) słuszniéj się należy, bo to się do drobnego acz udatnego mazura nie ściąga, choćby bywał nawet na koncertach wykonywany.

Prace fortepianowe Józefa hr. Wielhorskiego należą do najlepszych polskiém nazwiskiem oznaczonych. Jest ich dwadzieścia kilka, a chociaż wszystkich nie znamy, niemniéj dlatego przeczuwamy ich ducha z połowy, która przed nami leży. Cechą to właśnie jest prac zacnych autorów, że w każdéj z nich połączone są przymioty, z których jeden w tém, inne w innych dziełach szerzéj są roztoczone, i z jednego dzieła wnioskować można prawie niezawodnie o wszystkich. Zaraz sześć mazurów (pewnie op. 1) i trzy nokturna op. 2, oba wydane u Westphala w Berlinie (nokturna są także w drugiéj edycyi u Bote i Bock w Berlinie) mają piętno dojrzałego wykształcenia muzycznego, i dowód zapatrywania się na najszlachetniejsze wzory między nowszemi fortepianistami jak Chopin, Henselt, a może i Taubert, jeden z lepszych muzyków i wirtuozów, któremu, jako swemu nauczycielowi, ofiarował autor piérwszą swą pracę, mazury. I zaiste Taubert nie miał powodu wstydzić się swego ucznia, chyba mógł mu zarzucić zbytek wypracowania, mającego niby dowieść, jak początkowy kompozytor korzystał wybornie z nauki, któréj widocznie lada czém nie zbyto. Nokturna równie jak mazury mają myśli własne, prowadzenie szlachetne i oryginalne, a oba te dzieła pokazują, że muzyka zacna drogą jest autorowi, jako ucieleśnienie uczuć, urzeczywistnienie marzeń. Dzieło 5te: dwa impromptu u Breitkopfa i Härtla w Lipsku, wiele jest słabsze, mimo gwałtowności pomysłów. Henselt tam się zanadto przebija. Pieśń bez słów, utwór fantastyczny (op. 9. Schlesinger w Berlinie)

reprezentuje może w życiu autora początek jednéj z tych walk, które człowiek każdy wcześniéj czy późniéj, dłużéj czy krócéj zwodzi z samym sobą, jeśli ma tyle sił, by je na dwa obozy rozłożył. Każdy ma się opornie drugiemu, aż zawrą traktat zabezpieczający każdemu istnienie na cały żywot człowieka: ale istnienie, które niemniéj jest walką toczącą się w głębi, o któréj tylko piana na wierzchu zaświadcza. Z téj walki wyrabia się z myśli człowieka osobiste widzenie, wrzące zrazu wulkanem, płynące na wyskokach, goniące za excentrycznością w któréj fantastyczność widzi, gotowe wiele narobić hałasu z powodu drobnych rzeczy. Im daléj w życie, tém ślad walki więcéj się zaciera, ale skutki pozostają nazawsze; i choć się to i owo przytępi, niemniéj widome będzie w pewnego rodzaju dualizmie, umiejącym sobie formy właściwe wyrobić i przeważać to tą, to inną stroną; czasem obie odsłonić, splatając ich promienie w jedném ognisku, które jest dziełem, czynem. I dlatego téżto w dziełach sztuki, choćby tak nieokreślającéj jak muzyka, w dziełach godnych istotnie do niéj należéć, widać ślad usposobienia, które im dało początek. A we wszystkich dziełach jednego człowieka, do jednej i téj saméj kategoryi jego działania należących, objawia się rys po rysie, wskazówka po wskazówce, objaśniająca życie wewnętrzne, a więc i zewnętrzne poniekąd. Bo któż jego wpływom się wywinie, któż nie przyzna, że z niego wziął znakomitą część tego, co się do jego głębi schroniło? Więc dzieło zbiorowe to biografia autora, nie każdemu wprawdzie czytelna, a nawet widzącym ją niedająca się zformułować w wyrazy, ale niezawodna. Tak w dwóch nokturnach pana Wielhorskiego (Breitkopf, op. 11) widzimy brak melodyi: chcemy powiedzieć melodyi takiéj, która sama dla siebie i przez siebie ma całość i konsekwentność; potrzeba harmonii, by jéj wybryki zrozumieć. Dla nas jest to symbolem owych dwóch sił, dowodem owéj walki o któréj mówiliśmy wyżéj; znakiem marzeń niełącznych, może żądz niepodobnych do zaspokojenia; harmonia, ów reprezentant porządku i realności, jednoczy je i łagodzi. Niemniéj siła kompozycyi słabnie przeto, bo dwie jéj części paraliżują się wzajemnie; harmonia opór stawia zachceniom melodyi, ale i sama nie może urozmaicać i głębi pomierzać, jako czém inném zajęta. Dzieła: 10 (wydane w Lipsku u Kistnera) i 13 (tamże u Breitkopfa) są dwie fantazye na fortepian, któremi może autor chciał złożyć hołd modzie, podżegnięty prawdopodobnie przykładem tylu kompozytorów różnéj zasługi. Nie lubimy fantazyj, bo to zawsze zlepiane i manierne. Przecież wstręt nasz od rodzaju nie zaślepia nas tyle, byśmy nie umieli wyróżnić tego, co w nim lepszego. Szlachetna dążność pana W. uchroniła je od płytkości. Piérwsza świetna i elegancka, może nieco grzesząca zbytecznem poddaniem się manierom wirtuozów, ma zaletę własnego pomysłu, nie wadę żywienie się okruchami z cudzego stołu; nazwa fantazyi da się więc tu zastosować tém słuszniéj. Forma porządna jednoczy liczne pomysły, ale w tém co na wirtuoza obliczone nie ma wynalazku, choć biegniki i formuły przez autora użyte, nie tyle jeszcze co dzisiaj spowszedniałe były, mianowicie w zastosowaniu do fantazyi, bo to op. 10 około dziesięciu lat już podobno istnieje. Druga fantazya z Belliniego (il Pirata) powstała

tematów, ale przyswojonych zupełnie przez naszego autora. Pełno w niéj ruchu, czasem prawie zawiele, naprzykład w tém miejscu wariacyj, gdzie się dwa tematy łączą z sobą. Te dwa tematy złączone są dowodem, jak autor dba o zjednoczenie myśli, jaką solidarność między niemi organizuje, jak pragnie wypracowaniem uzacnić rodzaj, skoro mu się oddał. Fantazya ta poważna więcéj niż strojna, może przeładowaną jest trochę wypracowaniem; wygląda jak tkanina gęsto nabita, równa, trwała, urobiona we wzory rozliczne, mniéj godne podziwienia jako rysunek, więcéj jako staranności dowód. Trzecie impromptu op. 14 u Breitkopfa i ulotne myśli op. 15 u Hoffmeistra, złożone z dwóch mazurków, z romansu z ritornellą na chór i piosnki: *quand tu seras seule* (oba ostatnie bez słów) są to drobne kawałki, lecz poważne i myślące. Impromptu prześliczne i oryginalne, mazurki jaśniejsze od owych, które op. 1 stanowią. Nie wiemy, co wypełnia dzieła od 15go do 20go; przekonani jednak jesteśmy, że to same cechy w nich się znajdą, jakie poprzednie odznaczają, jakie spotykamy w wielkim marszu i walcach op. 20 i 21 u Friedleina w Warszawie wydanych. Choć dopiéro połowę prac p. W. znamy, zdaje nam się jednak, żeśmy go pojęli i prawie przewidujemy jakim się pokaże w różnych formach i rodzajach, którym się może już poświęcał albo poświęci jeszcze. Tak zgadnąć można jak sobie postąpi dobrze znana nam osoba w pewnych okolicznościach: można przewidzieć ruchy i wyrazy niemal wymienić. Jest to dowód wykształconego w niéj widzenia, pewnéj samodzielności, która przecież jeszcze nie jest tém, co stanowi istotną oryginalność; ta bowiem podług nas polega na tém właśnie, że jéj przewidzieć, odgadnąć nie można, chyba ogólnie. Takie właśnie pojęcie mamy o nieznanych pracach pana W. przyznając im témsamém dosyć oryginalności, lubośmy zapatrywanie się na innych w piérwszych tego autora pracach dostrzegli. Ale samodzielność coraz więcéj się wyrabia; może kiedyś więcéj w pomysłach tkwić ona będzie; dziś więcéj w przedstawieniu i prowadzeniu ich leży. Inne przymioty z dzieł tego autora widome są: poprawność prawie bezwarunkowa i wykończenie staranne, choć czasem wyszukaniem grzeszące i dające się niekiedy uwieść brzmieniu fortepianu zmąconemu użyciem pedału; nadto głębokość i szerokość często, szlachetność, prawie zawsze siła, a czasem śmiałość do niejasności niekiedy posunięta (np. w walcu 1szym str. 4 ostatnie dwa takty i następne). Zachowaliśmy w pamięci kilka manier drobnych, kilka ulubionych akkordów i formuł harmonicznych, do których z czasem pewnie więcéj z dalszych prac przybędzie, by kierunki umysłowe autora zyskały wydatne chwile, za któreby je ująć i obejrzéć można. Wtenczas coś więcéj powiedzieć będzie można o kompozytorze, mającym dosyć sił, by do lepszych był policzony już dzisiaj—daj Boże do piérwszych w przyszłości. Winniśmy tu jeszcze dodać, że czysto materyalna strona kompozycyi pana W. polega na traktowaniu fortepianu w sposób zupełnie nowożytny, i wymaga niekiedy znakomitego mechanizmu.

Wielki Krakowiak G. N. Wysockiego z rękopismów po nim pozostałych, nakładem Friedleina w Warszawie wydany, grany był kiedyś

przez autora z towarzyszeniem kwintetu (lubo z orkiestrą napisany) przed wyjazdem jego w podróż artystyczną do Niemiec. Dosyć to już dawne czasy, ale pamiętamy, że nam się słabą pracą ta zdawała; dziś widzimy, że tak jest istotnie. Ś. p. Wysocki miał talent do pomysłów, niedługą formę wypełnić mających; dowodem tego za życia jego jeszcze wydane dwa zeszyty krakowiaków (Breitkopf i Härtel op. 1) tak pięknych i rozmaitych, jak nikt u nas nie robił. Prawdę powiedziawszy, mało też kto doświadczał się w tym gatunku. Z naszych narodowych rytmów piszemy przedewszystkiém mazury, rzadko już teraz poloneza; ale o krakowiakach jeśli słychać, to tylko o jakiém opracowaniu dawno już znanego, albo o przedruku melodyi ludowych niegdyś wydanych, ze wszystkiemi błędami i brakami wydania piérwszego. Wysocki więc jedyny tu jest prawie, a godnie się wywiązał z zadania, jakie sam sobie narzucił, nietylko co do treści, ale i co do liczby. Pozostały nawet po nim w rękopiśmie liczne krakowiaki, nie ustępujące dawniéj wydanym. Ten o którym mówić zaczęliśmy, przybrał rozmiary szerokie, koncertowe, ale się nie udał, bo Wysocki nie miał dosyć imaginacyi, by rozprysnąć się w kapryśne bi.gniki, uporządkowane jednak, w te arabeski muzyczne i fantazyjne rzuty, służące za oprawę głównym ustępom, a jednak wyglądające same jak obrazki oddzielne. Dlatego w tym krakowiaku ile razy autor wprowadza ustęp melodyjny, część muzyczną tego, co niejako rondem chciał zrobić, zawsze jest godnym i świeżym; ale gdy przyjdzie kontynuacya *sola*, ustępy *di bravura*, zaraz widać jak mozolnie wynajduje, jak niezręcznie wiąże. Jedynato z prac Wysockiego tego rozmiaru, dlatego może nieudatna; forma mu się wymykała i wymknęła. Może to i sam widział, i dlatego zaniedbał wykończenia i przygotowania do druku. Więc wydawca powinien był powierzyć redakcyą komuś sumiennemu i znającemu się na rzeczy, a pewnie niejedno zostałoby zmienionem bez krzywdy pomysłów pięknych niekiedy i we wstępném *adagio* i w samym Krakowiaku.

Na zakończenie pozwalamy sobie zwrócić uwagę czytelnika na cel, powód, a może i korzyść przeglądów naszych w piśmie niniejszém zamieszczanych niekiedy; korzyść zupełnie niezależną od ich wewnętrznéj wartości. Chcielibyśmy tym i owym przypomnieć prace ogłaszane wprawdzie w swoim czasie (lubo niezawsze i niekoniecznie w piśmie dla wszystkich znajomém, bo często cudzoziemskiém), ale może już zapomniane. Zawiadomienia księgarskie zwykły sucho mówić o tytule, autorze, miejscu i cenie, a to łatwo się zapomina. Czasem tylko jakim przyjacielsko rekomendującym wyrazem, jakim szumnym wykrzyknikiem chcianoby rzecz ogłaszaną jak gwoździem do pamięci czytających przybić; ale sympatya osobista, wykrzyknik westchnienie kupieckie znaczący, tylko bardzo naiwnych złapać mogą. Więc wspomnieć drugi raz lub trzeci, a jeszcze trochę obszerniéj, jestto chętnéj nieraz pomódz pamięci. Ważniejszą jednak jest rzeczą zbierać w gromadki rozprysłe w szczególnych ogłoszeniach wiadomości o wyjściu prac różnych autorów, bo się tym sposobem tworzy powien rodzaj kroniki bibliograficznéj. Mniejsza o to, że się w nią jakiéj setki

polek lub kontradansów nie wciągnie; rzadko one do kategoryi prac artystycznych należą, lubo niemal zawsze należćby chciały. Ale gdy się nic prawie z ważniejszego nie pomija, to można ztąd mieć niejako obraz ruchu w pewnéj miejscowości, pewnéj społeczności Naszém zadaniem jest chwytać ruch muzykalny w Polsce; ale zadanie to niełatwe nawet z pomocą ogłoszeń księgarskich. Bo czasem nic więcéj prócz ogłoszeń do nas nie dochodzi, albo wzmianki pism czasowych, skwapliwie chwytających i powtarzających każdą wiadomość o tém, co się odległe od ich środka działania dzieje. Wiemy naprzykład, że w Warszawie, Wilnie, Petersburgu, Moskwie, Kamieńcu Podolskim, Odessie, Lwowie, Krakowie, Poznaniu, że już nie mówimy o miastach cudzoziemskich i miasteczkach mniejszych, wychodzą prace muzyczne Polaków lub w Polsce osiedlonych przybyszów; znają to może na miejscu, ale jak brzmi, jak to wygląda, często nie widzieli ni słyszeli w innych stronach. Więc daremnie byłoby zakrawać na obraz ruchu całego; urosnąć on może tylko z cząstkowych przeglądów. Tymczasem pocieszać się trzeba nadzieją, że wydawcy z czasem zrozumieją swój własny interes, i ułatwią nam poznanie swych nakładów. Lecz za najważniejszą rzecz w przeglądzie uważamy samo pomówienie o kompozycyi, rozstrząsanie, ścieranie się zdania ze zdaniem, choćby jedno głośno się objawiło, drugie w ciszy przepadło; to naprowadzanie na drogę błądzących, oswajanie z warunkami sztuki i pojęciami o niéj: słowem wszystko, co koniecznem jest następstwem każdéj publicznéj pogadanki. Nie jest-że ona tém potrzebniejszą, że sama tylko daje sposobność nauczenia się czegoś? Więc w imię tych korzyści niech nam ją przebaczą pośrednio i bezpośrednio w niéj interesowani. Niech nam przebaczą i ci, których prace do niniejszego przeglądu albo dawniejszych nie weszły; jednemu trudno znać wszystko a wszystko. Niestety! ubolewaliśmy już nieraz nad szczególną apatyą ludzi fachowych, nad ich zawziętém milczeniem! Należyż dać jéj wziąć górę? dosyćże pokątnego zdania, żadnym nie popartego dowodem, żadnym nie stwierdzonego rozbiorem? Czemu redakcye pism naszych codziennych tak troskliwe od niejakiego czasu o swój felieton, nie zajmują się roztrząsaniem prac muzycznych? Dla ogółu czytelników stałoby się to wkrótce przedmiotem wielkiéj wagi: wszak muzyka tyle a może więcéj ich zajmuje, co literatura książkowa, i pracę artystów innego rodzaju! Wszak mówią niekiedy gazety o koncertach i operach: a jak to ślicznie nieraz napisane, jak techniką okraszone! Należy się jeszcze jeden daléj krok zrobić, na ogólną pociechę czytających, pomszczenie pokrzywdzonych i podniesienie sztuki.

J. Sikorski.

O kniaztwach we wsiach wołoskich; z poglądem na wójtowstwa we wsiach na magdeburskiém prawie osadzonych.

Druga część rozprawy: „*o wsiach wołoskich*" *przez* Alexandra hr. Stadnickiego. *We Lwowie*, 1853. 4*ka*, *str.* 37.

W r. 1848 wydał we Lwowie Alexander hr. Stadnicki rozprawę „*O wsiach tak zwanych wołoskich, na północnym stoku Karpat*" i w niéj zebrał i wyjaśnił wszelkie jakie mógł zgromadzić szczegóły o tych osadach, których pochodzenie sam Czacki niedostatecznie objaśnił. W tomie IV Biblioteki Warszawskiéj r. 1851, str. 166, ś. p. Stanisław Lisowski zdawszy sprawozdanie o powyższéj rozprawie, zamierzał, znalazłszy wiele nowych szczegółów w tym przedmiocie w archiwum metryk koronnych, uzupełnić jéj niedostatki. Śmierć przerwała tę pracę, z którejby autor mógł wielce korzystać.

Część 2 rozprawy pomienionéj w r. b. jako przedruk z dodatku tygodniowego przy Gazecie Lwowskiéj wydana oddzielnie, podaje jako dalszy ciąg wykład praw i dochodów *kniaziów*, które im królowie polscy lub prywatni dziedzice, przy zakładaniu wsi wołoskich z swego udzielali, i które nietylko najintratniejszą, ale w swych następstwach najważniejszą część dotacyi kniaztw stanowiły. Zastanawia się następnie autor dłużéj nad warunkami, pod któremi ta dotacya udzielaną bywała, i nad przemianami, których doznały zbiegiem czasu te warunki, równie jak sama instytucya kniaziów. Śledzi następnie wszelkie ich ślady nawet w tych czasach, gdzie pierwotny cel i charakter téj instytucyi, jeżeli już nie wcale zaginęły, to przynajmniéj zupełnie zwichniętemi były; i kniaztwa, to w dożywocia szlacheckie się przemieniły, to w ręce właścicieli dóbr przeszły, lub też po przeniesieniu wsi wołoskich na prawo magdeburskie i nadanie im przywilejów miejskich, w majątek miast się przeistoczyły.

Mozolne te badania, (które z czasem dopiéro mogą się we wszystkich szczegółach uzupełnić, po przejrzeniu skrupulatném najważniejszych archiwów) są nieobojętnym materyałem do wewnętrznych dziejów naszego kraju; tém bardziéj, że historya kniaztw jest oraz w wielu względach historyą wsi, do których te kniaztwa należały, a po części także historyą wielu rodzin, które im swe nazwisko nadawały, lub od nich je przybrały.

Na takiéjto drodze pracowitych a suchych dla wielu badań, zbierają się powoli zasoby, do poznania gruntownego naszéj przeszłości, głównie wewnętrznego życia narodu. Coraz wychodzą na jaw ukryte dotąd pomniki, które już słabiéj, już mocniéj strony ciemne wielkiego tego obrazu oświecają; dlatego najdrobniejsza w téj myśli praca wdzięcznie jest przyjętą: długie bowiem lata jeszcze upłyną, zanim ujrzymy cały obraz w całéj jaśni prawdy historycznéj.

W.

Czarna Wstążka i La Kaczucza. Powieści Włodzimierza Wolskiego. Nakład Zawadzkiego. Wilno. 1852 *roku.*

(Nadesłano).

Z rzadka bardzo imię pana Włodzimierza Wolskiego pojawia się na scenie ruchu piśmienniczego. Czy panu Wolskiemu tworzenie z taką trudnością przychodzi? Czy zajęty pracami oddzielnemi od zawodu literackiego, wolniejsze tylko chwile piśmiennictwu poświęca? Czy płody, któremi nas kiedyniekiedy obdarza, tak niepowszedniéj są wartości a rozległych wymiarów, że każdy potrzebuje tyle przestrzeni w czasie przed i po wyjściu, aby się wygodnie umieścił i wyczekał, aż już przycichną o nich rozgłosy, i wpływy w skutkach się okażą? Czy wreszcie niewzględna powszechność zraziła go obojętnością, lub zbyt ostrym sądem?—Otóż podobno żadna z tych przypuszczalnych przyczyn nie wstrzymuje autora *Czarnéj Wstążki* od stałego uprawiania literackiéj niwy; jeżeli zaś jest jaka, to pewnie niedostateczna do usprawiedliwienia tych przerw, które, dlatego samego, że są przerwami, i zbyt długiemi, niecierpliwić i zniechęcać muszą życzliwą mu dotąd czytającą publiczność.

Pan Wolski Włodzimiérz jest jedynym może z młodych u nas autorów, który przy rzeczywistym talencie, posiada sumienniejsze jak zwykle dziś bywa wykształcenie umysłowe, smak na czytaniu nowoczesnych znakomitych płodów w literaturze powszechnéj zaprawiony, a do tego wszystkiego, niezwykłą łatwość i giętkość słowa i wprawę uderzającą. Z temi jednak zasobami, rzadko w jednym umyśle skojarzonemi, pracuje w literaturze naszéj prawie jako diletant.

Miał lat podobno ośmnaście, kiedy fantazyą poetycką pod tytułem: *Ojciec Hilary*, zrobił sobie odrazu najkorzystniejszy, i rzec można, świetny wstęp do grona uprawiaczów piśmienniczéj dziedziny; a po owym poemaciku, dając zaledwie znaki życia próbkami wybornych tłumaczeń i ulotnemi z okoliczności poezyjkami, zamilkł wreszcie na długo, jakby z czémś wielkiém gotował się do wystąpienia. Tak sądzić mieliśmy prawo, tak nas nawet prywatne wieści do sądzenia usposabiały; gdy oto po téj długiéj pauzie, zjawia się już jako przedruk, zgrabny tomik powieści: *Czarna Wstążka* i *La Kaczucza*, a w nim ani śladu tego ognia, tak w pierwszym utworze widnego,—który przez czas mógł się był tylko oczyścić i wyjaśnić, ale nie powinien był przygasnąć. Naprożno szukaliśmy tu owych śmiałych, wyrazistych pociągów pędzla, bo znikły gdzieś bez śladu, i nie poznaliśmy w autorze *Czarnéj Wstążki* ognistego niegdyś młodzieńca—poety. Ręka, która przedtém zuchwale, ale pewne czyniła poruszenia, dziś ze drżeniem, nie maluje, nie szkicuje, ale trwożnie kropkować zdaje

się ledwie obrazki; przybłąkała się jakaś spekulacyjno-filozoficzna na małą skalę charakterystyka, zarywająca coś z Balzaka, a w tonie i humorze z Hofmana: słowem, obca temu duchowi rodowości, który tak szczęśliwie zaczął się od niejakiego czasu rozwijać. Daruje nam autor, że z pobłażliwością przyzwoitą w ocenieniu miernych zdolności, o nim wyrażać się nie możemy, bo pomimo tego zwrotu w ostatnich utworach, widzimy jeszcze rzeczywisty talent i możność postawienia się pewniejszą stopą w świecie literackim. W téj nawet *Czarnéj Wstążce* są ustępy z tak wyraźnie wyższą zdolnością napisane, myśli gdzieniegdzie przeświecające tak samoistne i pełne siły, że byle czas jakiś pracy i szczérego oddania się i przejęcia się dzisiejszym duchem w literaturze wiejącym, a mielibyśmy prawdziwą przyjemność przy powitaniu każdego nowego płodu jego pióra.

Czarna Wstążka z tonu zakrawa na jakąś powieściową rozprawę o sercu kobiéty-lwicy. Nie możemy odmówić wielkiéj prawdy w niektórych zarysach, ale ta prawda zbyt wyjątkowa, bo z jednego lub kilku wzorów wyczerpana. Cały obraz dla naszéj publiczności, która pamięta wszelkie salonowe dzieje społeczności warszawskiéj, może być zajmującym, o ile przypomina pewnemi rzutami głosy dawno już między nami nie dźwięczące; obraz taki jednak tracić musi wiele dla reszty świata niewtajemniczonego w dzieje miejscowe. To samo i śmielej jeszcze powiedzieć możemy o drugiéj powiastce *La Kaczucza*, któréj szczegóły przypomniały nam doskonale znane prawdziwe czy podrobione historye, które, sądzimy, nie potrzebowały utrwalenia drukiem, bo się i teraz powtarzają ciągle w małém kółku wyjątkowego towarzystwa, a zawsze są i niecickawe, i nie nauczające. O jednéj i drugiéj powiastce powiemy tu jeszcze szczegółowiéj, a teraz zwrócimy się do autora z zapytaniem: dlaczego takiemi, jakkolwiek szczęśliwemi kopiami, wyczerpuje siły talentu? dlaczego szuka effektu zbyt łatwego, a niegodnego prawdziwéj zdolności? Rzecz niewątpliwa, iż wystawiony za szkłem portret znajoméj jakiéj osoby na ulicach miasta, jeżeli zajmuje i podobieństwem uderzającém i rysunkiem dobrym, a tych zalet portretom pana Wolskiego odmówić nie można; powiadamy tedy, że wystawione za szkłem twarze znajomych, choćby z niższéj sfery osób, zająć muszą, i chwilowy szmer pomiędzy widzami rozniecą: ale jakież te portrety mieć będą znaczenie o kilkanaście mil za Warszawą, a jeszcze daléj w Krakowie, Wilnie, we Lwowie; któż tam na nie z ciekawością spojrzy? Takie środki obudzenia zajęcia byłyby właściwe w sylwetkach felietonowych, ale nigdy nie powinny zatrudniać talentu, i mieścić się w książkach. Oprócz wielu niekorzyści, jakie na autora takich kopij spływają, jeszcze i ta przybywa, że skoro autor dla zatarcia śladu zkąd wziął prawdziwy wzór, odmieni jaki rys, jaki szczegół opuści lub doda, może bardzo właściwy i uogólniający postać; słowem, jeżeli autor chce zrobić z swego portretu, obraz, publiczność świadoma ory-

ginału, na cały głos wołać będzie: nieprawda, nieprawda! tak nie jest, tak nie było;—chociaż powieściarz bynajmniéj nie zobowiązał się malować jak jest i jak było. Ani na chwilę nie przypuszczamy, żeby autor *Czarnéj Wstążki* nie był zdolny obrazować społeczności w pewnych zadaniach, któreby za najwłaściwsze dla swego talentu obrał; ale przeciwnie jesteśmy przekonani, że dla rozrywki, dla kaprysu, z okoliczności przypadkowéj postanowił korzystać. i napisał dwie powiastki: *Czarna Wstążka* i *La Kaczucza*, a wrażenie jakię to wywołać może, już mu się naprzód uśmiechało przy piérwszych scenach. Wrażenie byćby mogło, nie przeczymy, ale portrety spóźniły się trochę z wyjściem z litografii.

Po téj apostrofie do pana Wolskiego, przypatrzmy się bliżéj samym powiastkom.

Czarna Wstążka, drukowana naprzód w felietonie Gazety Warszawskiéj, a potém wydana oddzielnie w Wilnie nakładem księgarni Zawadzkiego, musi przecież zawierać coś godnego téj podwójnéj publikacyi. Tak zaprawdę, pomimo tego wszystkiego, cośmy już na rzetelną jéj niekorzyść a sumiennie wyrzekli; pomimo niezręczności w wyborze przedmiotu; pomimo najpowolniejszego ruchu aż do sceny: *improwizacya Antka*; pomimo niewstrzemięźliwego gawędziarstwa, które rzecz całą mogłoby, przy lepszych jeszcze chęciach autora, do nieskończoności poprowadzić: *Czarna Wstążka* ma niezaprzeczenie, dla kilku ostatnich scen, wartość talentu. Dla tych zapewne kilku scen, wydartych prosto z serca gorącą dłonią, i w celu wyprowadzenia młodego autora z grzesznéj odrętwiałości, która bynajmniéj talentu nie umacnia, a któréj pozwolił sobie zadługo pan Wolski; Gazeta Warszawska i pan Zawadzki drukowali *Czarną Wstążkę*. Dla tych przyczyn i my, odstępując na chwilę od zasady, którą w nas dostrzegł pewien nader sumienny a bezstronny krytyk współkolega, od zasady *wysystematyzowanego attakowania* wszelkiéj samodzielnéj zdolności i śmielszego poglądu, odczytaliśmy z uwagą utwór zdolnego poety, raz w felietonie, drugi raz w oddzielném wydaniu, nie aby go zniweczyć i błotem obrzucić, lecz aby wynaleźć w nim i wskazać wszystko, co piękne i talentem nacechowane; a bez pomiarkowania ostrém słowem drażniąc miłość własną autora, pobudzić go do nieustannéj a sumiennéj pracy, kiedy mu nie brak talentu i usposobienia. Ucieszymy się serdecznie, jeźli rozdrażniony autor z całą zaciętością wystąpi przeciw naszéj krytyce, byle nie w dowcipnym artykuliku dwu lub trzy-szpaltowym, ale w jakiéj wstążce jaśniejszéj barwy, którąby się dała wpleść do świetnego splotu wstęg polskiéj poezyi, a nie zginęła w nim jak tyle innych ginie, niedojrzana.

W *Czarnej Wstążce*, po dwóch odczytaniach, nie mogliśmy dojrzéć treści, znaczenia, celu: może inne bystrzejsze oko już go dopatrzyło. Treść powiastki podług nas taka:

Antoni, artysta, talent przez jakiś czas w niepoznaniu, a jednak szczęśliwie i na dobréj drodze rozwijający się; przypadkowém staraniem przyjaciela i pięknéj kobiéty, wychodzi z ukrycia i nędzy, i pada ofiarą téj saméj protektorki pięknéj, ale zimnéj, która mu dłoń przyjazną podała i światu ukazała. Oto cała treść, dosyć nawet szczegółowo skreślona. Dodać tu naturalnie musimy, dla objaśnienia przyczyn sympatyi pięknéj damy dla Antoniego i nawzajem: że ta dama pojmuje sercem i duchem *sztukę*, a mianowicie muzykę, że smak jéj wykształcony wpływał wiele na ogładę smaku Antoniego, a zaś prostota pojęć młodego artysty, i zdrowe uczucie rodowéj melodyi, o któréj dama nie miała wyobrażenia, rozszerzyło także krąg jéj wyobraźni. Wzajem tedy udzielali sobie sił i żywiołów bohaterowie powieści, których jednemu lub drugiemu niedostawało; i stało się *przeciwnie*, jak na dworze Kiejstuta: nie on ją nauczył kochać, ale *ona* jego kochać nauczyła, sama nieprzyjąwszy lekcyi. Antoni kończy bardzo traicznie, bo umiéra z rozpaczy, właściwie z przeziębienia: stał bowiem przez pięć godzin na deszczu i chłodzie pod oknem swego ideału, który nie wiedział o tém wyczekiwaniu, nie wyjrzał, —i tém go zabił. Aż do téj sceny, rzeczy wloką się w najpospolitszéj gawędce, którą kiedyniekiedy ożywia jakaś wyrazistsza figura, lub wypadek. Największą niewłaściwością w szkicu pana Wolskiego jest naprzód to: że cały ciężar intrygi i kierunku powieściowego, autor zdaje się przyjmować na swoje barki w osobie opowiadacza tego szkicu Zdzisława, a ten wszędzie sam współdziała i wszędzie sobą zapełnia atmosferę powieściową. Powtóre: że od piérwszéj stronnicy, aż do improwizacyi Antoniego, autor szydzi bez ustanku ze wszystkich, które powprowadzał figur, albo, jak się to zwyczajniéj nazywa, obmawia swoich znajomych złośliwie. Można czasem chwilowo uledz takiemu usposobieniu do złośliwego dowcipkowania, ale niepodobna ciągle dzień cały, tydzień i wreszcie przez całą powieść dowcipkować. Nie ma położenia, nie ma istoty, nie ma uczucia, któreby w *Czarnéj Wstążce* ośmianém nie było; a ponieważ, jakeśmy wspomnieli, ów Zdzisław opowiadacz nacechowany jest wybitnie indywidualnością autora, i do wszelkiego działania jako aktor sam należy: ztąd najnieznośniejsza jednostajność, i czasem, zręczny dowcip, nie uśmiech, ale oburzenie i niesmak w czytelniku rodzi. Samo to oznaczanie jakiemiś wymyślonemi przydomkami osób wprowadzonych, nudzi i zniża bardzo ton nastroju powieściowego. Bohaterka naprzykład nazywa się tu stale *bladą damą*, brat Antoniego, *pomocnikiem archiwisty* lub *rendantem* (po sto razy powtarzanym); pewna panna Cezaryna, żartobliwie przezwaną została *kontr-alcikiem*; jakiś jegomość bez żadnego charakteru i znaczenia w powieści, *mistyfikatorem* i t. d. Denominacye takie raz użyte, uchodzą, i między młodemi kolegami do pewnego czasu utrzymują się, ale świat przedstawiony w *Czarnéj Wstąż-*

ce nie jest przecież owym poczynającym życie:—to świat dojrzały w różnych sferach. Co szczególne także, to to, że autor ulega w téj powiastce pewnym uprzedzeniom; jak sobie raz coś upatrzy do jakiéj figury, to i bez litości torturuje ją i ośmiewa. Ofiarą takiéj niechęci i tyraństwa jest przez długi czas brat Antoniego, ów *pomocnik* archiwisty, dla którego w końcu dopiéro autor łaskawszym się staje. W innem znowu miejscu niemiłosiernie szykanuje pannę Czarynę, i poprostu bawi się niebardzo nawet śmiesznemi śmiesznościami téj amatorki-artystki. Tam znowu obiad u matki Antoniego—ów budyń przypalony, czy zakalcowy, jakże długo mordują czytelnika. Zdaje się czasem autorowi, że wpadł na bogatą żyłę dowcipu i charakterystyki, i obraca jeden wyraz po wielekroć, aby ugrzązł koniecznie w pamięci czytelnika. We wszystkiém widać pretensyą do zręcznego wzorowania natury, ale że to nadto wyraźnie widać, chociaż tedy nieraz trafnie charakter osoby lub stanu pochwycony, nie zatrzymujemy nad nim uwagi; owszem, chronimy się zauważyć, bo przeczuwamy, że nam autor jeszcze nieraz przypomni, jak to szczęśliwie postrzeżone i powiedziane było. Zdaje się panu Wolskiemu, że powinien, ile się tylko da, z okoliczności korzystać, i wyczerpać każde źródełko do samego dna; a to nieprawda, i błąd największy; bo w naturze, na świecie, żadna scena i jéj działacze, nawet żadne miejsce, nie stoi bez ruchu, jakby oczekując na malarza, ale drga w nieustannych przemianach, i coraz to nowém światłem, to nowym kolorem się obleka. Trzeba tedy chwytać nie jedną pojedyńczą chwilę, ale cały szereg chwil, cały horyzont chmur i świateł.

W piérwszéj części opowiadania, koncert Antoniego dosyć szczęśliwie i prawdziwie odrysowany. Któż z nas nie był protektorem jakiego swojskiego talentu, kto z nas nie miewał biletów do sprzedania na takie koncerta pojawiających się młodych artystów? Autor *Czarnéj Wstążki* zna równie dobrze jak i my dzieje tych koncertów, i bardzo trafnie skopiował koncert Antoniego z wzoru niejednego a prawdziwego. Przykre jednak wrażenie opis ten po sobie zostawia, bo wszelkie uczucia, jakie przy uroczystéj chwili młodego koncertanta obudzićby się mogły, są albo niedotknięte, albo sponiewierane. Sama tylko śmieszna strona protekcyi i protegowanego uderza i stanowi przedmiot obrazu: wszystko zaś, co prawdą być mogło, nawet sam talent Antoniego, podane w podejrzenie i obrócone w żarty. Czemu tam choć jednego oklasku nie ma szczerego, i z serca? czemuż nawet sama *blada dama*, najistotniejsza protektorka talentu Antoniego, nie przyklasnęła z popędu mimowolnego, kiedy uznawała talent młodzieńca, i tak chętnie słuchała jego muzyki nieraz w własnym salonie? Czemuż ów opowiadacz, główny motor publiczności, i kierujący jéj zapałem, nie oddzielił się choć na chwilę od tłumu i nie wypowiedział, co rzeczywiście czuł, i co publiczność uczuć była powinna? Ta nieustanna złośliwość w najuroczystszych chwilach, musi obudzić niesmak, a więc i nieprzy-

chylność dla utworu. W całéj powieści nie ma jednéj istoty, do któréjby serce czytelnika szczérze przylgnąć mogło, z którąby się chętnie złączyło, i wraz z nią wszystkie złe i dobre losy dzieliło. Antoni prawdziwy bohater powieści, artysta pełen serca i talentu, wystawiony jako waryat, nie zasługujący na politowanie nawet. Poznajemy go zaraz w jednéj z początkowych scen powiastki, kiedy uwerturę swoję wygrywa na szybach od okien, na stole i szklankach, w braku fortepianu.— Prawda, że to zręcznie oddane, z humorem niewymuszonym; ale bez wdzięku, bez uczucia, które należało chcieć w nas obudzić na niedolę marniejącego i bez przyszłości talentu. Portret matki Antoniego narysowany w odrażającéj karykaturze. Jéj głupstwo, egoizm i obojętność dla syna artysty, nie wytłumaczone bynajmniéj brakiem usposobienia, któreby jéj dało poznać wyższą jakąś zdolność w synu, ale oddane tak, jakby się przedstawić mogło piérwszemu, jakiemubądź przybyszowi. Dopełnienie tego portretu, gdy Antoniemu powiódł się koncert, jeszcze bardziéj razi, bo z kobiéty dotąd bez wychowania a obojętnéj, nawet niesprawiedliwéj, robi się chytra i płaszcząca się. Fawory, jakie matka i cała rodzina Antoniemu okazują teraz, niedobrze są obmyślane, a co najwyraźniejsza, niedobrze skreślone. Dwa te obrazki jednę rodzinę przedstawiające, są w niezgodzie z sobą: albo w piérwszym brakło niektórych koniecznych rysów, albo w drugim przybyły nowe, w niezgodności z piérwszemi zostające. Przypuśćmy jednak że to fakt, że tak było i być mogło; dlaczegoż poczciwy, jak go autor najczęściéj nazywa, rendant, brat Antoniego, w tak widoczny a poniżający wszelką uczciwość sposób, przymila się i nadskakuje Antoniemu. Jeżelito był człowiek krótko widzący, ale prawy i z sercem, jak ostatnia scena pogrzebu dowodzi; czemuż w początkowych zarysach okazuje się i głupim, i niemiłosiernym, i imponującym zawsze poczciwemu bratu? Taka niezręczność rysunku uderza we wszystkich członkach rodziny Antoniego. Autor widocznie opracowywał tylko dwie postaci: Antoniego i bladą damę, a inne brał jak mu się nadarzały, aby miał z kogo żartować. Siostra Antoniego, podstarzała panna, najniesmaczniéj skarykaturowana, bez wszelkiego prawdopodobieństwa, a do tego karykatura z najgorszym rysunkiem. Owa czułość udawana w kobiecie bez wychowania, a tak, zdaje się, być musiało, bo cała rodzina Antoniego przeraża swą głupowatością, źle odbija przy prostoduszności matki. Słowem, wszystkie drugiego rzędu postaci dorywczo narysowane, gdy pojedyncze sceny z widoczną pretensyonalnością drobiazgowo wypunktowane. Uczynilibyśmy wielką krzywdę autorowi, gdybyśmy nie wspomnieli o scenie maskaradowéj, którą niewątpliwie *con amore* rysował. Jeżelibyśmy wartość jéj z dokładności kopii oceniali, trudno zaprzeczyć, że jest wykończoną i prawdziwą nad wszelki wyraz: bo równie nudna, jak najczęściéj bywa maskarada, a tak tajemnicza, jak najskrupulatniéj zakapturzone domino. Jeżeli zaś

ma to być szkic charakterystyczny: to niestety, brak w nim wszelkiego charakteru. Gawęda i gawęda, silenie się na zręczny, a nader salonowy dowcip, który mógł nie uspić interesowanego w téj scenie, Antoniego, ale znuży niezawodnie każdego najcierpliwszego czytelnika. Te pół-słówka znaczące, to cechowanie domin, którego sobie w dobrym tonie autor pozwolił, to intrygowanie biédnego artysty, Cezaryny i bladéj damy; mogą, jakeśmy powiedzieli, intrygowanych naprawdę zająć, ale niewtajemniczonych i obojętnych czytelników zniecierpliwią tylko. Z wielką radością żegnamy się z maskaradą, jak z owym obiadem u matki Antoniego. Niemniéj rozwlekłą a bezbarwną sceną, jest pielgrzymka nocna pod oknami panny Cezaryny, bladéj damy, śród deszczu, śniegu i zawiei. Scena ta jednak staje się o tyle ważniejszą i potrzebną, że sprowadza rozwiązanie stanowcze wypadków. Już od téj chwili poczyna się szereg scen z talentem pisanych: improwizacya Antka, żywo z piersi skołatanéj wyrzucona, przypomina młodzieńczy umysł autora, żywość imaginacyi, któréj dotąd brak czuliśmy najzupełniejszy. Zdaje się, jakby autor długo a długo przygotowywać się potrzebował, zanim rozbudzi w sobie ogień i życie. Gdyby pan Wolski po napisaniu *Czarnéj wstążki* zechciał był sumiennie rozpatrzéć się w swéj pracy, byłby wyrzucił niewątpliwie z połowę rozwlekłych gawędek i sprowadził rzecz do prostszego wyrażenia. Choroba Antka wybornie napisana: czujemy razem z autorem i biédnym bohaterem gorączkę trawiącą, która lada chwila zerwie wszystkie nici utrzymujące go słabo przy ziemi. Mały portrecik poczciwego sługi Antka, ani jednego rysu nie potrzebuje do uzupełnienia rysunku; nawet ta wódka, którą pozwolił sługa uczęstować się panu tyfusem nawiedzonemu, zdaje się tu konieczną. Palenie nut i rękopisów, przypominając wiele podobnych scen nieraz opisanych, osłabia trochę żywość całego obrazu. Jeszcze jedna okoliczność podnosi uroczystość tych obrazów: to, że autor poważniejszy ton przybiera i mniéj sam ze swoją osobistością narzuca się, a pozwala kreacyom swoim dotąd na pasku prowadzonym, samym mówić i działać. Dotąd słyszeliśmy zawsze choć zdala głos autora i jego wysłowienie mechanicznie wprowadzone w organizm jego bohaterów, i to czyniło powieść jednotonną i nudną; od katastrofy z Antkiem występują barwy wyraźne i odmienne, rzuty śmielsze i pewniejsze. Pomijamy pogrzeb z żywém dosyć uczuciem opisany, ale już słabszy od poprzednich opisów, a zastanowim się chwilę dłuższą nad epilogiem. Przez całą powieść autor pracował usilnie nad odmalowaniem charakteru *kobiéty lwicy* czy *bladej damy*, a jednak wyznać musimy, żeśmy widzieli tylko usiłowania, widzieliśmy farby, a trudno nam było dojrzéć rysunku, na którym te farby oprzéć się były powinny. Wieczór u bladéj damy, na którym opowiadacz miał szczęście tańczyć z gospodynią domu, lepiéj ją odznaczył, jak wszystkie dotychczasowe studya. I zręczność,

i delikatność dotknięcia, i wyrazistość zarazem: wszystko zachowane nadzwyczaj szczęśliwie. Rozmowa w czasie tańca urywana, a jednak koniecznego ciągu nie pozbawiona, i ta *czarna wstążka* nieznacznie w jasny włos wplecіona, i nakoniec owe pieniądze dla rodziny Antka przysłane: dokładnie malują damę, której niewypadało sercem zapłacić za poświęcone jéj serce; ale monetą brzęczącą wspaniałość i współczucie okazać, na to i towarzyskie położenie i dobry ton pozwoliły. Epilog lepszy nierównie, nawet dobry zupełnie w stosunku do całéj powieści.

Z większą przyjemnością czytaliśmy *La Kaczucza*, albo właściwiéj mówiąc, z większém zajęciem. *La Kaczucza* z mniejszą pretensyonalnością napisana, a więcéj ma spojności i z wyraźniejszych figur, dobrze ugruppowanych, przedstawia obraz. W *Czarnéj Wstążce* chciał może autor zaimponować dzisiejszym znamienitym powieścio-pisarzom, głębokością myśli, filozoficznym poglądem na serce kobiéty, dowcipem zaś, przejść wszystkich najdowcipniejszych satyryków. Cele były wielkie,—skutek widzieliśmy jaki. W *La Kaczuczy* spokojniejsze, ale więcéj artystyczne miał usposobienie. Obrazek rozwija się łatwo, interes mały, ale nieprzerywany popisywaniem się osobistém. Treści nie powinniby śmy uawet przytaczać, bo ta objawia się w piérwszych kilku kartach, jednak dla zwyczaju, jaką jest powiemy:

Młoda tancerka zagadkowe prowadząca życie, w tłumie starych i młodych wielbicieli, szczerych i tymczasowych kochanków, utrzymuje jednego poczciwego, naprawdę rozkochanego młodziana, na wodzy; zachowuje go sobie na czas, kiedy się jéj sprzykrzą już hołdy wszystkich, a przyjdzie czas, w niedostatku świetnéj partyi, zrobić tylko dobrą, tojest dobry interes. Jedna większa kompromitacya, a trzeba wiedzieć, że Sylfida nasza dbała jeszcze o opinią publiczną, zmusza ją rzucić się w objęcia rozkochanego, a trzymanego dotąd w pewnéj odległości wielbiciela. Otóż i treść cała bez szczegółów intrygi, bo ta właśnie całą wartość powiastki stanowi.

Najwyrazistszą sceną z tego obrazku jest *kolacyjka* przez poważnego starca dla Sylfidy dana, na któréj wszystkie osoby do dramatu należące występują w właściwych charakterach. Jedna część rysunku téj sceny bardzo dobrze wykonana, tojest szkice wszystkich charakterów; ugruppowanie figur i połączenie ich z sobą, nietyle szczęśliwe, bo rozmowa między biesiadującemi zamało ożywiona, posiedzenie przydługie, uboczne konwersacye niedobrze do całości wplecione. Błąd zaś w oznaczeniu głównéj postaci ten najbardziéj rażący, że Sylfida nasza mało okazuje zręczności i pewności siebie, lękliwa i nietyle bystra w słowie, ile Sylfidy pierwszego rzędu być zwykły. Radzi wstajemy od kolacyjki, która naturalnie bez lekkich skandalów obejść się nie mogła; radzi, że z wielką starannością autor potrafił osłonić wszystko, co osłonić należało dla zachowania godności rze-

czy drukowanéj. Drugą ważną sceną wyjaśniającą charakter bankiera, a rzucającą wielkie światło na tajemniczą Sylfidę, jest pojedynek, właściwie układy o warunki pojedynku w domu wyzwanego Krezusa. Zręcznie i prawdziwie rzecz oddana; tchórzostwo Krezusa, pełne właściwych i dobrze uchwyconych cech. Trzecia nakoniec scena w domu uszczęśliwionego już młodziana w objęciach Sylfidy, a poprzedzona sceną w loży na widowisku baletowém, najlepiéj obmyślana i z wielką oddaną łatwością. Jak nieznacznie, stopniowo, ex-tancerka wprowadzoną jest w zapał, który wreszcie zupełném kończy się zapomnieniem, tak, że na odgłos muzyki *Kaczuczy*, pani domu przenosi się nagle w świat teatralny, przybiera hiszpański kostium, i z kastanietami w drżącém ręku, puszcza się w taniec, aby przekonać gościa, że źle dzisiaj na scenie tańczą kaczuczę, że niesprawiedliwie unoszą się widzowie, i brawem nagradzają tak niegdyś po mistrzowsku przez nią wykonywany, a dziś skarykaturowany taniec. Na tę scenę wchodzi mąż, i z przyzwoitą powagą, w kilku słowach kładzie koniec probie tańca. Wszystko to odbyło się naturalnie, bez zgorszenia i złéj woli, bez kokieteryi, o którą mógłby kto był dawniéj posądzić tancerkę. Do szczęśliwszych, już nie scen, ale napomknień, należy ukazanie się niepewne siwéj głowy starca w oknie Sylfidy, którą zacny, jak go powszechnie nazywano, i bezinteresowny protektor, bronił zwykle przeciw wszelkim napaściom młodzieży i niedowiarków w jéj nieskażoność. To jedno ukazanie się siwéj głowy w rannéj godzinie u tancerki, było dostatecznem do rzucenia podejrzeń, może zresztą niesprawiedliwych; nienależało jednak téj szczęśliwéj a delikatnie tłumaczącéj się myśli powtarzać drugi raz i trzeci. Cała lekkość szkicu przepadła, podejrzenie zamieniło się w pewność, a myśl autora własną jego ręką skrzywiona, zdradziła wadę pióra, które na każdy lepszy koncept chce gwałtem zwrócić uwagę czytelnika i powtarza mu go ciągle, aż znudzi i odstręczy. Pierwsze chwile dane. Widać, na to wspomnienie odżyła cała świeżość i lekkość jego myśli; jedne po drugich żywo przebiega obrazki, a wszystkie tak prawdziwe, wierne a urocze, że widocznie rysunkiem kieruje ręka talentu. Jakże szczęśliwie tę kollekcyą obrazków kończy taniec studenta z córką przekupki w bramie przy straganie. Kiedy już wyliczamy szczęśliwsze miejsca i szkice, musimy więc życzliwemi i sprawiedliwemi się okazać dla autora, którego zapewne dość ostro zaatakowaliśmy z początku. Chcemy tu przytoczyć, czyli wspomnieć tylko o jednem porównaniu w dwóch czy trzech wierszach oddanem, gdy tancerka trapiona jakiemiś wewnętrznemi zgryzotami sumienia lub serca, zmusiła usta do uśmiechu; ten uśmiech porównał autor do białéj przepaski czy sznurka na czarnéj żałobnéj sukni. Nie przypominamy sobie w téj chwili dosłownie tego porównania, bardzo podług nas szczęśliwego, a exemplarza powiastek nie mamy pod ręką. Lepiéj to

zapewne oddane przez autora, jak nasze przytoczenie, ale myśl ta sama. Jednę drobną zrobimy tu jeszcze uwagę o mniemanym Krezusie: 1) wolno było autorowi, który jako szafarz dostatków i nędzy dla swych kreacyj, wszystkiém czém pomyśli, obdarzyć je może, uposażyć Krezusa większym niż 50,000 na rok dochodem; parękroć nie byłoby zawiele, a więcéj zasady do nazywania bankiera Krezusem, i więcéj środków do prowadzenia wystawnego życia, i brataua się z panami tytułowanemi; 2) pan Krezus bankier, bez ubliżenia prawdzie, mógł być przyzwoitszym i lepiéj wypolerowanym; że brzęczał dukatami w kieszeni, to dobrze, że łatwo wchodził w zażyłość z panami, także dobrze: gdyby był jeszcze zuchwalszym i nadętym, to byłoby jeszcze lepiéj, a najlepiéj—nienależało go tytułować bankierem, ale poprostu spekulantem na łatwowierność młodzieży, inaczéj, procentowiczem.

Takie jest nasze zdanie o utworach pana Wolskiego, który zwykle mniéj nam daje jak wziął od natury, który wprawdzie szkic *La Kaczucza* zręcznie napisał, ale bynajmniéj nie wynagrodził nim długiego milczenia, choć oto teraz mówić mamy o nowo ogłoszonym jego poemaciku, pod tytułem: *Wielki Pan*.

Bylibyśmy zapomnieli dodać, że w tomiku przed rokiem w Wilnie wydanym, oprócz *Czarnej Wstążki* i *Kaczuczy*, mieści się jakiś ustęp fantastyczny czy realny o muzyce *Don Żuana*, tłumaczony z niemieckiego. Tłumaczenie wyborne, język polski jest w niém lepszy jak w oryginalnych powiastkach; zdaje się, że autor pełen pretensyi do dowcipu, a w rzeczy saméj dowcipny, chciał dać nam do zrozumienia, że biegłość w obcych językach nadwerężyła mu nieco czystość i łatwość wysłowienia we własnym. Do tego przypuszczenia mamy zasadę, bo wszystko co przedtém pisał, dobrze było pisane; ostatni utwór *Wielki Pan* wykrywa też same zalety: zkądże *Czarna Wstążka* pełna nieswojskich obrotów? Widać bliższe przyjaźni stosunki z bladą damą, z takiém przejęciem się i zapomnieniem były kreślone, że pisząc po polsku, przypominał tylko sobie konwersacyą francuzką, i tę wiernie, ile się dało, przepolszczał.

K. W.

Dziwadła. Powieść współczesna przez J. I. Kraszewskiego. Tomów II. W Petersburgu. 1853 r.

W Warszawie przed czasem niedawnym mieszkał niejaki p. *Jerzy Sumin*, dziedzic dóbr z Poznańskiego. Pełną kieszeń, lecz puste serce miał ten p. Jerzy; grał tu, pił, kochał się, bawił, aż ujrzał, iż stała mu się w końcu takaż kieszeń, jak było serce. Rzucił miasto, kochanki, długi, i zemknął na Polesie, do dziadka.

Nie odrazu p. Jerzy trafił do dziadka: „jak prawy Warszawianin—mówi autor—mając Żmudź i Polesie za jedno“ wyjechał znacznie na północ; lecz w końcu trafił.

Z piérwszych listów p. Jerzego dowiadujemy się, jakito kraj jest Polesie. Opis nie jest bardzo pochlebny dla okolicy. „Gdyby Dante znał był Polesie—pisał p. Jerzy do przyjaciela—przybyłoby mu pewnie obrazów do jego piekła.“ Lasy, trzęsawiska, kałuże, to wdzięki kraju; drożyny z błotnistą groblą i dziurawemi mostami, to wielkie drogi handlowe; płeć piękna: kobiéty w czepkach szarych od dymu, z włosami nie szczesanemi, z rękami i twarzą umywanemi tylko na wielkie święto. „Warszawskie przekupki podobniejsze od nich do kobiét“ mówił *Stanisław*, służący pana Jerzego.

Dom dziadka p. Jerzego, pana koniuszego Sumina, nie mógł się jednak uskarżać na widok płci pięknéj. Pan koniuszy jedno miał tylko upodobanie, i jedno codzienne zajęcie się—myślistwo. I p. Jerzy musiał polować: pół dnia trawił na polowaniu, drugie pół rozmawiał o polowaniu. Jedyny sąsiad który odwiedzał czasem p. koniuszego, byłto pan kapitan (rywal bogactw starego Sumina) „figura—pisał p. Jerzy—którą gdybym gdzie spotkał, dałbym mu dwa złote jałmużny“.

Tak opisywał p. Jerzy Sumin panu Edmundowi Suszy w Warszawie Polesie, w listach: 1, 2, i 3, lecz nie tak w 4. W czwartym doniósł o poznaniu osoby, która się daléj stała bohaterką wszelkich następnych listów, całéj powieści. Byłato „panna Irena“ „królowa Irena“, jak najczęściéj wyrażał się p. Jerzy.

Panna *Irena* byłato młoda sąsiadka *(z Rumiannéj)*, którą p. koniuszy niegdyś wychował, którą uwielbiał, i którą tail dopóki mógł przed siostrzanem, znając siostrzana.

Panna Irena od lat dziecinnych była siérotą, lecz otrzymała w dziedzictwie rozum, który stawał jéj za ojca i matkę, i znaczne dobra.

Panna Irena różniła się trochę od reszty płci swojéj: przenosiła wprawdzie nad igłę i tańce, konie i pistolety; lecz téż nad stroje zewnętrzne, stroje wewnętrzne. Była gwiazdą pośród płci swojéj, biczem dla męzkiéj; gnuśność, próżnowanie, głowa lub serce puste, były przedmiotem nie pośmiewiska, lecz prosto wzgardy, dla królowéj Ireny. P. Jerzy uczuł całą swą niższość; wziął dzierżawę blizko Rumiannéj, ale nie śmiał się zbliżyć, nie śmiał nawet bywać u królowéj Ireny, i patrzył tylko na nią—przez perspektywę. Panna Irena w swych wymaganiach mogła téż być istotnie popsutą, mieszkał bowiem w sąsiedztwie niejaki pan Graba, ideał męzki. P. *Hutor-Graba*, byłto człowiek trochę zaszczery i ostry, ztąd téż nielubiony na świecie, nawet od własnéj żony, (która go wcześnie porzuciła); mimo to jednak zakochany zawsze w swéj żonie i świecie, tojest w ludziach, dla których całe swe mienie rad był poświęcić. Oddany dobru swych włościan, z nimi jadł, orał i kosił; dziedzic dużego majątku, w życiu swém przestawał prawie

na chlebie i wodzie, a oszczędzony pieniądz obracał na ulepszenia rolne, na zbiory obrazów, książek i t. d.

Takiemi byli: stary koniuszy Sumin, panna Irena, p. Hutor-Graba:—*dziwadła*, jak mówi ironicznie autor w napisie powieści.

Kilka słów królowéj Ireny, przykład Graby, gdéranin dziada, prędko otworzyły oczy, i wpłynęły na zmianę pana Jerzego. Karty, próżniactwo, zabawy, kochanki dawne, wnet nie powstały nawet w myśli zawstydzonego. Przemieniony i przerodzony, sam daléj stał się królem uczuć (odrazu już pociągnionéj skrycie ku niemu) królowéj Ireny; wnet téż dziedzicem jéj ręki, majątku; a piekło Danta przemieniło się dla pana Jerzego na niebo Danta.

Taka jest treść nowéj powieści pana Kraszewskiego, którą w tym roku otrzymaliśmy. Powieść ta wyraźnie ma cel, i piękny: powoływanie do pracy, do polepszania się. Mówią o tém już treść powieści, już zdania i przestrogi jéj figur. „Nie ma szczęścia w *szałach* młodości“, w jednym z ostatnich swych listów pisze pan Jerzy „ono tylko w spokojnéj ustroni wiejskiéj, w ciszy sumienia.“ „Wszędzie i zawsze człowiek który chce, użytecznym być może“ uczył pan Graba. Nie z pozwolenia nawet autora, ale tylko przez nałóg, jeden z typów jego nazwaliśmy tu ideałem; autor nie chciałby nawet dopuszczać tego nazwiska. „O! wyraz ten (ideały) jest największą plamą na twarzy ludzkości—mówi;—nazwano ideałem wszystko, czego obawiano się spełnić, czego się leniono dostąpić, czego nie chciano z niebios na ziemię sprowadzić“. Powieść ta, ma téż zalety wszystkim innym powieściom p. Kraszewskiego właściwe, jakoto: trafność charakterystyk, czystość i potoczystość stylu, dyalogów i t. p.

Żałować wszakże możemy, iż przy tym celu i przy tych środkach, niezupełnie im odpowiada expozycya powieści.

Do zarzucenia z téj strony mielibyśmy tu najprzód grzéch, (niech daruje nam autor, że jeszcze raz przypomnimy) grzéch większéj części jego utworów:—*pośpiech*. Tom drugi nie odpowiada tu wcale piérwszemu; jestto zbiór sytuacyj, obrazów, lub odrębnych i niedodających w ten sposób siły artystycznéj budowie powieści. lub wyraźnie do końca tylko goniących;— i powtóre: formę powieści— *listy*.

P. Kraszewski nie jest pisarzem wewnętrznym, lecz przedmiotowym; stroną silną jego talentu jest przerys, pochwycenie przedmiotów które spotyka, charakterystyka, z usunieniem i cienia własnéj osobistości. Talent jego jest raczéj z rodzaju tych, jakie mieli np. w Anglii *Walter-Skott*, *Szekspir*, nie zaś *Bajron;* dla talentu w rodzaju tym, nie są przeto właściwe formy wewnętrzne, np. listy. List jest w powieści dobrym i pożądanym, jeźli odsłania nam więcéj serce, charakter, położenie swego autora, niż dyalogi lub opis. Listy w obecnéj powieści p. Kraszewskiego nie odsłaniają więcéj charakteru swoich autorów, niż opis; składają ją listy czysto-opisowe (obejmujące nawet opisy i dyalogi z opowiadania osób trzecich słyszane, co nie dodaje równie złudzenia arty-

stycznego) pana Jerzego; słabsze (psychologiczne) Edmunda, i najsłabsze Ireny, jako donoszące tylko o szczegółach, które już zgadł dawno czytelnik, i w których nie widzimy wcale ręki *królewskiéj*.

Wady te nie znoszą wszakże, dodajmy, liczniejszych zalet powieści, wśród których kładziemy za główną: pamięć w każdéj rozmowie, obrazie, szczególe wprowadzonym, jako téż w całéj osnowie powieści na ów cel, o którym wspomnieliśmy. Jako za jednę z lepszych wskazujemy tu na rozmowę w Rumiannéj, przy piérwszéj wizycie pana Jerzego, między nim, panem Grabą i panną Ireną, o celu w ogóle życia, o kriterium jakie w tym względzie ma służyć we wszystkich miejscach i czasach.

Dziwadła, jeżeli nie liczbę arcydzieł, to jednak pomnożyły bez zaprzeczenia liczbę dobrych książek do czytania w naszéj literaturze.

T.

ROZMAITOŚCI.

NOCLEG W ZAMCZYSKU.

(Opowiadanie dawnego wojskowego).

Sprawiedliwe są sądy Boże!

Koniec zeszłego a początek naszego stulecia zastał mnie na Litwie 20-letnim młodzieńcem, a domownikiem u ś. p. Antoniego Prozora, u którego pozbawiony od dzieciństwa rodziców wychowałem się i wzrosłem.....

Na początku miesiąca stycznia przywołał on mnie do siebie, a oddawszy chlubną dla mnie z ust podobnego człowieka pochwałę doznanéj wierności, wręczył mi listy, które do Krakowa zawieźć i w własne ręce tamecznych przyjaciół swych złożyć polecił; nadto dał mi kilka jeszcze ustnych zleceń do przyjaciół swoich w okolicach Białegostoku i Włodzimierza Wołyńskiego, a opatrzywszy na drogę i stosownych udzieliwszy przestróg, wyprawił mnie z domu.

Podróż tę odbywałem sam jeden, konno. Za pozorny jéj powód służyły mi różne sprawunki, które niby z Wiédnia przez Kraków zakupić miałem; w tym celu wiozłem kilka listów zaadressowanych do tamecznych rękodzielników. Mimo tego, roztropność nakazywała mi unikać miejsc niebezpiecznych, co połączone z zimową porą, przedłużało jeszcze bardziéj i tak długą mą drogą. Szczęśliwie jednak i bez najmniejszego wypadku odprawiłem większą jéj połowę, minąłem Polesie i wjechałem w granice Wołynia, w poblizkości rzeki Styru.

Tu dnia jednego, na noclegu w zaufanym domu, ostrzeżono mnie, że droga wiodąca do miasteczka, przez które przejeżdżać wypadło, nie przedstawia wielkiego bezpieczeństwa dla mojéj osoby, i dlatego wskazano mi natomiast uboczną przez lasy drożynę,

której wciąż w prostym trzymając się kierunku, o południu przybyć miałem do dworu poleconego mi obywatela.

Dzień był posępny, wietrzny i słotny. Porwana wichrem zawieja suchego śniegu, zaścielającego grubo ziemię, zasypywała ścieżkę, którą do lasu dążyłem, tak, żem ją zaledwie mógł rozeznać, a wilgotna śnieżna flaga, padająca bez ustanku, biła w twarz, nie dając podnieść oczu. Ucieszyłem się wjechawszy do boru, gdzie było nieco ciszéj, i przeto łatwiéj wskazanéj pilnować się drożyny. Niedługo przecież trwała ta pociecha i wnet w ciężki zmieniła się kłopot: im głębiéj w las wjeżdżałem, tém bardziéj bijący z góry płachtami śnieg zaścielał ślady drogi, aż mi je zakrył do szczętu. Pamiętając jednak, że wciąż w prostym prowadzić miała kierunku, starałem się go ile można zachować, spodziewając się tym sposobem uniknąć obłędu. Niestety! niedaleko ujechawszy jeszcze przekonałem się, żem zbłądził. Co krok prawie wpadałem z koniem w głębokie zaspy śniegu, natrafiałem na zdrojowiska grzązkie, pokryte kruchym lodem, który się załamywał pod nogami konia; nareszcie zabrnąłem w gąszcz, z którego zaledwie wydostać się zdołałem.

Po kilku godzinach takiego błądzenia, i ja, i koń mój byliśmy znużeni; stanąłem wytchnąć trochę biédnemu zwierzęciu, które przez ten czas żuło młodociane latorośle, i sam z podróżnéj posiliłem się flaszy.

Straciwszy nadzieję znalezienia drogi, zdałem się na instynkt końskı; jakoż nie zawiodłem się na nim. Po niedługim czasie koń mój wybrnął z gęstwin i przepadlin leśnych, zaczął stąpać równo i pewnie: widocznie znalazł jakąś ścieżkę ubitą; lecz czyli tę, którą mi jechać trzeba było?..... Ha, gdybyż się tylko dostać do wsi jakiéj lub chaty, snadniéj się będzie drogi dopytać, byle raz wybrnąć z téj przeklętéj puszczy!

Pomimo jednak, że koń z największém wysileniem po grubo zawianéj stąpał drodze, końca lasu znizkąd nie było widać; na tém zaś większy mój kłopot, mrok rychły w téj porze począł już zapadać, a pomnożony cieniem ogromnych gałęzistych sosien, zupełną okrył mnie nocą.

Wśród słotnéj, zimowéj nocy, w nieprzejrzanym lesie, w nieznajomej stronie, zbłąkany, głodny, strudzony, w obawie by lada chwila koń nie ustał podemną, blizki już byłem rozpaczy.

Na szczęście powietrze zaczęło się zwolna uciszać, śnieg ustał, przetarły się chmury, zajaśniał w pełni księżyc i niebo wyiskrzyło się gwiazdami. Wkrótce też i koń mój wydostawszy się z lasu, stępał po szerokiéj, wysadzanéj drzewami drodze, wiodącéj ku czerniejącym budynkom, w których migające światła niemniéj sprawiedliwie radowały mnie, jak widok gościnnego lądu skołatanego burzą żeglarza. Wystawcież sobie dopiéro uciechę moję, gdy minąwszy bramę rozwartą, wjechałem na obszerny dziedziniec jakiegoś dworu.

Żywo zeskoczyłem z konia, uwiązawszy go u kobylicy, pobiegłem do najbliższego okna w którém się świeciło, i zapukawszy w szyby, prosiłem aby mi drzwi sieni otworzono. Za chwilę wyszedł do mnie ze światłem w ręku nizki, sędziwy, napół już rozebrany mężczyzna, i powitawszy, do izby mnie wprowadził. Opowiedziawszy pokrótce dzisiejszą podróż i zbłąkanie moje, prosiłem o gościnny nocleg dla siebie i konia. Otwartemi rękoma przyjął mnie starzec; z pośpiechem zarzuciwszy na siebie kożuszek, poszedł na drugą stronę sieni, zbudził w komorze drzemiących pachołków: jednemu rozkazał wprowadzić do stajni konia, rozsiodłać go, nakarmić, napoić, świeżéj podesłać słomy; drugiego posłał z dzbanem do piwnicy po wino. Sam powróciwszy do izby, otworzył w grubym murze ukrytą szafkę, dobył z niéj dość sporą resztę ryby na zimno (bo byłto właśnie piątek), bułkę chleba i jaszczyk praśnego miodu, co wszystko zastawiwszy przedemną na stole, zaprosił do posiłku.

W moim podówczas wieku, po całodziennym poście i trudzie, rzuciłem się nań chciwie.

Tymczasem wysłany chłopak przyniósł z piwnicy spory dzban wina, które gospodarz mój korzeniami zaprawiwszy, przysunął na kominku do ognia, obiecując mi, po umęczeniu i przeziębnięciu, doskonały na rozgrzanie napój. Jakoż niedługo czekając, zastawił pachołek na stole, na dużéj cynowéj misie dzban grzanego wina, woniejącego cynamonem, muszkatelem i imbirem, a obok dwa spore kubki.

Staruszek zasiadł naprzeciw mnie, napełnił obadwa i tak ciągnąc powoli doskonały trunek, poczęliśmy gawędzić o powszechnych naówczas wszystkich rozmów przedmiotach, o nowych zdarzeniach i oczekiwanych wypadkach. Z uwag, które czynił, z zajęcia, z jakiém słuchał opowiadań moich, poznałem w uprzejmym gospodarzu obywatela wolniejszego od przesądów, niżby wiek jego spodziewać się kazał.

Gdy nareszcie dno dzbana ukazało się próżne, staruszek wziąwszy świecę ze stołu, poprowadził mię przez kilka pokoi do przeznaczonéj mi sypialni, gdzie gotowe już łóżko i ogień w piecu na mnie czekały, i życząc spokojnéj nocy, samego zostawił. Zaledwie układłem się w łóżko i dotknąłem poduszki, zasnąłem natychmiast; czyto jednak skutkiem rozmarzającego napoju, czy z innéj jakiéj przyczyny, sen mój był ciężki, gorączkowy, przerywany, pełny widziadeł i marzeń. Jeden sen osobliwie przedstawił mi się tak żywo i dokładnie, tak dziwnie sprawdził się wkrótce, że na całe życie zachowałem go w pamięci.

Śniło mi się, że o samej północy stałem samotny w jakiéjś żałobnej, bladém światłem oświeconéj kaplicy. Ściany były z czarnego marmuru, w pośrodku ołtarz biały, także marmurowy, po boku kilka ciosowych starych nagrobków rycerskich; w podłodze przed ołtarzem widać było otwarte wnijście do podziemnego sklepienia, a ogromny grobowy kamień leżał na bok odwalony.

Nagle podwoje kaplicy same się z łoskotem rozwarły, i nieznajome jakieś, niezwykłe postacie poczęły zwolna długim szeregiem wchodzić w uroczystém milczeniu. Jedne z nich miały na sobie świetne zbroje stalowe, na ramionach zawieszone lamparcie i rysie skóry; inne ferezye, czamary, kontusze różnych krojów i barw; niektóre przybrane były w fiolety i rokicty księże. Oblicza wszystkich, różne wiekiem, rysami, kształtem bród i wąsów, jedne w drugie były białe, jak prześcieradło śmiertelne, a z pod rozwartych nieruchomie powiek, dziko błyszczały szkliste, w słup stojące oczy. Szli tak cicho po kamiennej posadzce kaplicy, jakby płynęli w powietrzu; stalową blachą pokryte stopy rycerzy, stąpały bez łoskotu po marmurze, i szable wlekły się bez szczęku. Wszystkie te śmiertelne widziadła kroczyły wprost ku otwartemu sklepieniu grobów, i zstępując jedna po drugiej, nikły w czarnych otchłaniach. Na samym końcu o kilka kroków za całym orszakiem, postępował wysoki, w ciemną szatę ubrany, z myśliwskim u pasa nożem, młody jeszcze mężczyzna: jego tylko jednego twarz miała cerę życia, lecz tak posępny, zimny i chytry był jéj wyraz, tak złowrogie oczu jego spojrzenie, że wstrętem i przerażeniem wskroś mię całego przejęły. Stanąwszy u rozwartego wnijścia grobów, obejrzał się dziko wokoło. Spostrzegłszy mnie, rzucił się na mnie z wściekłością, schwycił za włosy, i przywlekłszy na brzeg lochów, usiłował do nich strącić. Z całą siłą trwogi śmiertelnéj wydzierać mu się począłem, i tak szamocąc się gwałtownie, zlany zimnym potem, zbudziłem się z okropnego marzenia. Lubo późniéj zasnąłem raz jeszcze, przerwany sen nie wrócił już więcéj.

Pomimo przerywanego i niespokojnego noclegu, zbudziłem się rano zdrów i rześki. Począłem się już nawet do dalszéj sposobić podróży, gdy wszedłszy mój gospodarz, zwiastował mi złą nowinę, że mój koń tak mocno znużony jest i podbity, iż bez całodziennego spoczynku niepodobna będzie na nim jechać. Zaszedłszy do stajni, znalazłem istotnie biédne zwierzę w tak godnym pożałowania stanie, że mimo gorącéj chęci pośpiechu, musiałem przyjąć na ten dzień cały serdecznie ofiarowaną poczciwego starca gościnność.

Wracając z stajen do zamku, teraz dopiéro po dniu białym rozpoznać mogłem jego powierzchowność. Zamekto musiał być kiedyś obronny, jak wskazywał głęboki i szeroki przekop, otaczający go naokoło, tudzież mur gruby ze strzelnicami do ręcznéj broni, przez pół już w gruzach leżący i dzikiemi wijącemi się krzewami, pokryty.

Obszerny, wokoło drzewami sadzony dziedziniec, z trzech stron zamykały wzniesione w kształt podkowy mieszkalne zabudowania. Środkowy korpus, o wysokim łamanym dachu, z armaturą i herbami na froncie, z przysionkiem na czterech grubych słupach wspartym, łączył się po każdéj stronie długą galeryą z oficynami bocznemi, z których jedna była pomieszkaniem sa-

mego pana, druga rządcy, (a tym był mój uprzejmy gospodarz) i zamkowéj służby. Główny gmach, jak mi to choć nie pytany, obyczajem wieku swego ludzi chętnie gwarzyć i opowiadać lubiący staruszek powiadał, od roku blizko stał pustkami.

Nieco na ustroniu, z nad gęstwiny brzóz i świerków sterczała wysmukła, złocistym krzyżem uwieńczona wieżyca. Rządca zwrócił na nią uwagę moję.

—„Jestto kaplica grobowa, dziedziczna od kilku wieków w rodzinie tutejszych panów. Warto w niéj widzieć rzeźbione marmurowe statuy i nagrobki starodawne. Stoi dziś właśnie otworem, jako w rocznicę zgonu nieboszczyka pana a brata dzisiejszego dziedzica, dla zamkowych sług i ludzi ze wsi, westchnąć za duszę jego chcących. Miała być i msza żałobna; ale cóż, dobrodzieju: nasz kapelan, ksiądz Xawery *Societatis Jesu* wyjechał za pilnemi sprawami jakiemiś do Łucka i dotąd jeszcze nie wrócił".

Tak gwarząc, przywiódł mnie staruszek przed kaplicę, z któréj przez uchylone drzwi dochodziły wpółgłosie modły kilku chłopów i bab wiejskich. Kiedyśmy weszli do środka, zaledwiem naokoło raz powiódł oczyma, stanąłem cały osłupiały z podziwu. Raz piérwszy w życiu przestąpiłem próg ten, a przecież miejsce zdało mi się doskonale znaném. Istotnie byłato taż sama kaplica, którą w marzeniu téj nocy widziałem: poznawałem też same ściany z czarnego marmuru, ten sam biały w pośrodku ołtarz, i starożytne po stronach grobowce; przed ołtarzem głaz ogromny, z wyrytym na wierzchu herbem, i nieczytelnym od wieku napisem, przykrywał wejście do grobów sklepionych, które we śnie widziałem otworem stojące.

Ten dziwny skład marzeń sennych z oglądanemi teraz przedmiotami, nadzwyczaj zajął myśl moję i długo jeszcze po wyjściu z kaplicy siliłem się nad wykładem snu owego. Wreszcie, nie mogąc w żaden sposób wynaleźć mu żadnego znaczenia, zwyczajem w podobnych razach pospolitym, przypisałem go samemu przypadkowi i dowolnéj grze wyobraźni, i zgoła tym przedmiotem zajmować się przestałem.

Powróciwszy do izby, gdyśmy siedli do śniadania, wszedł dworski, przynosząc rządcy jakoweś od pana zlecenie. Zdziwiłem się niepomału, słysząc, że dziedzic jest w domu. W całym bowiem zamku było tak pusto i głucho, jak w klasztorze; z czego, nawykły patrzéć na hałaśne i okazałe dwory naszych panów, wnosiłem, że dziedzic nieobecny być musi. Gdy dworski wyszedł z pokoju, oświadczyłem starcowi zadziwienie moje nad niezwykłym obyczajem życia tutejszego pana;—chyba, rzekłem, jestto już zgrzybiały i schorowany człowiek, oczekujący w łóżku ostatniéj godziny.

—„Przeciwnie, mój dobrodzieju—odpowiedział rządca—nie liczy jeszcze lat spełna trzydziestu i czerstwy jak Bóg daj zawsze. A jednak żyje samotnie jak pokutnik, unikając społeczeństwa ludzkiego, nie wychodząc krokiem za mur zamkowy, ani przyjmując gości u siebie od połowy roku z górą, tojest od czasu, jak

tu na mieszkanie przybył. Całe jego towarzystwo składa kapelan, ksiądz Xawery, a służbę, dworski, który tylko co ztąd wyszedł, i przez którego rozkazy pańskie zawżdy odbieram. Ażebyś wszakże nie myślał, mosanie, że takowy młodego i dostatniego pana obyczaj z brudnego skąpstwa, głupstwa lub (uchowaj Boże) czego podobnego pochodzi, powiedzieć ci muszę i dawniejsze powołanie jego, i zdarzenia smutne w rodzinie jego od lat kilku zaszłe, na które bądź sam patrzałem, bądź od ludzi opowiedziane je mam. Potrzeba mosanie wiedzieć, że zmarły dwa lat temu z górą pan starosta, rodzic teraźniejszego dziedzica zamku, byłto srogi tyran dla poddanych swoich: o byle co chłostał srodze i więził człowieka, a nieraz nawet niewinnie. Jednego razu, a mija temu rok trzeci, skatował, jak wszyscy mówią, niesprawiedliwym uniesiony gniewem (co racz mu Boże na sądzie swym darować) tak okrutnie starą ze wsi babę, powszechnie za *znachorkę* u ludu mianą, że na trzeci dzień skonała. Przed śmiercią przywoławszy do siebie włodarza kazała mu iść powiedzieć staroście, że nim nad nią młoda porośnie trawa, zapozywa go na straszny sąd Boga; nim zaś się jéj grób niewinny trzykroć zazieleni, obaj jego synowie nędznie zejdą ze świata i nazwisko na wieki zaginie. Śmiałci się starosta z téj babskiéj pogróżki, i po staremu pił, hulał i mordował; alić nim spełna rok wyszedł, zachorowawszy nagle, skonał pomimo starań żyda lekarza, nie mając nawet téj ostatniéj pociechy, aby synowie oczy mu zawarli. (Starszy bowiem bawił na ten czas w Warszawie, młodszy zaś wychowany pod okiem OO. Jezuitów, powziąwszy chęć do stanu duchownego, zostawał w Mohilewie, jako nowicyusz w tamecznym konwencie *Societatis Jesu*). Ostatnią wolą swoją umierający starosta opatrzywszy młodszego syna, jako przyszłego zakonnika, niewielkim zapisem, majątek cały zlał na starszego, rozkazując mu pod błogosławieństwem ożenić się w przeciągu roku. Widać stała mu na myśli owa wróżba znachorki, zapowiadająca rychły rodzinie jego koniec, i że spełnieniu jéj zapobiedz chciał."

„Zjechał więc wkrótce młody dziedzic z Warszawy; ale oddając się politycznym naukom, niewielki był gospodarz: za wstawieniem przeto łaskawego pana regimentarza, pod którym barską odbyłem kampanią, powierzył mi rządy majątku swego. Przysłowie mówi, mosanie: że nieopodal pada jabłko od jabłoni; że jakie drzewo, taki klin, jaki ojciec, taki syn. Bywać tak często, ale co na ten raz stało się na przekor przysłowiu. Syn mojego starosty był, iż tak rzekę, aniołem w ludzkiém ciele, wzorem sprawiedliwości, pobożności i miłosierdzia ku biédnym. To téż choć dziécię znienawidzonego ojca, rychło zyskał szacunek i wierność u wszystkich włości, i powszechna była pomiędzy ludźmi radość, gdy nadszedł czas, że pełniąc rodzicielską wolą, zaślubić miał zacną ze sąsiedztwa pannę."

„Nikt tedy nie wspomniał o wróżbie nieboszki znachorki, bo nikt nie życzył wypełnienia jéj: i pewnie sama, gdyby z grobu

wstała, widząc dobrego pana, odwołałaby klątwę swoję. Alić widno w złéj godzinie wyrzeczone słowa, spełnić się na nim musiały."

„Na kilka tygodni przed nadchodzącém biédnego pana weselem, poczęli się tu zjeżdżać zaproszeni przyjaciele i krewni; między niemi brat młodszy a dzisiejszy dziedzic przybył z nowicyatu. Przy licznym zjeździe tylu panów i ich dworów, było na zamku wesoło jak w raju; codzień bankiety, zabawy i jako w zimowéj porze, tłumne łowy w obszernych ponad Styrem kniejach. Aż dnia jednego, (a dzisiaj właśnie rocznica tego nieszczęsnego dnia) wszystko państwo ze strzelcami polowało na dziki w ostępie nad samym brzegiem rzeki. My słudzy czekaliśmy w zamku z gotowym obiadem; tymczasem przyszedł wieczór ciemny, a ich z powrotem jak niéma, tak niéma. We dwie lub trzy godziny dopiéro po zachodzie dnia, wrócili wszyscy krewni, przyjaciele, ale dobry pan nie wrócił z niemi. Jak powiadali, po kilkogodzinnych łowach zszedłszy się pod trzema dębami na odpoczynek i posiłek myśliwski, spostrzegli nieobecność samego gospodarza. Jedni drugich dopytywali nawzajem o niego, lecz od chwili rozejścia się na stanowiska, żaden go więcéj nie widział; brat zaś młodszy, który najbliżéj niego stał, zapewniał, że gdy na znak łowczego zszedł z swego miejsca i przechodził około stanowiska braterskiego widział je próżném i sądził, że go już w miejscu zebrania zastanie. Gdy napróżno to trąbką, to strzałami przywoływali nieobecnego do siebie, po długiém oczekiwaniu, nie słysząc żadnéj na swe hasła odpowiedzi, niespokojni, pobiegli go szukać wszyscy. Nieszczęściem ziemia zmarzła i niepokryta śniegiem, nie mogła podać żadnego śladu, ku któréj stronie odszedł opuściwszy stanowisko. Na los więc szczęścia rozproszyło się co żyło po kniei; mimo atoli najgorliwszych poszukiwań, z zapadłą nocą smutni do zamku wrócić musieli."

„Przez dwa dni jeszcze marne były wszelkie szlakowania; czwartego dopiéro ranku rybacy, łowiąc w Styrze pod lodem ryby, wyciągnęli z wody pańskiego trupa."

„Niespodziewany zgon dobrego pana przejął głębokim żalem włość całą, ale zarazem przywiódł na pamięć przepowiednią znachorki umierającéj. Stała ona się powszechnym rozmów przedmiotem, i widać doszła uszu pozostałego brata nieboszczyka; odprawiwszy bowiem pogrzeb i opłakawszy śmierć jego, pomimo przedstawień przyjaciół, familii, ażeby nie mając żadnego jeszcze święcenia, wystąpił ze zgromadzenia i ojcowskie objął mienie: jak gdyby nie chcąc z majątkiem ciążącego brać przekleństwa, wrócił z pośpiechem do konwentu swego. Lecz gdy i tam ścigać go nie przestały nalegania przyjaciół ojcowskich, gdy wreszcie sami *patres*, duchowną swoją powagą, przez wzgląd aby utrzymać znakomite w narodzie imię, nakłaniali go do przyjęcia dziedzictwa: przyjął nareszcie ten kielich (jak mówił) i dzień przyjazdu zapowiedział."

„Na powitanie przybywającego, a bardziéj ażeby wracającemu do zamku, pod tak okrutną opuszczonego wróżbą, nie dopuścić smutnych wspomnień, zebrało się u nas sąsiedztwo; my téż domownicy staraliśmy się jak najokazalszém przyjęciem pozyskać względy nowego dziedzica. Nad samym wieczorem przybył on, z przyjacielem swoim księdzem Xawerym; wesołą twarzą powitał wszystkich i dziękując zebranym gościom za braterski afekt, zaprosił ich do wielkiéj rycerskiéj sali, gdzie zastawiona czekała wieczerza. W sali téj (którą zaraz wasanu pokażę) są wizerunki całéj rodziny, począwszy od najdawniejszych przodków, aż do starosty i dwóch jego synów, których obrazy, gdy z domu odjeżdżali, wymalować i zawiesić tam rozkazał. Nieszczęściem jakiémś nowy gospodarz siadł właśnie w téj stronie, gdzie wisiały owe trzy portrety. Gdy więc dziękując za głośne „vivat" którém go powitano, powstał z kielichem w ręku z miejsca swego, wzrok jego padł na wizerunek świeżo pochowanego brata. Na widok ten zadrżał cały, upuścił kielich z ręki i blady jak trup, niezrozumiałe bełkocąc wyrazy, upadł omdlały na ziemię. Przytomny temu jego zakonny przyjaciel kazał położyć go w łóżko, a następnie oddaliwszy wszystkich z sypialni, przywrócił mu przytomność. Wróciwszy późniéj do sali, przepraszał imieniem chorego zgromadzonych gości, którzy téż zwarzeni tym przypadkiem, rychło się rozjechali."

„Nazajutrz pan sam powstawszy z łóżka, rozkazał mieszkanie sobie urządzić w oficynie, którą podziśdzień zajmuje; środkowy zaś korpus zamknąć i pustkami pozostawić. Odtąd, jakem ci, mosanie, powiadał, żyje w samotności prócz nieodstępnego księdza Xawerego, nieobcując z żadną człowczą duszą. Bóg wié, czyli to z żalu po śmierci braterskiéj, albo téż czyli pokutą i modlitwą odwrócić od siebie pragnie wiszące nad rodziną jego przeznaczenie."

„Lud, któremu podobne życie niepojętém się wydaje, przypisując je przeczuciu blizkiéj i niezawodnéj śmierci, powtarza przepowiednią owę jako niedaleką spełnienia. Mówią nawet, że mające wnet osierocić dziedzictwo, zajmują już duchy w posiadłość: że w opuszczonym zamkowym gmachu widują ludzie przez okna w jasne nocy miesięczne snujące się widma, i słyszą głośne śmiechy lub jęki"

„Myślę jednakże, że choć teraz księżyc świeci, spokojnie przespałeś, mosanie, w twoim pokoju, galeryą tylko od sali rycerskiéj przedzielonym, i że za Bożą pomocą prześpisz spokojnie i tę drugą'

Z niewypowiedzianym udziałem i zajęciem słuchałem dziwnej powieści starca, jak gdybym przeczuwał rolę, którą mimo woli w jéj rozwiązaniu wziąć miałem.

Wstawszy od stołu, rządca wyszukał kluczy od zamkowéj sali, i wedle obietnicy do niéj mnie poprowadził, przez wązką, ciemną galeryą, łączącą się z sypialnym pokojem moim. Sala owa,

której nazwisko rycerskiéj pozostało zapewne z dawniejszych czasów w puściznie, gdyż teraz nic nie miała w sobie rycerskiego, zajmowała na wysokość całe dwa piętra. Nad głównemi drzwiami zawieszony był długi dla muzyki ganek, w przeciwnéj ścianie trzy ogromne okna z kolorowemi szybami oświecały ganek ten wspaniały. Kuliste sklepienie zdobiły misterne rzeźby, przedstawiające bajeczne ludzkie i zwierzęce potwory; śród rzeźb tych gnieździły się teraz wróble, przez potłuczone wlatujące szyby.

Posadzka była z wielkich białych i czerwonych naprzemian kładzionych marmurowych płytów, ramy u drzwi i okien, jako téż u szerokiego komina, podobnież z marmuru ciosane. Dwie boczne ściany, staroświeckiém powleczone obiciem, zdobiły dwa rzędy oprawnych w kosztowne ramy rodzinnych obrazów.

Piérwsze na obrazy te spojrzenie tajemniczym przejęło mnie dreszczem, i zapomniany już prawie dziwny sen dzisiejszéj nocy z całą żywością na pamięć przywiodło. Byłyto wszystko te same postacie, które widziałem w marzeniu sennem, w uroczystym pochodzie w grób wstępujące: te same stroje, lica też same, tylko że tutaj żywemi farbami nawiedzione, gdy u widziadeł nocnych trupią białością świeciły. Teraz nie mogłem już snu mego igraszce rozuzdanéj przyznać wyobraźni: zbyt wiele w jego osnowie, porównanéj ze spotykanemi na jawie szczegółami, było zgody i myśli; a mrowie mimowolnego przerażenia wstrząsające duszą moją, znać dawało, że życie me ziemskie zetknęło się ze sprawami niewidzialnego świata.....

Zadumany, roztargniony, niezdolny byłem zwrócić uwagi na słowa rządcy, który prowadząc mię koleją, począwszy od najdawniejszych antenatów, od jednego do drugiego portretu, wyliczał szeroko godności i sprawy każdéj z przedstawionych osób. Natomiast pilnie dopatrując się w same wizerunki, znajdowałem dzikie jakieś zadowolenie, porównywając ich rysy z rysami widm śmiertelnych snu mego.

Z największą baczności przyglądałem się obrazom trzech ostatnich rodziny członków, o których powieść tak mocno mię zajęła. Obok starosty ojca, odmalowanego w zielonéj myśliwskiéj kurcie, na którego twarzy zwierzęca srogość i lubieżność osiadły, wisiał portret starszego syna. Oblicze jego różne było, jak dzień od nocy, od ojca; rysy miał prawdziwie piękne, męzkie, wzniosłe czoło, otwarty wzrok, szlachetny wyraz rozlany po całéj twarzy. Kończył zbiór cały obraz teraźniejszego zamku dziedzica; byłto ten sam wysoki, posępny człowiek, który w widzeniu mojém nocném zamykał uroczystą processyą mar, i mnie do grobu wtrącić za niemi się silił. Z niewypowiedzianém uczuciem trwogi, a zarazem ciekawości, wlepiłem wzrok w jego zimne oblicze, poorane tak młodo bruzdami gwałtownych i rozuzdanych namiętności, z zaciśniętemi złośliwie ustami, z ukośnemi, złowrogim blaskiem strzelającemi oczyma. Mimo wstrętu, który we mnie widok téj postaci wzbudzał, mimo nienawiści dziwnéj, snem ku niéj natchnio-

néj, zaledwie przecież wzrok mój od niéj oderwać zdołałem, a odchodząc ze sali za rządcą, raz się jeszcze mimowoli za nią obejrzałem.

Oglądanie daléj, jako téż przyległych, równie niezamieszkałych komnat, zajęło nam kilka godzin czasu, i powróciwszy do oficyny, zastaliśmy już obiad na stole. Reszta krótkiego dnia zeszła mi prędko: odwiedziłem kilkakroć konia mojego, kazałem mu na miejsce zgubionéj nową dać podkowę, starałem się od gościnnego gospodarza wywiedzieć doskonale o kierunku dróg i ścieżek okolicznych, o położeniu miast i znaczniejszych wiosek, aby od nowego zabezpieczyć się zbłąkania.

Ponieważ przy stałéj pogodzie należało się spodziewać doskonale jasnéj nocy, postanowiłem dla nagrodzenia poniewolnéj zwłoki, dobrze jeszcze przed świtem ruszyć w dalszą podróż: nie chcąc więc staruszkowi przerywać rannego snu, pożegnałem go rozstając się wieczorem, i przyrzekłem solennie wstąpić w odwiedziny, jeśli tą stroną powracać będę.

Mogło być koło dziesiątéj, gdy mnie rządca samego w sypialni méj pozostawił. Ażeby z jutrem tém skorzéj się wybrać w drogę, rzuciłem się nierozebrany na łóżko, przespać kilka godzin. Lecz zaledwie zgasiwszy świecę zawarłem powieki, ta ciemność i cisza głucha nocy zalegające zamek, zmieszane z zaledwie dosłyszanym szumem poblizkich drzew, zamiast ukołysać do snu, obudziły w méj duszy cały rój dziwnych myśli i trwóg, przez dzień uśpionych. Wybiegłszy z tajników swoich, otoczyły one teraz łoże moje, jak duchy mściwe łoże zbrodniarza.

Wspomnienie snu zeszłéj nocy dręczyło mnie okropnie: w ciemności otaczającéj mnie, widziałem, gdziebądź zwróciłem spojrzenie, nienawistną postać pana zamku, z szyderczym uśmiechem, mordercze topiącego we mnie źrenice... To widziadło wyobraźni tak mnie nareszcie znękało, że nie mogąc dłużéj przenieść mroku, zerwałem się z posłania i pobiegłem otworzyć okiennice, przez których szpary wciskało się kilka miesięcznych promieni. Nie podoławszy odemknąć zardzewiałych zasuw, odgrzebałem w popiele ogniska kilka iskier tlejących, i rozdmuchawszy je, zapaliłem zgaszoną świecę.

Razem z grubym mrokiem pierzchło widmo owe złośliwe; sam śmiałem się teraz z dziecinnéj trwogi, która pociemku zostać mi nie dała; niemniéj jednakże myśl niespokojna, niezdolna oderwać się od zajmującego ją przedmiotu, krążąc wokoło niego, jakby w czarodziejskim zawarta kole, siliła się dojść znaczenia wczorajszego snu, odgadnąć w nim przepowiednią lub przestrogę. Napróżno całą siłą rozumu i woli starałem się przekonać o niepodobieństwie, aby widzenia takie spełnić się kiedy mogły; napróżno wstydem i gniewem sam ku sobie przejęty, chciałem gwałtownym ruchem po pokoju zagłuszyć niesforny głos, odzywający się w méj duszy.

Wtém wzrok mój padł przypadkiem na pęk kluczy, wiszący we drzwiach zamykających galeryą, która mój pokój ze salą

rycerską łączyła. Byłyto klucze od całego środkowego gmachu, widać przez rządcę zapomniane. To mi przypomniało, że zaraz za salą znajduje się biblioteka z kilkunastu szaf złożona; dla umilenia samotnéj bezsenności, dla rozerwania nieukojonych myśli, poszedłem tam wynaleźć co do czytania. Przeszedłem szybko galeryą i salę, wynalazłem z zapylonych ksiąg stosu „Nową Gigantomachią Kordeckiego", która choć kilkakroć czytana, zawsze miała dla mnie powab nowości, i szedłem z nią napowrót do sypialni mojéj.

Przechodziłem właśnie przez rycerską salę, gdy na zamkowéj wieży odezwał się dzwon zwiastujący północ. Posępne echo pustych komnat powtarzające dźwięki zegaru, przywiodło mi na pamięć powieść rządcy o widmach, które podług poszeptów ludu, zjawiać się miały tutaj w jasne nocy miesięczne. Zabobonny strach, nigdy mi przedtém nieznany, podniósł mi włosy na głowie; stanąłem, i pół trwożno, pół ciekawie powiodłem dokoła oczy. Promienie pełnego księżyca, przez trzy ogromne okna z dworu się lejące, oświecały ściany sali i zawieszone na nich obrazy swojém tajemniczém światłem. A kiedym spojrzał na te dwa długie szeregi nieruchomych, przez pół widnych, przez pół zaćmionych twarzy, zdało mi się, że wzrokiem swym groźnym chcą mnie przykuć do ziemi i zabronić kroku daléj. Siłą magiczną tego wzroku spętany, stanąłem niezdolny postąpić krokiem, podobny człowiekowi, który we śnie trwożącym sili się uciec, a poruszyć się nie może. Zlany zimnym potem, osłupiały i nieprzytomny, liczyłem z zimną krwią powolne uderzenia zegaru. I oto jeszcze ostatni dźwięk dzwonu nie rozchwiał się w powietrzu, a drzwi od galeryi przeciwnéj téj, którą wszedłem, zaskrzypiały zcicha i wysoka osoba w bieli ukazała się na progu. Z zapartym w piersi oddechem widziałem jak widmo to zwolna posuwało się ku mnie..... aż zbliżyło się do tyla, że w blasku świecy, którą w ręku trzymałem, rozpoznać je lepiéj mogłem. Wtenczas poznałem, że tém widziadłem był żywy, z ciałem i kościami człowiek; poznałem też same nienawistne rysy pana zamku, które na obrazie z takiém zajęciem strasznem oglądałem, które mnie we śnie minionéj nocy tak okropnym natchnęły strachem. I nie wiem, czy widok najgroźniejszéj mary przeraziłby mnie tyle, co ta postać złowroga, w pustce i ciemności nocnéj idąca ku mnie, z ciśniętym w prawicy ogromnym myśliwskim nożem, z wyrazem oblicza, w którém wyczytać było snadno słowo:—mord!.....

Postać jego cała zdradzała śpiącego i we śnie marzącego okropnie człowieka: w jednéj tylko koszuli, z otwartemi ale nieruchomie wlepionemi przed się oczyma, z ciężkim, głębokim oddechem, niepewnemi stąpał kroki. Chód jego podobny był chodowi skradającego się kota. Idąc stawał co chwila i szeptał urywane wyrazy.

Natężyłem słuch i uwagę

— Tak, to tu... tu gdzieś! — szeptał ledwie dosłyszanym głosem. — Ale nie! to mi się tak zdać tylko musiało!... On utonął, tak, utonął!... Godzinę-m całą czatował... nie wypłynął... Zkądby się zaś wziął znów żywy?... Umarli nie wracają... nie!...

I znów milcząc, postąpił kilka kroków daléj. Aż nagle stanąwszy z wyciągniętą ręką przed obrazem utopionego brata, przytłumionym ale przerażającym zawołał wykrzykiem:

— Ha! na piekło!... więc to prawda!. On żyje, żyje tu... Brrr!!

Zamilknął nagle; po ciele jego przebiegł febryczny dreszcz, potém położył palec na usta, i stał nieruchomy; znać było zamyślił się głęboko. Nareszcie odezwał się znowu:

— Cicho! cicho!.. jeden sposób!... trza go ztąd więcéj nie puścić!... Jeżeli mi żywo ujdzie, wydrze mi ojcowskie mienie... zgubi mnie.., Trzeba korzystać póki czas!... Cicho!... cicho!...

I z słowy temi czołgnął się jak wąż ku obrazowi brata, stanął tuż przy nim, wyprostował się nagle, podniósł do góry nóż, i z okropną siłą przebiwszy płótno, uderzył żelazem o ścianę, aż roztrzaskane części klingi z brzękiem posypały się po podłodze. Ze zgrozą lodowatą słuchałem urywanéj mowy śpiącego, spowiadającéj tajemnice bratobójczego sumienia..

Przejęty okropną prawdą jego słów i ruchów, widząc wzniesiony brzeszczot błyszczący w ręku jego, zapomniałem, że cios ten martwemu zagraża płótnu. i z przestrachem, jakbym na istotne miał patrzéć morderstwo, poskoczyłem zatrzymać podniesione ramię; lecz cios szybki jak błyskawica spadł, nim mu przeszkodzić zdążyłem. Gwałtowne to uderzenie i łoskot, który po nim nastąpił, zbudziły zbrodniarza.

Stanął, powiódł ręką po czole, spojrzał po sobie, po rozdartém płótnie obrazu i drzazgach rozsypanych noża, drgnął cały i odwróciwszy się spiesznie postąpił krokiem; gdy wtém wzrok jego padł na mnie.

— Kto tu?—zawołał, cofając się ku ścianie przerażony; lecz natychmiast wracając do przytomności, groźnie powtórzył zapytanie swoje:—„Co tutaj chcesz? kto jesteś?“

Drżałem, wrzałem wtedy cały z oburzenia... Tajemny głos duszy mojéj wołał, że Bóg sam sprowadził mię tu, bym odkrył i obalił zbrodniarza. Nieprzytomny, uczuciem tém wskroś przejęty, zbliżyłem się ku niemu i uroczystym przemówiłem głosem:

— Świadek od Boga zesłany, aby niewinna śmierć twojego brata nie pozostała bez kary. Drżyj bratobójco! bo dzisiejszy świt odkryje światu tajemnicę twoję!...

Ledwiem domówił słów tych, twarz zbrodniarza pobladła i wykrzywiła się szatańskim śmiechem, oczy jego zajaśniały jak ślépie ranionego wilka: zgrzytnął zębami, i poskokiem rysia rzucającego się na łup, rzucił się na mnie.

— Ha! idźże sobie razem z tą tajemnicą do djabła, który cię tu przysłał!—wrzasnął chrapliwie, twardemi jak żelazo rękoma chwytając gardło moje, i topiąc w niém paznogcie, a przycisnąwszy głowę moję do kościstych piersi swoich począł mnie dławić.

Napróżno ślepemi ciosami bijąc w głowę jego, chciałem zmusić go, ażeby puścił mi szyję;—pięści moje chybiały lub źle uderzały, gdy tymczasem gwałtowniejsze coraz ściśnienie kościstych palców zbrodniarza, tamowało mi oddech... Czułem, że chwila jeszcze, a uduszony skonam... W ostatecznéj rozpaczy, zebrawszy konwulsyjnie wszystkie me siły, pięściami i głową zarazem ugodziłem w pierś jego. Uderzenie to było tak gwałtowne, że palce jego puściły me gardło, a on sam potoczywszy się kilka kroków, upadł około ściany na ziemię, ze strzaskaną o ostry róg kominowego gzymsu skronią... Krew i mózg rozprysły się gwałtownie, zbroczona głowa kilka razy jeszcze podskoczyła na kamiennéj posadzce—kilka jęków—i już trup martwy leżał u moich stóp.

Wszystko to stało się tak nagle, tak pomimo woli mojéj, że teraz dopiéro ochłódszy nieco, mogłem objąć myślą cały wypadek i skutki, jakieby dla mnie wynikły, gdybym odkrytym został. Obcy, nieznany nikomu, czyliżbym uzyskał wiarę najświętszemi przysięgi, zaręczając niewinność moję? Nie poczytanożby mnie raczéj za zbójcę i jako takiego nie ukarano?

Szczęściem, zdarzenie całe pokrywał mrok i cisza nocy. Koń mój czekał gotowy w stajni i wszyscy uprzedzeni byli o moim rannym wyjeździe. Nikt się zatém nie zdziwił, gdy w godzinę po północy przyszedłszy do stajni, siadłem na koń i polecając stajennemu raz jeszcze pożegnać rządcę, o księżycu wyjechałem z zamku.

Skrytemi szlakami ujechałem mil pięć nim dzień zaświtał, a jak gdyby Opatrzność czuwała nademną, spadły o świcie śnieg zakrył me ślady przed pogonią, jeśliby jaka była.

Dalszy ciąg drogi odbyłem szczęśliwie.

* * *

W roku 1812 jako oficer towarzyszyłem wyprawie Napoleona na Rossyą. Jednego razu pułk mój stanął obozem pod tym. właśnie zamkiem, gdzie tak okropne niegdyś miałem zdarzenie. Główny gmach z rycerską salą leżał już napół w ruinach; oficyny były jeszcze zamieszkałe, ale nikt z mieszkańców o znajomym mi rządcy zgoła nic nie wiedział. Zapytałem nareszcie kilku wieśniaków o okoliczności zgonu ostatniego syna starosty. Uśmiechnąłem się gdy mi opowiadali, że taż sama upiorzyca znachorka, co zadusiła starostę, a starszego syna jego utopiła w Styrze, roztrzaskała także głowę ostatniemu rodziny owéj potomkowi... Lecz zadrżałem, słysząc, że odtąd co noc w zwaliskach sali przechadza się postać jego płomienista z jękiem, groźbami i okropném wyciem.

Po tém wszystkiém, co mnie w tym zamku spotkało, nie mogłem uważać téj powieści za zupełnie czczą bajkę, i mimo zgrozy, jaka mnie ogarnęła, gotów byłem za nadejściem nocy iść się naocznie o prawdzie przekonać. Ale przed wieczorem jeszcze pułk w dalszy ruszył pochód,—i nigdy już więcéj w życiu noga moja w téj stronie nie postała.

Roman Zamarski.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Quetelet z kilkoletnich obserwacyj barometrycznych i nad elektrycznością atmosfery ważny wyciągnął wniosek, dotyczący wpływu elektryczności na stan barometryczny powietrza.

W téj pracy rozdzielił wszystkie spostrzeżenia klimatologiczne na dwie gruppy: w piérwszéj zajął wysokości barometru wyższe nad średnie ciśnienie atmosfery; w drugiéj, wysokości mniejsze od średniego stanu. Podobnie na takież dwie gruppy rozdzielił dostrzeżenia nad elektrycznością powietrza, przyczém jednak usuwał spostrzeżenia wskazujące bytność elektryczności ujemnéj. Z porównania tak ułożonych tablic okazało się, że barometr zawsze stał wyżéj, gdy w powietrzu było elektryczności więcéj jak średni stan miesięczny, i przeciwnie. Wielkość różnicy w wysokościach barometru w różnych po sobie idących miesiącach, odpowiada stosunkowi zachodzącemu w napięciu elektryczności przy pogodném i pochmurném niebie. Jednakże w marcu i październiku, Quetelet wykrył dwa maxima w różnicach barometrycznych, które nie mają odpowiednich w obserwowanych natężeniach elektryczności.

Ze wszystkich jednak dostrzeżeń ten ogólny wynika wniosek, że pominąwszy inne znane przyczyny, barometr tém wyżéj stoi, im mocniejsze jest napięcie dodatniéj elektryczności w powietrzu. Podczas bytności ujemnéj elektryczności, barometr, przy innych jednakich okolicznościach, dosięga swego najniższego stanu.

* Zwykle dla okazania doświadczeniem działania dopełniających się kolorów, używano dwóch szkieł: jednego zabarwionego na zielono, drugiego na czerwono, które następnie złożone i przed okiem trzymane, przepuszczają białe światło. Maumené do tego celu zaleca używać roztworów soli kobaltowych i niklowych, dopóty rozcieńczanych wodą, aby ich ubarwienie stało się mniéj więcéj jednéj mocy. Tak przygotowane ciecze po zmieszaniu wydają płyn bezkolorowy; bar-

wa czerwono-różowa soli kobaltowéj nawet dość stężonéj, dokładnie się dopełnia przez zielony kolor soli niklowéj.

* Volpicelli w czasie zaćmienia słonecznego 1851 r. (28 lipca), za pomocą termo-actinometru Melloniego spostrzegł, że promieniowanie cieplikowe wzrasta, postępując od brzegów ku środkowi tarczy słonecznéj. Volpicelli następnie śledził ilość cieplika wyrzucaną przez słońce w różnych położeniach téj gwiazdy. Już dawniéj Melloni okazał, że stosunek promieni słonecznych przepuszczanych przez warstwę wody, środkującą między dwoma szkłami, lub przez taflę z kryształu górnego zadymionego, zmienia się stosownie do różnéj grubości warstwy powietrza, i że ta zmiana podlega szczególnym prawom, bo przy jednakich nawet okolicznościach przybierać może przeciwne znaki. To spostrzeżenie stwierdził Volpicelli, i nadto ze swych doświadczeń wniósł, że promienie słoneczne składać się muszą z różnorodnych pierwiastków; że atmosfera ziemska pochłonywa te pierwiastki różnemi sposobami, a to stosownie do grubości jéj warstwy; że o tém odmiennem pochłonywaniu świadczą ciała diatermiczne, przez które przechodzi promień słoneczny.

Tenże autor puszczając promienie słońca przez połączone trzy blaszki: jednę z soli, drugą z ałunu, trzecią z siarczanu wapna krystalicznego, osłabiał do tego stopnia działanie cieplikowe promieni słonecznych, iż te pod względem cieplika nie różniły się od promieni księżycowych, zachowując jednak większe natężenie światła.

* Fizycy, a szczególniéj Joule, usiłowali oznaczyć związek między pracą mechaniczną, a ilością cieplika, czyli innemi słowy: ilość pracy jaką może rozwinąć jednostka cieplika. Kupfer dla dojścia do tegoż samego celu obrał następny sposób, oparty na sprężystości metali, porównanéj z ich rozszerzaniem się od cieplika. Oznaczy wprzód przedłużenie walca metalowego długiego na pewną jednostkę, podczas obciążania dolnego jego końca różnemi ciężarami, następnie przedłużenie tegoż walca podczas ogrzania go od 0% do 100%, i z porównania tych danych otrzymał wypadek, że ciepło potrzebne na ogrzanie funta wody od 0° do 100°, może podnieść 9921 funtów do wysokości jednego cala.

Ten wypadek jest dość zgodnym z równoważnikiem cieplika, znalezionym przez Joule, a mianowicie z ciężarem 10680 funtów i 9876 funt. podnoszonemi do wysokości 1 cala.

S. P.

CHEMIA.

Czyli dawni Egipcyanie znali kwas saletrowy? Przez p. Thornton i Herapath. Przedmiot powyższy już dawniéj był rozbierany przez ojca p. H; ponieważ jednak objawiły się i zdania przeciwne, z tego powodu syn p. Herapath, znowu na nowo się nim zajął. Treść jego pracy, przytaczająca się w własnych wyrazach, jest następująca:

„W pamiętniku mego ojca o chemii u dawnych Egipcyan, podano wypadki doświadczeń, tyczących się pewnych znaków lub napisów hieroglifowych, wykrytych przez niego w zwojach mumii, świeżo przez p. Nash odwiniętéj. Z tych zaś okazuje się, że starożytni Egipcyanie musieli znać ciecz, do znaczenia bielizny o zasadzie saletranu srébra (kamienia piekielnego); a ztąd i kwas saletrowy (serwaser), obcym być im nie mógł. Nieco poźniéj, p. Denham Smith w odpowiedzi na powyższe uwagi, niezupełnie zgadza się z wnioskami mego ojca, utrzymując, że lubo jest ciekawe wykrycie, iż saletranu srebra już od 3,000 lat używano do znaczenia bielizny, ale wypadki na tém oparte są błędne; bo nie masz żadnego dowodu, aby Egipcyanie znali sztukę przepędzania (destylacyą). Sądzi zaś, ale bez przytoczenia dowodów, że owa ciecz do znaczenia bielizny, przygotowywana była z rozpuszczonego chlorku i niedokwasu srebra w roztworze amoniakalnym, bez pośrednictwa jakiegobądź kwasu. Ponieważ to zadanie ze względu naukowego ma pewną ważność, postanowiłem na nowo się niém zająć; i po wielu bezskutecznych usiłowaniach analitycznych, musiałem robić dochodzenia za pośrednictwem drobnowidu.

„Śledząc włókna powłoki napojonéj atramentem srebrnym, spostrzegłem na nich następne cechy. Końce nitki, najbliższe części zniszczonych tkanki, były ubarwione ciemno-brunatno, lub czarno: w pewnych zaś odległościach od części czarnéj, włókno było blado żółte, jakby od tego, że podczas rozkładu soli srébrnych, użytych za atrament do znaczenia, pierwiastki usaletrorodnione tkanki, częściowéj uległy zmianie.

„Na wielu z powyższych włókien, jako też i w niektórych miejscach na ich powierzchni, spostrzegać się dawały małe cząsteczki jakiejś tkaniny organicznéj, jeszcze wyraźniéj ubarwionéj niż same włókna. Płucząc to w roztworze amoniakalnym stężonym, części żółte, w szczególności ciała nadpsutego, wewnątrz komórek się znajdującego, stały się jeszcze ciemniejszemi; przeciwnie zaś te, które miały w sobie srébro metaliczne, były bledsze; jakby dlatego, że mała część powloczki srébrnéj rozpuściła się w tym rozcieku; lubo uważano, że tkanina zafarbowana nie zmieniała się, nawet po długiém zamoczeniu jéj w amonii. Robiąc doświadczenia porównawcze z kawałkiem płótna świeżo znaczonego roztworem saletranu srébra; znalazłem, że włókna miały podobieństwo do powyżéj opisanych, i ta tylko zachodziła w nich różnica, iż kolor żółty nie był tak widoczny, i więcéj srébra rozpuściło się w roztworze amoniakalnym; z drugiéj zaś strony, włókna ubarwione roztworem chlorku i niedokwasu srébra w amonii, były jednostajnie zafarbowane na ciemno-brunatno lub czarno, i wcale nie miały śladu ubarwienia żółtego.

„Powyższe wypadki porównane z zepsutemi włóknami tkanki mumiowéj w bliskości miejsc znaczonych będącéj; usprawiedliwiają zdaniem mojém wniosek, że starożytni Egipcyanie rzeczywiście znali kwas saletrowy, i używali saletranu srébra do znaczenia bielizny. Jakim zaś sposobem wyrabiali ten kwas, czy przez przepędzanie sale-

tranu sody lub saletranu potażu, z kwasem siarkowym, czyli też sposobami alchemików; tego nateraz rozwiązać mi niepodobna." (*L'Institut* 13 *Juillet* 1853).

* Korzenie rośliny zwanéj korona cesarska K. (Fritillaria imperialis) zawierają znaczną ilość mączki; P. Basset przeto sądzi, że można ją korzystnie uprawiać na wielką stopę dla zastąpienia ziemniaków. W istocie, niekiedy korzenie téj rośliny dorastają ogromnéj wielkości (od 850 do 900 gramów). Badanie mikroskopowe okazało, że ziarna mączki korony cesarskiéj mają średnicę między $0^{mm},007$ i $0^{mm},057$. Ściany jéj komórek są bardzo cienkie, błonka naskórkowa łusek, twarda: przez massę zaś mączkową przechodzą rzadkie naczynia, i dlatego, zdaniem P. B. pozostałość zaledwo wyniesie 2 na 100. Wiadomo zaś, że ziemniaki wydają fabrycznie 15 do 18 na 100 krochmalu. Rozbiór porównawczy obudwóch korzeni daje następujące wypadki:

	Ziemniaki, Solanum tuberosum.	Korona cesarska, Fritillaria imperialis.
Wody	70	68
Mączki	20	23
Ciał zsiadłych	4	5
Pozostałości suchych	6	4
	100	100

Podług obliczenia p. B. ziemniaki płacą we Francyi za 100 kilogramów 22 do 28 franków, korzeń zaś korony cesarskiéj kosztowałby za też samą ilość 8 do 12 franków; ale dotąd nie robiono prób na wielką skalę, i dlatego te dane nie są bezzawodnemi. Oprócz użytków fabrycznych z mączki korony cesarskiéj, p. B. sądzi że mogłaby ona służyć i na pożywienie, byleby odjąć jéj smak i zapach nieprzyjemny; w tym celu należałoby ją moczyć w wodzie zwyczajnéj, odmieniając ją kilkakrotnie lub też w wodzie octem zaostrzonéj, w stosunku $^1/_{30}$, albo nareszcie w wodzie cokolwiek alkalicznej, przez 24 do 48 godzin, a potém wypłukać w wodzie czystéj. (*L' Institut* z 31 *Août* 1853).

* *Tworzenie sztuczne proszku dyamentowego.* Przed kilką atami podaliśmy w Bibliotece Warszawskiéj (1) zawiadomienie o doświadczeniach p. Despretz, tyczących się tworzenia dyamentu; powyższy uczony już wówczas stopił i ulotnił węgiel, i okazał, że węgiel stopiony i dyament stopiony, zmieniają się w ołówek, (grafit). ¿Teraz na nowo donosi p. D., że w doświadczeniu z stosem galwanicznym i węglem przez miesiąc czasu wykonywanym, platyna przy stosie pokryła się proszkiem czarnym, pomiędzy którym, za pośrednictwem mikroskopu, rozpoznać można było kryształki ośmiościenne czarne, na innych zaś nitkach platynowych białe. Powyższe kryształki zmieszane z cokolwiek oleju, posłużyły do gładzenia czyli polerowania rubinu; a wiadomo, że tylko proszek dyamentu tę własność posiada. Osad utworzony drogą wilgotną, w doświadczeniu w którém umieszczono węgiel przy biegunie dodatnim, a drucik platynowy przy ujemnym

(1) Bibl. War. z miesiąca kwietnia 1850 r.

słabego stosu; posiada również własność gładzenia rubina ale w daleko mniejszym stopniu. Te doświadczenia sprawdziło wielu uczonych. (Treść z pisma *L' Institut* z d. 7 *Sept.* 1853).

✳ Krzew szakłaku kruszyny, (*Rhamnus frangula*), w starości na powierzchni wewnętrznéj kory korzenia, pokrywa się warstą małych kryształków jedwabistych, błyszczących ,złoto-żółtych, które są pierwiastkiem barwiącym, lotnym nawet w cieple zwyczajném, i ztąd z czasem osadzającym się w kryształkach, jak powiedziano wyżéj, na korze. Piękny ten barwnik nazwany został przez Buchner'a *Ramnoxantiną*, i może być wydzielony przez eter lub wyskok, a potém z zgęszczonego wyciągu przez przepędzanie, dla otrzymania z ulatniającéj się pary osadzających się kryształków. (Treść z *L' Institut* z d. 5 *Octobre* 1853)

J. B...a.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1852.

183. Pisma do żony wierszem i prozą. Przez Władysława Miniewskiego. (Z godłem:)

Kobiét własne, są ich cnoty:
Ich błędy, prawie zawsze, są naszéj roboty.
Wł. Min.

8ka. Kraków. 1852. W drukarni Czasu. Str. 74. Rejestru karta 1. Kop. 50.

1853.

105. Album K. W. Kielisińskiego (na okładce dodano: nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu). 4ka podłużna. Poznań. 1853. Nakładem księg. J. K. Żupańskiego, druk W. Deckera, lit. Jaroczyńskiego w Poznaniu. Nap. karta 1, objaśnień kart drukowanych 2 i tabl. 27 z osobnym tytułem. Rsr. 10.

106. Ewangelie na wszystkie niedziele w roku ze stosownemi do nich naukami, oraz czytania i przemówienia przygodne do parafian. Zebrane z dzieł ks. biskupa Woronicza, ks. Skargi, ks. Antoniewicza i wielu innych, jak niemniéj (*tak*) z pism religijnych. 2 tomy. 8ka. Warszawa. 1853. (Na okładce rok 1854). Nakładem Gustawa Sennewalda (druk Ungra). Tom I napisów i cenzury duchownéj kart 3, str. 371, i rejestru kart 2. T. II, napisów kart 2, str. 439 i rejestru kart 2.

107. Gospodarstwo leśne czyli proste zasady hodowania, urządzania i użytkowania, oraz niezbędnéj tychże ochrony, ze szczególną uwagą na lasy prywatne, dla użytku właścicieli ziemiańskich, rządców dóbr i leśniczych praktycznie wyłożone przez Antoniego Aulcitner, Nadleśnego lasów Rządowych. Z rycinami i tablicami. 8ka. Warszawa. 1853. Nakładem autora, druk St. Strąbskiego. Kart 2, i str. 205. Rsr. 1 k. 20.

108. Kolejnik życia przy kolei żelaznéj oraz różne gawendy (*tak*) wagonowe (,) z dodatkiem opisu parochodów przez Józefa Rutkowskiego nadkonduktora drogi żelaznéj warszawsko-wiedeńskiéj (.) Regestratora Kollegialnego. 12ka. Warszawa. 1853. Druk Adolfa Kretblow. (Nakład autora). Napisów kart 2 i str. 307.

109. Krótka nauka chowu bydła rogatego, Wydana przez Komitet C. K. Towarzystwa Gospodarskiego Galicyjskiego. 8ka. Lwów, 1853, w drukarni Zakładu narod. Ossolińskich. Str. 40. Kop. 15.

110. O ważności małych cnót przez ojca Roberti S. J. (Wydanie drugie). Cena złp. 1 czyli kr. 15 m. k. 32. Kraków. 1853. W księgarni wyd. dzieł katol. druk J. Czecha. Str. 119. Kop. 20.

111. Pisma różne wierszem Stanisława Jachowicza. 12ka. Warszawa, 1853. Nakład autora, druk St. Strąbskiego. Kart napis. i przypis. (*Tytusowi Chałubińskiemu*) 4, str. 292, i rejestru VIII. Rsr. 1 k 20.

112. Roczników Polski Klimakter IV. obejmujący dzieje Polski pod panowaniem króla Michała przez Wespazyana z Kochowa Kochowskiego wojskiego krakowskiego, podkomorzego i dziejopisa królewskiego. Z łacińskiego tłomaczenie (*przez A. M.*) polskie (z portretem). Wydanie J. N. Bobrowicza, 8ka. Lipsk. 1853. Nakładem Księgarni Zagranicznéj, druk Breitkopfa i Hertla. Str. XVI i 382. Rsr. 3 k. 40.

113. Towarzysz piłnych dzieci czyli początki czytania i innych wiadomości sposobem łatwym i do pojęcia młodocianego wieku zastosowanym (.) wyłożone przez T. Nowosielskiego. Wydanie drugie. 12ka. Warszawa. 1853. Nakład i druk S. Orgelbranda. Kart 2 i str. 175. Kop. 20.

1854.

1. Chrześcijanka uważana ze stanowiska światowego. Dzieło napisane przez księdza Edwarda Frederyka Chassay, z francuzkiego języka polskiemu przyswojone przez Felixa Konwerskiego. 12ka Warszawa. 1854. Nakładem J. Breslauera, druk pod fir. J. Kaczanowskiego. Kart 4 i str. 302. Rejestru kart 1. Rs. 1 k. 20

2. F. Kallimacha Geminiańczyka o królu Władysławie czyli o klęsce warneńskiéj. Przetłómaczył, przypisami objaśnił i bijografiją Kallimacha dodał Michał Gliszczyński. 8ka. Warszawa. 1854. Nakładem i drukiem S. Orgelbranda. Kart. 2 i str. 232. Rsr. 1 k. 20.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Józef Korzeniowski pisze powieść z czasów Stanisława Augusta.

— Kazimierz Kaszewski tłumacz Antygony i Edypa w Kolonie, zamierzył przekład trzeciéj tragedyi Sofoklesa p. n. „Edyp król".

— Józef Łukaszewicz ukończy w r. b. dzieło: „Opis historyczny kościołów, klasztorów szkółek parochialnych i szpitali w dawnéj dyecezyi poznańskiéj". Opis ten podzielił autor na archidyakonaty i dekanaty. Każdego kościoła parafialnego, każdéj kapliczki, każdego klasztoru, każdéj szkółki i zakładu dobroczynnego podaje dzieje w krótkości: zdejmuje nagrobki i napisy gdzie są, wspomina o pomnikach sztuki, załącza erekcye, ale tylko do XIV wieku, i wykazuje, jak dobra szlacheckie (w których są kościoły) z rąk do rąk przechodziły. Głównem źródłem téj pracy są archiwa katedry poznańskiéj i grodzkie, złożone w Poznaniu. Uczony ten badacz gromadzi nadto materyały do historyi Socyan, czyli wszelkich odcieni antytrynitarzy polskich.

— K. Wł. Wojcicki rozpoczął druk „Archiwum domowego." Tom pierwszy obejmuje czasy Stanisława Augusta: sąto ważne ma-

teryały zebrane z rękopismów, a rzucające światło na ten okres dziejowy. Do „Opisu cmentarza powązkowskiego" tegoż pisarza, młody i utalentowany artysta p. Matuszkiewicz zdejmuje rysunki nagrobków ważniejszych i piękniejszych.

Kraków. (Wyjątek z listu). Artysta nasz Hanusz, który się kształcił w malarstwie pod dobremi mistrzami w Wiedniu i Monachium, skopiował Lisowczyka Rembrandtowskiego, zdobiącego piękną galeryą dzikowską. Kopią tę wykonał z najskrupulatniejszą wiernością. —Wyszedł zeszyt 2gi Oddziału nauk moralnych Rocznika Towarzystwa naukowego; pomiędzy innemi rozprawami, zwracamy uwagę na rozprawę ks. Serwatowskiego: „Pogląd na dzieje rodu ludzkiego ze stanowiska chrześciańskiego", i Karola Mecherzyńskiego: „O wymowie politycznéj w Polsce."— Nakładem księgarza Juliusza Wildta, wyszła: „Mozajka, gawędy i obrazki;" jestto przedruk rozmaitych artykułów z feiletonu Czasu. — W drukarni Czasu wydano: „Pisma do żony Władysława Miniewskiego;" jestto zbiór wierszydeł bez treści, stylu i wszelkiéj zalety. „Patologiczna anatomia przez Dr. Nikodema Bentkowskiego część 1sza ogólna." „Słownictwo polskie chemiczne" prof. Emiliana Czyrniańskiego. „Sprawozdanie kamitetu ochronek dzieci w r. 1853." „Siła czyli ruch wirowy jako pośrednik między światem ziemskim a duchowym." — P. Zenon Hałatkiewicz professor, zapowiedział tłumaczenie głośnego dzieła, które wielkie wrażenie w świecie naukowym wywołało: Listy odo-magnetyczne bar. Reichenbacha. — Towarzystwo gospodarsko-rolnicze krakowskie wydało tom IV swego Rocznika; zawiera rozprawy Dyzmy Chromego i ks. A. Jakubowskiego. — Władysław Bażan adjunkt przy katedrze chemii w uniwersytecie Jagiellońskim wydał: „Przewodnik w rozbiorach chemicznych jakościowych ciał nieorganicznych."— Znany archeolog J Łepkowski napisał o Nimbach, ustęp z archeologii ogólnéj, i będzie go drukować w dodatku do Gazety Lwowskiéj, a potém wyjdzie osobno.— Kazimierz Mirecki młody artysta malarz wykończył obraz olejny niewielki rozmiarem, przedstawiający ślub Zygmunta Augusta z Barbarą. Osoby są portretowane: sześć osób składa grupę.—Nakładem Friedlejna wyszły: „Ośm obrazów Świętych Pańskich, znajdujących się w kościele katedralnym krakowskim: 1) obraz Pana Jezusa na krzyżu, malowany przez Dolabellę; 2) św. Stanisława (niewiadomego pędzla; 3—8: śś Wacława, Jacka, Wojciecha, Kazimierza, Floryana i Wincentego, przez Kunicza Krakowianina w Rzymie malowane."

Lwów. „Dnia 12 października r. b. w oktawę imienin ś. p. cesarza Franciszka I. protektora Zakładu narodowego imienia Ossolińskich, odbyło się uroczyste posiedzenie naukowe w sali zakładowéj. Posiedzenie zagaił zastępca kuratora literackiego, Maurycy hr. Dzieduszycki, oddaniem czci należnéj pamięci cesarza Franciszka, i J. M. Ossolińskiego, i odczytał obszerne sprawozdanie z czynności zakładu. Ze sprawozdania tego dowiedziała się publiczność, że kontrakt na druk Słownika Lindego (za przyzwoleniem rodziny autora) już jest podpisany, i 1000 złr. m. k. jako zadatek na zaopatrzenie drukarni w potrzebne

dolewki liter niektórych, wyliczone. Poczém zastępca dyrektora August Bielowski czytał: „O życiu i pismach Samuela Lindego": nakoniec Karol Szajnocha zastępca kustosza: „Zaślubiny Jakóba III Stuarta z Klementyną Sobieską córką królewicza Jakóba." Rzecz wielce zajmująca, a oparta głównie na jednym z rękopismów współczesnych, będących własnością Zakładu.

— Józefa Korzeniowskiego Spekulant wychodzi równocześnie w dwóch tłumaczeniach: w czeskiém i niemieckiém. Po czesku znajduje się w feiletonie „Prażskich Nowin," a po niem. w feiletonie niemieckiéj Gazety Poznańskiéj.—W Hamburgu wyszła w przekładzie niemieckim, przerobiona przez pp. Wachenhusen, i v. Tolkmyan komedya: „Wąsy i Peruka."

Poznań. (z listu) „W Gdańsku znalazła się nowa praca Długosza nieznana zupełnie: jestto rękopism pargaminowy, który wkrótce drukiem ogłosi Tytus hr. Działyński. W nim znajdą najsilniejsze poparcie pomysły waszego uczonego badacza prof. Dominika Szulca, o jedności rodu z Polakami tak Prusaków, jak Pomorzan i wszystkich sąsiednich z niemi po granice Litwy pokoleń. Tenże hr. Działyński drukuje tom 3ci Aktów Tomickiego."

Wyjątek z listu professora Zejsznera.

Od dwóch tygodni wróciłem z podróży odbytéj do Galicyi i Węgier. W galicyjskich Karpatach zastanawiałem się nad źródłami oleju skalnego, i nie mam wątpliwości, że, podobnie jak kwaśne źródła, są skutkami sił podziemnych wulkanicznych. Prawie cały miesiąc niemi się zajmowałem i przerabiałem te płynne massy na asfalt. Zdaje się, że z tego będzie można coś korzystnego wyrabiać, jeżeli równocześnie produkta z destylacyi pochodzące sprzedawać będzie można. Geologia Węgier zawsze jest ponętniejsza, bo tam wielka rozmaitość i bogactwo niezmierne metaliczne. Zastanawiałem się, jak powstają żyły które dały żelazo, miedź, srébro, żywe srébro, nikiel kobalt. Jedna z mało uważanych skał Gabro, dała zapewne żyłom początek i te występują na Spiżu w takiéj rozmaitości i odmianach, o czém dotąd nie wiedzieli geologowie. Rozumie się, że będą rozprawy skoro materyały nadejdą. Żyły te dostarczają na targi przeszło za 6,000,000 złp. surowego żelaza i za tyleż miedzi; trudno obliczyć wartość merkuryuszu, srébra i niklu. Ostatni metal jeden z Ewansów skupuje, wozi do Anglii i wytępia go. W Węgrzech taka jest biéda, że nie można wziąć na siebie wyrobu tego produktu.

Nadzwyczajnie dobrze przyjęto jednę z moich rozpraw, drukowaną w Petersburgu. W Göttyngskim dzienniku *Gelehrte Anzeiger* Haussman powiedział: z Karpat trzeba się uczyć, jak zapatrywać się należy na góry niemieckie.....

Myśmy kursa nasze otworzyli; uczniów nieco więcéj aniżeli lat zeszłych.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIÉM.

Wrzesień, 1853.

	mm.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.904	27	8.430
Najwyżéj dochodził — d. 6 o g. 10 r.	760.75	28	1.237
Najniżéj — — d. 26 o g. 10 r.	737.38	27	2.877
Średnia zmiana dzienna barometru	3.935		1.744
Największa zmiana dzienna barometru d. 6—7 o g. 10 w.	13.87		6.149
Średnia wysokość barometru jest niższa o	1.019		0.451
od stanu normalnego z 27 lat poprzedzających	750.923	27	8.881
Średnia temperatura września wynosi:	+ 13°.09 C.		+ 10°.47 R.
i ta jest niższa o	0.61 „		0.49 „
od stanu normalnego z 27 lat poprzedzających	13.70 „		10.96 „
Największe ciepło dochodziło d. 24 o godz. 4 po połud.	23.7 „		18.96 „
Najniższa temperatura była d. 28 o g. 6 r.	3.8 „		3.04 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.058 „		1.647 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 2—3 o g. 6 r.	6.8 „		5.44 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: +20°.5 R. d. 24 po połud.
Minimum: + 2°.9 „ d. 28 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 79,7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 9,27 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest prawie równa normalnéj.

Ilość wody spadłéj z deszczu wynosi co do wysokości: 46,7 milim. czyli 20,70 lin. par.; ilość ta wody jest mniejszą o 2.59 lin. par., od téj jak zwykle u nas we wrześniu spada.

Dni pogodnych było 8, napół pogodnych 5, pochmurnych 17.
— deszczu 13 (d. 1, 2, 3, 4, 5, 7, 9, 20, 25, 26, 27, 29, 30).
— gradu 1 (d. 30).
— mgły 4 (d. 8, 13, 14, 22).
— grzmotów 1 (d. 3).
— błyskawic bez grzmotów 1 (d. 3).
Wichrów było 1 (Z.).
Wiatrów mocnych 4 (4 Z.).
Wiatr panujący: zachodni.

Wrzesień r. b. z początku i w końcu był niepogodny, wilgotny i słotny, w środku suchy, pogodny, lecz chłodny; w ogóle o pół stopnia R. chłodniejszy niż zwykle. Piętnaście dni od d. 10 do 15 to jest od pierwszéj do ostatniéj kwadry księżyca, były suche i ani razu dészcz w ciągu tych dni nie padał. Najcieplejsze dni były: d. 1, 2, 3, 8, 9, 10, 23, 24; najchłodniejsze d. 12, 15, 18, 28. Dwa dni 23 i 24 były tak gorące jak w środku lata; po południu w tych dniach ciepło dochodziło przeszło 20 stopni R. Wiatry północne między d. 10 i 20 często wiejące, znacznie oziębiały powietrze. W stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest 6,8 : 10,9 : 12,3; w r. b. stosunek tychże dni jest 8 : 5 : 17, co pokazuje iż wrzesień r. b. był mniéj pogodny jak zwykle.

D. 2, 3, 4, 5, 6, 10, 12, 13, 14, 22, 23 pokazywały się plamy na słońcu.
D. 27 między 5 a 6 wiecz. widziano świetną tęczę podwójną.

WIDZENIE.

(Z PODAŃ LUDOWYCH).

Matka.

Z nieba do czyśca spadzistą drogą,
Schodziłam zwolna niepewną nogą.

Tam, koło płota stawa tęsknota;
Każda duszyczka, istna sierota:
Oczy przymknięte, usta się zwarły.
Te, co już bardzo dawno pomarły,
Czasem na chwilę błysną uśmiechem,
I zaraz, jakby uśmiech był grzechem,
Ciemnieją lica, chylą się głowy,
I rozchodzą się biédne niemowy.

Dokoła pustka, gdzie zwrócisz oko,
Wszędzie jak zajrzeć, długo, szeroko;
Żadna się trawka z ziemi nie puszcza,
Gruda i gruda, pochmurna puszcza!
Po polu wicher przeciąga suchy,
W którego zimnie drżą biédne duchy.

Córka.

To te duszyczki, proszę ja matki,
Nie mają swojéj na zimę chatki,
Ani przykrycia, ani odzieży,
I to tak wszystko na słocie leży?

Matka.

O! mają one swoje poddasza,
Ogrody, chaty, takie jak nasza,
I takie wody, i takie pola:—
Ale im do nich wrócić niewola.

Córka.

Cóż one robią? czém się tam bawią?

Matka.

Chodzą po grudzie i nogi krwawią....
A inne proszą rzewnemi słowy,
Żeby im Bóg dał wieniec cierniowy.

I na ich prośby, w pochmurném polu,
Jawi się anioł cichego bolu,
Z koroną Zbawcy całego świata,
Z któréj kroplami święta krew zlata.

A na ten widok okrutnéj męki,
Żadna po wieniec nie wznosi ręki:
Ran Zbawiciela słodkich się boją,
I przed aniołem wyklęte stoją;
A potém jakby wróble spłoszone,
Lecą powietrzem w pole zamglone.

Córka.

To dla nich nigdy słońce nie świeci?

Matka.

Czasem maleńki promyczek zleci,
Gdy ludzie mówią Zdrowaś Marya:
Wtedy się słońce przez mgły przebija,
I smutne światło na ziemię sieje,
W którém gromada duchów się grzeje.

Córka.

Teraz co więcéj?

Matka.

O dziécię lube!
Szłam coraz daléj przeze mgły grube,
Gdzie bardziéj drżące i więcéj smutne
Siedzą w swych duchnach dusze pokutne.
Jakem tam przyszła i jaką drogą,
To tylko święci odgadnąć mogą!

Na jednéj skale stromėj, ponuréj,
Nad którą ciężkie płynęły chmury,
Siedziały dusze jedna przy drugiéj
Patrząc na puste żywota smugi.
Po owych smugach snuły się grzechy
W różnych postaciach, marne uciechy.
Tych nagich grzechów uśmiech nieczysty,
Sprawiał umarłym wstyd wiekuisty.

Córka.

A czyto one nie mają dłoni?
Czemuż z nich żadna się nie zasłoni?

Matka.

Nie moje dziecko: ręce duchowe
Są tak przejrzyste, jak kryształowe;
Więc choć się dusza widokiem brzydzi,
Choć się zasłania, to wszystko widzi.

Na brzegu czyśca nieszczęsne duchy
Wydały za mną jęk tęskny, głuchy;
Spojrzałam na nie: stały dokoła,
Schyliwszy na pierś schmurzone czoła.

„—Powiedzcie (rzekłam) co wam potrzeba?"

„—Miłości ludzi, i łaski nieba.
Rzeknij słóweczko w naszéj dolinie
Tam, wiész, gdzie woda przeczyście płynie".

I nie skończyły;—smutne wspomnienie
Podniosło piersi w jedno westchnienie,
I napełniło bujnemi łzami,
Że z wiatru spadły deszczu kroplami.

Córka.

Ach Boże! Boże! Powiedzcie daléj
Czyście i dziatki w czyścu spotkali?
Dzieci to prosto do nieba wchodzą:
Złego nie robią, ludziom nie szkodzą!

Matka.

Były i dzieci. Przy końcu drogi
Gdy mi znużone ustały nogi,
Szłam sobie spocząć na małe wzgórze;
Aż tu nademną jak błyśnie w chmurze,
A słowo! rzekłam, cóż się-ta dzieje:
Włosy się jeżą, serce truchleje,
Deszcz gwiazd złocistych w oczach mi świeci;
Myślałam w trwodze, że niebo zleci!

I znowu ciemno: ażci po chwili
Słyszę, że małe dzieciątko kwili:
Jedno i drugie, i coraz więcéj,
Wzmaga się przy mnie ten płacz dziecięcy!
Jezu najdroższy! cóżto za głosy
Rozdzierające, płyną w niebiosy?
Żal mnie ogarnął, w oczach się źćmiło!

Córka.

Matulu moja, i cóż to było?

Matka.

Byłyto dzieci zmarłe przedwcześnie,
Co się skarżyły bardzo boleśnie,
Że im świętego chrztu strumień chłodny,
Nie obmył z duszy grzech pierworodny.
Boso, w koszulkach, zmęczone całe,
Leciały ku mnie kochanki małe;
A ja nad niemi, wedle zwyczaju,
Żeby już sobie poszły do raju,
Zrobiłam krzyżyk ręką życzliwą:

„—Idźcie dziateczki w drogę szczęśliwą!
Ja was chrzczę w Imię Ojca i Syna".

Ledwiem skończyła, każda dziecina
Wznosi się zwolna w ciche powietrze.
Prześliczne duszki od puchu letsze
Wzlatują w górę, i nad mą głową
Wiszą plecionką złotą, różową!
Im wyżéj lecą tém nieznaczniejsze,
Coraz to mniejsze, coraz to mniejsze:
Jeszcze znać słodki uśmiech aniołków
I lekką odzież barwy fijołków;
Wreszcie znikają jak krople rosy,
I nic już nie ma, tylko niebiosy.

Tak przez tych dzieci kryształne ciała
W czyścu raz jeszcze niebo-m widziała:
Jak przez zasłonę wysoko, w górze,
Wyraźnie Jezus jaśniał w lazurze,
A z dłoni jego padał blask błogi
Na cienie, co mu biegły pod nogi.

Potém szłam daléj mówiąc koronki,
Przez jakieś zgniłe, cuchnące łąki,
Po białych liliach, co ślicznie wzrosły,
Smukłe łodygi ku niebu niosły;
I jużby pewnie jak chmurki srebrne,
Splatały świetne wieńce podniebne,
Gdyby im szatan w śnieżne kielichy
Nie wsączył jadu złości i pychy.

Przedemną wdali niebo ciemniało:
Tam nieustannie błyskało, grzmiało.
W powietrzu dziwne słyszałam kłótnie;
A co mi dawniéj bywało smutnie,

Teraz się bałam iść w ową stronę
Pod te obłoki, pod zapalone.

Córka.

Żebyście téżto powiedzieć chcieli:
Coście najpierwéj w piekle widzieli?

Matka.

Widziałam najpierw jednę rodzinę,
Co przechodziła smutną dolinę.
Płakali razem, nędzę współczuli,
A jedni drugich pod serce kłuli!

Ach! jakie zbrodnie! skończenie świata!
Żona na męża, siostra na brata,
Matka na syna, a syn na ojca,
Jeży się, ślini, rzuca jak zbójca.

Na boku wielka duchów gromada
Schylona niby pod krzyżem pada,
I niby ręce wznosi w pokorze:—
Lecz jako ognie świécą się noże.

Chciałam się schylić po kwiatek złoty,
Co rósł na smugu wdzięcznemi sploty;
Wyciągam rękę chciwa zdobyczy,
A kwiat łeb w górę wznosi i syczy!

Wszystko zniszczone, wszystko się wali,
Trzeszczy, zapada, gnije i pali;
A pod gniewliwych niebios zasłoną
Świéci zła gwiazda miotłą czerwoną.

Córka.

Jak téż wygląda szatan przeklęty?

Matka.

Czasem jak szatan, czasem jak święty:
Raz obrzydliwy lot nietoperza
Jak sieć pajęczą na świat rozszerza;
To znowu jakby okryty zorzą
Udaje piękność i mądrość Bożą!

Córka.

Mateńko moja, ja aż się boję,
Gdy powiadacie wędrówkę swoję.
To w piekle żadnéj nie ma jasności,
Ani spoczynku, ani radości?

Matka.

Widziałam jasność: tak się świeciło,
Jakby się w nocy miasto paliło.
I radość także słyszałam wściekłą!

Jednego razu śmiało się piekło
Gdy pani panu truciznę wlała,
W pięknym ogródku go pochowała,
Nasiała liści, rutki, i maku,
By po téj zbrodni nie było znaku (1)!

Drugi raz piekło śmiechem wybuchło,
Kiedy śpiewanie w kościołku zgłuchło.
Trzeci raz otchłań śmiechem zawrzasła,
Gdy miłość Boga w sercach zagasła.

Na strasznem łożu jest i spoczynek,
Na smugu zwiędłych niezapominek.
Tam w jedném miejscu, Boże mój, Boże!
Widziałam owe Madeja łoże;
Na niém śpi zbrodzień z czerwoną brodą
Cały oblany śmiertelną wodą.
Wąż opasuje spodlone czoło
Zwinąwszy ogon w złociste koło:
Nikczemną duszę kłębami ściska,
Z oczu łzy kapią, jak ze źródliska!
Z pod łoża jakby drzewa wyrosły
Płomienie, złote języki wzniosły,
Targane wichrów szalonych falą,
Jak ognie iskry sypią i palą.

Pod temi drzewy, pod płomiennemi,
Przy łożu zbójcy, siedzą na ziemi
I dużo istot, co niegdyś skrycie
Zatruły młode, niewinne życie.
Tam ja widziałam twarze fałszywe,
Oczy śmiejące, uśmiechy krzywe,
Spiekłe języki po pas wiszące,
Wężowém, czarném żądłem drgające.
Zdradzieckich palców węzeł skurczony,
Błyszczał się zdala krwawemi szpony.

Córka.

To pewnie Judasz, mateńko droga,
Leżał na łożu, co wydał Boga?

(1) Zwrot do znanych pieśni ludu naszego.

Matka.

Nie, moje dziecko. Jezus kochany
Zszedłszy do piekła targać kajdany,
Ujrzał Judasza jak stał na boku,
Z śliną na brodzie, ze zdradą w oku.
Najwyższa Miłość litością zdjęta,
Najpierwéj z wroga zerwała pęta.
Ten, co zwyciężył piekła cierpieniem,
Powlókł po zdrajcy smutném spojrzeniem,
I żadnéj męki, żadnéj katuszy
Nie raczył zadać téj marnéj duszy:
Zostawił tylko pamięć żywota,
I zrosły z ręką, sak pełny złota.

Któż wszystkie nędzy piekła wypowie?.....
Owe łzy sierot, przekleństwa wdowie
I klątwy matek! O! niech Bóg broni!
Widziałam w jednéj strasznéj ustroni
Jak pokurczone zbrodniarzy ciała,
Jedna sieroca łza pobijała;
A klątwy matek, jak trąby brzmienie
Wstrząsały całe piekieł przestrzenie.....

Na brzegu piekła jeszczem widziała,
Przy ciemnych grobach leżące ciała,
Które z wnętrzności ziemia wyrzuca!
Ten widok srodze serce zasmuca
Na myśl, jak człowiek siebie zohydzi,
Że aż nim martwa ziemia się brzydzi!...

Córka.

Matulu moja! czy owe duchy
Nie mają żadnéj w świecie otuchy?

Matka.

O! mają one jednę nadzieje:
Że się rąk ludzkich praca rozwieje,
I że na ziemi, jak próżna mara,
Zniknie nadzieja, miłość i wiara.

Przeklęte piekło, na wszystko w świecie
Wściekły jad rzuca, obelgi miecie.
Brzydząc się cichą pracą człowieka,
Tłuszcza piekielna wciąż jeno szczeka.
A ci co w piekle latają w górze,
Sieją wichrami, by zbierać burze!

Wszystko inaczéj, wszystko odwrotnie:
Przez te otchłanie trza iść samotnie,
Bo każde podłe, zdradliwe ramie,
Bo każdy uśmiech, serce ci złamie.

Póki mi życia na świecie starczy,
Wrzask, którym piekło bezdenne warczy
Będę słyszała; słowa bezczelne
I te postaci złe, nieśmiertelne,
Co leżą nago na ziemi tłumnie,
W pamięci będą krzywić się ku mnie.

* * *

Tak przeszłam drogę, smutno, bolcśnie.
Naraz przeglądam, czy jeszcze nie śnię?
Wkoło mnie ludzie: ci trumnę niosą,
Inni oblani rzewną łez rosą.
Dziad przy mych nogach mówi pacierze,
A ty kochanko, modlisz się szczerze,
I patrzysz na mnie z taką miłością,
Że zapukało serce radością!

* * *

Zniknęło z oczu marzenie senne
I jakieś światło, ciche, promienne
Wstąpiło we mnie jak biała zorza,
Jak czysta miłość, jak łaska Boża.

Spojrzałem w okno: to samo sioło,
Siwy dąb schyla stuletnie czoło,
Woda się świeci jak srébrna łuska,
Kilkoro dzieci w stawie się pluska.
I znowu jestem na swojéj ziemi,
W chatce, pomiędzy ludźmi dobremi.

* * *

Wiem ja, dziecino, moję godzinę,
I wiem, że z łaski Bożéj nie zginę:
Więc mnie nie płaczcie w skonania chwili,
Ani żałujcie, o moi mili!
Jeno mnie płachtą okryjcie białą,
Potém do trumny położcie ciało,
A potém bracia, krewni, rodzina,
Niech zaśpiewają *Salve Regina*!

L.

PAMIĘTNIK
O TOMASZU ZAMOJSKIM
KANCLERZU W. KOR.

UŁOŻONY PRZEZ

Seweryna Gołębiowskiego.

(Dokończenie).

W 1628 powracając z Prabut Zamojski wstąpił do Warszawy, zabawił trzy dni przy dworze i puścił się w dalszą drogę; w Zamościu stanął 6 września. W téj drodze zachorował Jan Swieżyński, porucznik hussarski; chorego odwieźli z Prabut do Torunia, tam umarł, a ciało sprowadzono do Zamościa, gdzie pogrzeb odbył się z wielką okazałością, na którym znajdował się Zamojski z całym dworem.

Nastąpił sejm dwu-niedzielny w Warszawie, na który Zamojski przybył z osobną komitywą. Spodziewając się że otrzyma pieczęć mniejszą, wielu panów wysłało naprzeciw niemu swoje dwory, mianowicie Wężyk arcybiskup gnieźnieński, i bracia Łubieńscy biskupi kujawski i płocki; więc dworno wjechał do gospody (w rynku u Orlemusa). Jakoż na sejmie król dał pieczęć wielką Zadzikowi, a mniejszą Zamojskiemu, 13 lipca, przez ręce Łukasza Opalińskiego marszałka w. kor. Winszowano mu z wielkim aplauzem, niemal wszyscy senatorowie odprowadzali go do gospody. We dwa albo we trzy dni potém

nową łaską od króla został zaszczycony: otrzymał starostwo jeneralne krakowskie, wakujące po śmierci Tarnowskiego (1).

4 września przybył do Zamościa, 22 listopada wjechał na starostwo krakowskie. Już wtedy chorował na podagrę i nie mógł stąpić o swojéj mocy; w drodze noszono go na krześle, jako jeno z Kraśnika wyjechał, aż do ostatniego noclegu pod Krakowem. Z Krakowa na jego spotkanie wyjechały dwory panów i niemało obywatelstwa, prowadząc nowego starostę na zamek. W rynku wysiadł z karety i kazał się zanieść do kościoła N. Panny. Po modlitwie, z podziwieniem obecnych, wstał o swojéj mocy i chodzić zaczął, niedając żadnego znaku bolu: wsiadł na konia, a potém na zamku u grobu św. Stanisława powinne Bogu dzięki oddawał. Tego dnia bankietował urzędników ziemskich i obywateli, nazajutrz roki sądził. Spraw nazbierało się siła, bo przeszły starosta miał taki zwyczaj, że na jutro odkładał, i tak przez dwa lata spraw nie sądził.

Przez całą zimę ($16^{29}/_{30}$) dokuczała Zamojskiemu podagra: więcéj był chory jak zdrów; jednak urząd podkanclerzego z wielką gorliwością odprawował. Jechał więc do Torunia, ale pod Sochaczewem spotkał króla wracającego do Warszawy, z powodu szerzenia się powietrza w Prusiech. Zmieszkał przy królu czas niemały, i wybierał się do Krakowa dla sądzenia roków, ale król wstrzymał go od téj drogi, bo właśnie wtedy kanclerz Zadzik w Prusiech pilnował traktatów, i nie zostałoby żadnego pieczętarza przy boku królewskim.

Kommissarze zawarli rozejm z Gustawem do lat sześciu. Nastąpił potém sejm dwu-niedzielny, bardzo niebezpieczny z powodu szerzącego się powietrza; Zamojski na nim był obecny. Poseł angielski Tomasz Rhe, który był pośrednikiem przy zawarciu rozejmu, zjechał na ten sejm do Warszawy; Zamojski przyjmował go wspaniale, odwdzięczając uprzejmość doznaną niegdyś na dworze angielskim: ofiarował mu w upominku kosztowny klejnot, i konia tureckiego z bogatym rzędem.

Kiedy odjeżdżał z Warszawy ku domowi, w Milanowie zaszła go wiadomość o śmierci Alexandra księcia Zasławskiego wojewody kijowskiego. Zamojski wiedząc jakiego człowieka

(1) Tomasz Zamojski był starostą krakowskim, knyszyńskim, sokalskim, rabsztyńskim, nowotarskim i kałuskim. Sokalskim starostą został w 1631, nowotarskim w 1633, kałuskim w 1636.

to miejsce pograniczne potrzebuje, dla obrony od Tatarów i powściągnienia swawoli kozackiéj, z Milanowa powrócił do Warszawy, i proponował królowi sługę swego Stefana Chmieleckiego chorążego bracławskiego, człowieka bogobojnego, trzeźwego, poważnego, a przedewszystkiém biegłego w dziele rycerskiém. Namyślał się król przez dni kilka, a już wielu zaczęło się starać o wakujące województwo. Odradzali królowi zazdrośni dobréj sławy, która wyrasta z zasług osobistych; mieli za sobą racyą niepoślednią, że nieprzystoi aby krzesła senatorskie słudzy panów zasiadali; ale Zamojski gorącemi prośbami wspierał cnotę i zasługi Chmieleckiego, przypominał zwycięztwo pod Tarnopolem, pod Białącerkwią, i świéżo w listopadzie 1629 odniesione pod Bursztynem, gdy Kantemira z wielkiemi ordami rozgromił. Za jego przyczyną król nadał województwo Chmieleckiemu, który o tém nie wiedział i nie spodziewał się tego, gdyż na Ukrainie granic państwa broniąc a pokoju pospolitego przestrzegając, nie myślał o zaszczytach. Zamojski nie pierwéj odjechał aż król przywilej podpisał; zatém wziął przywilej i uniżenie podziękował królowi, który serce swoje ku zasłużonemu mężowi przychylił. Rzecz ta wywołała między ludźmi rozmaite sądy: jedni ganili Zamojskiego, drudzy przyznawali mu wielką cnotę, że swojego sługę, dobrze zasłużonego krajowi, na tém miejscu w senacie posadził, na którém sam niedawno zasiadał.

Z pogromu wojska tatarskiego pod Bursztynem, zabłąkał się Islam Giraj sołtan, który potém został w ordzie kałgajem, w Polsce z Chmielnickim wojował a został schwytany przez żołnierzy Lubomirskiego wojewody ruskiego. Ten więzień siedział pod strażą we dworze Hermolausa Ligęzy podskarbiego kor. Zamojski, którego gospoda niedaleko była od tego dworu, często więźnia do siebie zapraszał, a że sam po turecku umiał, rozmawiał z nim wiele to o sprawach wojennych, to o kraju rodzinnym, to go cieszył łagodnemi słowy, u stołu blizko siebie sadzał, i tak go zobowiązał że sołtan prosił króla, żeby go pod straż oddał Zamojskiemu. A gdy król go zapytał, z jakiego powodu nie chce być przy panu podskarbim, krótko odpowiedział: „bo Ligęza na wojnie nie bywał"; chcąc przez to pokazać, że kto sam nie doznał przeciwnego losu, ten dla drugich nie umié być wyrozumiałym. Wprawdzie nie stało się według jego życzenia, ale odtąd więcéj zwracano na niego uwagi. A nim Zamojski

z Warszawy wyjechał, prosił króla, żeby sołtanowi dodano sługę tatarzyna, który w téjże bitwie został wzięty w niewolę i siedział w okowach; za tę przysługę sołtan Zamojskiemu wielce dziękował.

Powróciwszy do Zamościa posłał do Chmieleckiego, prosząc, żeby go odwiedził; więc przyjechał ze swoją żoną i z dwoma synami, Łukaszem i Adamem; a chociaż nie miał jeszcze żadnego oznajmienia o łasce królewskiéj, jednak wiedział już o tém z powieści, i przystojnie ze słuszném towarzystwem przyjechał do Zamościa. Zamojski posłał zaraz po niego, żeby się nie bawił, bo już czas obiadu następował. Tego dnia nic mu nie powiedział, dopiéro nazajutrz, po mszy wielkiéj, w obec zebranych gości oddał mu przywilej przez ręce Piotra Oleśnickiego sekretarza królewskiego. Potém wesele wyprawił słudze swemu Borowskiemu; chociaż chory był na ślubie, i u stołu pana Chmieleckiego już nie jak sługę swego, ale jak senatora wyżéj od siebie sadzał, ciesząc się z nim ile mu zdrowie pozwalało. Chmielecki kilka dni w Zamościu zabawił, a potém miał do króla jechać dla podziękowania za okazaną sobie łaskę; ale że niebezpieczeństwo groziło od Tatarów, dawszy pokój dworowi pojechał do Nowego Międzyboża, gdzie niebezpiecznie zachorował.

Do Zamościa w gościnę przybyło towarzystwo zpod chorągwi kwarcianej Zamojskiego, która miała stanowisko w Bełzie; gościnnie ich przyjął i utraktował. A że miał zjazd z panią Chodkiewiczową wojewodziną wileńską, rodzoną siostrą swojéj żony, umówiony na dzień 15 lutego 1630 w Łucku, dla załatwienia niektórych spraw przed aktami; nie folgując zdrowiu wyjechał z domu i przed wieczorem stanął w Oryszowie Ruskim w domu pana Oryszowskiego, gdzie całą noc chorował. Nazajutrz miał się gorzéj, trzeciego dnia bardzo źle; więc wrócił do Zamościa. Sprowadzono ze Lwowa sławnych lekarzy: Erazma Syksta i Kliszewskiego, którzy radę złożyli i kilka dni przy nim zmieszkali.

20 lutego równocześnie przyniesiono od króla przywiléj dla Chmieleckiego na starostwo owruckie, i z Ukrainy żałosną wiadomość o jego śmierci. Wrzód w garle sprowadził go ze świata. Zamojski wielce go żałował, księżom i ubogim rozdał jałmużny za jego duszę, a do króla wstawił się za jego synami,

Łukaszem i Adamem; zatém król zachował ich przy Taborowie z inszemi wsiami w województwie kijowskiem.

W marcu jeździł do Jarosławia tentując o zgodę ze swoim szwagrem Lubomirskim wojewodą krakowskim, w sprawie o dobra jarosławskie; nie przyszło do skutku z rozmaitych powodów. Potém z Zamościa zaraz po Wielkanocy udał się do Krakowa na sądy, i szóstego dnia wszystkie sprawy odsądził. Z Krakowa wspólnie z jéjmością jeździł do Częstochowy, a wracając do domu sprowadzili do Krzeszowa dzieci, i razem z niemi pojechali do Leżajska, gdzie wysłuchawszy nabożeństwa przed obrazem Bogarodzicy, siebie i dziatki poruczali boskiéj opiece. Powróciwszy do domu Zamojski z podróżnych niewczasów wpadł w chorobę, i przez kilka tygodni cierpiał bole podagryczne. Przez lato bawił w Zamościu, a gdy król przed powietrzem morowém miał zamiar wyjechać z Warszawy, Zamojski ofiarował mu na mieszkanie Zamość albo Knyszyn. Król wdzięcznie przyjął jego chęci, ale nie zgodził się na Zamość, a królowa bała się knyszyńskiego zamku dla jakichś strachów, i tak powiedziała: „Choćby mnie brat mój rodzony cesarz J. M. zapraszał na noc do knyszyńskiego zamku, tobym tam nie nocowała" (1). Zatém oboje z całym dworem wyjechali do Tykocina; Zamojski także tam się udał, a mieszkając w folwarku pod Knyszynem, ledwie nie codzień u króla bywał, królewicza i senatorów przy boku królewskim bawiących, jak księdza Zadzika kanclerza koronnego, Łukasza Opalińskiego marszałka w. kor., Wiesiołowskiego marszałka nad. lit., Denhofa wojewodę dorpackiego, wspaniale u siebie traktował. Przez cały adwent bawił w tym folwarku więcéj choro jak zdrowo; na wilią sprowadził się do Tykocina, i tam przy królu mieszkał, aż do wyjazdu na sejm złożony w Warszawie.

Sejm zaczął się 29 stycznia 1631. Posłowie ziemscy z marszałkiem swoim przyszli powitać króla; Zamojski odpowiedział na ich przemowę, propozycyą od tronu miał ksiądz Zadzik. Po sejmie wrócił do Zamościa, wkrótce jednak wyjechał do Krakowa na sądy. Za radą lekarzy udał się do Egru, do cieplic w Czechach, i strawił tam na lekach sześć miesięcy. Niewiele czuł poprawy w zdrowiu po tych wodach egierskich.

(1) Jakub Zadzik kanclerz kor. do Tomasza Zamojskiego, 26 września 1630.

Z powinności swojéj senatorskiéj przybył na sejm trzyniedzielny, który się zaczął 11 marca 1632, a skończył zgodnie 3 kwietnia o 11 godzinie w nocy. Wielkanoc przepędził w Warszawie, aż też król Zygmunt z melancholii po śmierci żony, a po części też z saméj starości chorować zaczął. Niegodziło się pod taki czas odjeżdżać do domu, więc Zamojski pilnował usługi i zdrowia królewskiego; a gdy postrzegł znaki blizkiéj śmierci, wyprawił do Jana Wężyka jako do prymasa, żeby czém prędzéj przyjeżdżał, bo już królowi mowę zamknęło; było to 28 kwietnia. Więc na drugi dzień pozwolony był przystęp ludziom wszelkiego stanu do całowania ręki królewskiéj; wszystko co żyje szło do królewskiego łoża na ostatnie z nim pożegnanie, i trwało to dzień cały. 30 kwietnia 1632 Zygmunt III Bogu ducha oddał.

Po śmierci króla Zamojski kilkanaście dni w Warszawie zabawił, znosząc się z królewiczami i z prymasem o sprawach pospolitych. Bezpieczeństwo Krakowa własnemi ludźmi opatrzył, straż zamku powierzył Janowi Komorowskiemu podstarościemu, tudzież sługom swoim zaufanym, Andrzejowi Drwalewskiemu i Danielowi Falibowskiemu, to im przykazawszy, żeby nikogo na zamek nie puszczali; co też oni pilnie wykonali, bo nie puścili nawet panów obywateli ziemskich, którzy się zebrali na sądy kapturowe i chcieli je w zamku odprawować; przez to wywołali wielkie oburzenie i niechęć przeciwko sobie, i przeciwko panu u wszystkiego województwa.

Prymas porozumiawszy się z senatorami naznaczył konwokacyą na dzień 22 czerwca. Na konwokacyi postanowiono, że elekcya ma się odbyć 17 września pod Warszawą.

Zamojski sposobił ludzi wojennych, zaciągnął hussarzów 150, nad któremi rząd powierzył Pawłowi Złotowskiemu, ze sług ukraińskich i wołyńskich miał hussarzy 150, któremi dowodził Jan Dzik chorąży bracławski, petyhorców 200, którzy zwykli poczty hussarskie osadzać, dragonów koni sto, kozaków młodzieży koni sto, piechoty służałéj ludzi 200, piechoty z dóbr trybem niemieckim wyćwiczonéj 800. Przytém przyjacioł i sąsiadów z ziemi bełzkiéj i chełmskiéj miał z sobą osób 30. Taką tedy zebrawszy gromadę ruszył z Zamościa 9 października, do Warszawy przybył 16, wprost pojechał na zamek konno z przyjaciołmi i sługami, nawiedził ciała królewskie, bo i królowa nie była jeszcze pochowana, powitał królewicza i udał się

do swojego dworu. Ludzi wojennych rozłożył blizko Warszawy w Czerniakowie i w Milanowie, przy sobie zostawił 200 piechoty, kozaków i dragonów.

Przez cały czas elekcyi jeździł do koła w pole. Elekcya ciągnęła się kilka tygodni; 8 listopada 1632 zgodnie obrano Władysława. Przed nowo obranym królem Zamojski popisywał się ze swoją piechotą, która przed królem wykonywała obroty i robiła bronią.

Powrócił do domu, żeby się przysposobić na sejm koronacyjny. Wtém odebrał wiadomość o śmierci Gustawa Adolfa pod Lucen, która nastąpiła 16 listopada 1632. Za to dobrodziejstwo kazał Bogu dzięki publiczne złożyć w kościele farnym. Tegoż dnia (15 grudnia) otrzymał wiadomość o nastąpieniu wojska carskiego na Smoleńsk, na którym zamknął się Gosiewski wojewoda smoleński w 1300 ludzi.

W styczniu 1633 Zamojski przybył do Krakowa na sejm koronacyjny (1). Król odbył wjazd 3 lutego. Nazajutrz wprowadzone zostały ciała królewskie i pochowane w kościele ś. Stanisława. Zamojski chociaż chory, z wielką przykrością i utrudzeniem szedł piechotą od Floryańskiéj bramy aż na zamek, na ramionach sług niekiedy odpoczywając. W kościele też statecznie trwał podczas pogrzebu, po śmierci jak za żywota oświadczając królowi uprzejmą wiarę.

Koronacya odbyła się 6 lutego; 7 król hołd od miasta przyjmował. Po królewsku się ubrawszy zasiadł w rynku na majestacie, senatorowie też swoje krzesła zasiedli. Magistrat ofiarował królowi klucze pozłociste na pozłocistéj tacy, i kubki w których było około tysiąca dukatów. Na przemowę odpowiedział Zamojski, klucze królowi oddał, a tacę sobie zatrzymał; taki bowiem był zwyczaj, że taca i kubki dostawały się temu, co na mowę odpowiadał (2).

Posłowie ziemscy zgodnym głosem obrali marszałkiem izby poselskiej Mikołaja Ostroroga wojewodzica poznańskiego. 8 lutego piérwszy raz król zasiadł w senacie; Ostroróg go powitał, Zamojski od króla podziękował. 9 lutego podał propozy-

(1) 10 stycznia 1633 Władysław pisał do Tomasza Zamojskiego z Warszawy, prosząc żeby go wymawiał przed drugimi. że nie może przybyć na czas od stanów naznaczony na pogrzeb i na koronacyą.

(2) Pamiętniki Albrychta Stanisława Radziwiłła.

cyą ksiądz Zadzik kanclerz kor. 12go uśmierzone zostało za wdaniem się królewskiém i staraniem przyjaciół nieporozumienie domowe, między Anną z Sztemberku Ostrogską wojewodziną wołyńską i Stanisławem Lubomirskim, a Tomaszem Zamojskim. Obadwaj panowie pojednali się z sobą. 17 lutego sejm został zamknięty, a posłowie króla pożegnali.

Wakowała kasztelania krakowska, która była nadana i przywilejem potwierdzona Zamojskiemu jeszcze przez nieboszczyka króla; lecz on nie chciał ustępować pieczęci, woląc służyć krajowi na urzędzie, niż zasiadać na pierwszém miejscu w senacie; więc i teraz wymówił się królowi od przyjęcia téj godności (1).

Zamojski 30 marca powtórzył nowemu królowi przysięgę na starostwo krakowskie, potém sprawy sądził i przyjmował u siebie króla w kamienicy starościńskiéj. W końcu kwietnia wyjechał do Zamościa, a że często napastowały go bole podagryczne, postanowił zdrowie ratować, zaniechawszy na czas spraw publicznych. 20 sierpnia wyjechał do Włoch razem z żoną. W Lorecie zwiedzili miejsca święte; powrócił w grudniu z polepszoném zdrowiem. Pod niechętność jego w ojczyznie, gdy Tatarzy wpadli w granice, gromada ludzi żołnierskich z dóbr jego zaciągniętych, stanęła przy wojsku kwarcianém pod sprawą Stanisława Koniecpolskiego kasztelana krakowskiego, i mężnie czyniła przeciw nieprzyjacielowi (2).

Dziwnie to bolało Zamojskiego, że na wyprawie pod Smoleńskiem nie mógł być przy boku królewskim; chciał posłać pewien poczet ludzi, i już się koło tego pilnie krzątano, kiedy Pan Bóg sam szczęśliwie tę wojnę zakończył.

Cesarz turecki Amurat za radą Abazego paszy wojną Polsce zagroził. Na posłuchaniu które dał Alexandrowi Trzebińskiemu podkomorzemu lwowskiemu, szablę do wpół wydobył i łbem dumnie trząsnął, powiadając, że zniesie królestwo polskie. Otrzymawszy o tém sprawę, król wracając z pod Smoleńska w 1634 r. krótki sejm w Warszawie złożył, i sam spiesznie udał się do Lwowa razem z braćmi, Janem Kazimierzem i Alexandrem. Widząc w Polsce gotowość do boju, Amurat zmienił zdanie: Abazego kazał udusić, a Murtazie paszy polecił trak-

(1) Pamiętniki Albrychta Stanisława Radziwiłła.

(2) Władysław IV do Tomasza Zamojskiego 23 grudnia 1633, i 7 marca 1634.

tować o pokój. Król wracając ze Lwowa, przyjął gościnę u Zamojskiego i polował z nim we zwierzyńcu.

Osłabiony bolami podagrycznemi, na łóżku niemal całą zimę przeleżał; wstał jednak dla dopełnienia ślubu, i wyjechał do Częstochowy 12 kwietnia 1635. Udał się potém na pogrzeb królewicza Albrychta biskupa krakowskiego, a zachorowawszy niebezpiecznie, 13 maja wyjechał z Krakowa do Zamościa.

Król bardzo sobie życzył żeby w Prusiech Zamojskiego miał przy swoim boku. Wojsko było znacznie powiększone, miał też cesarskich ludzi, ale biedził się z myślami, komuby ster rzeczy poruczyć, gdy do wojny albo do traktatów ze Szwedami przyjdzie. W kanclerzu Zadziku nie miał wielkiego zaufania; to też lubo drugich kommissarzów naznaczył, wstrzymywał się z mianowaniem piérwszego kommissarza. I kiedy sekretarz, Stanisław Pstrokoński, list od Zamojskiego odebrał, król zapytawszy o jego zdrowiu, te słowa dodał: „Dałbym wiele, żebym go mógł miéć z sobą w Prusiech; nie wygadza mi pan ociec jego (na kanclerza przymówka), trzebaby tam innéj głowy (1)". Nikogo z senatorów zaciągać z sobą nie kazał, oprócz Zamojskiego, rozumiejąc, że będzie miał z niego dosyć pomocy tak do prowadzenia wojny, jak do zawarcia pokoju. Wziąwszy sprawę o jego niesposobném zdrowiu, kazał list do niego napisać, że chociaż wielce go potrzebuje nie chce jednak, żeby gwałt zadawał swojemu zdrowiu, jedno żeby starał się o jego poratowanie; tém gorącéj, że takich jak on ludzi, w tak trudnych czasach ojczyzna potrzebuje (2). Zamojski niemogąc stawić się osobiście, znaczną summę posłał królowi na wystawienie floty (3).

W 1635 były dwa sejmy: na piérwszym nie był dla słabości zdrowia, na drugi przyjechał, kiedy król z Prus powrócił szczęśliwie, postanowiwszy pokój ze Szwedami na lat 26. Na tym sejmie za postąpieniem księdza Zadzika na biskupstwo krakowskie, Zamojski otrzymał pieczęć w. koronną, 30 listopada 1635, w zgromadzeniu senatu. Siedział król na tronie, a marszałek nadworny kor. piękną wymową aż pod niebiosa wynosił godność kanclerską. Zamojski przystąpił do tronu i z rąk

(1) Stan. Pstrokoński do Tom. Zamojskiego 6 czerwca 1635.
(2) Przemysław Rudnicki do Tomasza Zamojskiego, bez daty.
(3) Władysław IV do Tomasza Zamojskiego 3 sierpnia 1635; Stanisław Pstrokoński do Tomasza Zamojskiego 3 sierpnia 1635.

królewskich wziąwszy pieczęć, nogi królewskie ścisnął, potém z miejsca swojego dziękował, i znowu przystąpiwszy do tronu oddał pieczęć mniejszą i rękę królewską pocałował. 5go grudnia na radzie, nowy kanclerz ostro się oświadczył przeciw związkowi małżeńskiemu z heretyczką (1). Po zakończeniu sejmu powrócił do Zamościa i odbył pogrzeb Anny ze Sztemberku ks. Ostrogskiéj, matki żony, 7 stycznia 1636 w Jarosławiu. Na sejm warszawski przybył chory, i ledwie nie upadł przy krześle królewskiém, odprawiając sejmową propozycyą, 21 stycznia 1637; król kazał mu podać stołek, żeby folgując sobie rzecz zaczętą kończył. Im daléj, tém bardziéj zapadał na zdrowiu, chociaż krzepił się i bywał w senacie. Król często go odwiedzał i lekarzy swoich do niego przysyłał. Chcąc mu dać dowód łaski, pozwolił na ustąpienie starostwa kałuskiego synowi, który nosił imię wielkiego Jana.

Po sejmie odjechał do Zamościa i cały rok chorował. Przewidując, że go czeka krótki żywot, o to się tylko starał, żeby jak najlepiéj mógł go dokonać, i o tém często rozmawiał z duchownymi, a mianowicie ze swoim spowiednikiem Bartłomiejem Sylwiuszem jezuitą. Testament często poprawiał, ludzi ukrzywdzonych nagradzał, kościoły w Raszkowie, w Jampolu i w innych słobodach budować kazał; do Zamościa sprowadził Franciszkanów i własnemi rękami kamień węgielny założył (2); szpitale w Równem, Krasnem i Tarnopolu fundował; żonę pilnie prosił, żeby po jego śmierci rozmaite pobożne nadania do skutku doprowadziła. Nie zapomniał i o akademii Zamojskiéj, którą wielce miłował. Bywało, kiedy w Zamościu mieszkał, rzadki był dzień, żeby u stołu nie było którego professora. Rektorowi sprawił togę aksamitną fioletową; akademii darował dwa berła pozłociste. Na lekcyach i dysputach często bywał i młodzieży sam kwestye zadawał. Ojcom Jezuitom naznaczył 70,000 złotych, żeby w Łotkowcach albo w Skinderpolu na Ukrainie wybudowali skromny kościół, i żeby prowadzili lud do jedności w wierze.

Rozporządziwszy dom należycie, przygotowany na śmierć jak przystało dobremu chrześcianinowi, Bogu ducha oddał 8 stycznia 1638, z nieutulonym żalem żony i dzieci. Zostawił

(1) Pamiętniki Albrychta Stanisława Radziwiłła.
(2) 13 czerwca 1637.

dwie córki: Gryzeldę Konstancyą lat 15, Joannę Barbarę lat 14, i syna Jana w roku 11tym. Pogrzeb odbył się w Zamościu 6 lutego; ciało pochowano w grobie rodzinnym w kollegiacie zamojskiéj (1).

LISTY

ZAŁĄCZONE DO PAMIĘTNIKA

O TOMASZU ZAMOJSKIM.

Jan, Jerzy i Andrzéj Drzewieccy do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Jan, Jerzy i Andrzej Drzewieccy, którzy wespół z Tomaszem Zamojskim pobierali nauki w akademii zamojskiéj, żałują wielce jego nieobecności i pocieszają się tą myślą, że jeszcze do akademii powróci. Wspominają o preceptorze Bodzeckim, który ich opuścił udając się do Tomasza Zamojskiego, a który był dla nich ojcem raczéj jak preceptorem. Wreszcie polecają służby swoje jego matce, prosząc, żeby ich z miłości przyjacielskiej nie raczyła wypuszczać. Z Zamościa, 25 lipca 1602.

(1) Pamiętnik o Tomaszu Zamojskim został ułożony z listów współczesnych i z życiorysu napisanego przez Stanisława Żurkowskiego, który był przy boku Tomasza Zamojskiego od 16 roku jego życia. Ten rękopism w dawniejszym odpisie, z którego 27 kart piérwszych i 69 środkowych jest wydartych, taki ma tytuł: Manuskrypt za życia j. w. j. m. pana Tomasza Zamojskiego kanclerza koronnego, korrespondencii publicznych i prywatnych, przez dworzanina jego pisany. Na drugiéj stronie: Diariusz Tomasza ordynata Zamojskiego kanclerza w. kor. od roku 1620 do r. 1638 przez dworzanina jego pisany. W późniejszym zaś odpisie: Życie nieśmiertelnéj pamięci j. w. j. m. p. Tomasza Zamojskiego kanclerza koronnego przez Stanisława Żurkowskiego, od roku 1609 do roku 1638 porządnie opisane.

Nadanie prawem dożywotniém wsi Piskorzewic.

(Z odpisu).

Andrzéj Sredziński żeniąc się z Anną Łaźnińską krewną hetmana, panną dworską jego żony, otrzymał nadanie prawem dożywotniém wsi Piskorzewic, należącéj do dóbr krzeszowskich w ziemi przemyskiéj, z zastrzeżeniem, że gdyby po jego śmierci Anna Łaźnińska weszła w powtórne śluby, traci dożywocie. Nadanie datowane w Zamościu 26 maja, 1605, nie było podpisane przez Jana Zamojskiego z powodu bolu ręki, a potém nagłej śmierci. Opiekunowie małoletniego Tomasza Zamojskiego, Jerzy Zamojski bis. chełmski, M. Zebrzydowski wda krakowski, Marek Sobieski wda lubelski i Stanisław Żółkiewski kaszt. lwowski, za zezwoleniem wdowy hetmańskiéj Barbary z Tarnowa, potwierdzili to nadanie w Zamościu 4 lipca 1605, jako zgodne z wolą zmarłego.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Najmilszy synu. Pana Boga za to chwalę, żem o twojém dobrém zdrowiu usłyszała. Temeś mię ucieszył, że Panu Bogu służysz, jako wiem żeś na święto Wniebowzięcia Panny Maryi przyjmował Pana Jezusa. Czyń to jako najczęściej na święta Panny Mariej, apostolskie i uroczyste, a miej w Bogu nadzieję, że ciebie nie opuści. O wczasie twym rada słyszę i to że nie tesnisz; dziękuję za to żeś tak baczny: głupim synom to przyzwoita tesznić do matek, a mądrych starać się o to, żeby matkę ucieszyć służąc Panu Bogu, ucząc się pilno nauk i obyczajów przystojnych. Z Krzeszowa, 18 sierpnia 1605.

Janusz Ostrogski kasztelan krakowski do Stanisława Tarnowskiego kasztelana sandomirskiego.

(Z odpisu).

Iż po Bogu nikt inszy okrom rodziców krzywdy dziatek swych dochodzić i domawiać się nie jest bliższym, tak pewnie w. m. m.

m. panu słusznie to pochwalono być musi, że tak znacznego ukrzywdzenia córki swej domawiać się będziesz. Jakoż i nas powinnych domu w. m. niepomału boleć i obchodzić musi, że tak wielkiego i znacznego domu Tarnowska w dom j. m. panów Zamojskich dana, na takowy potem contempt przychodzi. W tem piśmie w. m. m. m. pana do j. m. pana lwowskiego (1) nic zdrożnego nie baczę; i owszem toż mi się zda, aby byli niem wprzód ichmość upomnieni i t. d. W Częstocicach d. 21 augusti 1605.

W. m. uprzejmy siestrzeniec i sługa

Janusz książę Ostrogski kasztelan krakowski
ręką swą.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Z orginału).

Tomasiuńku! I z twego listu i z powieści Łaźnieckiej zrozumiałam o twem zdrowiu dobrem; dziękuję Panu Bogu za nie; nie zaniechawaj mi o niem oznajmować ileć się trafi. Jam zdrowa, miewam sam goście którym bywam rada, ojce barnadyny i siostry tegoż zakonu z Przyworska. List od j. m. pani lwowskiej (2) odsyłam ci nazad; dobrze napisany, i twój dobrze. Tatarów jeszcze się nie boję i nie gotuję się uciekać; czekam co dalej będzie. Panu Bogu cię poruczam. W Krzeszowie 2 września roku bożego 1605.

Matka twoja życzliwa
Barbara Zamojska z Tarnowa
ręką własną.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Posyłam ci parę obrazków na ołtarzyk, żebyś się nabożnie modlił. Pytaj się kiedy posyłają do Krakowa, żebyś kiedy do p. dziadka i p. babki napisał. Z Krzeszowa 29 lutego 1606.

(1) Stanisława Żółkiewskiego.
(2) Reginy Żółkiewskiéj.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Ucieszyłeś mnie tą twoją chęcią czytania o rzeczach potrzebnych do zbawienia, co aby ci tem lepiej smakowało, posyłam ci łacińskim językiem o naśladowaniu Pana Jezusa. Pomnij żeś najpierwszy ten wiersz łaciny umiał: „początek mądrości jest bojaźń Pańska.“ Prawda, że i wedle świata chcę cię mieć mądrym, ale i duchownie tem bardziej, bo to jest wieczne dobro. Relikwiarz od ojca prowincyała ojców jezuitów posyłam ci, i cztery obrazy tych błogosławionych ojców i odpusty ich; umiej te rzeczy poważać i kochać się w nich. Z Krzeszowa 22 maja 1607.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Powiedziano mi, że nie masz wina węgierskiego; posyłam ci puzderko i parę flaszek między niem piołunkowego; kiedybyś czuł jaką surowość żołądka, używaj go. Opiece boskiej cię poruczam. Z Krzeszowa 23 listopada 1607.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Z oryginału).

Mój namilszy synu.

Widzę, że cię Pan Bóg inakszym ma niż ludzie mieć chcą: czujesz i o sprawach swych i pono nie bez frasunku; ale to wiedz i tem się ciesz, że cię nic nie potka, jeno co Bóg dopuści. Sierotaś, cierpieć musisz; ale Bóg sprawiedliwy pomści się a tobie nagrodzi. Wiedz, że ociec ojca twego w małych majętnościach odumarł, a za błogosławieństwem bożem i cnotą do takich był przyszedł, jakie zostawił. Ja jechać i czynić co dobréj matce należy będę, Pana Boga biorąc na ratunek, którego opiece cię poruczam. 10 lutego roku 1608.

Matka życzliwa

Barbara Zamojska z Turnowa
ręką własną.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Dla ratunku spraw twych przyjechał tu j. m. pan wojewoda (1). Wesele kiedy bez twego kosztu i ucisku poddanych niech ci będzie wesołe. Pokazuj jegomości swoję uniżoność, a nie frasuj się: będzie da Bóg lepiéj z twemi rzeczami niż było dotąd. Jest to pan dobrego sumienia. Ichmość pannom wojewodzankom zaleć służby moje i j. m. panu staroście rubieszowskiemu (2). Ja da Pan Bóg na karpia postnego do ciebie przyjadę, mniéj oń dbam, ale dla twych spraw będę. Z Krzeszowa 14 lutego 1608.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu)

Jakom mięsopustowała, powieć ksiądz Wojciech; mieliśmy przenajświętszy sakrament na te trzy dni i czyniliśmy modlitwy za potrzeby korunne i swe domowe. Z Krzeszowa 20 lutego 1608.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Dla listu twego i Bogdan był wdzięcznie przyjęty; ja życzę, żeby był katolikiem i ochrzczony, i wierzę że go Pan Bóg przeznaczył do swej chwały, ale oto jeszcze poganinem wraca się do ciebie. Z Krzeszowa dnia 13 marca 1608.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Miłość moja macierzyńska ta jest, żebym pewnie widzeniem ciebie cieszyć się chciała; ale że zwłóczę bytność moję u ciebie, z tejże to miłości pochodzi. Cóżbym na świecie ra-

(1) Stanisław Żółkiewski wojewoda kijowski. (2) Janowi Żółkiewskiemu synowi Stanisława

da widziała, jeśli nie ciebie, jedynego cię mając. Niesłusznie mi przymawiasz o miłość macierzyńską; nie miał jej żaden syn dobry u dobrej matki więcéj nad cię: wié Pan Bóg przed którym często łzami się zalewam za cię. Z Krzeszowa 18 lipca 1608.

Jerzy Zamojski biskup chełmski do Barbary Zamojskiéj.

(Treść listu)

Jerzy Zamojski zaklina na wszystkie obowiązki Barbarę Zamojską, żeby nie wyjeżdżała z Zamościa aż tamci wyjadą, co rychło nastąpi, aby jeno pobrali te raty na które czekają. Widzi w. m. jak kręcą i przyczyn szukają z strony akademii i kościoła; księdza dziekanowa to robota: jeszcze za żywota nieboszczyka on coś zamyśliwał, ale mu nie poszło i nie pójdzie. Usprawiedliwia się że sam być nie może; pod przyjaźń kiedy się co mówiło, niemiło im bywało, pogotowiu teraz w zajątrzeniu. Nie byłby tak przezbożny, żeby się miał na mnie rzucać, ale za lada przyczyną, mógłby się kazać na którego z moich choć w mieście rzucić, więc tumult. Chwali postępek pana sendomirskiego (1), który życzliwie radzi o swym wnuku. 4 listopada 1608.

Barbara Zamojska do Sredzińskiego.

(Treść listu).

Wspomina o pogrzebie pani matki swojéj (2), który ma się odbyć we wtorek zapustny. Dwie rzeczy wstrzymały Barbarę Zamojską od towarzyszenia ciału ze Stobnicy do Wielowsi. Jedna, że jegomość (3) ciało piechotą prowadzić chce; mnie jakoby przystało jechać, a iśćbym nie mogła. Druga, że jeśli Tomasz ze mną ma jechać, tedyby mu pono nie pozwolili do Stobnicy. Pewien go widzę pan ociec z obietnice j. m. pana wojewody kijowskiego (4), a w Zamościu o tém nie myślą. Z Krzeszowa 9 lutego 1609.

(1) Stanisława Tarnowskiego. (2) Zofii z Ocieskich Tarnowskiéj (3) Stanisław Tarnowski. (4) Stanisława Żółkiewskiego.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Dwoje trudności teraz mam: i święta, i twe sprawy o których siła pisać muszę i do Moskwy i indzie. Wiedz o tém, że i Pana Boga za cię proszę i staram się o twe sprawy, gdzie należy nie opuszczam. Na święta nie mogę być u ciebie, alem ja jako zawdy z tobą, choć nie w Zamościu, mieszkam. Z Krzeszowa 28 marca 1610.

Tomasz Zamojski do Barbary Zamojskiej.

(Treść listu).

Pan wojewodzic (1) przyjachał tu w piątek wielki, wczora wyjachał; pokazał mi miłość i ja jemu, wedle woli w. m. Chce się uczyć ze mną, i preceptorów prosił, żeby mu czytali osobno co upuścił; nie wiem jeśli co będzie z tego. Pani wojewodzina kijowska (2) obesłała mię ruskim obrazkiem ś. Mikołaja; iż tu był ksiądz biskup, prosiłem, żeby go poświęcił i posyłam go w. m. rozumiejąc, że go w. m. z łaską przyjmiesz. Wacław (3) tu był: prosił mię do w. m. o przyczynę o starostwo; pokropiłem go święconą wodą, tojest anim obiecał się przyczyniać, anim odmawiał, jeno to uczynię, coby było z dobrem mem. Z Zamościa 15 kwietnia 1610.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Żebyś czego inszego nie rozumiał, niż w rzeczy saméj jest, piszęć właśnie że miałam katar w piersiach, potém jakieś zagrzanie, niby gorączkę; wzięłam pigułki, które mnie trochę osłabiły, a teraz szlę po pany doktory, barziej dogadzając w tem zdaniu pana Simonidesa niż swemu, po pana Birkowskiego, a proszę, żeby dla rady był i ksiądz Ursyn. Pana Simonidesa jeszcze nie ma; jeśli tam jest proś go aby jechał. Nie frasuj się, bo nie masz nic niebezpiecznego. Z Krzeszowa 19 kwietnia 1610.

(1) Jan Żółkiewski. (2) Regina Żółkiewska. (3) Wacław Zamojski.

Piotr Oleśnicki do Tomasza Zamojskiego.

(Z oryginału udzielonego mi przez K. W. Wojcickiego).

W niedzielę j. m. pan hetman (1) audyencyą miał u króla j. m., na której przypomniał w. m. mego m. pana. że się w. m. jako we wszystkiem, tak i w tej o którą w. m. upraszał godności (2), spuszczać chcesz na łaskę j. kr. mci, i być w jakiemkolwiek miejscu (3) by król j. m. mieć chciał, będąc gotów tak publice jako i privatim na każdym placu służyć j. kr. mci. Zaczem król j. m. zawoławszy księdza sekretarza (4) kazał mu pisać przywilej dla w. m. na województwo podolskie. Z Warszawy 6 marca 1618.

Tomasz Zamojski do Krzysztofa Zbaraskiego koniuszego koronnego.

(Treść listu).

Zbaraski jeden dzień tylko miał zabawić u dworu, ale do dworu jachać jest jako wsieść na morze: wsieść zawsze wolno, wysieść niezawsze. Pan chełmski (5) oganiając majętnostkę swą którą miał z łaski królewskiéj, poległ od szabli pogańskiej; zostały po nim dzieci. Zamojski prosi Zbaraskiego, żeby starał się u dworu aby im zostawiono tę majętność. Z Zamościa 21 lipca 1618.

Stanisław Zamojski do Tomasza Zamojskiego wojewody kijowskiego.

(Treść listu).

Oznajmuję w. m. żem zjeżdżał nad Niestr, żeby się widzieć z dwornikiem hospodarskim, i byłem tam kwoli niemu tydzień cały. Wymawiał się tem że zjechać nie mógł, bo ci Tatarowie, którzy z Polski idą, łapają Wołochów i wiążą, i co zarwą biorą; a idą tak ciężko, że jeno po mili, po półmili uchodzą.

(1) Stanisław Żółkiewski. (2) solicitabat dignitatem.
(3) quocunque (4) Jakóba Zadzika.
(5) Jan Zamojski strażnik koronny.

Był z nimi Muralt gałga, Aliszach murza, Kantymir z synami; a sam sołtan w Białogrodzie. O Skinder baszy burkulab powiada, że w Tchini, wojska ich są po Budziaku; powiadają, że zaraz do nas drugich wyprawią jak ci przyjdą. Kozaków którzy nas najeżdżają znoszę bez szkody poddanych w. m..... Strony baszty, i teraz prosim uczyń to w. m. dla tych sam ludzi ubogich; obroną będzie barzo dobrą obiema miastom i zamkowi: podmurować choć na kopią a potem drzewem budować, że będzie górę strychowała wszystkę. Folwark zniosłszy tam ztąd chyba Pan Bóg zechce nas podać nieprzyjacielowi, tobyśmy się mio bronili; a małym barzo kosztem to będzie mogło być jeszcze przed zimą. Druga dziura wielka do zamku z miasta, ale to mniejsza, bo za tą basztą zamek by w pokoju siedział i miasto stare wszystko. Z Szarygroda 8 listopada 1620.

Cedula.

Posyłam listów kilka, które na tém pobojowisku nazbierała Wołosza barzo siła j. m. pana kanclerzynych, ale ich ma być wór u jednego Wołoszyna, o które się staram.

Zygmunt III do Tomasza Zamojskiego.

(Z oryginału udzielonego mi przez K. W. Wojcickiego).

Zygmunt III z łaski bożej król polski, wielkie książe litewskie, ruskie, pruskie, mazowieckie, żmudzkie, inflanckie, i szwedzki, gocki, wandalski dziedziczny król.

Wielmożny uprzejmie nam miły. Chcąc sposobić taką liczbę wojska, którąby proporcionalna jakożkolwiek mogła być siłom nieprzyjacielskim, a doznawszy chęci i ochoty uprz: waszej w przeszłych ekspedyciach wojennych; posyłamy list nasz przypowiedny do uprz. w. na tyle koni usarzów, ilebyś ich uprz. w. sposobić mógł. Przetoż żądamy uprz. w. abyś uprz. w. z tej się posługi naszej i Rzptej nie wymawiał, co my i wdzięcznie od uprz. w. przyjmiemy, i na te koszty uprz. w. mieć chcemy młciwe baczenie, życząc przytem uprz. w. dobrego zdrowia od Pana Boga. Dan w Warszawie dnia 11 miesiąca stycznia roku Pańskiego 1621, panowania królestw naszych polskiego XXXIV, szwedzkiego XXVII.

Sigismundus Rex.

Katarzyna Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Proszę żebym mogła wiedzieć, jeśli w. m. do obozu pódziesz, mój kochaneczku serdeczny; ja nierzkąc dni ale godziny liczę w melankoliej, a kożda godzina tygodniem mi się widzi bez w. m. Z Zamościa w październiku 1621.

Stanisław Zamojski do Tomasza Zamojskiego wojewody kijowskiego.

(Treść listu).

Oznajmuję w. m. żem miał popis z pany szlachtą, z bojary i z kozakami, i regestr ich posyłam. Dawno było im tego trzeba, a sam u nich popisu nie było od lat kilku... Pan strażnik i pan Chmielecki (1) mają z połtorasta kozaków zaporoskich przy sobie. Z Szarygroda 24 października 1621.

Krzysztof Radziwił do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Krzysztof Radziwiłł donosi Tomaszowi Zamojskiemu, że Szwed z wielką potęgą wpadł do Inflant, Rygę blokauzami ścisnął i częstemi szturmami mury pokołatał. To niebezpieczeństwo zaskoczyło w Rydze kapitana Labara, gdy ledwie miał gotowych czterdzieści koni. Wezwany przez ryżan, wszedł do nich w służbę. Z obozu (bez daty).

Jakub Zadzik sekretarz wielki kor. do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

P. Kołaczkowskiego z ludźmi król obrócić raczył do Inflant. Kapitan Labar za poddaniem się Rygi poszedł na służbę Gustawową, lubo Gustaw dał im wolność pójść gdzieby kto chciał. Z Warszawy 10 listopada 1621.

(1) Stefan Chmielecki dzierżawca kraśniański.

Jan Dzik do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Dzik donosi o umacnianiu Raszkowa. Wały niesłychane poczęli sypać, sami ludkowie niebożęta dla siebie siłują. Hospodar posyłał do Porty uskarżając się, że dani zwyczajnej jako dawał cesarzowi nie może teraz oddać, bo Wołosza co majętniejsi wyszli do Raszkowa i prosił o pomoc dla zniesienia go. Popis towarzystwa włości szarogrodzkiéj odbył dnia dzisiejszego, i regestr onych posyła. Różnią się o poczty i konie niejednakie mają. Z Szarogrodu 7 lipca 1625.

Jan Dzik do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Szpiega, którego w Raszkowie pojmano, po moim odjeździe z obozu na próbę dawano i na pal wbito. W Raszkowie już na górnym zamku pale poczęli stawiać. Krynica wśród miasta zginęła, zaczém wiele ludzi z włości, którzy są na robocie, od wody dniestrowéj choruje. Wołochów téż nazad wiele odeszło. Z Łuki 22 lipca 1625.

Sekretarz wielki koronny (1) *do Tomasza Zamojskiego.*

List pisany cyframi (2).

(Z oryginału).

Jaśnie Wielmożny a mnie wielce mściwy
panie wojewodo kijowski!

Acz wiem, że j. m. pan *Oleśnicki* (3) da o wszystkiem sprawę u. m. memu m. p., abym jednak dosyć uczynił powinności

(1) Ksiądz opat czerwiński sekretarz wielki, synowiec biskupa naszego, prosił mię bardzo, abym jego ochotę do służb w. m. opowiedział. Wojciech Serebryski kanonik krakowski do Tomasza Zamojskiego. Z Bodzęcina 3 grudnia 1625.

(2) Oto jest klucz używany w tych i w następnych listach, wyczytany za pomocą kilku wyrazów, które były między wierszami nakreślone ręką Tomasza Zamojskiego.

a b c d e f g h i k l ł m n o p
i u o w q x y k a h p p n m c l
q r s t u w x y z
e s r z b d f g t.

(3) c p q r m a oh a.

mojéj, i ja przyłożę się kilką słów. Naprzód to oznajmuję, że *dawno sjem* (1) nikczemniejszy nie był, gdyż *dwie niedzieli darmo* (2) strawiwszy, rebus *non conclusis* (3), przyszli *do senatu* (4), a to się działo *directorem* (5), który i źle *zaczął urząd* (6) swój, *gorzej jeszcze dokonał* (7). Acz ma li się prawda rzec i my jesteśmy niemałą przyczyną oziębłe koło tego chodząc, i alto sileutio *te conclusiam odprawując* (8), a judicio multorum mogłyby byli rzeczy dobrze paść, ale ledwo jeden i drugi *kilka słów przemówił* (9). *Duchowieństwo* (10) jeżeli kiedy *milczało* (11), teraz najbardziej wszystko surdis auribus przymując. *Starostowie* (12) nie dali, awo zgoła, ledwośmy tym odartym *Prusom sukienkę wyłatali* (13), z której mało się co cieszyć będą.

Pan koniuszy (14) na tém wszystkę *salutem ojczyzny* (15) sadził, gdyby były *porty i w Koronie i w Litwie zawarte* (16), ale *Litwa tego broniła i pan bronił* (17), cicho to jednak *dla invidii* (18), czego miał takie racie: *spustoszenie prowentów stołowych, spustoszenie miast* (19) et incertitudinem eventus, gdyż *to zawarcie portów* (20) jako udawali miało *państwa* (21) które bez nas *być nie mogą na Gustawa poruszyć* (22), co rzecz niepewna. Atoli te *inwencie na które się silili wszyscy posłowie i senat* (23), w dym się obrócili. Gdy pospolite ruszenie namawiano, *pan rzekł: protestor, ja na nie nie pojadę* (24). Znać że się nam *obóz* (25) uprzykrzył, Haec publica. i

Ci co dobre *cery pokazowali* (26), jakom tego ne rozumiał żeby to *miało być z serca, i teraz nie* (27). Wprawdzie że z wielką ochotą przyjęty *pan Oleśnicki* (28), lecz to są *artes aulae* (29). *Effectus* to *pokaże* (30) przy teraźniejszej *okazii* (31), lecz jakom to często mówił, *obawiam się, że na swój młyn wodę*

(1) widme raqn (2) wdaq maqwtaqpa wisac (3) mcm ocmopbrar (4) wc rqmizb (5) wasqozcsqn (6) tiotip bstiw (7) ycsta agrotq wchcmip (8) zq ocmopbrain cwlsidbaio (9) haphi rped lstqnedaqp (10) Wbokedaqmrzac (11) napotipc (12) Rzisczcdaq (13) lsbren rhbaqmhq dgpizipa (14) Lim hcmabrtg (15) ripbzqn cgotgtmg (16) lcszg g d hcscmaq g d pazdaq tidiszq (17) pazdi zqyc uscmapi g lim uscmap (18) wpi ambawaa (19) rlbrzcrtqmaq lscbqmzcd rzcpcdgok, rlbrzcrtqmaq nairz (20) tidisoaq lcszod (21) Limrzdi (22) ugwt maqncyi mi ybrzidi lcsbrtao (23) ambqmzaq mi hzcsq raq rapapa drgroa, lcrpcdaq g rqmiz (24) Lim stqhp lsczqrzcs ai mi maq maqlcaiwq (25) cucr (26) oqsg lchitcdipa (27) naipc ugwt rqsoi g zqsir maq (28) Lim cpqrm toha (29) iszqr ibpq (30) qxxqozbr lchitq (31) coostg.

ciągnie, et alienae gloriae invidit (1), czego był świadkiem *obóz* (2), gdzie *ambiciam inszym sławy nie życząc* (3) ale tylko *swoim* (4), wszystko *popsował* (5). Ale *Pan Bóg ulciscetur reipub: iniurias* (6), i teraz już poczyna gdy jako *grzyby pomarzłe* (7) siedzą *w jamach* (8). *Towarzystwo wypowiada służbę i odjeżdża. Konie* (9) dziwnie chorują, *którym nogi* (10) bardzo *puchną a z nozdrzy żołtość ciecze* (11); do tego *głód* (12) między niemi. *Pułkownicy* (13) niebardzo *zgodni* (14), bo teraz pod *niebytność regimentarza swarząc się Żółkiewski z Koniecpolskim* (15) ktoby miał iść, *dwa kornety* (16) upuścili. Ale podobno tego będzie więcej, i za tak słabym *rozumkiem* (17) *nie polecą ptacy.* (18) Jednak *istam dominitricem Livoniam* (19) szkoda opuszczać, dla czego niezawadzi pod czas *listem* (20) obesłać, a *do króla* (21) jako najczęściej *pisać* (22), gdyż *dwór* (23) jest *małej pamięci* (24). I napotém cokolwiek będzie nie omieszkam o wszystkiem dawać znać w. m. memu m. panu, którego się natenczas miłościwej łasce pilnie zalecam. W Toruniu 5 decemb. 1626.

Uniżony sługa (25)
Sekre. (26)

Sekretarz wielki kor. do Tomasza Zamojskiego.

(Z oryginału).

Jaśnie Wielmożny a mnie wielce mściwy panie wojewodo!

Żadnej okazii nie chcę opuszczać, za którąbym nie miał pisać do w. m. mego m. p., i teraz lubo nie mam co oznajmić, nie chciałem jednak *próżno* (27) puścić *pana Oleśnickiego* (28),

(1) cuidain raq tq mi rdeg npam dewq oaiymaq qz imaqmq ipcsaq ambawaz (2) cuer (3) inuizain amrtgn rpidg maqtgotio (4) rdegn (5) lelredip (6) lim ucy bpoaroqzbs sqalbu. amabsair (7) ystgug lenistpq (8) dainiok (9) zedisstarzdc dgledaiwi rputuq g cwaqtwti hemaq (10) hzcsgn mcya (11) lbokni i tmctwstg tclzcro oaqotq (12) gpew (13) Lbphedmaoa (14) tycwma (15) maquazmcro sqyanqmzisti rdistio raq tcphaqdrha r hemaqoleprhan (16) wdi hcsmqzg (17) sitbmhaqn (sic) (18) lepqcim lzioa (19) arzin wcmamazsaoqn pabcmain (20) parzqn (21) wc hscpi (22) lario (23) wdcs (24) nipg linaqoa (25) bmatcma rpbyc (26) Rqcsq (27) vaamm (28) lima cpqrmaohaqyc.

który że siła ustnie odnieść ma w. m. memu m. p. co z różnych zrozumiał, mnie też tą razą prace ubyło. To tylko natenczas oznajmuję, że w sprawie w. m. mego m. p. ci po którychem się najwięcej spodziewał, a to widzę i ci *oziębłe służyli* (1). Spodziewałem się ja wprawdzie tego, ale nie po wszystkich; temu się jednak *dziwuję* (2) że *jeden* (3) śmie prawie *ubespieczać* (4). Wszak to *skutek* (5) pokaże, mnie się jednak dostało słyszeć, że w tamtej *stronie żadnej odmiany* (6) nie będzie; i dlatego podobnoć nie masz *rzetelnej deklaracii od hetmana* (7). Ja w tej mierze obawiam się, że tylko *sobie samym* (8) a nie drugim *sławy* (9) życzym. Jednak w. m. dlatego *nie trać ducha* (10), a wiedz pewnie, że *pan ma dobry affekt ku w. m.* (11). Wprawdzie ta *absentia od seimu* (12) była u niektórych podejrzana (13), i mnie o to *szczegołowo* (14) pytano, jeżeliś nie *malkontent* (15) odjechał; ale wybiłem to im z głowy, pokazując, że pilne sprawy potrzebowały tego. *W obozie* (16) do tego czasu nic się *nie sprawiło* (17) gdzie *nędza wielka*. Sjemu (18) spodziewać się wkrótce, a najdalej *o ś. Janie* (19).

Listy które w Niderlandzie od agenta Gustawa (20) przejęto przepisawszy poszlę, gdyż tego niemało; a proszę odpuść w. m. mój m. p. że się ladajako pisze, gdyż ledwo co czasu mogłem mieć. Zalecam się przytem łasce w. m. mego m. p. jako najpilniej. W Warszawie 16 decemb. 1626.

W. m. mego m. p. uniżony służebnik.

Sekretarz wielki kor. do Tomasza Zamojskiego.

(Z oryginału).

Jaśnie Wielmożny mści panie wojewodo
panie mój mściwy.

Odpisuję na dwa listy w. m. memu m. p. wprzód sobie upraszam dwie rzeczy: pierwsza, aby *po przeczytaniu list ten*

(1) ctaqnpq rpbtqla (2) wtadbaq (3) aqwqm (4) buqrlaqotio (5) eventus, qbqmzbr (6) rzsemaq tiwma cwnaimg (7) stqzqmg wqopisizg cw kqznimi (8) nobis ipsis, meuar alrar (9) rpidg (10) animum non despondeat, imanbn mem wqrlemwqiz (11) lim ni weusg ixxqhz (12) iurqmzai cw rqgnb (13) lewqgstimi (14) specialiter (15) nipoemzqmze (16) Denetaq (17) maqrlsidalc (18) mqwti daqphi. Raqnb (19) c r. aimaq (20) parza hzcsq d mawqspimwtaq cw iyqmzi ybrzidi.

był zdrapany (1); druga, ażeby *nikomu to nie szkodziło* (2), i żebyś w. m. przeciw żadnemu *rancoru* (3) i *złego serca nie miał* (4), gdyż cokolwiek czynię, wszystko to czynię z ochoty mojéj do służb w. m. mego m. p., i żebym dosyć obowiązkowi swemu uczynił wszystko to pisząc (5), jednak *protestor nie chcę nikomu szkodzić* (6).

Doszły mię tedy obadwa listy w. m. jeden 11 januarii, drugi 31; piérwszy mię nie zastał, gdyżem był dla pewnych trudności moich odjachał, drugi oddał mi sługa w. m. Na te żem nie odpisał, ażebym in suspicione negligentiae nie zostawał, umyślnie posłańca swego posyłam, dlaczego téż przychodzi mi *niektóre rzeczy liberius pisać* (7). Naprzód widzę, że w. m. *ochota* (8) nietylko *w zapomnienie poszła, ale ciż którzy się najbardziej ofiarowali* (9), omnibus modis jako przedtem *przeszkadzali* (10), tak i teraz *przeszkadzają* (11). Okrom *laiskiego jest podkanclerzy* (12), jakom tego z miejsca pewnego doszedł teraz na wyjeznem. Już to pewna i niewątpliwa, że ci dwaj w. m. *z regimentu pruskiego zrazili. Podkanclerzy* (13) wszelakim sposobem *promowował na to starostę sendomier.* (14), teraz różnemi *praktykami na bulawę forytuje* (15), o czém niżej, a nie wątpię pospołu *z laiskim* (16) chcą tego dokazać. Dawnom ja to wiedział, że ten człowiek tak się miał z w. m. obchodzić i przestrzegałem, jakoż nie omyliłem się na tem i teraz pilniem ucha nadkładał jeżeli uczyni jaką wzmiankę; ale widzę, że o *tém ani myślał* (17), a wie też o tém bardzo dobrze, że w. m. *hetman nie rad widział w Prusiech* (18), z czém hetman (19) dał się *słyszeć na miescu jednem* (20). Aleć podobno i na inszych miescach toż się dzieje. *Boją się bowiem i rozumu i potencii* (21), i co za tém *idzie, że przy nich tylkoby został honor imperii* (22), a przy w. m. *vis et pote-*

(1) lc lstqotgzimab parz zqm uqp twsilimg (2) mahcnb zc maqrthcwtapc (3) simocsb (4) tpqyc rqsoi maqnaip (5) lartio (6) lsczqrzcr maqokoq rthcwtao (7) maqhzcsq stqotg pauqsabr lario (8) cokczi (9) dtilcnmaqmaq lcrtpi ipq oart hzcstg raq miauiswta cxaiscdipa (10) lstqrthiwtipa (11) lstqrthiwtiai (12) Piarhaqyc aqrz lowhimopqsta (13) tsqyanqmzb lsbrhaqgc tsitapa Lcwhimopqsta (14) lscncdcdip mi zc rziscrzq rqmwcnaqc (15) lsiozahina mi nbpidq xcsazbaq (16) t Pifrhaqn (sic) (17) czqn ima narpip (18) kqznim maqsiw dawtaip d Lsbraqok (19) kqznim (20) rpartqo mi naqrob (21) ucain raq ucdaqn g sctbnb g lczqmzg (22) awtaq tq lstg maok zaphc ng tcrzip kcmcs anlqsg.

stas (1); jakoż tak będzie potrzeba uczynić, gdy Pan Bóg *zamysły nasze pobłogosławi. Podkanclerzy i ten affekt swój przeniósł indziéj* (2). Ten jakom pisał na tém wszystek jest, ażeby *starostę sendomier. na hetmaństwo wsadził* (3). Przed niedziel trzema począł być rumor, że *starosta sendomier.* (4) miał być w *Warszawie* (5); pytałem się o tém pilnie, coby za *przyczyna bycia jego była* (6), i doszedłem, że był wokowany (7); jakoż mam pewną wiadomość *z Krakowa* (8), że jest i było tego *pełne miasto* (9). I już się był *z majętności swéj ruszył i do Sendomierza przyjechał* (10), wczora jednak przyniesiono to, a powiadają że pewnie, *iż nazad powrócił* (11). Od kogoby jednak miał *być wokowany, dochodzę, że privatis litteris* (12), tu już *snadno się domyślić od kogo* (13). Jużże się tedy w. m. nie spodziewaj, ażeby *który z tych dwu miał szczerze* favere (14). *Z kanclerza też mała pociecha* (15), gdyż tak jest *obnoxius alieno arbitrio, że go mogę słusznie nazwać mancipium dinoffia. W Prusiech* (16) acz rozumiem że w. m. wiesz co się dzieje, ja jednak *krótko namienię. Joannes in eodem* (17) to tylko *sprawili, że dwieście człowieka pod Puckiem utracili dies rerum verbis et litteris terunt* (18). A to umie Pan Bóg nadgradzać, *że alienae gloriae invidebant* (19). Byśmy jeno tego *albo z niesławą, alb szkodą rzeczypospo. nie odbieżeli, non sine fundamento* (20) to piszę, *gdyż sílom ludzi wielkim niepodoba się ta prędka familiaritas hetmana z kurfirstem, u którego był i w liście swym bardzo go chwali, wszystko po nim dobre obiecując. Displicuit to wielom, że go chwali, a to jeszcze bardziéj że wygrał na nim pięć tysięcy złotych*

(1) bar qz lczqrzir (2) tinarpg mirtq lcupcycrpida. Lcwhimo pqsta g zqm ixxqoz rdcg lstqmacrp amwta (3) rziscrzq rqmwcnaqs. mi kqznimrzdc driwtap (4) rzisciza rqmwcnaqs (5) d disrtidaq (6) lstgotgmi ugoai aqyc ugpi (7) dcocdimg (8) t hsihcdi (9) lqpmq nairzc (10) t niaqzmcroa rdqg sbrtgp g wc rqmwcnaqsti lstgaiokip (11) grt mitiw lcdscoap (12) ugwt dcocdang wcokcwtq tq lsabizar pazzqsar (13) rmiwmc raq wcnarpao cw hcyc (14) hzcsg r zgok wdb naip rotqstq xcbqsq (15) oimopqsti zqt nipi lcoaqoki (16) cumcfarb ipaqmc isuazsac tq yc ncyq rpbrmaq mitdio nimoalabn waincxxai. d Lsbraqok (17) hsczhc minaqmaq Acimmqr am. qcwqn (18) rlsidapa tq wdaqroaq otpcdaqhi lcw lbohaqn bzsioapa waqr sqsbn bqsuar. qz pazzqsar zqsbmz (19) tq ipaqmq ypcsaq ambawquimz (20) ipuc t maqrpidin ipuc rthcwin stqotalcrlc maqcwuaqtqpa, mcm rainq xbmwinqmzc.

a drudzy twierdzą, że czerwonych; pewnie kurfirst dał się umyślnie pociągnąć. Dziwują się i temu, że wziął od niego pierścień kosztowny (1), a takie rzeczy niezwykły bywać, jeno *między przyjaciołmi, jako pignora constantiae et veraе amicitiae* (2). Wszystko to jednak za wiadomością *Dinoffa było pewnie* (3). To wszystko z kandoru mego wypisawszy, uniżenie proszę, jakom i wprzód prosił, ażebyś w. m. mój *m. p. złego serca przeciw tym nie brał* (4), gdyż inaczéj musiałbym *mieć sumienie* (5), i inszym animuszem tego nie piszę, jeno *na przestrogę* (6) jako *komu ufać* (7). Oddaje się przytém z uniżonemi służbami memi łasce w. m. mego m. pana. W Iłży 10 martii 1627.

Uniżony służebnik
S. (8)

Cedula 1.

Nie pisałeś mi w. m. mój m. p., jeżeli listy moje dwa doszły w. m. mego m. p. przez pana Oleśnickiego.

Tego posłańca mego nie śmiałem z Warszawy posłać, a to dla suspicii jakiej, i teraz tracąc ślad posyłam go przy kozaku j. m. księdza biskupa, rozkazawszy mu, aby udawał że nie mnie służy, ale j. m. Możesz mu w. m. śmiele listów powierzyć, gdyż nie jest z onych prostaków.

Cedula 2.

Zamykając list ten przyszło mi pisanie z Warszawy, że pan hetman prawie z płaczem do króla j. m. pisał, ażeby dał drugiego hetmana; mianując i w. m. i pana starostę sendomierskiego. Dano mi też znać i o tém, że król j. m. pisał już o tém

(1) ywgt rapcn pbwta daqphan maqlcwcui raq zi lsqwhi xinapaisazir kqznimi t hbxxasrzqn, b hzesqyc ugp g d paroaq rdan uiswtc yc okdipa, drtgrzhc lc man wcusq cuaqobaio. Warlpaobaz zc daqpcn zq yc okdipa i zc aqroq niswta, tq daysip mi man laqo zaraqoa tpczgok, i wsbwta zdaqwotin tq otqsdcmaok, lqdmaq hbsxasrz wip raq bnarpmaq lcoaiymio Wtgdbai raq g zqnb tq dtaip cw maqyc laqsroaqm hcrtzcdmg (2) naqwta lstgaioacpna aihc laymcsi ocmrzimzar qz bqsq inaoazaq (3) wamcxxi ugpc lqdmaq (4) tpqyc rqzoi lstqoid zgn miqusip (5) naqo rbnmaqmaq (6) mi lstqrzcyq (7) hcub bxio (8) R.

do w. m. mego m. p. Ja jako uniżony sługa, który wszelakich ozdób wysokim cnotom w. m. życzę, nietylko się z tego cieszę, ale też per salutem patriae w. m. mego m. p. obtestor, ażebyś to onus na się wziął, a tém ochotniej, że jeżeli kiedy, tedy teraz będzie amplissimus campus virtuti w. m. mego m. p. Książe j. m. pan koniuszy (1) w piątek przeszły w nocy z tym się światem rozstał. Daj Boże, ażeby się ta nowina odmieniła, gdyż nierychło ojczyzna takiego człowieka będzie miała.

Tomasz Zamojski do księdza regenta.

(Z brulionu).

Siedzę tu jak na igłach między rozmaitemi nowinami o tej wojnie. Byłbym tego prożen, kiedybym oraz z królem j. m. jachać mógł, ale to nieszczęście me sprawiło, żem podtenczas był złego zdrowia, a potem nie mogłem się wyplątać z tutecznych labiryntów. Po bytności na Ukrainie pana belskiego (2) takie tam motus poddani moi poczynili, że jedno miasto pograniczne Raszków, niemałym kosztem odemnie ufortyfikowane porzucili, z drugich na głowę iść chcieli. Przyszło ich tu do sta do mnie; miałem z półtory niedzieli kłopotu nimem ich ukołysał. W Zamościu 11 lipca (1627).

Jan Dzik do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Mam w Bogu nadzieję, że nad Dniestrem nigdzie tam takiego miasta nie będzie jako ten Jampol w. m. m. m. pana, bo niedalej dwóch albo trzech lat spodziewam się jarmarków lepszych niż w Mohilowie, byle Pan Bóg pokój dał. Z Szarogrodu 9 maja 1628.

Maciej Wilyng do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listów.)

Maciej Wityng (Mattias Wittingh) skarży się przed Tomaszem Zamojskim, że gdy siedział pod wartą przyszedł do niego

(1) Krzysztof Zbaraski. (2) Macieja Leśniowskiego.

pan Strzyżowski i podpiwszy sobie zbił go, pokrwawił, rękę mu stłukł, głowę obuchem przebił, i szpadę mu złamał, a nieprzestając na tém tak udał. że Witynę pierwszy się porywał, kiedy on nietylko się nie porywał, ale go jeszcze dla Boga prosił, płaszczem się zasłaniając, żeby się nad nim zlitował.

Nazajutrz przyszedł do niego Jan Dzik i opowiedział mu wolę Zamojskiego, żeby na Ukrainę pojechał i dwieście wybrańców wyćwiczył. Dzik żądał od niego przysięgi, że wiernie i życzliwie służyć będzie.—Nietylko przysięgę wykonam, odp. Wityng, ale i oblig dam za siebie, który tak jest ważny, jako przysięga między kawalerami, jako mam dwieście piechoty wyćwiczyć i wiernie panu służyć. Przytém Dzik powiedział: we dnie masz z bronią chodzić a w nocy pod wartą być. Wityng prosił, żeby tego nie było, gdyż on chce statecznie wiary dotrzymać. Z Zamościa 9 i 10 listopada 1628.

Katarzyna Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Z oryginału).

Moje najukochańsze serce
mój serdeczny dobrodzieju.

Uniżone posługi moje zalecam jako napilniej w miłościwą łaskę w. m. mego miłościwego pana i dobrodzieja kochanego. Piszesz mi w. m. mój mości pan i dobrodziej, że do mnie często pisać nie możesz dla zabaw swych. Rozumiem ja mój dobrodzieju, żeby nie było w. m. ciężko, by nie te zabawy, o sobie mi dawać znać. Pana Boga proszę, żeby dodawał sił i zdrowia do znoszenia tych prac i niewczasów. A że nie jest zdanie i wola w. m. mego dobrodzieja, żebym w tę drogę się puściła, jako wszystkie rozkazania w. m. równo z przykazaniem boskiem przyjmuję i posłuszeństwo w nich zachować sobie życzę, tak i teraźniejszą wolę w. m. Rozumiem to o miłości w. m. mego mił. pana, że uwolniwszy się od prac dworskich, zechcesz prędką bytnością swą mnie uniżoną sługę swą ucieszyć. Rozproszenia naszych od nieprzyjaciela żałuję barzo, ale się tem cieszę, że mię w. m. upewniasz o bezpieczeństwie swojem. Jam i dziatki nasze zdrowiśmy dobrze z łaski bożej. Czekać będziemy Pana Boga prosząc o prędką bytność w. m. mego mciwego pana i dobrodzieja. Oddaję przytem uniżone wieczne

posługi moje w łaskę w. m. mego mciwego pana i dobrodzieja. W Zamościu 20 lutego 1629.

W. m. mego mciwego pana i dobrodzieja z serca miłująca małżonka i uniżona wiecznie sługa.

Katarzyna Zamojska z Ostroga.

Katarzyna Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Według obietnice mojej stawię się jutro da Pan Bóg na obiad w Lublinie, gdziebym rada ptakiem przeleciała i prędko się ucieszyła z widzenia w. m. Gryzeleczka według rozkazania w. m. jedzie ze mną. 19 marca 1629.

Jakub Zadzik kanclerz koronny do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

List j. m. pana krajczego, któryś mi kommunikować raczył, odsyłam nazad w. m. m. m. panu; żartuje on podług zwyczaju (1), choć niebardzo do żartów, kiedy o takich gościach w tamtych krajach znać dawają. Toż sam do nas napisał był j. m. pan hetman (2), posławszy oryginały listów od kozaków zaporoskich z samego Zaporoża, którzy oznajmują, iż orda wielga przeprawiła się przez Dniepr u Strzelice. Po tych listach, które były z dnia 10 bieżącego miesiąca (3) nie mieliśmy żadnego pisania; owo Pan Bóg tę burzę odwrócić będzie raczył, w czém mię konfirmuje list w. m. datowany 21 do p. regenta pisany, w którym nic nie oznajmujesz o tem niebezpieczeństwie, a jużby przecie w tamtych krajach słychać było cokolwiek. Propozycyą j. kr. m. o sposobie elekcii (5) dziwna rzecz jako ludzie niechętnym umysłem (6) przyjęli, tak że z drugich sejmików i mówić o tem zakazali. Szaleje nasz lud (7), jako to już w starzejącej się rzptej (8), odrzucając zbawienne rady (9); przyjdzie

(1) al solito (2) Stanisław Koniecpolski (3) de data 10 presentis (4) de data 21 presentis (5) de modo electionis (6) alienis animis (7) Desipit noster populus (8) in senescente republica (9) salutaria consilia.

poddać się swojemu losowi (1). Nasza ztąd droga odwłóczy się dla niesposobności zdrowia j. kr. m. Opowiedziałem j. kr. m. chęć tę w. m. z którąś się ozwać raczył do wygody j. kr. m. lubo Zamościem lubo Knyszynem; wdzięcznie to przyjąć raczył, jednak na Zamoście jako odległe nie przypadł, a królowa jejmość knyszyńskiego mieszkania dla jakichsi tam strachów bardzo się boi, i tak powiedziała: choćby ją tam rodzony brat cesarz j. m. prosił na noc, tedyby tam nie została. Zbijałem ja wprawdzie raciami te strachy, jednak trudno pozbyć strachu (2) białymgłowom. W Tykocinie mieszkać zamyślają w sąsiedztwie (3) Knyszyna, zkąd snadno w. m. m. m. pan wygodzić będziesz mógł usługą swoją j. kr. m. Z Warszawy 26 września 1630.

Katarzyna Zamojska do Tomasza Zomojskiego.

(Treść listu).

Winszując mu polepszonego zdrowia w cieplicach, tak daléj pisze: Jam z łaski bożej z dziećmi naszemi zdrowa, rozkazania w. m. mego dobrodzieja we wszystkiem przestrzegam, melankoliej się strzegę i zdrowie szanuję, o co też pilnie i uniżenie w. m. mego mił. pana i dobrodzieja proszę, żebyś w. m. owocami zbytniemi nie psował zdrowia, wesoło wód tych zażywał, melankolią wszystkę tam niemcom darował, a wesoło da Pan Bóg do domu się wrócił. Rozumiem, że ta nowina o śmierci królowej już w. m. doszła, którą Pan Bóg wziął niespodzianie z tego świata. 9 lipca przy wieczerzy słabo się jej zrobiło, o 5 z rana już jej nie było na świecie. Tę przyczynę znajdują, że ją zbytnie gorąco przejęło, gdy w dzień Bożego Ciała szła piechoto na processią od kościoła ś. Jana do Najświętszej Panny na Nowem Mieście i na oktawę toż uczyniła, jako mi pani kuchmistrzowa pisze. Prosił ją król j. m. żeby nie chodziła, ale ona odpowiedziała na to: „kiedybym sił swych nie znała, tedybym nie wdawała się w to chodzenie.“ Pisała też do mnie panna Orszula barzo żałosny list, w którym przypomina, że umarła matka wszystkiej korony a osobliwie pana podkanclerzego i w. m., tak do mnie pisze, których ona siła miłowała i szanowała. Niech jej to Bóg w drugiem życiu nagrodzi. Straszą nas

(1) quo fata trahent sequi (2) metum eximere (3) in vicinia.

Tatarami i uniwersały hetmańskie przychodzą do żołnierzów żeby się kupili. Pan hetman jeno po 50 koni pod chorągwiami pozostawiał. W. m. towarzysze kupą we stu koni chcą wejść do obozu; rozumieją po w. m. że tą ich chęcią nie pogardzisz i że ćwierć im nie zginie; jeździli z Bełza do mnie, ale ja w to co do mnie nie należy wdawaciem się nie chciała. Z Zamościa 19 lipca 1831.

Jakub Zadzik kanclerz koronny do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu.)

Tomasz Zamojski otrzymał od króla przyrzeczenie, że mu nada wakującą kasztelanią krakowską. Jakub Zadzik wymawiał Zamojskiemu, że przed nim sekret z tego robił, jak gdyby on sekretu nie umiał dotrzymać. 3 marca 1632.

Jan Dzik do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu.)

Hospodar teraźniejszy nie chce poniechać poddanych w. m. a to z powodu łotrostw, których się dopuszczają poddani pana hetmana i panów Czetwertyńskich, którzy ustawicznie wyprawują czaty do wołoskiej ziemi, zabierają stada i trzody bydła i mimo Raszkowa pędzą. Dobrze byłoby napisać do pana hetmana, żeby poddani jego tych łotrostw zaniechali; także do hospodara, żeby winnych patrzył. Bymci miał zlecenie, oddałoby się Wołochom w dwójnasób, jedno bez woli w. m. nic chcę nic ważyć. Przez te kilka niedziel ustawiczne trwogi były, dla których pan starosta kamieniecki skupił chorągwie pod Bracław, lecz już chwała Bogu minęły, gdyż co było krymskich Tatarów na Budziakach, pognali nazad do Krymu, jeno budziaccy zostali. To mi też za pewne powiadał kozak z Humania, który do Winnice do pana starosty jeździł, że kozacy wysiekli Oczaków, jednak nie bez szkody, gdyż i kozaków z tysiąc na placu tam legło. Z Ziałowa 16 marca 1633.

Stanisław Pstrokoński sekretarz królewski do Tomasza Zamojskiego

(Treść listu.)

Królowi j. m. miłe bardzo było pozdrowienie w. m. Spytawszy się o zdrowie w. m. przydał (słowa jego kładę): „Dał-

bym za to coś, kiedybym go mógł mieć z sobą w Prusiech; niewygadza mi jakoś pan ociec jego (na księdza kanclerza przymówka); trzebaby tam innej głowy. Strony małżeństwa pewien jestem, iż heretyczki nie pojmie; stoi jednak mocno w zawziętym affekcie przeciwko Fryderyka, i o to stara się wszelkiemi sposobami, żeby katoliczką została; inakszym sposobem upewniam, że jej nie pojmie. Ale to samemu w. m. memu m. panu tak jako i strony ojca; widzę, że się nim król j. m. niebardzo kontentuje. O spalenie listu tego uniżenie proszę w. m. Strony następstwa na pieczęć mniejszą, nie racz w. m. nalegać, ale tylko pewne osoby proponując, spuszczać się na wolę pańską. Z Warszawy 6 czerwca 1633.

Ksiądz Przemysław Rudnicki jezuita do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Wielce sobie życzył tego j. kr. m. żebyś w. m. pomógł téj expedycicj do Pruss. Mogłoby się co sprawić z dobrem rzptej; nieprzyjaciel znędzniony, Gustaw z morza wysiadł mało co ludzi z sobą przywiodłszy; my krom wojska znacznie przyczynionego mamy cesarskich ludzi, ale cóż po tém, kiedy nie ma rządu ani rady. Nie ma komu wojny prowadzić; jeśli też traktować przyjdzie, to aż serce człowieka boli patrząc na pana jako się z sobą biedzi, upatrując komuby summam rei poruczyć. Pomni że tak rok z tytułów jest złupiony a nieprzyjaciel onemi ozdobiony; i na co się to zdało? Jedno że się nam dostało przywitać, że nas na oczy przypuszczono. To też j. kr. m. lubo mniejszych komissarzów naznaczył, na takiego coby był wodzem (dux sententiae) jeszcze się nie rozolwował: i teraz za niebytnością w. m. niemało mu trudności przybędzie. Nikogo z senatorów ani z urzędników kor. nie kazał z sobą zaciągać okrom w. m., rozumiejąc, że z samego w. m. dosyć będzie miał pomocy tak do prowadzenia wojny, jako i do zawarcia pokoju. Wziąwszy sprawę o niesposobnem zdrowiu w. m., tak mi kazał do w. m. napisać, że lubo w. m. wielce potrzebuje, nie chce jednak abyś w. m. gwałt miał zdrowiu swemu czynić, jedno żebyś w. m. starał się o jego poratowanie, tem gorçcej, że go w tak trudnych czasach ojczyzna potrzebuje.

Wojciech Serebryski kanonik krakowski do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Starostwo nowotargskie otworzyło się, o którem lubo wiedzą że je król dał w. m., wielu jednak widząc odmiany w panu posłali starać się o nie. Król dał słowo i nie wątpię że go nie odmieni, że nikomu nie da wakancii, jedno takiemu, któryby był obecny w Moskwie albo poczet posłał. Starostwo tamto wszystko na czynszach, które wynoszą 8,000 zł, ale że wsi osiadłe wielkie, z karczem byłby wielki pożytek, i już browary zasadził nieboszczyk Komorowski, ale z temi browarami zapaśćby przyszło, ażby się odprawiła lustracia. 19 października 1633.

Władysław IV do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Władysław IV z obozu za Smoleńskiem na Bohdanowéj okolicy, 23 grudnia 1633 dziękuje Tomaszowi Zam. że jego ludzie skoro posłyszeli o niebezpieczeństwie, stawili się do obozu i wraz z drugimi mężnie czynili przeciw nieprzyjacielowi, jak o tém dał sprawę kasztelan krakowski (1).

Władysław IV do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Pod niebytność uprzejmości waszej w ojczyznie, za nastąpieniem wojsk pogańskich na państwa rzptéj, gromada ludzi żołnierskich uprzejmości waszej stanęła przy wojsku kwarcianem, czém oświadczyłeś uprz. w. miłość swoję ku ojczyznie, za co tak od nas, jak od rzptej odnosić będziesz wdzięczność i nagrodę. Gdy rzptéj grozi nowe niebezpieczeństwo od wojsk pogańskich, które Abazy basza pędzi w nasze granice, pilnie żądamy uprz. w. żebyś ludzie swoje połączył z wojskiem rzptej pod sprawą j. w. kasztelana krak., dla dania wstrętu nieprzyjacielowi. Z obozu na Bohdanowej okolicy, 7 marca 1634.

Władysław IV do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Władysław IV dziękuje Zamojskiemu za summę posłaną na okręty: chciałeś w. m. wygodzić potrzebie naszej, zkąd sta-

(1) Stanisław Koniecpolski.

teczną życzliwość w. m. ku nam uznawamy. Z Grudziąża 3 sierpnia 1635.

Stanisław Pstrokoński sekretarz królewski do Tomasza Zamojskiego

(Treść listu).

Pieniądze przysłane przez p. Kołuckiego Stefana, nielicząc, tak jakom wziął zapieczętowane, oddałem dziś królowi j. m. czytałem i list w. m. królowi; za wczesne i bardzo potrzebne subsidium pieniężne podziękować kazał, rozumiem, że i sam osobnym listem dziękuje w. m. Wczora przyjechaliśmy do Grudziądza. Ichm. pan krakowski i wojewoda ruski wyjeżdżali przeciwko królowi z piękną kawalerią. Jutro ma być tajemna rada strony ostatniéj rezolucie, jaka ma być dana komissarzom szwedzkim. Wszystkie rady do pokoju zmierzały, ale i król j. m. dosyć z siebie czynił i czyni; już samą się kontentuje Prussią, z strony Liwoniéj na 20 lat przymierza pozwala. Tuszą, że na tem stanie, lubo jeszcze dziesięciu lat koniecznie napierają się Szwedowie. Gdy obaczą króla statecznie przy swem trwającego, nadzieja w Bogu, że na potrzebny i pożądany pokój pozwolą. Z Grudziąża 3 sierpnia 1635.

Stanisław Pstrokoński sekretarz królewski do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Proszę i uprzejmie życzę, abyś w. m. na kilka dni przed sejmem do Warszawy stawić się raczył, o czém i wczora znowu król j. m. ze mną mówił, i pewien jest że w. m. będziesz mu chciał w tém wygodzić. Z obozu 14 września 1635.

Stanisław Pstrokoński sekretarz królewski do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Przed kilką dni pytał mię król j. m. o rezolucią w. m. m. m. pana z strony województwa krakowskiego, a gdym na to nie umiał odpowiedzieć kazał mi pisać i umyślnie wyprawić do w. m. Doszło także do mojej wiadomości od wielu zacnych osób, a mianowicie od j. m. księdza podkanclerzego, że książe j. m. pan kanclerz lit. (1), zamyśla w. m. prosić o pannę Gryzeldę. Z Warszawy 17 września 1637.

(1) Albrycht Stanisław Radziwiłł.

Komput przyjaciół domowych, sług i czeladzi pobocznéj jaśnie wielmożnego j. m. pana wojewody kijowskiego.

(Z oryginału udzielonego mi przez K. W. Wójcickiego).

J. m. pan starosta radomski
J. m. pan podczaszy bełski
J. m. pan podstoli bełski
J. m. pan wojski buski
J. m. pan Zemisławski
J. m. pan Żorkowski
J. m. pan Pruszkowski
J. m. pan Rzeszotarski
J. m. pan Czychrowski
J. m. pan Morochowski
J. m. pan Rabaszewski

J. m. pan Kowalkowski
J. m. pan sędzia ziemski lubelski
J. m. pan chorąży bracławski
J. m. pan chorąży lubelski
J. m. pan Garczyński
J. m. pan Cetner
J. m. pan Zajączkowski
J. m. pan Prokop Szornel
J. m. pan Żegota
J. m. pan Serebryski
J. m. pan Romiszowski

P. Wacławowicz
P. Rokszycki
P. Borkowski
P. Malczewski
P. Dołżek

Pan Jarocki
Pan Łysakowski
P. Wolski
P. Białokurowicz
Bobicki.

P. P. pachołęta

P. Brześciański
P. Czernicki
P. Podniesiński
P. Kazanowicz
P. Koźmiński
P. Borzymowski
P. Słomiński
P. Stawski
P. Marchocki

P. Chrząstowski
P. Białobocki
P. Janicki
P. Wojciechowski
P. Raczkowski
P. Zieliński
P. Pruszyński
P. Komorowski
Piwko
Nagorka

Cudzoziemcy.

P. San Simor
Baran
Dzam
P. Montani.
Pikart

Lapio
Michel
Santamor
Fortuna.

WYCIECZKA
W SANDOMIERSKIE I LUBELSKIE.

Jedni, a jest ich największa liczba, jadąc w różne strony własnego kraju, czyto z obowiązku, czy dla odwiedzenia rodziny, przyjaciół, odbywają podróż zwykle z zamkniętemi oczyma, obojętni na wszystko — wyjąwszy na wygodne popasy. Przebieżony kraj jest też dla nich hieroglifem, którego odgadnąć ani ochoty nie mają, ani nie pragną. Drudzy wędrowcy gorsi od tamtych, rodzinne siedziby uważają za step niegodny uwagi:—i znają też swoję ziemię tyle, co środkową Afrykę. Inni wprawdzie nie zamykają oczu w swéj wycieczce, ale w niéj więcéj ich interesują zimne głazy, niż ludzie; i ztąd lęgną się obrazki, których krasą martwe szkielety, a nie życiem obdarzone istoty... Obojętność i uprzedzenie jednych, a zimnota drugich to sprawiły, że o obecnym stanie własnéj strzechy nic nie umiemy powiedzieć, albo też o niéj tylko blade, dorywcze wiadomości powtarzamy.

Szlachetne usiłowania zapoznania braci między sobą, ograniczają się na kilku wędrowcach, którzy z koszturem w ręku idąc od chaty do chaty, starali się podsłuchać pieśni ludu naszego, badać jego zwyczaje, przesądy; ludu tego, co sam niezmienny przetrwał złą i dobrą dolę. Kilka zbiorów, poetycznych obrazków, przedstawiających naszych ziemian:—oto wszystko, czém się pochlubić możemy.

Liczna drużyna jęła się teraz do obrabiania historyi, odgrzebywania pomników nadwątlałych, lub w gruzy się rozsypujących, sylabizowania starych pargaminów. Nie przeczę, iż rozpatrywanie się w ubiegłych czasach, rozjaśnianie fak-

tów mgłą wieków ocienionych, w ogólnym poglądzie na ruch ludzkości, narodu pojedynczego, ważną przynosi korzyść. Mężowie poświęcający się téj gałęzi wiedzy, niemałe pokładają zasługi; ależ pytam, czy obecność mniejsze ma prawo do zbadania jéj, choćby tylko dlatego, abyśmy wierny obraz żyjącego społeczeństwa, jego pomników, następcom przekazali? Czyż za tę spuściznę wnukowie nie będą nam wdzięczni, równie jak za prace rozjaśniające przeszłość, która przecież z teraźniejszością jeden łańcuch stanowi.

Dzisiejsza postać kraju, społeczeństwa, szybko się przeobraża: stanowisko na jakiém obecnie w Europie stoją sztuki, przemysł, handel, pchają nas w inne sfery. Od kilku dziesiątków lat, jakiżto krok zrobiliśmy, jakiżto przestwór dzieli nas od zeszłego wieku! Czy to przetwarzanie się ludzi i ziemi niegodne jest badawczego spojrzenia? czy pracę tę mamy zostawić następcom, ażeby znowu tak jak my śród ciemności macali, kiedy mogą widzieć wszystko jak w dzień biały?!.

Takieto myśli towarzyszyły mi w podróży, którą w końcu roku zeszłego, po kilku powiatach kraju naszego odbyłem; takie uwagi zachęcały, ażebym nie na same mury i martwe postaci patrzył, lecz i na ludzi; niepomijając ubiegłych wieków, teraźniejszości nie zaniedbywał. Spieszyłem też do świątyni nietylko żeby obejrzéć jéj ozdoby, znajdujące się tam grobowce; ale często dla towarzyszenia ubogiemu ślubowi wiejskiéj pary, pogrzebowi kmiotka, lub zanoszenia kornych modłów wraz z prostym ludem, o odwrócenie plagi w uroczystym hymnie: „Święty Boże, święty mocny.“ Chętniéj i częściéj wstąpiłem do chatki niż do dworu, bo tam mnie nęcił świat mało znany, i niekłamane życie. I któżby z nas pominął w romantycznéj okolicy zamek, co gruzami świadczy jeszcze albo o dumie, lub potędze swego założyciela; ale i krzyż świeżo wbity przy drodze, z prostym napisem jak ręce, które go wzniosły, — nowo zbudowana nad rzeczułką kapliczka, także nie były mi obojętne, bo to są wymowne znaki, któremi lud okoliczny trąca o serce i myśl przechodnia.

Tym sposobem podróżując, zapełniała się teka pamiątkami, postrzeżeniami o naszéj krainie i ludziach. Myślałem téż sobie: niech inni uganiają się po dalekich, cudzych stronach, dla odgrzebywania przedmiotów, niemogących nam ani blasku dodać, ani przysporzyć pokarmu, któryby się stał ciałem; a ja

wolę zająć się żyjącemi współbraćmi, tém co jest, ażeby nie stać się podobnym do owego panka, co umiał wyliczyć od pięciu wieków swych antenatów, a własnych dzieci nie znał.

Radom.

Piérwsze miasto w którém się przydłużéj zatrzymałem, był na mojéj drodze Radom. Gdybym zapragnął szeroko rozwieść się o nim, zwłaszcza zaczynając od owéj epoki, kiedy powstający gród nazywano *Rad-dam*; tobym nie o jednę stronicę mój pamiętnik powiększył. Ale poprzedni wędrowcy, mianowicie szanowny autor Podróży archeologicznéj, wyręczyli mnie już w téj mozolnéj pracy, i świat uczony wié, co istniało kiedyś w Radomiu, i czém on był przed laty. Żałuję, że oczekiwania niektórych zawiodę, nie dorzuciwszy ani jednego ziarnka do ważnych odkryć z przeszłości, przez moich poprzedników dokonanych. Ażeby jednak choć w części oddać hołd bożyszczowi nowości, i sam z sobą sprzecznym nie pozostać; rzucę tu kilka uwag i spostrzeżeń o tegoczesnym Radomiu, a raczéj o jego społeczeńskiém życiu, które zaprawdę na niejaką uwagę zasługuje.

Podróżny piérwszy raz przybyły do Radomia, ujrzawszy jego zewnętrzną stronę, domy w nowéj szacie, chodniki flizami wysłane, sklepy i ludność tameczną, pytałby z zadziwieniem: gdzie się podziało miasto historyczne, gród pełen pamiątek. Wszystko tu tchnie teraźniejszością, i gdyby kilka szczerb nie biło w oczy, oraz dwie świątynie, co jak anachronizmy między dzisiejszemi budowlami wyglądają, rzekłbyś wędrowcze, że Radom dopiéro od wczoraj istnieje. Miasto na nowo wiek dziecinny przebywnjące, anatomizować, nieszczęście to pole.... Zobaczmy jednak, czy się nie da o niém coś powiedzieć.

Chcąc badać jaką społeczność, oznaczyć jéj cechy, fizyonomią: musimy naprzód dowiedzieć się, z jakich składa się pierwiastków. Rozbiór taki mimowolnie pociąga na pole historyczne, chociaż go unikać szczerze postanowiłem. Wiadomo, czém Radom był przed czterdziestą laty; przy szczęku oręża nie można było myśléć o podźwignieniu miasta, które już dawniéj konać zaczęło. Po roku 1815 wprawdzie od śmierci ocalone zostało, minęła szczęśliwie zgubna tymczasowość;

ale za to ówcześni mieszkańcy odetchnąwszy na łonie pokoju, zasypiali sobie snem sprawiedliwego. Byłato jednakże epoka ważna dla Radomia, bo nowéj kolonizacyi, założenia fundamentów dzisiejszéj społeczności.

Po roku 1831 kiedy miasto zostało połączone drogą bitą z Warszawą i Kielcami, a przez szosę fabryczne i lubelskie z dalszemi punktami kraju; życie i ruch stopniowo rozrastać zaczęły. Lecz prawdziwa era dla Radomia liczyć się powinna od chwili zlania się dwóch gubernij w jednę, i ustanowienia tutaj stolicy, która zasiliwszy się częścią ludności kieleckiéj, przez skupienie interesów dość rozległego terytoryum, a ztąd napływu ziemian, szybko, prawie magicznie co rok się powiększa. Ale ponieważ główną przyczyną tego wzrostu miasta i ludności są magistratury, siedlisko tu mające: to téż warstwa rodzin urzędników, stanowczo nad inne przeważa. Z dawniejszych mieszkańców Radomia ledwie szczątki pozostały: wszystko jest tu świéże, napływowe, i téj przyczynie winien on swą zewnętrzną postać, a w części i wewnętrzne życie.

Wielokrotny, a niekiedy i przydłuższy pobyt w Radomiu, nastręczał mi sposobność czynienia spostrzeżeń nad zewnętrznym i wewnętrznym jego rozwojem. Lecz ileżto okoliczności uchodzi uwagi podróżnego, które tylko miejscowemu mogą być wiadome! Dlatego, co do wewnętrznych cech tameczněj społeczności, o które mi więcéj idzie, wolę się ograniczyć na obserwacyach mojego przewodnika, którego stanowisko w towarzystwie radomskiém, dało mu większe prawo do ocenienia swych współmieszkańców, a znany mi jego charakter jest rękojmią, że to, co mi udzielił, nie nosi skazy uprzedzenia.

Ludność Radomia, jak ci to już wiadomo, mówił mój przewodnik, składa się z warstw napływowych, a przeważnie urzędniczéj. Główna ta arterya nadaje ruch i życie naszemu miastu: wszystko téż układa się tu stosownie do bytu i potrzeb téj klassy, bo Radom z powodów miejscowych, ani handlem na zewnątrz, ani przemysłem się nie wznosi. Przybysze gdzieindziej już ukształceni, szybka i częsta kommunikacya z Warszawą, konieczność życia według form panujących: to sprawiły, że raz wszedłszy na drogę naśladownictwa, dotąd z niéj się nie cofnęliśmy. Modelowanie to na wzór Warszawy, co każdego uderza, kto tylko raz widział nasze miasto, nie uważam za naganne,

gdyby tylko kończyło się na formie, i gdybyśmy was we wszystkiém odwzorować mogli, co jest niepodobnem.

Że i wy zapatrujecie się na obce wzory, to wypływa z waszego stanowiska, jako miasta pod względem sztuk, handlu, przemysłu całemu krajowi przewodniczącego; ale przyswajanie obczyzny nie zmienia waszej treści, i Warszawa zawsze będzie mieć swój typ właściwy. Teatr, maskarady, bale publiczne, owę stronę zewnętrznego życia, urządzacie po swojemu, nie naśladując zabaw Wiédnia lub Paryża.

Że w naszym Radomiu, cukiernie, sklepy, warsztaty, usiłują stroić się pozorem; że, dzięki opiece rządu, zbudowaliśmy resursę, stały przybytek dla sztuki dramatycznéj urządzamy, nikt tego nie zgani, owszem każdego to pocieszać winno; ale niechże miejsca publicznym zebraniom poświęcone, a od was pożyczone, będą téż podobne nietylko formą, ale i treścią. Resursy warszawskie noszą oddawna godło przyjacielskiéj zabawy; kto tam do niéj przypuszczony, już staje się uczestnikiem zupełnym, niejako członkiem jednéj rodziny. Subiekt z handlu, jeżeli posiada zaufanie pryncypała i stosowne wychowanie, toż aplikant biurowy, wybiera sobie tancerkę według upodobania lub pociągu serca. U nas od razu poznasz dwa obozy, które się tylko przy kielichu jednoczą.

Ogród Saski, a obecnie dwa instytuta wód mineralnych, to prawdziwa wystawa, gdzie centofolia, ta królowa kwiatów, nie razi polnego kwiatka. U nas często publiczny ogród pusty, choć przyjemna pora wyzywa do przechadzki, bo wolimy zostać w domu, lub usunąć się daleko za miasto, aby nie być narażonym na upokorzenie z powodu toalety, która niezawsze może iść w parze z wymaganiami mody. A widziałeś jak się ubierają nasze panie na ranną mszą do fary, nawet na targi; to téż co do stroju śmiało one z waszemi rywalizują. Uroczystości takich, jak wianki, lub Bielany, nie znamy: pora letnia dla nas nie ma żadnego uroku, bo w niéj ani miasta, ani wsi nie reprezentujemy.

Do zajęcia jakiegoś stanowiska w naukowym i artystycznym świecie, wprawdzie nateraz nie możem mieć pretensyi; nie idzie za tém przecież, abyśmy chleba duchowego, jak niestrawnéj potrawy wystrzegać się mieli. Wprawdzie nie jeden europejski artysta odwiedził Radom, bo miał wprzód zapewnione honoraryum. Szliśmy więc na koncert z urzędu, i biliśmy

w dłonie, ale czy z przekonania?— nie; czy z uniesienia nad sztuką?—i to nie: poklaskiwaliśmy dlatego, że tak Warszawa pierwéj robiła. I u was się zdarza, że się pchacie na koncerta cudzoziemców, którzy wam wylegitymowali się pochwałami gazeciarskiemi z góry zapłaconemi, lub przywieźli polecające listy z Paryża; ale chwilowy zapał znika, skoro cząstka zdrowo sztuki pojmująca, wyrzecze swe zdanie. W Radomiu mieć go nie wolno; i nic pocieszniejszego nad owe artykuły w Kuryerze zamieszczane, które niby mówią w imieniu ogółu, a ten o swój sąd bynajmniéj się nie troszczy.

Na książki naukowe nie znalazłbyś tu dziesięciu prenumeratorów. Do porządnéj i stałéj księgarni przyjść nie możemy, dzienników mało kto trzyma, bo je czytamy po handlach lub cukierniach, gdzie nas wabi bawarskie piwo, także produkt warszawski. Niedawno słyszałem ognistą sprzeczkę o to, któremu z miast gubernialnych należy się chwała piérwszeństwa sprowadzenia tego napoju. Większość obstawała za Radomiem.

Że u nas są ludzie z głową i sercem, tego nikt nie zaprzeczy; boć monopolu na rozum i talenta żadne miejsce nie zyskało. Chciałbym tylko, ażeby zdolność została uznaną w każdym, co ją ma istotnie. Tymczasem widzimy i uznajemy talenta w stosunku stopnia zajmowanego w społeczeństwie.

Cecha ta nie dozwala się zlać Radomianom w jednę całość, chociaż wszyscy nie jesteśmy obcy dla siebie. W domach więc musimy się ograniczać na pewnéj koteryi; że zaś natura ludzka nie da się złamać żadną konwencyą, więc handle, restauracye, a teraz resursa, stały się ogniskami zebrania, gdzie szukamy przyjemności, załatwiamy interesa, kojarzemy małżeństwa. Z czasem Pawlikowski będzie tém dla Radomian, czém Król dla Berlinczyków.

Ponieważ o kojarzeniu małżeństw wspomniałem, muszę więc z dumą powiedzieć, że kawaler stary niemałą u nas jest rzadkością. Młodzieniec mający jakie-takie utrzymanie, który nie chce wędzić się w dymie tytuniowym, wycierać cudzych kątów, żyć jak nomada, sam lgnie do małżeństwa. Tak usposobiony kawaler do wzięcia, wnet zdradza się przed matkami otoczonemi kilką córami, a mającemi niezłomną chęć zostania mężatkami. Od chwili więc objawienia się téj chęci, rozpoczyna się polowanie na młodzieńca, które zwykle dla zamknięcia

gęby nowinkarzom, wkrótce kończy się aktem ślubnym. Pewna liczba swatek, których nigdy nie brakuje na prowincyi, zakłada obławę i na takich, którzy jeszcze nie wzdychają do spokoju domowego; z tymi sprawa jest trudniejsza, ale zawsze kończy się zwycięztwem kobiét. Na pochwałę naszéj młodzieży muszę tu przytoczyć, że wzajemna skłonność główną gra rolę w zawieraniu małżeństw, i w tym względzie nie naśladujemy ani Warszawy, ani naszych sąsiadów wieśniaków, którzy znowu na majątki polują. Tym sposobem młodzież tutejsza krótko używa swéj wiosny, i nie brudzi jéj ani towarzystwem kawiarnianem, ani spekulacyami niegodnemi poczciwego serca.

Oto jest nasza strona wewnętrzna i zewnętrzna; i jeżeli obrazek dopiéro skreślony bije jaskrawemi kolorami, jeżeli postaci nasze są trochę blade, a przy domowych ogniskach wyglądamy więcéj na wieśniaków, niż miastowców: to nie nasza wina, ale stanu przechodniego, w którym dążymy do celu oznaczonego przez Opatrzność. To tylko muszę dodać, że nie pozbywszy się mimo naśladownictwa cech wieśniaczych, nie zatarły się téż u nas szczerota i gościnność, które już powoli i na prowincyi znikają. Jeżeli nadal będzie wciąż przyświecać szczęśliwa gwiazda Radomiowi jak dotąd, jeśli nie wykroczymy z drogi skromnéj zamożności: to miasto nasze może wyrość na malutką Warszawę, któréj miano przedmieścia dziś nosi.

Podziękowałem mojemu sprawozdawcy, którego uwagi spisawszy, wiernie podaję, i spieszę daléj, aby wam inny świat, innych ludzi pokazać. Wprawdzie naszę krainę obsiadło jedno plemię; kto jednak wpatrzy się bliżéj, to łatwo dostrzeże, iż każdy powiat, każda niemal okolica ma swą oddzielną postać, a czasem i uderzające różnice.

Wartkie konie, kierowane zręczną prawicą chłopaka, przebranego po krakowsku, unosiły mnie po równinach radomskich w stronę Zwolenia. W piękny dzień chylącego się lata, pożegnałem Radom, którego domy powoli przed mym wzrokiem bladły, i tylko wieża farna, jak wiekowa strażnica, rysowała się dobitniéj na błękicie nieba. Każdéj chwili byłem bliżéj ojczyzny Kochanowskich. Jakażto różnica dzisiejszéj wędrówki, od czasów śpiewaka z Czarnolesia, kiedy okoliczna szlachta zbierała się do Radomia na roki! Wówczas trzeba było sarmackiéj odwagi, ażeby przebyć drogę kilkomilową, zwłaszcza

w porze jesiennéj, lub na wiosnę, o którą nikt się nie troszczył, nikt za złą nie uważał. Zdziwiłby się poczciwy Jan, widząc mnie pędzącego po bitym gościńcu z szybkością, któréj w owych czasach tylko możni pankowie dozwalać sobie mogli.

Ależ pilno mi było ujrzéć Zwoleń, gdzie spoczywają kości ojca naszych wieszczów; Czarnolas, Sycynę, gdzie dwaj bracia siedząc na rodzinnych niwach, napawali się ich urodą, czerpali z nich natchnienie, ażeby zaśpiewać ziomkom w języku, którym do ich czasów tylko lud pospolity, wieśniaczy, swą miłość i troski wypowiadał.

Każda piędź ziemi zbliżająca mnie do miejsc wiekami uczczonych, natchnęła mnie dziwném uczuciem. Ni to radość, ni boleść tętniła w duszy, a jednak jakiś ciężar zaległ piersi. Gdzież jestem? — pytałem siebie i mego towarzysza podróży. Jak zasięgły oczy, wszędzie równiny o niewielkiéj płodności świadczące. Tu i owdzie stały jeszcze blade owsy, a jakaś chorobliwa zieloność opustoszałych niw nie nęciła oka. Przerzedzony las nudził jednostajnością, dymiące ogniska przy brzegach wiosek, rozstawione gęsto krzyże, i kmiotek ze zwieszoną głową do chałupy wracający: — niebardzo powabną całość przedstawiały.

Gdzież się podziały owe chlebodawcze niwy, barwiste łąki, pełne śpiewaków lasy, które tak znęciły do siebie Jana, że na ich cześć zabrzmiał hymnem; a osiadłszy na lubéj wiosce, nie chciał się z nią więcéj rozstać, i dlatego nie przyjął w swój ukochany domek dumnego kasztelana, bo uważał się dość bogatym, żeby pogardzić dochodami opata? Czy to przemysł i tegoczesne praktyki rolników, ogołociły tutejszą okolicę z wdzięków, z tego uroku, który niegdyś Kochanowskich w dziedzinę poezyi unosił, serdeczną miłością ku sobie zapalił? Ależ najcudniejsza okolica nie natchnie poezyą, nie stworzy poety, jeżeli w jego duszy świat ten nie znajdzie odbicia, w cudniejsze szaty go nie oblecze.

I w dniu méj wędrowki, słońce kryjąc się za bór, przyświecało schyłkowi lata. Promienie jego jak przed wieki i dziś ozłacały kończyny drzew i kwiatki, które ze schylonemi główkami czekały wieczornéj kąpieli. Polne koniki tworzyły wielki chór, muzykę niw, przerywaną echem dzwonka, zwołującego

chłopków na Anioł Pański. Gromadki wiejskiéj gawiedzi spieszyły pod krzyż świéżo wbity przy drodze. Zsiadłszy z wędrownego wózka zbliżam się do nich, ażeby odśpiewać himn „Kto się w opiekę poda Panu swemu" i litanie, które mnie tam aż do zmroku zatrzymały.

Obok krzyża klęczała niewiasta, ze wzrokiem w pogodny błękit niebios utkwionym: to modląc się ze łzami, to ciężko wzdychając. Dawno już odeszli do domów wieśniacy, a ona klęczy jak posąg przy krzyżu postawiony. Idę do niéj i pozdrowiwszy słowem bożem, pytam: na jaką pamiątkę ten znak zbawienia świéżo wzniesiono? Kobieta spojrzała na mnie łzawém okiem, a potém rzekła:

— Alboż pan nie wiész co się dzieje w naszéj wiosce?

— Moja matko, ja nie z tutejszéj okolicy— odpowiedziałem.

— Panie, tu przychodzim modlić się nad grobem ojców, matek, dzieci, i prosić Boga, aby się już zlitował nad nami. Ja więcéj żebrzę od innych, bom wszystko straciła: jestem teraz sierotą.

— Bóg dobrotliwy nie opuści proszących—odrzekłem.

— Tak panie, Bóg nikogo nie opuszcza, kto się doń udaje. Nie było chałupy, żeby jéj panująca choroba nie nawiedziła; przyjechał doktor z lekami, nic nie pomogło: uradziliśmy więc postawić tu krzyż i co wieczór mówić litanie. Jakby ręką odjął: odtąd nikt we wsi nie zachorował. Bóg téż jest jedynym lekarzem, opiekunem naszym, on i mnie, sieroty, nie opuści.

— Nie opuści, odezwał się starzec na kuli, który zbliżywszy się do niewiasty, przycisnął ją do piersi. Kobieta rzuciła się w jego objęcia, i ze łzami ręce jego całowała. Byłto ojciec chrzestny płaczącéj, o mil kilka mieszkający, który dowiedziawszy się o jéj sieroctwie, przyszedł zabrać ją do siebie.

Oto jest wiara i szczerota naszego ludu. Widząc tak piękny i żywy jéj przykład, błogi spokój zawitał do méj duszy; serdecznie uścisnąłem poczciwą prawicę starca, która chętnie się dzieli kawałkiem chleba z biedniejszym od siebie, i tém większa chęć ogarnęła mnie zbliżenia się do tego ludu, co wiarę umié łączyć z uczynkami.

Pożegnawszy poczciwych kmiotków, ruszyłem w dalszą drogę, i późno w nocy dotarłem do Zwolenia, do którego z takiém upragnieniem dążyłem.

Zwoleń.

Zaledwie piérwszy blask wschodzącego słońca zajrzał do mojéj izdebki w gościnie, a już pobiegłem do miasta obejrzéć jego posadę, rozległość, następnie kościół zwoleński, który nie swą starożytnością ani téż architekturą wabił mnie do siebie, ale miejscem, gdzie Kochanowscy za życia wznosili modły do Przedwiecznego, a po śmierci ich zwłoki złożono. Nim świątynią otworzono, miałem czas przypatrzyć się jéj zewnętrznéj stronie. Stare drzewa pamiętające może wiek niemowlęcy śpiewaka z Czarnolasu, ocieniają kościół skromnéj postaci. Styl budowy prosty bez żadnych ozdób, jak wiele świątyń sielskich, świadczy o niezamożności fundatora; zwłaszcza w epoce, kiedy tyle wspaniałych bazylik wznoszono. Tylko prezbiteryum jest wymurowane z cegły, a reszta z kamienia.

Sygnaturka zwołująca pobożnych na mszą świętą, dała i mnie znak, że mogę wejść w progi kościoła. Pospieszyłem doń z bijącém sercem, szczęśliwy, że mogę ukorzyć się przed Stwórcą tam, gdzie nasz wieszcz niegdyś śpiewał himny na cześć Pana nad Pany, w rodowéj mowie przez niego ułożone. Po nabożeństwie z tęsknotą szukam pamiątek, których żadnemu wędrowcowi pomijać się niegodzi. Wzrok mój daremnie ich szuka w kościele; ale przeczucie wiedzie mnie do kaplicy, która miano Kochanowskich nosi, i tam spotykam się z szlachetnemi rysami Jana, owego kochanka muz, które choć w zimnym marmurze oddane, jednakże do duszy nieobojętnego przychodnia silnie przemawiają. Ile tylko zdarzyło mi się widzieć wizerunków przedstawiać mających oblicze naszego poety, czy dłutem, czy rylcem wykonanych, ani jeden nie był podobny do tego, który tu w nagrobku znajduje się. I żaden téż z artystów nie zadał sobie trudu skopiować popiersie z tutejszéj kaplicy, choć to uwagę ich zwrócićby powinno, jako prawie współczesne, albo zaraz po śmierci Jana wykonane. Jabym więcéj wiary przywiązywał do popiersia nadgrobowego, szukał w niém więcéj podobieństwa, bo artysta dłutujący postać i oblicze wieszcza znał go zapewne, i żyjące rysy starał się w marmurze naśladować. Ztąd téż mamy wiele wizerunków Jana z Czarnolasu artystycznie wykończonych, ale idealnych. Wszakże i tu widziałem staro-szlachecki typ, opro-

mieniony wiedzą ducha, myśl bijącą z czoła; artysta rzeźbiarz okazał się godnym takiego dzieła.

Jak skromne było całe życie poety, takim jest i jego grobowiec. Wszedłszy do kaplicy, uderzają nas naprzód inne pomniki rodziny Kochanowskich; Jan ukrył się w półcieniu. I mnie się to przytrafiło, żem go odrazu nie znalazł; grobowiec bowiem umieszczony jest dość wysoko między dwoma oknami, które mu światła nie użyczają; nie tak bardzo jednakże, aby bez pochodni rysów rozpoznać, i napisu odczytać nie można było. Nagrobek naszego poety jest w kształcie niszy, z ramami cokolwiek nad powierzchnią muru wysuniętemi, cały z czerwonego chęcińskiego marmuru, z którego też i popiersie aż do pasa w niéj się mieści. Ażeby uwiecznić pomnik wieszcza, który, jak wszystkie rzeczy na świecie może uledz zatraceniu; warto wiernie go przekopiować, bo z niego o postaci i rysach Jana najlepsze można powziąć wyobrażenie. Dla dopełnienia zaś, choć znany już zkądinąd napis na grobowcu, zamieszczam:

Joannes Kochanowski Trib. Send.
Hic requiescit,
Ne in salutata preterit hospes eruditus
Ossa tanti viri,
Cujus apud mentes elegantiores memoria,
Vigebit sempiterna,
Hoc marmor indicio esto.
Obiit anno 1584 die 22 Augusti
Aetatis 54.

Co znaczy po polsku:

Jan Kochanowski wojski sandomierski
Tu spoczywa.
Ażebyś nie pominął bez uczczenia, gościu oświecony,
Popiołów takiego męża,
Którego pamięć u wykształconych umysłów
Żyć będzie wiecznie;
Ten marmur niech zostanie wskazówką.
Zszedł w 1584 dnia 22 sierpnia
w 54 roku życia.

Pod tablicą, powyższy napis zawierającą, umieszczony jest herb Kochanowskich, Korwin. Skutkiem czasu, lub nieostrożności, popiersie Jana cokolwiek jest uszkodzone; ale jest nadzieja, że jeżeli tacy proboszcze zawiadywać będą kościołem w Zwoleniu, jak dzisiejszy pasterz a zarazem dziekan,

to w stanie obecnym nagrobek, a z nim i rysy poety, na długie wieki bez skazy przechowane zostaną. Od wyliczania innych grobowców w téjże kaplicy nateraz wstrzymuję się, bo piérwéj opiszę wam historyą całego kościoła, w części z kroniką miasta związaną, którą na zasadzie akt miejscowych, ksiądz Woźnicki dziekan i proboszcz tutejszy, łaskawie udzielić mi raczył.

O pierwotnym fundatorze świątyni w Zwoleniu nie można powziąć żadnéj wiadomości z akt kościelnych, na gruncie znajdujących się, bo ten dom modlitwy oryginalnéj erekcyi nie przechował. Równoczesna ona jest albo starsza od posady samego miasta. Piérwsza wzmianka o zwoleńskim kościele jest dopiéro pod r. 1440 w księdze: *Beneficiorum diaecesis Cracoviensis*, która mówi, iż drewniana świątynia pod tytułem: Śgo Krzyża i Św. Katarzyny Panny, parafialna, do Najjaś. królów polskich należy. Druga wzmianka pod r. 1529 w *Liber retaxationum beneficiorum diaecesis Cracoviensis* wspomina tylko, iż tutejszy kościół parafialny do dekanatu radomskiego należy, i że ks. Stanisław Trąpski był podówczas proboszczem; ale szczegółów o saméj świątyni żadnych w księdze téj nie zanotowano.

Dopiéro z wizyty kościelnéj parafii Zwoleń pod r. 1565 dowiadujemy się, że kościół zwoleński po spaleniu chóru czyli presbiteryum przez mieszczan z cegły, resztę zaś z kamienia odbudowany, ale nie poświęcony został. Ma jednak pozwolenie celebrowania. Należy do kolatorstwa króla. Plebanem jest Jan Kochanowski (1) przełożony poznański, nie poświęcony, ani w swém probostwie nie mieszka. Dom téż plebański w zaniedbaniu, godziłoby się téż lepiéj uposażyć plebana. Wikaryuszem jest Stanisław z Bartodziei, a razem kommendaryuszem, ale bez upoważnienia na piśmie *(sine scripta comenda)*, i Mateusz z Zalesia. Heretyk w parafii znajduje się jeden, Łukasz Daniel Gupalski. Wizyta ta nie znajduje się w aktach kościoła, i autorka dzieła: Jan Kochanowski w Czarnolesie, nie przytacza źródła zkąd ją wzięła.

(1) Wiadomo, że Kochanowski otrzymał dochody z probostwa tutejszego, które jednak wkrótce ustąpił jako niezgodne z jego stanem. Przytoczony wypis przekonywa, iż wypadek ten miał miejsce w 35 roku życia naszego poety.

Mimo téj wiadomości, kościół po spaleniu nie był cały murowany, tylko prezbiteryum wystawiono z cegły, a resztę nawy dokończono z drzewa. W lat 30, tojest pod r. 1595 wyczytać można z innéj wizyty, że świątynia w Zwoleniu była już cała murowaną, ale kiedy i przez kogo poświęconą, śladu w aktach nie ma; wiadomo tylko, że dzień poświęcenia obchodzi się w piérwszą niedzielę po św. Michale.

Na tém skończyć muszę historyczną część samego kościoła, bo papiery i metryki miejscowe, więcéj wiadomości nie dostarczają. Dodam tylko, że świątynia w Zwoleniu bardzo skromna, trzyma długości łokci 50, szerokości 15, wysokości 10. Oświetlona od południa 3, a od północy dwoma oknami. Sufit stary stanowi podsiebitka drewniana z belkowaniem. Ołtarzów w kościele jest trzy, jakoto: wielki, kosztem przeszłego proboszcza ś. p. ks. Wojciecha Grzegorzewskiego wystawiony, w którym mieści się obraz Pana Jezusa na krzyżu, dobrego pędzla. Wychodząc z prezbiteryum, znajdują się po bokach dwa ołtarze: po prawéj stronie Matki Boskiéj Różańcowéj, po lewéj zaś Opatrzności Boskiéj. Na chórku znajduje się pozytywka; posadzka ułożona z kamienia.

Przejdźmy teraz do kaplic, o których więcéj powiedzieć potrafimy. Jak już wspomniałem, po lewéj stronie znajduje się kaplica imienia Kochanowskich. Wystawiona została przez Mikołaja stolnika sandomierskiego, sekretarza Jego król. Mości, dziedzica wsi Sycyny. Nie można z pewnością oznaczyć roku jéj wybudowania, ale musiało to nastąpić najmniéj na lat 50 przed spisaniem erekcyi, skoro Jan Kochanowski, zmarły r 1584, umieścił w niéj pomnik dla swych rodziców. Erekcya kaplicy téj spisana była r 1633, a w następnym zaraz potwierdzoną przez Jana Alberta kardynała, administratora biskupa krakowskiego, poświęcona zaś przez Walentego Lubienieckiego (episcopus Bachomensis in partibus infid.). Żona fundatora Katarzyna z Jasieńca, zmarła w r. 1603, ma tutaj swój nagrobek przez synów wystawiony: gdyby ich przywiązanie zrobiło toż samo i dla ojca, lub gdyby metryki i akta kościelne znajdowały się w porządku, łatwiéjby mi było wyśledzić choć przybliżoną datę budowy téj kaplicy. Nie mogąc tą wiadomością historyi kościoła dopełnić, wolę wam opisać postać i pomniki w niéj się znajdujące.

Kaplica Kochanowskich murowana w kwadrat, ze sklepieniem półokrągłym w kształcie rotundy, szeroka i długa jest łokci 10. Oświetla ją dwa okna, w ścianie lewéj od ołtarza wybite, pomiędzy któremi nagrobek Jana znajduje się; prócz tego cztery okienka w rotundzie umieszczone. Wielkie drzwi na kształt bramy gotyckiéj prowadzą z kościoła do kaplicy. Przy wschodniéj ścianie stoi ołtarz bardzo skromny, a w nim obraz Św. Franciszka, stary i miernego pędzla. Ściany i rotunda niegdyś były alfreskami ozdobione, obecnie ledwie już ślady pozostały. Posadzka ułożona jest z kamienia, a dach pokryty gontami; po prawéj stronie ołtarza stoi chrzcielnica z kamienia piaskowego.

Z tego opisu widać, jak skromne i ubogie jest miejsce, gdzie w nagrobkach została pamięć dwóch braci poetów, oraz ich rodziny, a w sklepach pod kaplicą znajdujących się, śmiertelne szczęty złożono. Wiedziony gorącą żądzą ujrzenia tych miłych zabytków, byłbym odważył się prosić o otworzenie grobu Kochanowskich; nieobecność tylko dziekana i rządcy kościoła, zamiarowi temu na przeszkodzie stanęła. W kaplicy téj znajduje się wmurowanych 5 pomników; z tych piérwszy naprzeciwko drzwi Jana Kochanowskiego, który jak mogłem najdokładniéj przedstawiłem. W ścianie przeciwległéj ołtarza jest ich trzy, mianowicie:

I. Na tablicy z czerwonego marmuru wyryto napis:

D. O. M.
Adamus in Sicina et Cechow haeres Kochanowski,
Judex terrae Lublinensis.
Qui
Dum in vivis existens, alios judicasset.
Hic
Universum Judicem expletis LXIII
Vitae suae annis expectat.
Cui
Nicolaus et Adamus Kochanovii ex fratre
Nepotes mestissimi hunc lapidem memoriae
erga posuerunt. Anno Dni 1628.

Co znaczy po polsku:

Bogu Najwyższemu.
Adam na Sycynie i Czechowie dziedzic Kochanowski,
Sędzia ziemi lubelskiéj,
który
Za żywota swego innych sądząc

Tu
Powszechnego sędziego, po spełnieniu 63 lat
życia swego, oczekuje.
Któremu
Mikołaj i Adam Kochanowscy, po bracie
Potomkowie najsmutniejsi, ten kamień jako pamiątkę
dlań położyli. Roku Pańskiego 1628.

II. Na drugiéj zaraz tablicy, także z czerwonego chęciń-skiego marmuru, taki napis położono:

D. O. M.
Avete animae unanimae.
Petro Kochanovio Terr: Sandom: Judici, et Annae
Białaczovie ejus conjugi, cum extinctis benefi-
cii auctoribusq tenuis admodum referendae gratiae
supersit ratio, Joannes Kochanovius parentibus
indulgentisq hunc lapidem jugibus rigatum lacrimis,
p (osuit). Obierunt, alter anno Chri (sti) XLVII
supra MD. aetatis suae anno LXII altera decimo
post quinquagenaria VI filiis et filiobus IIIIor
superstitibus.

A po polsku:

Bogu Najwyższemu.
Bądźcie pozdrowione wszelkie dusze.
Piotrowi Kochanowskiemu ziemi sandom. sędziemu, i Annie
Z Białaczewa małżonce jego, gdy po zejściu dobroczyńców
mała pozostała sposobność okazania im wdzięczności;
Jan Kochanowski rodzicom
najmilszym, ten kamień nieustannemi łzami skrapian7
Położył. Zeszli, piérwszy roku Pańs: 47 nad 1500
a wieku swego lat 62; druga w 10 lat
po pięćdziesięciu. 6 synów i 4 córki
zostawiwszy.

III. Nareszcie w téjże ścianie tablica z popielatego marmuru zawiera napis, więcéj od dwóch poprzednich interesujący, a ten jest:

Petro Kochanowski secretario Regio ad Divum
Franciscum Cracoviae sepulto, qui cum hoc
Sacellum argentea supellectili et acupictis
Tabellis, ac multa veste sacra ornavisset censu—
que annuo in perpetuum de suo auxisset,
ut ubi extant ejus pietatis monumenta,
ibi et ipsius extet memoria.
Adamus Kochanowski judex terrae Lublinensis
Fratri optimo posuit eodem, quo ex
hac vita excessit anno 1620 aetatis 54.

Co po polsku znaczy:

Piotrowi Kochanowskiemu sekretarzowi królewskiemu, u Śgo Franciszka w Krakowie pochowanemu, który gdy tę Kaplicę srebrnemi sprzętami i sztychowanemi Obrazami, jako też wielą poświęcanemi ubiorami ozdobił, i dochodem rocznym ze swego mienia opatrzył; Aby tam, gdzie istnieją pomniki jego pobożności, tam i jego pamięć istniała: Adam Kochanowski sędzia ziemi lubelskiéj, Najlepszemu bratu położył tego roku, w którym życie zakończył. Roku 1620, wieku 54.

Na wązkim murze obok drzwi do kaplicy prowadzących, jest jeszcze jeden nagrobek z czarnego marmuru z herbem, którego napis, jako przez nikogo nieogłoszony, tutaj dosłownie podaję, uzupełniając tym sposobem wiadomość o tak interesującéj rodzinie Kochanowskich.

Catarinae
De Jasieniecz Ni-
colai Kochanowski
De Sycyna conjugi. Ada-
mus et Petrus ex decem liberis
superstites filii, Matri optimae
Memoriae ergo posuerunt.
Obiit Anno salutis
1603 Aetatis 53 die
15 Junii.

Po polsku znaczy:

Katarzynie
Z Jasieńca, Mikołaja
Kochanowskiego
Z Sycyny małżonce,
Adam i Piotr z dziesięciu dzieci
Pozostali synowie, najlepszéj matce
jako pamiątkę położyli.
Zeszła z tego świata roku zbawienia
1603, wieku 53, dnia 15 czerwca.

Oddawna utrzymuje świat uczony, a między innemi i mój poprzednik w wędrówce p. Baliński, słusznie do niego należący, że Piotr Kochanowski wsławiony tłumacz Jerozolimy Tassa, był rodzonym bratem poety Jana; tymczasem przytoczone dopiéro napisy na nagrobkach rodziny téj, mniemanie uczonych widocznie zbijają. Weźmy tylko pod ścisły rachunek daty zejścia Piotra Kochanowskiego ojca 6 synów, do których dotąd liczono i tłumacza Tassa, a który według nagrobku przez

Jana rodzicom położonego, umarł r. 1547; daléj datę śmierci tegoż Jana, przypadającą na rok 1584 i wiek jego lat 54: to przykonamy się z tych liczb, że śpiewak czarnolaski urodził się w roku 1530, a zatém na 17 lat przed zgonem ojca; mógł więc być jego synem. To nie potrzebuje dowodzenia, bo on sam w napisie nagrobkowym powiada, i nie o Jana téż idzie, ale o uprawnienie synowstwa i braterstwa Piotra, który także mając lat 54 umarł r. 1620. Urodziłby się przeto w r. 1566, to-jest w lat 19 po śmierci swego ojca, co jak być nie może, tak téż on nie może być bratem Jana, bo przytoczony rachunek najoczywiściéj zdanie uczonych obala.

Wypisawszy nagrobki, powiém kilka słów o uposażeniu kaplicy, składającém się według oblatowanego aktu w grodzie radomskim *feria quinta post Puscha anno* 1633: 1) z kapitału złp. 4000 ubezpieczonego na dobrach Sycynie, z procentem po $7\frac{1}{2}$ od sta; co czyniło rocznego dochodu złp. 300. Tenże sam dobroczyńca, według aktu w r. 1655 w tymże grodzie oblatowanego, dodał summę złp. 2000 także na Sycynie zabezpieczoną. 2) Z domu mieszkalnego dla kapelana (podwójnego) 3) Z ogrodu warzywnego, około dwie morgi przestrzeni zajmującego.

Za te dochody kapelan obowiązany był: mieszkać ciągle przy kaplicy Kochanowskich, i utrzymywać podręcznego kapłana (et alterum manualem Presbyterum fovendi, słowa erekcyi). a ci kolejno odprawiać mieli co tydzień 6 mszy świętych na intencye poszczególe wskazane. Prócz tego aniwersarz za duszę Adama Kochanowskiego sędziego ziemi lubelskiéj, stryja fundatora, we środę po niedzieli w poście, zwanéj *reminiscere*, jako w rocznicę jego śmierci. Drugi aniwersarz powinien był odprawić w piątek *post dominicam misericordiae*. Po zaszłéj śmierci uposażającego, przybyły jeszcze do odprawienia dwie msze: tojest w rocznicę zgonu i pogrzebu.

Na żądanie ks. Minockiego proboszcza, biskup krakowski Sołtyk obligi te na dwie msze co tydzień zredukował, prawo kollacyi zachował fundator swoim sukcesorom płci męzkiéj, dziedzicom Sycyny; gdyby zaś ta wieś przeszła w inne ręce, to dwóch z familii Kochanowskich z linii ojcowskiéj, najbliżsi, a rzeczypospolitéj najzasłużeńsi, mają prawo prezenty. Gdyby i tych niestało, znakomitsi potomkowie po kądzieli, w razie zaś zupełnego wygaśnięcia rodziny Kochanowskich,

(quod malum Deus avertat, mówi erekcya), prawo kollacyi powraca do dziedziców Sycyny.

W téjże wsi była kaplica domowa, za przywilejem papieża Pawła V wystawiona, a zwiedzona przez Piotra Tylickiego biskupa krakowskiego. Kapelan w Zwoleniu, z funduszów powyżéj wymienionych utrzymywany, obowiązany był, ile razy po niego przysłanoby podwodę, jechać do Sycyny sam lub jego wikaryusz, i mszą świętą odprawić, spowiedzi Wielkanocnéj włościan słuchać; pogrzeby, chrzty, śluby, do niego téż należały. Gdyby kapelan nie dopełniał swych obowiązków, kollator miał prawo go napomnieć, i władzy duchownéj donieść, a nawet procentów nie płacić. Daléj, gdyby dom mieszkalny kapelana z czasem uległ zniszczeniu: dziedzic Sycyny obowiązany go naprawić, lub odbudować. Zresztą kapelani téj kaplicy, w niczém praw proboszcza zwoleńskiego naruszać nie mieli, i owszem, w czasie uroczystych nabożeństw asystować mu powinni byli. Oto jest treść fundacyi kaplicy Kochanowskich, która miała swój oddzielny ze cmentarza wchód, apparata, kielichy, i t. p. znacznie przez Piotra Kochanowskiego tłumacza Jerozolimy przysporzone.

Niedługo jednak Sycyna, po wystawieniu kaplicy w Zwoleniu, zostawała w dziedzictwie Kochanowskich, bo w r. 1701 *feria V ante festum St. Mariae Magdalenae*, w grodzie radomskim zapisana została na fundusz kaplicy tutejszéj summa złp. 1000 przez Macieja Łajszczewskiego podkomorzego sochaczewskiego, dziedzica Sycyny. Powiększenie funduszu, zdaje się, iż nie musiało wystarczać na utrzymanie kapelana, zwłaszcza tyle obowiązków mającego, kiedy w r. 1715 fundusze kaplicy i obligi do probostwa zwoleńskiego przyłączone zostały, jak świadczą akta miejscowe „*Prebendarius Capellae Kochanoviae, primus praepositus Zwolenensis, erat Ovanisiewicz, post longam vacationem jure devolutivo.*" Od tego téż czasu nie było już oddzielnego kapelana przy kaplicy Kochanowskich, lecz proboszcz miejscowy z wikaryuszami obowiązki te dopełniają.

Na przeciwległéj stronie znajduje się takiéj saméj struktury kaplica św. Stanisława, zwana także kaplicą Owadowskich, w r. 1644 przez Zuzannę z Owadowa wystawiona. Erekcya jéj zatwierdzoną była dnia 10 czerwca 1681 r. przez biskupa Małachowskiego. Kaplica ta mogłaby być także zwaną Ko-

chanowskich, albowiem fundatorka była wnuczką Jana z Czarnolasu. Procent od summy złp. 3500 po 8% złp. 280 rocznie czyniący, z których złp. 240 dla prebendarza, a złp. 40 na reparacyą kaplicy, pierwiastkowém był uposażeniem. Do tego w r. 1687 Marcin Zagórski dziedzic Grabowa, testamentem w Stężycy uczynionym, dodał summę złp. 1000. Prebendarz téj kaplicy obowiązany był za to odprawiać mszą co tydzień, za duszę Filipa Owadowskiego, i Ewy z Czarnolasu Owadowskiéj, rodziców fundatorki, a trzecią w sobotę *de beatidune Mariae Virginae*; nareszcie mszą świętą za duszę Elżbiety Zagórskiej małżonki testatora. Zuzanna w erekcyi zastrzegła, ażeby prebendarz żadnéj posługi duchownéj proboszczowi zwoleńskiemu nie czynił, chyba za oddzielną umową i wynagrodzeniem.

Piérwszym prebendarzem kaplicy św. Stanisława był Stefan Sianowski, instalowany w r. 1645, dnia 10 lutego. Późniéj nie ma śladu, aby przy téj kaplicy był utrzymywany oddzielny kapelan, któreto obowiązki pełnił zwykle proboszcz szpitalny. Dopóki nie ustanowiono podatku ofiary, utrzymywali się jakkolwiek z tych funduszów kapłani, ale od chwili obciążenia dochodów podatkiem, już nie znalazł się pretendent ani na kapelana kaplicy św. Stanisława, ani do probostwa szpitalnego; zarząd téż tych obudwóch beneficyj przeszedł do proboszcza farnego w Zwoleniu.

Na drodze od Radomia istniał za miastem kościołek drewniany pod tytułem św. Anny, wystawiony w r. 1597 przez mieszkańców Zwolenia. Przy tym kościołku był szpital dla ubogich mieszczan, których mieszkańcy żywić byli obowiązani, a kilkanaście morgów gruntu stanowiło utrzymanie proboszcza szpitalnego. Kościołek ten spalił się w roku 1800, i dopiéro w roku 1852, we wrześniu, w czasie grasującéj w Zwoleniu epidemii, lud strwożony, w Bogu tylko ufność pokładający, na cześć jego w témże samém miejscu, wystawił kaplicę murowaną, 9 łokci kwadratowych obszerną, a 6 łokci wysoką, w któréj ma być ustawiony ołtarz świętéj Anny i św. Rocha, patrona od powietrza.

Tyle o Zwoleniu pod względem religijnym; nadspodziewanie złożyło się więcéj, niż zakres mojego opisu wymagał; ale niegodzi się pomijać tego, co stanowi lube pamiątki, a dla następców ważne świadectwa. Akta kościelne mogą uledz zni-

szczeniu, jak się to stało do roku 1651 w Zwoleniu, tak, że dziś ani metryk, ani sepultur rodziny Kochanowskich odszukać nie można; ogłaszanie więc historyi i erekcyi kościołów, tych skarbców z przeszłości, znakomitą przysługę potomkom naszym przynieść może. Zapewne tą myślą powodowany szanowny ksiądz Woźnicki proboszcz i dziekan zwoleński, chętnie pospieszył z udzieleniem mi szczegółów, opartych na aktach miejscowych, które tu zamieściłem.

Z kolei zajrzyjmy do historyi samego miasta i jego obecnego stanu. Dyplomata i przywileje Zwolenia w oryginałach lub wiarogodnych kopiach, w czasie mej bytności, a podobno i dotąd, znajdują się w rękach adwokata p. Romanowskiego w Radomiu, złożone mu jako dowody do popierania procesu, który miasto prowadzi o las do mieszczan należéć mający. Nie mogąc więc z tych dokumentów korzystać, muszę się ograniczyć na kilku szczegółach historycznych, jako przyczynek do opisu Zwolenia w Starożytnéj Polsce, przez pp. T. Lipińskiego i M. Balińskiego w tomie II str. 444 zrobionego. I tu jeszcze akta kościelne dostarczają materyałów, w których zapisano następujące notaty, dopełniające w części kronikę Zwolenia:

Rok 1651 był bardzo ciężki, z powodu częstych łupieztw i egzekucyj tak od wojska polskiego, jako też niemieckiego albo szwedzkiego, toż i od Chmielnickiego spełniających, w czasie panowania Jana Kazimierza króla polskiego *szczęśliwie* (feliciter). Jako pamiątkę wielkiéj drożyzny zamieszczono notatkę o ówczesnych cenach zboża: korzec jęczmienia kosztował złp. 6, pszenicy złp. 8, żyta złp. 7.

Pod rokiem 1652 zanotowano: w sierpniu zaczęło grasować powietrze w Zwoleniu, jakotéż w okolicznych miasteczkach i wsiach. W samym Zwoleniu umarło około 600 osób, a może więcéj. Po powietrzu nastąpiło zaćmienie słońca 2 sierpnia 1654 r. i wielka opressya ludzi ubogich od żołnierza, oraz poborów wielkich w tymże roku. W r. 1655 jak wszystkich miast w dawnéj Polsce, tak i Zwolenia kronika smutny obraz tego czasu maluje. 2go sierpnia zapisano w aktach: „król szwedzki Karol Gustaw wojskiem swojém, po opanowaniu Wielkopolski, za przyczyną niektórych polskich senatorów, zajął Warszawę, a ścigając wojska nasze, kościoły zrabował, księży znieważył, miasta i wsie popalił, oraz wszelkie nieszczęścia na nas sprowadził.“

Pod rokiem 1699 w aktach zmarłych taka znajduje się notatka: „Tego roku wielki niedostatek i głód panował. Wojska saskie, przez Najjaśniejszego króla Augusta II, do województwa ruskiego i niektórych okolic wyludnionych, jakoteż do Litwy wprowadzone; równie i wojska polskie stojące na zimowych leżach w środkowych prowincyach królestwa, jeszcze większy głód sprowadziły. A rok ten średnio był urodzajny. Korzec żyta kosztował 17 do 18 złotych, jęczmienia 13, tatarki 12 do 13. W niektórych nawet okolicach od 6 do 7 mil odległych, korzec żyta od 24 do 26 złotych płacono.“

Zwoleń był niegdyś starostwem niegrodowém, złp. 16,000 intraty przynoszącém. W aktach kościelnych, oprócz powyższych notatek znajduje się wzmianka, iż w r. 1685 starostą zwoleńskim był Stefan Petra wojewoda i hospodar ziem mołdawskich. Znajduje się też herb jego, którym jest wola głowa z rogami w górę wzniesionemi, między niemi krzyż, a naokoło napis głagolicą dziś nieczytelny.

Dzisiejszy stan miasta, jakkolwiek na trakcie bitym położonego, niewielką okazuje zamożność. Ubogie domki, których jest do 300 smutną mu postać nadają. Żydzi, którym tu Stefan Batory w r. 1578 osiadać pozwolił, a Zygmunt III po spaleniu się miasta roku 1615 liczbę domów do 20 ograniczył, posiadają ich teraz większą połowę, i drobny handel i niektóre rzemiosła w ręku swem dzierżą. Już na przewagę Izraelitów uskarżali się chrześcianie w roku 1789, lecz nadaremnie.

Ludność Zwolenia składa się z 2,888 głów, tojest chrześcian płci męzkiéj 753, żeńskiéj 789, razem 1542. Żydów męzczyzn 665, kobiét 681, razem 1346. Jedynym wyrobem wychodzącym na handel, najwięcéj do Warszawy, jest posadzka, wyrabiana przez 13 stolarzy, tojest 9 chrześcian a 4 żydów. Krawców wyłącznie tegoż wyznania jest 10, szewców 11; z tych żydów 5, kowali 4, ślusarzy 2, stelmachów 4, rymarzy 3, garbarz 1 żyd, bednarzy 4, kotlarz 1. Żydów trudniących się handlem łokciowym 6, szynkiem trunków 14, żyjących z pożyczek na procent 4, cyrulików 3; browarów jest tu 2, dystylarni 2.

Nadto znajduje się doktor medycyny, apteka i akuszerka płatna z kassy miejskiéj, mającéj dochodu rocznego rs. 1718 kop. 31½.

Ale dosyć tych cyfr i statystyki, która lubo o stanie miasta najlepiéj przekonywa, częstéj jednakże przemianie ulega. Zwoleń téż na szczególną uwagę statysty lub ekonomisty nie zasługuje. Zebrawszy tedy co mogłem wiadomości o mieście i kościele, głośnym z przechowanych nagrobków rodziny Kochanowskich, o świcie pospieszyłem do Czarnolasu, aby tam, jako w siedzibie ulubionéj Jana, dopełnić wrażeń odebranych w Zwoleniu. Droga pełza po nieznacznych nierównościach i gruncie niewielce urodzajnym; niezbyt urocza okolica wiodła mnie do sioła, gdzie przed laty śpiewak tam mieszkający, nastrajał lutnię to dla zanucenia chwały Bożéj, to dla rozkwilenia się w smętnych rymach nad skonem swéj ukochanéj Urszuli.

Wiadomo mi było, że w Czarnolesie nie znajdę już domku Jana, do którego tak cudnie, rzewnie w ośmiu wierszach nasz poeta przemówił, ani onéj lipy, pod któréj chłodem dumał wieszcz-szlachcic: bo jednę świętokradzka ręka zniszczyła, w miejscu zaś drugiego, pobożna dłoń niewiasty, piękną kaplicę wzniosła. Nie kwapiłem się z ich oglądaniem, bo obojętną mi rzeczą było, czy mniéj lub więcéj przechowano sprzętów po Kochanowskim; ja chciwie szukałem téj ustroni, co tak silném przywiązaniem napełniła poetę, taki nań wywierała urok, że ten, co dni wiosenne życia spędził pod niebem Italii, nad brzegami Sekwany, na dworze królów, nie tęsknił za niemi, za wielkością, i wolał tu w ukryciu sielskiém śród rodziny i przyjaciół resztę chwil swego bytu przepędzić.

Ale czas i ludzie wszystko zmienią na téj ziemi. W miejscu domku Jana znalazłem gotycką kaplicę; gdzie niegdyś rosła lipa, stanął pomnik o niéj poświadczający; ogródek Kochanowskiego zmienił się w piękny ogród, ozdobiony oranżeryą, przy nim wzniesiono choć drewniany, skromny, ale zawsze pałacyk. I gdzież tu duch Kochanowskiego czerpał swoje natchnienia? czy w tym smętnym borze, czy w niwach, które trzeba uprawiać w pocie czoła, aby dały chleb powszedni? Są tak szczęśliwe miejsca hojną ręką we wdzięki od natury uposażone, nie brak ich nawet w Sandomierskiém, że dosyć mieć trochę uczucia nieskażonego obczyzną, ażeby natchnąć się ich urokiem, być dla siebie poetą. Kochanowski nie był tyle szczęśliwym w Czarnolesie, ale w duszy swéj posiadał skarb, niewyczerpany zasób czucia, że mu to starczyło za wszelkie powaby. On sam w sobie miał świat, a przywiązanie do strzechy

po ojcach odziedziczonéj, było tylko struną, w którą trącając tak miłe wdzięki wydawał. Miłość rodzinnéj ziemi, tęsknotę do niéj, mierność majątkową, ale nad wszystko swobodę, jaką wieś przynosi, nie w jednem miejscu nasz Jan opiewał; ale najlepiéj to, jak równie zkąd czerpał natchnienie, maluje w elegii XIII, kiedy się odzywa:

Pan ojczysty obsiewam, bądź mi dworze zdrowy!
Zwadne twe obietnice już wyszły mi z głowy.
Swoboda—to me skarby; czysty strumień w polu
Milszy od libijskiego bogactwa Paktolu.
Obcych skinień nie słucham, w drzwi się nie napieram,
Ani pleców za miękkich o ściany wycieram,
Do cudzéj woli mego czasu nie przyprawię,
I jak je myśl przynosi, tak godziny trawię.
Więc albo Sokratesa wartuję rozmowy
Które uczą i serce i umysł miécé zdrowy;
Lub słucham pieśni, jakie Sarmata wywodzi....

Ani się wstydzę drobne jagnięta hodować:
Gorzéj u mnie, u pańskiéj klamki gdzieś wartować.
Rolnik pokarm żołędzi na lepszy zamienił,
Pola żniwami okrył, sady rozzielenił;
Wprzódy był rolnik, nim zamki na górach osiadły,
Bez niego wieżonośne miastaby upadły.

Znamienity swojego czasu poeta, pisał jak prawdziwy szlachcic polski, i był tylko sprawozdawcą myśli rolniczego narodu. Że Kochanowski poprzestawał na małem, dowodem tego uboga w piękne widoki okolica Czarnolasu. Że nie dążył za materyalną wielkością, dowiódł znowu w swych rymach i w czynach; sprawiedliwie téż jako myśliciel i człowiek od potomności cześć odbiéra, którą sobie proroczym duchem przepowiedział.

Nie znalazłszy ani domku, ani lipy Jana, poszedłem obejrzéć pamiątki, przypominać mające ich istnienie. Gotycka kaplica na fundamentach domu Kochanowskiego zbudowana, przez księżnę Magdalenę Lubomirską, niegdyś dziedziczkę Czarnolasu, a przez księżnę Teresę Jabłonowską dokończona, nie poetę, ale tę ostatnią panią grobowcem swym przypomina. Tu téż jej zwłoki spoczywają. O kilka kroków od kaplicy stał dworzec drewniany, z czterema piętrowemi facyatami na podmurowaniu, w miejsce dawniejszego przez hr. Kazimiérza Raczyńskiego wzniesiony, którego budowniczym miał być Kubicki. Dobra czarnoleskie przeszedłszy z rąk Kochanowskich w inne, róż-

nych przemian doznały, to też i dworzec poety. W końcu zeszłego wieku nabywszy Czarnolas Józef książę Jabłonowski woj. nowogrodzki, domek Jana od zagłady chciał ocalić. Myśli téj nie pielęgnował następny dziedzic, bo jak dopiéro wspomniałem, w miejscu dawnego wystawił dom nowy, mogący liczny dwór pomieścić. Wiejski pałacyk osłoniony był winną latoroślą, ręką księżnéj Magdaleny Lubomirskiéj zasadzoną, któréj Czarnolas z przyległościami dostał się w udziale. Fantastyczne splóty krzewów pokrywających zewnętrzne ściany domu, klomby, tworzące przed nim miły ogródek, prawdziwie sielską ustroń tworzyły, a tablica u wejścia w ganku zamieszczona z wierszami Kochanowskiego, które niegdyś na swój ubogi domek napisał, wybornie temu miejsu przystała.

Dodziśdnia żyją w pamięci tutejszego ludu dobrodziejstwa i szczodrobliwość księżnéj Lubomirskiéj; różne czasopisma oddały jéj cześć przynależną, a nie mając zamiaru kreślenia życiorysu téj pani, ani monografii Czarnolasu, pomijam ich wyliczanie, spiesząc drogą prowadzącą z kapliczki do gaju, gdzie na krańcu ogródka stała lipa Kochanowskiego. Gaj ten składają lipy we trzy rzędy zasadzone, a w końcu na obwodzie dawnego pnia umieszczona tablica z rymami Jana, wskazuje owe ulubione miejsce jego spoczynku.

Dopiéro tu serce mocniej mi zakołatało; tu zdawało mi się, że duch naszego poety krąży nademną: czułem niejako jego obecność, i mimowolnie się zadumałem. Wspomnienia cofnęły mnie blizko o trzy wieki, i przed okiem duszy zjawiła się poczciwa postać Jana, otoczonego rodziną, toż licznem gronem przyjacieli, między któremi znajdowali się książę Krzysztof Radziwiłł, Ossoliński, Tarnowski. Myszkowski, Padniewski, Mielęcki, Tęczyński, Petrycy. O potęgo ducha ludzkiego! tyś wyższa nad wszelkie tytuły; wszakże ten, co się nie chciał odziać godnością kasztelana, widzi w swoim domku książąt i piérwszych dygnitarzy kraju, którzy dumni byli z twéj przyjaźni.....

Choć na schyłku lata, ale jeszcze palące promienie w południową godzinę wyrwały mnie z przyjemnego marzenia, a nie chcąc utracić ani jednego wrażenia, jakich tu doznałem, nie oglądam się już na pałacyk i piękny ogród, lecz spieszę na niwy, dawne dziedzictwo Jana, jego ręką uprawiane, aby tam jeszcze z niezrównanym psalmistą podumać nad znikomością dzieł, które nie noszą piętna gieniuszu człowieka.

I dumając wtedy, czyż mogłem przewidzieć, że w kilka miesięcy z ślicznego ustronia książąt Jabłonowskich, pożercze płomienie tylko garść popiołu zostawią? Byłbym się szczerzéj modlił o odwrócenie téj klęski; bo ci, co umieją szanować relikwie po człowieku niebłyszczącym tytułami, lecz urokiem duszy, godni są, aby ich wszelkie straty nie dotykały. Po otrzymaniu wiadomości o tym smutnym wypadku, to przynajmniéj pociesza, że uratowano od pożaru kaplicę oraz sprzęty i pamiątki tak po Kochanowskim pozostałe, jako i rodziny książąt Jabłonowskich; że jest nadzieja, iż za lat kilka przybyły wędrowiec oglądać je będzie w téj ustroni, jakby je trawiący ogień nigdy nie dotknął.

Pożegnawszy może raz ostatni Czarnolas, znowu podróżny wózek toczył się ze mną w stronę Janowca, niegdyś dziedzictwa Firlejów. Pominąłem umyślnie drogę bitą, aby przez śliczny lasek dotrzéć do Zwierzyńca, gdzie jeszcze istnieje pałacyk, niedawna posiadłość książąt Lubomirskich. Zatrzymałem się tu na popas, bo pragnąłem bliżéj obejrzéć to lube ustronie. Co tu ujrzałem, i gdzie daléj moja wędrowna gwiazda mnie zaprowadziła, postaram się wam następnie opowiedzieć.

PAMIĘTNIKI LEKARZA POLAKA,

Z DOŚWIADCZEŃ ZA GRANICĄ ZEBRANYCH, SPISANE PRZEZ NIEGO SAMEGO.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ IV.

Pojedynki akademickie.

Czy też wszyscy moi czytelnicy wiedzą, że w filozoficznych Niemczech taki panuje już przesąd oddawna i dziś jeszcze, że akademik, *civis Universitatis Litterariae*, który nie miał kilku przynajmniéj pojedynków w ciągu lat, podczas których karmił się mlékiem swéj muzy, nie jest godnym ani tego miłego pokarmu, ani swéj dostojnéj mamki! Tak jest w istocie: spojrzyjmy tylko wkoło, a uniwersytet królewiecki za przykład służyć może. Zacznijmy od dawnych wychowańców wysokiéj szkoły, którzy dziś już są professorami tejże saméj, lub też sławę jéj roznoszą po odległych miejscach, i młodzież germańską kształcą w naukach i w mądrości.

Pan K. professor świętéj teologii, zawołany kaznodzieja, dostojny superintendent generalny, a następnie i biskup, uczony autor wielu dzieł europejskiéj sławy, nosi na obliczu swojém ślad dawnéj burszowskiéj dzielności:— bliznę na półtrzecia cala długą, którą pokryć usiłuje srebrnemi włosami faworytów.

Czemu uczony professor Herbart, gienialny tłumacz filozofii nieśmiertelnego Kanta, unoszący krasomówstwem, zdumie-

wający głębokością nauki, zanurza i zatapia głowę swoję w ogromnym jak chomonto halsztuku, w halsztuku, w którym tkwi wysoka fizbinowa dusza? Oto, że na szyi świetnego filozofa pozostał ślad młodzieńczéj burzliwości: — szrama ogromna. Widać, że i on kiedyś hołdował nieprzezwyciężonemu przesądowi uczonych Niemiec, i pod sąd oręża poddał rozstrzygnienie sprawy honoru.

A twarz pana Zander, znakomitego wykładacza prawa rzymskiego, przytém sędziego trybunału? Cała twarz ogromna od czoła aż do brody, czemu wygląda jak pole bitwy, na którém się toczyły najzaciętsze walki, jak pole zorane kołami armat, i poryte kulami działowemi? W życiu mojém coś podobnego nie widziałem: fizyonomia pana Zander zdaje się być zszytą z resztków dwudziestu innych fizyonomii, i jeszcze potém łataną. Czy tak powinno wyglądać prawo niemieckie?

Oto professor Zander zanim zasiadł w krześle sędziowskiém i sprawiedliwość wymierzał jéj nieomylną szalą, chcia się widać przekonać najdotykalniéj, że w sile brutalskiéj nie masz rozumu i słuszności. Jego twarz niegdyś piękna, jego nos orli i czoło wyniosłe, padły ofiarą tych sumiennych poszukiwań.

A dobry pan Neumann, professor mineralogii, świetny krystallograf, człowiek tak cichy, łagodny: czemu usta swoje, z których wypływają tak miło rozum i nauka, pokrywa lasem żółtych włosów, wąsami wielkiemi jak u suma? A to w oczy bijąca dysharmonia!... Tak łagodnéj i bladéj twarzy nieprzystoją wąsy barabańskie.

Ba! kiedy te wąsy są smutną koniecznością! Nie obstawałby przy nich pan Neumann, gdyby nie pełniły missyi parawana, zasłaniającego wyłom ogromny w ustach. Kolega uniwersytecki wykroił mu z nich spory zrazik, gdy jeszcze tamten uczył się świętéj teologii, a ten nauk przyrodzonych. *Tantaene animis coelestibus irae!*

Zaprawdę, rzadko który z naszych professorów nie nosił mniéj więcéj jakiego widocznego śladu życia burszowskiego, a cóż dopiéro sami koledzy, uczniowie wszechnicy! Dziś z nim siedzisz na jednéj ławce i pijesz z jednéj szklanki; jutro znika ci z oczu, za miesiąc znów się jawi,—ale kuleje na nogę, lub rękę ma w temblanku, albo też apostrofy, wykrzykniki i inne pisarskie znaki nosi na czole, nosie, i twarzy!....

I nie wstydzą się tego kalectwa, tych ran i blizn, szpecących co najwięcéj zdobi człowieka, *os sublime, vultus ad sidera, fronsque hilaris et mentis plena*, nietylko się nie wstydzą, lecz dumni są z nich, bo one dowodzą, że się bursz wykupił z luksostwa.

A najgorszemi zawadyakami i szermierzami są teolodzy: łatwo pojąć dlaczego. Teologii poświęcają się w Niemczech bez wyjątku prawie uczniowie pracowici, lecz bardzo ubodzy, którzy się korrepetycyami przepychali przez szkoły, a w uniwersytecie uzyskali jakie 60 talarów stypendyum, jaki freytysz (1) i uwolnienie od opłaty za kursa. Niemiec żyjący dotychczas kartoflami, i ślęczący jak mól nad książką, gdy się dostanie na stypendyum i freytysz, i gdy zakosztuje swobody życia akademickiego, odzyskuje siły młodzieńcze dotychczas stłumione, i wpada w jakąś rozbujałość fantazyi i humoru, którą bierze za nadmiar sprężystości i ducha. Wtenczas sobie taki Niemiec, czując chwilowego bodźca we krwi i nerwach, powié najspokojniéj w świecie *ich muss ausrasen*, muszę szaleć, dopóki mam do tego sposobność, bo późniéj, jak zostanę kandydatem lub kantorem, klamka zapadnie na całe życie. Przepędza tedy po godzin kilka na dzień w sali fechtunku (Paukboden), w domu, knajpie i ogrodach ciągle się ćwiczy, i gdy dostatecznéj nabierze siły i zręczności, i ufać sobie zacznie, wówczas zaczyna *renomiren*, tojest na zawadyaka się puszczać: potrąca słabszych i spokojniejszych od siebie kolegów (nazywają to *treten* deptać), grubych używa słów i epitetów, zagląda pod kapelusze damom, pije, awantury płata na ulicach, robi się wszelkiemi żywemi sposobami nieznośnym, i gdy nie może przyjść tą drogą do pojedynku, gdy mu wszyscy mędrsi ustąpią z drogi: — wówczas zapisuje się na szermierza *pro partia*.

Co to Niemcy nazywają bić się *pro partia*? Najniedorzeczniejsze robią nadużycia z tego wyrażenia; bo Niemiec zapisujący się na szermierza *pro partia* wcale przez to nie wyjawia ochoty potykania się za honor, całość lub szczęście tego, co

(1) Nie ma w miastach uniwersyteckich w Niemczech ani jednego domu mieszczańskiego, w którymby się nie stołował *gratis* choć jeden akademik. Niemcy pojmują gościnność, tylko inaczéj. Nie tuczą próżniaków i facecyonistów, tylko pracowitego a ubogiego chronią od głodu.

uważa za ojczyznę, tylko za przewagę takich lub owakich kolorów, do których najmniejszego duchowego, ani moralnego nie przywiązuje znaczenia.

Za moich czasów było kilkanaście stowarzyszeń (Landsmanszaftów) na uniwersytecie królewieckim, liczącym tylko 500 uczniów. Ale w czémże się różniły od siebie? czy dążnościami politycznemi, naukowemi, lub sposobami przeprowadzania tychże?—nic z tego: *Borussia* tém się tylko różniła od innych stowarzyszeń, że kolory czarny i biały nosiła; *Baltia*, że sobie obrała czarny i modry; *Littuania* przekładała czerwony, zielony i biały; *Pappenhömia* nosząca czarne, niebieskie i białe barwy, niczém się nie różniła od innych stowarzyszeń, wyjąwszy, że się uroczystą przysięgą wyrzekła piwa, wódki i séra szwajcarskiego, i zobowiązała się poetyczne uprawiać myśli. Jedna *Burszenszafteria* była związkiem nietylko na potrzebie picia i zabawy opartem, ale i ustanowiła kółka literackie, tak nazwane *Litteratur Kränzchen*, które jednakże niedługiém cieszyły się życiem.

Każdy prawie związek znajdował się dla najpłochszych i dziecinnych jakich przyczyn w stanie wojny (w kartelu) z jakim innym związkiem; a akademików zapisujących się walczyć *pro partia* świetną missyą było, bronić honoru takiéj a takiéj barwy, takiego a takiego piwa, i orężem we krwi zmywać plamy spadłe na kolor i na trunek. Najczęściéj się zdarzało, że szermierz *pro partia* bić się musiał z nieznanym mu zupełnie człowiekiem, wyznaczonym przez los; czasem z kolegą, z którym żył w przyjaźni.

Owe walki *pro partia*, których nieraz w jednym dniu odbywało się do piętnastu, przypominają mi to, co się działo we Francyi od roku 1830 do r. 1834. Do jakiegoto stopnia namiętności mogę zaślepiać! Ludzie dotychczas za jedno walczący, ludzie dotknięci nieszczęściem, zapisywali nazwisko swoje w redakcyach dzienników rozmaitéj barwy, otwierających listę pojedynków obok listy prenumeratorów. Każdy z zapisujących się dostawał numer porządkowy, i strzelać się musiał z człowiekiem, którego pod tym samym numerem w redakcyi innego koloru zacyfrowali. Czasem się zdarzało, że takie *numera* zeszły się ze sobą na śmiertelnéj scenie, co były przyjaciołmi, krewnemi, braćmi nawet.

Prawda, że daleko mniéj krwawemi scenami kończyły się pojedynki akademickie, daleko mniéj zdrowiu lub téż życiu grożącemi ranami; ale za to prawie nigdy nie obeszło się bez małego krwi rozlewu. Ani razu, ani jednego razu, mówię, strony zjechawszy się lub zszedłszy na metę pojedynkową, nie przeprosiły się przed drzwiami walki, nie strzelały z Roederera ani z Jacksona zamiast z pistoletów, nie śliniły się Judaszowskiemi całowaniami, zamiast się rąbać.

Czasem się zdarzyło, że podczas samego pojedynku strona jedna zemdlała, osłabła—albo nawet stchórzyła. Tak czasem się zdarzyło, niestety! Prawie zawsze byliśmy paniczykowie wyposażeni ślicznie brzmiącém nazwiskiem, ale obdarzeni od natury zbyt delikatnemi nerwami.

Takie są nasze opinie w ogólności, a jakie w szczególności, tego odrazu nie wypowiemy, bośmy całego zasobu sądu naszego o tym ważnym przedmiocie w jednym roku nie zdobyli; w ciągu tego dzieła nieraz będziemy mieli sposobność wracać do scen pojedynkowych.

Ale szczególne nasze położenie pozwoliło nam w młodym jeszcze wieku rozumować i sądzić bezstronnie o rzeczy. Nie potrzebowaliśmy uciekać się do pojedynków dla dowiedzenia naszéj osobistéj odwagi; w tym względzie hołdować przesądom nie mieliśmy wcale konieczności. Wolno nam było stawić czoło przesądnym wyobrażeniom o odwadze; gdzie indziéj bowiem, na poważniejszéj daleko widowni, do tego zjednaliśmy sobie prawo.

Wyłuszczę tu tylko podstawy, na których już wówczas opierałem widzenie moje.

1) Ludzie, którzy oręż nie dla fraszki noszą, nieczęsto go wydobywają z pochwy, ale go téż nie schowają nigdy niezbroczonym: dobry żołnierz unika kłótni, a brzydzi się poronionemi pojedynkami. Zatém ci, których jest lub było rzemiosłem bić się za dobro powszechne, bić się powinni na seryo i zawzięcie, gdy o ich honor idzie, a tym, którym zawód spokojny nakazuje skromność w słowach i czynach, niegodzi się szastać wyzywaniami, bo one dowodzą aż nadto jasno zapomnienia zasad filozoficznych, w których sobie mogli żyć spokojnie: dowodzą zarazem, że wyłamać się nie potrafią zpod władzy niedorzecznych przesądów. Ale gdy obustronnie zezwolą na rozstrzygnienie sprawy honorowéj bronią, wówczas

nie zważając na nic, winni się bić zacięcie, bo pięć lat najzaszczytniejszego życia, nie zagładzą w pamięci zacnych ludzi jednéj chwili tchórzostwa.

2) Inny napozór zobojętniający argument. Co dowodzą pojedynki? — nic wcale, ani na korzyść zasady bronionéj, ani na dobro tych, co w jéj obronie walczą. Pojedynek nie zmyje obrazy, nie naprawi krzywdy o pomstę wzywającéj. Prawie zawsze na jednym końcu fatalnéj mety stoi ten, który zadał obrazę, tojest winowajca, a na drugim końcu stoi obrażony, tojest niewinny, którego honor wymaga zadośćuczynienia. Sprawiedliwość i rozum żądają kary dla winowajcy, a uniewinnienia dla niewinnego; prawo zaś pojedynkowéj mety wymaga, aby broń była z obu stron równą i jednakową, żeby pierś znieważonego była tak odkrytą, jak i pierś znieważyciela.

3) Smutno mi wyznać tę prawdę, ale pojedynek niezawsze dowodzi odwagi. Niezaprzeczoną jest rzeczą, że niektórzy sławni, a raczéj słynni zawadyacy, prawdziwego nie posiadali męztwa; pozorna ta sprzeczność łatwo da się wytłumaczyć. Wyższość w biegłości władania bronią, otrzaskanie się z metą pojedynkową, pewność nareszcie bezkarności zdobyta w poprzednich doświadczeniach, udzielają szermierzowi pojedynkowemu zaufania, które zupełnie znika w obec nieprzewidzianego niebezpieczeństwa, zwykłemi środkami obrony odepchnąć się niedającego. Niechże mi junak pojedynkowy stanie na gołém polu przeciw bateryi dział plujących trzydziesto-funtowemi kulami, bardzo nieostrożnie latającemi w powietrzu, a zobaczymy, czy mu dusza nie wleci na ramię.

4) Jednakże na nieszczęście, pomimo tego wszystkiego, cośmy o pojedynkach powiedzieli, jest on wielu ludziom rzeczą tak trudną do uniknienia, jaką jest cegła spadająca z dachu na głowę najspokojniejszego w świecie człowieka. Niejeden poczciwy człowiek, prowadzący najcichsze życie pośród swéj rodziny, używający z najwdzięczniejszém sercem plonu swych prac i mozołów, występuje na metę pojedynkowéj walki, i pragnie krwi wroga swojego.

Tak niestety! wielka jest liczba obelg, które zostawiają zatrute żądło w nigdy niegojącéj się ranie, a które są zadane przez ludzi nikczemnych, trawiących najlepsze chwile życia na wymyślanie sposobów obejścia prawa, na wymyślenie pozorów

dla zrzucenia się z odpowiedzialności, za niegodne, honor kalające czyny.

Jednemu służy za powód kalectwo, drugiemu słabość zdrowia, innemu jeszcze potworna jaka wybujałość tłuszczu. Słabość kalectwo i potworność wzbudzać powinny litość, i częstokroć najszlachetniejszéj duszy służą za powłokę: ale robić sobie, z własnéj słabości, kalectwa lub potworności obronę, spekulować na *litość* bliźniego, którego się chce *zgubić*, to okropna nikczemność. Zdaje się, że tacy ludzie wyrzekają się litości Boga dlatego tylko, aby mogli dogodzić swym nienawistnym namiętnościom, przeciw ludziom wymierzonym.

Możemyż żądać od prawa, od sprawiedliwości, aby czuwały nad złośliwemi chuciami wszystkich ludzi, pod ich berłem pozostających? aby mogły każdego giestu, każdéj złéj myśli śledzić następstwa? Żadnego kraju prawodawstwo nie przedsięwzięło jeszcze tak trudnego zadania. Karciło ono tylko wyraźne, grube w obec świadków zadane obelgi; nigdy, w Anglii nawet, gdzie pojęcie o godności człowieka do wysokiego doszło stopnia, nie śmiano jeszcze karać za owe dotkliwe, przelotne, niewidzialne prawie obrazy, które uderzają bez hałasu, a których głębszego śladu świat nie widzi.

Otóż w téj niedostateczności prawa leży wieczne źródło pojedynków.

Obrażony, napróżno szukający opieki praw, niemogąc jéj nigdzie uzyskać, zmuszonym bywa uciec się po zemstę do własnéj siły. Niejeden nawet staje na pojedynkowéj mecie, który nigdy oręża nie trzymał w ręku, i tylko w swém dobrem prawie i w wiedzy swéj krzywdy pokłada nadzieję zwycięztwa. Zdarzają się i tacy, którzy skrzywdzeni na tę metę przybywają—nie w nadziei zwycięztwa, lecz w nadziei, że ten wróg, który ich ze sławy i szczęścia odarł, raczy ich i życia pozbawić.

W krajach, w których trwa jeszcze usposobienie rycerskie, strasznie niebezpieczną jest rzeczą odmówić pojedynku człowiekowi, który przed publicznością nim tylko wykazać może, że jest skrzywdzonym; taki zaś, co publicznie zadaje rany jakąkolwiek bronią, taki winien być przygotowanym na konieczność wszystkich satysfakcyj: inaczéj bowiem niezawodnie dźwigać będzie reputacyą oszczercy i tchórza.

* * *

Ale to wszystko zamądre, zagłębokie uwagi nad tém, co tu opowiém o pojedynkach w szczególności.

Walka pojedynkowa na uniwersytetach niemieckich, wcale nie ma politycznego znaczenia. Różnica opinii politycznéj, nadzwyczaj rzadko bywa na uniwersytetach niemieckich powodem rozterków, wyzwań lub walk: najczęściéj tu idzie o jaką płochą, mało znaczącą kłótnię, sprowadzoną jakiém błahém, przechodniém widzimisię; a chęć owę pojedynków, żywi pragnienie wykazania kosztem cudzéj lub własnéj nawet krwi, swego męztwa i odwagi.

Ale że i takie pojedynki kończą się w wyjątkowych przypadkach ranami bardzo niebezpiecznemi, kalectwem na całe życie, lub śmiercią nawet; dlatego warto było i o prawdziwéj lub urojonéj potrzebie tychże słów kilka stracić.

Jeśli coś na ubolewanie zasługuje, to pewnie krwawe skutki błahych przyczyn, to pewnie owe niedorzeczne idee, które sobie nawet dojrzali ludzie tworzą o punkcie honoru. Dla niego mnóstwo ludzi ginie:—o miejsce w teatrze, o kobietę jakąś, częstokroć na szacunek niezasługującą, o niedbały ukłon, o zaprzeczenie lub słowo jakieś żywe. Prawie zawsze tak błahe przyczyny powodem bywają pojedynków, tak częstych w wysokich szkołach niemieckich.

Wielka jest liczba osób, która w moich oczach, podczas mego pobytu w uniwersytecie królewieckim, z podobnych małoważnych przyczyn poszwankowała. Wspomnę tu tylko o bliżéj mi znanych, których pamięć głębiéj się zapisała w duszy.

Młody szlachcic kurlandzki, niejaki baron *von Rose*, uczęszczał w Królewcu więcéj z upodobania i prawdziwéj miłości do nauk, jak dla widoków materyalnych, na kursa estetyczne, filozoficzne i przyrodzone. Kurlandczycy, których wówczas było z trzydziestu na różnych wydziałach w uniwersytecie królewieckim, ściśle przestawali i sympatyzowali z Polakami, jużto dlatego, że również jak my, byli tam cudzoziemcami, a więcéj jeszcze dlatego, że w ogólności Kurlandczykom miły jest żywioł słowiański, że poznanie jego wywyższyło ich w wielu względach nad owe przesądy, które Niemcom nie pozwalają ani wtajemniczyć się w prawdziwe sprężyny pędzące życiem Słowiańszczyzny, ani téż uznać ich cnót rycerskich i sercowych. Młody *Rose* w pożyciu najmilszym był kolegą: hojnym, gościnnym, wesołym, a przytém doskonałym muzykiem. Pysznie

umiał zagrać i dumkę ukraińską, i mazurka, i krakowiaka; umiał mnóstwo piosnek, których się nauczył od siótr swoich zamężnych i w graniczących z Kurlandyą guberniach osiadłych. Burszom niemieckim mniéj był miłym młody Kurlandczyk; najwięcéj dlatego, że stronił od ich kommersowych pijatyk, i że się nie zapisał do żadnego z ich stowarzyszeń. Postanowili tedy dać mu nauczkę, i kilku nasadzili sławniejszych rębaczy na zadarcie z nim kotów, i udzielenie mu lekcyjki. Taki jest zwyczaj we wszystkich niemieckich uniwersytetach, że rapirem trzeba sobie okupywać prawo pozostania w niezależności.

Już z dwóch pojedynków nasz Kurlandczyk, umiejący nieźle władać bronią, wyszedł obronną ręką, nawet w jednym niezły udzielił apostrof jakiemuś teologicznemu zawadyakowi; ale Niemcy poszczuli nań trzeciego jeszcze bieglejszego rębacza, i biédny *Rose* skaleczonym został przez niego tak szkaradnie w samo zgięcie ramienia, że kilka przebiédował miesięcy, i już więcéj ramieniu zgiąć nie mógł. Pozostało kalectwo na całe życie; już ta ręka, która wprzódy wykonywała tak biegle wszystkie najtrudniejsze muzyczne sztuki, niezdolną była utrzymać smyczka.

Inną znów ofiarą pojedynku był młody *Rantau*, znany z urody swéj wszystkim damom królewieckim, a z charakteru wysoko u kolegów ceniony. Przyczepił się doń i wyzwał na pojedynek jakiś gburowaty bursz, dlatego tylko, żeby wykazał swą odwagę i siłę na jakim powszechnie znanym koledze, poprostu, aby sobie z godnego człowieka, który mu nic nie był winien, zrobić piedestał sławy. *Rantau* także się poczuwał do męztwa, i pojedynku bardzo znów nie unikał. Wróg jego mierzył mu tylko ciągle w oczy, i tak go uderzył straszliwie ukosem i z boku, że mu twarz całą z wszystkiemi chrząstkami nosa poprostu odłupał od kości, tak, że ta trzymając się tylko paseczkiem na cal szerokim głowy, upadła na ramię biédnego *Rantau* jak zraz jaki ogromny; usta wykrojone były w tym zrazie niby dziurka od guzika. Niewielu chirurgów widziało zranienie tak szkaradne i zastraszające; byłto żywy człowiek z trupią głową. Krew plusnęła ogromnemi strugami, zalała od stóp do głów rannego, i w okamgnieniu zbroczyła podłogę całą. Pomoc najsilniejsza natychmiast udzieloną została nieszczęsnemu młodzieńcowi; pięciu lekarzy krzątało się około niego: podwiązaliśmy siedm arteryi,

pięćdziesiąt kilką szwami przyszyliśmy na dawne miejsce twarz, która już stygnąć zaczęła i groziła obumarciem.

My go opatrywaliśmy, a Bóg go wyleczył z zadziwieniem wszystkich, którzy tak straszliwego zranienia byli świadkami. Pacyent leżał przez sześć tygodni nieporuszony w łóżku, i przez ten czas rurki gumlastyczne głęboko miał zaprowadzone w dziurkach od nosa; pokarm dawano mu także za pomocą rurki wprowadzonéj do kanału pokarmowego. Ale że zdrową miał krew, wolną od wszystkich zatruć skrofulicznych, że siły żywotne miał nietknięte: więc się przyjęła prawie w wszystkich miejscach przez piérwszą intencyą ta twarz cała, która przez dwadzieścia minut prawie już nie należała do organizmu i stygnąć zaczęła jak trup. Lecz dwa miesiące uszło, nim piękny niegdyś *Rantau* ruszyć mógł ustami, nim zdołał wymówić słowo, nim mógł plunąć, lub najlżejszą rzecz w wargach trzymać; i przez rok jeszcze twarz owa była siną, nabrzmiałą, pozbawioną wyrazu i ruchu, tak, jakby maska, a naokoło téj twarzy pod oczami, na grzbiecie nosa, z obu stron policzków, ciągnęła się blizna czerwona, nabrzmiała i niewszędzie równa. Na całe życie pozostała w ofierze tak brutalskiego pojedynku niezmierna trudność wymowy, a pod wpływem najmniejszego zimna, twarz jego cierpnie i marznie, i niezawodnieby odmarzła, gdyby się pacyent od tego nie zabezpieczał wieloma nader niewygodnemi sposobami, jak naprzykład noszeniem futrzanéj maski. Najmniejszy także wybryk w dyecie oddziaływa na zranioną fizyonomią pana *Rantau*; nic wzmacniającego użyć nie może, chociażby jego stan zdrowia ogólny koniecznie tego wymagał dla pokrzepienia sił: bo wszystko, co tylko jest mocnem, oddziaływa na krew krążącą w owym przyfastrzygowanym płacie, który biedakowi służy za fizyonomią. Dotychczas żyje pan *Rantau* i jest rachmistrzem w trybunale w Naumburgu. Smutnato karyera dla młodzieńca zdolnego, sposobiącego się na prawnika. Dotychczas byłby już sędzią trybunału lub prezydentem, gdyby go ten nieszczęsny pojedynek nie był wyrugował z karyery.

A cóż było zadawcy tak okropnego w istocie i w następstwach skaleczenia?—Nic prawie: siedział przez cztery tygodnie w areszcie uniwersyteckim, jadł, pił, upijał się, i może nawet czasu nie miał przyjść do siebie, wejrzéć w siebie

i z serca żałować swego czynu.... Potém przenieść się musiał do innego uniwersytetu; ale daléj uczył się swéj teologii, został kandydatem, a późniéj pastorem.

Podczas mego czteroletniego pobytu w uniwersytecie królewieckim, umarło dwóch akademików w skutek ran otrzymanych w pojedynku, a trzech poległo na miejscu. Obecnym byłem dwom z tych trzech tragicznie ukończonych walk pojedynkowych, i opiszę ich szczegóły; obiedwie bowiem przedstawiały cechy zadziwiająco charakterystyczne:

Przywałęsał się do wszechnicy naszéj jakiś Raufmann, relegowany już z kilku uniwersytetów za burdy najrozmaitszego rodzaju: za pobicie pedelów, stawianie się krnąbrne władzom i inne przekroczenia. Ale że się Raufmann do polityki nigdy nie mieszał, więc go nie pozbawiono prawa do wpisywania się w poczet akademików innéj wszechnicy. I tak wytarłszy wszystkie kąty w Halli, w Wrocławiu i w Greifswaldzie, zyskawszy sobie w całych północnych Niemczech reputacyą *renomisty*, tojest zawadyaka piérwszego rzędu, przybył do Królewca, pewno nie w chęci uczenia się, ale burszowania, picia, i życia kosztem młodszych, niedoświadczonych, za przebycie fuksostwa płacić muszących kolegów. I żył téż ich kosztem jak najwyborniéj; u kogo tylko zwąchał pieniądze, tego brał gwałtem prawie za swego *Leibfuksa*, tojest przybocznego fuksa, uczył go fechtunku, pijatyki, wtajemniczał go w znajomość praw, obyczajów i przywilejów studenckich. Z junackiemi tchórzami zadzierał umyślnie od czasu do czasu koty, by sobie zjednać przewagę; został téż wkrótce seniorem jednéj z najliczniejszych landmannszafteryi, rej wodził na komersach i posiedzeniach ogólnych, które się odbywały, pomimo zakazu, pod nosem władz uniwersyteckich, w samym gmachu akademickim. Wszyscy go się lękali jak dzikiego zwierza--nawet i professorowie. Otóż na co Niemcom służy cała ich uczoność!. Nieraz na owych posiedzeniach szło istotnie o jakie postanowienie tyczące się honoru i dobra ogółu, o wyświadczenie jakiego szumnego honoru lub wiwatu ulubionym professorom, o wyprawienie świetnego przyjęcia, serenad, balu rektorowi uniwersytetu, gdy do Królewca zjechać raczył, a urząd ten dostojny piastował wówczas dziś panujący najjaśniejszy król pruski.

Miło mi w tém miejscu oddać sprawiedliwość światłu, przedziwnemu taktowi i gienialnemu dowcipowi naszego zwierzchnika rektora. Nie było wcale rektor *pro forma*, taki, jakich sobie uniwersyteta angielskie obierają *honoris causa* zpomiędzy najdostojniejszych osób; ale to był rektor, umiejący obejmować i ocenić wszystko, umiejący przemówić do całego uniwersytetu *in corpore*, a zarazem pomówić z professorami i uczniami mądrze, dowcipnie i jowialnie nawet. To też i pozostawały ślady jego bytności w Królewcu na jego wszechnicy; stosunkowo nadzwyczaj małemi wydatkami umiano tu wprowadzać w życie wszystkie ulepszenia i udoskonalenia, wymagane przez szybki postęp, objawiający się w całéj Europie we wszystkich naukach i sztukach. Najdłużéj zawsze rozmawiał ówczesny następca tronu a dzisiejszy monarcha Prus, z tak nazwanemi *doktorami legentes*, tojest przybranemi, a jeszcze niepłatnemi professorami. Umiał wybadać doskonale, który z nich z prawdziwém zamiłowaniem do nauk i z rzetelną zdatnością sposobi się do cierniowego zawodu professorskiego, i gdy się otworzył jaki wakans na professora płatnego, wówczas własnym sądem umiał przeważyć szalę, przeciw któréj bardzo często ciężyły protekcye najrozmaitszego rodzaju, nawet i rządowe.

Cudzoziemców, uczących się w wszechnicy królewieckiéj, kazał sobie zawsze prezentować osobiście, i zawsze miał dla nich słowa pełne uczuć, mądrości i szlachetności. Odezwał się raz do nas temi słowy, bardzo pamiętnemi dla wszystkich, którzy w lubym Królewcu czerpaliśmy nauki:— „Panowie, z serca pragnę, aby wam pobyt w naszym kraju miłe pozostawił ślady w pamięci, abyście pokochali ludzi, którzy wam udzielają naukę: więc uczcie się pilnie, moi panowie, żebyście nas mieli za co pokochać. Człowiek naukowy kochać winien tak dobrze kolebkę swego rozumu, jak człowiek sercowy kocha kolebkę swego życia. Jedno i drugie uczucie jest szlachetném, i dla jednego wypierać się nie potrzebujemy drugiego; pragnę przynajmniéj, aby ta sprzeczność nigdy w jednéj nie zachodziła duszy."

—Nie jesteśmy niewdzięcznikami, *Magnificentissime Principe ac Rector*— odpowiedział na to Alfred B....ski, wów-

Biblioteka Sejmu Śląskiego

czas uczeń medycyny, dziś już niestety nieżyjący— czułe kochamy Albertinę (1), i wielbimy jéj rektora *sapientissimum.*

A my wszyscy, jak się rozumié samo z siebie, krzyknęliśmy chórem: „*Vivat Albertina atque Rector.*“

— Dziękuję panom najserdeczniéj za ten objaw przyjaźni —odpowié rektor, podając dłoń mu B.... i proszę, aby to uczucie spłynęło i na miasto, w którém Albertina zawarta, i na kroj, w którym leży to miasto.

Wróćmy jednakże do naszego zawadyaka Raufmanna, kandydata filozofii; takim bowiem był już od lat ośmiu może, ale to stopień niewiele znaczący, mogący tylko służyć za szczebel do doktorskiego. Ogromnyto był mężczyzna: wzrostem i siłą imponujący, zawsze miał oczy krwią nabrzmiałe gardło zaś częściéj wyskokami Cerery darów, jak nektarem owocu Bachusa zalane. Zupełnie trzeźwym, matka może go własna i w *pieluchach* nie widziała. Pomimo tego zachował pewną przytomność umysłu, dlatego właśnie, że więcéj przywykł do stanu pijaństwa, jak do trzeźwości. Nawet pewnéj wymowy mu nie brakło; nie zastraszała go publiczność, żeby jéj było najwięcéj: prawił w obec niéj z taką biegłością, z jaką inny w publiczności mówić nienawykły, prawi sobie w familijnym kółku. Nawet lepiéj mówił przed publicznością, jak w prywatném posiedzeniu; potrzeba było, widać, wyższego podżegacza owemu pijaństwem stępionemu mózgowi. Figle, burdy, kłótnie i pojedynki, spraw zawikłanych przecinanie Alexandryjskie: oto żywioł do jego istności konieczny. Nie miał zwyczaju płacić ani krawcowi, ani szewcowi, ani kuśnierzowi, ani nawet za mieszkanie. Wszystko to szło na tak nazwany *Anszuss.* Damom zaglądał pod kapelusze, lewki robił dandysom w biały dzień w miejscach publicznych, patrole intrygował, szyldwachy straszył, z perteru wkradał się w loże, po łysinie klepał najsędziwszych ludzi: słowem, byłto człowiek, jakich mało na świecie. Ale przytém nietylko sam swoich długów nie płacił, lecz nadto pomagał jeszcze innym do odstraszenia wierzycieli. Formalnie go sobie wynajmowali inni akademicy, trapieni przez wierzycieli: wówczas wprowadzał się do ich mieszkania i cze-

(1) Wszechnica królewiecka zwie się Albertiną dlatego, że ją założył i hojnie wyposażył Albert książę pruski, margrabia brandeburski, lennik Polski. Działo się to przed 305 laty (1548).

kał na nich. Zjawił się który, on zaraz rozpoznał do jakiego rzędu ludzi należy. Tchórza odstraszył groźbami, lub nawet wyrzucał ze stancyi, obiecując mu połamać kości, jeśli się poważy przyjść przed takim a takim terminem. Zacnych zaś ludzi ujmował uprzejmością: prosił siedzieć, wypytywał się o związki familijne, czy ma córki na wydaniu, uczęstował go nawet, spoił i najczęściéj jeszcze *séance tenante* kilka talarów od niego wyłgał. Dość, że dziwnie urozmaicone, wesołe nawet i wygodne życie prowadził ów stary cygan. Ale wiecznie takiego życia, podobnemi sposobami prowadzić nie można; nie udają się podobne figle jak na czas pewny: trafiła nareszcie kosa na kamień, a tym kamieniem był jeden Litwin, człowiek bardzo łagodny, potulny, spokojnemu poświęcający się zawodowi.

Tak los kapryśny zechciał, żeby człowiek, może nigdy w swojém życiu pałasza w ręku nie trzymający, ukrócił dumę i życie szermierza, który był postrachem wszystkich fuksów i filistrów niemieckich. Starli się z sobą Niemiec z Litwinem w traktyerni, ale nie przypominam sobie o co im poszło; wiem tylko, że o coś bardzo ważnego, zapewne o pochodzenie. Dość, że Niemiec obraził Litwina i jeszcze go wyzwał, a nie chciał mu żadnym żywym sposobem dać satysfakcyi na inną broń, jak tylko na oręż uniwersytecki— na obosieczne rapiry. Przedstawiono mu, że pan N....wicz, z przyrody łagodny, poświęcający si teologii, trzydziestu lat doszedł, nietrzymając broni w ręku. „To jego wina, temci gorzéj będzie dla niego: powinnością akademika jest umieć się rąbać; ale obiecuję najsolenniéj dać mu satysfakcyą na pistolety, gdy go wprzód nacechuję rapirem.“

Litwin zrazu strwożył się zawziętością Niemca, ale widząc go tak nieubłaganym, wpadł w jakąś ponurą zaciętość; na wszystkie przystał warunki, byleby się rzecz odbyła jak najspieszniéj. Tylko kilka lekcyj fechtowania wziął N.....wicz od swego sekundanta Sigfrieda, który wprzódy służył w wojsku i dobrze znał rzecz swoję.

Sprawa się odbyła nie za miastem, w polu, gdzie się zwykle odbywały pojedynki; lecz w sali fechtunku, położonéj wśród miasta. Niemiec stanął na mecie jeszcze mniéj trzeźwym, jak bywał zwyczajnie, i dodawał sobie ducha fanfaronadami nie-

godziwego smaku. Zdziwiło nas to usposobienie w człowieku, który tyle odbył pojedynków. Ubrano zapaśników w ogromne kapelusze, bindy na szyję i brzuch, w rękawiczki z sztylpami, i przewiązano im ramię w zgięciu mantynowemi chustkami. Takito zwyczaj w pojedynkach akademickich, inaczéj byłyby sto razy krwawszemi, a może nie byłoby ich wcale. Litwin zniósł te wszystkie przygotowania z wielką przytomnością, stanął mężnie na mecie, zaczaił się poza swe bindy, kapelusz i pancerz, zasłonił twarz rapirem, i dzielnie parował ciosy spadające nań gęsto i raźnie; starał się ciągle pozostać w paradzie, i sił nie wyczerpywać próżnemi machaniami. Tak się ucierali przez cały może kwadrans zapaśnicy, i krew już płynęła Litwinowi z ran kilku; ale on czy nie czuł boleści, czy też tłumił ją w sobie, ciągle parował, i zimną krwią swoją w rozpacz wprawiał Niemca. Tak mu zmęczył ramię, że ten równie biegły rębacz na obie ręce, na lewą przerzucił rapir, zrobił obrot w prawą stronę przeciwnika, natarł na niego z wściekłością, i ciął go potężnie w głowę. Litwin nie zdążył parować, krwią się zalał, ale obaj przeciwnicy od razu runęli na ziemię. Niemiec w swéj ślepéj zapalczywości wbił się na rapir Litwina, rozśmiał się jak szatan, krzyknął, chwytając się pod pierś lewą: „*Teufel, Donnerwetter* ginę marnie!“ i mdlejącym dodał głosem: „gasnę jak świéca, którą pies zalał“ (1), i skonał. Ostrze rapiru przebiło mu serce, umarł z bluźnierstwem na ustach!

I N.....wicza rany nie były mało znaczącemi: cios spadły na głowę przebił mu skórę, nadwerężył czaszkę, i tak go mocno odurzył, żeśmy go z trudnością przywołali do życia. Ran otrzymał ze wszystkiém siedm, ale w twarz przynajmniéj żadnéj.

Potruchleliśmy wszyscy obecni; trudno opisać obraz zamieszania: zawezwać musiano pomocy kilkunastu znanych z charakteru burszów, i od wszystkich odebrano najuroczystszą przysięgę, że tajemnicy dochowają, aż niebezpieczeństwo grożące nieszczęsnemu zabójcy i sekundantom minie. Dla pokrycia rzeczywistości pozorami, improwizowano w sali pojedynkowéj w obec trupa i rannego huczny bankiet: pito, śpiewano, krzyczano, do rozpuku się śmiano. Nocną porą przeniesiono na barkach rannego do kliniki, a zabitego do amfiteatru anatomicznego

(1) Wyrażenie było jeszcze jędrniejsze, przypominające wyraz przemówiony przez Cambrona pod Waterloo.

tejże kliniki. Przez drogę spiéwano obom trawersowane *requiem*, ułożone umyślnie dla burszów, co się do upadłego spili i muszą być odnoszeni do domu. Byłato maskarada serce zakrwawiająca: podobnéj w mém życiu nigdy nie widziałem. Dyrektor kliniki chirurgicznéj, professor *Seerig*, sam przed piętnastą latami był akademikiem i to sławnie bitnym; wiedząc, jak wielka spadłaby odpowiedzialność na winowajców i na cały uniwersytet, gdyby sprawa została wyśledzoną przez władze policyjne, sam dopomógł do pokrycia jéj i do zatarcia śladów.

Rannego umieszczono w osobnym pokoiku, pana Raufmann zaś jeszcze téj nocy wsadzono w kocioł, w którym się preparują szkielety, i odgotowano z niego ciało; a potém, że był tęgi, kościsty, wyblichowano mu wapnem kości, i szkielet z nich sporządzono wyborny. Dodziśdnia uczą się uczniowie medycyny osteologii na szkielecie starego zawadyaka; nawet go sobie wynajmują do stancyi od preparatora klinicznego: płaci się za to talara na miesiąc. Nie przestaje zatém koczować pan Raufmann i po zgonie, i więcéj po śmierci użytecznym jest nauce jak za życia.

Matki już nie miał, tylko ojca gdzieś w Slązku, wcale majętnym gospodarzem wiejskim.

Jeden akademik, najwięcéj zaprzyjaźniony z jego synem, uwiadomił go o jego śmierci, zaręczając, że umarł w skutku natężenia się usilną pracą, że go cały opłakiwał uniwersytet. Zarazem prosił o przesłanie jakiéj sporéj kwoty na zapłacenie niektórych długów, a zwłaszcza na zaspokojenie kosztów pogrzebu (którego, jak to wiemy, nasz kandydat filozofii wcale nie używał).

Czuły tatuś odpowiedział:—„*Unkraut vergeht nicht*“ chwast nie niszczeje nigdy; że już raz zapłacił w Greifswaldzie za pogrzeb syna, który się uciekł do tego fortelu, aby wydrzéć pieniądze; że bracia i siostry chodzili po nim z pół roku w żałobie aż ich doszła wiadomość, że *bruder* Hermann żyje i w najlepsze hula w Królewcu. Nareszcie dodał ojciec, że tym razem nie uwierzy w zgon syna, chociażby mu nawet akt zejścia przesłano.

A tak niewiele piały koguty po śmierci tak hałaśliwego za życia bursza.

Kolega zaś Litwin wrócił w sześć tygodni do zdrowia, nikt mu nie wyrzucał śmierci zawadyaka, ale mu do grobowéj

deski ciężyło na sumieniu zabójstwo, popełnione nieumyślnie na człowieku, który go zabić chciał umyślnie.

I na tém się wszystko skończyło. Trzeba oddać sprawiedliwość Niemcom: tajemnica, do któréj przypuścić musiano przeszło trzydziestu ludzi, zdradzoną nie została; władze nie wmieszały się w żadne poszukiwania, może umyślnie oczy zamknęły, by nie używać srogości prawa przeciw N.....czowi, który był *cudzoziemcem*, zatém byłby uległ wielkiéj karze.

Ale czemu kolega N.....wicz przyjął pojedynek? zarzuci mi niejeden. Nie śmiał odmówić, nie miał odwagi urągania się z głosu publicznego, któryby go był potępił. Akademicy byliby z jego głowy zdarli godła uniwersyteckie (1), a professorowie i urzędnicy wszechnicy nie śmią mówić z takim, który przez kolegów swoich wyjętym jest zpod praw honoru rządzących uczniami. Władze nawet urzędowe i policyjne niekoniecznie opiekowały się takim uczniem, którego koledzy potępili; przez całe życie dźwigać musiał skutki przekleństwa *Ferszissu*, tojest osromocenia.

Gdybyto tylko znanych z niemoralności akademików dotykały owe przekleństwa *Ferszissu*, nie miałbym nic do powiedzenia przeciw niemu; ale ich nadużywano przeciw takim, którzy z przyrody łagodni, mieszać się nie chcieli do spraw burszowskich, i nie przyjmowali żadnego wyzwania. To nadużycie nie zgadza się z duchem filozoficznym, który powinienby służyć za podstawę moralności ciału uczonemu.

Kto chce koniecznie, ten może pozostać poza obozem życia akademickiego, uczęszczać na kursa, i najmniejszych nie miéc styczności z burszami; tylko wówczas zrzec się musi wszelkiego koleżeńskiego życia, wszelkich korzyści, wynikających z niego dla umysłu, ducha i serca. Taki człowiek nie ujmując się nigdy za nikogo, nie doświadczy ze strony kolegów żadnego spółczucia; serce téż jego skrzepnie, na całe życie pozostanie samolubem. Taki człowiek mścić się będzie szyderstwami i sarkazmami na towarzystwie, do którego nigdy nie chciał należeć, i które go téż nie mogło przyjąć za swego; które w ni-

(1) Popiersie księcia Alberta ubrane od stóp do głów w zbroję, i mające w tarczy orła czarnego w białém, a białego w czerwoném polu, służy uniwersytetowi za herb, a akademikowi za godło, które wybite na złotéj lub srebrnéj blaszce, przypina się do kapelusza lub do czapki.

czém na niego nie liczyło, i zawsze go pomijało tam, gdzie szło o wyświadczenie jakiego zaszczytu koleżeńskiego *bene meritis confratribus*: czy to sprawieniem mu świetnego wiwatu, gdy dobrze zdał examina i stopień jaki osiągnął; czy to odprowadzeniem go *in corpore* do karceresu, gdy go władze uniwersyteckie za jakie burszowskie przewinienie skazały; czy to wyświadczeniem mu honoru *comitatu*, tojest przeprowadzenia, gdy opuszczał uniwersytet; czy nareszcie sprawieniem mu świetnego pogrzebu, gdy go Pan Bóg w ciągu jego studyów do siebie powołał.

Tak świetny zaszczyt, za méj bytności, spotkał Bolesława Kurnatowskiego, bardzo pilnego ucznia teologii, i tak zacnego kolegę, że od wszystkich współuczniów był kochanym, chociaż się ani razu z nikim nie bił. Umarł w kwiecie wieku, w skutek skrofułów i zbytniéj sedentarnéj pracy. *Senatus populusque Reipublicae Litterariae Albertinae* wyprawili mu świetny pogrzeb, z tysiąc talarów kosztujący. Sześć białych koni ciągnęło karawan, przystrojony jak najpyszniéj; uczniowie uniwersytetu konno i pieszo w paradném ubraniu, tojest w białych mundurach z czarnemi aksamitnemi rabatami i srebrnemi liściami dębowemi na kołnierzu, rabatach, mankietach i patkach, w generalskich szlifach, w kapeluszach stosowanych z białemi i czarnemi piórami, w butach palonych i rapirach zawieszonych na szarfach koloru stowarzyszeń różnych, otaczali karawan i postępowali za trumną, z tarczami i godłami uniwersytetu, godłami wydziału i herbami innemi, krepą zasłoniętemi, w rękach. Liczny chór śpiewaków na cztery śpiewających głosy, i muzyki wojskowe wciąż jedne po drugich himny religijne słały do Boga. Professorów kilku postępowało w długich poważnych togach, a poprzedzali ich w czerwone kontusze ubrani pedele z berłami uniwersytetu w rękach. Mów pogrzebowych powiedziano kilka, a *carmina* żałobne, na ten cel drukowane, rozdawano wszystkim obecnym, których było z kilka tysięcy.

Miało jednak urok owe życie akademickie, pomimo wszystkich cieni, jakie nań rzucali, miarkować się nieumiejący ludzi. Każdy *Civis Albertinae* chętnie wracać będzie pamięcią do scen młodości przeżytych w Królewcu; taki tylko rzewnie nie wspomni życia akademickiego, i kochać kolegów z téj epoki nie będzie, który nigdy serca dla nikogo nie miał, i zdobył naukę dlatego, aby ją obracać na szkodzenie bliźnim i wyszydzenie ludzi w przy-

jaźń wierzących, Tacy nigdy nie byli współbraćmi nikogo, i nigdy być nie mogą przyjaciołmi niczyjemi. Komu cienie zasłaniają całe światło, ten nigdy mądrym nie będzie, żeby miał najbystrzejsze oczy; a kto młodości nie spędził wesoło, za kolegą się czasem nie ujął i czasem nawet siebie nie zapomniał dla drugich: temu wcześnie stygnie serce, i świat zdawać się będzie pustynią na starość. Nie ma w świecie lepszych przyjaciół, jak dobrzy szkolni koledzy.

ROZDZIAŁ V.

1. Honor rodu.

W starym królewieckim grodzie, przy ulicy Rossgarten, w miejscu dość odległém od środka miasta, wznosi się zpośrodka kwitnącego ogrodu, tuż przy brzegu jeziora zamkowego, pałacyk, którego ozdoby zewnętrzne i kolor szary, dowodzą, że z średniowiecznych pochodzi czasów. Okna obszernéj, i portretami zbrojnych antenatów ozdobionéj sali są otwarte; wychodzą właśnie na owo cudne jezioro, po którego zwierciedle buja w téj chwili kilkanaście mniejszych i większych łodzi. Łodzie i łódki zbliżają się i oddalają; na jednych brzmi szumna muzyka, na drugich fletrowers lub gitara tęskne swe pienia i akordy wznoszą, a jeszcze z innych śpiew czteroglosowy śle męzkie pienia ku gajom i ogrodom, otaczającym owo cudne jezioro, które jest tak miłą ozdobą Królewca. Przez okna wkrada się do sali bluszcz i dzikie wino po całéj pnące się ścianie, i zapach tysiąca woniejących kwiatów.

Cała rodzina zgromadzona w sali około fotelu, w którym siedzi cudnéj piękności młodzieniec; twarz jego wyrazista, blada, a ręka jego prawa spoczywa w temblaku: widać, że zraniona. Wzrok trzech niewiast bardzo różnego wieku, śledzi wszystkie ruchy tego młodzieńca; łatwo odgadniesz, że najstarsza z tych niewiast jest jego babką, druga matką, a trzecia siostrą; łatwo także się domyślisz, że młody oficer, stojący obok okna musi być bratem rannego młodzieńca: jeden bowiem typ w wszystkich tych twarzach, nacechowanych wysoką rodową dystynkcyą. Czy jednakowość wychowania i uczuć, mogła tak wielkie udzielić podobieństwo wszystkim tym fizyonomiom?

Rzecz zastanawiająca, nietylko wyraz twarzy był tenże sam, ale nawet w szczegółach wielkie zbliżenie: u wszystkich też same wzniosłe czoła, oczy czarne pełne ognia, orle nosy i wymowne a dumne usta. Nie jest to typ germański w ustroju téj rodziny, a jednakże rozmawiają z sobą po niemiecku, i to nie mdłym berlińskim lub śpiewającym saskim dyalektem; lecz ową bogatą i jędrną mową, którą przemawiają Niemcy północni, a zwłaszcza Kurlandczycy i Prusacy z prowincyj wschodnich.

Młodzieniec, który długo był przedmiotem tkliwych spojrzeń swéj rodziny, a o tém nie wiedział, bo oczy miał zatopione w książce, wzniósł swe ciemno-brunatne aksamitne źrenice, pływające w czystém niebieskawém białku, zwrócił je kolejno na tych, co go otaczali, i rzekł smętno:

— Moi drodzy, moi kochani, czemuż te tęskne spojrzenia na mnie zwrócone? Czemuż te łzy powstrzymywane gwałtem w waszych źrenicach? czyż moje położenie istotnie tak opłakane? Wszak to tylko nic nieznacząca rana, która się zgoi za dni kilka, któréj i śladu zapewne nie pozostanie za kilka tygodni. Ty, moja Jadwigo, siostro ulubiona, wychowanko moja i powierniczko najtajniejszych myśli moich, czemuż taki smutek w twojéj twarzy tak młodéj i pięknéj, która tylko radość i szczęście wyrażaćby powinna?

— Mój dobry Alexandrze, nie gniewaj się. Przecież ja wiem, że moje szczęście już oddawna jest twoich życzeń, prac i mozołów najgłówniejszym celem; ale jak widzę tych młodych ludzi, twoich kolegów, tak swobodnie bujających po zwierciadle owego jeziora, gdy ich słyszę śpiewających, i wspomnę, żeś ty jeszcze przed kilką miesiącami najzręczniejszym był żeglarzem zpomiędzy nich wszystkich, i najtkliwszym śpiewakiem, a dziś, tak blady, bezsilny, zaledwie z łóżka podnieść się możesz: wtenczas, ach! już mi to wybacz, szczęśliwą się czuć nie mogę, nie mogę.

I łzy migające dotychczas w oczach Jadwigi, strugami się puściły na jéj hoże i piękne lica.

— Jadwigo, droga siostro, brat twój wróci do zdrowia nim to jezioro zamarznie: i głos nie osłabnie, i radość znów wstąpi wśród nas wszystkich. Ukój twe żale: szczęście nigdy tak nie płynie nikomu stale; jak w maszynach woda, lecz toczy się raz szybko i wartko, to znów snuje się nieśmiało, jak w potokach górnych kryształ srebrzysty. Jadwiniu! łzy żałości nie przystoją siostrze

człowieka, który swém męztwem musi wszystkie pokonywać trudności. Wierz w moję gwiazdę, jak ja wierzę w losy dla méj rodziny przeznaczone. Osusz łzy i powiedz: czemu mama nasza tak smutna, i tak patrzy na mnie badawczo, jak gdyby z ksiąg przeznaczenia tajemnice wyśledzić chciała?

Potok łez zerwał się z oczu matki, gdy syn te słowa wyrzekł; wstała, głowę dziecięcia swojego rękami objęła i łkając rzekła:

— O synu mój Alexandrze! ty wiész jak zginął ojciec twój, wówczas, gdyś ledwo chodzić zaczynał, a siostra twoja była niemowlęciem. Jam pozostała wdową w kwiecie wieku, dlatego, żeby was wychować na ludzi szczęśliwych. Tyś dotychczas swą pilnością, pracą, i poświęceniem się dla dobra całéj rodziny, wszystkie moje przewyższył nadzieje i oczekiwania; a naraz jeden, spokojny obrawszy zawód i w nim tyle uzyskawszy powodzenia, wstępujesz w ślady ojca twego, i udajesz się do oręża, dla przeparcia zdań twoich. Czyż cię na to wychowałam, żebyś rozwinąwszy się tak dobrze, tak pięknie, stracić miał wszystko: młodość, zdatność i życie w pojedynku? Alexandrze! synu mój luby! najdroższe dziecko moje! zlituj się nad tą rodziną, któréj w tak młodym wieku jesteś podporą, i na przyszłość unikaj zajść z temi ludźmi brutalskiemi, którzy dlatego może na ciebie dybią, że masz nazwisko w dziejach słynne, że z każdéj kropli krwi twojéj potrafią sobie uwić wieniec bohaterski.

Tak przemawiała, łkając, biédna matka, i łzami zrosiła, i pocałowaniami okryła czoło, oczy i lice młodzieńca.

—Droga! najdroższa mamo moja! Ojciec mój zginął w obronie honoru swojego: ja to wiem dobrze, chociaż nigdy go nie widziałem; ja tylko ranę odniosłem, broniąc zasad, które mu były drogiemi i świętemi, i które pozostać muszą świętemi dla nas biédnych potomków starodawnéj chwały i świetności. Ale teraz, już ci przyrzekam droga matko, iż ostrożniejszym będę w wyborze mego towarzystwa, i już mi to łatwiéj przyjdzie, bom dał dowód, że się ostrza rapiru nie ulęknę. Oszusz tedy łzy, droga mamo! i zawierz słowu syna twojego, a powiedz, powiedz, czemu babcia tak gniewnie na mnie spoziera przez swoje okulary?

Tak odpowiedział i zapytał młodzieniec.

— Hola, panie Alexandrze, tyś tyle przenikliwy, że słyszysz jak trawa rośnie, a o to pytać się możesz?— odpowié babka,

wstając z fotelu i zbliżając się do młodzieńca.—No, mój wnuku, sam powiedz, że jeźli spaść, to z dobrego konia, a ty krew sobie wytoczyć dałeś, komu?— oto synowi mieszczucha, jakiegoś tam adwokata, umiejącego bronić złych spraw, a dobrych może nigdy. Ty hrabia Alexander *Dohna*, potomek burgrafów świętego państwa rzymskiego, mierzyć się zezwoliłeś z człowiekiem bez nazwiska, bez przodków i bez historycznego znaczenia; stawałeś na jednéj mecie z istotą ogołoconą z szlachectwa, honoru i krwi?

— Babuniu! na miłość Boga, minęło już panowanie owych wyobrażeń: teraz już wszyscy ludzie krew mają, a do honoru ma prawo każdy, kto się honorowo prowadzi. Honor już przestał być monopolem, zupełnie zaprzestał. Kto się zapisuje na ucznia uniwersytetu, ten się powinien uważać za równego wszystkim uczniom i dać im satysfakcyą. O tém wiedziałem już dobrze, zawód swój obierając.

— Nieszczęsny wybór!— krzyknie teraz oficer, dotychczas stojący w oknie —nieszczęsny i wcale niestosowny wybór dla człowieka, który nosi nazwisko *Dohna*. Poco mieszać się pomiędzy hołotę, która z nauki żyje? alboż to braknie pułków jazdy i piechoty w naszym kraju?

Zarumieniły się lica pana Alexandra, ale żywszy jeszcze daleko rumieniec gniewu wystąpił na oblicze jego siostry; zerwała się z krzesła jak ranna lwica, i rzekła do starszego brata:

— Wstydź się, panie Fabianie, tych słów, któreś teraz wyrzekł; wstydź się ich, bo nie tchną ani szlachetnością, ani mądrością. Chciałeś, żeby nasz Alexander tak zdatny, pojętny, tak zamiłowany w pracy, wegietował lat dwadzieścia jako podporucznik i porucznik, aż się kapitaństwa dosłuży? Proszę żadnych nie robić wyrzutów Alexandrowi: my wszyscy bylibyśmy nietylko w biédzie, ale nawet w nędzy okropnéj, gdyby się nie był dobrze uczył, i nie otrzymał w konkursie królewskie stypendyum, służące nam za jedyny prawie środek do życia. Poco tu tyle hrabiowskiéj dumy w twojém sercu, kochana babuniu, i w twoim wyniosłym umyśle, panie Fabianie? Wszyscy hrabiowie Dohna, a jest ich wielu i bogatych na świecie, zostawili nas ślepemu losowi. Gdy nasz nieboszczyk ojciec, potykając się za honor nazwiska, poległ, i zostawił nas ubogiemi sierotami, a matkę naszę wdową: któż nas wówczas wspierał?—nie familia, nie magnaci, lecz ludzie cnotliwi, bez tytułów, znaczenia i krwi, w cichości

żyjący. Jakażto nieubłagana wzgarda dla mieszczan! A i teraz, któż nas pociesza swym dobrym humorem w utrapieniu? kto przychodzi trzy razy na dzień opatrywać rany Alexandra? kto mu udziela od tylu miesięcy rady i jeszcze przytém lekcyi polskiego języka? To także nietytułowany człowiek, tylko skromny uczeń medycyny, z własnéj żyjący pracy, zdaleka od kraju swojego. Szanujmy nas samych, a odmawiać nie będziemy szacunku bliźnim, którzy nas kochają. Nieprawdaż mój drogi bracie Alexandrze?

Z jakąż rozkoszą wpatrywał się ranny młodzieniec w piękne i szlachetne oblicze siostry swojéj, z jakiém uniesieniem przysłuchiwał się jéj słowom! On ją kochał tak czule, jak ojciec kocha swe dzieci; on z niéj był dumnym, jak nauczyciel z swego najlepszego ucznia. Bo téż już oddawna Alexander był prawdziwym ojcem i nauczycielem Jadwigi: zajmował się jéj wychowaniem, pielęgnował jéj piękną duszę tak, jak ogrodnik pielęgnuje najpiękniejszy kwiat swéj cieplarni. Głównem zadaniem tego młodego życia, było szczęście Jadwigi.

— Droga Jadwigo, ty mnie pojmujesz i hojnie mi wynagradzać umiész starania moje, podejmowane dla twego dobra. Dziękuję ci za te rzewne słowa pociechy; ale idź, przeproś babunię: ona tak zasępiona, może się obraziła.

Jadwiga uklękła przed babką, i pocałowała ją w rękę. Sędziwa arystokratka podniosła głowę wnuczki, i długi badawczy wzrok w jéj oczach zatopiła; nareszcie rzekła z westchnieniem:

— Przebóg! co to za czasy, co to za wyobrażenia! Hrabianka z starodawnego domu *Dohna*, staje w obronie mieszczaństwa, i wyrzuca własnéj swéj familii bezsercowość. A wiesz ty o tém, hrabianko, że i twoja matka, i twoja babka są z rodu tych *Dohna* z Delfinatu, którzy jeszcze za Karola Wielkiego, tysiąc kikadziesiąt lat temu, znakomitemi byli bohaterami, i sławą swojego imienia napełnili cesarstwo zachodnie? W żyłach naszych krąży krew czysta jak złoto, a dawna jak chrześciaństwo: i ty miałażbyś narzekać na tych, którzy ci krew taką dali?

— Ale babciu droga, istotnie bardzo zadowolona jestem z krwi mojéj, ale czemuż się Dohnowie tak dumni i szlachetni, nie wspierają wzajemnie, gdy ich ciśnie brzemię nieszczęścia i braku? Czy już w pamięci babci zatarł się obraz nędzy, którą znosiliśmy jeszcze niedawno, w któréj ja zrodzona i wychowana?

Dla mnie w dzieciństwie nie było ani lalek, ani zabawek; dla braku odzieży wychodzić nie mogliśmy z domu, a nieraz i głód dał nam się czuć dotkliwie. Tu pod okiem Dohnów z Schlobiten i z Kapustigal, jęczała cała familia Dohnów, którzy w prostéj idą linii od owego Fabiana burgrafa, co był współwychowańcem i przyjacielem Alberta piérwszego księcia pruskiego, co dowodził późniéj całą armią przesłaną w pomoc Henrykowi IV królowi Francyi, i od niego otrzymał order Św. Ducha. Oto portret tego męża, za życia jego malowany; a babcia wié, żeśmy i ten zastawić musieli, gdy potomek wielkiego Fabiana, nasz tu obecny Fabian, został oficerem. i nie miał się za co ekwipować. Babciu! i to się działo w tém mieście, w którém żył i był pochowany nasz antenat, i w obec licznych rodzin toż samo nazwisko noszących, a majętniejszych od nas. Nie wyrzekam się ani krwi mojéj, ani téż świetnego pochodzenia; ale przyznać muszę, że węzły łączące niegdyś arystokracyą, potargane zostały przez nią samę. Jeźli wspomnienia dawnéj świetności rodu przestały zagrzewać jego członków do czynów szlachetnych; jeźli do tego stopnia stępiały w potomkach jednego rodu uczucia familijne, że nędza jednego członka nie wzbudza współczucia w wszystkich innych: wówczas rozpaczać należy o los całej instytucyi. Być dumnym zanadto z tego, co kiedyś było, a z własnéj naszéj winy już nie jest, to zdaje się niedorzecznem, bo nas prowadzi koniecznie do nieuznawania szlachetności w tych, którzy własnego rodu mogą być założycielami.

— Ha! nieszczęsna niewiasto! już wiem do czego zmierzasz, jakiemi ideami nurtować tu zechcesz nasze wyobrażenia o szlachetności—rzeknie, zgrzytając zębami i ściskając pięści pan Fabian.—Ja ci tu deklaruję w obec całéj rodziny, że cię wolę widzieć na marach, jak żoną człowieka niższego od nas rodu.

— Fabianie! ty doprawdy szalejesz — odpowié dumnie i z uczuciem gniewu, Jadwiga— ty się domyślasz rzeczy, która nie istnieje, i buntować chcesz przeciw mnie naszą babkę. Tyś mnie nigdy nie pojmował, Fabianie, i nigdy mnie nie pojmiesz, boś już za młodu przesiąkł przesądami, i w nich zaśniedział. Ja ci zakazuję trwać w tych ubliżających mi domysłach; rozumiesz, zakazuję ci! —dodała hrabianka Dohna, nogą tupnąwszy.

Oficer umilkł, oczy spuścił, a potém je zwrócił na swą babkę, która tego spojrzenia oczekiwała i swém wyraziła:—nie obawiaj się, to istna Dohna, ona nie skrewi.

Matka hrabianki zbadała pytającym wzrokiem syna swego młodszego, a ten do téj chwili oczarowany mową i giestami ukochanéj siostry, rozjaśnił swe wymowne wielkie oczy płomieniami rozkoszy i szczęścia, i rzekł:

—Chodź tu do mnie szlachetna lwico, tygrysico, przed któréj gniewem waleczny kirysyer ugiął swe mężne źrenice; chodź tu do mnie Jadwigo moja, pocałuj mię, a potém dłoń podaj Fabianowi, boś zanadto daleko zaszła!!

I szlochając rzuciła się Jadwiga w objęcia brata, ucałowała jego skronie, rękę, i zranione ramię, a potém zwróciła się do oficera kręcącego wąsy, które dopiéro były w zarodku.

— Fabianie! tyś bratem tego człowieka; wierzaj mi, on tylko jeden zdolny jest przywrócić blask domu naszemu, od rodziny zapomnianemu. Kochaj go tak szczerze, jak ja cię szczerze o przebaczenie proszę; kochaj Alexandra, przyszłego odrodziciela rodu Dohna. Wierz mi, wieki rycerstwa i siły fizycznéj przeszły nazawsze; teraz następuje wiek myśli i siły moralnéj! Szczęśliwe te rody szlacheckie, które choć jednego posiadać będą męża, wiek pojmującego, nie opierającego się porywającemu wszystko postępowi. Tacy tylko ludzie są w stanie przechować przekazaną nam sławę. Tak, kochaj Alexandra opiekuna naszego, i nie bądź tak dumnym z twoich anachronicznych uczuć.

Gdy tak przemawiała, rozległ się trzy razy po całym korytarzu pałacyka odgłos dzwonka.

— Ach! to nasz pan Teodor—zawołała hrabianka Jadwiga—jeszcze, tak późno, przyszedł odwiedzić swego pacyenta. Już jak jest dobry ten pan Teodor—dodała, spozierając umyślnie bystro w oczy Fabiana. Ten pogroził palcem, ramię dał babuni, i z nią wyszedł do przyległego pokoju.

Widać było jasno, że ani dostojna babunia, ani hrabia *von* Dohna nie lubili nowego przybysza, i dlatego salę opuścili.

II. Przyjaciel domu.

Bardzo był wówczas młody ten przyjaciel i lekarz pana Alexandra, a wyglądał jeszcze młodszym, niż nim był w istocie; w ruchach swych zdradzał niezmiernie wiele, niczém pokonywać się niedającéj żywości, a twarz jego świéża, dziecinnym prawie rumieńcem pokryta, świetniała myślą, odwagą, i jakiémś poczu-

ciem siły własnéj. Dziwnie biła w oczy z trzpiotowatością graniczącą żywość, połączona z taką pewnością siebie samego; widać, że ten młodzieniec musiał w bardzo jeszcze młodym wieku doświadczyć kolei, które rozum jego i wolą wcześnie wykształciły.

Grzecznie się skłonił i swobodnie hrabini i hrabiance, przystąpił do rannego młodzieńca, podał mu rękę, i przemówił do niego:

— Wybacz drogi Alexandrze! że jeszcze, tak późno, przychodzę; ale przejeżdżając się po jeziorze, spostrzegłem światło w oknach domu waszego, i nie mogłem się oprzeć chęci odwiedzenia cię. Ale, co to znaczy? masz cokolwiek gorączki; tak, niezawodnie masz gorączkę!. I damy jakieś powarzone: hrabina smutna, hrabianka zagniewana?... Oh to źle!

— To nic, drogi bracie! to przemijające wzruszenie, i zapewne nie gorączka. Dziękuję ci, żeś przyszedł; właśnie tego potrzeba było, dla przerwania jednéj z tych walk, jakie zapalczywa panna Jadwiga stacza z naszym upartym kirysyerem. Swarzyć się lubi od pewnego czasu okropnie: nie wiem co to znaczy?..

— Ale ja wiem: hrabianka nie odstępuje cię od trzech miesięcy ani na chwilę; młodéj, zdrowéj osobie potrzeba ruchu, a gdy go nie doświadcza, wówczas pomimowolnie zastępuje go wstrząśnieniami umysłu i zaczepia tych, których kocha, dla doświadczenia przyjemności walki..

— Strasznie pan materyalnie tłumaczysz moję pochopność do kłótni z Fabianem, panie Eskulapie!—odrzecze śmiejąc się hrabianka.— Alexander zapomina, że ja nie wyzywałam, tylko wyzwaną zostałam; i nie szło tu o fraszki, ale o filozoficzne zasady, na których się obracała przeszłość świata, i obracać będzie przyszłość. Czemu inni ludzie nie pojmują tego, co dla mnie jest tak jasném? To mnie gniewa, że tego nie pojmuje ani babcia, ani Fabian; a przecież babcia wiele ma nauki, a Fabian znów tak nie jest w ciemię bitym. Otóż to mnie gniewa.

— Pojmować ani chcą, ani mogą — rzecze pan Teodor.— Pani hrabiny cała dusza krąży jeszcze w tradycyach starodawnéj przeszłości, bo własnemi oczyma widziała jeszcze resztki owych świetnych rycerskich czasów; pan Fabian zaś tylko o nich czytał i marzył, i tyle niemi jest oczarowany, że je zamyślił przywrócić. Starego przekonania i młodéj poezyi nikt nie przeprze argumentem filozoficznym, żeby najsilniejszym, i choćby z najpię-

kniejszych ust pochodził. Nikt nie chciałby być w sprzeczności z swojém przekonaniem, i dlatego też nikt chętnie nie uwierzy w zasadę przeświadczyć go mogącą: że jego życie jest kłamstwem, lub też na ułudzie wspartą chimerą; a jeśli kto uwierzy, to na własną niedolę, bo albo umrze z żalu, że się przez całe życie mylił, a zatém kłamliwy tylko pędził żywot; albo też wyrzec się musi ze wszystkiém tego, co mu dotąd dawało chleb i znaczenie, co było celem życia i przedmiotem zatrudnienia. A już pani racz być pewną, że się pan Fabian dla żadnéj filozofii, i dla żadnéj idei postępu nie wyrzecze hełma, puklerza i palonych butów; leczby wolał jeszcze przybrać tarczę i kołczan, oraz powiewające pióra strusie do ubioru swojego.

Hrabianka klaskając w ręce z radości rzekła:—Ach! szkoda, że nie słyszy, jak go pan wymownie i serdecznie bronisz; możeby wtenczas pana pokochał, i był wdzięczniejszym za tyle dowodów poświęcenia i przyjaźni, które nam pan oddawna udzielasz...

— Pani, na Boga! sercu rozkazywać nie można, ani ono słucha rady żeby najlepszéj. Ubliżyłby mi hrabia Fabian, gdyby mi okazywał jaką przyjaźń za to, co ja dla Alexandra czynię; udowodniłby przez to, że mnie ma za człowieka, który chce być płaconym i wynagradzanym za koleżeńskie usługi. Objawiając mi bez ogródki owę zimną, ale grzeczną antypatyą arystokratyczną, wyraźnie mi pokazuje, że mnie nie kocha, ale że mi szacunku odmówić nie może. Człowieka szlachetnego szacunek więcéj wart, jak miłość istoty bezcharakternéj; to pani przyzna...

Wzruszyły te zdania, napozór może sofistyczne, ale którym sposób wesoły i śmiały, w jakim zostały wyrzeczone, szczególną nadawał cechę prawdy i przekonania; wzruszyły, mówię te słowa dobrego Alexandra.

— Dziękuję ci, dziękuję z całego serca, że sobie tak szlachetnie tłumaczysz uczucia brata mojego; tyś doskonale odgadł wszystkie tajniki tego serca tak próżnego, a tak zawikłanego zarazem. Że jest człowiekiem honoru, za to ręczę, tak jak sumiennie upewnić cię mogę, że cię uważa za człowieka honoru, lubo mu nienawistne i zasady twoje, i wybacz mi, że tak szczerze wyrzekną—i narodowość twoja nawet. Ale że cię poważa, to wszystko przekonywa; nawet dziś, niedawno temu, nowa zaszła okoliczność dowodząca tego....

— Tak nie inaczéj panie Teodorze—dodała rumieniąc się i oczy spuszczając hrabianka Jadwiga— przed chwilą dowiódł tego najwyraźniéj domysłami swemi, podejrzeniami. Alexandrze, mamże powiedzieć?

—Jadwigo! na miłość Boga, cóż ty chcesz pleść, niedorzeczna istoto? Czemu się mnie pytasz, a nie matki?

— Bo matka wszystko pochwali co ja zrobię, a ty czasami nie; ale—tak mi się chce powiedzieć. Z człowiekiem takim jak pan Teodor, z tak doświadczonym przyjacielem domu naszego, można, a nawet trzeba być szczerym. Alexandrze, tak mi się chce powiedzieć, czém dowiódł najlepiéj Fabian, że szanuje pana Teodora i że go się boi; pozwól powiedzieć, a ulży mi się na sercu.

— Jadwigo! ty jeszcze pogarszasz sprawę owemi zapytaniami i prośbami o pozwolenie. Patrz, jaką wznieciłaś ciekawość w Teodorze; co on sobie pomyśli o twym rozumie i takcie?..

— Nic złego nie pomyśli nigdy o siostrze przyjaciela, który ją wychował. Otóż powiem umyślnie, by to nowym stwierdzić dowodem.

Teodor siedział jak na rozpalonych węglach, i pytające wlepił oczy w oblicze Jadwigi, która nań badawczo patrzała.

— Otóż mnie podejrzywa, że się w panu kocham, panie Teodorze—rzekła z przyciskiem Jadwiga, ale się ani zarumieniła, ani swych ócz badawczych nie spuściła.

Teodor zaś zbladł, bo rzecz całą pojął odrazu; wszystkie swe siły skupił, a uśmiechając się, grzecznie skłonił głowę i rzekł:

— Zaprawdę, zawiele wyświadcza mi honoru. Przekonany teraz jestem, że mnie hrabia Fabian szanuje: będę umiał cenić to uczucie.

Pan Teodor czuł to w sercu, że go spojrzenia matki, córki i syna wskróś przeszywały.

Serdeczność skrzepła, rozmowa ustała, matka i córka życzyły dobranoc. Jadwiga Teodorowi podała rękę, i ścisnęła dłoń jego mocniéj, ale zimniéj niż kiedykolwiek. Już to zapewne ostatnie ściśnienie.

III. Dwaj przyjaciele.

— Teodorze! dłoni ci prawéj podać nie mogę, bo jeszcze bezsilna, i ścisnąć cię nie potrafi tak serdecznie i mocno,

jakby zechciała; ale daj mi *osculum fraternitatis*, bratni pocałunek tak szczery, jakiemi wiem, że są szczere uczucia moje względem ciebie. Pozostań jeszcze na chwilę ze mną, bo pogadać z tobą muszę.

Teodor pocałował bladą twarz rannego młodzieńca, i po chwili ochłonąwszy z zadziwienia rzekł:—Alexandrze, jesteśmy młodymi, ale mężczyznami: żadnych tedy do rozczuleń prowadzących rozmów. Ja ciebie kocham, tak jak rzadko który człowiek moich zasad i mojéj narodowości kocha człowieka inaczéj myślącego i zrodzonego; a kocham cię, bo wielbię stałość charakteru twojego. Wiem, że rozstać się musiemy.

Na to odpowié Alexander: — Tyś jest najlepszym dowodem, że gdzie w głowie jasno, tam i w sercu trafnie. Czemże jest człowiek kochający tylko tych, którzy mu się wywdzięczyć potrafią? Gdyby nie było lepszych z serca, instynktem dobroci wiedzionych ludzi, ludzkość może dotychczas byłaby straciła wiedzę swego szlachetnego posłannictwa; możeby nawet nie wierzyła w możliwość wyższego udoskonalenia, czystszego szczęścia śmiertelnym zwiastowanego. Ludzie, kierujący się owym instynktem serca, niegęsto są rozsiani po świecie, i do najszczęśliwszych nie należą. Całe ich życie mozolne, pracowite; dla nich odpoczynku nie ma: wiecznie ich pędzić będzie na jawie i przebudzać we śnie idea skutecznego czynu, potrzeba tworzenia, chęć wykazania, że przyroda ludzka w walce z przeciwnościami niezawsze ulega; lecz owszem hartuje się, doskonali a często zwycięża, pomimo wszystkich zawad i utrudnień, które im na drogę życia rzucać będzie owa tłuszcza miernych, co się w ich cieple ogrzewa, a ich upadku wygląda jak kania deszczu.

„Dla nich pogodnego szczęścia, spokojności i odpoczynku nie będzie; oni jedynych chwil rozkoszy doświadczają wtenczas, gdy za szczebel do szczęścia posłużą innym, może niewdzięcznym: gdy przed sobą samemi uznają, że barkami swemi dźwigają, jak Atlas pogańskie niebo, ów duch człowieczeństwa, zawsze do upadku gotowy, zawsze podpory potrzebujący.

„Zpomiędzy innych, których myśl pędzi, jesteśmy tu przytomni ty i ja. To dawno uznałem. Po piérwszy raz cię zauważyłem lat temu blizko trzy na kursach metafizyki professora Herbarta. Nie zrozumiałeś tego kursu, sam przyznaj, i nie dziwię się temu; bo filozofowie niemieccy tyle dokładają usilno-

ści, aby zrobić mądrość swą niedostępną, ile francuzcy dla zrobienia jéj dostępną, przez co i ci i tamci szkodzą nauce, bo zbyt nauczają mało. Zresztą jesteś cudzoziemcem, i nie miałeś sposobności wtajemniczenia się w kabalistykę słownika filozofów niemieckich. Dość, żeś wątku myśli uczonego Herbarta często, pomimo wszelkich starań i usilnych natężeń, schwycić nie mógł. Widocznem to było na tobie: oczy wytrzeszczałeś, uszy nadstawiałeś, notaty robiłeś. Powracając do domu przez długą ulicą Królewską, odczytywałeś te notaty, i zawsze napróżno; niezadowolenie malowało się na twarzy twojéj, i tak mi cię żal było serdecznie, tak mi się walka twoja usilna z własném twém pojęciem głęboko wpisała w duszę, że chcąc ci ulżyć, i dowiedziawszy się kim jesteś i gdzie mieszkasz, zamówiłem się do ciebie pewnego wieczora".

- Wiem bardzo dobrze: pod pozorem, żebym ci udzielał lekcyi języka polskiego, którego znajomości potrzebowałeś dla zrozumienia papierów, pozostałych po twym pradziadku, który był ambassadorem pruskim przy dworze Jana Kazimierza króla polskiego.

— Nieinaczéj, a ja ci zato, sam będąc ubogim, ofiarowałem dawać korrepetycye kursów Herbarta, na co z wielką przystałeś radością. Przez pięć miesięcy, codziennie prawie, chodziłem do ciebie, i spędzaliśmy razem po dwie godziny nad nauką. Tyś się nauczył rozumieć Herbarta, i ja się nauczyłem czytać papiery mego pradziadka, i smaku nabrałem do waszéj literatury, któréj piękności Niemcy ocenić nie umieli. Ale więcéj jeszcze zyskałem: poznałem kolegę godnego służyć mi za wzór pod wielą względami. Biednym byłeś okropnie: nieraz całemi tygodniami żywiłeś się tylko chlebem i wodą; ale żadna skarga na los twój nie przeszła przez usta twoje; od nikogo grosza nie pożyczyłeś, a na ulicy, wara od ciebie. Mina zawsze zawiesista, a ubiór tak porządny, jak go żaden nie miał akademik. Słynąłeś z toalety swojéj po całém mieście, miano cię za krociowego pana; a na balach i w towarzystwach kto dzielniéj tańczył od ciebie, kto się lepiéj i swobodniéj bawił? Zkąd się najrzęsistsze odzywały śmiechy, gdzie najliczniejsze stawało kółko dam naszych, tak wesołych i zabawę lubiących, tam zawsze w pośrodku stał pan Teodor z swoją niepohamowaną werwą, z swym przytomnym umysłem i odwagą słowa, o jakiéj wyobrażenia nie mieliśmy, my Niemcy, doprawdy nie mieliśmy.

„A na *Paukboden*? Raz tylko jeden na nim stanąłeś, ale to było prawdziwe *veni, vidi, vici*. Pamiętam ja i sprzeczkę, i jéj rozstrzygnienie, tak jak dziś: wszyscyśmy ci zazdrościli, bo była klassyczną od początku aż do końca. Jeden z dwóch najwalniejszych szermierzy uniwersytetu, senior *Thimm*, zakazał ci na balu publicznym tańczyć więcéj z swoją narzeczoną, bo mu było zazdrość. Ty przewidując, że się chce przyczepić do ciebie, wyzwać na pojedynek i przez to oddalić z sali balowéj, (bo taki u nas przyjęty zwyczaj, że wyzwany oddalić się musi z miejsca, na którém bawi wyzywający); ty nie czekając epitetu *dummer Junge*, starczącego nam na wyzwanie, odpowiedziałeś: „i z twoją narzeczoną tańczyć będę tyle, ile mi się spodoba, i ty około mnie tańczyć będziesz tyle, ile zechcę.“ To było dość wyraźném: senior wynieść się musiał z sali i pozostawić swą narzeczoną, któréj się zabawa podobała więcéj, jak narzeczony. Tyś z nią tańczył aż do dnia białego; a w trzy dni późniéj, wielki *Thimm* tańcował około ciebie z rapirem w ręku cały kwadrans, jak Dawid około arki Noego, i nareszcie, niechcąc się uznać za zwyciężonego, legł jak długi z szramą ćwierćłokciową na ramieniu. A ranę twoję zataiłeś, choć ją otrzymałeś zaraz coś w piérwszym *gangu* w bok prawy; nietylko ją zataiłeś, aleś prosto z mety poszedł na kurs terapii, dwie godzin trwający, i dopiéro, gdy ci krew aż za cholewę uszła i gdy zemdlałeś, koledzy i professor spostrzegli żeś ranny. To téż cię i professor, i koledzy, i przeciwnik twój po wyleczeniu kochali, boś dowiódł charakteru; a gdy się żenił *Thimm*, to cię zaprosił za drużbę; a gdy mu się syn urodził, toś go trzymał do chrztu. I wszystko umiałeś pogodzić razem: uczyłeś się i nauczałeś, bawiłeś się i chorych pielęgnowałeś, a wszędzie cię było i jest pełno, tak jak much we wsi polskiéj. Cóż za przedziwna organizacya! My z matką i siostrą całemi godzinami o tobie mówimy, i podziwiamy cię jako istotę, do wielkich przeznaczoną w przyszłości celów.

Teodor tymczasem, podczas téj długiéj apoteozy własnéj swéj osoby, siedział jak na krześle cenzurowanego, i nakoniec przerwał mowę Alexandrowi temi słowy:

— Słuchaj przyjacielu i bracie! nie bawmy się w towarzystwo wzajemnego uwielbiania: zostawmy to dobrym ludziom, niemającym żadnego innego sposobu wzniesienia się w własnych oczach; ale, jeźli ty mnie chwalisz, to i ja chwalić cie-

bie muszę, jeżeli nie z wdzięczności, to już z potrzeby serca. Zresztą jestem tego mniemania, że jak nieraz nagany ze strony nieprzyjaciół naprawiają, tak niezawsze pochwały przyjaciół psują człowieka umiejącego się rządzić sumieniem. Jedno ostrzega od złego, drugie do wytrwania w dobrem zachęca. Ja myślę i pewny jestem, żeś ty większych odemnie dokazał rzeczy. Tyś miał lat zaledwie szesnaście, gdyś wrócił z *testimonium maturitatis* lat temu trzy z Berlina, z szkoły ubogich potomków starożytnych rodzin, utrzymywanéj kosztem prywatnym waszego dobrego monarchy. Lat siedm strawiłeś daleko od rodziny, któréj z historyi dowiedziałeś się dawnéj świetności; a gdyś wrócił, ujrzałeś ją w stanie ubóstwa tak opłakanym, że graniczył z nędzą. Wówczas na widok siostry twéj młodszéj, tak piękne posiadającéj usposobienia, a tak zaniedbanéj w naukach, tak bystréj i dobréj, chociaż nigdy ani świata nie widziała, ani doznała jego zabaw i rozkoszy; wówczas w tobie od jednego razu przebudziła się jasność pojęcia, siła woli, i potrzeba czynu: jednéj nie spocząłeś chwili, po uzyskaniu mozolnie zapracowanych wawrzynów, lecz tegoż samego dnia wziąłeś się jak szermierz, niczém znękać się niedający do pracy, wziąłeś się do kształcenia twéj siostry, i nauczyłeś ją historyi, literatury swego kraju, i języka fracuzkiego; nuty przepisywałeś, aby ją muzyki uczono, dla teatru tłumaczyłeś francuzkie i angielskie sztuki, abyś zyskał w zamian lożę dla rodziny, i żadnéj nie wstydziłeś się uczciwéj, żeby najtaniéj zapłaconéj pracy; co jest istotnie cudownem w hrabiczu, potomku świetnego rodu, któryby żyć mógł długo pożyczkami, gdyby swą obecnością zechciał ozdabiać salony dorobkowiczów, i pochlebiać ich próżności. Poszedłeś dla dobra rodziny twojéj w zawody konkursowe z najpilniejszemi i najzdolniejszemi współuczniami, i osiągnąłeś, bez wstawień się i rekommendacyj, najpiérwsze stypendyum naszéj wszechnicy — pięćset talarów rocznego wsparcia, i to na lat pięć, z uwolnieniem od kosztów kursów i examinów. Wiem, że i sto talarów na własną potrzebę z tego nie wydajesz; resztę poświęcasz rodzinie, i jeszcze pracuz jesciągle po całych nocach nad szpargałami tłumacząc i pisząc. Starożytne domu twego meble i portrety wydarłeś z rąk wierzycieli, spłaciłeś długi, i rodzinę całą postawiłeś na nogi. Wydźwignąć rodu twego starożytny blask na światło, pojmuję, że to jest zadaniem twojém, a bierzesz się do trudnego dzieła

nie przez pochlebstwo i intrygi, lecz przez pracę; przez tę samę trudną i mozolną broń, przez którą inni chcą wydźwignąć warstwy jeszcze nie działające, z niczego. Walczysz bronią tąż samą, co i my, chociaż do innego dążysz celu, chociaż innym się poświęcasz zasadom; ale że broń twoja dobra, więc każdy cię uczci i szanować będzie. Dobremi sposobami, dla każdéj sprawy, a nie byle jakimi dla téj, którą uważamy za dobrą;—otóż moje i twoje godło, otóż prawych ludzi godło. Spotkać się możemy na téjże saméj drodze, krzyżując się, lub téż przeciw sobie biegnąc; ale wówczas niech twarda stal uderzy o twardszy krzemień, niech prysną iskry rzęsiście, i rozwidnią choć na chwilę ciemności, w których się obracają losy rodu ludzkiego. Ale *à propos*, tyś chwalił moje męztwo, teraz do mnie sławić twoje. Ja się biłem z burszem o sławę jego własnéj narzeczonéj; tyś się bił z innym za to, że śmiał poniewierać sławę waszych dawnych rodów, i że nazywał wszystkich ich potomków niedołęgami. Prawda, żeś nie wyszedł z pojedynku tak szczęśliwie, jak ja; aleś téż przeciwnika potężnie poczęstował: ucho mu obciąłeś tak dobrze, jak się obcina mopsowi; przyrosnąć mu już nie chciało żadnym sposobem. Długie zapuścił włosy i niemi pokrywa szkodę. Źle wygląda prawnik bez ucha; z uszkodzonym słuchem trudno będzie sprawiedliwość wymierzać.

Zesmutniał poczciwy Alexander i po chwili rzekł:

— To nie to, com zrobił najlepszego w życiu! Ja ranę moję zapomnę, chociaż bardzo była bolesną, i długa po niéj pozostanie niemoc; ale on straty kawałka ciała swojego, do grobowéj deski zapomnieć nie jest w stanie. W ogólności obrzydła mi sama idea pojedynku: on mnie pozbawił ojca, gdym był niemowlęciem, i nie jeden już mego rodu członek jemu winien przedwczesny zgon. Nawet mój dziad umarł w skutku ran otrzymanych w pojedynku, i to właśnie w wilią batalii pod Jena: przynajmniéj nie był świadkiem dnia tego nieszczęsnego. Babka moja utrzymuje, że jakieś przekleństwo cięży w tym względzie na rodzie naszym. Ja przyznaję, że od téj chwili strzedz się będą zajść wszelkich. Ale do rzeczy: nie pytasz mnie nawet, dlaczego cię zatrzymałem?

— Zapewne dlatego, żeby mi wytłumaczyć powody i możliwe skutki podejrzeń hrabiego Fabiana. Nie trać słów w tym względzie. Wiem ja, jak sobie mam tłumaczyć to wszystko; innym razem o tém.

Alexander zamilkł i oczy spuścił; spostrzegł, że bystry Teodor wszystkiego się domyślił i wszystko przebaczył, że miał tyle szlachetności, aby przyjacielowi oszczędzić wszystkich owych wybiegów i fałszów, któremi wielu ze świata wyższego dochodzi do celu.

— Alexandrze—dodał Teodor, patrząc na wybladłe, zmartwione i zawstydzone oblicze przyjaciela, którego tyle kochał— Alexandrze, uspokój się i dobréj bądź myśli; ja cię nie posądzę o brak wzajemności; wiem, iż sam jeden przeciw całéj twéj rodzinie walczyć nie możesz, ani nie powinieneś; wiem także, że *duma* jest w stanie najlepsze ścisnąć i zmiąć serce, tak, że w niém nie pozostanie litości nawet dla dobroszyńcy. Teraz do rzeczy, do interesu. Znalazłem ci kupca na twe dzieło o stosunkach dyplomatycznych Polski z książętami pruskimi; jeden z rodaków moich, przejeżdżający z Litwy, chce je wydać w Lipsku (1). Ofiaruje ci on 200 talarów i 50 egzemplarzy za rękopis; czy przystajesz na to?

— Z największą radością, z chęcią przystaję: nigdym się nie śmiał spodziewać, żeby ta praca połowę téj summy warta być mogła, lub żeby na honor druku zasługiwała. Już w téj sprawie widać hojną, wspaniałą rękę Polaka. Ale powiedz, Teodorze, na miłość Boga, czy to nie jest jaki rodzaj grzeczności?.. jałmużny?—dodał słabym głosem hrabia Alexander Dohna spadając z swego uniesienia.

— Czy myślisz, żebym się był podjął takiéj missyi?—chyba mnie nie znasz. Owszem, szlachcic doskonale się targował, i z pięć dni spędził na ocenieniu rękopismu, na sprawdzaniu dokumentów z oryginałami w archiwum Wallenroda (2), sam

(1) W r. 1835 wyszło to dzieło u Brockhausa, pod tytułem: „Einiges über die diplomatischen Verhältnisse der preussischen Fürsten mit der ehemaligen Republik Polen, von *A. G. v. d D.*

(2) Dokumenta te znane już były ś. p. Felixowi Bentkowskiemu w roku 1834, i nie wiem dlaczego większéj nie zwróciły uwagi historyków naszych, tyle dbałych o odkopanie dziejów przeszłości kraju. Jeden z literatów w mieście naszém, tu w Warszawie zamieszkałych, posiada ważne dokumenta do wyświecenia niejednéj ważnéj kwestyi historycznéj przydać się mogące, a czerpane z archiwów królewieckich. Śmiało twierdzić można, że w całéj dawnéj Polsce nie ma tyle materyałów do rzeczy i dziejów polskich, ile ich znachodzimy w Prusach wschodnich i zachodnich. Królewiec, Braunsberg, Wschowa (Frauenburg), Elbląg,

bowiem jest historykiem i archeologiem. Ty nie uwierzysz, ile nas interesują dzieje przeszłości naszego kraju; co tylko posłużyć może do wykrycia nieznanych faktów, wszystko to umiemy cenić doskonale. Tak tedy, ponieważ przystajesz, otóż są pieniądze w dobrych frydrychsdorach, i przekaz na pięćdziesiąt egzemplarzy.

Zaiskrzyły się ubogiemu potomkowi świetnéj rodziny oczy, na widok téj małéj summki, zapracowanéj nie na polu bitwy, lecz uczciwą i mozolną pracą. Teodor cieszył się jak dziecko z téj radości przyjaciela.

Gdańsk, Toruń, Peplin i inne miasta posiadają szacowne i nader obfite w materyały do dziejów naszych archiwa; a lubo już czerpali z nich pilnie Hartknoch, Lengnich, Voigt i inni, przecież dostarczyć jeszcze mogą niezmiernie bogatéj rudy pracującym na niwie dziejów krajowych.

Nie omijamy téj sposobności bez obznajmienia czytelników naszych z tém, co zawierają owe archiwa.

1. *Archiwum tajne w Królewcu* prócz materyałów do dziejów Polski i Litwy, których Kotzebue, Baczko i Voigt użyli już do swoich historyj Prus, a ostatni do swego Kodexu dyplomatycznego Litwy; archiwum tajne w Królewcu posiada mnóstwo nietkniętych jeszcze przez nikogo materyałów do historyi polskiéj, jakoto:

a) Listy rozmaitych dygnitarzy mazowieckich, pisywane w XIV i XV wieku do kommandorów zakonu; (sztuk 27 tych listów posiada jeden z tutejszych literatów).

b) Listy Zygmunta Igo.

c) Listy Zygmunta Augusta.

d) Listy królowéj węgierskiéj Izabelli.

e) Listy sławnych reformatorów polskich: Jana Łaskiego, Eustachego Trepki, Marcina Kwiatkowskiego, Andrzeja Trzecieckiego (ojca) i wielu innych, pisane do Albrychta Igo. (W archiwum gminy reformowanéj w Warszawie znajdują się ciekawe pod tym względem rzeczy).

f) Rozmaite dokumenta tyczące się stosunków Polski do Prus książęcych za panowania dwóch Zygmuntów.

Prócz tego wszystkiego znajduje się tutaj rękopism kroniki Bogufała z XVgo wieku. (Literat warszawski o którym wspomniałem, posiada kopią téj kroniki z XVIgo wieku i obecnie pracuje nad biografią Bogufała); historya biskupstwa warmińskiego, z tegoż wieku; *Annales Monasterii Olivensis* od r. 1249 do r. 1617 w rękopisie; katalog opatów peplińskich; historya klasztoru oliwskiego Piotra Wernera aż do roku 1270; przywileje klasztoru oliwskiego Antoniego Schnecbergera; *Catalogus medicamentorum antipestilentialium* przysłany przez Dra Strusia Albrychtowi.

— Cóż za miła niespodzianka dla méj rodziny, kochany przyjacielu! Wyznaję ci, żeśmy potrzebowali téj kwotki na zakupienie jakiego klawikordu dla Jadwigi. Tobie to wszystko winniśmy, a.....

— Muszę cię uprzedzić Alexandrze — przerwał Teodor— że na kilka tygodni wyjeżdżam do wód morskich do *Kuren*; przez ten czas professor *Dietz* odwiedzać cię będzie. Szanuj się i bierz kąpiele siarczane; pewny jestem, że za powrotem znajdę cię zupełnie zdrowym. A teraz bądź zdrów, Alexandrze, połóż się spać, już blizko północy.

Dwaj przyjaciele uściskali się z rzewnością, z rozczuleniem i z łzami w oczach. Jednego i drugiego przeniknęło jakieś smutne przeczucie. Niestety! miało się wkrótce ziścić.

— On wyjeżdża umyślnie, żeby tu więcéj nie przychodzić! On szlachetny, wszystko pojął i trudną oszczędził mi przeprawę—rzecze do siebie Alexander, ścigając oczami łódź, na któréj Teodor z zakrwawioném sercem odbijał od brzegu, i dążył ku środkowi jeziora, aby tam zdaleka od ludzi dać folgę żalowi.

— Nadwerężyłem węzeł łączący dwa wierne i kochające się serca. Czy to było istotnie powinnością moją?—pytał sam siebie hrabia Dohna.

2. *Biblioteka Wallenroda w Królewcu* zawiéra pomiędzy innemi następujące źródła historyczne:

a) Journal de la diète tenue à Grodno 1744.

b) Connotatio electionis Michaelis Wiśniowiecki 1669.

c) Quodlibet rękopisów pod nr. 16, zawiera listy Hozyusza, Sapiehów i Radziejowskiego prymasa.

d) List Klemensa VIII do Zygmunta IIIgo.

e) Rękopis pod nr. 23, folio, zawiera obszerny opis sejmu warszawskiego w r. 1601.

f) Akta elekcyi Władysława IV i inwestytury pruskiéj.

g) Rękopis pod nr. 34, folio, zawiera akta stosunków Polski z Prusami od najdawniejszych czasów aż po rok 1618.

h) Rękopis pod nr. 53 obejmuje Miscellanea polskie, a pomiędzy nimi własnoręczny list Władysława IV, testament króla Michała i 36 innych ważnych dokumentów.

i) Rękopis pod nr. 24, in 4to, obejmuje między innemi traktat Zygmunta Igo z Albertem z r 1525, i traktat Zygmunta Augusta z Fryderykiem margrab. brandenb. z r. 1569.

k) Rękopis pod nr. 26, in 4to, pisany r. 1463, bardzo ważny: *Jutsitia belli Regis Casimiri adversus ordinem Teutonicum per Albertum Bogatham.* *Przypis. autora.*

III. Strategika i obłuda.

Jeszcze na chwilę wróćmy do domu, z którego z nieutulonym żalem w sercu, oddalił się na zawsze duch jego opiekuńczy.

Wiemy, że w chwili w której młody lekarz zapukał do pałacyku młodego pacyenta, babka jego i brat wydalili się do przyległego pokoiku. Nie chcieli patrzeć na człowieka nienawistnego im dlatego może najwięcéj, że od niego doświadczyli usług i dobrodziejstw. Takie są serca dumą przesiąkłe!.. Cięży im dług wdzięczności zaciągnięty od plebejusza; a gdy go spłacić nie mogę, wówczas najmniejszy pozór posłuży im na wyparcie się jego.

Hrabia Fabian zamknąwszy drzwi za sobą i babkę swą usadziwszy w fotelu, zaczął się śmiać stłumionym, serdeczno-szatańskim śmiechem.

— Z czegoż tak tryumfujesz ulubiony mój wnuku?—spyta sędziwa hrabina, przetarłszy okulary, i wsadziwszy je na nos swój wzdęty pychą.

— Jest z czego tryumfować droga babciu, jest z czego. Patrz! Jadwiga mnie ma za jakiegoś niedołęgę, za jakiegoś nic nie pojmującego nieuka, a ja przecież jednym wybiegiem, jednym udanym gniewem zmusiłem ją do wykonania tego, co oddawna umyśliliśmy dokonać, a nie wiedzieliśmy jakim sposobem. Zamknęliśmy przecież drzwi owemu cyrulikowi, traktującemu nas z taką ubliżającą przyjacielskością. Alboż to ja wierzyłem, że go Jadwiga kocha? Nie, tego zaszczytu nie wyświadczałem mu nigdy. Oho! znamci ja dobrze moją siostrę: ona lubi swawolić z ideami postępowemi, chętnie się bawi w emancypantkę, i tém się chce podobać naszemu filozofowi, *odrodzicielowi domu Dohna*; ale w gruncie serca tak jest dumną ze swego pochodzenia jak ty babuniu, jak ja, tu obecny. Nigdym dalibóg, nie dostrzegł, żeby choć raz jeden spojrzała na owego pana Teodora tak, jak my patrzymy na równego sobie; traktować go musiała z pewną grzecznością, boć trudno znów zanadto okazywać wzgardy takim, co nam służą, dopóki nam służą; ale daleko od tego do miłości, bardzo daleko. Mierziła mnie już od dawnego czasu owa zażyłość cyrulika z bratem moim; zwłaszcza od czasu, kiedy stan jego zdrowia już nie wymagał owych częstych i długich odwiedzin. Chciałem go te-

dy usunąć z domu, i użyłem za narzędzie samą hrabiankę, protektorkę mieszczańskiéj szlachetności. Za to ręczę, i przysiądz mogę, że od naszéj przemówki, Jadwiga pyta sama siebie: ja podejrzywaną o miłość do osoby bez tytułów, do lekarza? Nie, córka Cezara nawet posądzaną być nie powinna! Niezawodnie w téj chwili daje odprawę miłemu Eskulapowi, co mnie zawsze tak raził swoim impertynentskim *sansfasonem*.

— Dobrześ zrobił, doskonaleś zrobił mój wnuku! Poznaję w tobie serce i duszę twych wielkich przodków — odrzecze stara hrabina, niemogąc dosiedzieć w fotelu z zadowolenia.—Tak, masz racyą, do żadnéj tam wdzięczności dla niższych od nas istot poczuwać się, jak sądzę, nie mamy obowiązku: nieprawdaż?

— A to oczywista, najmniéj względem tych, których płacić nie można pieniędzmi, boby niemi wzgardzili. A jeśli pieniędzy nie chcesz, to się kontentuj honorem, zaszczytem, żeś wyższym od siebie istotom był użytecznym, żeś w ich żył atmosferze, i nabrał może przez kontakt cokolwiek z tych manier, któremi i mieszczanin, gdy je zręcznie małpuje, potrafi owładnąć umysły niższych jeszcze od siebie istot. Niech idzie podbijać córki bankierów starego testamentu, ale zasie od brzmiących sławą oręża nazwisk!

— Święta prawda, drogi hrabio Fabianie! Chodź tutaj, niech cię uściskam. Jaka to logika głęboka a trafna w rozumowaniu! Nie gniewaj się, ale poprostu ci przyznam, że mnie zadziwiasz; nie wiedziałam, żeś do tego stopnia zdolny, boś się podobno, jak Alexander twierdzi, niewiele uczył. Ale nauka, broń panie Boże! do czego prowadzi?—oto do tego, że naukowy hrabia uważa naukowego mieszczanina za równego sobie, i rąbie się z nim i skaleczonym bywa. Otożto w tobie, mój aniele, najwyraźniéj się objawia wpływ ducha wrodzonego jestestwom wyższego rzędu. Ty nosisz w sobie, nie wiedząc o tém, cały zasób szlachetności, od dwunastu wieków składany w twą rodzinę: on to płodzi, jak żyzna ziemia sama z siebie pokarmy, owe pomysły głębokie, któreś pewno nie zaczerpnął w jakichś tam martwych księgach. No i proszę, i sama Jadwiga da odprawę owemu, jakże się nazywa, Eskulapowi, *Herr von Esculapius*; dobrze to brzmi, ale jakże tego dokaże na miłość Boga?

— Jak to dokaże?— najłatwiéj. Ona w swéj nibyto dziecinnéj, tak czarującéj naiwności, ma zasób przebiegłości i podstępu niewyczerpany; do niego się uda po sposób wydalenia na-

szego przyjaciela domu. On jest domyślny, tego mu ująć nie można, i posiada pewną ambicyą; był żołnierzem, szlify nawet nosił: zwącha on pismo nosem, za to ręczę. Ale dobranoc babuniu, spać się połóż, bo już późno; i ja także pójdę spocząć na mych dobrze zasłużonych wawrzynach.

I pan hrabia Fabian poszedł spocząć snem sprawiedliwego, i śniło mu się o księżniczkach wieńczących rycerzy laurem nieśmiertelności, o wierzycielach wyrzucanych za drzwi pałacu, o dwunożnych owocach wiszących na gałęziach parku, i o innych obrazach przeszłych czasów, bezskutecznie galwanizowanych do życia obecnego.

— Tym razem zadalekoś zaszła, moja Jadwigo. Uniosła cię dziecinna szczerość poza wszystkie granice. Cóż o tobie pomyśli pan Teodor? cóż o tobie powié? Gotów wziąć to zwierzenie, owo wynurzenie, za jakiś rodzaj ośmielenia.

Tak mówiła matka Alexandra do swéj córki, gdy obie do sypialni wstąpiły; i jedna na krześle usiadła, a druga okno otworzywszy, zamyślona, smętnie w niebo patrzała.

— Nie obawiaj się droga matko, nie obawiaj wcale; twoja córka ani na włos daléj nie pójdzie, jak sama chce; w przepaść wpadającą, siła woli jeszczeby ją wstrzymała nad odchłanią w powietrzu. Ja wiem z kim mam do czynienia: z młodzieńcem ubogim, w pocie czoła na swe utrzymanie pracującym, z plebejuszem *tém* uszczęśliwionym że nim jest, dumnym *z tego*, że mu nic nie pozostawili przodkowie, ani dali rodzice, ani téż ziemia, na któréj zrodzon, udzielić nie może. Oh! ja znam to serce przezroczyste jak dyament, i jak dyament czyste. On o rodzinie swego przyjaciela Alexandra nietylko nic złego nie powié, ale nawet nie pomyśli. On, co tyle walk z przeciwnościami stoczył i cierpiał tyle, a jeszcze się rumieni, gdy myśl jaka mniéj od jego serca czysta, mózg jego nawiedzi; tak jak szatan nawiedza duszę najświętszego człowieka. Ja tego szlachetnego młodzieńca tak pewną jestem, jak siebie saméj. Oh! jak siebie saméj, doprawdy. On żyje atmosferą swego własnego uczucia, swéj własnéj wiary; tak, jak owe ryby, co nic nie pożerają, a żyją wodą, w któréj krążą.

Dwie perły stoczyły się z ócz Jadwigi, a głos jéj serca tak był mocnym, że go powstrzymywać musiała obiema rękami.

— Mamo! mamo! ja nie wiedziałam—rzecze daléj klękając u nóg matki Jadwiga—mamo, ja nie wiedziałam, że go zanadto grzecznie traktuję; ten głupi Fabian jednak to spostrzegł. Musiało być widoczném, że go może i kocham, jeśli on się na tém poznał i dopiéro odrazu. ale odrazu objawiły mi się odmęty od niego mnie przedzielające. Ja go kochać nie powinnam, wiem o tém; i dla nas, i dla siebie, i dla niego samego wyrzecbym się powinna tego uczucia, gdybym go istotnie doznawała. Tak! oburzyły mnie domysły Fabiana okropnie: miałażbym się zapomnieć do tego stopnia, żebym miłość serca mojego zwracała na człowieka bez rodu, bez nazwiska w dziejach głośnego, a oddającego się zawodowi, który jest wprawdzie bardzo pożytecznym, potrzebnym, ale zresztą, uważając rzecz poszczególe, doprawdy bardzo nizkim jednakże. Moja mamo! ja miałażbym zapragnąć téj ręki, która, która...

Zająkała się panna Jadwiga i zarumieniła, a matka przychodząc w pomoc córce, dodała: „która goi rany cierpiących i życie wraca umierającym.“

— Ale która także — doda ośmielona tym kommentarzem hrabianka Jadwiga—macać musi pulsa bogatych i biédnych, pięknych i brzydkich, czystych i brudnych, a łapać musi za pieniądze, któremi te zacne, pożyteczne usługi płacą. I ja miałażbym taką rękę ściskać, i może jeszcze całować? A pfe! hrabianka Dohna do takich rzeczy nie stworzona. Nie, mamo, teraz gdy mi na myśl przychodzi wszystko, czego wypowiedzieć nie mogę, bardzo jestem zadowolona, żem ten węzeł gordyjski, w który się wplątałam, przecięła jedną z owych dziecinnych naiwności, które mi się lepiéj udają, niż najwytrawniejszemu dyplomacie wszystkie wybiegi, kłamstwa i matactwa.

— Więc to dla dania odprawy biédnemu panu Teodorowi, tak dla nas przyjaznemu, uciekłaś się do fortelu tego? Jadwiniu, na twój wiek jesteś zaprawdę bardzo przebiegłą.

— Na mój wiek, mamo? Żyjemy w wieku XIX, w wieku delikatnym, w którym prawda musi być słodzoną i złoconą, ale jednakże powiedzianą. Biédny pan Teodor widząc mnie zawsze uprzejmą i chętnie w jego towarzystwie bawiącą, byłby może naprawdę uwierzył w możliwość jakiegoś uczucia, które nie istnieje i istnieć nie powinno. Temperamentom jak mój, żywym i szczerym, łatwiéj przychodzi zerwać zupełnie stosunki, jak je powstrzymywać w granicach zimnéj rozwagi.

— Żal mi Alexandra, on bardzo tęsknić będzie za przyjacielem, do którego pomocy i towarzystwa tak był przyzwyczajonym. Jakże go wyglądać będzie jutro, i dziwić się że nie wraca; bo zapewne nie wróci, jeśli tak domyślny, jak ty sądzisz Jadwigo—dodała znów hrabina Dohna, osoba dobréj wiary i szczerego, poczciwego serca.

Hrabianka patrzyła się na swą rodzicielkę z uśmiechem, w którym niestety malowało się więcéj szyderstwa jak uwielbienia.

—Mamo! jakaś ty dobra, jaka czystość i prawość w twém sercu! Boże! jaka szkoda, że takiemi być nie mogą wszyscy ludzie w tym wieku zepsucia i podstępu. Mamo! ty myślisz, że twój syn Alexander czekać będzie Teodora; a ja ci powiadam i zaręczam, że *nie*, bo wié doskonale, że ta przyjaźń nasza przechodnia już na zawsze rozerwana. Wy wszyscy nie znacie Alexandra, bierzecie go za jakiegoś proletaryusza dlatego, że z niższemi, gdy mają wpływy, rozum lub serce do usług gotowe, przestawać lubi. Mylicie się, mylicie wszyscy. Alexander jest arystokratą jak nikt z nas, ale arystokratą jak nim być powinien w obecnym wieku każdy szlachcic wysokiego rodu. Alexander jedno tylko ma przed oczyma: wrócić własnemi siłami świetność podupadłemu rodowi, zaprzeczyć tym ludziom, którzy twierdzą, że rozumem nie mogą górować *ci*, co dotychczas orężem wpisali się niezatarcie w dzieje świata. Sam siebie nie zna tak dobrze Alexander, jak ja go znam. On po całych nocach ślęczy nad książkami, i nad pismem się mozoli; ja po całych dniach i nocach śledzę jemu samemu tajemnych sprężyn życia i działalności jego. Odbierz mu mamo nadzieję wydźwignięcia rodu swego z zapomnienia i upadku, o odbierzesz mu wszystko, co pędzi tą czynną maszyną pracy, którą on ogrzewa cieplikiem duszy swojéj. Alboż to Alexander nie zna Teodora, nie wybadał go, i nie wié, że warunkiem życia tego rodzaju usposobienia jakie ma Teodor, jest i będzie zawsze ściganie za tą istnością, która się wyrywa z ciasnych framug i ram zwyczaju i urzędowości, że obadwaj weszli na wsteczne sobie i sprzeczne drogi. Wiara w powrót przeszłości ożywia brata mego i siły swe czerpie z wiedzy tego, co już było;—zaufanie bez granic w rozwój sił jeszcze nieprobowanych, posiadło drugiego. On chce w nowe nieprzedeptane jeszcze tory wpędzić umysły ludzkie, i gardzi przeszłością; nie czaruje go gdy była piękną nie zastrasza, jeśli się na niéj znajdą skazy.

Alexander dziś wybadał już Teodora i zna zarodki wszystkich jego myśli i projektów; wié jak daleko sięgnąć mogą skrzydła jego duszy, i przekonanym jest, że obaj raz w życie praktyczne wstąpiwszy, wprost sobie przeciwnie działać będą. Alexander nie chce świata innego jak ten, który w logicznym następstwie wysnuć się musi z przeszłości; Teodora jędrnemu, wrażliwemu, do czynnéj dobroci tak skłonnemu sercu nie odpowiadają obrazy przeszłości: on biedak wierzy w cnotę, otwartość, w przyjaźń, i dopóki siły mu wystarczą pozostanie pod czarami téj pięknéj ułudy; a potém, zapóźno dla siebie i dla swego szczęścia pozna rzeczywistość, i żyjąc jeszcze, będzie w grobie.

Tak mówiła hrabianka Dohna, wieszczym jakimś duchem natchniona.

IV. Bogaty kuzyn.

W miesiąc czy téż w pięć tygodni późniéj Alexander przyszedł do zupełnego zdrowia, i już znowu mógł oprowadzać i obwozić siostrę, w któréj towarzystwie więcéj jak kiedykolwiek spędzał wszystkie chwile wolne od zatrudnień. Już mu obrzydły sceny burszowskiego życia, całkiem się oddał nauce i urokom życia familijnego.

I Teodor już od dwóch tygodni wrócił z blizkich wód morskich, dokąd w powietrzu ukochanego żywiołu poszedł ochłodzić głowę rozognioną myślami. Wakacye się skończyły, kursa uniwersyteckie rozpoczęły. Nauki przygotowawcze filozoficzne zbliżyły kiedyś Alexandra z Teodorem; ale teraz każdy z nich w czwartym roku nauk, do examinów już się gotuje, zupełnie specyalnym oddaje się studyom; zbliżenia już nie masz, zwłaszcza, że przyjaciel zdrów zupełnie, już pomocy nie potrzebuje.

Spotkali się jednakże razy kilka *w Aula maxima* w gmachu wszechnicy, lub téż w teatrze; przywitali się grzecznie i serdecznie, ale rozstając się już nie pytali: kiedy się zobaczą znowu?

Przyjaźń jednego dla drugiego jeszcze nie ostygła, ale dawna zażyłość już nie miała miejsca; obadwaj żałowali, że już trwać nie mogła, ale że nie mogła, to każdy z nich uznawał.

Alexander złożywszy examina, przejdzie natychmiast do biura dyplomatycznego na applikanta; potém starać się będzie

o posadę sekretarza jakiéj ambassady, zapewne w St. Petersburgu, bo tak sobie życzy cała familia hrabiów Dohna. Już nawet hrabia Alexander, naprzód wszystko przewidujący, naprzód gotujący się na wszystko, bierze lekcye języka rossyjskiego i to od samego konsula. Łatwo mu będzie nauczyć się po rossyjsku, kiedy już wcale nieźle rozumié po polsku. A tak Teodorowi należy się zasługa, bo on mu ułatwił drogę do zasmakowania w słowiańszczyznie. Starsza pani hrabina zaręcza, że pana Alexandra czeka los świetny w Rossyi, ojczyznie krociomilionowych księżniczek, które się niezawodnie natychmiast poznają na piękności, talentach i szlachetności hrabiego Dohna.

Takie było położenie rzeczy, gdy jednego wieczora, jakiś pan dostojny a młody jeszcze, pięknego wzrostu i silnéj postawy, zajechał w pysznym koczu i czwórką pocztową do Królewca, i stanął przed piérwszym hotelem w *Deutsche Haus*, właśnie w chwili, gdy dwóch eleganckich kawalerów, jeden wojskowy, drugi cywilny, z piérwszego piętra hotelu na ulicę wyglądali.

Z pewną zazdrością podziwiali ekwipaż, a więcéj jeszcze arystokratyczną minę i swobodne a rozkazujące maniery przybyłego podróżnika; należeli bowiem do rzędu bardzo szlachetnych, ale ubogich rycerzy.

— Patrz baronie—mówił oficer do cywilnego—taki młody, a już ma krzyż świętego Jana Jerozolimskiego wyhaftowany na piersiach; musi to być coś bardzo dostojnego i bogatego zarazem. Ale baronie, przypatrz mu się dobrze, czy to nie nasz znajomy z szkoły paziów— Fryderyk?

— Nie inaczéj, nie mylisz się hrabio—odpowié zapytany— to istotnie Fryderyk *Dohna de Donye*; ale zkądże przyszedł do krzyża i bogactw, on, jeden z najuboższych z nas wszystkich, syn majora *Landweru*?

— Zkąd przyszedł? o tém się zaraz dowiemy; idźmy go przywitać: wszakże to był swego czasu dzielny, pełen szlachetności kolega, i jeźli się nie mylę, pieniądze nam winien i jednemu i drugiemu. Bóg go tu zsyła oczywiście na nasze pocieszenie.

Wybiegli kawalerowie na korytarz, którym podróżny właśnie wstępował do wskazanego mu mieszkania.

— Burgrafie Fryderyku! witamy cię w naszém dobrém mieście Królewcu!

— Hrabio *von Eulenburg*, baronie von *Busch*, ah! co za miłe spotkanie! Anim się mógł tego szczęścia spodziewać. Jak się macie, moi kochani, od tylu lat nie widziani koledzy! Ale proszę, wstąpcie do mnie, błagam. Jak się macie koledzy? ileto lat minęło od naszego rozstania: lat dziewięć przynajmniéj.

— Nie inaczéj, burgrafie. My tu zwyczajnie klepiemy biedę, tak jak można było przewidzieć w naszych rycerskich Prusach, w których panny dostojne i ładne, ale posagów nie mają. Ożenić się bogato, było to jedynym prawie środkiem wydobycia się z pod ucisku biédy, celem naszych szczerych życzeń; ale trzydziestówka minęła. Gwiazdka porucznikowska na szlifach wprawdzie przybyła z pięcioma talarami miesięcznéj culagi do pensyi; ale nikt się jeszcze nie ułakomił na rękę dostojnego hrabi *Eulenburga*. Baronowi von *Busch* lepiéj się powiodło: już jest od roku asessorem rządowym, i bierze pięćset talarów rocznéj pensyi; więc miłéj się na niego patrzą panienki. Ale tobie, tobie burgrafie szczęście uśmiechnęło się całém gardłem, jak widzę. Ów krzyż, ekwipaż i służący, owa mina wyborna: czy to dary hymenu tak cię zbogaciły?

— Ale, gdzietam; w Berlinie księżniczki i hrabianki także patrzyć umią tam, gdzie u nas pusto; a próżni niecierpią, tak jak nasza matka natura. Opowiem wam wszystko, tylko się napiję szampana, bom okropnie strudzony: extrapocztą gonię z samego Berlina. Wszakże i wy przyjaciele nie odmówicie szklanki? Hola markier, pół tuzina szampana Roederer, lodu wanienkę i przekąskę, co jest najlepszego w kraju: ryby morskie przedewszystkiém. Tymczasem Johan! wypakuj waszeć z spiżarni podróżnéj ów pasztet sztrasburski, nienapoczęty, i pudełko z najlepszemi Hawannami.

Ubodzy rycerze chętnie przyjęli szampana: nie często oni spotykają się z tym trunkiem. W Prusach ekonomika gastronomiczna dochodzi do wysokiego stopnia, z skąpstwem graniczącego; ale burgraf Dohna był szczerze uradowanym z spotkania się z dawnemi świadkami młodości, i nie szczędził pieniędzy.

— Siadajcie kochani koledzy, hrabio i baronie, siadajcie i słuchajcie co wam opowiem. Nie, nie zwodniczy hymen wydobył mnie na wierzch z licznéj kohorty ubogich rycerzy; nigdy mnie Amor, Kupido, Wenus i Hymen wielką protekcyą zaszczycać nie raczyli. Mars mi był przychylniejszym, i jemuto zawdzięczam zmianę położenia mojego, i ów krzyż maltański, o któ-

ry się i książęta udzielni starają, a przedewszystkiém dwakroć kilkadziesiąt tysięcy talarów majątku, i to gotówki, moi panowie, gotówki tak wyraźnéj i pięknie wybitéj, jak te tu frydrychsdory.

I burgraf krasząc giestem swą mowę, wydobył z obu kieszeni dwie garści nowo wybitych frydrychsdorów; a odblysk ich padł, jak łuna słoneczna na zdumiałe twarze kolegów burgrafa.

— Tak cię Mars obdarzył? — zapytał z zadziwieniem oficer — a gdzież miał sposobność tak wielkich dokazać cudów! Od lat dwudziestu trwa u nas pokój, połowa naszych generałów nigdy nie była w ogniu, a ty burgrafie, jeżeliś pałasza dobył, to chyba na mustrze.

— I w pojedynku, hrabio Eulenburg, nie zapominaj tego...

— Prawda, prawda: najsłynniejszym byłeś szermierzem popojedynkowym w całym garnizonie potsdamskim i berlińskim; niemałoś też wysiedział za to dni aresztu w domu i na odwachu; ale nie wiedziałem, że się dobry szlachcic zbogacić może pojedynkami? Dziwny to sposób zdobywania majątku; to coś diablo pachnie średniowiecznością.

— Nie trafiłeś na trop, drogi mój hrabio, nie: błogie czasy *Raubritterów*, rycerzy z łupu żyjących, przeminęły nazawsze od chwili, gdy *Richelieu* szlachtę pokonał. Napróżno silić się będziecie aby odgadnąć, jakim sposobem przyszedłem do majątku i godności pojedynkiem. Opowiem rzecz całą:

Wiecie, żem służył w gwardyi strzelców pieszych, złożonéj z ochotników Newszatelskich. Otóż lat temu cztery, wysłano mnie wraz z innym oficerem do Nefszatelu na rekrutowanie ochotników. Pieniędzy nam dano na extrapocztę i na wystawne życie. My sobie podróżowali i żyli skromnie, a sprawiwszy interes w księztwie naszém szwajcarskiém, oszczędziliśmy każdy po jakie sto talarów, i obrócili tę summkę na zwiedzenie miejsc najciekawszych w Szwajcaryi. Przybywamy do *Bernu*, gdzie się z niemałém zadziwieniem dowiaduję, że w pobliskości miasta żyje jakiś hrabia *Dohna*, potomek tegoż samego Fryderyka Dohna, który w roku 1657 osiadł w kantonie berneńskim, tam kupił baronią *Coppet*, wielkiego nabył znaczenia w radzie berneńskiej, i synom swym dał za nauczyciela owego Piotra Bayle (1), wsławionego pismami i odwagą zdania w całéj Francyi i Szwajcaryi.

(1) Bayle poprzednikiem był Woltera w filozofii.

Otóż jeden tylko pozostał potomek téj gałęzi naszego rodu, i ten, starzec bezdzietny, żył jak pająk w swym zamku Coppet: słynnym był z skąpstwa, z rozlicznych oryginalności, a zwłaszcza z zamiłowania w ornitologii. Cały park jego zamku pełen był klatek i cieplarni, zawierających najrzadsze rośliny i ptaki. Z nikim się nie komunikował, prócz z swemi ptakami, które żywe sprowadzał, rozmnażał i pielęgnował, a po śmierci wypychał i w gabinetach wielkiéj wartości ustawiał. Nigdy nie wychodził za obręb swych posiadłości, ale u siebie w domu ubrany według mody starożytnéj w trójgraniasty kapelusz z galonami i plumażem, w frak haftowany, krótkie spodnie i pończochy, uzbrojony w szpadę, chętnie i gościnnie podejmował podróżnych, i skarby swoje ornitologiczne im okazywał. Owoż mój towarzysz namówił mnie do zwiedzenia zamku *Coppet*, i zabrania z jego oryginalnym właścicielem znajomości.— Ale pijcie koledzy, na miłość Boga! Nie wyjdziemy ztąd, aż ostatnia kropla pół tuzina szampana zniknie w otchłaniach naszego żołądka..

— I zezwoliłeś burgrafie na zaznajomienie się z starym oryginałem, wychowańcem sławnego Bayle?

— Zezwoliłem, ale pod tym jedynie warunkiem, że ściśle zachowam *incognito*, i że dopiéro wówczas nazwisko moje wyjawię oryginałowi, gdy się przekonam, że pomimo dziwactw, zasługuje jeszcze na zaszczyt należenia do rodu naszego.

„Zamek *Coppet*, leży w czarującéj ogromem i pięknością okolicy, tuż blizko sławnego na świat cały instytutu agronomicznego *Hofwyl*, park jego graniczy nawet z tą posiadłością. Dobrze utrzymany zamek *Coppet*, piętrzy się na wysokiéj skale i przegląda w śnieżycach alpejskich; a stopy jego zewsząd otacza park rozległy z drzewami może dziesięciowiekowemi, jakich nigdzie nie widziałem. Wodospady i strumienie huczą z wściekłością, spadając ze stustopowych wysokości; tu znów roztaczają się w stawy, na których tysiąc ujrzysz rodzajów ptastwa wodnego; tu znów podbiegają pod cieplarnie, wielkie jak pałace, dające przytułek rojom ptastwa, z stref gorących ziemi pochodzących. Stada bażantów, cietrzewi, kuropatw, głuszców wyrywały nam się z pod nóg; o takiéj obfitości zwierzyny wyobrażenia nie miałem. W środku samego parku, pomiędzy owém ptastwem i kwaterami najwonniejszych kwiatów, nad jeziorem, stał nowo-

żytny, wesoły pałacyk: w nimto przepędzał właściciel tego raju miesiące letnie, i do niego zmierzaliśmy kroki nasze.

„Ale tak chciały losy, żebym się nigdy nie znajdował pod strzechą kuzyna swego, za jego życia. Gdyśmy już dochodzili do pałacyku, rozległ się po parku odgłos strzelby ze strony blizkiego gaiku, graniczącego z doliną, i wkrótce usłyszeliśmy głosy ludzi kłócących się. Mogliśmy nawet rozpoznać, że jeden z tych ludzi był młodym, wysokim strzelcem, zwierzynę jakąś w ręku trzymającym; a drugi, ubrany w kapelusz trójgraniasty z plumażem, w frak różowy srebrem haftowany, był panem téj posiadłości.

Dysputa pomiędzy hrabią Dohna a wysokim strzelcem źle się skończyła. Hrabia chciał mu odebrać zastrzeloną pod nosem jego, na jego gruncie zwierzynę, i zelżył go słowami dość dotkliwemi. Młody zuchwalec odpowiedział mu: „skąpy starcze, pająku z Argusowemi oczami, ja zakład zrobiłem, że ci tu pod nosem zabiję najpiękniejszego bażanta, i że go jeść będziemy z towarzyszami; otóż jest bażant, daj mi spokojnie odejść, bo inaczéj nauczę cię rozumu."

„Stary hrabia do wściekłości przywiedziony, dobył z niezmierną trudnością szpady już zardzewiałéj i rzucił się na napastnika. A ten zapomniawszy wszystkich względów winnych wiekowi, wyrywa hrabiemu szpadę z ręki, okłada go nią, a potém ją łamie i w jezioro wrzuca."

„Z przeraźliwym jękiem pada na ziemię znieważony starzec; we mnie krew zawrzała, gdym zoczył nazwisko moje tak sromotnie znieważone. Wszystkiego zapominam, puszczam się za zuchwałym młodzieńcem, chwytam go, na ziemię powalam, policzkami okładam, i strzelbę mu łamię na własnych jego kościach."

„Na widok téj sceny, staruszek ochłonął cokolwiek z gniewu, i zbliżył się do nas, dziękując mi w słowach najgodniejszych za pomszczenie jego, ale dopytując się zarazem o zabitego bażanta, którego napastnik z sobą unosił."

„Napastnik zaś, który był przepysznego wzrostu i ślicznéj urody młodzieńcem, macał się i stękał leżąc na ziemi, i nareszcie zwrócił do mnie mowę, zapytując się: czy mu dam satysfakcyą honorową za wymierzoną zniewagę? I dodał, że się nazywa *Freiherr von Fellenberg*, i jest oficerem gwardyi szwajcarskiéj króla neapolitańskiego."

— Panie! ktokolwiek jesteś — przerwie pan zamku— nie dawaj mu satysfakcyi na pistolety: on ptaszki bije kulą w locie, kolibra nie chybi.

— Jeśliś pan człowiek honorowy, to mi dasz satysfakcyą na pistolety, i to najdaléj za trzy godziny; tymczasem każę sobie krew puścić i kąpiel wezmę; późniéj bowiem zapewne gorączka mnie ogarnie, i na kilka dni w łóżko powali. Wiesz, że w takim stanie, w jakiś mnie wprawił, ani pałaszem, ani szpadą nie będę mógł władać. Widziałem was wczoraj w Bernie, wiem, że jesteście pruskimi oficerami; pewny więc jestem, że koledze neapolitańskiemu, tak niemiłosiernie zbitemu, nie odmówicie żadnéj satysfakcyi. Za trzy godziny, tojest punkt o 4téj, jestem z moim sekundantem pod zamkiem *Reichenbach*.

„Odprowadziliśmy kolegę neapolitańskiego do furtki, gdzie stał jego ekwipaż, i nietracąc czasu, nie żegnając się nawet z hrabią Dohna, zatrudnionym ubolewaniem nad swym najpiękniejszym bażantem, wróciliśmy do Bern, aby się do pojedynku przygotować. I ja, jak wiecie, nieźle strzelam, ale kolibra nie trafię kulą w locie; niemało mnie więc obeszła owa biegłość *barona von Fellenberg*. Ale cóż robić, trzeba szanować honor oficerski, i nie odmawiać zbitemu koledze satysfakcyi."

„Odbył się pojedynek w jak najpiękniejszéj formie o 36 kroków, dochodząc do baryer o dwanaście odległych. Baron walcząc z bolem i słabością jeszcze tak dobrze strzelił, że mi wpakował kulę w udo, a ja mu roztrzaskałem głowę. Na miejscu zginął ów biédny młodzieniec, który miał nieszczęście obrazić szlachcica noszącego moje nazwisko; a ten nawet się nie dowiedział, że kuzyn pomścił się zadanéj mu zniewagi, bo prosto z placu pojedynkowego, bojąc się aresztowania, puściliśmy się napowrot do Nefszatelu. Zresztą dowiedziawszy się, że stary hrabia taki skąpy i taki dziwak, umyślnie nie wyjawiłem nazwiska, aby nie popaść w podejrzenie, żem się bił za honor nazwiska mego w nadziei, że się stary, bezdzietny idyota okaże za to wdzięcznym."

„Chorowałem może z pół roku w skutek rany otrzymanéj; szczęście jeszcze, że się rzecz nie rozgłosiła, i że kozą nie przypłaciłem bohaterstwa mojego. Potém upłynęło lat trzy, i w pamięci nawet nie pozostał żaden ślad pojedynkowéj przygody."

Aż tu naraz jeden Jego Królewska Mość znając mnie jak wiecie osobiście, każe mnie wołać do siebie.

— Hrabio! byłeś lat temu cztery w Bernie?

— *Zu befehlen, Majestät.*

— Poznałeś tam w zamku *Coppet* starego krewnego, hrabiego Akacyusza de Dohna?

— *Zu befehlen, Majestät.*

— Ująłeś się za niego, zbiłeś barona Fellenberg, a potém go zabiłeś. Tak zrobiłeś, czy nie?

— Niestety! przyznać muszę, że tak było w istocie.

— Żałujesz za ten grzech okropny?

— Żałuję biednego Fellenberga.....

— *Tausend Donnerwetter*! ja się pana nie pytam o jego opinie polityczne, tylko chcę wiedzieć: czy żałujesz, żeś zadał śmierć bliźniemu?

— Niezmiernie żałuję—odrzekłem głęboko wzdychając:— ale szło o honor rodu— dodałem. Dohnowie mają w herbie trzy serca uwieńczone hrabiowską koroną i napis: *noli me tangere*, tak dobrze jak Hohenzollerowie mają w herbie sępa i napis: *suum cuique.*

— Gaduła waść jesteś, panie hrabio, niepoprawiony—odpowié pobożny nasz król, idąc do biurka swego i całą plikę papiérów biorąc w rękę.— Bóg wszechmocny łaskawym był względem ciebie: pamiętał ci dobre, a zapomniał złe. Starca wziąłeś w obronę i ująłeś się za nim; starzec téż, gdy się nareszcie dowiedział, komu zawdzięcza zmycie plamy z własnego nazwiska, umiał ocenić twoję bezinteresowność, która i tobie i całéj naszéj armii zaszczyt robi, i umierając zapisał ci hrabio cały swój majątek, prócz gabinetu ornitologicznego i wiecznego funduszu na utrzymanie jego, darowanego miastu Bern. Okroi ci się z ćwierć miliona talarów, panie hrabio Dohna. Winszuję ci z serca tego dobrze zasłużonego szczęścia, i na znak zadowolenia, mianuję cię rycerzem świętego Jana Jerozolimskiego.

„Mogę wam śmiało zaręczyć drodzy przyjaciele, żem nigdy w życiu tak głębokiego nie doznał wzruszenia jak wówczas; przyjść do majątku i znaczenia od jednego razu, kiedy się trzydzieści dwa lat przebiédowało na świecie, a od lat piętnastu przeglądało w szlifach porucznikowskich jak w zwierciedle, słabą nadzieją lepszéj przyszłości odbijającém:—to do-

prawdy rozkosz, przechodząca wszystkie oczekiwania. Oddawna już, widząc losy kraju toczące się tak spokojnie i leniwo, nie śmiałem marzyć o żadnéj nagłéj zmianie położenia; znudzony byłem jednostajnością przebieganych kolei: na lata całe przewidzieć mogłem wszystkie spotkać mnie mogące wrażenia. Wiedziałem co będę jeść, pić, jak się będę ubierać, co będę mówić i myśléć nawet; a tu naraz widzę się wyrwanym z ciasnego kółka, w którém się obracało życie moje, i nagle przesadzonym na widownią tak świetnie błyszczącą."

„Jadę tedy do Bernu, zapożyczywszy się u bankierów, którzy tym razem chętnie forszusowali pieniądze i nie brali od talara sześć złotych procentu. Obejmuję majątek, tojest zamek, pałacyk, park z klatkami i ptakami, i osadzam w nim rządcę obznajmionego ze sztuką pielęgnowania skrzydlatych istot. Saméj gotówki u różnych bankierów Bernu, Genewy i Bazylei złożonéj, przypadło mi dwakroć kilkanaście tysięcy talarów, i wracam do Berlina milionowym panem. Naturalnie, żem się podał do dymissyi, na co oddawna oczekiwał najstarszy po mnie idący porucznik w mym pułku,—i otóż jestem pomiędzy wami."

— Ale tu do starego królewieckiego grodu, do poczciwéj kolebki monarchii pruskiéj, co cię sprowadziło burgrafie?— zapyta hrabia Eulenburg.

— Jestem tutaj tylko w przejeździe: dążę do Klajpedy, o milę nawet daléj. Jego Królewska Mość, gdym jéj się przedstawił w świetnym szkarłatnym, złotem haftowanym mundurze kawalera maltańskiego, raczyła mnie przyjąć nadzwyczaj łaskawie, i zapytać:

— Cóż teraz myślisz począć, burgrafie? Wiesz, że godność kawalera maltańskiego już nie zniewala do bezżeństwa; czy nie myślisz się podzielić majątkiem z jaką szlachetną a uboższą panną naszego kraju, i nowemi potomkami świetne twe nazwisko noszącemi, zbogacić orszak wiernych przyjaciół moich?

— I owszem, Najjaśniejszy królu! O tém tylko myślę od téj chwili, i stanie się według rady pana mojego i króla — odpowiedziałem rozrzewniony jak dziewica przed ołtarzem. Monarcha podał mi rękę, którą z uniesieniem uściskałem.

— Jaki jest najstarszy ród w państwie pruskiém?—zapytałem professora *von Gans*, najsławniejszego genealogistę w Berlinie.

— Ród *Werszowiców* (1) mieszkający pod *Klajpedą*; początek swój wywodzi od *Czecha* założyciela królestwa czeskiego, brata Lecha założyciela Polski; Werszowice nadto założyli Warszawę. Później z królem czeskim Ottokarem II około połowy XIIIgo stulecia, Werszowic jeden przybył do Prus zachodnich nieść pomoc zakonowi teutońskiemu, i tamże osiadł pod Klajpedą, i jest ojcem rodu Werszowiców, herbu Siekierka, mieszkających tamże.

— A są panny na wydaniu w téj rodzinie?—zapytałem daléj.

— Jest jedna dwadzieścia kilka lat mająca—odpowié profossor. Ja nietracąc czasu, w dni kilka wyjechałem z Berlina, pędzony obawą, żeby mi ktoś z przed nosa nie wziął potomka najstarszéj rodziny w całéj monarchii. Za nic bowiem w świecie nie połączę się węzłami krwi z rodziną o jeden dzień od mojéj młodszą; a że moja już za czasów Karola Wielkiego była znakomitą, o tém wié historya.

— Burgrafie! nie znasz tedy nic a nic z stosunków majątkowych i domowych hrabiów Werszowic?

— Nic a nic: jeśli jest starożytną, to jest i szlachetną; w każdéj kropli krwi szlachetnéj krąży pamięć czynów, które ją uszlachetniły, o tém przekonany jestem. Majątku mi nie potrzeba, mam go podostatkiem; tém więcéj czuję się w konieczności uważania tylko na szlachetność w wyborze żony.

— Nie obawiaj się, majątku nie znajdziesz u dzisiejszych Werszowiców ani grosza; znam ich stosunki pieniężne doskonale: w opłakanym są stanie. Stary ojciec bawi się w astrologa i alchimika, z gwiazd sobie rokuje przyszłość, a z ołowiu złoto; dlatego może tylko, że jednéj nie masz dla Werszowiców tu na ziemi, a drugiego w kieszeni. Jeden syn jest oficerem w gwardyi ułanów w Potsdamie, i doświadcza dobrodziejstwa dziesięcio-talarowéj apanaży miesięcznéj, na któréj zebranie matka i siostra pracować muszą w pocie czoła. Drugi syn bawi w domu: już skończył filozofią i prawo; ale tak jest wielkim człowiekiem, że sobie jeszcze żadnego zawodu, siebie godnego, wybrać nie umiał. Bardzo jest przystojnym, i z tego słynie, że w miesiącach letnich chodzi w słomianym kapeluszu

(1) Nie podzielamy tu zdania professora von Gans o początku rodu Werszowiców.

z gazowym woalem, żeby sobie cery nie popsuł. Świetną ma głowę panna Joanna: prozą i wierszem, i wszystkiemi językami tak wiele mówi, że do słowa przyjść nie można w jéj towarzystwie. Miłe słowiki już jéj przez lat dwadzieścia siedm śpiewały, a byłaby bardzo piękną, żeby miała wzrost o połowę wyższy, a głowę o połowę mniejszą.

— A cóżto za dziwny obraz mi tu skreślasz? Jakto, hrabianka Joanna jest uczoną?

— Jest niebieską pończochą w całém nieubłaganém znaczeniu tego słowa. Nie wybieraj się z nią w romanse, jeśli astronomii doskonale nie umiész, bo gwiazdę ulubioną obrać sobie musisz przy piérwszym spacerze wieczornym z nią odbytym, aby na nią patrzéć mogła w nocy i w dzień nawet przez teleskop ojca, i sądzić z jéj blasku o piękności twych myśli i wierności uczuć. I ty także musisz ślépie wytrzyszczać na jéj gwiazdę, i spisywać swe spostrzeżenia wierszem, albo przynajmniéj po francusku. Przytém musisz umiéć odgadywać logogryfy, zagadki, szarady, rebusy i żyjące obrazy; inaczéj bowiem sam sobie powiesz ze sześćdziesiąt razy na dzień, żeś jest do niczego niezdolnym idyotą. Jeźliś zaś w literaturze romansowéj niemocny i nie umiész à *propos des bottes* zacytować kilku wierszy Lamartina lub Chateaubrianda, wówczas przepadłeś jak ruda mysz, żebyś pochodził od samego Apollina.

Burgraf patrzał wytrzeszczonemi oczyma, a baron Busch śmiał się do rozpuku i mówił:

— Po mistrzowsku skreślony obraz, świętą nacechowany prawdą: widać zaraz, że wymalowany przez ofiarę tych miłych doświadczeń. Biédny Eulenburg! teraz pojmuję, czemu od powrotu z pod Klajpedy tak zesmutniał. Ale zresztą ma racyą hrabia: nie znajdziesz szczęścia w związkach z osobą, w któréj się pokochałeś dla starożytności jéj rodu; a tu w Królewcu, tu w mieście, żyje istota prześliczna, młoda, luba, cnotliwa i zupełnie tak dobrze, jak ty burgrafie, urodzona. Oto tę zaślub, a będziesz szczęśliwym, i wielu godnych ludzi zrobisz szczęśliwemi.

— Tu w Królewcu cóżby podobnego żyło? istota mnie równa urodzeniem? A któż nią jest, i jak się zowie?

— Zowie się.... Jakto nie wiesz, że tu żyje rodzina, nie ustępująca ci w niczém co do szlachetności urodzenia?

— Na honor nie wiem; nie bierz mnie na tortury, tylko wymień nazwisko. Jak się zowie owa panna prześliczna, miła i szlachetna?

— Zowie się Jadwiga hrabianka Dohna; jest córką kapitana Dohna zabitego w pojedynku, który był synem pułkownika Dohna umarłego z ran, a ten był synem generała Dohna, poległego pod *Kunesdorff*, który był synem feldmarszałka i pierwszego ministra Dohna, a ten był synem i t. d. czyli raczéj prawnukiem pierwszego szlachcica okrągłego stołu.

— Na miłość Boską! wszak i ja ród mój wywodzę w prostéj linii od feldmarszałka i ministra Fryderyka Igo i Fryderyka Wilhelma Igo.

— Więc jesteście z hrabianką Jadwigą spokrewnieni, kuzynami w piątym stopniu, a przez jéj matkę i babkę, które także były pannami Dohna z rodu, jeszcze więcéj zbliżeni. Ach burgrafie Fryderyku! powiadam ci co to za rodzina! Starszy brat Fabian oficer, dzielny żołnierz; prochu wprawdzie nie wynalazłby i aniby się silił na to, bo jest kirysyerem, tojest urodzonym wrogiem prochu, a przyjacielem białéj broni; ale zresztą człowiekiem zupełnie na swojém miejscu, dobrym kolegą i najlepszym tancerzem całego garnizonu. Młodszy brat Alexander, to perła arystokracyi, jaką dziś być powinna: pracowity, uczony, pełen szlachetności, a przytém korda się nie lękający. Pracą swoją, światu prawdziwie użyteczną, utrzymuje całą rodzinę, na skromnéj wprawdzie, ale na godnéj stopie. Przed kilką miesiącami bił się z zuchwałym burszem, który z arystokracyi śmiał się urągać; obciął mu ucho, ale rannym został bardzo ciężko w ramię, i dopiéro od dwóch tygodni wychodzi na świat. Jadwiga zaś, jego wychowanka, jest bóstwem wesołości, piękności i roztropności. Kto jéj sprostać zdoła w rozumie? Jaka bystrość pojęcia i trafność rozumu, zdradzająca się w wszystkich ruchach i w mowie. Szkoda, że tak mało udzielają się światu, i że nikogo nie przyjmują, nikogo wcale; ale okoliczności majątkowe do tego ich zmuszają: całe miasto szanuje tę skromność i wielbi ją. Niech żyje hrabianka Jadwiga! Spełnijmy dobry puhar za jéj zdrowie.

Wszyscy trzej spełnili puhar jednym duszkiem; oczy iskrzyć się zaczęły wszystkim.

— Ach! jak mi zaostrzacie ciekawość! — rzecze z zapałem Fryderyk — i ja o takiéj nie wiedziałem kuzynce; ale liczną jest

moja rodzina, niegdyś świetna, dziś po największéj części uboga. Bogaci często się widują pomiędzy sobą, bo wielkiego szukają światła dla swych dostatków; szlachetne zaś ubóstwo kryje się i chowa w ustroniu. Przyjaciele, pozwólcie wznieść dziękczynny toast: niech żyją przyjaciele ubogich potomków rodziny Dohna! Z całego go piję serca, przejęty ku wam wdzięcznością.

I ten kielich spełnionym został przewybornym duszkiem, a przyjaciele szampanem zagrzani, padli sobie w objęcia i szczerze się uściskali.

— Fryderyku! zawsze byłeś przodkującym szlachetnością pomiędzy nami wszystkiemi; teraz się uśmiechnęła do ciebie fortuna: chcesz się żenić, wiesz co ci czynić wypada. Jadwiga nie będzie cię trapić gwiazdami i logogryfami, jak hrabianka Werszowic naszego poczciwego Eulenburga, który o jedénastéj godzinie nie domyśli się, że to godzina przed północą. Ja żebym miał milion, tobym wiedział u jakich go stóp złożyć — rzecze asessor rządowy.

— I ja wiem, gdzie mam złożyć moje ćwierć miliona. Niech żyją szlachetni potomkowie feldmarszałka-ministra, w ubóstwie umiący nosić godnie wsławione w dziejach nazwisko!

— Niech żyją! niech żyją!

Szósta dogorywa butelka: Prusakom wiele nietrzeba.

— Jutro się prezentuję w pełnym mundurze kawalera maltańskiego mym kuzynom, sam jeden, ponieważ nikogo nie przyjmują; ale dla burgrafa Dohna, ich kuzyna, muszą zrobić wyjątek. Pięknie się odbija ten krzyż białą włóczką wyszyty na tle szkarłatném, bogato złotem haftowaném; a białe *okoliczności! a bottes-forty!* a kapelusz z białym plumażem, *brode sur feutre*, a szlify złote generalskie! Mospanie nie żarty: taki mundur sześć tysięcy kosztuje!

— Burgrafie! musisz w nim wyglądać jak Jowisz na rydwanie, lub jak wielki koniuszy w Włoszczowy.

— Ale gdzie mieszka rodzina Dohna tu w Królewcu? — przerwie burgraf.

— Tu w starodawnym pałacyku, postawionym wieków temu półczwarta przez twego antenata, który był przyjacielem i współuczniem księcia pruskiego Alberta — rzecze baron Busch.

— Wiécie co przyjaciele, pójdźmy przejść się po mieście, Już wieczór, nikt nie dostrzeże czerwoności naszych twarzy;

a przechodząc przez most łączący dwa brzegi jeziora, pokażemy Fryderykowi pałacyk, w którym mieszkają jego krewni — dodał oficer.

— Doskonała myśl! chodźmy, chodźmy!—krzykną wszyscy.

Niestety! czemuż się lepiéj nie popili i nie zostali na miejscu! Od kilku butelek szampana mniéj, lub o tyleż więcéj, zależał los świetnéj rodziny hrabiów Dohna.

Ileżto innych familii podobnym błahym przyczynom nie zawdzięczyło swój wzrost i upadek, i nie zawdzięczy jeszcze! Przypadek i w roli całkowitych narodów wielką grał rolę, a obrachować naprzód wszystkich przyczyn skutki, nigdy nie zdołamy.

V. Węzły potargane przed zawiązaniem.

Oficer miał jednakże przytomność zostawić szpadę i wziąć suknie cywilne przed wyjściem; tém się uchylił od możliwych a ważnych następstw, a raczéj ośmielił do zaufania w *incognito*.

Otóż trzej przyjaciele przebiegają miasto, podziwiają ogrom starożytnego zamku, na który sierp księżyca blade rzuca światło, i wesoło a głośno rozprawiając, przechodzą przez ulicę Francuzką, przez kilka innych, spotykają hufce uczniów wracających z knajpy i zaczepiają ich studenckiém powitaniem: *prosit Bruder*! zaczepiają młode kobiéty spieszące do domów z pracy lub na pracę: słowem zagrzani winem i wesołą rozmową, przybierają ton, który w miastach uniwersyteckich właściwy jest wszystkim akademikom. I to jest właściwością wszystkich obywateli starszych i młodszych, żyjących w takich miastach, że podchmieliwszy sobie udawają akademików; ztąd niejedna niedorzeczność przez *Filistrów* popełniona, spada na karb akademików.

A teraz w ciaśniejszą i ciemniejszą jeszcze wchodzą ulicę: już teraz nikt koło nich przejść nie może, około któregoby się nie otarli, czy to przypadkiem zatoczywszy się, czy też umyślnie dla wzniecenia jakiego przemówienia się.

Nareszcie wstępują na długi a nadzwyczaj wązki most drewniany, rzucony przez jezioro, tam, gdzie się zwęża. Przyjaciele pokazują Fryderykowi stronę w któréj stoi pałacyk Dohna. Nawet się świeci w oknie i postać jakiejś kobiety w niém

się ukazuje. Fryderyk myśli, że to młoda kuzynka, którą ma poznać jutro, i przesyła całusy na palcach. Rozbujała się zbytecznie fantazya uszczęśliwionego burgrafa; tak bywa takim, którzy rzadko szczęścia doświadczali.

Ale idą daléj, podawszy sobie ramiona, i całą prawie szerokość mostu zajmują.

Jakiś nadchodzi młodzik, prowadzący pod ramię młodziuchną kobietkę; wesoło sobie rozmawiają, śmieją się tak swobodnie!

Mijają już prawie naszych podchmielonych. Ale jeden z nich zatoczył się, może naumyślnie. Burgraf, co był z krańca, sam popchnięty, popchnął mijając tę kobietkę, ta krzyk wydaje głośny, a on do tego stopnia się zapomina, że ją obejmuje obiema rękami i całuje. Młody człowiek, towarzyszący kobiecie, wymierza burgrafowi policzek, którego odgłos odbił się daleko. Ten wpada w wściekłość, bierze młodzieńca wpół, i rzuca go przez poręcz mostu do jeziora.

Kobieta młoda woła: litości! to mój brat Alexander! i mdleje.

Baron von Busch, najwięcéj przytomny, poznaje ją, i łapiąc się za głowę, krzyczy:

— Przekleństwo! to hrabianka Jadwiga, to hrabia Alexander Dohna!

Fryderyk rzuca się w wodę za młodzieńcem, którego przed chwilą chciał utopić. Szczęściem, że umié pływać doskonale: tonącego już w brudnych nurtach łapie i ręką obejmuje, z niezmiernem wysileniem wiedzie ku palom, na których most stoi, czepia się jednego, i ledwo dysząc z wysilenia, rozpaczy, wstydu i gniewu, unosi nad wodą omdlałego młodzieńca. Sam woli ginąć, jak dać utonąć człowiekowi, który ma śmiertelną, hańbiącą zadał obrazę. On mu nie da zginąć, on go sam zabić musi!

Tymczasem przybiegł służący, zanadto zdaleka za państwem idący. Eulenburg i Busch, ocucający Jadwigę, posyłają go na brzeg najbliższy po łódkę. Łódź przybywa przecież w chwili, gdy Fryderyk trzymając prawą ręką Alexandra, a lewą czepiając się pala mostowego, już słabnął z wysilenia, i omdlałém ramieniem już coraz słabiéj ściskać mógł pal, który Alexandrowi życie przedłużył.

Burgraf z Alexandrem już są w łodzi, już dobijają do brzegu, do którego Eulenburg i Busch zanieśli jeszcze nieocuconą hrabiankę Jadwigę. Fryderyk napół obłąkany, wszystkie zebrał siły i z łodzi wystąpił; Jadwigę złożono obok brata. Służący zawozi panicza i panienkę pod pałacyk, w którego oknach serce macierzyńskie, smutném przeczuciem trapione, bije.

Trudno byłoby oddać obraz trwogi, jaka ogarnęła brata, matkę i babkę na widok Alexandra i Jadwigi, leżących bez duszy w łodzi. Zaniesiono ich do pokoju, cucono, z młodego hrabicza zdarto suknie, rozcierano go i ogrzewano. Po wszystkich w blizkości mieszkających lekarzy rozesłano stróżów nocnych i policyantów. Jadwiga naprzód obudziła się z omdlenia, ale odurzona, obłąkana, nie umiała opowiedzieć toku rzeczy, i tylko wołała: „ratujcie brata, on się topi!" A służący zdaleka za państwem idący, mazgaj jakiś, nie był świadkiem zajścia, nie wiedział, jakim sposobem Alexander dostał się w jezioro, i kto go ocalił. Wreszcie odzyskuje zmysły, pyta się, gdzie jest Teodor? jego pomocy wzywa, o nię błaga, żadnéj innéj przyjąć nie chce; ale i on odpowiedzi nie daje. Nikt nie wié, jakiém zdarzeniem znalazł się w jeziorze.

Mocny go ogarnia ból głowy, dreszcze go przejmują, wodę połkniętą zaczyna oddawać, i znów mdleje.

Lekarze zjawiają się, przepisują zimne okładania na głowę, emetyk z ammoniakiem wewnątrz.

Jadwidze dano mixturę uspokajającą, z morfiną i wodą wiśni laurowéj. Nadbiega nareszcie Teodor. Alexander odzyskuje zmysły, rękę przyjaciela bierze i ściska, na serce swe kładzie i zasypia.

Uspokoił się biédny młodzian w objęciach przyjaciela, na którego wiedział, że mógł liczyć. Nie opuszcza go Teodor ani na chwilę.

I Jadwiga odurzona narkotykiem, usnęła.

Nastąpiła spokojność w pałacyku hrabiów Dohna, tylko Fabian złowrogiemi przeczuciami trapiony, zaręcza Teodorowi, że na spodzie téj całéj awantury jest rzecz jakaś okropna.

— Będziemy mieli do czynienia, panie Teodorze: to jakoś znowu krwią pachnie— mówił Fabian do przyjaciela domu.

— Trudno przypuścić, żeby Alexander sam wskoczył do wody; musiał go kto w nią wrzucić. Będzie zemsta!

Niestety! nie mylił się tym razem hrabia Fabian.

Inaczéj wyglądało w hotelu *das deutsche Haus* w téj samej izbie, w któréj przed godziną tak wesoło bawili się trzej przyjaciele.

I teraz wszyscy trzej siedzieli, ale nie przed kieliszkami szampana. Burgraf Fryderyk już się był przebrał, i pogrążony w myślach, grzał się przed kominkiem. Dreszcze go ogarniały, nie wiem czy z zimna, czy téż na wspomnienie tego, co się właśnie odbyło na tym nieszczęsnym moście.

— Oh! miał słuszność, miał słuszność bogobojny nasz król, gdy mi powiedział:

„Bóg ci pamiętał dobre: aby raczył złe zapomnieć". Oh Boże! a ja w upojeniu szczęścia zapomniałem o tobie, i żadnych ci dziękczynień nie złożyłem, i żadnym dobrym uczynkiem nie uczciłem twéj łaski. Jestem ukaranym, ale jak okropnie! Żebyś się był ograniczył na odebraniu mi dostatków i dostojeństw, które zyskałem, nie byłbym szemrał, byłbym zniósł tę klęskę, i uważał ją za zasłużoną karę. Ale obrać człowieka żyjącego przez lat tyle kłopotliwie a zaszczytnie, cieszącego się ową z nędzą graniczącą biédą, jedynie uczuciem honoru, obrać z tego tak starannie pielęgnowanego *honoru*, to istotnie zawiele, zawiele kary: — to cios zamocny".....

Tak przemawiał do siebie, tak się modlił przed chwilą wesoły, szczęśliwy, a teraz tak nędzny burgraf. Na twarz jego już padły, i z niéj nie znikną nigdy sępie pazury rozdzierających zmartwień.

Oh pewnie, gdy te raz się wryją w oblicze człowieka, już ich ślad pozostanie nazawsze:—nigdy nie ustąpią. Twarz tylko nędznemi żywiącéj się uczuciami istoty, zachowa po upodleniu, ów wyraz służalczéj pogody, którą niewprawne oko lub umysł miałki bierze za dobroduszność pospolitą. Na głębokiém błocie, koła najcięższego wozu nie zostawiają kolei.

„I cóż na tém zyskałeś, o Boże!— modlił się daléj Fryderyk—za dni kilka będzie o jednego burgrafa Dohna, lub o jednego hrabiego Dohna mniéj; inaczéj być nie może, zabierz do siebie jednego z nich, i oszczędź im samym zabójstwa. Ja najdumniejszy szlachcic z całego królestwa, ja Dohna, być wypoliczkowanym przez człowieka, przez szlachcica, przez potomka własnych mych przodków? Boże! gdzieżeś był pod ten czas? Pewno oko twoje zwróciłeś od ziemi na inną planetę."

Padł na krzesło biedny burgraf i jęknął żałośnie. Pierwszy raz w życiu jęk upokorzenia wydobył się z téj stalowéj piersi, w któréj marmurowe biło serce.

Przyjacielom zimne dreszcze ścisnęły głowę, i łzy wystąpiły w oczy. Ale nikt nie śmiał się odezwać w téj uroczystéj chwili, żaden nie wiedział rady na tak ogromne nieszczęście, na tak sromotne upokorzenie.

Hrabia Eulenburg miał odwagę odezwać się najpierwszy; on widział jedynie tylko honor wojskowy przed oczami swemi, i zawyrokował śmiało i bez ogródki:

— Ani słowa: rzecz musi się skończyć śmiercią jednego z was dwóch. Dalibóg, napróżno szukam w méj głowie innego rozwiązania zagadki; co policzek — to życie: innego kodexu honoru nie znam ani znać nie chcę.

— Mylisz się hrabio — ozwie się baron Busch — zajście miało miejsce pod okolicznościami tak wyjątkowemi, jak może nigdy żadne, czyli raczéj jak może wiele innych, co przechodzą bez rozgłosu, straty krwi i honoru, pokryte wieczną tajemnicą. Burgraf obraził, tamten pomścił się obrazy; burgraf go wrzuca do wody, a potém, dowiedziawszy się kto jest mściciel, życie swoje waży dla ocalenia go: więc dał przykład takiéj szlachetności, o jakiéj w życiu mojém nie słyszałem i nie czytałem nigdy, przysiądz na to mogę. Bóg, którego obraża Fryderyk swemi wyzywającemi modłami, otoczył całe to zdarzenie nieprzejrzanym obłokiem — jeźli my, Eulenburg i ja przysiężemy, że nigdy nikomu nie wyjawiemy *tego*, czegośmy sami byli świadkami. Nas nie poznano, burgrafa nikt tu jeszcze w mieście nie zna; niech natychmiast odjeżdża. W naszych rękach los dwóch ludzi honorowych, co mówię, los całéj niewinnéj rodziny; wywiążmy się z zadania, jak przystoi na chrześcian, na ludzi rozumnych, a nie na szaławiłów, rządzących się niedorzecznemi przesądami. Oto burgrafie, oto moja ręka: ja cię czczę jeszcze więcéj po tym szlachetnym twym czynie, na który patrzałem, jak przedtém po wszystkich twych walnych pojedynkach. *Aquila non capit muscam*, a czyś ty Heród, żebyś miał zabijać dzieci? Daruj temu życie, komuś je ocalił, bądź wspaniałym i nie gub téj rodziny, któréj przed chwilą gotówbyś był zrobić szczęście.

— Dziękuję ci, dziękuję — odpowié Fryderyk stłumionym głosem, zimno ściskając podaną mu rękę.— A ty Eulenburg, ty,

czybyś mi podał rękę za dni cztery, gdyby ten policzek, który duszę moję wypieka, nie był zmytym za dni trzy we krwi obraziciela?

— We krwi, to nie dosyć: spytaj we krwi sercowéj obraziciela, a odpowiem ci—odrzeknie zimno i nieubłaganie Eulenburg.

— Dziękuję ci, dziękuję z serca, dobry mój kolego: ty pojmujesz, coto honor szlachcica, co to honor domu Dohna. Niech jeden pozostanie Dohna, ale niech będzie bez skazy. Co policzek—to życie: ja nie znam innego kodexu honoru.

Fryderyk Dohna rzucił się w objęcia hrabi Eulenburga, i serdecznie go uściskał.

— Więc wszystko dobrze. Ty Eulenburg zawezwiesz raniuteńko hrabiego Fabiana na miejsce odosobnione, opowiesz mu rzecz całą, i będziesz żądał pojedynku na życie i śmierć. Meta dwudziesto-krokowa z szpadą w środku mety; pistolety dowolne, jakie komu najwygodniejsze: każdy sobie swoje przyniesie. Ja strzelać naprzód nie będę, ale gdy staniemy u szpady, w serce mu strzelam.

— Będzie wykonanem co żądasz; dobranoc ci Fryderyku—rzekł Eulenburg, i ścisnąwszy rękę przyjaciela, poszedł do numeru, w którym mieszkał z baronem Busch.

— Dobranoc ci Fryderyku—rzecze ze łzami w oczach baron Busch—dobranoc przyjacielu! Czemuż raczéj za złą, niż za dobrą idziesz radą?

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA Z PARYŻA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Teatra. — Pamiętniki pani Lafarge. — Franciszek Arago. — Pamiętniki Dumasa.

— Ach! siedm cudów świata!!

— Widziałeś siedm cudów?

— Byłeś na siodmiu cudach?

— Podziwiałeś niezrównaną Galby, cudowną Mirandę, Alfonsinę w doktorskiéj peruce?

— Widziałeś Babilon? Olimp, świątynię Diany, piramidy, i rodyjskiego kolosa?...

Oto pytania i wykrzykniki, które z ust do ust przelatują na paryzkich bulwarach, krzyżują się w salonach, kawiarniach i sklepach; co większa, nawet zażarci obracacze stołów, na chwilę łańcuch mistyczny rozplotłszy, zanim ósmy cud świata zbadają, słuchają powieści o siedmiu dawnych. Starato powieść, ale że w świeżéj sukience, w rażącym blasku, i w dwudziestu obrazach wystąpiła na scenę w Porte-Saint-Martin, i jest dziś, jak tu zowią *la nouvelle du jour*: nie wątpię, że i moich czytelników zajmie; tém więcéj, iż pod względem wystawy i czarodziejskości, sztuka ta przechodzi wszystko, co dotąd na paryzkiéj scenie widziano.

A najprzód słów kilka o ogólnéj myśli autora. Ta zasadza się na walce dwóch potęg: dobréj i złéj. Bohater dąży usilnie do wytkniętego sobie celu przez autorów sztuki, panów d'Ennery i Grangé, dąży doń szarpany naprzemian to przez czarnego, to białego anioła, aż wreszcie, przełamawszy tysiąc przeszkód, pokonawszy niezliczone zasadzki złego ducha, poślubia

swą czarodziejkę—Rusałkę, czy zaklętą księżniczkę w brylantowym pałacu, płonącym od słonecznych promieni.

Oto szkielet sztuki. Teraz nieco szczegółów. Książę Fortunio pokochał szalenie boginią Mirandę, lecz ta niebianka powiada mu, że wtedy dopiéro w ziemskie się ciało ubierze, aż on zwycięży siedmiu gieniuszów, twórców siedmiu cudów na świecie, nie dając się uwieść ani ich ułudom, ani przestraszyć groźbą. Na téj mistycznéj kanwie, autorowie sztuki pohaftowali niezliczone śmieszne gzygzaki, a raczéj zalali ją morzem błazeńskich figlów, które dla małéj liczby widzów popsuły pierwotną tkankę, dla ogółu zaś stały się niewyczerpaną kopalnią żarcików i śmiechu.

I tak: książę Fortunio ma przy swym boku błazna, który wyobraża toż samo, co Sancho-Pancho przy Don-Quichocie: rzeczywistość obok ideału, prozę obok poezyi. Książę Broccoli, gatunek idyota, ma zadanie rozśmieszania widzów nieustannym kontrastem, jaki tworzy z księciem Fortunatem, którego dziwna do błazna sympatya, poniewoli przywodzi na myśl *Sen nocy letniéj*, przypomina miłość Tytanii dla ośléj głowy, każąc żałować zarazem, że podobny wypadek nie jest potwarzą, lub tylko wybrykiem Szekspirowskiéj fantazyi. Ale wróćmy do sztuki.

Reprezentacya *Siedmiu cudów* jest jakoby senne złudzenie, na które przez pięć godzin patrzymy z otwartemi oczyma; ani opium, ani hachich nie wywołują w wyobraźni dziwniejszych, ani więcéj uroczych wizyi.

Fortunio ujrzał piérwszy raz idealny cień Mirandy w tajemniczym lesie, gdzie się zapędził za jeleniem. Odtąd już nie miał spokoju; tęczowa mara dręczy go i przyciąga... aż wreszcie woląc raczéj śmierć niż takie życie, puszcza się balonem, i leci zginąć, lub poślubić wymarzoną kochankę. Olbrzymie zadanie poczyna od walki z rodyjskim kolosem. Wspierany niewidzialną pomocą Mirandy, mimo blasku, którym rozgniewany kolos chce oślepić śmiertelnika, pomimo strasznéj burzy, którą otchłanie morskie zamącił, nieustraszony Fortunio wydziera mu talizman, a zawstydzony kolos zżyma się, drży i chwieje... aż wreszcie runął w morze. Taka była przyczyna upadku kolosa, nie zaś trzęsienie ziemi, jak to dotąd mylnie twierdzono.

W babilońskich ogrodach czeka bohatera naszego trudniejsze zwycięztwo. Na piętrzących się tarasach zielenieje

szmaragdowa murawa, cudnéj piękności kwiaty błyszczą tysiącem barw... wieją rajskiemi zapachy; kaskady szumią, szemrzą strumyki;.. posągi z śnieżnych marmurów żłobione bielą się zdala pośród drzew, przepyszne wazony złote stoją otwarte jak tulipany w słonecznym blasku. W głębi widać niebotyczne wieże świątyni Baala, i jéj olbrzymie przedsionki. Tu Semiramida wszystkie ułudy, wszystkie pokusy na nieszczęsnego wypuszcza Fortunata; na jéj rozkaz cała armia tancownic w spodniczkach ze mgły, w złotych pancerzach, z różowemi jak turkawki nóżkami, zbiega się.. kołuje... ulatuje... sypiąc na księcia grady uśmiechów, i strzały z iskrzących oczu! W takiém morzu rozkoszy bohater nasz byłby niezawodnie utonął, gdyby nie smutny, tęskny cień Mirandy, który ukazuje mu się biały z wyrzutem na ustach. Na jéj widok Fortunio odzyskuje siły, trzeźwi mdlejącą miłość ideału, rwie czarodziejskie łańcuchy: — wiszące ogrody nikną jak bańka mydlana, a Fortunio wychodzi zwycięzki.

Daléj spaliwszy świątynią Diany w Efezie, goni ją aż do piekła. Tu dopiéro stuczne maszynerye i chemia, tworzą niepojęte cuda, niepojęte optyczne złudzenia, i topią widzów w Dantejskiém piekle! Kaskady z roztopionych metali, potoki z drogich kamieni, płyną po granitowych skałach z oślepiającym blaskiem. Wszystkie potwory z mitologicznego piekła, furye ze żmijowemi grzywy, jednookie Cyklopy, Harpie i Strzygi, z nieprzeliczoną massą szatanów, diabełków i półdiabłów, zawodzą najstraszniejszy sabat, jaki kiedykolwiek przestraszył chorą wyobraźnię człowieka.

Fortunio znowu zwycięża, ale biédny Broccoli, jak łatwo się domyśleć, truchleje, i umiera ze strachu, ilekroć nietopérz muśnie go po twarzy krepowém skrzydłem.

Z piekła przechodzimy do świątyni olimpijskiego Jowisza. Tutaj same ruiny! Zaledwie kilka kolumn podpiera jeszcze pochylone arkady, zdając się płakać, jakby chór starożytny nad sióstr upadkiem, co tam dokoła leżą na ziemi białe i smukłe. Zielony bluszcz i winogrono otula je miłośnie i kryje rany. W pośrodku ruin, starzec jakiś zgrzybiały, duma. Na wszystkie bogi!! miałżeby to być Jowisz? Jowisz ów władzca gromowładny, przed którym drżał Olimp, ilekroć czarne brwi zmarszczył! Tenżeto, którego Phidias wyrobił z szczerego złota i kości słoniowéj, a Tetysę u nóg jego posadził... błagającą.

O zgrozo! cóżto za straszny upadek! jaka sromota!... Wnet schodzą się inne bogi w purpurowych łachmanach. Wulkan dziś kotły kuje, zamiast piorunów; Mars zaciągnął się do straży ogniowéj; Wenus się zestarzała; Minerwa naprawia pończochy; Apollo składa wiersze do obwijania karmelków; Kupidyn.... O zgrozo! uciekam i nie patrzę na tę profanacyą Olimpu!

Publiczność śmiała się do rozpuku; ja zaś wyznaję, że ten widok niemiłe na mnie zrobił wrażenie. Mojém zdaniem nawet pogańskich bogów w śmieszność obracać się niegodzi. Wszakże ich czciły najpotężniejsze ludy na ziemi, wszakże przez dwa tysiące lat owiane dymem kadzideł, stały nienaruszone. Wszakże ich opiewał Homer, Pindar i Eschyles; Jetinus i Menesicles stawiali im niezrównanéj piękności świątynie; Phidias, Praxiteles i Lysipp ich statuy żłobili ze złota, marmuru i bronzu, zostawiając w nich na wieki piękności typ jedyny; Arystoteles, Platon, nawet Sokrates w nich wierzył:— więc i nam się z nich szydzić niegodzi. Zostawmy lepiéj w spokoju te bogi tak długo czczone, te bogi, które tyle arcydzieł natchnęły artystom.

Fortunio w takim Olimpie łatwo zwycięża; wyrywa Jowiszowi piorun, poczém dokonywa dzieła, obalając ostatni cud—piramidy. Wtedy Miranda w kobiécą formę przechodzi, gieniusze *Siedmiu Cudów* biją czołem zwycięzcy, a książę poślubia Mirandę w pysznym pałacu, który oświecony elektrycznem światłem, płonie jak dyament w promieniach słońca. Na tém koniec Odyssei.

Wyszedłem olśniony, ogłuszony i zmęczony. Ale jakież ztamtąd wrażenie wyniosłem? Oto pytałem siebie: co za korzyść wyciąga społeczność z takich widowisk? czém one kształcą umysł? czém rozum, czém serce zbogacają? Słowem, pytałem siebie: jaki jest cel takiego teatru? I nie widzę innego nad podsycanie imaginacyi, nad galwanizowanie zużytych zmysłów. Pytałem siebie: czemu teatr francuzki, tak bogaty w arcydzieła dramatyczne, zostawia je w pyle zapomnienia, a goni za fraszką i efektem. Nie ja piérwszy czynię ten zarzut francuzkiéj scenie, która dziś z teatru, z téj szkoły narodowego umysłu robi łamane sztuki i nic więcéj. Niemało o tém piszą, i niemało strofują ich o to zamorscy sąsiedzi, Anglicy, którzy zimno i rozważnie wołają patrząc na te Heliogabalskie widowiska: „na Boga! gdzie idziecie!“

Pan *Gustaw Planche* w rozprawie „le Théatre en France en 1853" powstaje także na *nową szkołę*, zarzucając jéj, iż zawiodła oczekiwania, że nie dotrzymała przyrzeczeń, że dziś każdy wié już co sądzić o obiecaném zmartwychwstaniu Szekspira. „Gdzież jest, woła, ów zwiastowany poeta, co miał związać Francyą z wiekiem Elżbiety? Co miał być tém względem Szekspira, czém był Napoleon względem Karola Wielkiego."

Nie ze wszystkiém podzielam zdanie pana Planche: sądzę bowiem, iż zamocno powstaje na *nową szkołę*, a raczéj zamało ją odróżnia od bezmyślnych utworów, które dopiéro od kilku lat pojawiły się na scenie francuzkiéj. Pan Planche z osobistą niechęcią zdaje się spoglądać na tegoczesnych dramaturgów, którym ani wzniosłości myśli, ani piękności wiersza, żaden, nawet z najzatwardzialszych klassyków nie zarzuca już dzisiaj; a dowodzenie, że Hugo lub Dumas wprowadzili wystawę i bezmyślność na scenę francuzką, zdaje mi się niesłuszne.

Autorka *Klaudyi* (Sand) ośmielona poklaskiem, prowadzi daléj zadanie swoje: przywrócenia *starożytnéj prostoty* scenie. Ostatni jéj utwór pod tytułem: *Le pressoir* (tłocznia do wyciskania winogron), zyskał niemniejsze powodzenie, jak: *Le mariage de Victorine*, i *François le Champi*. Wszystkie role wybornie oddane, zjednały sztuce powszechne uznanie; sądzę jednak, że się autor nie łudzi i wié, że gdyby nie sława jego imienia, *Pressoir* pewnie nie pozyskałby sympatyi słuchaczy, a może nawet wcale nie wyszedłby z teki.

Niezaprzeczony talent, jakim nacechowane są niektóre sceny téj komedyi, nie zdoła zastąpić zupełnego braku ruchu, tak niezbędnie potrzebnego w dramatycznych utworach. Osoby są prawdziwe, charaktery oddane wiernie, ale cóż z tego, kiedy się nie ruszają!

Gdyby mnie kto zapytał: jaka jest intryga téj sztuki, byłbym doprawdy w wielkim kłopocie. Intryga *Pressoira* jest tak dziecinnéj prostoty, że się z pod wszelkiéj krytyki wymyka. Rozwiązanie zgadujesz po piérwszéj scenie. Ciekawość nawet nie ma czasu się obudzić. *Siedm Cudów* i *Pressoir* w sąsiednich grane teatrach, stanowią największy w świecie kontrast; obie sztuki grzeszą przesadą: tamta zbytkiem efektów, ta, zbytnią prostotą.

Mówiąc o teatrach, nie mogę pominąć znakomitego dramatu w pięciu aktach, o którym wzmiankę mile tu zapewne napotka każdy z czytelników, kto go widział tutaj, w teatrze *Vaudeville*, bo dramat ten do tych rzędu należy, co długo pozostają w pamięci. *Marmurowe Dziewice* jestto karta wydarta z paryzkiego życia, a pośród żywéj i lekkiéj akcyi ukryta tam głęboka, przerażająca swą prawdą nauka.

Z karraryjskiego marmuru Phidias tworzy potrójny swój ideał: Aspazyą, Laïs, i Frynę; grupa ta jest arcydziełem wielkiego mistrza, który same tylko arcydzieła tworzył. Nigdy forma kobiéca wyższych nie dobiegła kształtów... Więc téż jak Pigmalion w Galatei, tak Phidias zakochał się w swéj trójcy, i nie chce jéj wydać Gorgiasowi, który ją był zamówił i z góry zapłacił. Zakochany artysta chowa kamienne dziewice pod zasłoną jak zazdrosny kochanek, poi się ich pięknością, i woli raczéj żyć w nędzy, oddając bogaczowi zaliczoną summę, niż rozstać się z tym wcielonym ideałem swych marzeń.

Ale Gorgias ma prawo po sobie i ustąpić nie chce: postanowił siłą odebrać swoje posągi. Wtedy Phidias chwyta za młot, i w rozpaczy chce potłuc swe dzieło. Wtém wchodzi Diogenes, i dla pogodzenia zwaśnionych, proponuje, żeby statuy same sobie pana wybrały. Przyjęto radę filozofa. Phidias staje przed ukochaną grupą, i w najwyższéj egzaltacyi miłość im swoję maluje. Statuy milczą:... przecudne ich piersi nie podnosi westchnienie, oddech miłosny ust im nie otwiera.... Najwyższy zapał niezdolny poruszyć tych cudnych kształtów bez serca!

Lecz... o cuda! zaledwie Gorgias przemówił, zaledwie obiecał ziemską rozkosz: zbytek i próżniactwo, trzy gracye zadrżały... oczy im błysły... usta się śmieją... i wyciągnęły ku niemu ramiona! Marmur usłyszał głos złota... a Diogenes idzie daléj szukać z latarnią człowieka.

Z Aten przenosi się rzecz do Paryża, gdzie też same duchy w innych ciałach idą przed wiekami obraną drogą. Przeczytawszy prolog, łatwo odgadnąć następne cztéry akta. Fryny, Aspazye, żyją łudząc cudnemi formy; ale zdala uciekaj od nich, jeżeli masz serce, bo między niemi nawet z latarnią nie wynajdziesz kobiéty. Autorowie téj znakomitéj sztuki są pp. Barriére i Thiboust.

Jedném z najnowszych dzieł, jakie się pojawiły na tutejszéj literackiéj widowni, są pamiętniki pani *Lafarge*, pod tytułem: *Godziny Więzienne*. Starato, i prawie już zapomniana krwawa legenda! Ileżto sławnych zbrodni zajęło od tego czasu publiczność! Więc nie pod względem treści powszechnie znanéj, ale pod względem wartości literackiéj, myśli i celu swego, książka ta zasługuje na uwagę.

Nie wchodząc w to, czy pani *Lafarge* była niewinną, czy występną, nie ulega wątpliwości, że miała nader żywą imaginacyą, i bystry, prawdziwie paryski dowcip. *Godziny więzienne* są odbiciem wrażeń, bolu, smutku, upadku i rezygnacyi, które wstrząsały naprzemian tą potężną organizacyą.

Rozumié się, że przez całe trzy tomy pani *Lafarge* protestuje przeciwko oskarżeniu. Znać, że jéj piórem powodował zawsze rozum: nigdzie nie dopatrzysz ani buntu zbolałéj duszy, ani téż zupełnego poddania. Autorka stworzyła sobie odrębną drogę, która myśl czytelnika zawsze do zagadki prowadzi. Czytając ją rzekłbyś, że złośliwa francuzka, nawet w więzieniu zachowała wyrachowanie i ironią salonowéj paryżanki, że za kratami nawet układa się do obrazu, i powiedziała sobie: „Ani płakać, ani przebaczać zawsze nie będą: w piérwszym razie podejrzywanoby łzy moje, w drugim, spotwarzonoby niezawodnie spokój mego sumienia“. Taki plan nakreśliwszy z góry, pani *Lafarge* wiodąc czytelnika przez łzy i uśmiechy, wtajemnicza go dzień po dniu, godzina po godzinie, w swoje więzienne życie.

Jak powiedziałem wyżéj, niniejsza książka ma wielką wartość literacką, tak przez formę, jako i cel swój. Czuć w niéj tę poprawność staranną, gonienie za malowniczością, i zręcznie ułożone sprzeczności, które stanowią sztukę pisarską.

Pani *Lafarge* pisała swój pamiętnik od wyjazdu z Tulle, aż do śmierci; najdrobniejsze więzienne wypadki są w nim opowiedziane, komentowane, i przedstawione z łatwością i wdziękiem, właściwym wprawnemu pióru.

Kiedy po wydanym wyroku odwożono ją na miejsce wieczystego więzienia, pani *Lafarge* opisuje, jak poznana w jednem miasteczku kiedy jéj przeprzęgano konie, uśmierzyła jednem spojrzeniem, jednem słowem niechęć tłumu, co do niéj cisnął się z obelgą. Kiedy zaś, jak to często bywa, nienawiść tłumu

zmieniła się w sympatyą, a lud zaczął się powoli rozchodzić, autorka tak się wyraża, mówiąc o pięknych damach pozostałych na sąsiednim balkonie:

„Same tylko kobiéty zostały; i schylone, spoglądały na mnie ciekawie z balkonu, uśmiechały się, szeptały między sobą, podając sobie kolejno lornetkę: wyraźnie żałowały, że mnie lepiéj obejrzéć nie mogą".

W tych słowach wyraźnie czuć się daje gryząca ironia światowéj kobiety, ukrzyżowanéj białemi rękoma płci swojéj. Łzy jednak nie ćmią nigdzie jéj wzroku: pani *Lafarge* widzi dobrze i jasno, a pisze wybornie.

Któryż z pisarzy nie pozazdrościłby jéj naprzykład portretu Klementyny, służącéj, powiernicy i przyjaciołki razem, którą tak żywo i naiwnie odmalowała:

„Dziećmi, po jednym czołgałyśmy się trawniku;.. podrosłszy, jedna drugą goniła. Klementyna o rok odemnie młodsza, dodzierała sukienki z których ja już wyrosłam, bawiła się zabawkami, które mnie już bawić przestały, tłukła niedotłuczone dziecinne *gospodarstwa*, i zakończała męki biednych kulawych lalek, urywając im głowy. Kiedy ja piérwszą *Sonatę* z nut grałam, ona piérwszy obrąbiała obrąbek. Jednocześnie skończyłyśmy nauki nasze: mnie nauczono co wiedzieć powinny *pańskie* dzieci; ją co umieć potrzeba do służenia im zręcznie. Ją jeszcze wszystko bawiło, kiedy ja już poczynałam dumać."

„Klementyna jest prawdziwą gryzetką paryzką. Czego się nie nauczyła, to zgadła: dlatego wié wiele, choć się mało uczyła. Wszystko ją zachwyca przez chwilę; nic nie pokocha namiętnie. Lekkomyślna z natury, ma instynktowy rozsądek. Silna w cierpieniu, słabą jest w szczęściu. *Obowiązki uczucia* zawsze w niéj przeważają *poczucie obowiązku*. Żeby płakała, musi widzieć płaczących. Nawet nudzić się tylko we dwoje potrafi. Jeżeli nie szczebiocze, to nuci: pracując śpiewa jak skowronek nad zagonem, a jeżeli zmartwiona, to śpiewa jeszcze głośniéj chcąc się odurzyć i ośmielić. Klementyna przekłada nad wszystko słoneczne niedziele i różowe sukienki, smutne dumki i wesołe piosneczki. Złote ma serce,—szaloną głowę. Chcąc ją osądzić, kochać ją wprzód potrzeba; żeby ją kochać jak tego warta, potrzeba widzieć jak wysoko wznieść się potrafi, kiedy potrzeba bronić nieszczęśliwych, lub poświęcić się dla nich".

W innem miejscu pani *Lafarge* mówiąc o towarzyszce swojéj, tak się wyraża:

„Klementyna z uśmiechem patrzy na kraty i rygle: pies stróża jest jéj przyjacielem, kotka odźwiernego nieodstępną towarzyszką; dzieciom daje cukierki, starców częstuje tabaką. Wszyscy ją lubią, wszystkim jest miła; pod jéj palcami rzekłbyś, że nawet więzienne kłódki śpiewają."

W takito sposób, z taką lekkością i dowcipem, pani *Lafarge* pisała swoje pamiętniki, chcąc dowieść spokojem głowy, spokojności sumienia. To prawdziwie niewieście wyrachowanie, posuwa aż do kokieteryi. Jak skazani na śmierć Girondyści, stroili się idąc pod gilotynę; tak ona stroi się, wdzięczy, przegląda się w swojéj niedoli, jak paryżanka w swym zwierciadlanym buduarze.

Dowcip i bystrość nie opuszczają jéj nigdy, nawet w chwili głębokiego wzruszenia. *Godziny więzienne* są więc pod każdym względem zajmujące. Filozof będzie w nich szukał klucza do rozwiązania strasznéj zagadki, i z mikroskopem w ręku będzie śledził tę niezbadaną duszę; będzie dociekał, czy to zbrodniarka, czy męczennica? Literat z przyjemnością odczyta książkę, któréj styl piękny przyniósłby zaszczyt niejednemu z sławnych nawet pisarzy. Kobiéty chciwie czytać będą historyą cierpień kobiéty. Każdy zaś, jakakolwiek do czytania tego dzieła skłoni go pobudka, niezawodnie przyzna, że jest pisane z niepospolitym talentem.

Śmierć pana Arago zasługuje na więcéj, niż prostą tylko wzmiankę. Pewny jestem, że każdy z czytelników naszych przeczyta chętnie kilka szczegółów o tym znakomitym mężu; dlatego z wielu biografij czerpane o nim wiadomości, a mianowicie z *Nowéj Biografii powszechnéj*, ogłoszonéj świéżo przez pana Firmin Didot, pokrótce opowiedzieć mam sobie za obowiązek.

Dominik Franciszek Arago urodził się 26 lutego 1786 r, w Estegel, niedaleko Perpignan. Ojciec jego sprawujący urząd płatnika w témże mieście, zajął się wcześnie wychowaniem syna. Ukończywszy szkoły w Perpignan, młody Arago udał się do Montpellier, gdzie gotował się do egzaminu na ucznia

szkoły politechnicznéj. Jakoż został nim w roku 1804, podany jako piérwszy na liście kandydatów; miał wtedy lat ośmnaście.

Wyszedłszy ze szkoły politechnicznéj, otrzymał posadę sekretarza przy biurze astronomiczném w obserwatoryum paryzkiém.

W roku 1806, cesarz Napoleon, jakkolwiek p. Arago wotował przeciw dożywotniemu konsulatowi, znając wielkie jego zdolności, włożył nań missyą, prowadzenia daléj zaczętéj przez pp. Delambre i Méchain olbrzymiéj pracy geodezyjnéj, dokładnego pomiaru południka ziemskiego, któryto pomiar miał być podstawą systemu mierniczego. P. Biot i dwóch delegowanych hiszpańskich astronomów: Chaix i Rodriguez, pomagali panu Arago w tém wielkiém dziele.

Nietracąc czasu, obaj francuzcy uczeni wzięli się do pracy. Wytknęli wielki trójkąt, mający związać wyspę Iwikę (jednę z wysp Balearskich) z Hiszpanią. Na ten cel namioty swoje rozstawili na jednym z wierzchołków tegoż trójkąta, to jest na jednym z najwyższych szczytów Katalonii, tak, ażeby znakami mogli porozumiewać się z panem Rodriguez, osadzonym na górze Campucy na wyspie Iwice.

Niezmordowani w pracy uczeni, w tych górnych strefach wystawieni na wszelkie niewygody i nagłe zmiany klimatu, przebyli kilka zimowych miesięcy. „Często, mówi p. Biot, burza porwała nam namioty, zniszczyła zaczęte prace; Arago nie mieszał się tém wcale: stawiał namioty, znosił rozrzucone stoliki i narzędzia, poczém z krwią zimną ciągnął daléj przerwaną pracę, ani w dzień, ani w nocy nie dając sobie wypoczynku.

Najważniejsze roboty zostały ukończone w roku 1807. Pan Biot chciwy dowiedzieć się z obrachunków o ostatecznych rezultatach, udał się do Paryża. Arago miał sam dokończyć rozpoczęte dzieło, kiedy wybuchła wojna między Francyą a Hiszpanią. Schwytany jako szpieg przez powstańców na Majorce, Arago przebrał się za wieśniaka, zwinął ważne papiery, a dzięki katalońskiemu akcentowi, zdołał się wymknąć z pomiędzy zbuntowanego ludu, i na hiszpańskim okręcie przybył szczęśliwie do Palmy, wraz z narzędziami, które także swoją przytomnością ocalił.

Tam przepędził kilka tygodni w warowni Belver, gdzie go osadził kapitan statku, chroniąc od nowych niebezpieczeństw. Uwolniony nareszcie, otrzymał pozwolenie udania się do Al-

gieru. Z Algieru, konsul francuzki odsyła go na algierskiéj fregacie do Marsylii. Ale kiedy już statek dopływał do brzegów francuzkich, hiszpański korsarz uderza nań, i uprowadza. Pan Arago znów dostaje się do niewoli. Zamknięty w twierdzy Rosas, doznaje niezliczonych przykrości. Nareszcie dej, zawiadomiony o zniewadze swéj flagi, wymaga i otrzymuje uwolnienie całéj załogi, która znowu puszcza się do Marsylii.

Ale nie na tém koniec przygód. Znów niedaleko brzegów francuzkich napotyka ich straszna burza, i wyrzuca okręt na brzegi Sardynii. Nowe niebezpieczeństwo. Sardynia jest w wojnie z Algierem: jeżeli na ląd wysiądą, nowa ich czeka niewola. Na domiar nieszczęść statek algierski pokazuje się mocno uszkodzony; nie ma więc innéj rady, jak przybić do brzegów Afryki. Okręt grożąc co chwila rozbiciem, dopływa wreszcie do Bougie, o trzy dni drogi od Algieru. Arago przebrany za Beduina, pod opieką Marabuta, udaje się w Algierze do nowego deja, poprzedni bowiem zginął był świéżo w potyczce; ale ten nie przyjął go tak łaskawie jak dawny. Jednakowoż po usilnych staraniach konsula francuzkiego, pan Arago uzyskał wolność, oddano mu zabrane narzędzia, i po raz trzeci popłynął do Marsylii, gdzie nareszcie wylądował szczęśliwie, latem, roku 1809.

Akademia nauk nagradzając tyle poświęceń i wytrwałości, choć pan Arago nie miał jeszcze przepisanego jéj ustawami wieku, liczył bowiem dopiéro lat dwadzieścia trzy, przyjęła go na członka; Napoleon zaś mianował go professorem w szkole politechnicznéj, w któréj Arago przez lat dwadzieścia wykładał analizę geodezyi.

Od roku 1830 datuje się jego zawód polityczny. W zamieszkach lipcowych chcąc powstrzymać rozlew krwi, porozumiewał się w tym celu z marszałkiem Marmontem, z którym się przyjaźnił. Wkrótce potém został obrany na deputowanego z Pirenejów wschodnich.

Zasiadłszy w Izbie, często zabierał głos w kwestyach oświecenia publicznego, jakoto: marynarki, kanałów, dróg żelaznych i t. p. W tych rozprawach, sami nawet przeciwnicy jego polityczni wielbili jasność wymowy, podziwiali głębokość myśli. On piérwszy pamiętne wyrzekł słowa: „Reforma, znaczy prawo do pracy“.

Później został Arago członkiem rady powszechnéj departamentu Sekwany (conseil général de la Seine), w któréj długo zasiadał.

Pod koniec życia, w roku 1848, wypadki rzuciły pana Arago w zamęt rewolucyjny. Obrany członkiem rządu tymczasowego i ministrem marynarki, od początku oświadczył się przeciwko nadużyciom ultra-republikanów. W nieszczęsnych dniach czerwcowych szedł na czele wojska przeciwko barykadom w 12ym okręgu, gdzie imię jego było tak popularne, i wszelkiemi siłami namawiał lud do złożenia broni.

Od czasu tych smutnych wypadków złamany moralnie i fizycznie, zmęczony życiem pełném wysileń, Arago zasiadał milczący na ławach zgromadzenia, a twarz jego zmieniona, świadczyła o wielkiém zmęczeniu i przesycie.

Jako uczony, Arago zasłynął na całym świecie. Oddał on wielkie usługi nauce nietyle może przez własne wynalazki, jakkolwiek ważne, ile przez niesłychaną zdolność rozpowszechniania nauki, i zadziwiający talent z jakim uczynił ją dostępną każdemu na kursach astronomicznych w obserwatoryum.

Wiele gałęzi fizyki, a mianowicie optyka i elektro-magnetyzm, jemu zawdzięczają znaczne postępy. Za odkrycie magnetyzmu przez rotacyą, dostał od towarzystwa królewskiego londyńskiego medal Copleya, co tym większym jest zaszczytem, że go żaden Francuz, prócz pana Arago nie dostąpił, i że tém samém na niego spływa sława licznych późniejszych wynalazków, któremi szczycą się Anglicy; między innemi z wynalazku lokomotywy.

W roku 1830, Arago został po Furierze dożywotnim sekretarzem Akademii nauk w wydziale matematycznym. Był członkiem wszystkich w Europie akademii naukowych, jak niemniéj przyjacielem osobistym Humboldta, Faradaya, Brewstera, Melloniego, i innych, jak to sam przypomina w liście pisanym w maju 1852 roku do ministra oświecenia, który go zawezwał do złożenia przysięgi, jako dyrektora obserwatoryum, a od któréj uwolniony został wyjątkowo.

Zaledwie gwałtowny postęp choroby skłonił pana Arago do opuszczenia chwilowego prac astronomicznych.—„Żegnam cię"—rzekł wyjeżdżając do jednego z członków instytutu.—„Do zobaczenia panie Arago"—odrzekł tamten.—„Tak,

zapewne, do zobaczenia, ale chyba w niebie!"—zawołał sławny astronom.

Jakoż nie omyliły go przeczucia. Zdrowie jego polepszyło się na chwilę; wtedy zapragnął wrócić do Paryża. Zaledwie wrócił, choć jeszcze zmęczony drogą i chory, chciał objąć opuszczoną katedrę. Cały instytut podziwiał tę upartą walkę, jaką staczał duch jego potężny, z niemocą materyi.

Trwała ona do końca. Arago umarł, że tak powiem na stanowisku, z bronią w ręku. Marszałek, a zarazem weteran nauki, poległ na najszlachetniejszém polu bitwy!

Pisanie pamiętników weszło teraz w modę we Francyi. Każdy prawie, czy kto umié, czy nie umié władać piórem, wtajemnicza publiczność do ważnych i nieważnych wypadków życia swego, wyjawia tajniki serca, skrytości duszy; każdy przed konfesyonałem opinii publicznéj chce cię spowiadać, chce być przezroczystym. Dowodem, że się o tém nie śniło filozofom, są słowa, któremi Jan Jakób chełpliwie *Spowiedź* swoję zaczyna: „Czynię, czego nikt przedemną, i nikt po mnie nie uczyni." Wierzże tu teraz w przepowiednie!

Dumas piérwszy wprowadził na ulicę tę pamiętniko-manią. Już czternaście tomów wspomnień swoich opowiedział publiczności, a sądząc po drobiazgowém wyliczaniu faktów, nie skończy opowiadać przed śmiercią. Ale cóż pod piórem Dumasa nie wyda się miłe, zabawne, dowcipne!? Pamiętnik jego jest jakby ogromną komedyą, któréj teatrem cała Francya, a aktorami wszyscy prawie spółcześni, począwszy od Ludwika Filipa, a skończywszy na gałganiarzu paryzkim. W niéj wykrywa nieznane dotąd polityczne intrygi mądrego króla, zażartą walkę klassyków z romantykami, maluje rozwój, postęp i zwycięztwa *nowéj szkoły*, każdy ważny wypadek przeplatając tysiącem buduarowych i zakulisowych scen. Słowem, jestto nowa encyklopedya powszechna, pisana z nieporównanym dowcipem, i nieustającym humorem ulubionego autora francuzkiego, tego Francuza *par excellence*, który wszystkie wady i cnoty narodu swego połączył w sobie spotęgowane.

Ale Dumasowi tylko tak pisać wolno. Biada naśladowcy, jeżeli bez jego talentu i szalonéj pamięci, puści się na to

morze drobiazgowości, opowiadając zwykłą mową, zwykłe wypadki. Dumas tylko potrafi żywością dyalogu, coraz to świeżym dowcipem ubarwiać prozę codziennego życia, a brak głębokości myśli zapełnić tak, że nikogo nie razi. Na takiéj drodze mniéj wprawny pisarz przepadnie: — bo niewiele nauczy, a nie zabawi.

Rzecz prosta, że pisząc w ten sposób, wmieszawszy niemal całą Francyą w swój pamiętnik, autor naraził sobie mnóstwo osób, wystawił się na grad reklam i zaprzeczeń. Dzienniki co chwila zarzucają mu, że się nie w swoje wdał rzeczy, że zamiast własnych, pisze pamiętniki całego świata, że spotwarza jednych, a drugich za wysoko wynosi. On, jakby nie słyszał, drukuje reklamy, zaprzeczenia, i pisze daléj. Raz tylko odpowiedział na powyższe zarzuty. „Jakto, zawołał, chcecież, żebym o sobie tylko prawił? własne opowiadał życie nie mieszając weń nikogo? żebym tyle tylko wziął od innych, ile na tło do odmalowania osoby mojéj potrzeba? Zaprawdę, nadto mi zaszczytu czynicie! Pamiętniki Dumasa! bardzo ciekawa historya! Nie, nie, takim samolubem nie jestem; wiem, że życie moje o tyle tylko zajmować może drugich, o ile było związane z wyższemi i lepszemi odemnie.“

Ażeby dać wyobrażenie o bajecznéj płodności tego pisarza, przytoczę świéży fakt. Przed kilką tygodniami napisał dramat w pięciu aktach pod tytułem: „Młodość Ludwika XIV,“ który został jednomyślnie przyjęty od komitetu *Teatru francuzkiego*. Role już były rozdane, dzień reprezentacyi wyznaczony, gdy wtém cenzura zabroniła przedstawić sztuki. Uwiadomiony Dumas, cóż robi? — pisze taki list do komitetu teatralnego:

„Dowiaduję się, że cenzura nie dozwoliła przedstawić mego dramatu. Dziś mamy wtorek, w przyszłą sobotę przeczytam wam inny, pod tytułem: „Młodość Ludwika XV“, także w pięciu aktach. Prócz tytułu, nic wam dziś więcéj o téj sztuce powiedzieć nie mogę: sam nie wiem jaka będzie, bo nie nam jeszcze ani słowa napisanego“.

Jak powiedział, tak się stało.

Prędzéj jeszcze, bo w piątek nie w sobotę, przeczytał komitetowi improwizowany dramat. Przyjęto go z entuzyazmem, a że i cenzura nie ma nic przeciw niemu, ma być przedstawiony niezadługo.

Paryżanie czekają niecierpliwie dnia tego; ciekawość zaostrzona niezmiernie: przytém wielu zawistnych spodziewa się wygwizdać śmiałka, który improwizuje dramaty, jakby sobie chciał szydzić z publiczności.

Rzeczywiście, Dumas śmiało rękawicę cisnął. Przedstawienie Ludwika XVgo będzie albo apoteozą jego literackiéj sławy, albo go okryje śmiesznością.

Charivari nie czekając na rozwiązanie zagadki, umieścił wyborną karykaturę. Stara, szkaradna negrzyca karmi *dwóch Ludwików*, (wiadomo, że Dumas ma rysy murzyńskie); pod spodem napis: „Mamka teatru francuzkiego, która wykarmia dzieci w trzy dni (niepatentowana od rządu)."

KRONIKA LITERACKA.

Rozwiązanie wątpliwości o istnieniu w Warszawie kościoła N. P. Maryi Zwycięzkiéj i kępy na Wiśle przy Bełku, jako odpowiedź na ocenę prac moich przez p. Juliana Bartoszewicza w Bibliotece Warszawskiéj za sierpień r. b. umieszczoną.

W przeciągu czterech lat, od czasu wydania na świat literacki piérwszych dwóch tomów *Starożytności Warszawy*, wyszło, o ile dotąd mi wiadomo, sześć znaczniejszych rozbiorów krytycznych mojéj piérwszéj pracy: trzy za krańcami Polski, a trzy w kraju (1). Przepuszczone sześciokrotnie żelazo na hart stali, czyli posiadać będzie przyzwoitą twardość, aby pożerczemu czasowi oparło się?—o tém sądzić będzie potomność; do mnie należy zdać obecnie sprawę przed areopagiem czytających, dlaczego na tyle pytań i zarzutów, dotąd ani jednego słowa nie odpowiedziawszy, piérwszy raz dopiéro moję obronę przed ogółem wytaczam. Dziwném zrządzeniem losu wypadło, iż, o ile wszystkie oceny za granicą wyszłe, okazały się być słusznemi i sprawiedliwemi, o tyle dwie poprzednie od p. Bartoszewicza w kraju, niegodnemi odpowiedzi, jako osobistością lub brakiem wszelkich wiadomości o stanie grodu, który opisuję, nacechowanemi. Na zagraniczne odpowiadać nie miałem potrzeby, gdyż uderzywszy się w piersi i mówiąc *mea culpa*, uzyskałem już w duszy méj rozgrzeszenie; na dwie zaś poprzednie krajowe, zamieszczone w Bibliotece Warszawskiéj, chcąc pozyskać odpuszczenie, musiałbym pokonać: naprzód zawziętą osobistość, następnie uporoą niewiadomość, a tak srogich i śmiertelnych nieprzyjaciół całego piśmiennictwa ażeby zwalczyć, ani sił, ani słów dostatecznych nikt dotąd nie wynalazł. Milczenie i politowanie są tylko pośredniemi tych wrogów pogromcami; gdy zaś piérwsze i drugie nie może być objawione słowami ani pismem: trzeba mi więc było czekać w stoickiéj cierpliwości, aż samym przeciągiem czasu strawieni, wydadzą smakowitszy owoc, w miejsce gorzkich pi-

(1) Bo zbiory te znajdują się: 1) w Athenaeum wileńskim J. I. Kraszewskiego za rok 1848 i 1849; 2) w dziele: Mémoires de la Société d' Archéologie et de Numismatique de St. Petersbourg VII an 1849 p. 171; 3) w jednem z pism czasowych poznańskich z r. 1849, miesiąc sierpień i wrzesień.

gułek. Nadzieje moje ziszczonemi zostały. Znakomity pisarz i badacz dziejów krajowych, ogłaszając swą pracę pod nadpisem: *Nowa epoka literatury polskiéj*, w oddziale *Monografii historycznéj Warszawy*, objął także między innemi i bezstronny zupełnie rozbiór prac moich, jakie dotąd wydałem. O ile jednak ocena ich nie zgadza się z prawdą naukową, przedsięborę, co do swojéj tylko osoby, odpowiedzieć. Iść będę w kolei stronnie, na których poczynione mi są zarzuty.

Str. 297. Przypisuje mi p. Bartoszewicz, iż przyrzekłem w T. I str. 368 przekonać względem błędu podań o kościele dla XX. Dominikanów Obserwantów, przez Jana Kazimierza wystawionym w tém miejscu, gdzie następnie był Cuchthaus, a niedotrzymałem obietnicy. Przedewszystkiém winienem się usprawiedliwić, dlaczego dotąd nie uiściłem się z słowa raz publicznie danego, a następnie udowodnić i sprostować błędy, przez najpoważniejszych autorów i dziejopisarzy Warszawy dotąd powtarzane.

Co do piérwszego; trwając dotąd ciągle i nieprzerwanie w zamiarze wydawania następnych tomów *Starożytności Warszawy*, byłebym znalazł tylko rękę finansową sprzyjającą, przygotowywam ciągle artykuły, mające służyć do dalszéj pracy mojéj. Między wieloma innemi, jakie mogą już wystarczyć na trzy następne tomy, znajduje się na ukończeniu: Opis domu poprawy (Cuchthauzu) i szpitala sierocego w Warszawie. Ze wszystkich gmachów i ustroń stolicy, żadna tyle zakładów użytecznych dla miasta w sobie nie mieściła, co tak zwany Cuchthaus, dziś przemieniony na koszary Mikołajewskie pod n. 2218, 2219 i 2220 położone. Dzieje atoli tego gmachu, jakkolwiek dopiéro datują się od r. 1732, tak dalece są ściśle spojone z szpitalem sierocym, który blizko wiekiem poprzedził Cuchthauz, iż ani domu poprawy bez szpitala, ani dziejów tego ostatniego bez piérwszego, w żaden godziwy sposób dla prawdy historycznéj kreślić nie można. Sąto bracia Siamczycy, z tą tylko różnicą, iż po pół-wiekowém, spólném pożyciu rozłączeni, każdy z nich pod swoją dawną strzechą, w nowe coraz sukienki przystrojony, żył następnie w samoistném oddzieleniu. Przeszłość obudwóch zupełnie nieznana, a nader wiele ciekawych, bo ważnych wiadomości dla miasta obejmująca, wymaga tém troskliwszego wyłuszczenia i wyjaśnienia. Zródła jedne z drugich powstają, jak duchy opiekuńcze miasta; rękopis już około trzydziestu arkuszy pisma obejmuje, a jeszcze daleko do ukończenia. Materyały jednak już są, o ile wnioskować dotąd mogę wszystkie zebrane. W takiém więc położeniu, kiedy przedmiot ważny dla dziejów miasta, obejmuje mnóstwo nieznanych zakładów w sobie, i kiedy każdy z nich wymaga dokładnego obrobienia, nie dziw, iż mając zamiar całość ogłosić, jednéj tysięcznéj cząstki nie objawiłem.

Teraz jednak mając rzuconą godnie rękawicę, ażeby ostatecznie sprostować wszystkie błędy o kościele N. P. Maryi Zwycięzkiéj na Piaskach, o ślubie Jana Kazimierza w tém miejscu, gdzie dziś koszary Mikołajewskie, i t. d. i t. d., przyjmując wyzwanie, przystępuję do rzeczonego przedmiotu, który, dla dokładniejszego skreślenia, na dwa obrazy rozdzielam, w *piérwszym* przedstawię prawdę podług dowo-

dów autentycznych, w *drugim* wyłuszczę co dało powód do tylokrotnych poczyj, przez znakomitych pisarzy powtarzanych.

Co do piérwszego. Już taryfa urzędowa miasta Warszawy z r. 1660 MS. wyliczając domy koło kościoła farnego św. Krzyża i budowlę zaraz obok leżącą, przytacza te wyrazy „*Kaplica Moskiewska XX Dominikanów Obserwantów*"; a zatém dowód, że tam w tym roku już był osiadły ten zakon. Nadto w aktach dawnych Warszawy dotyczących domu poprawy, znajduje się na samym początku wiarogodny odpis cessyi przez Jana Wołczyńskiego stolnika mielnickiego, i Cecylią z Witthoffow małżonkę jego sporządzonéj, w Warszawie dnia *drugiego czerwca* roku *tysiąc sześćset dziewięćdziesiąt ósmego* (1), którą dla swéj ważności przytaczam dosłownie:

„My niżéj podpisani dziedzicowie gruntu naszego półwłoczka, na którym cegielnia nasza za pana Belotego Muranem leżącego, między półwłoczkami z obudwóch stron szpitalnemi św. Łazarza, respektem pobożności i promocyi chwały Bożéj W. ks. Ambrożego Skopowskiego zakonnika Dominika św. kongregacyi św. Bertranda, jemu, jako reassumptorowi piérwszego pożycia św. Dominika, i temuż zakonowi Kongregacyi św. Bertranda, część gruntu na półwłoczku naszym, to jest od drogi publicznéj przed cegielnią ku stawkom wzdłuż łokci dwieście trzydzieści, a wszerz czterdzieści łokci, dajemy i darujemy wiecznemi czasy, a to na wystawienie kościoła świętego, klasztoru i ogrodu; to jest: dwieście łokci na kościół, klasztor i ogród, a trzydzieści łokci od drogi na dziedziniec albo miejsce, gdzieby karety przed kościołem stawały; na którem miejscu przed kościołem żadnych murowanych lub drewnianych budynków stawiać nie powinni, ale właśnie miejsce drzewami obsadzone, zostawać ma dla gości do kościoła i klasztoru przyjeżdżających, na karety, konie i subsystencyą różnych ludzi. Względem któréj darowizny gruntu pomienionego i innych dobroczynności, obliguje się WW. ks. Ambroży Skopowski i tenże zakon kongregacyi św. Bertranda, trzy msze święte w każdy tydzień odprawiać, za nas obojga małżonków i dziatki nasze, póki *in vivis extamus*, aby nam Pan Bóg użyczał łaski i błogosławieństwa swego, a *post sera fata nostra*, za dusze nasze takoweż msze święte odprawować się mają i będą wiecznemi czasy, póki tegoż kościoła i klasztoru na gruncie naszym stawać będzie. Więc oprócz wymierzonego gruntu, jako się *supra* wymieniło, wzdłuż łokci n. 230, a wszerz łokci n. 40, WW. OO. Dominikanie kongregacyi św. Bertranda teraz (2) i na potym będący, nie powinni się, do więcéj gruntu w cirkumferencyi swojéj interessować, ani na tymże darowanym gruncie, ekonomiczne jakie *ab extra* wynajdować pożytki, jeno *mere pro commodo* zakonników na témże miejscu w klauzurze mieszkających. *In quantum* by zaś ta fabryka kościoła i klasztoru, która się na tym gruncie stawiać będzie, *ob aliquem casum* nie mogła przyjść do perfekcyi i dokończenia zupełnego, i żeby zakonnicy Domi-

(1) Ks. Kurowski podał datę d. 3 czerwca r. 1668, a za nim wszyscy ją powtarzali.

(2) A zatém już się znajdowali w Warszawie.

nika św. kongregacyi św. Bertranda, nie mogli tam *subsistere* i nabożeństwa nie odprawiały się, żeby jaki w tym zaszedł impediment; tedy tenże grunt, na darowiznę albo przedanie komukolwiek innemu, do WW. zakonników kongregacyi św. Bertranda *subjacere* nie ma i nie powinien, *ale się zostawać ma przy nas dziedzicach*, ponieważ też *non existentes in fundatione sua* WW. OO. zakonu św. Bertranda kongregacyi za nas obligów na tamtém miejscu, żadnych odprawować nie będą. Gdy zaś kościół i klasztor wystawować się będzie, i nabożeństwa odprawowania pewność będzie; natenczas *in officio spirituali* lub *alio competenti*, donacya przez nas lub *quocunque superstite, aut per successores nostros* zeznana będzie. A teraz, tę darowiznę gruntu wyżéj mianowanego, *praesenti scripto* uczynioną, takiego waloru mieć chcemy, jakoby *quibusvis actis authenticis* approbowana była. Na co dla większéj pewności, podpisaliśmy się własnemi rękami przy pieczęci naszéj. Dan w Warszawie d. 2 Junii 1698 anno (1)."

(Podpisano) *Jan Wołczyński*
stolnik ziemi mielnickiéj pisarz J. K. Mci skarbowy mp.
Cecylia Wołczyńska mp.

Sama data i treść téj submissyi przekonywają: iż założenie tego projektowanego kościoła odbyło się dopiéro za Augusta II a nie za Jana Kazimierza; że była to zupełnie prywatna darowizna przez małżonków Wołczyńskich, a nie przez nieszczęśliwego Jana Wazę; że wspomnieni obywatele warszawscy uczynili tę donacyą gruntu przez swą pobożność, aby zjednać dla siebie i dziatek swych łaskę i błogosławieństwo Boskie, tak w pielgrzymce życia, jako i po śmierci, nie zaś na dotrzymanie ślubów królewskich po zwycięztwie nad Szwedami. Ponieważ submissya ta, a raczéj cessya nie została potwierdzoną żadną inną urzędową donacyą, ani w aktach duchownych, ani w miejskich lub koronnych, a to z powodu niezachowania jéj głównego warunku, co do wybudowania zupełnego kościoła: cicho więc przeleżała sobie przez półtora wieku w ukryciu, dopóki przezemnie nie została objawioną.

Winienem następnie wyjaśnić historycznie, dlaczego nie została urzędownie popartą.

Z następnych licznych dowodów, bądź drukowanych, bądź w pierwopisach, w wspomnionych aktach domu poprawy znajdujących się, okazuje się, iż na miejsce kościoła, kaplica tylko została zaczęta przez ks. Ambrożego Skopowskiego; ale nawet pod dach niedoprowadzona, a zatém warunek w submissyi Wołczyńskich zawarty, nie dopełniony został. Takie wątpliwe położenie co do własności gruntowéj tego miejsca, dało powód w następnych czasach do tysiącznych sporów z jednéj strony: między XX. Dominikanami Obserwantami a władzą

(1) Grunt oznaczony w submissyi, dostał się stolnikowi Wołczyńskiemu w posagu jego żony z rodziny Witthofów, tyle słynnéj w obywatelstwie stolicy przez kilka wieków.

nadzorczą domu poprawy, z drugiéj strony między szpitalem i bractwem św. Benona a wspomnioną dyrekcyą Cuchthausu. Indagacye, wizye kondescencye, dekreta sążniste leciały jak grad w przeciągu kilkudziesięciu lat, nie bez korzyści jednak dla przyszłości, bo dziś z nich dokładnie poetyczną przeszłość sporoną, zwłaszcza co do kościoła N. Panny Maryi zwycięzkiéj, jesteśmy w stanie w zimną prawdę zamienić. Niepodobieństwem przytaczać tu wszystkie wyroki potwierdzające nasze wyjaśnienie. Załączamy tu tylko dosłownie jeden wyrok najważniejszy kommissarzy królewskich, którzy w skutek dyplomatycznego rozkazu Augusta III byli wyznaczeni w osobach: Józefa Jędrzeja Załuskiego referendarza koronnego opata wąchockiego (1) i Jana Chryzostoma Krajewskiego instygatora kor. (2) Wyrok ten z d. 12 grudnia r. 1753 oblatowany został w aktach grodzkich warszawskich, kopija zaś urzędownie poświadczona, znajduje się w aktach dawnych Warszawy. Z dowodu tego nadzwyczaj obszernego, przytaczamy tę część tylko, która naszego przedmiotu dotyczy, a mianowicie która nas poucza, jakim losom budowla zamierzonego kościoła uległa od jéj założenia, do rzeczonego wyroku.

„Działo się w zamku królewskim warszawskim w piątek w przeddzień św. Wawrzyńca męczennika (d. 7 sierpnia) roku 1754. Przed urzędem i aktami niniejszemi grodu warszawskiego, stanąwszy obliczne urodzony Antoni Koźmiński, złożył dla wciągnięcia do spo-

(1) Trzeci brat Jędrzeja kanclerza wiel. kor. z Podkańskiéj, był także scholastykiem płockim, kanonikiem krakowskim, proboszczem warszawskim; posunięty następnie na biskupa kijowskiego, wraz z bratem Jędrzejem biskupem krakowskim, założył w Warszawie podarowaną przez siebie Rzplitéj publiczną bibliotekę. O oświeceniu obudwóch i zasługach już dawno wielu ogłosiło, tu tylko dodajemy, iż po przyłączeniu się referendarza do strony króla Stanisława Leszczyńskiego, gdy August III utrzymał się na tronie polskim, Załuski długo bawił we Francyi przy Leszczyńskim, będąc od niego obdarzonym w tym kraju różnemi opactwami. W skutek następnie małego nieporozumienia z Leszczyńskim, powodowany tęsknotą do kraju, prosił Załuski o amnestyą Augusta III, a otrzymawszy takową powrócił do Polski. Podpisał się na wyroku następnie zamieszczonym: *Josephus Andreas Załuski Referendarius Regni abbas vąchocensis V. B. et F. S. R Mtis commissarius.* Głoski V B. znaczą tu opactwo Villers-Betnach, zaś *F* znaczy opactwo Fontenay w Burgundyi, które uzyskał od Leszczyńskiego za utracone w kraju przemęckie i hebdowskie.

(2) Jan Chryzostom Krajewski syn Antoniego dziedzica na dobrach Slasach w ziemi ciechanowskiej, najprzód podstoli ciechanowski, w tym urzędzie z téjże ziemi był posłem na sejm grodzieński za Augusta III króla, później został instygatorem w. kor. i zasiadał w kommissyi radomskiéj jako instygator kor. także i na wszystkie sejmy w tymże urzędzie bywał posłem z województwa płockiego jako i ziemi ciechanowskiéj, oraz deputowanym do konstytucyi. Za panowania Stanisława Augusta jako instygator koron. umieszczony do Kommissyi Skarbu kor. gdzie zasiadał z urzędu i orderem św. Stanisława był zaszczycony. Później został kasztelanem raciązkim, nakoniec płockim i orderem Orła Białego przyozdobiony. Mąż pamiętny z zasług swoich publicznych i pracowitości, umarł w wieku swoim 67 w roku 1781. (Bobrowicz w wydaniu Niesieckiego).— Zasługi, oświecenie i znaczenie obok prawości tych dwóch kommissarzy, najlepiéj przemawiają za dokładnością wyroku, który przytaczamy

mnionych akt, wyrok królewskich kommissarzy, w myśl rozkazu J. K. Mci pod Warszawą w Domu poprawy, stosownie do konstytucyi założonym, w mieszkaniu Karola Ryhovej roku przeszłego 1753 zapadły, przez JJ. WW. WW. królewskich kommissarzy między rzeczonym szla. Ryhovej nadzorcą tego domu, a sławetnym bractwem św. Benona wydany, własnoręcznie przez spomnionych kommissarzy podpisany, dwiema pieczęciami rodowemi na laku czerwonym wyciśniętemi opatrzony, którego osnowa jest następująca:

Działo się w Domu poprawy pod Warszawą podług konstytucyi założonym, w mieszkaniu Karola Ryhovej nadzorcy tegoż domu, we środę przed św. Łucyą t. j. d. 12 grudnia 1753 r. My niżéj podpisani kommissarze J. K. Mci, wznawiając posiedzenia naszego sądu kommissarskiego, stosownie do odroczenia wyrokiem poniedziałkowym po niedzieli *Passionis* (d. 1 kwietnia) r. b. ogłoszonego, zeszliśmy na grunt tegoż domu, a zagaiwszy po témże odroczeniu w terminie dzisiejszym posiedzenie, za poprzedniém wezwaniem stron i za udzieleniem zwłoki stronie pozwanéj t. j. bractwu św. Benona, dla wyszukania dowodów na usprawiedliwienie dokumentów przez stronę powodową złożonych, i w tym przeciągu czasu dla obu stron zachowanéj, po odprawieniu incydentalnym badań w sprawie czynu i napaści, nakazaliśmy ogłosić stronom głównie spór toczącym, wprowadzenie sprawy przez woźnego szla. Krzysztofa Pietrzykowskiego, przy niniejszém posiedzeniu obecnego. Po obwołaniu więc rzeczonego woźnego, w przytomności stron, jakoto: Karola Ryhovej nadzorcy tegoż Domu poprawy powoda osobiście stawającego, pozwane zaś bractwo św. Benona w osobach: sław. Józefa Frangel seniora, Michała Gugenmus wizytatora i Chrystyana Szyller podskarbiego tegoż bractwa, w imieniu własném i całéj spomnionéj konfraterni, także osobiście stawających, po zażądaniu poprawki przez sławet. bractwo w komparycyi, co do osoby szla. Ryhovej żeby był zapisany jako nadzorca Domu poprawy, a szczególnie jako prowizor (1) ich instytutu; po przytoczeniu przez tegoż Ryhoveja: że od rozpoczęcia uprawnionego sporu, już jest tylko nadzorcą tego domu, działającym ze względu złożenia go z prowizorstwa, a przytém udowodniał, że w poprzednich aktach sądowych tejże kommissyi, jest zapisany w komparycyi jako nadzorca, nie zaś jako prowizor: my więc wątpliwość tę i spór między stronami rozsądzając, zapisawszy dostatecznie określoną komparycyą przez Karola Ryhovej, sprawę wprowadzić stronom nakazaliśmy. Działając zaś w myśl rozporządzenia i osnowy rozkazu J. K. Mci, z kancelaryi mniejszéj do załatwienia poniżéj wyrażonych przedmiotów, wydanego d. 8 listopada r. z. 1752, ze względu oraz własności gruntu, na którymby Dom poprawy wystawionym był, rozkazaliśmy tak Karolowi Ryhovej, jako téż bractwu św. Benona, jako stronom zarówno też własność sobie przypisującym, złożyć i okazać prawa, przywileja i dowody. Czyniąc więc zadosyć naszemu kommissar-

(1) Ryhovej był jednocześnie nadzorcą Domu Poprawy i prowizorem szpitala sierocego św. Benona.

skiemu wyrokowi, zaleciliśmy szla. Karolowi Ryhovej i jego obrońcy złożenie: odręcznéj cessyi z d. *drugiego czerwca* roku *tysiąc sześćset dziewięćdziesiąt ósmego* na część gruntu, mającą długości łokci 230, a szerokości łokci 40, przez niegdyś WW. Wołczyńskich stolnikostwa mielnickich małżonków, dla wielebnego niegdyś Ambrożego Skopowskiego wikaryusza generalnegu zakonu św. Dominika reguły św. Bertranda udzielonéj, względem założenia na tymże dziedzicznym gruncie WW. Wołczyńskich, lub wybudowania klasztoru z kościołem, pod pewnemi jednak warunkami w téjże odręcznéj cessyi, wyrażonemi; jak niemniéj w następstwie téjże cessyi, wzajemną i umówioną submissyą tegoż Ambrożego Skopowskiego, własnoręcznie w tymże dniu i roku przez niego podpisaną, tymże WW. Wołczyńskim małżonkom, pod niczém nieodwołalnemi warunkami i zobowiązaniami, temi szczególnie: iż gdyby na wspomnianym rzeczonym gruncie (jak wyżéj powiedziano) ojciec wielebny Skopowski wikaryusz generalny z OO. i braćmi tego zakonu, budowli kościoła nie dokończył, i zaczętego dzieła do skutku nie doprowadził, albo dla jakiegobądź wypadku, rozpoczętéj budowli odstąpił: natenczas tenże grunt ma powrócić do tychże dziedziców oraz właścicieli, i bynajmniéj nie ma należéć do rzeczonego zakonu. Po złożeniu tych dowodów i do akt następnych wprowadzeniu, *ponieważ rzeczony kapłan Skopowski wikaryusz generalny i inni OO. Obserwanci zacząwszy na tymże gruncie budować, po wzniesieniu tylko murowanéj kaplicy, takowéj nawet niedokończywszy od dalszéj budowy téjże kaplicy i całego kościoła zupełnie odstąpili*, (quod praefatus olim religiosus Skopowski vicarius generalis ac caeteri de Observantia Patres, coepta in eodem fundo fabrica solaque capella ex muro elevata minusque ea ad effectum deducta, ab ulteriori continuatione ejusdem capellae et fabricae totius recesserint) (1), a przez to nie uczynili zadosyć warunkom, dla dziedziców zastrzeżonym w submissyi na rzecz spomnionéj cessyi; spustoszałe zaś mury kaplicy w czasie klęsk następnie panujących zniszczone (2), z samych tylko zwaliśk z cegły palonéj i wapna składające się, sprzedali zakonowi OO. Franciszkanów warszawskich za summę 500 talarów, co czyni na bieżącą monetę złp. 4000 (3), a dla niewypłacenia téj summy przez XX. Franciszkanów w terminie naznaczonym, ciż OO. rzeczone zwaliska odprzedali wreszcie za tęż samą cenę (4) Najprzewielebniejszemu Krzysztofowi Szembek, natenczas biskupowi nominatowi poznańskiemu; następnie zaś, gdy tenże biskup po zakupieniu spomnianych zwalisk i po kosztownem ich wyrestaurowaniu, nie nabywszy bynajmniéj prawa własności do rzeczonego gruntu, jak się to okazuje z tranzakcyi między OO. Dominikanami i Franciszkanami, a Najprzewielebniejszym niegdyś biskupem nastąpionéj, bez żadnéj zasady co do wła-

(1) W motywach tego wyroku toż samo w zupełności powtórzono.

(2) Jest tu mowa o trzyletniém morowem powietrzu i napadzie powtórnym Szwedów na Polskę.

(3) Sprzedaż ta nastąpiła przed aktami radzieckiemi Starej Warszawy w r. 1715.

(4) Przed aktami nuncyaturskiemi d. 13 maja r 1717.

sności gruntu, wprowadził tamże bractwo św. Benona, i gdy następnie względem prawa do gruntu, tak w umowach kupna i przedaży, jako i w taxie z d. 2 grudnia 1716 r. co do materyałów (budowlanych przy tymże placu leżących sporządzonéj, a to wszystko na żądanie Najprzewielebniejszego biskupa nominata poznańskiego, nic stałego ani pewnego w tym względzie on nie zdziałał, ale owszem w erekcyi swojéj (1) a raczéj rozporządzeniu swém piśmiennėm, żadnego sobie prawa własności do gruntu tego nie przywiązując (jak to z samego brzmienia tego rozporządzenia okazuje się i rozpoznać można), bo tylko w témże piśmie z d. 3 kwietnia r. 1720 o samej budowli od WW. OO. Dominikanów Obserwantów i Franciszkanów wprzód zgodzonéj, a następnie odkupionéj wzmiankę uczynił; a nadto gdy po tylu tranzakcyach co do materyałów budowlanych, na rzeczonym gruncie nabytych, po okazaniu odręcznéj cessyi od W. z Wolczyńskich Szymanowskiéj matki i Macieja Szymanowskiego starościca wyszogrodzkiego: na zlecenie których spomniana część gruntu (o któréj mowa) przeszła samym czynem (de facto) w drodze spadku dla niewykonania warunków przez W. O. Skopowskiego na rzecz JW. Adama Rostkowskiego biskupa Filadelfii, suffragana łuckiego, jako założyciela Domu Poprawy pod Warszawą, *naprzód* na dobrach Milanówek d. 20 kwietnia r. 1733, a następnie, po objawieniu przywileju danego w Warszawie d. 26 stycznia 1736 roku przez N Augusta III króla szczęśliwie nam panującego, co do założenia .ego Domu poprawy przez spomnionego biskupa Rostkowskiego, wtreszcie konstytucyi sejmowéj z r. 1736 pod tytułem: *Domus Correctionis* utwierdzającéj ten przywiléj i grunt; nastąpiła *potém* urzędowa donacya przez rzeczonych Szymanowskich przed aktami wójtowsko-ławniczemi M. S. Warszawy d. 27 czerwca r. 1737 na osobę JW. niegdyś Rostkowskiego biskupa Filadelfii, zeznana dla użytku i wygody publicznéj na założenie Domu poprawy: — z tych więc dowodów przekonywając, że spomniana część gruntu należy bez żadnéj wątpliwości jako dziedzictwo do założyciela Domu poprawy, pokornie Ryhovej upraszał i żądał, ażeby własność tegoż gruntu przyznać na użytek tylko samego Domu poprawy, oraz odrzucić czyli rozdzielić tę fundacyą od bractwa ś. Benona wymaganą, a to z przyczyn poniżéj wyłuszczonych, oraz niestosowności (2) w właściwém miejscu mających się okazać.

„Na dowody i żądania szla. Ryhoveja, gdy w stosownéj odpowiedzi sła. bracto ś. Benona, z swoimi delegatami i obrońcami sprawy przed nami obliczniе stawającymi, po okazaniu umowy, kupna przedaży, między WW. OO. Dominikanami Obserwantami reguły św. Ludwika Bertranda z jednéj, a JW. Najprzewielebniejszym Krzysztofem Szembek wówczas bisk. inflanckim i nominatem poznańskim, co do

(1) Była to erekcya szpitala sierocego, któréj oryginał w aktach dawnych Warszawy.

(2) Połączenie w jednym gmachu ludzi występkowi oddanych, z sierotami w niewinnym wieku dla wykształcenia ich na pracowitych i uczciwych rzemieślników, było największym błędem przez bis. Rostkowskiego popełnionym.

gruntu spornego z drugiéj strony nastąpionéj, przed aktami publicznemi nuncyaturskiemi d. 6 marca r. 1717, w obec wikaryusza generalnego i innych tego zakonu kapłanów, po okazaniu erekcyi z mocy téj tranzakcyi, do tego domu na rzeczonym gruncie wystawionego, oraz po uzyskaniu intromissyi urzędowéj przez J.X. Jana Skubiewskiego altarysty ołtarza N. Trójcy w kościele parafialnym N. Maryi Panny w Nowéj Warszawie, na osobę i żądanie JW. JX. spomnionego fundatora, dla bractwa ś. Benona: po przedstawieniu tych dowodów i t d."

Sprawa ta kilkadziesiąt lat trwając, zbyt głośną była w Warszawie, bo się opierała o samego monarchę.— Dla jéj więc dokładnego rozpoznania, z powodu powątpiewań co do własności samego gruntu, wyszła w Warszawie broszura po polsku in folio kart 5 druku zawierająca, bez daty i nazwiska drukarza pod tytułem: *Wiadomość o sprawie Dyrektora Cuchthauzu Warszawskiego z bractwem szpitala ś. Benona, przez JJ. WW. Kommissarzów osądzonéj z informacyą co się w niéj stało i dotąd jeszcze dzieje.* W broszurze téj, cała kronika jaka o kościołku Dominikanów Obserwantów, w wyroku powyższym jest zamieszczona, zupełnie jest ta sama; dlatego zbytecznem znajduję powtarzania jéj (1). Tym jednak, którzyby jeszcze na powyższych dowodach nie poprzestali, chętnie udzielę do odczytania. Mógłbym jeszcze wiele innych wyroków i dowodów urzędowych przytoczyć, na poparcie szczególnie i treści i daty submissyi Wołczyńskich z r. 1698; zdają mi się jednak, iż to, co wyżéj zamieściłem, nadto jawnie i oczywiście przekonywa, że cała poezya o ślubie Jana Kazimierza po zwycięztwie nad Szwedami i o kościele N. Maryi Panny Zwycięzkiéj w tém miejscu gdzie Cuchthauz, musi zginąć w obec prawdy historycznéj.

Co do drugiego: że Jan Kazimiérz wystawił kościół DD. Obserwantów w Warszawie, o tém żadnéj wątpliwości nie ma, ale żeby ten kościół był w tém miejscu, gdzie dziś są koszary Mikołajewskie, to jest poezyą. Piérwszym, który podanie o tém zrobił był ks. Kurowski, tyle szacowny i czcigodny badacz dziejów Warszawy. Wiadomości swe podał w Pamiętniku Religijno-moralnym (t. I str. 242) w tych wyrazach: „Kiedy w r. 1657 Jan Kazimiérz przybył pod Warszawę, gdzie zostawali Szwedzi pod feldmarszałkiem Wittemberg, *stanął obozem w téj stronie, gdzie jeszcze przed kilkunastu laty szwedzkie widzieliśmy szańce, to jest na polach pomiędzy Marymontem i Powązkami.* Przed bitwą, według dawnego zwyczaju, słuchało wojsko mszy św., odprawionéj przy ołtarzu wystawionym w namiocie. Pomyślny wypadek uwieńczył usiłowania króla w dniu tym, acz późniéj zwycięztwo na inną przechyliło się stronę. Na miejscu gdzie spełniała się ofiara święta, w intencyi otrzymania zwycięztwa, *stanął kościół drewniany* (?) *wraz z klasztorem* (?) kosztem drugiego syna Zygmunta III pod tytułem N. M. Panny Zwycięzkiéj (Sancta Maria de Victoria) i oddany zakonnikom reguły św. Ludwika Bertranda, zwanych u nas Dominikanami Obserwantami. Erekcya téj fun-

(1) Znajduje się w archiwum dawnych akt miasta Warszawy.

dacyi podpisana była dopiéro 3 czerwca 1668 roku, na kilka miesięcy przed abdykacyą korony. *Miejsce, gdzie stał pierwszy kościół było podówczas dość odległe od murów miasta, albowiem tam, gdzie dziś stoją koszary wojskowe przy ulicy Pokornéj pod n.* 2218" i t. d.

Zdanie tak znakomitego badacza, mylném już okazujące się z powyższych dowodów, jakie w dawnych aktach Warszawy wynalazłem, naprowadziło mnie na domysł przejrzenia źródeł, z których swoje podania poczerpnął. Ks. Kurowski utwierdzając swój opis historyczny, w odsyłaczu odnosi się do akt konsystorza warszawskiego; przekonać się z nich o tém podaniu za świętą powinność obrałem Jakkolwiek akta zakonu ks Dominikanów Obserwantów dopiéro od r. 1800 w konsystorzu znajdują się, lecz i te okruchy przy troskliwém ich przejrzeniu wyświeciły prawdę w całéj sile.

Kiedy zakon ten inne przez rząd przeznaczenie otrzymał, a w roku 1813 zaledwo dwóch tylko księży w nim zostawało, b. p. Grzegorz Zacharyasiewicz biskup i wice-administrator archidyecezyi warszawskiéj, wydał polecenie urzędowe w miesiącu marcu t. r. ks. Józefowi Danikowskiemu kanonikowi krakowskiemu, ażeby opis troskliwy zrobił tego kościoła i klasztoru, z najdrobniejszemi szczegółami co do erekcyi, uposażenia, ozdób, sprzętów kościelnych, stanu budowli, biblioteki, wszelkich dowodów uposażeń i t. p. Rzeczony kanonik przybrawszy sobie ks. Ignacego Maryańskiego prokuratora konwentu ks. Dominikanów Obserwantów, oraz Szymona Abramowicza kapłana tegoż zgromadzenia, zrobił szczegółowy opis bardzo dokładny i w sposobie protokularnym złożył go swojemu zwierzchnikowi. Oryginał tego zdania sprawy podpisany jest tylko przez niego i ks. Maryańskiego. bo trzeci kapłan Szymon Abramowicz dla zbyt osłabionego zdrowia nie mógł być obecnym przy spisie. Tytuł tego zdania sprawy jest następujący: *Opis kościoła pod tytułem Najświętszéj Panny od Zwycięztwa dawniéj Moskiewską kaplicą zwanego jako téż i klasztoru ks. Dominikanów przy tym kościele na Krakowskiém Przedmieściu będących i wszystkich rzeczy znajdujących się i do wspomnionych ks. Dominikanów Obserwantów należących w roku* 1813 *w miesiącu marcu sporządzony.* Już sam tytuł zaostrzył moję ciekawość i zachęcił do szczegółowego przejrzenia. Jakoż w samém zaczęciu protokułu tego *„actum est* i t. d." jako też we wszystkich licznych spominkach, jakie ten światły duchowny, w całém tém nadzwyczaj obszernem sprawozdaniu czyni o tym kościele, zawsze przytacza w nich tytuł téjże świątyni pod nazwaniem *Najświętszéj Maryi Panny Zwycięzkiéj.* To mię jeszcze bardziéj do troskliwszych poszukiwań zachęcało, zwłaszcza, że nadpis ten był zmienny i niezgodny z opisami jakie poprzednio w tychże aktach konsystorskich znalazłem. Tém pilniéj przeto zabrawszy się do odczytu tego sprawozdania, dla wykrycia powodu zmiany tego tytułu kościoła, przez osobę światłą i w charakterze urzędowym występującą, nareszcie udało mi się dociec prawdy. Spomniony kanonik mając sobie wszystkie skrytości, wszystkie papiéry, dokumenta przedstawione, miał także okazane tajemne skrytki i szuflady; w tytule więc

Konnotacya dokumentów do klasztoru i kościoła ks. Dominikanów Obserwantów należących, tak się szczegółowo przedewszystkiém wyraża:

„W szufladzie classis I^ae przywilejów erekcyjnych od Jana Kazimierza króla polskiego (jaka szkoda, że daty nie położył) na wielkich pargaminach nr. 3. Item od królów Michała i Augusta wtorego na podobnych pargaminach i z takiemiż pieczęciami confirmacye; wszystkich in numero 5."

Otóż znalazł się człowiek, który miał w ręku przywileje erekcyjne tego kościoła; a że tenże urzędnik duchowny i w samym tytule swego sprawozdania, i we wszystkich przytoczeniach, daje zawsze w dowodzie autentycznym nazwę tego kościoła Najświętszéj Maryi Panny Zwycięzkiéj ztąd okazuje się, iż wyczerpnąć to musiał z przywilejów erekcyjnych, które Bóg wie gdzie się teraz obracają.

Jan Kazimiérz zatém założył kościół ks. Dominikanów Obserwantów, ale już w tém miejscu, gdzie dziś istnieje pałac urzędu loteryi pod nr. 1320, nie zaś na przeciwnym krańcu Warszawy, gdzie był Cuchthaus a dziś koszary Mikołajewskie. Podanie więc ks. Kurowskiego o tyle tylko jest pewne, że erekcya kościoła Dominikanów Obserwantów nastąpiła za Jana Kazimierza i przez tegoż króla, a polegając na dacie, jaką znalazłem w aktach konsystorza, w opisie szczegółowym tego kościoła, przez przełożonego w r. 1800 zdziałanym, erekcya nastąpiła d. 3 czerwca r 1668. Inne zatém podania ks. Kurowskiego: co do ubikacyi tego kościoła, że pierwotnie między Marymontem a Powązkami, gdzie był potém Cuchthaus, co do przeniesienia go następnie na drugi koniec Warszawy, są zupełnie mylne, bo na cóż miano przenosić zakon, kiedy on istniał już w r. 1668, a kościołek przy Domie poprawy dopiéro w r. 1698 dostał grunt od Wołczyńskich?

Ażeby nakoniec wykryć prawdę w całém świetle, opierając się na spółczesnych wiarogodnych kronikach, przytoczę dosłownie szczegóły z pamiętników Jemiołowskiego, które jawnie i ślub Jana Kazimierza, i stronę miasta gdzie się ofiara ta odbywała w r. 1657 najdokładniéj wyświecają. Str. 97: „stanąwszy król tedy pod Warszawą w pierwszych dniach czerwca, aby się te rzeczy od Pana Boga poczęły, ślub solenny uczynił wypędzenia Arjanów z Polski i oswobodzenia ludzi ubogich od egzakcyi i uciemiężenia wszelakiego. Tam zastał Sapiehę woj. wileńskiego, którego był przedtem wyprawił zleciwszy, aby po odejściu króla szwedzkiego pasy zaległ i Szwedom z Warszawy wypadać nie dopuszczał. Jakoż czynił ile mógł funkcyi swojéj Sapieha, bo z nim Litwa gdzie mogli Szwedów zaskoczyć nic im nie folgowali, pod samą Warszawę podjazdami podpadali, *która już była na około opalona i zrujnowana*; klasztor tylko bernardyński i pałac Radziejowskiego z klasztorem panieńskim bernardyńskim z jednéj strony, a z drugiéj dominikański i kościół Ducha św. bramie przyległy miasto fortecę ludźmi potężnie osadzili. Aż do świątek tam wojsko litewskie opędzając Warszawę stało, aż król Kazimierz jako się rzekło z wojskiem tak nowo zaciężném, jako i dawniej-

szém, z piechotami wraz i z pospolitém ruszeniem województw ruskich tam się podemknął i *pod Ujazdowem* (a zatém nie między Marymontem i Powązkami) *obozem stanął*. Wnet do obozu tegoż z pod Łowicza pospieszył Lubomirski z nie małą kupą wojska polskiego, pospolitego ruszenia całéj korony polskiéj, które gdy codzień to więcéj ściągało się, już się wojska polskiego z litewskim rachować na 100,000 mogło, oprócz wojska kwarcianego, którego przy Czarnieckiem koło Uniejowa o 15.000 być mogło."

Kiedy Czarniecki złączył się z królem pod Warszawą, tak daléj Jemiołowski opisuje szturm stolicy, str. 99. „Już natenczas mury warszawskie od piechoty i armaty Kazimierzowéj rozłożone były, i piechota porządkiem dobrym rozłożona z trzydziestą dział do miasta szturmowała, wziąwszy najpiérwéj błogosławieństwo od Boga i od króla, który niżeli tę expugnacyą zaczął w dzień Bożego Ciała wszystkiemu wojsku w szerokim polu *we dwa szeregi* stanąć kazał, a w solennéj processyi, którą Tulibowski biskup poznański, nosząc Przenajświętszy Sakrament w ręku odprawował, sam piechotą ze wszystkiemi biskupami i senatorami, ze wszystkiém duchowieństwem środkiem wojska szedł. Wojska zaś chorągwie swe na ziemię schylały i sami wszyscy żebrząc łaski Bożéj na ziemię na twarz upadali. Takowe tedy Bogu Najwyższemu oddawszy supplikacye, dopiéro do szturmu rzucili się, a przez cały miesiąc czerwiec bez przestanku z dział do miasta bijąc, granaty, kule ogniste rzucając, gdy wielki w Szwedach wycieczkami wypadających czynią szkody, żadnego skutku jednak swéj intencyi nie otrzymują, aż naostatek w *wigilią Najświętszéj Panny Nawiedzenia* z dział osobliwie burzących z jednego wielkiego, smokiem nazwanego, węgieł pałacu Radziejowskiego (1) nie mały wybito i dziurę wielką uczyniono, w którą ochotnik rozmaity z ciurów, woźnic i innéj drobniejszéj czeladzi, skupionéj za otrąbieniem ochotą do pałacu wpadli, Szwedów tam będących nasiekli, drugich do klasztoru Bernardyńskiego napędzili, potém co daléj to więcéj przybywając z piechotą ognistą i ztamtąd ich do klasztoru panieńskiego (pp. Bernardynek), wyparli, a ztamtąd do bramy zamkowéj pobocznéj uciekających gromili. Wielkie w zamku (bo już w bramę zamkową siekąc Szwedów wpadli) zamieszanie i konfuzya stała się, zaczém Oxenstiern kanclerz ledwie Witemberga animował, aby trębacza posłać o akord upraszając". Następnie poddali się.

Jaka szkoda, że nie mamy pod ręką oryginałów, bobyśmy mogli rozwiązać wątpliwość, jaką z doświadczenia już niejednokrotnie zdarzyło się nam dostrzedz. Wiadomo, iż w dyplomatach ówczesnych po łacinie pisanych miesiące *junius* i *julius* bardzo mało w nazwisku się różniące, często przez pomyłkę przepisujących jeden za drugi były brane, o czém kilkakrotnie miałem sposobność przekonać się. Dobycie Warszawy i poddanie się Szwedów Janowi Kazimierzowi nastąpiło d. 3 lipca 1657 r. w skutek szczęśliwego szturmu w wigilią Nawiedze-

(1) Pałac ten był w tém miejscu gdzie dziś Towarzystwo Dobroczynności i pałac R. R. S. Simeona Werner pod nr. 369.

nia Najświętszéj Maryi Panny, które przypada d. 2 lipca. Zróbmy krok jeden daléj. Kościół poświęcany Boga Rodzicy pod tytułem: Nawiedzenia (PP. Wizytek) już miał być w Warszawie od roku 1654; nadto istniała także i dotąd istnieje w Warszawie świątynia Najświętszéj Maryi Panny pod tytułem Jéj Nawiedzenia: być więc mogło, że monarcha Polski chcąc uczcić zdarzenie szczęśliwe dobycia Warszawy niemal w samo święto Boga Rodzicy, a skrępowany mianem już istniejącego klasztoru PP. Wizytek i kościoła P. Maryi, dał nieco różną nazwę nowego przez siebie erygowanego kościoła, przezwawszy go (ma się rozumieć za zezwoleniem władzy duchownéj) tytułem Najświętszéj Maryi Panny Zwycięzkiéj. Czyli ten nasz domysł jest pewny, przyszłość okaże, przy objawieniu kiedyś samego przywileju erekcyjnego.

Str. 302. Boleje razem ze mną p. Bartoszewicz, że zamiar mój wydawania dalszego mojéj pracy nie udał się. Jakkolwiek publicznie oświadczony żal, wielką dla mnie jest chlubą, zwłaszcza od znakomitego pisarza i w najcelniejszém piśmie; jakkolwiek przytacza nasz krytyk, iż zaledwo trzy tomy dopiéro wydałem, zakończenie atoli tego ustępu: *„otóż i całe plony, któreśmy sobie na téj drodze z radością kiedyś obiecywali“* jako niestosowny i niezgodny z moją dążnością oraz dalszemi pracami, winienem tu objaśnić. Że nie inna przyczyna istnieje, tylko brak finansów na wydawanie dalszych tomów *Starożytności Warszawy*, w takim kształcie, w jakim dwa piérwsze objawiłem, o tém publiczną przysięgę, przed areopagiem potomności składam. Smutek mię, razem z p. Bartoszewiczem i wszelkiemi miłośnikami nauk ogarnia, iż tak mało dziś popędu i ciekawości objawia się w ludziach, którzyby o losach miasta, niegdyś stolicy *de facto* udzielnéj Rzplitéj dowiedzieć się chcieli! Tyle osób pochwalało już mój zamiar, bądź jawnie w pismach, bądź ustnie w oczy i za oczy, a żadna nie znalazła się w całym kraju, któraby mi rękę jakąkolwiek podała w wydawaniu; a jednakże to, co ogłosiłem w prospekcie w r. 1847 święcie starałem się dokonać i dokonałem. W skutek ogromnych nakładów na ryciny i wydanie, skrępowany wzrastającemi potrzebami na wychowanie dziatek, nie mając jeszcze powróconych poprzednich kosztów, pozbawiony wszelkiéj pomocy materyalnéj tak dalece, iż żaden nawet księgarz w całym kraju, pomimo moich zgłaszań się, nietylko następnych tomów nie chciał wydawać, ale nawet nierozprzedane egzemplarze zakupić; w tak rozpaczliwém położeniu cóż mi wypadało przedsiębrać, jeżeli nie zaniechać druku dalszych tomów? W zamiarze atoli raz przedsiębranym nie ustawałem i nie ustaję; owszem, mając już zebrane materyały do trzech następnych tomów, wykończano artykuły w Bibliotece Warszawskiéj rok rocznie umieszczam i osobno ogłaszam. Zatém nie wszystkie plony co zebrałem są dotąd objawione, i do ostatnich chwil życia mego zbieraniu się ich poświęcę. Przekonany jednak jestem, że sposób ostatni wydawania jest bez porównania mniéj korzystny dla dziejów miasta; ale potrzeba jest matką wszystkiego, a w braku wszelkiéj pomocy finansowéj, i na téj drodze nadzwyczaj wolnéj, choć żółwim krokiem daléj postąpię, pocieszając się tą myślą poety: *paulatim summa petuntur*. Tymczasem, jak z każdego

złego można dobre owoce zbierać. z radością przychodzi mi donieść, iż właśnie na téj drodze powolnéj, zyskała praca moja nadzwyczaj wiele. Przez ten bowiem czas miałem sobie łaskawie przez miłośników dziejów miasta udzieloną znaczną bardzo dość materyałów, nadzwyczaj ciekawych i ważnych, początku wieku XV sięgających, tak dalece, iż liczba pomnożonych i nieznanych zupełnie, bo nawet summaryuszem dawnych akt miasta Warszawy nie objętych dyplomatów, wynosi dotąd już 152, które najciekawszą przeszłość miasta najdokładniéj wyświecają. Dopóki zatém żyć będę, zbierać tych plonów nie przestanę: bo Warszawa jest moją kolebką, mojém rodzinnem miastem: słusznie więc, ażeby dziecię swéj matce do zgonu swego usługiwało.

Str. 303. Zarzuca mi pan Bartoszewicz, iż taryffa miasta Pragi z r. 1792. którą zamieściłem w tomie I jest zbyteczną; że taką nie jest, winienem wykazać. Posiadamy bardzo dokładne plany Warszawy, przy pomocy których możemy dziś z pewnością wiedzieć, przynajmniéj od r. 1762, jakie w niéj były ulice i gdzie były położone. Praga, ta córka rodzona Warszawy, oddzielona od niéj tylko rzeką, tak dalece jest mało znaną, iż nawet od r. 1792 już nie wiemy, gdzie jéj ulice były położone i jak się nazywały. Nie posiadamy żadnego planu Pragi przed r. 1792, na którymby (wyjąwszy trzech ulic) wszystkie nazwiska ulic téj części stolicy były oznaczone. Nadto, w skutek zniszczenia jéj zupełnego w r. 1794, nowe, zupełnie różne od r. 1792 było robiona numerowanie domów, nowy spis ulic, nowe ich nazwiska, różne zupełnie położenie od r. 1792, tak dalece, iż dzisiaj tyle pożądane nieraz wiadomości (zwłaszcza w sporach sądowych), lub rozwiązanie gdzie była ulica ta i ta na Pradze, staje się węzłem gordyjskim, który tylko pomnacku przecinają. Cóż dopiéro mówić o pojedyńczych właścicielach téj części miasta?! Ciągłe i coraz bardziéj zwiększające się procesa w kratkach sądowych (1) na czém się mają opierać, gdy żadnego śladu prócz taryffy z r. 1792 nie posiadają? Niejednokrotnie już udawano się do niéj, a co do mnie otwarcie wyznać muszę, iż żadna praca tyle praktycznéj mi korzyści w rozwiązaniu sporów dla mieszkańców nie przyniosła. Jako więc pożyteczna dla dobra ogólnego, zdaję mi się że nie jest zbyteczną.

Na str. 305, wiersz 32 i 67 mylnie utrzymuje p. Bartoszewicz, iż przywiléj króla Zygmunta III z r. 1598, przenoszący stolicę z Krakowa do Warszawy, nie jest podpisany przez króla; tymczasem i sam oryginał przekonywa że go podpisał, i takim go wydałem w T. II str. 107, gdzie *antykwą* na końcu wydrukowano podpis króla w texcie łacińskim i polskim, i kilkakrotnie o tym podpisie tego przywileju przez Zygmunta Wazę wyraziłem w tomie II str. 101—108. Jestto więc proste przeoczenie się.

Na str. 306 p. Bartoszewicz zarzuca mi, idąc w ślady zmarłego Lisowskiego, iż w *Opisie historycznym trzech kęp na Wiśle pod Warszawą* pomyliłem się, bo nie było kępy przy Bełku, i że wziąłem łachę

(1) Obecnie wiadomo mi jest o trzech.

„Wiślaną za kępę, dodaje tylko nasz krytyk wyraz *podobno* żem zbłądził. Ponieważ zmarły Lisowski zupełnie się mylił i rzeczywistości zaprzeczał, a p. Bartoszewicz podobieństwo nieistnienia téj kępy przypuszcza: do mnie należy teraz okazać, iż istniała podług tych dowodów, jakie nie chciał lub nie potrafił widzieć w opisie téj kępy zmarły Lisowski.

Przedewszystkiém w mojéj pracy utrzymywałem, że kępa ta była przy Bełku, tojest przy odnodze wiślanéj czyli łasze, jaką najwidoczniéj okazuje się na wszystkich planach Warszawy z XVIII wieku, a nawet jeszcze na planie stolicy z r. 1829. W piérwszym przywileju Bolesława księcia mazowieckiego z r. 1474 mowa jest na str. 17 t. o. że Wisła gwałtownie wezbrawszy, zalała łąki miejskie i rozszerzyła się aż za nową tamą, wyżéj wsi Solca, a w skutek tego utworzoną łachę czyli odnogę Wisły, rzeczony panujący, z całém rybołostwem i wszelkiemi użytkami z téjże łachy, podarował tymże przywilejem Staréj Warszawie. Wiadomo wszystkim, co to jest odnoga mniejsza czyli łacha; wiadomo także, iż łacha taka musi miéć dwa lądy przy sobie: jeden był od strony Warszawy, a drugi od strony rzeczonéj kępy; jakże więc nazywać ten ląd drugi, który otoczony z jednéj strony wodą z łachy a z drugiéj strony samą Wisłą stanowi kępę zupełnie podobną do Saskiéj? Wyspą ani półwyspem nie możnabyło nazywać, dla swojego kształtu i szczupłości gruntu, zwłaszcza na rzece; podobało się naszym pradziadom nazwać go kępą przy Bełku, tojest przy łasze Wiślanéj, na podobieństwo Saskiéj kępy, która zupełnie naprzeciwko, a z drugiéj strony Wisły, oblana jest także z jednéj strony łachą z drugiéj samą rzeką. Idźmy teraz daléj do dowodów. Jan Kazimiérz przywilejem danym w Warszawie d 9 stycznia r. 1651 potwierdził co do słowa powyżéj wyrażony dyplom Bolesława księcia mazowieckiego z r. 1474; przywiléj Jana Kazimierza dlatego właśnie zamieściłem w opisie téj kępy, gdyż o niéj wyraźnie w tych słowach wspomina na str. 20 „cały lud miasta Staréj Warszawy w używaniu i posiadaniu téjże łachy i łąk oddawna miejskich do wsi Solca należących, obecnie *kępą* zwanych, zachować raczyli"; nadto drugi raz w tymże samym przywileju król mocno daléj stanowi, str. 21 „oraz tychże obywateli w używaniu i spokojném posiadaniu ich łachy oraz łąki (w liczbie pojedyńczéj) *oddawna* miejskiéj do wsi Solca należącéj, obecnie *kępą* nazwanéj, wiecznie zachowujemy". Kiedy więc sam prawodawca Jan Kazimierz, już tę łąkę dwukrotnie *kępą* nazywa w swoim przywileju, czyli my we 200 lat potém, jéj istnieniu możemy zaprzeczyć? Zostawiamy to do rozwiązania czytającym. Kępa ta składała się z samych łąk i pastwisk. Kommissya Porządkowa za Stanisława Augusta dwukrotnie o niéj wspomina, jak to w opisie wyraziłem na str. 22 i 23; nadto rewers czyli assekuracya plenipotenta króla Poniatowskiego, Kazimierza Karasia kasztelana wiskiego, dana Staréj Warszawie pod d. 28 listopada 1773 r., a przezemnie dosłownie zamieszczona, także o niéj spomina w tych słowach: „wraz z KĘPĄ w środku Wisły naprzeciwko Bełchu będącą, na rzecz Najjaśniejszego Króla Imci i krwi Jego sukcessorów, na czynsz roczny w tymże konsensie wyrażony, na lat trzydzieści; obliguję się więc

według opisu wyżéj wspomnionego konsensu, że z placów tychże i z *kępy*, czynsz roczny, z szlachetnym urzędem ekonomii miasta Staréj Warszawy umówiony i ułożony, ze skarbu J. K. Mci rok rocznie na każde święto św. Marcina biskupa, punktualnie w summie złp. 556 wypłacony będzie. Tudzież: że też placu i KĘPA w przeciągu lat 30, od N. Króla Imci i krwi Jego sukcessorów, bez wiedzy i pozwolenia, szla. magistratu miasta Staréj Warszawy piśmiennie danego, nikomu ustąpione nie będą". Czyli więc, podług tych najoczywistszych dowodów, istniała kępa przy Bełku czyli łasze wiślanéj?—odwołuję się do wydania wyroku samych czytelników. Co do mnie, pojąć nawet nie mogę, co mogło było zmarłemu Lisowskiemu być powodem, do zrobienia mi tego zarzutu; chyba najniedbalsze odczytanie powyższych, przezemnie przytoczonych najwiarogodniejszych dowodów. Jeżeliby zaś i te były niedostateczne, mogę w każdym czasie udzielić do odczytania dwa jeszcze dowody autentyczne z czasów Augusta II i Stanisława Poniatowskiego, których przytoczenie tutaj uważam za zbyteczne.

Na str. 317 gniewa się, ale już w mnogiéj liczbie p. Bartoszewicz, żem nic nie napisał dotąd o dziejach miasta z epoki Karola Gustawa i Karola XII; sądzę, że wszyscy ochłodną z tego gniewu literackiego, gdy się dowiedzą, że od wydania tomu II Starożytności Warszawy, mnóstwo przy przejrzeniu dawnych akt tego miasta, przybyło mi materyałów do tychże epok. Gdybym był więc wydał te, jakie się znajdują w samych tylko uchwałach magistratu, praca moja ani zupełną, ani dokładnąby była. Musiałbym w dalszym postępie prac moich: drugi, trzeci lub czwarty raz ogłuszać te drogie zabytki, a w takim razie znówby mi zarzucono, dlaczego odrazu ich nie wydałem. Wiadomo już wszystkim, że archiwum mnie powierzone, przez nikogo dotąd nietknięte zostało. Na samo dokładne przejrzenie tylko dokumentów, porozrzucanych po rozmaitych aktach, mało 10 lat olbrzymiéj pracy, wyłącznie temu poświęconej. Jestto kopalnia złota, która z każdym dniem kawały kruszcu wydaje; ale żeby go wszystek wydobyć, na to potrzeba wiele i bardzo wiele czasu i trudów poświęcić. Tysiącznemi zaporami wstrzymywany, których mi nie wolno tu wymienić, a o jakich może dopiéro potomność się dowié nie jestem w stanie, pomimo najusilniejszych chęci i zamiarów, wyłącznie téj kopalni się poświęcić. Wyciągam bryły jak tylko okoliczność się nadarzy, a o wielkości tych poszukiwań, dopiéro przyszłość będzie mogła osądzić i ocenić. Żądam tylko cierpliwości od krytyków moich; jeżeli zaś chcą pośrednio i dzielnie mi dopomódz, oświadczam ostatecznie, że niczém więcéj wesprzéć mię w mojéj pracy, a tém samém dla dziejów miasta nie potrafią, jak wyszukaniem ręki finansowéj, któraby mi zapewniła wydanie tego wszystkiego złota, jakie się w téj kopalni znajduje.

Pisałem w Warszawie,
dnia 17 sierpnia 1853 roku.

Alexander Wejnert.

Chrześcijańska filozofia życia, w porównaniu z filozofią naszego wieku panteistyczną, przez Maxymiliana Jakubowicza. *Wilno. Nakład i druk Glücksberga. T.* 3. 1853 r.

Przewrót religijny XVI wieku obalając tradycyą, hierarchią i wiarę, powołał rozum indywidualny do wyniesienia się ponad powagę kościoła, władzy i objawienia Św. Rozum ten jednak z natury swojéj nakierowany, ku zmysłowéj i zewnętrznéj stronie rzeczy, odrzucając te wszystkie dary niewidzialnego świata, których pojąć lub wyrozumować nie mógł, zamknął całą działalność myśli i woli w granicach doczesności społecznéj i materyalnéj. To działając przez filozofią, to obudzając przewroty polityczne i społeczne, powołał on massy do wyobrażania władzy i używania wszelkich dóbr materyalnych, zakładając na tém cel i godność człowieka i jego czasu.

Ztąd epoka dzisiejsza stawi nam widok olbrzymiego szeregu materyalnych interesów. Niezliczone stowarzyszenia, ten najdzielniejszy objaw jednolicowéj woli społecznéj, rozscieła na przestrzeni krajów gęstą sieć kolei żelaznych; statki parowe przebiegają oceany, jakby międzymorza; telegrafy elektryczne rzucają dla siebie podstawy na dnie wód; wznoszą się zamiast świątyń, pałace wystaw, w których oddaje się cześć przemysłowi jakby Bogu. Słowem zdawałoby się, że materyalizm stanowi religią, rozum wynalazczy kapłaństwo, materya bóstwo naszego społeczeństwa. Zbytek, wygody życia, rozmaitość wymyślnych potrzeb ogarniają massy, sięgają do najniższych warstw ludu. Rzekłbyś, że już nie ma innego świata nad ten widzialny, że ten nasz doczesny, przemijający żywot nie jest już przygotowaniem i przejściem do innego wiecznego bytu. Jednak gorzkie doświadczenia, bolesne zawody, niestałość instytucyi, niedostateczność bogactwa materyalnego do zapewnienia rzetelnego szczęścia, a nadewszystko tajemnice śmierci: budzą w tém zmateryalizowanćm społeczeństwie żal za postradanemi skarbami religii, żywią tęsknotę do innego duchowego świata, wzmagają potrzebę wiary. Zewsząd coraz silniéj, coraz rozgłośniéj rozlegają się nawracające głosy; zewsząd coraz tłumniéj przybywają wierzący, pragnący powrócić na łono kościoła: we Francyi ultramontanie, w Anglii puzeiści, w Genewie metodyści, w Berlinie pietyści, składają materyały, wznoszą filary téj budowy naszego wieku, któréj imię odpowiada jego charakterowi i dziejom minionéj przeszłości. Tą budową ma być *Odrodzenie religijne.* Tak jest: odrodzenie religijne tléje we wszystkich prawych sercach, rozwija się we wszystkich oświeconych umysłach, brzmi w ustach wszystkich wierzących.

Gdy rzucić się mają posady do téj budowy, zewsząd rozlegają się głosy: „Precz z filozofią! na co ona potrzebna? Obłąkała umysły, uwiodła serca, zdradziła zaufanie, wydarła szczęście, ta mniemana mędrczyni! Jakąż żywotną prawdę stworzyła, jaką trwałą instytucyą złożyła, jakiéj potrzebie życia uczyniła zadość? Precz z filozofią!“ I ta

mistrzyni trzech wieków nowego czasu umyka z teatru świata, chroni się w cieniu filarów racyonalnéj przeszłości, milknie, gaśnie!

Lecz nie, filozofia jest potrzebną, woła z nad brzegów malowniczego Wołynia głos ziomka naszego, głos męża światła i nauki; męża, który w ciągu lat 30 wtajemniczał młodzież naszę w skarby klassycznéj literatury i poezyi, głos prawego męża wiary. Filozofia jest potrzebną dla religii i pożyteczną dla życia —mówi on—ale filozofia chrześciańska, filozofia jako umiejętność, jako sztuka życia ludzkiego czasowego, zostającego w związku i jedności z życiem wiecznem, pod tym względem, że życie wieczne jest celem, a życie czasowe środkiem do celu. Głosem tym jest dzieło p. Maxymiliana Jakubowicza: Chrześciańska filozofia życia w porównaniu z filozofią naszego wieku panteistyczną. Nie jestto dzieło zarozumiałéj abstrakcyjnéj mądrości, ani utwór skrzepłego w pajęczéj sieci syllogizmów i dyalektycznych wywodów filozofa; jest to raczéj na ołtarzu religii złożona ofiara uczonego męża, który żywot swój poświęcił praktycznemu pożytkowi społeczeństwa, który wzbogacał nauką umysł młodzieży i kształcił mowę naszego pokolenia, a kończąc poczciwéj pracy poświęcone dni swoje, chciał oświecić ducha swojego czasu promieniami prawdziwéj wiedzy i religijnéj nauki.

Autor zaczyna od wykładu ogólnych zasad główniejszych systematów nowożytnéj filozofii, rzuciwszy przedtém pobieżny wzrok na starożytną i scholastyczną. Za punkt zwrotu nowożytnéj poczytuje protestantyzm, wskazując na dwa główne kierunki z tego źródła wychodzące i objawiające się w systematach Bakona i Kartezyusza, rzuca kilka rysów zasad Kanta, a szczególniéj wykłada Szellinga, Hegla i Hegelia nów. Założywszy sobie cel porównywania swych zasad z li tylko panteistyczną filozofią naszego wieku, wykrywa drogi, któremi ta do ostatecznego rozwoju swojego doszła, i w głównych ją systematach obejmuje. Pomija dlatego koryfeuszów empirycznéj szkoły Locka, przedstawicieli szkockiéj filozofii i spirytualno-praktyczną filozofią francuską. Żadnéj wzmianki nie czyni o znakomitym naszym myślicielu Karolu Libelcie. Po wstępie wykładającym źródła poznania człowieka, mądrość świata, zdania najzaciętszych nieprzyjaciół Chrystusa i jego nauki: Feuerbacha, Bruno Bauera, Trentowskiego, objaśnia w roz. 1. części 1 przyczyny objawienia Boskiego i rzeczy w niém zawarte; w roz. 2 modlitwę objawioną, Pańską modlitwą zwaną; w roz. 3 nadprzyrodzoną Wiarę, Nadzieję i Miłość. W części 2 w roz. 5 o Stwórcy i jego Boskiéj osobistości, w roz. 6, o stworzeniach i ich wzajemnym między sobą związku, oraz stosunku ich do Stwórcy, o przyczynach dobrego i złego, istocie ducha i natury; w roz. 7 o stworzeniach w dniach 6 w stopniach coraz większéj doskonałości rzeczy wszechświata.

Zasadą myśli p. Jakubowicza jest Objawienie Boskie. W Objawieniu zawarte są początek i źródło czynności ducha ludzkiego, najwyższy stopień poznania, światło prawd wiecznych, oraz pokazany najwyższy cel życia, w którém duch ludzki zdolny jest pojąć wielkość swojego przeznaczenia, oraz uczcić miłość i dobroć Boską bez

granic; nakoniec pokazane są środki, jakie nieskończona dobroć i miłość Boska podała człowiekowi dla osiągnienia celu najwyższego, dla którego życie czasowe jest dane. Bez pośrednictwa Objawienia, duch nie mógłby wejść w czynność i człowiek musiałby wiecznie zostawać w wiecznéj nieczynności, w stanie dzikości. Z Objawienia zaś człowiek poznaje rzeczy, którychby sam przez się nie mógł poznać, jakoto: Boga i Stwórcę wszystkiego bytu i życia, świat od czasowego różny, wieczny, czyli wiarę; przeznaczenie i cel dla jakiego człowiek i wszystkie rzeczy stworzonemi zostały, czyli nadzieję; związek w jakim zostaje ze Stwórcą, który że jest mu razem Ojcem, przeto związku tego istotę stanowi *miłość*.

Wyznaniem i statecznym w ciągu pisma swojego rozwojem téj zasady, stanął autor na stanowisku wbrew przeciwném głównejszym systematom filozofii. Skutkiem bowiem reformy, rozum ludzki odrzucił potrzebę pośrednictwa Objawienia dla poznania Boga, człowieka i natury, a przypisał sobie bezpośredniość myślenia i poznania—przymiot Bogu tylko jednemu właściwy. Bakon sądził, że dość zagłębić się w poznanie natury, w jéj wnętrzu szukać przyczyn wszystkiego, co się w niéj dzieje, a tą drogą przyjść można do poznania Boga. Kartezyusz zagłębiał się w istotę ducha człowieczego, aby w nim znaleźć ideę, która mu pokaże oblicze Majestatu Boskiego. Obydwa założenia swojego nie usprawiedliwili skutkiem; wszakże mocna wiara, jaką mieli w Boga, nie dozwoliła zaciemnić jaśniejszego w nich światła—prawd Objawienia. Ale ci, co ich torem poszli, nie byli już tak ustrojeni puszczając się na rozdroża empiryzmu i idealizmu; zkąd pojęcie Boga i prawo Objawienia znikło zupełnie. Kant nie znajdując w badaniach czystego rozumu dowodów bytu Boga i Objawienia, odsyła te prawdy do dziedziny praktycznéj filozofii, a Boga umieszcza w oddali od świata bez żadnego nań wpływu. Przeciwnie postąpili następcy jego Szelling i Hegel, którzy tak zmieszali Boga ze światem i naturą, że zupełnie znikło pojęcie Boga. Podług Szellinga niémasz Stwórcy natury, gdyż w takim razie byłaby dwoistość istot, i Stwórca nie byłby w naturze samej, ale zewnątrz jéj. Bóg zaś jest absolutem czyli jednością ducha i natury w bezwzględnéj jedni, jest on pierwiastkiem, nasieniem, z którego wiecznie rodzą się i czynne są wszystkie rzeczy powszechność składające, jest oraz w ich rozmaitości i mnogości jednością, ich rozmaitości duszą.

Jeżeli w systemacie Szellinga utrzymywaną jeszcze jest różnica ducha i natury, u Hegla duch tylko sam jest wiecznie, duch będący przed swoim objawem czystém myśleniem, ideą absolutną—Bogiem, którego objawem jest natura. Duch powszechny czyli Bóg, na stopniu swego życia najwyższym objawia się w indywiduach ludzkich: ztąd każdy człowiek co do ciała i ducha swego jest Bogiem bezwzględnie, ale względnie tylko ten, który sam siebie pojmuje przez filozofią. Każdy przeto filozof jest Bogiem z duszą i ciałem, pod tym względem, że w nim Bóg myśli i działa, jako w swoim siebie samego objawie.

W następnych systematach Hegelianskiéj szkoły jeszcze dobitniéj wyraził się i szeroko rozprzestrzenił potwór nowego bałwo-

chwalstwa, zależący na pomieszaniu Boga z naturą, stwórcy ze stworzeniem, na ubóstwieniu człowieka, natury i jego dzieł. Bóg jest człowiekiem w stni; w istnieniu zaś staje się Bogiem—człowiekiem. Feuerbach dowiódł, że nie Bóg w człowieku myśli, jak utrzymywał Hegel, ale ten sam który myśli jest Bogiem. Człowiek tedy jest Bogiem, panem, władcą na ziemi, i niémasz nad niego wyższego; każdy więc sobie jest królem, prawodawcą i sędzią. Zatém cel życia człowieczego nie może być inny tylko rozkosz, cieszenie się bytem o sobie przeświadczonym, czującym życia swego słodycze i goniącym za tém wszystkiém, czém się życie jedynie uprzyjemnić może. Myśléć o życiu wiecznem jest głupstwem.

Do tak ostatecznych następstw doprowadzony kierunek panteistyczny, harmonizujący z odtrącającym wszelką niedoczesność sceptycyzmem i materyalizmem zeszłego i początku naszego wieku, musiał wywołać reakcyą objawiającą się we francuzkiéj umysłowo-praktycznéj, równie jak i w porządku społecznym, w konkordacie, ultramontanizmie restauracyjnym i obecnéj religijnéj polityce cesarstwa. Znakomitym płodem filozofii spirytualno-praktycznéj francuzkiéj jest dzieło p. Antoniego Blanc St. Bonnet: De l'unité spirituelle. Znajdujemy w tém dziele pierwiastki wszystkich ważniejszych systematów filozofii, zmodyfikowane główną zasadą wiary i Objawienia, oraz metodę od nich przyjętą. Badając człowieka, jego układ i żywotne pierwiastki, poznając istotę Boga i warunki bytu społecznego, Bonnet dochodzi tą drogą do prawdy wiary, zgodnéj z nauką chrześciańską, do dogmatu Objawienia. Tym sposobem uwieńcza się zadanie filozofii, a tém jest przeświadczyć się rozumem o prawdach ewangelii.

Inaczéj sobie postępuje p. Jakubowicz i w tém mniéj filozoficznie. Zakłada on z góry swoją zasadę jako pewnik nieomylny, i tylko ją w wywodach rozwija, w walce ze zdaniami przeciwników usprawiedliwia i ustala. Bez wątpienia wszelka prawda daną nam jest, ale szczytniéj jest i filozoficznego myślenia godniéj, aby mając przed sobą światło, dążyć do niego po wszystkich szczeblach wiedzy i bytu, wszędzie jego prawdę i istnienie poświadczając. Nie doszli do tego celu, zaprzeczający istnienie Boga, filozofowie panteistycznéj szkoły; a to dlatego, że z góry objawioną odrzucili prawdę. Przy zachowaniu jéj jednak w umyśle i sercu, metoda filozoficzna, ten ważny owoc długowiekowych prac filozofii, pożytecznie zastosowaną być może.

Brak takiéj metody, częste powtarzanie jednych i tychże samych wniosków i rzeczy, chociaż może to się dzieje dla tém dobitniejszego przeprowadzenia zasadniczéj myśli, stanowią wszakże wadę tego dzieła ze strony formalnéj. Styl czysty i jasny okazuje autora nieowładnionego rutyną ukutych we filozofii wyrazów, ale tłumaczącego się powszechnie przyjętą mową, acz często silną, jędrną i głębokim myślom autora wierną. Tu jednak zauważyć musimy kilka zwrotów germanizmem trącących, np. skoro *duch myśli konia*, zamiast myśli o koniu; każdy wniósł *na całość téj nauki*, zamiast o całości téj nauki, i t. p.

Teraz przytoczyć należy kilka ogólnych myśli autora, aby jaśniejsze o kierunku i duchu jego dać wyobrażenie:

„Objawienie Boskie odkrywa nam tajemnice, naszą mądrością nigdy niezgłębionych prawd, środków i celów, jakie Bóg w myśli swojej i woli miał o nas, kiedy nas stworzył; poznajemy zeń niepojętą wielkość majestatu, jego bez żadnych granic ku nam dobroć i miłość; poznajemy, że my sami nic nie możemy, nie umiemy i nie znamy, jedno tylko z Boga i przez Boga. Cel przeto objawienia wielki, iżbyśmy zostawali w jedności ze Stwórcą naszym. Prawdy objawienia są światłem naszém, bo przezeń wiemy kim jest Bóg, a czém my jesteśmy względem Boga. W objawionych prawdach oraz środkach i celu życia ludzkiego zawiera się religia i moralność. Religia największą jest łaską Bożą, gdyż bez żadnych zasług naszych daną nam jest. Nie może być wolności religijnéj, skoro nie jest jedna religia, ale może być wolność sądów i mniemań we względzie religii, która traci już swój charakter Boski idąc pod sąd i wyrok ludzki, z ustawy Boskiéj stając się ustawą ludzką i przestając już tedy być religią. Religia jako rzecz duchowa, tylko też dla życia duchowego przeznaczona, pod którego władzą zostawać muszą rzeczy cielesne „dla których najwyższe prawo jest mus, konieczność; dla duchowych zaś miłość woli i praw Bożych, oraz wolność czyli spełnienie woli i praw Bożych bez przymusu. Wolność tam jest gdzie miłość, a miłość tam, gdzie nie ma namiętności, która jest musem, niewolą. Wolności ducha naszego gruntem jest miłość Boga i bliźniego. Wolność nie może być bez miłości, a miłość bez wolności. Miłość bez wolności jest pożądliwością; wolność bez miłości koniecznością. Gdzie miłość ustępuje, wolność niknie i siła bierze jéj miejsce. Jednak rzeczpospolita istnieć tylko może w niebie między aniołami i świętemi, a nigdy na ziemi, chybaby wszyscy obywatele byli świętemi".

„Wszyscy ludzie stając się w Chrystusie synami Bożemi są między sobą równi; a że stanowią jednę rodzinę, któréj podstawą jest miłość ojca ku dzieciom, dzieci ku ojcu, braci i siostr ku sobie, więc są wolni. Jednak różność pracy prowadzi za sobą nierówność stanów. Im który stan więcéj potrzebuje sił fizycznych, a mniéj duchowego ukształcenia, tém na niższym stopniu zostaje; równie jak między uczonemi teolog na najwyższym stopniu ukształcenia staje. Bóg ustanowił władzę i dał z miłości ku nam ustawę: przeto władza i posłuszeństwo jéj są miłością. Skoro jéj nie masz we władzy, nie masz tam wolności, ale mus i siła".

„Jezus Chrystus, sam Bóg wcielony, ustanawiając na ziemi Królestwo Boże, jako złożony istotą z ducha i ciała, dwojaką władzę dla życia duchowego i materyalnego ustanowił: władzę Chrystusową duchową przedstawia kościół, a władzę Chrystusową królewską, przedstawia państwo. Władzy która od Boga pochodzi posłusznym być należy. Jeżeli zaś jest przeciwną woli Bożéj nie jest już władzą, ale siłą. Najstarszy z biskupów namaszcza monarchę, aby sprawował nie własną człowieczą, ale Boską władzę. Władza którą lud daje niczém jest, gdyż nie jest władzą, ale siłą".

„Duch człowieczy, jako stworzony, nie może sam bez pośrednictwa objawienia, wychowania i nauki poznawać i działać. Tchnienie Boskie i objawienie pierwotne nadało ruch i dzielność życia stworzonemu duchowi człowieczemu. Wychowanie i nauczanie, które duch tylko udzielać może duchowi, utrzymały bez przerwy i utrzymują prawdy objawione, rozwijając je bez końca i rozszerzając na wszystkie potrzeby i dobra życia osobistego i społecznego, wedle myśli, woli i zamiaru jakie Bóg miał w stworzeniu człowieka. Człowiek przeto nic zgoła tworzyć nie może, tylko stworzone dzieła naśladować, dany materyał przerabiać i przekształcać wedle potrzeb, pożytków, wygód, przyjemności i celów życia swojego. Nietylko człowiek, ale nawet aniołowie nie znają mocy twórczéj, bo są stworzeniem. Stwórczość wyłącznie w jednym tylko jest Bogu. Myśl Boża o stworzeniu jest razem materyałem dla niego; a że ta myśl jest bez przestrzeni i granic, przeto co raz pomyśli Bóg i chce aby się stało, to staje się na wszystkie czasy i miejsca, jakie myślą i wolą swoją zakreśla. Gdzie myśl, tam i wiedza; o czém Bóg wié, to tworzy. Od myślenia bez granic nieodłączna jest wola, czyli wolność czynienia bez granic. Co zaś zawarte jest w granicach przestrzeni i czasu, to nie ma samo z siebie i przez się swojego myślenia i swéj woli, ale musi je brać od tego, który przez się i z siebie myśli i działa. Człowiek ma dane własne myślenie, poznanie i własną wolę, i ma prawa od Boga przepisane dla swego myślenia, poznania i woli. Myślenie prowadzi do poznania praw; wola zaś poznane już prawa mądrości i dobroci pełne, bez musu, bez rozkazu wolnie wykonywa. Tém zaś, co bez musu do czynu skłania jest miłość, w któréj istotna i prawdziwa jest wolność".

„Bóg, że jest istotą dobroci, mądrości i piękności pełną, bez żadnych granic, warunków i porównań; przeto osoba piérwsza Boska zowie się Ojcem w znaczeniu tego świętego imienia najwyższém. Druga osoba, objawione myślenie o sobie Boskie, czyli słowo Boskie, Synem, w znaczeniu tego imienia najwznioślejszém (Filius a patre genitus). Trzecia osoba, objawiona wola w sobie Boska, którą jest doskonałość miłości ojca i syna zowie się Duch św.—miłość od ojca i syna pochodząca (Spiritus Sanctus, a patre filioque procedens)".

Następnie autor wykłada Modlitwę Pańską i dowodzi, jako nadprzyrodzona wiara, nadzieja i miłość stanowią najwyższy stopień poznania człowieka, oraz doskonałość moralnego i umysłowego życia jego. Przechodząc do poznania władz człowieka, autor wykazuje, że duch ludzki czynności swojéj od zmysłów zgoła nie bierze, ale że w objawieniu jest źródło jego czynności, wchodzącéj z przeznaczenia swojego nie w poznanie Boga samego, ale jego dzieła, nie Stwórcy, ale stworzenia. Duch człowieczy niejako swojemi zdolnościami wchodzi w poznanie rzeczy świata cielesnego, mogąc być czynnym bez pośrednictwa zmysłów; czynności badań swoich mieć przedmiotem rzeczy niecielesne i niezmysłowe.

Tu władze ducha co do funkcyi swoich nie są jasno i gruntownie skreślone i wyróżnione. Imaginacya, podług autora, odrywa się od

zmysłowości, przedstawia formy doskonalsze od zmysłowych: fantazya kształtuje zewnętrzne życie natury, sięga w przyszłość. Rozum raz postrzega podobieństwo rzeczy i różnice ich, i porównywa je; drugi raz odrywa się od zmysłowości i staje u źródeł wszelkiego bytu. Umysł raz wiąże w systemata, zdania i wnioski, jednocząc przeszłość i obecność z przyszłością; drugi raz poznaje istotę i wzory pierwotne wszystkich rzeczy i ich cel.

Widocznie więc nie są dokładnie odgraniczone funkcye i przedmioty władz, i to co do jednéj należy przypisuje się drugiéj, i odwrotnie. Co właściwie prace umysłu stanowi pociąga się do rozumu, i przeciwnie. Jednak gdy człowiek niejako z dwóch światów złożony, przeto i każda z władz jego właściwą swoją sferę w jednym lub drugim z tych światów miéć powinna. Nakoniec prace filozofii i psychologii na tym gruncie tak stanowcze wydały już rezultata, że nie należałoby je opuszczać.

Pojęcie władzy znajdujemy u autora wyższém, aniżeli u filozofów panteistycznéj szkoły. A. Humboldt w swojém Kosmos powiada, że konieczność włada siłami umysłowemi i materyalnemi. W takim razie ponieważ siły umysłowe i materyalne jedno znaczą, gdyż zarówno konieczności podlegają, a téj jest prawem, że słabsza ustąpić mocniejszéj musi: niémasz tedy różnicy między mocniejszą siłą a władzą. Wszakże zdanie autora o nierówności stanów i ich względnéj wyższości, usprawiedliwioném być nie może. Podług stopnia bowiem wyższego ukształcenia, mogą być oceniane tylko indywidua; stany zaś wszystkie w idei swojéj zarówno są ukształcone, będąc zarówno do organizmu społecznego potrzebnemi i zawierając w sobie wszystkie warunki harmonijnego rozwoju społeczeństwa, któryto właśnie stanowi ideę cywilizacyi czyli uspołecznienia. Ukształcenie zresztą jest rzeczą indywidualną, jednak w każdym stanie potrzebną. Rolnik może być tak światłym jak i teolog uczonym, a osoby wyższego stanu tak światła, jak i nauki pozbawionemi.

Wykładając przymioty Boga autor miesza pojęcia stwórczości i twórczości. Stwórczość wprawdzie właściwa Bogu jednemu, który z niczego, mocą własnéj woli i z własnéj myśli świat stworzył. Człowiek jednak acz na danym materyale i za pomocą nabytéj wiedzy, urzeczywistnia myśl własną, wciela własną ideę i tworzy dzieła sztuki i piękna. Nie są to stworzenia, ale twory, utwory, arcydzieła człowieka, które nie zależą na prostém naśladowaniu natury: świeci z nich bowiem myśl wyższa w źródłach natchnienia czerpana, spajająca kształty, zlewająca barwy, jednocząca postacie w całokształt pełen piękna, prawdy i wzniosłości. Bóg gdy myśli i poznaje, myślą nieskończoną, poznaniem bez granic, już tém samém światy stwarza na gruncie bezwarunkowego bytu i w sferach wieczności. Człowiek tworzy dzieła sztuki, przyoblekając ideę swojego ducha w kształty skończonego, ograniczonego i czasowego bytu, prześwietlającego jednak ideał dobra, prawdy i piękna, umieszczony ręką Boga w głębiach jego ducha.

Również przyjąć bezwarunkowie nie możemy myśli autora, jakoby wszystkie źródła poznania człowieka w Objawieniu zawarte były. W takim bowiem razie niedostateczném i ułomném byłoby dzieło stworzenia człowieka, jako istoty w cząstce swojéj i z ducha złożonéj. Objawienie Boskie nie jestże to dar łaski i odkupienia z grzechu pierworodnego, przyobiecany w miłości najwyższéj, dokonany w mądrości słowa, aby podźwignąć rodzaj ludzki z przepaści grzechu. Jednak Bóg stwarzając człowieka złożył w jego duchu promień swojéj istoty, przejawiający się w ideach rozłogi, nieskończoności, wieczności, absolutu, sprawiedliwości i t. p. które razem składają się na pojęcie o Bogu, które są pewne, wierne, nieskończone, dlatego boskie. „Les veritès éternelles—mówi Bossuette—son tquelque chose de Dieu ou plutòt Dieu même." „Bóg, mówi de Maistre, przemawia do nas za pomocą idei o sobie samym, którą w nas umieścił, a która byłaby niemożebną, gdyby od niego nie pochodziła. Przez nią mówi on do nas wszystkich: *To ja jestem.*"

Nakoniec wydaje się nam, iż niedość, o ile można było, rozwinął autor pojęcie Trójcy Świętéj, a to z powodu zaniedbania metody, polegającéj na dążeniu do prawdy objawionéj za pomocą badania myśli Bożéj, o ile się ta w stworzeniu przejawia. Człowiek złożony z woli, rozumu i serca; tak i w Bogu przyczynowość składa promień wszechmocności, ojca umysłowość, mądrość Syna, serce promień miłości Ducha św. Jako Ojciec i Syn w Duchu Świętym, tak rozum i wiedza w sercu człowieka się łączą. Z serca jakby z ogniska życia, pochodzi inerwacya duchowa, ożywiająca cały organizm, za pomocą miłości. Słusznie więc mówią, że wszystkie wielkie myśli z serca pochodzą. Z umysłu wypływa światło, oświecające człowieka wiedzą o absolutném dobrém; z serca uczucie miłości, pragnące posiadać to dobro; z woli żądza, z którą doń dąży człowiek, a z żądzy wynika czyn wznoszący się do bezwarunkowego dobra, wysługującego człowiekowi życie wieczne.

Zakończymy wyznaniem chlubném, iż piśmiennictwo nasze szczyci się posiadaniem pisma, poczętém w tak szczerym, prawym i wzniosłym duchu, a wykonaném z taką sumiennością, głęboką myślą i rozległą nauką. Tuszymy sobie oraz, iż poda przykład do wielu podobnych i równie pożytecznych prac na témże polu, daj Boże! z takąż nauką i w takimże duchu dokonanych.

W Lemieszówce w gub. Podol,
d. 27 czerwca 1853 r.

Leopold Jakubowski.

Konfederacya Gołąbska. Obraz historyczny skreślony za czasów Stanisława Augusta przez niewiadomego pisarza. W Poznaniu. Nakładem W. Kamieńskiego i Spółki. 1853 *r.* 8*ka. Str. VIII i* 258.

Szczęśliwy przypadek daje nam poznać ważną pracę historyczną nieznanego autora, która skazaną już była na zagładę (1). Znany jest, przynajmniéj z ogólnych rysów, ciekawy ustęp dziejowy *Konfederacyi Gołąbskiéj;* ustęp jeden z najcudniéj malujących charakter narodowy, gdy stan rycerski oburzony przeniewierstwem dygnitarzy, stanął tak dzielnie w obronie majestatu nieszczęśliwego króla Michała I.

Dzieło przecież powyższe nie samej téj konfederacyi poświęcone; jestto albowiem całość, obejmująca w zupełności całe panowanie Michała, począwszy od bezkrólewia po Janie Kazimiérzu, obioru Korybuta, aż do jego zgonu. Jest teraz tém ważniejszém ogniwem w łańcuchu prac dziejowych, poświęconych opisom szczegółowych panowań królów polskich, gdyż począwszy od Zygmunta Augusta aż do czasów Stanisława Augusta, brakowało tylko opisu panowania Michała Korybuta.

Nieznajomy nam autor, przykrojonym stylem na wzór łaciny i zwróconém tylko okiem na stan polityczny narodu, tą wyłącznością badań swoich a stylem, wymownie się pokazuje uczniem Naruszewicza szkoły. Źródła które wskazuje w swéj pracy są: *Epistolae* Załuskiego, *Historia Arcana* Zawadzkiego, *Volumina Legum*, pisma ulotne i broszury z czasów króla Michała (ale w tym nie był oględny, aby dał dokładny ich opis) i rękopisma z biblioteki Stanisława Augusta.

Nie pójdziemy ślad w ślad za naszym autorem w opowieści jego historycznéj, ale podamy tu całość obrazu, jak się nam przedstawia po uważném przeczytaniu całego dzieła.

Słusznie Michała Korybuta nazwano męczennikiem majestatu. Syn jednego z pierwszych bohaterów, który w powstaniu Chmielnickiego ogromny majątek utraciwszy, nic jedynemu synowi, krom poczciwego imienia, ubogiego rzędu na konia a szabli nie zostawił, nie poznany za życia, intrygami dworskiemi poniżany, gdy nad tak walecznego wojownika przenieść umiano trzech tchórzów: *łacinę, dziecinę i pierzynę*, których imion niecnych nie powtarzamy, bo się wieczyście wypiętnowały klęską pod *Pilawcami:* obrany szczególném zrządzeniem

(1) W przedmowie czytamy: „Niniejsze pismo skazane już na zagładę nieuniknioną, gdyby przypadkiem nie było wpadło w ręce, co je ocaliły. Kupiec poznański p. *Józef Leitgeber* nabył razem wiele akt i starych papierów na zawijanie rzeczy zwykle sprzedawanych po handlach korzennych: dopatrzywszy arkuszy z dziejów ojczystych, zajął się ich złożeniem i postrzegł, że posiada dwa zupełne rękopisma o konfederacyi gołąbskiéj, z których jeden tą samą ręką co drugi kreślony, o tyle zdawał się ważniejszym, że miał dodane przypiski charakterem mniéj więcéj o 50 lat wcześniéj formowanym. Małe uszkodzenia jednego i drugiego dały się nawzajem tak uzupełnić, że może tylko trzech lub czterech wyrazów brakowało." Zacny ten kupiec darował księgarni powyższéj oba rękopisma w celu ogłoszenia ich drukiem.

a cudem Bożym, i przyzwany na tron, po nimo intryg prymasa Prażmowskiego i hetmana Jana Sobieskiego.

Piérwszy okrzyk radosny szlachty, co wyniosła Piasta, był już zapowiedzią cierniowéj korony dla młodego króla. Intryganci, mający tak potężnych dygnitarzy na czele, pod błyskiem szabel szlachty zebranéj pod *Wolą*, umilkli do czasu; ale wnet zuchwale głowy podnieśli, i w imię uczciwych myśli, pomyślności RP. kraj wichrzyli i zdradzali. Prażmowski stoje tu narysowany tak silnie, że postać jego budzi mimowolnie klątwę w ustach czytelnika. Sobieskiego wizerunek mało co lepiéj wygląda; zawszeć lepiéj, bo go laur zwycięzcy przed klątwą osłania. Widać jak wielką ma miłość w wojsku; ale jakżeż obronić tego hetmana, widząc jak żołdactwo rozzuchwala, puszcza pijane zbrojne towarzystwa do głuszenia obrad sejmowych i najgrawania się z zacnych, pragnących dobra obywateli, a przeciwników tylko pokątnych intryg jego i knowań Prażmowskiego. Nie zamarzył on wtenczas jeszcze o koronie, ale chciał być wykonawcą planu zmarłéj Maryi Ludwiki, aby księcia francuzkiego na tron polski wynieść. Obiór króla Michała sparaliżował te zamysły, nie ostudził wszakże gorliwości hetmana i prymasa. Prażmowski usnuł nowy plan: zrzucenie z tronu *Korybuta*, rozwiedzenie z Eleonorą Austryaczką, i poślubienie jéj książęciu francuzkiemu.

Eleonora pokazała skłonność do rozdziału z mężem, wątłych sił i zdrowia; ale brat jéj cesarz, przyjmując projekta prymasa, oporem w wyniesieniu Francuza postawił im nieprzełamane zapory.

Zuchwałość knowaczy, przeciwników króla Michała, z całego ciągu opowieści okazuje się jak wygórowała, gdy przestąpiwszy wszelkie granice umiarkowania, do zniewagi doszła. Stronnictwo to zrywało sejmy, choć w ich powodach tylko brudna przeglądała prywata: poczciwi, dobrze życzący, ze łzą w oku opuszczali zamek warszawski, gdzie myśleli zdrową radą nieść pomoc RP. zagrożonéj ostatnią zagubą. Już się odzywały głosy o zniesieniu zgubnego *liberum veto*, ale uszanowanie starego zwyczaju, zmuszało głębiéj patrzących do milczenia, bo ulubioném wówczas przysłowiem, świętością namaszczoném było u szlachty, że *świeże potrawy a stare ustawy* są najlepsze.

Nieszczęśliwy król Michał anielską dobrocią, usilném staraniem nic podołać nie mógł, oczerniany przez knowaczy, i podawany w ochydę ciągłą.

Wybucha wojna z Turcyą, Kamieniec się poddaje, podpisany haniebny traktat Buczacki, przyznany sułtanowi haracz: to wszystko dzieje się za buławy Sobieskiego, zajętego tylko z Prażmowskim detronizacyą Korybuta.

Wyczerpali w ostatku cierpliwość stanu rycerskiego, i oto rozwija się jeden z najpiękniejszych dramatów dziejowych: pod laską Stefana Czarnieckiego pisarza polnego koronnego, szlachta zawiązuje braterską konfederacyą, przysięgą wzajemną połączona, bronienia chwały bożéj; dostojeństwa króla, praw, swobód i pomyślności RP. Tych przekupni, co rwali sejmy, co na sejmiki żołdactwo wprowadzali, pod sąd oddano; prymasa znanego z knucia zamachów przeciw RP. jeszcze z czasów

Jana Kazimierza, głównego powoda do wojny domowéj, a teraz knowacza spisków przeciw królowi Michałowi, osadzenia pod pilną strażą w klasztorze, aż do wyroku Ojca Św. a wszystkie dobra jego mają być w sekwestr wzięte: braciom jego, wojewodzie płockiemu, i drugiemu chorążemu nadwornemu dostojeństwa odebrane, a dobra dziedziczne zabrane na potrzeby RP., jako przekonanych o zdradę. W każdém województwie mają być wskazani popleczniey prymasa i Sobieskiego, aby pod sąd wydanemi byli; wojsku wysłano rozkaz przystąpienia do konfederacyi, a nieposłusznych za nieprzyjacioł ogłosić jako buntowników, każdego z nich gdy banita nawet zabije, ma wolny powrót do kraju. Wraz aby siłę potrzebną mieć na obronę RP. króla, i poszanowanie praw, pospolite ruszenie w dobrze nakrytéj zbroi odtąd i z kopią ma stawać.

Poszanowano w tym akcie uroczystym, który piérwsi hetmani litewscy podpisali, Jana Sobieskiego, lubo go dotknęli wyraźnie rozkazem do wojska, i Kąckiego generała artyleryi do sprawy przed sądem powołali. Król Michał akt podpisał. Zadrżał w Łowiczu przesiadując Prażmowski, i jedynéj pomocy od Sobieskiego wyglądał, który przerażony także, mimo całéj popularności swego imienia przejrzał, że zadaleko obaj zaszli. Radził więc prymasowi uległość, który widząc, że wydany wyrok pod Gołębiem nikt nie zabiera się wykonywać, swobodniéj odetchnąwszy, do knowań dawnych powrócił. Jan Sobieski poczuwał przecież hańbę Buczackiego traktatu, i nieoględność swoję w utworzonym wojskowym związku w Szczebrzeszynie, na unieważnienie konfederacyi gołąbskiéj: tém bardziéj, że szlachta silnie stała w obronie tronu, a i Litwę z wojskiem miała po sobie. Przysłał więc plan do rozpoczęcia walki z Turcyą, i zdeptania *Buczackiego* traktatu. W nim rozwinął całą znajomość nietylko biegłego wojownika, ale i myśliciela pojmującego głębiéj wszelkie w zadaniu tém warunki.

Nieszczęśliwy król Michał, wszystko czém może rozrządzić oddaje na potrzeby RP. Sobieski wyrusza, łączą się hufce nadworne, król słabością znękany, wycieńczonych sił, moralnie troską o niepewny los RP. zgnębiony, do Lwowa przybywa. Sułtan ogromne wojska wysyła do Polski: *Hussejn* basza z silną przednią strażą rozbija obóz warowny pod Chocimem: król do obozu polskiego pod Gliniany przybywa, ciężką już chorobą złożony. Ochotne rycerstwo w dobrze okrytych chorągwiach rozwinęło się w szyku bojowym do trzech ćwierci mili, mając na czele porządną artyleryą sprawowaną od Marcina Kąckiego generała artyleryi. „Szczupłość wojska nagradzały wybór ludzi, piękność koni, ochędożność, przystojna ochota do boju, sprawność prostego żołnierza, a męztwo z twarzy wydające się wojskowéj starszyny" (str. 248.)

Widok ten rozradował serce zacnego króla: uczuł on ulgę w bolach ciągłych, i piérwszy raz oblicze nieszczęśliwego Korybuta promień radości i uśmiechu rozjaśnił. Ale była to chwila jedna tylko! Okropne kłócie w całém ciele, i ciągły nieznośny ból głowy, zmusiły go opuścić sztandary, którym chciał przewodzić, i powrócić do Lwowa.

Jan Sobieski dochodził właśnie do Chocima, gdy król Michał już dogorywał na łożu boleści. Było dzień św. Marcina, 11 listopada

1673 roku: równo ze dniem rozpoczęła się krwawa i morderczą walka. Sobieski pieszo prowadzi pod obronne wały piechotę, Kąckiego działa zagrały poranny Turkom *hejnał!* Już w dniu tym nie żył nieszczęśliwy król Michał: w wigilą świetnego zwycięztwa, boleściami złamany skonał o 6ej godzinie z porania, 10 listopada, w 35 roku życia, a 5go panowania. Zanim wieść do obozu Sobieskiego o śmierci króla nadeszła, policzonego trupa tureckiego 8000 przeszło zaległo pola chocimskie, cały obóz z ogromnemi bogactwami był łupem zwycięzcy, wraz ze 120 działami, i gromadami niewolników.

Rycerstwo, na znajomą nutę staréj pieśni o księciu Koreckim, już śpiewało nową pieśń o szczęśliwém zwycięztwie, przez jednego z walecznych towarzyszów złożoną, (2) która zaraz ogłoszona drukiem, wielkość i sławę Sobieskiego szeroko po RP. rozniosła, i była jakby piérwszym hasłem powołania na tron tego wojownika. Przygłuszyła ona nieświetną przeszłość hetmańską, udział w knowaniach prymasa, w prześladowaniu zmarłego króla. Naród wojowniczy miał tylko w pogotowiu cześć i okrzyk radosny dla zwycięzcy nieprzyjaciół krzyża. O wszystkiém zapomniał, na wszystko co przeszło rzucił oponę zapomnienia.

We dwa lata i we dwa miesiące od zgonu Michała Korybuta, dnia 30 stycznia 1676 roku wielki był ruch w Krakowie: osobliwe czyniono przygotowania. Jan Sobieski jako król nowo obrany miał wjazd do stolicy wielkiego państwa odprawić. Od samego świtu lud wyległ na drogę wiodącą z pałacu biskupa krakowskiego, zalał tłumami ulice, wawelską górę, i wyglądał tęsknem okiem na przybycie króla-bohatera. Grom dział, huk tylu dzwonów starego grodu, wśród których wydatniał i przodował odgłos Zygmuntowskiego dzwonu, okrzyki nieprzeliczonego ludu i rycerstwa, towarzyszyły za każdym krokiem ulubieńcowi narodu, zwycięzcy Turków pod Chocimem, który buławę hetmańską na berło króla zamienił.

Znaném jest więcéj jak inne panowanie Jana III; znalazł i on niechętnych: na stopniach tronu nie miał pokoju. Znękany jak król Michał, chciał za wzorem Jana Kazimierza złożyć koronę, co mu równie jak Korybutowi zamieniła się w cierniowy wieniec. Sława wojenna zwycięzcy chorągwi Mahometa, przytłumiała długo słowa prawdy historyi: sąd jéj już wydał wyrok ostateczny o Janie Sobieskim, co rozgłosem swego imienia szeroce dał się poznać całéj Europie; ależ ten sąd poważny, nie potępi i zacnego Michała Korybuta, którego całą winą było, że dziwném zrządzeniem losu, z progów drewnianego dworu, wybrany tylko od szlachty, wstąpił na stopnie tronu i koronę przyjął.

K. Wł. Wójcicki.

(1) Napis téj pieśni taki: „Pieśń o szczęśliwym zwycięztwie z Turków w dzień świętego Marcina, pod Chocimem, Roku Pańskiego 1673 otrzymanym. Nóta, jako o księżęciu Koreckim." Cała pieśń z dwóch kart w 4ce, drukowana łacińskiemi literami, wyjąwszy w tytule dwóch wierszy kursywą drukowanych. Sobieskiego nazywa *Sobieyski'm*; treść jéj stanowią szczegóły ciekawe bitwy, i wymienienie wszystkich, który się w niéj chlubnie odznaczyli.

ROZMAITOŚCI.

Wiadomość numizmatyczna o mennicy w Lublinie.

Częstokroć się zdarza, że wertując po książkach natrafi się przypadkowo na jakowyś szczegół, na fakt ciekawy, o którymby ani przyjść mogło na myśl, że w dziele mającem taki a taki tytuł, może się mieścić. Świeżo podobnego rodzaju spotkała mnie niespodzianka, gdy przeglądając pod względem językowym dawne broszury w bibliotece głównej Okr. Nauk. Warsz., wyczytałem w dwóch niewielkiéj objętości pismach, *in* 4o, wzmiankę, o istniejącéj niegdyś mennicy w Lublinie. Jestto zupełna nowość w numizmatyce naszéj, którą lubownikom téj nauki zwiastować pospieszam, w tém przeświadczeniu, że stawione dowody trafią do ich przekonania, i że oznaczone głoską *L* monety, któreśmy uważali za pochodzące z mennicy lwowskiéj, poczytywać odtąd będziemy za monety w Lublinie bite.

Nim przystąpię do udowodnienia mojego wniosku, wypada przytoczyć treściwie, co wiemy o mennicy lwowskiéj. Ignacy Zagórski w *Monetach dawnéj Polski* przywodzi na str. 136 ordynacyą menniczną z dnia 20 lipca 1599 r., która poleca Kasprowi Rytkier objeżdżać wszystkie mennice, i probować dobroć metalu; mennicom zaś nakazuje: „literę piérwszą tego miasta, gdzie się minczuje, na swej mienici kłaść". W całéj téj ordynacyi, lubo nie są wymienione miejsca menniczne, ale tylko ogolnie o nich wyrzeczono, utrzymuje jednak nasz autor na str. 138 w przypisku: że głoska *L* na trojakach Zygmunta III jest znakiem mennicy lwowskiéj; tegoż samego jest zdania na str. 26 i 32, lecz twierdzeniu swego niczém nie udowadnia.

Znane nam są niezaprzeczenie następujące monety lwowskie:

1. Kwartniki Kazimierza W. ze lwem i napisem: *Moneta Russie*, i tegoż monarchy denary miedziane.
2. Kwartniki króla Ludwika i Władysława ks. Opolskiego, do powyższych podobne.

3. Półgroszki Władysława Jagiełły z napisem *Moneta Lemburg.*
4. Półgroszki Władysława Warneńczyka z napisem *Moneta Russie.*

Od tego czasu żadnéj nie ma pewności o mennicy lwowskiéj, aż dopiéro pojawia się ona 1656 r. (Ob. Zagórski str. 56).

Że zaś trojaki Zygmunta III oznaczone głoską *L* nie pochodzą z mennicy lwowskiéj, ale rodzinném ich gniazdem jest Lublin, powziąłem ślad najoczywistszy z broszury noszącéj tytuł: *Detectio accesy skarbu króla Jego Mości i Rptej, o czym radzić in publico, rycerstwu koronnemu do uważania podana, przez ślachcica polskiego domu Junosza.* Wielkiéj rzadkości to pismo utajonego autora, nie ma wyrażonego miejsca druku, ani roku. Uczony nasz bibliograf Jan Chyliczkowski, dopisał na stronnicy tytułowéj: „Autorem tego dzieła Wojciech Gostkowski. *Vide: Verzeichniss Anonymorum von Andreas Schott. T.* 1, *pag.* 284, *in manuscripto*". Co do roku zaś wydania, z napomykanych w tém dziełku różnych okoliczności, mniemałbym, że pojawiło się mniéj więcéj około 1603 r. zwłaszcza że autor dwukrotnie powołuje się do pana podkomorzego krakow. Cikowskiego i do jego pisma o cłach (1). Owoż w owém *Detectio* czytam na str. L 2 pod nadpisem: „*Menica, ta potrzebna w Koronie.* Za zniesieniem menic, wiele się złego nagarnęło do Korony: pieniądze do Turek, Węgier, Niemiec wywieziono, a talery i czerwonezłote weszły w cenę wysoką. Fałszywych menic siła się nasiało w Polsce, w Niemczech pod stępłem koronnym. Dobrze tedy, żeby znowu pieniądze bito w menicach, a na nich dożywocia nikomu żeby nie dawano, a P. Podskarbi koronny, żeby podług prawa niemi zawiadował, które żeby na swych miejscach były: w Poznaniu, w Bydgoszczy, we Schowej, w Lublinie, w Olkuszu, w Krakowie, etc. Należy *bando* (obwieszczenie) uczynić, ktoby nieważne czerwonezłote śmiał udawać, aby je tracił *ad fiscum, sub paena peculatus*, a fiszkał aby był w kożdym mieście głównem: w Krakowie, w Poznaniu, Lublinie, Toruniu, etc.". Nie masz tu jak widzimy mowy o Lwowie, który, jako jedno z najcelniejszych miast koronnych, nie byłoby pominięte, gdyby tam wybijano około tego czasu pieniądze, ale natomiast występuje nieznana nam mennica w Lublinie. Powtórną o niéj napotykam wzmiankę w broszurze: *Traktat rycerstwu koronnemu, z któréj przyczyny się tak fałszywej menice namnożyło, i czemu towary wszelakie co dzień w większą drogość przychodzą, na uważenie i przestrogę przez szlachcica polskiego de armis Róża wydany. R. P.* 1611. Na piérwszéj zaraz ćwiartce zawiadamia nas autor herbu Róża: „o gęstych menicach, które

(1) W sprawach celnych odpis JMP. Cikowskiego z Wojsławic, podkomorzego generalnego województwa krakows., czorstyńskiego, babimostckiego starosty, administratora ceł koronnych. Z strony fortelów kupieckich, szkodliwych skarbowi K. J. M. i Koronie. W Krakowie, w druk. Łazarzowej roku Pańskiego 1602.

były w Lublinie, Urzędowie, Bydgoszczy, Poznaniu, Wschowie i indziej do których się żydowie przymieszawali, zakładając niedostatecznie menicarze, a pożytki wielkie biorąc" (1).

Po takich dwóch wiarogodnych świadectwach ludzi spółcześnie żyjących, powątpiewać nie można, że monety dotąd miane za lwowskie, nie są niemi, ale pochodzą z pod stępla mennicy lubelskiéj, a głoska *L* jest znamieniem utwierdzającém jej pochodzenie.

Już przed kilką laty zapytywali się nas uczeni numizmatycy lwowscy, zkąd na to mamy dowód i pewność historyczną, że trojaki Zygmunta III z głoską *L* są mennicy lwowskiéj, gdż oni nic o tém w dawnych archiwach miasta, ani Czerwonéj Rusi wyśledzić nie zdołali. Toż samo ponowili pytanie podczas mojego w roku zeszłym pobytu we Lwowie, słusznie obstając przy swojém: dlaczego wydawca *Monet dawnéj Polski* nie przytoczył źródła zkąd powziął tę wiadomość? Teraz dopiéro możemy odpowiedzieć: że Zagórski uwiedziony tém, iż mennica czynną była we Lwowie w XIV i XV wieku; dalej, że znowu otwartą została 1656 roku, przypuścił: że istnieć mogła i za Zygmunta III, w czém utwierdziła go niejako początkowa głoska *L*. I nie dziw że uległ temu mniemaniu, sprawdzając owo odwieczne axyoma: *errare humanum est*, nie wiedział bowiem, jak i my wszyscy o mennicy w Lublinie. Szczęśliwe zdarzenie dozwoliło mi wykryć istotę rzeczy i wyjaśnić tę kwestya numizmatyczną, przez co nowy przybył szczegół do monografii Lublina, tyle głośnego w dziejach krajowych grodu (2).

Wypada mi nakoniec wymienić, jakie znamy monety i z których lat, oznaczone głoską *L*. Oto ich poczet:

1. Trojaki z lat 1598 i 99.
2. Trojak z r. 1600, mający *L* na końcu dwurzędowego napisu.
3. Trojak z r. 1601, gdzie rok umieszczony u góry nad herbami, u dołu zaś obok głosek J—F stoi *L*. Rzadki ten exemplarz pod względem odmiennego typu, mieści się w zbiorze K. Beyera.
4. Dwa jednostronne różnego stępla denarki, przedstawiające w tarczach orła i pogoń, u wierzchu za; *L*.

Denarki te lubo bez roku, noszą wszakże zupełnie cechę monet z czasów Zygmunta III. Nieznane te dotąd unikaty znajdujące się w zbiorze Edwarda Tysa, wyrysowane są na Tab. V Nro 207a i 207b. w przygotowującym się do druku szczegółowym spisie monet krajowych, który zarazem będzie obejmował i ryciny takich monet, jakie po wyjściu dzieła Zagorskiego wykry-

(1) Również i o mennicy w Urzędowie, mil 6 od Lublina odległego, nic nie wiedzieliśmy; musiała ona bardzo krótki czas być czynną, żadnego zaś rodzaju monet głoską *U* oznaczonych, dotychczas nie wykryto.

(2) Być może, że w archiwum akt dawnych Lublina, ukrywa się jakie rozporządzenie dotyczące się mennicy tamecznéj, jakie polecenie lub odezwa podskarbiego W. K., wzmianka o mincarzu w jakowéj sprawie, stawanie jego za świadka, i t. p.

te zostały, a jest ich znaczna liczba. Dzieła tego, przez dwóch biegłych archeologów: Karola Beyera i Jerzego Gaugera wydać się mającego, oczekujemy z rzetelném upragnieniem; rzuci ono nowe światło na stan mincarstwa i zbogaci szczupłe, gdyż początkujące dopiéro pismiennictwo nasze numizmatyczne.

Warszawa, 1 listopada 1853 r. *Tymoteusz Lipiński.*

Wiadomość o rękopismie biblioteki Romanowskiéj.

(W gubernii wołyńskiéj, powiecie zwiahelskim).

Mając sobie łaskawie udzielony rękopism przez hr. Ilińskiego, obowiązkiem moim poczytuję zdać z niego sprawę publiczności, i przynajmniéj wiadomość o nim rozpowszechnić, treść zawartych w nim aktów historycznych wyliczyć: ażali nie znajdą się środki, nie obudzi się zajęcie żeby go drukiem ogłosić, jak tego wart z wielu względów.

„Zbierajmy materyały, znajdzie się historyk:“ tak ciągle powtarzamy od Kołłątaja, i bez wątpienia nie masz pewniejszéj drogi do rozświecenia zamierzchłéj i zacierającéj się przeszłości. Kto wié, czy wydane same materyały z których historycy nasi dzieła swoje czerpali, nie większéj byłyby zasługi jak to, co z pióra ich wyszło. Mogę się mylić, ale nie myślę uwłaczać ani pamięci, ani pracom Naruszewicza i Czackiego, tych wielkiego świata naszego historycznego luminarzy, że pominę innych skwapliwych a mniéj zdolnych ich naśladowników, wskazując; że historya krajowa daleko pewniejszeby kroki stawiła, wiadomość przeszłości byłaby rzetelniejszą, gdyby pisarze nasi historyczni zamiast dzieł swoich, ograniczyli się byli wydaniem materyałów z których je czerpali. Wieleto już z tych materyałów przepadło i tylko wzmianka o nich została! Wieleto z nich przypadkiem późniéj ogłoszonych żałować każe tych, których czytać nie możemy! Czy naprzykład Progres wojny moskiewskiéj przez hetmana Żółkiewskiego nie powinien był uprzedzić Dziejów Zygmunta IIIgo? Bo też wydanie materyałów historycznych nie jest tak lekką rzeczą, jakby sądzić można z tego, co się dotąd w kraju pokazało. Powiedzmy prawdę: od piérwszego Dogiela aż do czasów dzisiejszych, wszyscy nasi wydawcy z temi skarbami obchodzą się dorywczo, bez winnego im uszanowania, a często z takiém zaniedbaniem, że pośpiechem i niedokładnością odbierają dokumentom ogłoszonym wiarę i pracę swoję poniżają. Przykład wydawcy: „Zabytków prawodawstwa statutów wiślickich“ Bandtkiego, poprawił znacznie w rzeczy pomników przeddrukowych, ale to wszystko co z wieku XVIgo aż do blizkich nam czasów teraz się ogłasza, pewne swojéj zasługi, każe sobie wierzyć na słowo. Prawda, zasługa wielka, ja jéj cześć oddaję, zwłaszcza patrząc na tyle zagęszczonych

przykładów posiadaczy drogich bardzo pomników, co ze skarbami swemi tają się, jak namiętni skąpcy zakopują złoto w ziemię: niebaczni świętokradzcy, wolą żeby czas pożarł tę własność publiczną, którą przypadek oddał im w posiadanie! Bynajmniéj też nie myślę ubliżać ani „Zbiorowi pomników historycznych“ choć tak niehistorycznie dokonanemu, ani staraniom nieocenionym Raczyńskiego, że o innych nie wspomnę z obawy, iżbym nie ubliżył zasłudze i gorliwości tego zaszczepiciela i rozkrzewiciela smaku do historyi krajowéj, który o czém wielu i przed nim i po nim mówiło, on sam pierwszy wykonał. Gdyby jednakże i on i następcy jego z większą dokładnością dopełnili wydań pomników ogłoszonych: prace te dla historyi byłyby daleko większéj ważności. Do wydania dokumentów historycznych z jakiéjkolwiek epoki trzeba obszernych wiadomości i ścisłości, że tak rzekę anatomicznéj, żeby nietylko dokument przekopijować, ale wydać go z opisaniem takiém, któreby i wartość jego oznaczyło i dokumentalność historyczną zapewniło. Trzeba do tego, że o innych pominę, nauki i talentu Mikołaja Malinowskiego.

Rękopism o którym mowa jestto gruby foliant bez tytułu, składający się ze stronnic liczbowanych 642 i 56 nieliczbowanych, a dokumenta w nim historyczne jak po sobie następują, z kolei wypisuję:

„Kopia przywileju Zygmunta Augusta dla miasta Malborga;“ po łacinie, d. 24 kwietnia 1569 r. z Lublina. Zapewnienie wyznawania religii według Augustyańskiego zeznania. Str. 1—2.

„Kopia uniwersału Zygmunta III, po polsku, w obozie pod Malborgiem. O liczbie i koszcie wojska przez cesarza na posiłek jemu przysłanego“, od str. 3—5; 11 października 1629 r.

Tytuł: *Deliberatoriae przed sejmem Anni* 1630.

„Kopia uniwersału Zygmunta III do senatorów, żądającego zdania o potrzebach kraju i o złożeniu sejmu;“ po polsku, str. 7—8. r 1630.

Censura na progres rokoszu anni 1606 *et sequenti anno, i defecti jego scripta anno* 1607, 10 *Januarii*; str. 9—10.

Pismo polityczne, wyświecające w ogóle powody i dążenie tego poruszenia, wydane zdaje się z owejże partyi dla ukojenia wzburzonych umysłów; po polsku.

Pro Basilio Majestatis raeo; po łacinie, str. 19—25.

Kopia mowy do Zygmunta Augusta za Wasilem Ostrogskim w sprawie porwanéj przez Sanguszkę Halszki.

Privilegium originale supra villam Zrzebcze, in terra chełmensi; str. 27—28, po łacinie. Kopia przywileju wydanego 1399 r. przez marszałka królestwa Dymitra dziedzica na Goraju, Piotrowi Bończy.

Litterae graniciarum inter Zrzebcze et Sulów; po łacinie. str. 29. Kopia opisania przez sąd w Szczebrzeszynie granic posiadłości Zrzebcze 1400 r.

Copia litterarum privationis bonorum; po łacinie. Str. 29—31. Zygmunt I odbiera dobra od Jana Jawora za to, że nie był na wojnie mołdawskiéj i oddaje je Szafrańcowi z Pieskowéj Skały. R. 1509.

Privilegium Bipennium et antiqui Equi baronum Poloniae; po łacinie, str. 32—33, z akt sądowych 1466 r. Kopia przywileju Kazimierza Jagiellończyka, przyznawającego prawo wyłącznego sądownictwa niektóréj szlachcie nad jéj poddanemi.

„Relacya poselska pana Wojnickiego, Królowi Jegomości w Warszawie; w niéj cztery listy od cesarza Selima i dwa od Mehmet-Baszy.—Dwie odpowiedzi Zygmunta Augusta do Selima i odpowiedź Mehmet Baszy pod datą 20 października 1568. Koniec relacyi. Summaryusz szkód od Tatar uczynionych przed gody in anno 1566 et in anno 1567, przez pana Brzeskiego uczyniony"; po polsku, str. 35—49. Posłem tym był Piotr Zborowski kasztelan wojnicki, zdaje mi się brat Marcina. Ciekawe szczegóły o stosunkach Polski z Turcyą pod Selimem IIgim za wezyrstwa Mahomed-Sokolli, o czém w Hammerze kłamane tylko echo.

„Traktat między Selimem II i cesarzem Maxymilianem;" str. 50—58. Kopia po łacinie.

„Wykład listu cesarza tureckiego, który potém przez Straszа pisał do Króla Jegomości, gdy sejm był w Lublinie.—Wykład listu od Mehmet Baszy do króla JMci, po polsku.—*Responsum majestatis Regiae Imperatori Turcarum per Imbraimbergem Strasz oratorem ejusdem Responsum sacrae mtis Regiae et Mechmet Bassam*;" po łacinie, 26 maja 1569. St. 58—70. Mohamed Sokolli wezyr Selima II ułożył był wyprawę na zdobycie Astrachanu, przez Rossyan świeżo zajętego; dla lepszego jéj skutku wysłany do Polski poturczony Strasz, który się nazwał Ibraimbegiem, do nakłonienia Zygmunta Augusta żeby ze swojéj strony napadł na Moskwę. Pięknie i godnie na to król odpowiedział. Hammer w swojéj historyi tureckiéj, w któréj nadzwyczajnie się wynosi ze swoich źródeł tureckich, Straszа ochrzcił Strozzeni, a wyprawę na zdobycie Astrachanu przerobił na zamiar połączenia Wołgi z Donem. Prawda, że Turcy usiłowali się dostać tą drogą, ale bynajmniéj o to im nie chodziło, a Niemiec prawi bajki nietylko w tym jednym względzie, ale w całéj wielotomowéj historyi swojéj.

Dialogus de Comitiis Piotrcoviensis in anno domini 1536 *celebratis, Dieta astana nuncupatis*; po łacinie str. 71—84. Paszkwil polityczny opisujący ludzi podwówczas działających, przeciw Bonie i jéj zausznikom wymierzony. Autorem tego paszkwilu byli dwaj młodzi senatorowie: Odrowąż i Stanisław Łaski, a odpowiedź nań napisał arcybiskup Krzycki.

„List Orzechowskiego księdza żonatego papiezkiego, tu dla odpowiedzi nań wpisany.—Upadek korony polskiéj wedle Orzechowskiego filozofii.—Przedmowa do Jana Herburtta z Fulsztyna.—Opowiadanie upadku przyszłego polskiego dla kacerstwa sacramentarskiego ku panu Stanisławowi Stadnickiemu ze Zmigroda, przez Stanisława Orzechowskiego z Russicy, wiernie a pilnie wypisane.—Wtora część listu o papiezkiéj władzy.—Słudzy wierni Pana Jezu Chrysta ukrzyżowanego Stan. Orzechowskiemu księdzu żonatemu papiezkiemu nawró-

cenia życzą. — List po łacinie Jędrzeja Cieślińskiego przełożonego wolbromskiego.—Stanisław Orzechowski w liście do p. Missopata wojskiego sandeckiego. — List po łacinie Stanisława Orzechowskiego do Franciszka Stankara." Po polsku wszystko, prócz wymienionych od str. 85—115. Stanisław Orzechowski, który po swojéj sprawie z biskupem Dziaduskim o ożenienie się, wielkie dawał po sobie nadzieje mnożącym się różnowiercom, odstrychnął się od nich i gorącym stał się władzy papiezkiéj zwolennikiem. Czy pisma jego tu zawarte były w druku?—nie wiem. Niesiecki o nich wspomina jako w rękopismie będących.

„List panu posłowi dany w drogę do wszech urzędów, za którym nie mało więźniów przy nim wyszło". Po polsku „Drugi list aby kupców niezwykłemi cły nie łupiono, ani im koni na podwody brano." Str. 115—117.

„Wypisanie drogi tureckiéj gdym tam z posłem wielkim Wielmożnym panem Andrzejem Bzickim kasztelanem chełmskim od króla Zygmunta Augusta posłanem, roku pańskiego 1557 jeździł"; po polsku, str. 117—149. Po słowie „wypisanie" dodano z wierzchu obcą ręką przez Otfinowskiego. Ciekawy ten opis zajmuje świeżością swojéj barwy, którą czas jeszcze wydatniejszą zrobił, a szczegóły choć małéj wagi, pod piórem świadka nabierają interesu historycznego.

Liber secundus: De Comitiis.—Summa sejmu piotrkowskiego, który się w poniedziałek począł po świętéj Katarzynie R. P. 1559. —Rzecz która się stała tamże na tym sejmie ku królowi JMści od wszystkiego stanu rycerskiego, przez pana Jarosława Ossolińskiego.—Druga rzecz do króla JMści na tymże sejmie od wszystkiéj Rzeczypospolitéj, przez pana Stanisława Stadnickiego.—Rzecz panów Wolskich ku królowi na tymże sejmie," po polsku. Str. 149—167.

„Sprawa panów comissarzów w Królewcu roku 1563, na którą byli od króla JMści i od wszej korony z sejmu ci comissarze posłani: JMść pan Jan ze Służewa wojewoda brzesk: JMść pan Piotr Zborowski kasztelan biecki: JMć pan Jan Kostka kasztelan gdański i JMć pan Mikołaj Firlej z Dąbrowice wojewodzic ruski. Str. 171—201." Tu się mieści: „krótsze podanie tych wszystkich spraw, które się w Prusiech działy JKMści od panów comissarzów, przez pana Sulikowskiego" Po polsku —*Ad Illustrissimum principem Dominum Paulum Scalichium Paraenesis. Epitafium Scalichi factum*, po łacinie. Pisma urzędowe o zamieszaniach w Prusach książęcych, i po łacinie odpowiedź Scalichiuszowi, który zamąciwszy w tym kraju zbiegł był do Niemiec i ztamtąd pismami nagabał.

Instructio in causa decimarum in judicio terrestri. Str. 201—210; po polsku. Tu się mieści: „Porządek jaki się dział w Przeworsku z Xiężą o dziesięciny przed sądem ziemskim. Artykuły kontrowersyjne między stanem rycerskim i xiężą IchMściami." Spory stanu szlacheckiego ze stanem duchownym zajmowały całe panowanie Zygmunta Augusta, i tu się ciągle odbijają Tu nawiasem dodajmy, jak grubo mylą się ci, co spory owe mieszają z różnicą mniemań

religijnych, która na w'ele lat je uprzedziła, jakoteż i ci, co tę różnicę mniemań religijnych podnoszącemu się racyonalizmowi przypisują.

„Krótkie wypisanie drogi z Polski do Konstantynopola, a ztamtąd zaś do Astrachania, zamku moskiewskiego, który leży na wschód słońca ku granicom Perskim. Przytym jako wojsko tureckie, które jeździło pod Astrachań r. 1569 zginęło, ktemu sprawa tureckiego i tatarskiego wojska wciągniona, to wszystko przez Jędrzeja Toranowskiego komornika króla JMści, który tam wszędy jeździł od JKMści posłany będąc, wypisano;" po polsku, str. 210—231.

„Confederatia kniazia moskiewskiego z królem perskim przeciwko cesarzowi tureckiemu"; str. 231—232, po polsku. Pisma te, a szczególnie piérwsze są ważnym aktem historycznym, jako przez świadka obecnego napisane. Polska w wieku XVI najczynniejsze miała stosunki z Konstantynopolem i przeważny swoją polityką tam wpływ. Ani krajowi historycy, a tém więcéj obcy wiernie go nie oddali. Zebrane akta historyczne dopiéro rzecz tę wyświecić zdołają.

„Rellacya panów comissarzów królowi JMści przy radzie i przy posłach o gdańskich sprawach uczyniona 1569"; od str. 233 do 265, po polsku. Przy końcu pisma esik i w nim litery w. g. które pewno są początkowemi kopisty albo piérwszego rękopismu właściciela. Akta do stosunków gdańska z Rzplitą ważne i objaśniające zatargi, którym Stefan Batory koniec położył.

Na końcu notatka w te słowa „Comput wsi wszystkich w Polszcze. Królewskich i szlach. 45525. Duchownych 5443. Plebanii wszystkich 6565. Oprócz ks. mazowieckiego, Rusi, oprócz nowo-posadzonych wsi z których poborów nie dawano, tylko według starych kwietacyi. Druga liczba zkądinąd wzięta: Duchownych 76585, królewskich i szlacheckich 45525. Summa wszystkich 122090.—„Sejm walny w Warszawie piérwszy 1556 *Dominica prime adventus.*— Tegoż roku *sabbato ante exaltationem St Crucis* dwory pańskie w Piotrkowie powietrze zepsowało. — Tegoż roku *Feria quarta ante festum Michaelis* królowa węgierska ze Lwowa wyjechała."

„Nakaz pospolitego ruszenia przez Zygmunta Augusta 1555 r." po łacinie, str. 283—285.

„Jedyna obrona prawda Boża księdza Jakuba Uchańskiego łaską Bożą biskupa kujawskiego przeciw pozwowi księży nawicznikow (najezdników?) rzymskich badaczów." R. 1559, str. 291—311. Inkwizycya w Rzymie ustanowiona powoływała przed się wszystkich podejrzanych, w liczbie téj Uchańskiego, który zamiast stawić się, pozew ze swoją odpowiedzią rozpublikował.

„Rzecz pana Stanisława Lasockiego, którą uczynił ku królowi JMści w Radomiu imieniem wszystkiego rycerstwa sandomierskiego i radomskiego powiatów, mense Junis An. 1559", po polsku, str. 316—320. W duchu nienawiści do stanu duchownego i z namaszczeniem luterskiém.

„Żałoba książęcia Słuckiego Siemiona jakoby o żonę własną, przeciwko panu Łukaszowi z Górki wojewodzie łęczyckiemu, w poniedziałek 29 maja 1559." Po polsku, str. 321—323.

Clarissimi strenuiq Regni Poloniae Baronis D. Ioanni Ostrorog monumentum pro conciliis regalibus sub Illustrissime principe Casimiro Rege Poloniae pro suae Respublicae utilitate congestum; po łacinie, str. 323—347. Rady te znane Czackiemu, zdaje się drukowane w Pamiętniku Bentkowskiego.

Ad mentuatum Episcopum a Pontifice maximo ad Poloniae Regem legatum. Anno Domi. 1559; po łacinie wierszami, str. 347—351. Tym legatem był Commendoni. Na końcu napisano: Finis, z podobnymże esikiem jak piérwszy i w nim litery W. G.

„Copia listu od Jurycze Radanowica z Baru, de data 35 martii 1646," po polsku, 355—357.

„Epitaphium króla Zygmunta III, który umarł w r. 1632"; po łacinie, str. 358—359. Tu przerwa w numeracyi stronnic 443.

„Diaryusz sejmu trzyniedzielnego d. 11 Martis Anno 1632." po polsku. Str. 803—1019. Daléj kart próżnych ośm.

„Wotum JMPana N do zaniesienia (zamieszania) wnętrznego i poselstwa justyfikując króla JMści"; po polsku, str. 1028—1057. Kopia nieczytelna i nieumiejętnego przepisywacza. Rzecz zdaje się odnosić do czasów rokoszu.

„Wotum JMPana N w izbie poselskiéj", zaczęte, ale przerwane na drugiéj zaraz karcie.

Bez tytułu. „Wiadomość statystyczna o państwie Tureckiém, z tureckiego jak można wnosić tłumaczona; po polsku, str. 1059—1077.

„Confederatia województw Wielgopolskich. Anno 1590". Str. 1077—1084; po polsku. Akt zjazdu w Kole.

„Mowa JMPana starosty sandeckiego, którą miał do króla JMści na sejmie sześćniedzielnym imieniem izby poselskiéj A. 1643, d. 12 lutego". Karty odtąd nieliczbowane; po polsku.

„Dziękowanie za pieczęć wielką na sejmie sześćniedzielnym przez Jerzego Ossolińskiego, d. 28 februarii 1643," po polsku.

„List pana podkanclerzego koronnego i pana wojewody sieradzkiego do króla JMści z Elbląga, 9 octobris 1637"; po polsku.

„Oddawanie pieczęci mniejszéj JMPanu Jerzemu Ossolińskiemu przez JMPana Opalińskiego marszałka W. K. w Warszawie na tymże walnym sejmie 1638, 20 marca"; po polsku.

„Mowa JMść pana Jerzego Ossolińskiego, którą dziękował królowi JMści za pieczęć mniejszą w senacie, d. 20 Martii, 1638."

„Mowa JMPana Sobieskiego podczaszego koronnego na pogrzebie JMPana Zamojskiego kanclerza koronnego, w Zamościu d. 9 februarii 1638"; po polsku.

„Mowa JMści pana Łukasza Opalińskiego starosty powidzkiego, marszałka poselskiego, którą witał króla JMści na sejmie 1638"; po polsku.

„Dziękowanie za pieczęć JMści księdza Trzebińskiego" 3 marca 1643, po polsku.

„Kopia listu na sejmik książęcia Wiśniowieckiego z Wiśniowca" d. 4 grudnia, A. 1646", po polsku.

„Mowa JMści pana Frydra podkomorzego przemyskiego, którą oddawał żonę panu Wypijskiemu"; po polsku.

„List JMści pana Jerzego Ossolińskiego podkanclerzego koronnego do JMści pana starosty sandomirskiego". Po polsku. Obrachowanie długów Władysława IV i środki na ich zapłacenie.

„List JMPana Lnewskiego do ojca swego, ze stolice d. 15 Februarii 1643"; po polsku. Wiadomość z Moskwy od przebywającego tam poselstwa na traktatach.

„Kopia listu od Mm Gereja hana Krymskiego do Warki do JMPana hetmana W. K. d. 3 Aprilis 1645 przyniesiony"; po polsku.

„List do tegoż hetmana od Fety Gereja sułtana Gałgi"; po polsku.

„List od pana Czakiego do JMści pana wojewody krakowskiego ze Scypusa 4 sept. 1646"; po łacinie.

„Instrukcya do cudzéj ziemi JMści pana Jakuba Sobieskiego, panu Janowi Sobieskiemu"; po łacinie, niedokończona.

„Galanterye saskie" po polsku, niedokończone. Zdaje się tłumaczenie z francuzkiego.

Manuskrypt romanowski, jak się z wypisanéj treści okazuje, złożony jest z aktów w różnych latach pisanych, w ciągu półtora wieku. Pismo w nim różnokształtne i papiér niejednakowy. Największa jednakże część aktów w nim zawartych od N 10 aż do 38, obejmująca stronnic 316, ma jeden pisma charakter. Adnotacye zamieszczone, uważanie faktów jako obecnych, każą go odnieść do wieku XVI, między lata 1555—1569. Było to *silva rerum* jakiegoś szlacheckiego domu, do którego następnie przypadkiem nowe się przyłączyły, i albo w domu hr. Ilińskiego zawieruszone, albo przypadkiem rąk jego doszły w jedno oprawione, zachowują się w bibliotece romanowskiéj.

Akta wszystkie w tym rękopismie zawarte, szczególnie od str. 35—354 mają wagę historyczną jako współczesne, i zasługują na ogłoszenie ich drukiem; i w późniejszych znajdzie się niejeden szczegół ciekawy. Te zaś, co są na str. 117 i 210 i z siebie są zajmujące, i za autografy uważać się mogą.

Cały rękopism jest żywym w pewnym względzie historyi krajowéj obrazem. Co tylko rok dawniejszy nosi, a zwłaszcza lata XVI wieku, odbija w sobie ówczasową działalność, i w najdrobniejszym ułamku dośledzić można myśl życiodawczą, śmiałość pewną siebie przeciwnie: im późniejsze akta, tém więcéj oschłe, martwe; zamiast dawniejszéj rubaszności, przebija jakaś ociężałość i niewolniczość. Styl rozwlekły przy braku myśli, za wyrażeniem się ubiegający; ztąd makaronizmów albo obrazów wyszukujący; ztąd napuszoność pisma owoczesne cechująca, które zaraz wydają umysł narodu już tylko marzący: bo po zwichnięciu instytucyj, które Stefan Batory tak troskliwie pielęgnował, przy interesach obcych, jakie Wazowie z sobą do kraju przynieśli, umysł narodowy odurzał, rozumować przestał, i czucie tylko okazywał.

Udzielając o tym rękopismie wiadomości, spodziewam się usłużyć ba daczom krajowéj historyi, którzy w poszukiwaniach swoich po-

moc w nim znaleźć mogą. Znajdzie się oko wprawniejsze, ręka sposobniejsza do użycia tych materyałów, do ich ocenienia, do wydania na jaw, w czém zacny miłośnik dziejów krajowych hr. Henryk Iliński pewno nie odmówi udziału z tą uprzejmością, z jaką mnie tych skarbów używać pozwolił.

W. A. P.

O życiu i pracach naukowych Franciszka Miechowicza.

Franciszek Miechowicz urodził się na Wołyniu, r. 1783, z rodziców ubogich. Ojciec jego był ze szlachty litewskiéj, zaszłéj tam w XVII wieku. Pierwiastkowe nauki brał naprzód w szkole wydziałowéj, a potém w szkole powiatowéj krzemieńeckiéj, i skończył klas sześć. Wyszedłszy ze szkół, został geometrą. Zatrudnieniu temu poświęcił lat kilka, a dowiedziawszy się, że Tadeusz Czacki założył w Krzemieńcu gimnazyum, rzucił wszystko i tam się udał, pałając chęcią nabycia wyższych nauk. Przy gimnazyum wołyńskiém była ustanowiona jedyna w kraju, oddzielna, specyalna szkoła mechaników teoretyczno-praktycznych, pod dyrekcyą Franciszka Zaliwskiego; do niego zatém Miechowicz udał się na pomocnika. Zaliwski chętnie go przyjął i dał mu łatwość słuchania publicznych kursów nauk, umiejętności i sztuk w gimnazyum, a potém liceum wołyńskiém w Krzemieńcu. Wszystkie zatém przedmioty w niém wykładane nie były mu obce, a oprócz tego od Zaliwskiego uczył się mechaniki praktycznéj. Zaliwski był sławnym i biegłym praktykiem, a mechaników potrzeba było uczyć arytmetyki, geometryi, początków fizyki, chemii i rysunku. Te zasadnicze nauki wykładał mechanikom Miechowicz. Kurs był publiczny, na który uczęszczali i uczniowie instytutu skarbowych geometrów, oddzielnie przy gimnazyum, potém liceum, ustanowionego.

W tym czasie Józef Czech dyrektor szkół wołyńskich miał sposobność poznania dokładnie Miechowicza; widząc zaś precyzyą i sumienność we wszystkich jego działaniach, powierzył mu robienie obserwacyj meteorologicznych, które on codziennie, przez trzy lata, po trzykroć wykonywał z wielką dokładnością, od r. 1808 do roku 1811. Następnie za rok 1812 otrzymał medal bronzowy, dla szlachty w cesarstwie ustanowiony. Gdy Jan Łuczyński nauczyciel fizyki experymentalnéj wyjechał do Warszawy, Miechowiczowi poruczona była, w zastępstwie jego, katedra w r. 1816.

Tadeusz Czacki widząc w Miechowiczu nietylko zdatność, ale i nadzwyczajną chęć do nauk ścisłych, a szczególniéj stosowanych, aby tém pożyteczniéj mógł służyć krajowi, miał go wysłać za granicę, dla usposobienia się w tychże. Liceum wołyńskie dopełniając woli swojego założyciela i dobroczyńcy, wyprawiło do obcych krajów Miechowicza, który tam bawił od r. 1818 do 1821. W Paryżu z wielką

trudnością i dopiéro aż za wstawieniem się cesarskiego ambassadora, otrzymał wstęp do szkoły politechnicznéj, w któréj przez dwa lata słuchał architektury, geometryi wykreślnéj ze wszystkiemi zastosowaniami, fizyki i mechaniki. Oprócz tego brał lekcye rysunku machin w paryzkiém konserwatoryum sztuk i rzemiosł. Jestto nauka oddzielna, jako dalsze stosowanie geometryi wykreślnéj. Zwiedził całą Francyą i Anglią, zebrał kilka tysięcy przez się wykonanych rysunków machin, które za powrotem ofiarował w darze do liceum wołyńskiego. Paryzkie towarzystwo zachęcania do przemysłu wybrało go swoim członkiem korrespondentem.

Franciszek Miechowicz powróciwszy do kraju, zaraz został mianowany nauczycielem mechaniki i architektury w liceum wołyńskiém, w którém oprócz tych przedmiotów wykładał i geometryą wykreślną z licznemi zastosowaniami. Był architektem w liceum, zarządzał instytutem mechaników, tak go organizując, że uczeń z niego wychodzący mógł wykonywać wszelkie machiny i ekonomiczne narzędzia. W Krzemieńcu utworzył kompanią wiercenia studni artezyjskich (puits artésiens), i z różnych prowincyj ziemianom żądającym objaśnień w mechanice, dawał je na piśmie, zaciągając do osobnego protokółu. Gorliwym jego staraniom kraj winien znaczną ilość dobrze usposobionych mechaników i architektów; z tych zaś gubernialny budowniczy w Kamieńcu Podolskim dał znakomity dowód znajomości swéj sztuki, kiedy tamże już chyłącą się dżamią czyli minaret, przy katedralnym kościele z kamienia ciosowego przez Turków zrobioną, tak wyprostował, że dotąd trwa nieporuszona.

Gdy liceum wołyńskie z Krzemieńca, wraz ze wszystkiemi przy niém zakładami, zostało przeniesione do Kijowa i przeobrażone w Cesarski uniwersytet św. Włodzimierza; Miechowicz w r. 1834 był utwierdzony zwyczajnym professorem tegoż uniwersytetu, a razem pełnił obowiązek architekta całego naukowego wydziału, ze czterech gubernii złożonego. W uniwersytecie wykładał obszerny kurs geometryi wykreślnéj i architektury, a późniéj, na żądanie JW. ministra finansów, wykładał realny kurs mechaniki. W r. 1838 był dziekanem matematycznego fakultetu; w roku 1839 skończył 25 letnią swoję służbę i otrzymał znak za też nieskazitelną, rangę kollegialnego radcy, order św. Anny 3 klassy, i emeryturę.

Kiedy jeszcze był professorem, znalazł czas zbudować kościół wielki murowany w Kijowie, okrom innych budowli, które wykonywał w całym naukowym kijowskim okręgu, jakoto: dwie gimnazyalne budowy, pawilon w liceum, i niektóre szkoły powiatowe.

Poźniéj, w Niemirowie u Bolesława hrabiego Potockiego wystawił pałac, dwie murowane cerkwie, gmach szkolny 200 arszyn. długości mający, dwupiętrowy, wiele domów i budowli ogrodowych, oranżeryą, treibhauzy, stajnie, wozownie, karczmy, kottedże angielskie, i szalety szwajcarskie.

Przy schyłku życia swego przeniósł się do Żytomierza. Tu zajmował się jeszcze planem domu dla ks. Kaspra Borowskiego biskupa

łuckiego i żytomierskiego, oraz planem powiększenia żytomierskiego katedralnego kościoła; a we wsi Dryhłowie wymurował piękną kaplicę na wezwanie p. Konstantego Piotrowskiego, obywatela powiatu żytomierskiego.

W r. 1827 wydał dzieło: Teorya machin do łatwego ich wyrachowania zastosowana, dla użytku gospodarzy, mechaników praktycznych i konstruktorów machin, napisana przez Franciszka Miechowicza, nauczyciela mechaniki, architektury i rządcę instytutu mechaników w liceum wołyńskiém. W Krzemieńcu, w drukarni N. Glücksberga księgarza i typografa liceum wołyńskiego. 1827, 4, str. liczb. 3 i 107: na początku dwie tytułowe karty, na końcu jedna zawierająca spis rzeczy, i dwie tablice figur z drzeworytów. W tém dziele tak mówi Miechowicz: „Najprostsze machiny są najlepsze, tak dalece, iż lepiéj naprzykład użyć czterech machin, z którychby każda miała po jednym organie odmieniającym, aniżeli jednéj machiny mającéj cztery organa odmieniające: bo w piérwszym razie stracimy tylko $^2/_{10}$ części siły, a w ostatnim $^8/_{10}$ tejże siły, na pokonanie oporów fizycznych, które mnożą się z zawikłania machin.“

„Jeszcze ten nie jest zupełnie przejęty duchem mechaniki, kto, jak Archimedes drugi, nauczywszy się dopiéro samych organów odmieniających, jakiemi są: drąg, kołowrót, śruba, klin, koła zębate i t. d., składa te organa bez końca i zdaje mu się, iż małą swoją siłą może poruszyć świat cały; ani równie ten, kto nie poznawszy natury oporów fizycznych, tworzy w zagorzałéj swojéj wyobraźni *perpetuum mobile*, czyli ruch wiecznie trwający.“

„Zamierzam sobie późniéj traktować z najdrobniejszemi szczegółami i rysunkiem potrzebniejsze machiny ekonomiczne i po fabrykach krajowych używane.“

Osoby posiadające wiadomości o dziełach Miechowicza, najuprzejmiéj są wzywane, aby je raczyły podać do pism publicznych dla uzupełnienia biografii tego uczonego professora, tak zasłużonego przez swe prace naukom krajowym.

W r. 1823, w Dzienniku Wileńskim, ogłosił Miechowicz szczegółową wiadomość o publicznéj wystawie przy końcu czerwca t. r. w Krzemieńcu odbytéj, na któréj okazywane były rozmaite roboty i modele instrumentów, machin, apparatów i sprzętów, wykonanych przez uczniów szkoły mechaniki przy liceum wołyńskiém, w któréj zaprowadził drzeworytownictwo i litografią.

W r. 1824 była mu powtórnie poruczona katedra fizyki experymentalnéj w témże liceum, w zastępstwie Karola Jenca, który był wyjechał do Wilna, i wtenczas Miechowicz w kursie fizyki wykładał jéj uczniom balistykę ze skryptów przez siebie wypracowanych.

Przygotował obfite materyały do wydania architektury i mechaniki; ale że takie dzieła bez kosztownych rycin wydane być nie mogą, więc dla téj trudności nadzwyczajnéj u nas, niepodobna mu było ogłoszenie ich drukiem uskutecznić.

Następnie wyliczamy prace w rysunkach i rękopisach po ś. p. professorze Miechowiczu pozostałe:

Dziewięć wielkich tek in 4., a jedna in folio, zawiérają mappy, rysunki budowli i machin; między niemi można widzieć na kilku arkuszach rysunki machiny Evans'a do tarcia kości palonych w cukrowni.

Rękopisy przezeń wypracowane są: 1) Realny kurs praktycznéj mechaniki, z figurami, 1838 r. Tom jeden w 4ce. 2) Geometrya wykreślna, z figurami, trzy tomy w 4ce. 3) Architektura cywilna, z rysunkami, dwa tomy, w 4ce. Trzy dzieła wymienione wypracował Miechowicz do wykładu tych umiejętności uczniom liceum wołyńskiego w Krzemieńcu, a słuchaczom Cesarskiego uniwersytetu ś. Włodzimiérza w Kijowie. 4) Kurs konstrukcyi dróg bitych (chaussés), dla uczniów liceum wołyńskiego w Krzemieńcu; rękopis o 28 arkuszach. 4to. 5) Lekcye meteorologii. 27 ark. 4to. 6) Rozmaitości technologiczne, 25 ark. 4to. 7) Regestratura ekonomiczna; 12 ark. 4to. 8) Kosmografia, z rysunk. figur. 10 ark. 4to.—Ze wszystkiego co powiedziano okazuje się, że ś. p. professor Miechowicz oddając się tak pożytecznym pracom, zawsze służył poczciwéj sławie; a że z niezmordowaną usilnością przez wiele lat nauczał, pisał, rysował i budował: zatém bezsprzecznie zasłużył być wzmiankowanym w dziejach nauk, jako człowiek bezustannego czynu i postępu.

Z dnia 25 na 26 lutego 1852 roku, Franciszek Miechowicz umarł w Żytomierzu, zostawiwszy po sobie piękne pamiątki chwalebnie przepędzonego życia, które zupełnie dobru społeczności poświęcił.

Żytomierz,
d. 28 lutego 1852 r.

Adam Słowikowski.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1853.

114. Bałwochwalstwo sławiańskie, p. Joachima Lelewela. Z godłem: non diffitentur unum deum.
Helmoldi I. 83.
8ka. Poznań. 1853. Nakładem J. K. Żupańskiego. (Druk L. Merzbacha). Str. 37. Kop. 40.

115. Oberon. Poemat romantyczny w dwunastu pieśniach. Przekład z Wielanda przez Wiktora z Baworowa. 8ka. Lwów. 1853. Druk Zakładu narod. Ossolińskich. Kart 5 i str. 244. Rsr. 1 k. 80.

116. Stefania. Powieść dzisiejsza. Przez Bożennę. 8ka. Wilno. 1853. Nakładem księgarni Rubena Rafałowicza. (druk J. Ungra w Warszawie). Kart 2 i str. 94.

117. Świat popularnie opisany przez Juliana Horoszkiewicza. 8ka. Lwów. 1853. Druk Zakładu narod. Ossolińskich. Nakład Kallenbacha. Kart 2 i str. 159. Kop. 90.

118. Wędrówki po moich niegdyś okolicach. Wspomnienia, studja historyczne i obyczajowe, przez Władysława Syrokomlę. 8ka. Wilno. 1853. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. 248. (Z widokiem lit. miasta Mira). Rsr. 1 kop. 50.

1854.

3. Góra Kalwarya czyli Nowy Jeruzalem, położona dziś w gubernii warszawskiéj, obwodzie warszawskim, powiecie czerskim. Opis historyczno-statystyczny *(autor Ludwik T. Tripplin)*. 12ka. Warszawa. 1854. Druk Gazety Codziennéj. Kart napis. 2, i str. 100 (do str. III znaczono rzymskiemi liczbami).

4. Jana Jaworskiego Kalendarz astronomiczno-gospodarski na rok zwyczajny 1854. Opisów roślin rok siedmnasty. 8ka wielka. Warszawa. Nakładem i drukiem wydawcy. Str. 1408 (do str. 24 nieliczb). i XXIV. Kop. 40.

5. Józefa Unger Kalendarz Warszawski popularno-naukowy na rok zwyczajny 1854 który ma dni 365. Rok dziewiąty. 8ka wielka. Warszawa. Nakładem i drukiem wydawcy. Kalendarza str. XVI i 146. Jarmarków str. 16. Kop. 40.

6. Kalendarz powszechny na rok zwyczajny 1854, mający dni 365..... 4ka. Warszawa. Nakładem i drukiem S. Orgelbranda. 1854. Kart 4, str. 36 i XIII. Kop. 35.

7. Kalendarz popularno-ziemiański na rok 1854, który jest rokiem zwyczajnym mającym dni 365. 4ka. Warszawa. Nakładem M. Rodzyna, druk J. Jaworskiego. Str. 40 i XII. Kop. 30.

8. Kalifornia. Rok pobytu nad brzegami San-Joaquin i Sakramento, Wrażenia podróży zredagowane według opowiadania emigranta, przez Aleksandra Dumas. Przekład z francuzkiego Wojciecha Szymanowskiego. 12ka. Warszawa. 1854. Druk Gazety Codziennéj. Kart 2 i str. 171. Kop. 90.

9. Listy z zagranicy przez Stefana W. Wydanie powtórne J. N. Bobrowicza. 16ka. Lipsk. 1854. Nakładem księgarni zagranicznéj. Kart 4 i str. 231. Kop. 90.

10. Opowiadania zajmujące i nauczające o najsłynniejszych wynalazkach ludzkich w dziedzinie sztuk i przyrody. Przekład W. Szymanowskiego. 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1854. Nakład S. H. Merzbacha, druk J. Ungra. Tom 1, str. 292, II, 305 i w każdym napisów kart 2. (Z rycinami). Rsr. 1 k. 50.

11. Pamiętniki miasta Warszawy z roku 1853. Przez Karola Kucza R.(edaktora) K.(uryera) W.(arszawskiego). Tom I. 8ka. Warszawa. 1854. Nakład H. Natansona, druk J. Ungra. Napisów kart 3 i str. 421. Rejestru kart 2. Rsr. 2.

12. Poezje wieszczące czyli obrazy poetyczno-moralne Boga i stworzenia. Przez Stanisława Grodzkiego. 2 tomy. 16ka. Warszawa. 1854. Druk J. Ungra (nakład Natansona). Tom I str. 321. II, 413. Rsr. 2 k. 70.

13. Rodzina H. Powieść przełożona na polski język z szwec(dz)kiego Fryderyki Bremer. (*Natansona Wybór przekładów tom VIII*). 16ka. Warszawa. 1854. Nakładem Natansona, druk Jaworskiego. Kart 2 i str. 252. Kop. 75.

14. Rys życia ś. p. X. Pawła Gienjusza przez X. A. W. Wydane przez H. hr. R. 8ka. Warszawa, 1854. Druk J. Ungra. Napisów kart 2, str. 66 i karta 1.

15. Ukraina i Zaporoże czyli historya Kozaków od pojawienia się ich w dziejach, do czasu ostatecznego przyłączenia do Rossyi. Według najlepszych źródeł napisana przez J. N. Czarnowskiego. 2 tomy. 8ka. Warszawa. 1854. Nakładem J. A. Breslauera, druk pod firmą J. Kaczanowskiego. Tom I. str. 323. II, str. 306. W każdym tomie napis. kart 2 i rejestru k. 1. Rsr. 3 k. 60.

16. Upominek dla młodych panien mających iść za mąż. 8ka. Warszawa. 1854. Druk J. Kaczanowskiego. Str. 121 (ostatnia stron. mylnie oznaczona liczbą 90). Kop. 50.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

J. I. Kraszewski nadesłał tom IIgi powieści: *Chata za wsią*; umieścimy ją w zeszycie styczniowym 1854 r. i w następnych. Tom trzeci wkrótce ukończy, a tak w nieprzerwanym ciągu damy całość.

„Główną robotę którą kończę (pisze w liście do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj) jest: „Sztuka w Słowiańszczyznie przedchrześciańskiéj, a szczególniéj w Polsce i Litwie“. Jestto owoc poszukiwań lat dziesięciu, wypracowany o ile umiałem, i zdaje mi się, że da nowy pogląd systematyczniejszy na starożytności nasze. Kończę już tylko, wykończam, i w téj chwili układam się o wydanie, które ma zawierać rysunki wszystkich zabytków ważniejszych sztuki słowiańskiéj, od 150 do 200 rycin. Jak to przyjmiecie i osądzicie, Bóg wié; ja swoje robię, a wy sądźcie jak powinniście. Daléj a daléj redaguję moją „Ikonotheką“, która do druku do litery *G.* już przygotowana.“

(Wyjątek z listu J. Łepkowskiego). „W Starym Bielsku jest cudny gotycki ołtarz (historya św. Stanisława) z wieku XV, krajowe staro-niemieckie malowanie, z prześliczną rzeźbą architekt. Ten zabytek, jak równie ołtarz u Bernardynów w Rzeszowie, to dzieła mistrzowskie, które koniecznie trzeba publikować. Obejrzano teraz bliżéj ołtarz Stwosza w Lewoczy, i ma być o nim zdanie rzetelnych znawców wkrótce ogłoszone. Nasz Ambroży Grabowski bardzo ważne zrobił odkrycie: na pomniku Kazimierza Jagiellończyka wynalazł na nagłówku słupka napis, wskazujący dowodnie, że Stwosz robił model tylko pomnika z drzewa, i kierował wykonaniem, którém się, rzeząc w kamieniu zajmował rzeźbiarz w Krakowie wychowany i wyzwolony Jerzy, podobno Heubner, czy Hübner. Sam Grabowski da o tém wiadomość do Biblioteki Warszawskiéj.“

Lwów. „Pod miastem Leżajskiem (w Galicyi) odkryto uroczysko na drodze z miasta do wsi Wieszawic, po prawéj ręce pod pagórkiem zwanym „szwedzki kopiec“. Na powierzchni kilkaset sążni kwadratowych, obejmujących szwedzki kopiec, znalazł ks. Podgórski wikary w Leżajsku mnóstwo popielnic porozpadanych na dwie skorupy, z których całość złożyć się dała. Nadto kilka bronzowych zausznic, śpilek i igłę, ze srebra pierścionek, z żelaza kilka gwoździ, wszystko niewątpliwie stare. „Zastanawia (jak pisze ks. Podgórski) znaczna ilość rozsianego po piasku krzemienia, w regularną podłużną formę łamanego. Wygrzebany obok uroczyska srebrny pieniądz Wespazyana, z jednéj strony z głową, z odwrotnéj z laską Merkurego, możnaby wziąć za skazówkę czasu. Kopania żadnego nie przedsiębrałem, coby osobiście w szwedzkiéj górze uczynić należało. Podobnie wydęte i zniszczone uroczysko odkryto w Woli Zarczyckiéj. Zapewniano mię téż o znajdującém się w Woli Ranizowskiéj, któreto ostatnie, wnioskując z jednéj doniesionéj mi, wcale kształtnéj skorupy, godneby podobnoś było zwiedzenia.“

— W Lipsku wyszło w przepysznóm wydaniu dzieło Ambrożego Grabowskiego p. n.: „Zapiski archeologiczne.“ Zawiera przy tytule piękny staloryt krakowskiego zamku z XVI wieku, a przy końcu kilka tablic mieszczących różne wieże i baszty krakowskie, podobnież z XVI i XVII wieku; jest ich 38. Całe dzieło obejmuje: 1) Średniowieczne pomniki wojennego budownictwa polskiego, w wizerunkach baszt i bram krakowskich przedstawione. 2) Wiadomości do

dziejów sztuk pięknych w Polsce. 3) Wspomnienia z ubiegłych czasów, i różne szczegóły odnoszące się do krajowéj przeszłości.

— Nakładem Gustawa Sennewalda wkrótce wyjdą z pod prasy dwa tomy „Gawęd i powieści" Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj.

— Nakładem S. Orgelbranda wyjdą opowiadania lekarza w 3ch tomach p. n.: „Asmodeusz w Paryżu", dzieło Teodora Tripplina.—Nakładem tegoż księgarza tom V „Historyi C. Cantu" wkrótce opuści prasę drukarską.

(*Lwów—Wiedeń*). Wychodzi tu pismo peryodyczne p. n.: „Galicia, Blätter für ernste und heitere Unterhaltung", mające na celu połączyć żywioł germański ze słowiańskim. Pismo to podaje powieści, poezye, i t. p. niemieckie i tłumaczone z rossyjskiego i polskiego, życiorysy pisarzy i artystów, nowiny miejskie, wiadomości z kraju, recenzye teatralne i t. p. Wychodzi dwa razy na tydzień po 1½ do 2 arkuszy druku.—P. Zarański wykonał kartę do dziejów powszechnych, którą ministeryum oświecenia w Wiedniu przyjęło i poleciło jéj używanie w szkołach. Karta ta chronologiczna jest dogodną tak dla nauczyciela, jak i ucznia, ułatwiająca tamtemu wykład, a temu naukę, i taki sam przynosi użytek, co karta geograficzna w nauce geografii. Autor szuka nakładcy na to dzieło.—W drukarni zakładu imienia Ossolińskich wyszedł: Świat popularnie opisany, przez Juliana Horoszkiewicza.—We Lwowie na wystawie robót igielnych i utworów malarskich samych tylko kobiét, przez towarzystwo dam dobroczynności, na korzyść ubogich urządzonéj, zyskały powszechne pochwały dwie akwarelle wykonane przez p. Ewelinę Żebrowską, które należą do najpiękniejszych utworów téj wystawy. Przedstawiają one „Albano i Tivoli" z natury zdjęte. Technika, moc i żywość kolorytu stawiają te prace na tym stopniu, do jakiego dziś akwarelle dochodzić tylko mogą.—W drukarni zakładu Ossolińskich, nakładem Kajetana Jabłońskiego rozpoczął się druk dwutomowego dzieła p. n: „Mowy do ludu wiejskiego krótkie i łatwe na wszystkie niedziele i święta przez ks. Jana Jarmusiewicza plebana Zaczerskiego pod Rzeszowem.—Staraniem i nakładem Towarzystwa gospodarskiego galicyis. wyszły z druku: Rozprawy tegoż towarzystwa tom XIII i XIV. O hodowaniu owiec. W jakiém gospodarstwie i z jakiéj rasy owiec największe korzyści otrzymać można w dzisiejszém położeniu posiadaczy na Rusi galicyjskiéj, przez Kaz. hr. Wodzickiego. Rozprawy sekcyi leśnéj zeszyt Iszy. Krótka nauka chowu bydła rogatego. Nauka poznawania i niszczenia owadów leśnych. Krótka nauka chowu owiec, ułożona przez Mich. hr. Starzeńskiego. Stan. C. K. Towarzystwa Gospodarskiego Galicyjskiego po 14 ogólném zgromadzeniu, odbytém 11 lutego 1853.—Nauka pomiaru gruntów do praktycznego użycia właścicieli ziemskich, w stosownem przerobieniu, z niemieckiego.

(*Z listu*). „Dopiéro teraz w rozprawie swojéj jeden z najpiérwszych badaczy naszych, autor „Ksiąg bibliograficznych" dał swoje stanowcze zdanie, co do posągu „Świętowida" w Krakowie będącego. Nie zaprzecza wcale wiarogodności tego przedchrześciańskiego zabyt-

ku, ale pisze w pomienionéj rozprawie (Bałwochwalstwo słowiańskie) w tych słowach: „Słup bobodzki jest obrazem pór roku, i nic więcéj, a część dolna jest jedynie przystrojeniem.“ Ten swój domysł opiéra uczony badacz na długiém poprzednio wywodzie.“

— Biblioteka starożytna pisarzy polskich w VI tomach, która teraz wyszła w drugiém powiększoném wydaniu, pomnożona jest o dwa niemal tomy dodatkami. Dodatki te są; do historyi: Spis chronologiczny przywilejów jakie się znajdowały w archiwum akt dawnych w Sieradzu w r. 1850. Zaczyna się od 1380 do 1777. List Stefana Bielawskiego z 1574 r. (z autografu). Materyał do życiorysu Jana Zamojskiego. Rozmowa królowéj JMci z królewiczem Jakóbem o teraźniejszych rzeczach r. 1696 (z współczesnego rękopismu) — Do życia domowego i pod względem języka: Gospodarstwo jezdeckie, strzelcze i myśliwcze. Przedruk z edycyi 1690 r. z bogatym zbiorem przysłów i przypowieści nieznanych Salomonowi Rysińskiemu i późniejszym zbieraczom przysłów polskich.— Do starożytnéj literatury dramatycznéj: dramat Reja z Nagłowic: Żywot Jozepha w XII aktach (sprawach), rzadkość bibliograficzna, wedle pierwotnego wydania z 1545 roku. Mięsopust, abo tragico-comaedia na dni mięsopustne, nowo dla stanów rozmaitych zabawy podana; podług wydania z 1622 roku.

— *Praga Czeska* (z listu). „Powieści Lucyana Siemieńskiego znane wam z przedruku petersburskiego, wychodzą tu w przekładzie czeskim przez Wacława Dundera.— Dr. Hanusch wydał po czesku „Literaturę słowiańskich i niemieckich przysłowio-zbiorów.“ Pismo to stanowi pierwszy poszyt „Biblioteki słowiańskiego przysłownictwa. Gdy w niniejszém dziele zawarte jest więcéj tylko zestawienie literatury przysłów różnych słowiańskich narodowości, obok niemieckiéj (nie bez krytycznego jednak i historycznego poglądu); to późniejsze poszyty poświęcone będą porównaniu słowiańskich przysłów z niesłowiańskiemi. Drugi poszyt zawierać będzie głównie uwagi nad Czelakowskim, i jego: „filozofią przysłów u Słowian.“ — Palacki pracuje obecnie nad drugim tomem swéj historyi Czech w wydaniu czeskiém. Epoka napadów tatarskich przez nowe, ważne i historyczne źródła i dokumenta, odkryte przez niego w Bernie stolicy Morawii, więcéj jeszcze ma nabyć rzeczywistego światła, niż je posiada historya jego w wydaniu niemieckiém. — Szafarzyk wydał dzieło p. n: „Pamiątki Głagolickiego pismiennictwa“ (Głagolici byli jak wiadomo katolikami Słowianami w Istryi, Chorwacyi, Dalmacyi, i wyspach wybrzeża Albańskiego, którzy mieli przywilej odprawiania nabożeństwa w swoim języku, i mieli pismo własne od kirylicy różne). Do tego dzieła odlano nowe czcionki w Pradze u Hasego, bo nigdzie teraz czcionek głagolicy nie znajdzie.— Morawskie stany ogłosiły drukiem dokładny zbiór wszystkich ich kraj dotyczących dokumentów po rok 1306, w 5 tomach in 4to. Twórcą tego pożytecznego przedsięwzięcia był uczony Boczek, po śmierci którego p. Chytil godny jego następca, zamiar ten przyprowadził do skutku. Wobec bliskich stosunków, w jakich prowincya Szlązka do Morawii zostawała, nie będzie tak dla Szląza-

ków, jak i dla nas obojętną wiadomością, iż morawskie stany, na wniosek p. Chlumeckiego członka wydziału stanowego, postanowiły pod tegoż kierunkiem, a na koszt krajowy, dalsze wydawanie zbioru tychże dokumentów, mających następnie sięgać po rok 1526."

UWIADOMIENIE

OD

REDAKCYI BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie bez żadnéj zmiany i w roku następnym **1854**.

Cena pozostaje niezmienna: t. j. w Królestwie rub. sr. **9** rocznie, lub rub. sr. **4** kop. **50** półrocznie którą przyjmują także wszystkie urzędy i stacye pocztowe. W Cesarstwie przedpłata roczna z przesyłką pocztową **w kopertach** wynosi rub. sr. **10**; z tym jednakże warunkiem, aby kwota ta była wprost nadesłaną **franco** albo do: „Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, przy ulicy Senatorskiéj, nr. 46⅝", lub téż: „do Expedycyi Gazet w Warszawie".

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.





DOSTRZEZENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Październik, 1853.

	mm.	c.	
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.369	27	8.636
Najwyżéj dochodził — d. 24 o g. 10 r.	763.04	28	2.253
Najniżéj — — d. 18 o g. 4 i 1[illegible]	738.34	27	3.303
Średnia zmiana dzienna barometru	3.459		1.534
Największa zmiana dzienna barometru d. 5—6 o g. 10 r.	11.99		5.315
Średnia wysokość barometru jest niższa od stanu normalnego z 27 lat poprzedzających	750.634	27	8.753
Średnia temperatura października wyno +	8°.80 C.	+	7°.04 R.
i ta jest wyższa o	0.66 „		0.53 „
od stanu normalnego z 27 lat poprzedzających	8.14 „		6.51 „
Największe ciepło dochodziło d. 10 i 11 o godz. 4 wiecz.	17.1 „		13.68 „
Najniższa temperatura była d. 5 o g. 6	1.2 „		0.96 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.745 „		1.396 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 1—2 o g. 6 r.	8.2 „		6.56 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: +15°.4 R. d. 11 po połu
Minimum: + 0°.7 „ d. 5 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięcma wynosi: 91,6 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodą, albo co do ciężaru 8,30 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0,06 większa od normalnéj.

Ilość wody spadłéj z deszczu wynosiło do wysokości: 58,4 milim. czyli 25,89 lin. par.; ilość ta wody jest o 10 lin. par. większa od téj, jaka zwykle u nas w październiku spada.

Dni pogodnych było 8, napół pogodnych 9, pochmurnych 14.
— deszczu 13 (d. 2, 5, 6, 11, 13, 1, 15, 16, 17, 19, 20, 21, 31).
— mgły 15 (d. 1, 6, 10, 12, 13, 1[illegible]17, 18, 20, 23, 24, 25, 26, 27, 31).
— gradu 1 (d. 14).
— grzmotów 2 (d. 13, 14).
— błyskawic bez grzmotów 2 d. 13, 14).
Wiatrów mocnych 3 (2 Z., 1PdZ).
Wiatr panujący: południow-wschodni.

Październik r. b. był w ogóle pogodny, mglisty, o pół stopnia R. cieplejszy niż zwykle. Pierwsze 21 dni przy nizkim stanie barometru były wilgotne, mgliste i niepogodne; przeciwnie ostatnie 10 przy znacznéj wysokości barometru były pogodne, ciepłe i tak łagodne jak w porze letniéj. Mgły osobliwie z rana prawie przez cały miesiąc panowały. Najcieplejsze dni były d. 2, 9, 10, 11, 12, 13; najchłodniejsze d. 4, 5, 28, 29, 30. Dnia 13 około o godz. 5 z rana we wsi Snicach powiecie siedleckim, podczas wielkiéj burzy piorun uderzył w chałupę i zabił dwie kobiety stojące przy kominie; nadto od tego uderzenia chałupa zgorzała. Dwie nocy t. j. z dnia 12 na 13 i z d. 13 na 14 odznaczały się szczególnie i rzadko u nas o téj porze zdarzającem się zjawiskiem błyskawic, grzmotów silnych i deszczem ulewnym jak wśród dni gorących.

D. 4, 7, 8, 9, 10, 12, 22, 24, 27, 28, 29 pokazywały się plamy na słońcu.
D. 24 między 4 a 5 wiecz. widziano dwa boczne słońca.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1853.

Materyały historyczne.

Stron.

Gedyminowicze. Ustęp z dzieła *Karola Ssajnochy*: Jadwiga i Jagiełło. 1, 259

Życie domowe Jadwigi i Jagiełły. Z regestrów skarbowych z lat 1388—1417, przedstawione przez *Alexandra Przezdzieckiego* (ciąg dalszy). 35

Spór *de lana caprina*, albo jeszcze słów kilka o znaczeniu wyrazu: Nawojka, przez *Władysława Wieczorkowskiego*. . . . 186

Pamiętnik o Tomaszu Zamojskim kanclerzu W. kor., ułożony przez *Seweryna Gołębiowskiego* 197, 397

Rozwiązanie wątpliwości o istnieniu w Warszawie kościoła N. P. Maryi Zwycięzkiéj i kępy na Wiśle przy Bełku, jako odpowiedź na ocenę prac moich przez p. J. Bartoszewicza, w Bibl. Warsz. za sierpień r. b. umieszczoną, przez *Alexandra Wejnerta*. 533

Wiadomość numizmatyczna o mennicy w Lublinie, przez *Tymoteusza Lipińskiego*. 561

Wiadomość o rękopiśmie biblioteki Romanowskiéj, przez *W. A. P.*. 564

Biografia.

Stron.

O życiu i pracach naukowych Franciszka Miechowicza, przez *Adama Słowikowskiego* 571

Prawo.

O wyroku adjudykacyjnym według artykułu 731 Kodexu postępowania cywilnego i poźniejszych ustaw krajowych, przez *Augusta Heylmana* 172

Opisy i podróże.

Dzieje księztw Nad-Dunajskich, tojest Multan i Wołoszczyzny, podług Kogalnitchana skreślone przez *Leona Rogalskiego*. 306

Wycieczka w Sandomierskie i w Lubelskie 433

Literatura.

Kronika z Paryża literacka, naukowa i artystyczna: Teatra.— Pamiętniki pani Lafarge.— Fr. Arago.— Pamiętniki Dumasa 518

Powieści.

Pamiętniki lekarza Polaka, z doświadczeń za granicą zebranych, spisane przez niego samego. I, II, III i IV . . . 55, 458

Choroba serca. Opowiadanie; napisał *M. Rostkowski* 230

Nocleg w zamczysku. Opowiadanie starego wojskowego, przez *Romana Zamarskiego*. 363

Poezye.

Pogrzeb kmiotka, przez *Jaroszę* 280

Widzenie (z podań ludowych), przez *L.* 380

Dramat.

Edyp w Kolonie. Tragedya Sofoklesa. Tłumaczył z greckiego *Kazimierz Kaszewski* 94

Wyjątek z przekładu tragedyi Sofoklesa: Elektra, wygotowanego do druku przez *Antoniego Małeckiego* 282

Sztuki piękne.

Stron.

Kompozycye na fortepian. Przez *J. Sikorskiego* 327

Rozbiory.

O kniaztwach we wsiach wołoskich; z poglądem na wójtowstwa we wsiach na magdeburskiém prawie osadzonych. Przez *W.* 349

Czarna Wstążka i La Kaczucza, powieści Włodzimierza Wolskiego. Wilno. 1852. Przez *K. W.* 350

Dziwadła. Powieść współczesna przez J. I. Kraszewskiego. 2 tomy. Petersburg. 1853. Przez *T.* 359

Chrześciańska filozofia życia, w porównaniu z filozofią naszego wieku panteistyczną, przez M. Jakubowicza. Wilno. 1853. Przez *Leopolda Jakubowskiego* 549

Konfederacya Gołąbska. Obraz historyczny, skreślony za czasów Stanisława Augusta przez niewiadomego pisarza. Poznań. 1853. Przez *K. Wł. Wójcickiego* 557

Nauki przyrodzone.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:

Fizyka, przez *S. P.* 376

Chemia, przez *J. B...g.* 377

Kronika bibliograficzna 189, 381, 575

Doniesienia literackie. 190, 382, 576

Uwiadomienie od redakcyi Biblioteki Warszawskiéj. 580

Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawskiém:

za miesiąc sierpień. 193

— — wrzesień 385

— — październik. 581

